„Tę książkę czyta się jak najlepszy thriller, ale to sama prawda". — LEE CHILD

CZERWONY ALERT

Jak zostałem wrogiem numer jeden Putina

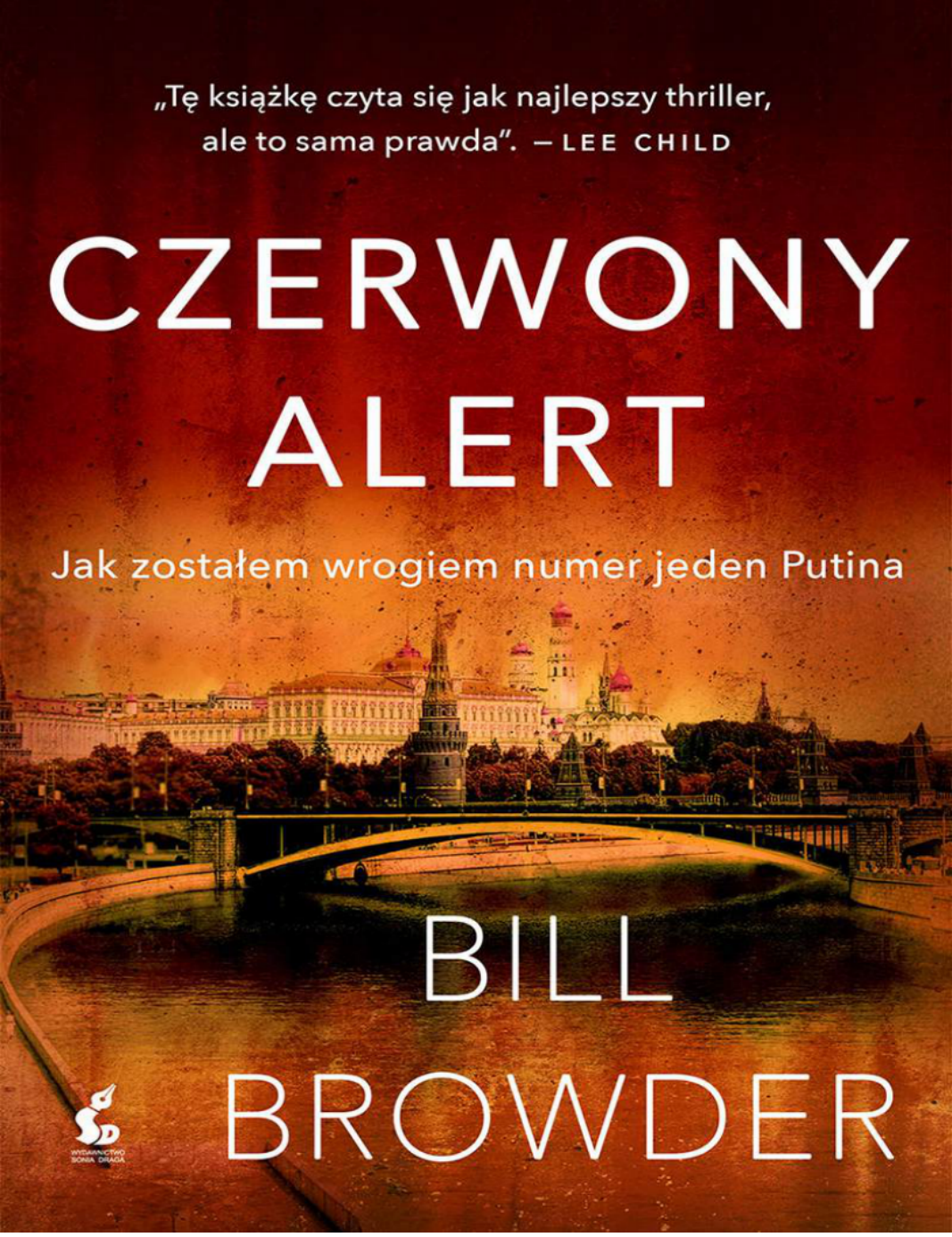

BILL BROWDER

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

SHOUT
SHARE
IT

- Bill Browder
  -
  - Rozdział 1
  - Rozdział 2
  - Rozdział 3
  - Rozdział 4
  - Rozdział 5
  - Rozdział 6
  - Rozdział 7
  - Rozdział 8
  - Rozdział 9
  - Rozdział 10
  - Rozdział 11
  - Rozdział 12
  - Rozdział 13
  - Rozdział 14
  - Rozdział 15
  - Rozdział 16
  - Rozdział 17
  - Rozdział 18
  - Rozdział 19
  - Rozdział 20
  - Rozdział 21
  - Rozdział 22
  - Rozdział 23
  - Rozdział 24
  - Rozdział 25
  - Rozdział 26
  - Rozdział 27
  - Rozdział 28
  - Rozdział 29
  - Rozdział 30
  - Rozdział 31
  - Rozdział 32
  - Rozdział 33
  - Rozdział 34
  - Rozdział 35
  - Rozdział 36
  - Rozdział 37
  - Rozdział 38
  - Rozdział 39
  - Rozdział 40
  - Rozdział 41

    - Rozdział 42
    - Podziękowania
    -
- notes
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
    - 6
    - 7
    - 8
    - 9
    - 10

Bill Browder
Czerwony alert

Siergiejowi Magnitskiemu, najodważniejszemu człowiekowi, jakiego poznałem.

Chociaż opowiedziana w tej książce historia jest prawdziwa, bez wątpienia wywoła oburzenie pewnych bardzo wpływowych i groźnych ludzi. Dla bezpieczeństwa niewinnych osób niektóre nazwiska i nazwy miejsc zostały zmienione.

Czerwony alert — ogłaszany przez Interpol komunikat z żądaniem aresztowania poszukiwanej osoby celem dokonania ekstradycji. Czerwony alert Interpolu jest formalnie najbardziej zbliżoną do międzynarodowego nakazu aresztowania procedurą, jaka jest obecnie stosowana.

Rozdział 1
Persona non grata

13 listopada 2005

Jestem człowiekiem, który przywiązuje wagę do liczb, toteż zacznę od kilku, które mają duże znaczenie: 260, 1 i 4 500 000 000.

A oto co się za nimi kryje: co drugi weekend latałem z Moskwy, gdzie mieszkałem, do Londynu, który uważałem za swój dom. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przemierzyłem tę drogę 260 razy. Celem numer jeden każdej z tych podróży była dla mnie wizyta u syna, Davida, wówczas ośmioletniego, który mieszkał z moją byłą żoną w Hampstead. Kiedy się rozwiodłem, podjąłem zobowiązanie, że bez względu na wszystko będę go odwiedzał co drugi weekend. Nigdy nie złamałem tej obietnicy.

Miałem 4 500 000 000 powodów, by za każdym razem wracać do Moskwy. Tyle wynosiła w dolarach całkowita wartość aktywów, którymi zarządzała moja firma, Hermitage Capital. Byłem jej założycielem i prezesem, a w ciągu ostatniej dekady pomogłem wielu ludziom zarobić mnóstwo pieniędzy. W 2000 roku spółka ta została uznana za najbardziej wydajny z funduszy inwestycyjnych, jakie działają na rynkach wschodzących. Inwestorom, którzy byli z nami od 1996 roku, kiedy to rozpoczęliśmy działalność, zapewniliśmy zyski rzędu 1500 procent. Sukces firmy znacznie przerósł moje najbardziej optymistyczne założenia. Postsowiecka Rosja stanęła w obliczu imponujących możliwości w historii rynków finansowych, a praca w tym kraju była w równym stopniu wyzwaniem — czasem niebezpiecznym — jak rentownym interesem. Nigdy nie groziła nam nuda.

Podróżowałem z Londynu do Moskwy tyle razy, że znałem już na wylot każdy szczegół. Wiedziałem, ile zajmie kontrola na Heathrow, po jakim czasie znajdę się w samolocie Aerofłotu i jak długo będę czekał, zanim maszyna oderwie się od ziemi i odleci na wschód, do pogrążającego się w wieczornym mroku kraju, gdzie w połowie listopada zaczynała się już mroźna zima. Lot trwał 270 minut. To wystarczyło, żeby przejrzeć „Financial Times", „Sunday Telegraph", „Forbesa" i „Wall Street Journal", a także jakieś ważne dokumenty i e-maile.

Kiedy samolot wznosił się w powietrze, otworzyłem aktówkę i wyjąłem z niej swoją lekturę. W środku obok pliku akt, gazet i kolorowych magazynów spoczywała mała skórzana saszetka. Mieściła 7500 dolarów w studolarowych banknotach. Dzięki nim byłbym w o

wiele lepszym położeniu, gdybym musiał opuścić Moskwę na zawsze, podobnie jak ci, którym udało się umknąć z Phnom Penh albo Sajgonu, zanim wszystko dookoła pogrążyło się w chaosie i obróciło w ruinę.

Ale ja nie uciekałem z Moskwy. Co więcej, wracałem tam. Wracałem do pracy i dlatego chciałem być na bieżąco z wydarzeniami ostatniego weekendu.

Moją uwagę zwrócił artykuł w magazynie „Forbes", który przeczytałem pod koniec podróży. Opowiadał o Amerykaninie chińskiego pochodzenia, niejakim Judzie Shao, który podobnie jak ja ukończył studia podyplomowe w zakresie zarządzania na Uniwersytecie Stanforda. Nie znałem go, bo studiował kilka lat później, lecz tak samo jak ja był odnoszącym sukcesy biznesmenem w obcym kraju. W jego przypadku w Chinach.

Shao popadł w konflikt ze skorumpowanymi chińskimi urzędnikami i w kwietniu 1998 roku został aresztowany, ponieważ odmówił wręczenia poborcy podatkowemu z Szanghaju łapówki, wysokości 60 tysięcy dolarów. Ostatecznie na podstawie sfabrykowanych zarzutów skazano go na szesnaście lat więzienia. Kilku absolwentów Stanforda zorganizowało kampanię na rzecz jego uwolnienia, ale ich wysiłki nic nie dały. Jak się dowiedziałem, Shao nadal gnił w jakimś odrażającym chińskim więzieniu.

Czytając ten artykuł, poczułem zimny dreszcz. Jeśli chodziło o robienie interesów, Chiny były dziesięć razy bezpieczniejsze od Rosji. Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania w kierunku położonego trzy tysiące metrów niżej moskiewskiego lotniska Szeremietiewo, zastanawiałem się przez kilka minut, czy aby nie jestem głupcem. Od lat moje podejście do inwestowania polegało w głównej mierze na aktywnym korzystaniu z praw przysługujących udziałowcom. W Rosji było to równoznaczne z prowokowaniem korupcji wśród oligarchów, grupy około dwudziestu ludzi, którzy po upadku komunizmu podobno zagrabili 39 procent majątku państwowego i niemal z dnia na dzień stali się miliarderami. To do nich należała większość spółek obracających udziałami na rosyjskim rynku giełdowym i często oligarchowie okradali je bez skrupułów. Przeważnie wygrywałem utarczki z nimi i chociaż dzięki takiej strategii mój fundusz cieszył się powodzeniem, to przysporzyłem sobie przez nią wielu wrogów.

Skończyłem czytać artykuł o Shao i pomyślałem: Może powinienem przystopować. Mam dla kogo żyć. Oprócz Davida w Londynie mieszkała moja nowa żona. Elena była Rosjanką, piękną i niezwykle inteligentną kobietą, która właśnie spodziewała się naszego pierwszego dziecka. *Może powinienem wrzucić na luz.*

Ale gdy koła podwozia dotknęły pasa startowego, odłożyłem gazety, włączyłem blackberry'ego i zamknąłem aktówkę. Zacząłem

przeglądać e-maile. Porzuciłem rozmyślania o Shao i oligarchach, żeby zająć się tym, co przegapiłem, będąc w powietrzu. Musiałem przejść odprawę celną, dostać się do samochodu i wrócić do domu.

Port lotniczy Szeremietiewo to dziwne miejsce. Terminal, z którym byłem obeznany najlepiej, Szeremietiewo 2, został wybudowany z okazji olimpiady w Moskwie w 1980 roku. Kiedy oddawano go do użytku, musiał robić imponujące wrażenie, ale w 2005 roku był już mocno nadgryziony zębem czasu. We wnętrzu unosiła się woń potu i tanich papierosów, a sufit zdobiły rzędy metalowych cylindrów, które wyglądały jak zardzewiałe puszki. Nie było kolejki do kontroli paszportowej, więc podróżny musiał zająć miejsce w tłumie ludzi i pilnować, żeby nikt nie wepchnął się przed niego. I Boże uchowaj przed odprawą bagażową. Nawet mając już podstemplowany paszport, trzeba było czekać kolejną godzinę na odbiór walizki. Takie powitanie z Rosją po trwającym przeszło cztery godziny locie nie było wcale zabawne, zwłaszcza gdy przechodziło się przez to wszystko co drugi weekend, jak ja.

Podróżowałem w taki sposób od 1996 roku, ale po kilku latach jeden z moich przyjaciół powiedział mi o tak zwanym serwisie VIP-ów. Pozwalał on za niewielką dopłatą zaoszczędzić godzinę, a czasem nawet dwie. Wprawdzie nie zapewniał żadnych luksusów, ale był wart swojej ceny.

Z samolotu udałem się prosto do poczekalni dla VIP-ów. Jej ściany i sufit były pomalowane na kolor zielonego groszku, a podłogę pokrywało beżowe linoleum. Obite czerwonobrązową skórą fotele były nawet dosyć wygodne. Oczekującym podróżnym serwowano słabą kawę albo zbyt mocno zaparzoną herbatę. Poprosiłem o herbatę z plasterkiem cytryny, po czym wręczyłem paszport urzędnikowi służby migracyjnej i natychmiast sięgnąłem po smartfon.

Zaabsorbowany przeglądaniem poczty elektronicznej nie zwróciłem nawet uwagi, że pojawił się mój kierowca, Aleksiej, któremu wolno było wchodzić do poczekalni, i wdał się w rozmowę z urzędnikiem. Czterdziestojednoletni Aleksiej był moim rówieśnikiem, ale w przeciwieństwie do mnie miał prawie dwa metry wzrostu, ważył ponad sto kilo i był blondynem o grubo ciosanych rysach twarzy. Ten były pułkownik moskiewskiej drogówki nie znał ani słowa po angielsku, ale nigdy się nie spóźniał i zawsze udawało mu się wyłgać od mandatu, kiedy milicja zatrzymywała go za jakieś drobne wykroczenia.

Nie zwróciłem uwagi na rozmowę Aleksieja z urzędnikiem i popijając letnią herbatę, odpowiadałem na e-maile. Po jakimś czasie ogłoszono przez megafon, że bagaże z mojego lotu są gotowe do odbioru.

Wtedy to uniosłem wzrok i pomyślałem: Czy ja tu siedzę od

godziny?

Spojrzałem na zegarek. Faktycznie minęła godzina. Samolot wylądował o 19.30, a była 20.32. Dwaj inni pasażerowie, którzy przylecieli wraz ze mną i również czekali w saloniku dla VIP-ów, dawno już wyszli. Popatrzyłem na Aleksieja, a on odpowiedział mi spojrzeniem, które mówiło: „Zaraz to wyjaśnię".

Gdy mój kierowca dyskutował z urzędnikiem, zadzwoniłem do Eleny. W Londynie była dopiero 17.30 i wiedziałem, że zastanę ją w domu. Rozmawiając z żoną, nie spuszczałem oka z Aleksieja i urzędnika służby migracyjnej. Ich wymiana zdań szybko przybrała burzliwy charakter. Aleksiej raz po raz uderzał dłonią w blat biurka, a jego rozmówca przeszywał go gniewnym wzrokiem.

— Coś nie gra — powiedziałem do Eleny.

Wstałem z fotela i skierowałem kroki w stronę biurka, bardziej poirytowany niż zaniepokojony, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Kiedy podszedłem bliżej, zdałem sobie sprawę, że wystąpił jakiś poważny problem. Przełączyłem telefon na tryb konferencyjny, żeby Elena mogła tłumaczyć. Języki obce nigdy nie były moją mocną stroną i nawet po dziesięciu latach w Rosji znałem tylko podstawowe zwroty.

Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność. Jak na meczu tenisowym obracałem głowę to w jedną, to w drugą stronę.

— Myślę, że chodzi o wizę, ale ten człowiek nic o tym nie wspomina — wyjaśniła Elena w pewnym momencie.

Chwilę później do poczekalni weszło dwóch umundurowanych urzędników służby migracyjnej. Jeden z nich wskazał na mój telefon, a drugi na bagaż.

— Każą mi się rozłączyć i iść za nimi — zwróciłem się do Eleny. — Zadzwonię do ciebie, jak tylko będę mógł.

Zakończyłem rozmowę, a jeden z mężczyzn wziął moje walizki. Drugi trzymał moje dokumenty. Zanim opuściłem poczekalnię w ich towarzystwie, spojrzałem na Aleksieja. Stał przygarbiony ze spuszczonym wzrokiem i lekko rozchylonymi ustami. Sprawiał wrażenie zagubionego. Wiedział, że kiedy w Rosji coś zaczyna się psuć, zazwyczaj psuje się już na dobre.

Dwaj urzędnicy poprowadzili mnie bocznymi korytarzami budynku lotniska do ogólnej hali odpraw. Zadawałem im pytania łamanym rosyjskim, oni jednak nie odezwali się ani słowem. Odstawili mnie do izby zatrzymań i tam zostawili. W jaskrawo oświetlonym wnętrzu stało kilka rzędów przymocowanych do podłogi plastikowych krzeseł, a ze ścian tu i ówdzie odłaziły złuszczone płaty beżowej farby. Na krzesłach siedzieli w nonszalanckich pozach inni zatrzymani, każdy z gniewną miną. Żaden się nie odzywał i wszyscy palili papierosy.

Na przeciwległym krańcu pomieszczenia za oszklonym kontuarem

siedziało kilku urzędników w mundurach. Zająłem miejsce w pobliżu nich i usiłowałem zrozumieć, co się dzieje.

Z jakiegoś powodu pozwolono mi zatrzymać wszystkie rzeczy włącznie z telefonem komórkowym, który nie stracił zasięgu. Poczytałem to za dobry znak. Próbowałem jakoś się odnaleźć w tym położeniu, ale wtedy przypomniał mi się artykuł o losach Jude'a Shao.

Spojrzałem na zegarek. Była 20.45.

Ponownie zadzwoniłem do żony. Elena nie była zmartwiona. Oznajmiła mi, że właśnie przygotowuje notę dla brytyjskiej ambasady w Moskwie, którą wyśle faksem, kiedy tylko będzie gotowa.

Zadzwoniłem również do Ariela, byłego agenta Mosadu, który pracował dla mojej firmy jako doradca do spraw bezpieczeństwa. W Rosji uchodził za jednego z najlepszych specjalistów w branży i byłem przekonany, że zdoła rozwiązać mój problem.

Ariel był zaskoczony, kiedy mu opowiedziałem, co się wydarzyło. Oznajmił, że musi skontaktować się z kilkoma osobami, a potem odezwie się do mnie.

Około 22.30 zadzwoniłem do ambasady brytyjskiej, gdzie połączono mnie z Chrisem Bowersem z sekcji konsularnej. Bowers otrzymał faks od Eleny i znał już moją sytuację, a przynajmniej wiedział tyle co ja. Jeszcze raz potwierdził wszystkie moje dane — datę urodzenia, numer paszportu i datę wydania wizy. Uprzedził mnie, że prawdopodobnie niewiele da radę zdziałać, ponieważ jest niedziela wieczorem, ale będzie się starał.

— Panie Browder — odezwał się na koniec. — Czy dali panu coś do jedzenia albo picia?

— Nie — odparłem.

Bowers wydał cichy pomruk, a ja podziękowałem mu i pożegnałem się.

Próbowałem rozsiąść się wygodnie na plastikowym krześle, ale było to niemożliwe. Czas płynął powoli. Wstałem i zacząłem się przechadzać po sali w kłębach tytoniowego dymu. Starałem się unikać bezmyślnych spojrzeń innych mężczyzn, którzy też zostali zatrzymani. Zadzwoniłem do Ariela, ale nie odbierał telefonu. W końcu podszedłem do przepierzenia i kalecząc rosyjski, zacząłem mówić do urzędników za szybą. Nie zwracali na mnie uwagi. Dla nich byłem nikim. Co gorsza stałem się już więźniem.

Warto nadmienić, że prawa jednostki nie cieszą się w Rosji zbytnim poważaniem. Ludzi poświęca się dla kraju, wykorzystuje w charakterze żywych tarcz, kart przetargowych albo zwykłego mięsa armatniego. Każdego można było się pozbyć, jeżeli zachodziła taka konieczność. Słynna wypowiedź Stalina trafiała w samo sedno: „Nie ma człowieka, nie ma problemu".

Wtedy to znów przypomniałem sobie artykuł z „Forbesa" o losach

Jude'a Shao. Czy w przeszłości powinienem był zachować większą ostrożność? Zdążyłem już przywyknąć do zwalczania oligarchów i skorumpowanych rosyjskich urzędników, toteż uodporniłem się na myśl, że ja również mógłbym zniknąć, gdyby ktoś bardzo tego chciał.

Pokręciłem głową, aby odegnać myśli o Shao. Znów podszedłem do strażników, żeby spróbować dowiedzieć się od nich czegokolwiek, ale na próżno. Wróciłem na krzesło i ponownie wybrałem numer telefonu Ariela. Tym razem odebrał.

— Co się dzieje? — zapytałem.

— Zadzwoniłem do kilku osób, ale nikt nie chce o tym mówić.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że nikt nie chce o tym mówić. Przykro mi, Bill, ale potrzebuję więcej czasu. Jest niedziela wieczór. Tak naprawdę wszyscy są nieosiągalni.

— Dobra. Daj mi znać, kiedy tylko czegoś się dowiesz.

— Jasne.

Rozłączyłem się i ponownie zadzwoniłem do ambasady. Brytyjscy dyplomaci również nie posunęli się ani kroku. Albo natrafiali na opór nie do przezwyciężenia, albo moje dane jeszcze nie zostały wprowadzone do systemu, albo jedno i drugie.

— Czy dali panu coś do jedzenia albo picia? — znów zapytał konsul, kiedy nasza rozmowa dobiegła końca.

— Nie — odpowiedziałem.

Pytanie to wydawało się zgoła bez znaczenia, ale Chris Bowers był całkowicie odmiennego zdania. Zapewne miał już wcześniej do czynienia z sytuacją tego rodzaju, ja zaś odniosłem wrażenie, że takie przetrzymywanie ludzi bez posiłku i wody to typowo rosyjska taktyka.

Minęła północ, a pomieszczenie wypełniali kolejni zatrzymani. Wszyscy byli mężczyznami i wyglądali na mieszkańców dawnych republik radzieckich — Gruzinów, Azerów, Kazachów i Ormian. Ich bagaż, o ile mieli jakikolwiek, stanowiły zwykłe worki marynarskie lub potężnych rozmiarów dziwaczne nylonowe torby na zakupy poowijane taśmą klejącą. Wszyscy bez przerwy palili, niektórzy rozmawiali szeptem, ale nikt nie okazywał żadnych emocji i nie wyglądał na zmartwionego. Podobnie jak strażnicy, oni również zdawali się mnie nie zauważać, choć wyraźnie nie pasowałem do otoczenia — byłem podenerwowany, nosiłem granatową marynarkę, używałem smartfona i miałem czarną walizkę na kółkach.

Po raz kolejny zadzwoniłem do żony.

— Coś nowego u ciebie?

— Nie. — Elena westchnęła. — A u ciebie?

— Też nic.

Musiała usłyszeć troskę w moim głosie, bo dodała:

— Wszystko będzie dobrze, Bill. Jeżeli faktycznie chodzi tylko o

wizę, wrócisz tu jutro, żeby wszystko wyjaśnić. Jestem tego pewna.

Jej spokój zaczął mi się udzielać.

— Wiem — powiedziałem, spoglądając na zegarek. W Anglii była 22.30. — Idź spać, kochanie. Ty i dziecko potrzebujecie odpoczynku.

— Dobrze. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko czegoś się dowiem.

— Ja również.

— Dobranoc.

— Dobranoc — odrzekłem. — Kocham cię — dodałem, lecz Elena już się rozłączyła.

W mojej głowie zaczęły lęgnąć się wątpliwości. A jeżeli to nie jest zwyczajny problem z wizą? Czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze Elenę? Czy kiedykolwiek zobaczę nasze dziecko, którego się spodziewamy? Czy zobaczę jeszcze mojego syna, Davida?

Zmagając się z posępnym nastrojem, zwinąłem marynarkę, która miała mi posłużyć za poduszkę, i próbowałem ułożyć się wygodnie na twardych krzesłach, jednak zostały one tak zaprojektowane, by nie dało się na nich spać. Poza tym otaczała mnie zgraja ludzi o złowieszczym wyglądzie. Jakże miałbym zasnąć, gdy kręcili się w pobliżu?

Porzuciłem ten zamiar.

Usiadłem z powrotem, sięgnąłem po blackberry'ego i zacząłem sporządzać listę osób, które poznałem, przebywając w Rosji, Wielkiej Brytanii oraz Ameryce, i które mogłyby mi teraz pomóc — polityków, biznesmenów i dziennikarzy.

Jeszcze raz zadzwonił do mnie Chris Bowers, który właśnie kończył dyżur w ambasadzie. Zapewnił mnie, że człowiek, który zajmie jego miejsce, zostanie dokładnie poinformowany o mojej sytuacji. Nadal był zainteresowany, czy dostałem jakiś posiłek lub wodę. Odpowiedziałem, że nie. Przeprosił mnie, choć nic nie mógł na to zaradzić. Najwyraźniej skrzętnie notował wszelkie uchybienia, na wypadek gdyby mogło to okazać się przydatne. Cholera jasna — zakląłem w myślach, kiedy skończyliśmy rozmowę.

Była druga albo trzecia w nocy. Wyłączyłem smartfon, by nie rozładować baterii, i znów postanowiłem się zdrzemnąć. Wyjąłem z walizki koszulę i zakryłem sobie nią oczy. Połknąłem na sucho dwie tabletki nurofenu, żeby uśmierzyć ból głowy, który zaczął mi doskwierać. Próbowałem zapomnieć o tym wszystkim. Starałem się przekonać samego siebie, że z rana znów będę w podróży. Że to tylko problem z wizą. Że w taki czy inny sposób zdołam wydostać się z Rosji.

Chwilę później zasnąłem.

Obudziłem się około 6.30, kiedy do sali weszła kolejna grupa mężczyzn. Nie różnili się od pozostałych. Nie zauważyłem nikogo, kto wyglądałby podobnie jak ja. Pomieszczenie wypełniły stłumione

szepty i kłęby tytoniowego dymu. Odór spoconych ciał przybrał na sile. W ustach czułem nieświeży posmak i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że bardzo chce mi się pić. Chris Bowers nie bez przyczyny dopytywał, czy mnie nakarmiono i napojono. Mogliśmy korzystać z toalety, ale ci dranie powinni dać nam jakiś posiłek i wodę.

Mimo to obudziłem się z głębokim przeświadczeniem, że to wszystko jest skutkiem jakiegoś biurokratycznego nieporozumienia. Zadzwoniłem do Ariela. Nie zdołał jeszcze ustalić, co się dzieje, ale poinformował mnie, że najbliższy samolot do Londynu odlatuje o 11.15. Miałem tylko dwa wyjścia. Albo mogłem zostać aresztowany, albo deportowany, toteż utwierdzałem się w przekonaniu, że odlecę tym samolotem.

W miarę możliwości starałem się nie próżnować. Odpowiedziałem na kilka e-maili, jakbym zaczynał zwykły dzień roboczy. Skontaktowałem się z ambasadą. Pełniący dyżur konsul zapewnił mnie, że kiedy tylko zacznie się pora urzędowania, zajmą się moją sprawą. Pozbierałem swoje rzeczy i jeszcze raz spróbowałem rozmówić się z urzędnikami. Poprosiłem ich o mój paszport, ale również tym razem nie zwrócili na mnie uwagi. Jakby całe ich zadanie ograniczało się do siedzenia za szybą i ignorowania zatrzymanych.

Zacząłem przechadzać się po sali, co jakiś czas zerkając na zegarek. 9.00. 9.15. 9.24. 9.37. Stawałem się coraz bardziej poirytowany. Miałem ochotę porozmawiać z Eleną, ale o tej porze w Londynie dopiero świtało. Odezwałem się do Ariela, lecz on nadal nie miał dla mnie żadnych wiadomości. Przestałem wydzwaniać do ludzi.

O 10.30 zacząłem walić pięścią w szybę, jednak urzędnicy nadal ignorowali mnie z pełnym profesjonalizmem.

Zadzwoniła Elena. Tym razem nie zdołała mnie uspokoić. Obiecała wyjaśnić, co się dzieje, ale zaczynałem nabierać przekonania, że to nic nie da. Oczyma wyobraźni coraz wyraźniej widziałem, jak spotyka mnie los Jude'a Shao.

10.45. Na dobre zaczęła ogarniać mnie panika.

10.51. Jak mogłem być tak głupi? Jak zwykły facet z Chicago mógł sobie uroić, że gnębienie rosyjskich oligarchów ujdzie mu na sucho?

10.58. Głupi, głupi, głupi! Jesteś głupi i arogancki, Bill! Arogant i skończony głupiec!

11.02. Trafię do rosyjskiego więzienia. Trafię do rosyjskiego więzienia. Trafię do rosyjskiego więzienia.

11.05. Do sali wpadli dwaj strażnicy w butach z cholewami i klucząc między zatrzymanymi, podeszli do mnie. Pozbierali moje rzeczy, chwycili mnie pod ręce i wyprowadzili z sali. Szliśmy długimi

korytarzami, a potem w górę po schodach. A więc to tak. Teraz wepchną mnie do samochodu i gdzieś wywiozą. No to się doigrałem.

Jeden ze strażników kopniakiem otworzył drzwi i znaleźliśmy się w hali odlotów. Moje serce zaczęło uderzać szybciej, kiedy idąc żwawym krokiem, mijaliśmy bramki i ospałych pasażerów. Dotarliśmy do punktu odprawy na rejs do Londynu o 11.15, przepuszczono nas na drugą stronę i po chwili weszliśmy na pokład samolotu. W pośpiechu minęliśmy przedział klasy biznesowej i strażnicy posadzili mnie w fotelu od strony przejścia w przedziale klasy ekonomicznej. Żaden nie odezwał się do mnie ani słowem. Włożyli moją walizkę do skrytki bagażowej pod sufitem i wyszli. Nie dostałem z powrotem paszportu.

Inni pasażerowie z trudem powstrzymywali wścibskie spojrzenia, ale czyż mogłem im się dziwić? Nie zwracałem na nich uwagi. Uniknąłem rosyjskiego więzienia.

Wysłałem do Eleny wiadomość tekstową, informując ją, że wracam do domu i wkrótce się zobaczymy. Napisałem też, że ją kocham.

Wystartowaliśmy. Kiedy koła maszyny z głuchym łoskotem schowały się w komorach podwozia, ogarnęła mnie taka ulga, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem. Nawet to, co przeżywałem, zarabiając i tracąc setki milionów dolarów, nie umywało się do tego uczucia.

Samolot wzniósł się na wysokość przelotową i zaczęto podawać posiłki. Nie miałem nic w ustach od dwudziestu czterech godzin. Tego dnia lunch składał się z jakiegoś paskudztwa przypominającego boeuf Strogonow, ale odnosiłem wrażenie, że w życiu niczego lepszego nie jadłem. Zjadłem trzy dodatkowe bułki, wypiłem cztery butelki wody, a potem zasnąłem.

Obudziłem się, dopiero kiedy wylądowaliśmy w Londynie. Samolot kołował, a ja układałem w myślach listę rzeczy, z którymi musiałem się uporać. Przede wszystkim czekało mnie przejście przez odprawę bez paszportu, ale spodziewałem się, że będzie to dosyć łatwe. Anglia była moim domem, a od końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy uzyskałem obywatelstwo brytyjskie, moją przybraną ojczyzną. Dużo większy problem stanowiła Rosja. Co miałem zrobić, żeby wyplątać się z tych tarapatów? Kto za to wszystko odpowiadał? U kogo mogłem szukać pomocy w Rosji? A u kogo na Zachodzie?

Samolot zatrzymał się, z głośnika dobiegł dźwięczny sygnał i wszyscy rozpięli pasy. Gdy przyszła kolej na mnie, ruszyłem między fotelami w stronę wyjścia. Byłem całkowicie pogrążony w myślach, toteż zbliżając się do drzwi, nie zauważyłem pilota, który przyglądał się opuszczającym pokład pasażerom. Kiedy go mijałem, wyrwał mnie z zadumy, wyciągając rękę w moją stronę. Opuściłem wzrok i zobaczyłem, że trzyma mój brytyjski paszport. Zabrałem go bez słowa.

Odprawa celna zajęła pięć minut. Wsiadłem do taksówki i

pojechałem do mojego londyńskiego mieszkania. Gdy dotarłem na miejsce, długo tuliłem Elenę w objęciach. Nigdy tak bardzo nie doceniałem bliskości drugiej osoby.

Powiedziałem jej, że bardzo ją kocham. Uśmiechnęła się, patrząc na mnie wielkimi sarnimi oczami. Rozmawialiśmy o moich przejściach i trzymając się za ręce, weszliśmy do naszego wspólnego gabinetu. Zasiedliśmy przy biurkach, włączyliśmy komputery, sięgnęliśmy po telefony i przystąpiliśmy do pracy.

Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić do Rosji.

Rozdział 2
Jak być buntownikiem w rodzinie komunistów?

Gdybyście teraz mnie usłyszeli, prawdopodobnie nasunęłoby się wam pytanie: „Jak ten facet z amerykańskim akcentem i brytyjskim paszportem został jednym z największych zagranicznych inwestorów w Rosji, którego wydalono z tego kraju?".

To długa historia, która tak naprawdę ma swój początek w Ameryce w pewnej niezwykłej amerykańskiej rodzinie. Mój dziadek, Earl Browder, który pochodził z Wichita w stanie Kansas, był założycielem związków zawodowych. Działał tak aktywnie, że dostrzegli go komuniści i w 1926 roku zaprosili do Związku Radzieckiego. Wkrótce po przybyciu na miejsce dziadek zrobił to, co zrobiłby każdy dziarski Amerykanin w Moskwie — poznał atrakcyjną Rosjankę. Nazywała się Raisa Berkman i była jedną z pierwszych prawniczek w tym kraju. Zapałali do siebie uczuciem i pobrali się. Mieli trzech synów, a pierwszy z nich, Felix, który przyszedł na świat w stolicy Rosji w lipcu 1927 roku, został moim ojcem.

W 1932 roku Earl wrócił do Stanów Zjednoczonych, by zamieszkać wraz z rodziną w Yonkers w stanie Nowy Jork, i został przewodniczącym Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Dwukrotnie, w 1936 i 1940 roku, startował w wyborach prezydenckich z ramienia swojej partii. Choć w każdej z tych kampanii uzyskał zaledwie około ośmiu tysięcy głosów, jego kandydatura zwróciła uwagę pogrążonej w kryzysie Ameryki na wady dominującego kapitalizmu i zmusiła wszystkich polityków do zmiany nastawienia wobec lewicy. Był tak przebojowy, że w 1938 roku na okładce magazynu „Times" pojawiło się jego zdjęcie podpisane „towarzysz Earl Browder".

Jego przebojowość działała również na nerwy prezydentowi Rooseveltowi. W 1941 roku mój dziadek został aresztowany i skazany na cztery lata więzienia za „oszustwa paszportowe". Rozpoczął odsiadkę w federalnym zakładzie karnym w Atlancie, ale na szczęście za sprawą wojennego przymierza Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Radzieckim ułaskawiono go rok później.

Po zakończeniu wojny Earl spędził kilka lat w politycznej próżni, dopóki senator Joseph McCarthy nie rozpętał haniebnego polowania na czarownice, usiłując oczyścić kraj z komunistów. Lata pięćdziesiąte w Ameryce były paranoicznym okresem i nie miało znaczenia, czy ktoś był dobrym czy złym komunistą. Earl przez wiele miesięcy był nękany wezwaniami i przesłuchiwany przez Komisję Izby

Reprezentantów do spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej.

Prześladowania polityczne i poglądy mojego dziadka odcisnęły swoje piętno na pozostałych członkach rodziny. Moja babka była rosyjską intelektualistką żydowskiego pochodzenia i nie życzyła sobie, aby jej synowie angażowali się w nieczyste rozgrywki polityczne. Dla niej najwyższym powołaniem była kariera akademicka, zwłaszcza w dziedzinie nauk matematycznych. Felix, mój ojciec, spełniał jej oczekiwania, a nawet je przerósł, kiedy w wieku szesnastu lat dostał się na studia w Massachusetts Institute of Technology. Co znaczące, ukończył je w ciągu zaledwie dwóch lat, po czym podjął studia podyplomowe w Princeton i uzyskał doktorat jako dwudziestolatek.

Chociaż mój ojciec należał do najbardziej obiecujących młodych matematyków w Ameryce, nie zmieniało to faktu, że był synem Earla Browdera. Kiedy po zakończeniu II wojny światowej prezydent Truman wprowadził powszechny obowiązek służby wojskowej, Felix ubiegał się o odroczenie, ale Instytut Badań Zaawansowanych w Princeton, w którym był zatrudniony, odmówił mu wstawiennictwa. Żaden z jego przełożonych nie chciał, aby odnotowano, że ujął się za synem znanego komunisty. Nie uzyskawszy odroczenia, Felix natychmiast został wcielony do wojska i rozpoczął służbę w 1953 roku.

Po wstępnym szkoleniu otrzymał przydział do jednostki wywiadu wojskowego w Fort Monmouth w stanie New Jersey, gdzie pracował przez kilka tygodni, zanim dowódca zwrócił uwagę na jego nazwisko. Potem wszystko potoczyło się szybko. Pewnej nocy zerwano go z pryczy, wsadzono do samolotu transportowego i wysłano do Fort Bragg w Karolinie Północnej, gdzie przez kolejne dwa lata obsługiwał pompę na stacji paliw położonej na obrzeżach bazy.

Gdy w 1955 roku wyszedł do cywila, zgłosił swoją kandydaturę na pierwszy uczelniany wakat, jaki znalazł — stanowisko adiunkta na Uniwersytecie Brandeis. Naukowcy z Brandeis nie mogli uwierzyć w swoje szczęście, dowiedziawszy się, że wybitny matematyk z Princeton chce z nimi pracować. Kiedy jednak zarekomendowali go władzom uczelni, te nie chciały wspierać syna byłego przywódcy partii komunistycznej.

W owym czasie radą nadzorczą uniwersytetu kierowała Eleanor Roosevelt i chociaż to jej mąż był odpowiedzialny za wtrącenie mojego dziadka do więzienia, ona sama stwierdziła: „najbardziej antyamerykańskie, co moglibyśmy zrobić, to odmówić zatrudnienia wielkiemu naukowcowi z powodu tego, kim był jego ojciec”. Felix otrzymał w końcu tę posadę, dzięki której później trafił do Yale, Princeton i na Uniwersytet Chicagowski, gdzie ostatecznie został dziekanem wydziału matematycznego. Jego długoletnia kariera obfitowała w liczne sukcesy i w 1999 roku prezydent Clinton

uhonorował go Narodowym Medalem Nauki, najwyższym amerykańskim wyróżnieniem za osiągnięcia w dziedzinie matematyki.

Życie mojej matki było równie niepospolite. Eva przyszła na świat w 1929 roku w Wiedniu jako córka samotnej Żydówki. W 1938 roku antysemicka polityka nazistów nie pozostawiała żadnych złudzeń i każdy Żyd, który miał taką możliwość, starał się znaleźć jak najdalej od Europy. Ponieważ tak wiele osób uciekało do Stanów Zjednoczonych, że uzyskanie amerykańskiej wizy graniczyło z niemożliwością, moja babka podjęła bolesną decyzję i oddała swoją córkę do adopcji, aby zapewnić jej szansę na lepsze życie za oceanem.

Applebaumowie, miłe żydowskie małżeństwo z Belmont w stanie Massachusetts, zgodzili się przyjąć Evę do siebie. Dziewięcioletnia dziewczynka samotnie przejechała Europę pociągiem, a następnie popłynęła statkiem do Ameryki, gdzie czekała na nią nowa rodzina. Dotarłszy do celu podróży, czuła się oszołomiona światem, w którym znalazła schronienie. Przez kilka kolejnych lat moja matka mieszkała w wygodnym domu, w którym miała własny pokój i mogła się bawić z cocker spanielem na zadbanym trawniku w ogrodzie, z dala od morderczego szaleństwa wojny.

Podczas gdy Eva przyzwyczajała się do nowego życia, moja babka, Erna, zdołała uciec z Austrii i trafiła do Wielkiej Brytanii. Rozłąka z córką była dla niej nie do zniesienia, toteż każdego dnia starała się o wizę amerykańską, aby móc odzyskać małą Evę. Wreszcie po trzech latach jej starania zakończyły się sukcesem. Przybyła do Bostonu i zapukała do drzwi domu Applebaumów w Belmont, spodziewając się radosnego powitania. Tymczasem prawie nie poznała swojego dziecka. Na miejscu zastała amerykańską dziewczynkę, która tak się zaaklimatyzowała w nowym domu, że nie chciała go opuszczać. Po burzliwej kłótni moja babka postawiła na swoim i zabrała córkę ze sobą. Zamieszkały w wynajętym pokoju w Brookline. Erna pracowała w szwalni po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, żeby zarobić na utrzymanie, ale doskwierała im taka bieda, że największym luksusem była dla nich porcja pieczeni wołowej z tłuczonymi ziemniakami, którą raz w tygodniu zjadały do spółki w miejscowym barze. Zamiana ubóstwa na dostatek, a potem znów powrót do ubóstwa okazały się tak silnym wstrząsem, że po dziś dzień moja matka zbiera saszetki z cukrem, a w restauracji wykrada bułki z koszyczków na pieczywo i chowa je do torebki. Pomimo ciężkich warunków, w jakich dorastała, Eva przejawiała wybitne zdolności naukowe i zaproponowano jej pełne stypendium na Massachusetts Institute of Technology. Tam w 1948 roku poznała Felixa i po kilku miesiącach została jego żoną.

W 1964 roku przyszedłem na świat jako dziecko tej dziwnej pary lewicujących naukowców. W naszym domu rozmawiało się przy stole

o teoriach matematycznych i o tym, jak nieuczciwi przedsiębiorcy prowadzą świat do zguby. Mój starszy brat, Thomas, poszedł w ślady ojca i wstąpił na uniwersytet w Chicago — w wieku piętnastu lat! Ukończył wydział fizyki, oczywiście z najwyższą lokatą. Jako dziewiętnastolatek uzyskał doktorat i obecnie jest jednym z czołowych fizyków światowej klasy badających cząstki elementarne.

Z kolei ja znalazłem się na przeciwległym krańcu naukowych aspiracji. Kiedy miałem dwanaście lat, moi rodzice oznajmili, że biorą roczny urlop naukowy, i musiałem wybierać, czy przyłączę się do nich, czy pójdę do szkoły z internatem. Zdecydowałem się na to drugie.

Matkę gnębiło poczucie winy, pozwoliła mi więc wybrać szkołę. Ponieważ nie interesowałem się nauką, tylko jazdą na nartach, rozglądałem się za szkołami, które znajdowały się w pobliżu ośrodków narciarskich. Jedną z nich była niewielka Whiteman School w Steamboat Springs w stanie Kolorado.

Moi rodzice tak głęboko tkwili w swoim akademickim świecie, że nie zadali sobie trudu, aby zapoznać się z poziomem tej szkoły. Gdyby to zrobili, dowiedzieliby się, że w owym czasie Whiteman nie stawiała wygórowanych wymagań i trafiało tam wiele trudnej młodzieży — dzieciaki, które zostały wyrzucone z innych szkół albo popadły w konflikt z prawem.

Aby dostać się do szkoły z internatem, musiałem przeskoczyć ósmą klasę, toteż trafiłem do Whiteman School jako niewysoki trzynastolatek. Byłem najmłodszy i najmniejszy. Gdy inni uczniowie zobaczyli takiego chuderlaka w niebieskim blezerku, od razu upatrzyli sobie w nim ofiarę. Już pierwszej nocy grupa chłopców wdarła się do mojego pokoju i zaczęła przekopywać szuflady, zabierając wszystko, co wpadło im w oko. Kiedy zaprotestowałem, rzucili się na mnie i zaczęli krzyczeć: „Odkręcimy ci cycki, Billy Browder! Odkręcimy ci cycki!”.

Takie sceny powtarzały się każdej nocy przez pierwszych kilka tygodni. Byłem posiniaczony i upokorzony, a co wieczór, kiedy gasły światła, czekałem przejęty zgrozą na okrutne niespodzianki, jakie szykowali dla mnie moi prześladowcy.

Na początku października odwiedziła mnie matka. Byłem zbyt dumny, by powiedzieć jej o tym, co się dzieje. Wszystko to napawało mnie wstrętem, ale myślałem, że zdołam wytrzymać.

Jednak kiedy tylko wsiadłem do samochodu matki, którym mieliśmy udać się na kolację, puściły mi nerwy. To wzbudziło jej niepokój i zapytała, co mi jest.

— Nie zniosę tego dłużej! — wykrzyczałem przez łzy. — Tu jest okropnie!

Nie wyznałem jej, jak się nade mną znęcali, i nie miałem pojęcia,

czy czegokolwiek się domyślała, ale odpowiedziała:

— Billy, jeżeli nie chcesz tu dłużej być, po prostu powiedz. Zabiorę cię ze sobą do Europy.

Nie odpowiedziałem od razu i zacząłem rozważać tę propozycję. Kiedy już dojeżdżaliśmy do restauracji, podjąłem decyzję, że choć perspektywa powrotu do maminej spódnicy jawi się kusząco, nie mogę opuścić Whiteman School jako pokonany oferma.

Usiedliśmy przy stoliku i złożyliśmy zamówienie. Kiedy jedliśmy, uspokoiłem się trochę i w połowie kolacji uniosłem wzrok znad talerza.

— Wiesz, myślę, że zostanę — oznajmiłem. — Dam sobie radę.

Wspólnie spędziliśmy weekend i w niedzielę wieczorem matka odwiozła mnie z powrotem do szkoły. Kiedy się pożegnaliśmy i szedłem do swojego pokoju, mijając sypialnie drugoklasistów, usłyszałem, jak dwaj chłopcy mówią szeptem:

— Billy, pora na odkręcanie cycków.

Przyspieszyłem kroku, ale tamci ruszyli za mną. Gniew i poniżenie wypełniły mnie do tego stopnia, że zamiast skręcić do swojego pokoju, zawróciłem i rzuciłem się na mniejszego z prześladowców. Uderzyłem go w nos. Chłopak przewrócił się, a ja usiadłem na nim i zacząłem okładać go pięściami, aż zalał się krwią i dopiero jego kolega chwycił mnie za ramiona i odciągnął na bok. Potem obaj spuścili mi solidne lanie, aż przyszedł dozorca, który nas rozdzielił.

Ale od tamtej chwili już nikt w Whiteman School nie ważył się mnie tknąć.

Spędziłem tam cały rok i poznałem wszystko to, o czym dotychczas nie miałem pojęcia. Zacząłem palić papierosy i wymykałem się w nocy, by przemycać alkohol do internatu. Tyle razy pakowałem się w różne tarapaty, że pod koniec roku usunięto mnie ze szkoły. Wróciłem do domu rodzinnego w Chicago, ale nie byłem już tym samym Billym Browderem.

Moja rodzina wyznawała pogląd, że jeśli dziecko nie jest wybitnie utalentowane, nie ma dla niego miejsca na ziemi. Tak bardzo odstawałem od tego ideału, że rodzice nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Posyłali mnie do różnych psychiatrów, terapeutów i specjalistów, którzy mieli znaleźć sposób, żeby mnie „wyprostować”. Im dłużej to trwało, tym zacieklej się buntowałem. Wydalenie ze szkoły było dobre na początek, ale skoro naprawdę miałem pognębić moich rodziców, musiałem wymyślić coś więcej.

Olśnienie przyszło pod koniec szkoły średniej. Postanowiłem ubrać się w garnitur, zawiązać krawat i zostać kapitalistą. Nic nie mogło ich bardziej wkurzyć.

Rozdział 3
Chip i Winthrop

Istniał tylko jeden problem, gdyż miałem tak słabe oceny, że każda uczelnia, na której chciałem studiować, odrzucała moje podania. Dopiero po interwencji pedagoga szkolnego przyjęto mnie w trybie odwoławczym na uniwersytet stanu Kolorado w Boulder. Wprawdzie fakt, że z ledwością dostałem się na studia, był dość upokarzający, lecz szybko odzyskałem rezon, dowiedziawszy się, że według rankingu „Playboya" jest to najbardziej rozrywkowy uniwersytet w kraju.

Wiele razy oglądałem film *Menażeria*, uznałem więc, że skoro trafiłem na imprezową uczelnię, powinienem również wstąpić do bractwa studenckiego. Zapisałem się do bractwa Delta Upsylon i po przejściu wymaganych rytuałów inicjacyjnych zostałem jego członkiem. Każdy z nas miał jakiś przydomek — Fircyk, Wonny, Bambosz, Chudy — a mnie ze względu na czarne kręcone włosy nazywali Brillo.

Jako Brillo bawiłem się świetnie, ale po kilku miesiącach nadużywania alkoholu, uganiania się za dziewczynami, płatania figli i wylegiwania się godzinami przed telewizorem zacząłem dochodzić do wniosku, że jeśli dalej będę tak się prowadził, zamiast zostać kapitalistą, skończę, pobierając opłaty na parkingu. Miarka się przebrała, gdy pewien kolega z naszego bractwa, którego uważałem za swojego idola, okazał się tak silnie uzależniony od kokainy, że postanowił obrabować miejscowy bank, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki, i został schwytany na gorącym uczynku. Kiedy skazano go na długą odsiadkę, zadziałało to na mnie jak kubeł zimnej wody. Uzmysłowiłem sobie, że jeśli nie zmienię swojego postępowania, to jedyną osobą, której mój bunt da się we znaki, będę ja sam.

Od tamtej pory przestałem imprezować, każdy wieczór spędzałem w czytelni i zacząłem zdobywać najwyższe oceny. Pod koniec drugiego roku rozesłałem zgłoszenia do najlepszych uczelni w kraju i zostałem przyjęty na Uniwersytet Chicagowski.

W Chicago jeszcze bardziej przykładałem się do pracy, a moje aspiracje rosły. Jednak kiedy zbliżałem się do ukończenia studiów, narastało we mnie przemożne pragnienie, by określić, co będę dalej robił w życiu. Czym będę się zajmował jako kapitalista? Kiedy nad tym rozmyślałem, natknąłem się na ogłoszenie o wykładzie dziekana podyplomowej szkoły biznesu. Jako że planowałem zająć jakąś pozycję w świecie biznesu, postanowiłem wybrać się na wykład. Dziekan mówił o karierach zawodowych absolwentów chicagowskiej

szkoły biznesu, z których każdy robił coś ważnego i otrzymywał za to dobre wynagrodzenie. Wydawało się oczywiste, że następnym krokiem na mojej drodze będzie taka szkoła.

Zdaniem dziekana najlepszym sposobem na to, aby zostać przyjętym do którejś z czołowych szkół biznesu, było przepracowanie dwóch lat w takiej firmie jak McKinsey, Goldman Sachs albo jednej z dwudziestu pięciu innych o podobnym profilu. Zasypałem je wszystkie listami i wydzwaniałem do nich, prosząc, aby mnie zatrudniono. Ale oczywiście to nie było takie proste, ponieważ każdy student o podobnych ambicjach postępował tak samo. Koniec końców dostałem dwadzieścia cztery odpowiedzi odmowne i jedną jedyną ofertę pracy od Bain & Company z Bostonu, firmy należącej do amerykańskiej czołówki w branży zarządzania i konsultingu. Nie było dla mnie do końca jasne, jak przeszedłem selekcję, ale jakoś mi się udało i skwapliwie przyjąłem tę propozycję.

Spółka Bain wybierała studentów renomowanych uczelni z najlepszymi lokatami, którzy byli gotowi przez dwa lata pracować po szesnaście godzin dziennie siedem dni w tygodniu. W zamian dawała im szansę na studia w jednej z czołowych szkół biznesu. Był jednak pewien szkopuł. Interesy Bain & Company rozwijały się tak prężnie, że firma musiała zatrudnić stu dwudziestu „studenckich niewolników" zamiast tylko dwudziestu, jak wszystkie inne firmy, w których można było odbyć staż. Niestety stanowiło to naruszenie nieformalnej umowy, jaką spółka zawarła ze szkołami biznesu. Szkoły te w rzeczy samej mogły przyjąć młodych konsultantów z Bain, jednak równie dobrze mogły wybrać tych z McKinsey, Boston Consulting Group, Morgan Stanley, Goldman Sachs czy dziesiątek innych firm, w których harowali za półdarmo ambitni młodzi kapitaliści. Zatem w najlepszym wypadku miejsc na studiach podyplomowych wystarczało tylko dla dwudziestu stażystów z Bain & Company, a nie wszystkich stu dwudziestu. Mówiąc krótko, można było urobić sobie ręce po same łokcie za 28 tysięcy dolarów rocznie, zyskując przy tym 16 procent szans na Harvard czy Stanford.

W efekcie proces rekrutacji do szkół biznesu doprowadził do kryzysu wśród nas. Całymi tygodniami popatrywaliśmy na siebie podejrzliwie i każdy próbował znaleźć sposób, by się jakoś wyróżnić. Ja z pewnością w niczym nie byłem lepszy od moich kolegów. Wielu z nich ukończyło Harvard, Princeton lub Yale i niejeden przewyższał mnie pod względem efektywności pracy.

Ale potem zaświtała mi w głowie pewna myśl. Może i każdy z moich konkurentów mógł się poszczycić większymi osiągnięciami, ale który był wnukiem lidera Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych? Nikt inny, tylko ja.

Złożyłem wniosek o przyjęcie do dwóch szkół biznesu,

harwardzkiej oraz stanfordzkiej, i podzieliłem się z nimi historią mojego dziadka. Harvard niezwłocznie odrzucił moją kandydaturę, za to, ku memu zdumieniu, znalazło się dla mnie miejsce w Stanfordzie. Należałem do zaledwie trzech stażystów Baina, którzy tego roku dostali się do Stanfordu.

Pod koniec sierpnia 1987 roku zapakowałem swój dobytek do toyoty tercel i pojechałem na drugi koniec kraju do Kalifornii. Gdy dotarłem do Palo Alto, zjechałem z autostrady El Carmino Real w prawo, na drogę Palm Drive, która prowadziła prosto do głównego kampusu. Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy palm i budynków w hiszpańskim stylu o dachach pokrytych glinianymi dachówkami, które połyskiwały w słońcu na tle błękitnego nieba. To była Kalifornia, a ja miałem wrażenie, jakbym znalazł się w raju.

Wkrótce przekonałem się, że jestem w raju. Powietrze było czyste, pogoda słoneczna, a każdy dzień upływał w błogim nastroju. Wszyscy studenci zarzynali się, żeby tutaj trafić, pracowali za nędzne wynagrodzenie po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, ślęczeli nad dokumentami i przysypiali na biurkach, poświęcając wszelkie przyjemności na ołtarzu sukcesu. Wszyscy harowaliśmy jak niewolnicy i konkurowaliśmy ze sobą, aby się tutaj dostać, ale gdy już osiągnęliśmy ten cel, świat ukazał się nam z zupełnie innej perspektywy. Stanford nie zezwalał, aby absolwenci pokazywali swoje oceny potencjalnym pracodawcom, którzy decyzje o zatrudnieniu podejmowali na podstawie rozmów kwalifikacyjnych i doświadczeń zawodowych kandydata. W rezultacie miejsce typowej akademickiej konkurencji zajęło coś, czego żaden z nas się nie spodziewał — atmosfera współpracy, koleżeństwa i zaufania. Szybko uświadomiłem sobie, że w Stanfordzie tajemnica sukcesu nie polega na tym, żeby się spisać jak najlepiej. Sukcesem było samo to, że tam studiowaliśmy. Cała reszta stanowiła dodatek. Zarówno dla mnie, jak i dla wszystkich moich kolegów były to najlepsze dwa lata w życiu.

Pobyt w Stanfordzie był nie tylko przyjemnością samą w sobie, ale miał również na celu pomóc nam w wyborze dalszej drogi po ukończeniu szkoły biznesu. Ale jedno wiedziałem na pewno. Od chwili przybycia do Stanfordu niemal każdego dnia chodziliśmy na sesje informacyjne dla studentów organizowane przez korporacje, spotkania rekrutacyjne przy lunchu, wieczorne przyjęcia, kolacje i rozmowy kwalifikacyjne, aby spośród tysięcy dostępnych posad wybrać tę odpowiednią.

Stałem w wypełnionej po brzegi sali i słuchałem, jak trzy specjalistki od marketingu z Procter & Gamble w plisowanych niebieskich spódnicach, białych bluzkach i krawatkach opowiadają podekscytowanym tonem, używając korporacyjnego żargonu o wszystkich tych fantastycznych metodach sprzedaży mydła.

Poszedłem też na przyjęcie koktajlowe, które urządziła firma Trammell Crow. Czułem się na nim tak obco, że przestępowałem z nogi na nogę, podczas gdy wygadani i eleganccy Teksańczycy poklepywali się nawzajem po plecach i gadali pierdoły o baseballu, wielkich pieniądzach i branży nieruchomości, w której działała spółka Trammell Crow.

Potem znalazłem się na bankiecie wydanym przez Drexel Burnham Lambert, gdzie walczyłem z sennością, kiedy kilku łysiejących maklerów w drogich garniturach ględziło o pasjonującym świecie wysokodochodowych obligacji, którymi handlowali w swoim biurze w Beverly Hills.

Nie, dzięki — pomyślałem. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Im częściej brałem udział w takich wydarzeniach, tym bardziej obco się czułem, co w szczególności dało o sobie znać w trakcie pewnej rozmowy kwalifikacyjnej. Dotyczyła ona letniego stażu zawodowego w JP Morgan. Nie paliłem się zbytnio, by dla nich pracować, ale jakże mógłbym nie skorzystać z szansy, jaką dawała jedna z czołowych spółek na Wall Street?

Wszedłem do małej sali w ośrodku rozwoju zawodowego, gdzie powitało mnie dwóch wysokich mężczyzn po trzydziestce o kwadratowych szczękach i rozłożystych ramionach. Jeden z nich miał jasne włosy, drugi brązowe, a obaj nosili koszule z monogramami, ciemne garnitury od Brooks Brothers i czerwone szelki. Kiedy blondyn podawał mi rękę, zauważyłem na jego nadgarstku rolexa, który musiał sporo kosztować. Obaj wręczyli mi swoje wizytówki, które czekały przygotowane w niewielkich stosikach na blacie biurka. Ich nazwiska brzmiały mniej więcej jak Jake Chip Brant III i Winthrop Morgan IV.

Rozmowa zaczęła się od najbardziej standardowego pytania:

— Dlaczego chcesz pracować w JP Morgan?

Rozważałem odpowiedź: „Bo mnie tu zaprosiliście, a ja potrzebuję jakiejś pracy na lato”, ale zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem tego mówić. Zamiast tego rzekłem:

— Ponieważ JP Morgan łączy w sobie najlepsze cechy banku inwestycyjnego i komercyjnego, co moim zdaniem stanowi niezawodną receptę na sukces na Wall Street.

Czy ja naprawdę to powiedziałem? — pomyślałem. Co to, do cholery, w ogóle znaczy?

Chipowi i Winthropowi moje wyjaśnienie nie przypadło do gustu. Zadali mi jeszcze kilka równie standardowych pytań, a ja udzielałem im równie niestrawnych odpowiedzi. Na koniec Winthrop, chcąc mi ułatwić nawiązanie porozumienia, wkroczył na bardziej neutralny grunt.

— A możesz mi powiedzieć, Bill, jakie sporty uprawiałeś na studiach? — zapytał.

Odpowiedź była prosta — nie uprawiałem żadnych sportów. Byłem takim kujonem, że ledwie znajdowałem czas, żeby coś zjeść i pójść do łazienki, nie mówiąc już o sporcie.

— Cóż, tak naprawdę żadnych… Ale lubię narty i piesze wycieczki — odparłem beznamiętnie, licząc, że takie formy aktywności fizycznej spodobają się moim rozmówcom.

Przeliczyłem się. Żaden z nich nie odezwał się już słowem ani nawet nie zadał sobie trudu, by unieść wzrok znad sterty życiorysów. Rozmowa była skończona.

Wychodząc na ulicę, zdałem sobie sprawę, że tych facetów nie obchodziło to, co mówię. Chcieli jedynie sprawdzić, czy „pasuję" do środowiska JP Morgan. Najwyraźniej nie pasowałem.

Zażenowany i zniechęcony skierowałem kroki w stronę bufetu. Stanąłem w kolejce, wybrałem posiłek, po czym zająłem miejsce przy stoliku i w roztargnieniu zacząłem jeść. Przełykając ostatni kęs kanapki, zauważyłem, że do baru wszedł mój serdeczny przyjaciel, Ken Hersh. Miał na sobie garnitur, co oznaczało, że też był na jakiejś rozmowie kwalifikacyjnej.

— Cześć, Ken — zagadnąłem. — Gdzie byłeś?

Mój przyjaciel odsunął krzesło i przysiadł się do mnie.

— Właśnie wracam z rozmowy z JP Morgan.

— Naprawdę? Też poznałeś Chipa i Winthropa? Jak ci poszło?

Ken roześmiał się, słysząc te przezwiska, po czym wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien. Układało się raczej niespecjalnie, dopóki nie powiedziałem Chipowi, że tego lata może korzystać z moich koni do polo w klubie w Hamptons. Od tej pory zrobiło się całkiem miło. — Ken uśmiechnął się. Był niewysokim facetem żydowskiego pochodzenia, wywodził się z klasy średniej, a jego rodzina mieszkała w Dallas w Teksasie. Z końmi do gry w polo najwięcej miał w życiu do czynienia, gdy zobaczył logo sklepu Ralpha Laurena w galerii handlowej w Dallas. — A tobie jak?[1]

— A więc będziemy pracować razem! Wiedziałem, że dostanę tę robotę, kiedy tylko obiecałem Winthropowi, że zabiorę go na rejs moim jachtem, który trzymam w klubie Kennebunkport.

Żadnemu z nas nie zaoferowano wtedy pracy, ale od tamtej pory Ken nazywał mnie Chipem, a ja jego Winthropem.

Po doświadczeniu z JP Morgan bez ustanku zachodziłem w głowę, czemu naraziłem się na odrzucenie ze strony wszystkich Chipów i Winthropów świata. Nie byłem do nich podobny i nie chciałem dla nich pracować. Wybór drogi życiowej, jakiego dokonałem, był reakcją na moich rodziców i wychowanie, jakie odebrałem, ale nie zmieniało to faktu, że wciąż pozostawałem jednym z Browderów.

Od tamtej pory zacząłem szukać pracy, która bardziej

odpowiadała mojej osobowości. Poszedłem na odczyt, który wygłaszał przewodniczący związków zawodowych przemysłu metalurgicznego, i ogarnął mnie zachwyt. Miałem wrażenie, że słyszę głos mojego dziadka, siwowłosego wąsatego mężczyzny, którego z rozrzewnieniem wspominałem, jak siedział w swoim gabinecie pełnym książek, roztaczając dookoła słodkawą woń dymu fajkowego. Odczyt tak mnie zainspirował, że po wszystkim podszedłem do prelegenta i zapytałem go, czy nie zechciałby mnie zatrudnić, abym pomagał związkom zawodowym negocjować z korporacjami, które wyzyskują pracowników. Przewodniczący podziękował mi za zainteresowanie, wyjaśnił jednak, że dla związków pracują tylko ludzie z branży metalurgicznej.

Nie ulegając zniechęceniu, przyglądałem się innym aspektom biografii mojego dziadka, które mogłyby posłużyć mi za drogowskaz, i wtedy pomyślałem o Europie Wschodniej. Znaczącym okresem w jego życiu był pobyt w krajach bloku sowieckiego, a doświadczenia, które tam zdobył, wywindowały go na pozycję o światowym znaczeniu. Skoro właśnie tam znalazł dla siebie odpowiednie miejsce, to może i mnie by się udało.

Pochłonięty takimi refleksjami zacząłem również przeglądać realne oferty pracy na wypadek, gdyby moje poszukiwania utopii spełzły na niczym. Jedna z ofert, którą złożyła spółka Boston Consulting Group, dotyczyła zatrudnienia w siedzibie jej oddziału na Środkowym Wschodzie, mieszczącej się w Chicago. Pochodziłem z tego miasta, a w Bain zajmowałem się doradztwem, co oznaczało, że spełniam wszystkie kryteria stawiane nowym kandydatom.

Tylko że ja nie miałem ochoty wracać do Chicago. Chciałem gdzieś wyjechać i poznawać daleki świat, a co więcej, chciałem pracować w tym dalekim świecie. Tak naprawdę chciałem być jak Mel Gibson w *Roku niebezpiecznego życia*, moim ulubionym filmie. Aby nakłonić mnie do przyjęcia oferty, Boston Consulting Group zafundowała mi przelot do Chicago, gdzie dołączyłem do pozostałych kandydatów. Młodzi konsultanci z rocznym i dwuletnim stażem jeden po drugim raczyli nas opowieściami o swoim ekscytującym życiu w BCG. Było to sympatyczne, ale nie trafiało mi do przekonania.

Zwieńczeniem całego procesu było spotkanie z szefem oddziału, Carlem Sternem. W tym kulminacyjnym momencie, jak się spodziewano, miałem uścisnąć dłoń tego rosłego mężczyzny, podziękować mu wylewnie i powiedzieć „tak”.

— No i co o tym sądzisz, Bill? — odezwał się Stern życzliwym tonem, kiedy wszedłem do jego gabinetu. — Będziesz z nami pracował? Wszystkim tutaj naprawdę bardzo przypadłeś do gustu.

Czułem się mile połechtany, ale nie mogłem przystać na tę propozycję.

— Niezmiernie mi przykro — odparłem. — Pańscy ludzie przyjęli mnie bardzo serdecznie, ale prawda jest taka, że nie potrafię sobie wyobrazić, abym miał mieszkać i pracować w Chicago.

Stern był nieco zmieszany, gdyż w trakcie rozmów kwalifikacyjnych nie wyraziłem żadnych zastrzeżeń co do Chicago.

— Zatem to nie w BCG tkwi problem?

— Nie, w żadnym wypadku.

Dyrektor pochylił się nad biurkiem.

— W takim razie powiedz mi, proszę, gdzie chciałbyś pracować?

I o to mi chodziło. Skoro faktycznie mógłbym pracować w dowolnym miejscu, nic nie stało na przeszkodzie, abym powiedział mu o swoich planach.

— W Europie Wschodniej.

— Och. — Stern był wyraźnie zaskoczony. Nigdy wcześniej nie słyszał czegoś takiego. Opadł z powrotem na oparcie fotela i spojrzał na sufit. — Niech pomyślę… Tak… Jak ci zapewne wiadomo, nie mamy żadnych oddziałów w Europie Wschodniej, ale w naszym londyńskim biurze pracuje ktoś, kto specjalizuje się w tym regionie. Nazywa się John Lindquist. Moglibyśmy poznać was ze sobą, jeśli sądzisz, że to wpłynie na zmianę twojej decyzji.

— Tak sądzę.

— Wspaniale. Zorientuję się, kiedy jest uchwytny, i zorganizuję wasze spotkanie.

Dwa tygodnie później siedziałem na pokładzie samolotu, który leciał do Londynu.

Rozdział 4
„Możemy przysłać kobietę, która ogrzeje pana w nocy”

Siedziba londyńskiego oddziału BCG mieściła się tuż nad stacją linii metra Picadilly Line przy Green Park w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair. Przedstawiłem się w recepcji i skierowałem kroki do narożnego biura Johna Lindquista, które przywodziło raczej na myśl pracownię jakiegoś roztargnionego profesora, gdyż wszędzie piętrzyły się stosy książek i dokumentów.

Gdy tylko zobaczyłem Johna, natychmiast dostrzegłem w nim coś nietypowego. W garniturze z Savile Row, krawacie od Hermèsa i okularach w rogowej oprawie wyglądał jak ulepszona wersja Chipa lub Winthropa, ale miał w sobie również nieporadność typową dla naukowców. W przeciwieństwie do swoich młodszych odpowiedników z JP Morgan mówił niemal szeptem i unikał patrzenia prosto w oczy.

— Ludzie z Chicago powiedzieli mi, że chcesz pracować w Europie Wschodniej, tak? — zagadnął, gdy rozsiadłem się w jego biurze. — Nigdy nie spotkałem w BCG nikogo, kto chciałby tam pracować.

— Możesz mi wierzyć albo nie, ale właśnie to chcę robić.

— Dlaczego?

Opowiedziałem mu o moim dziadku; o tym, jak mieszkał w Moskwie, a potem wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie kandydował na prezydenta i został twarzą amerykańskiego komunizmu.

— Chciałbym robić coś równie interesującego jak on. Coś, co pasuje do mnie i mojego charakteru.

— Cóż, nigdy dotąd nie zatrudnialiśmy komunisty w BCG — rzekł John, puszczając do mnie oko, i wyprostował się na krześle. — W tej chwili nie prowadzimy działalności w Europie Wschodniej, ale coś ci powiem. Jeżeli przyjdziesz do nas pracować, obiecuję ci, że pierwszy interes, jaki trafi się nam na Wschodzie, będzie należał do ciebie, tak?

Szybko się zorientowałem, że John prawie każde zdanie kończy słowem „tak?”, jak gdyby to był jakiś ozdobnik.

Nie potrafiłem wyjaśnić dlaczego, ale polubiłem Johna. Bez ociągania przystałem na jego propozycję i tak oto stałem się pierwszym pracownikiem wschodnioeuropejskiej sekcji BCG.

W sierpniu 1989 roku przeprowadziłem się do Londynu i wynająłem niewielki dom w Chelsea do spółki z dwoma kolegami ze Stanfordu, których również sprowadziła tam kariera zawodowa. Z niecierpliwości skręcało mnie w żołądku, gdy w pierwszy poniedziałek

września dziarsko wkroczyłem do wagonu metra na linii Picadilly, gotów wyruszyć z BCG na podbój Europy Wschodniej.

Tylko że w Europie Wschodniej nie mieliśmy w tamtych czasach nic do roboty. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

Ale potem, 10 listopada, kiedy wraz z moimi współlokatorami siedziałem w małym salonie, oglądając telewizję, świat zadrżał pod moimi stopami. Właśnie runął mur berliński. Niemcy ze wschodniej i zachodniej strony przyszli uzbrojeni w młoty i dłuta i zaczęli go rozłupywać kawałek po kawałku. Patrzyliśmy, jak na naszych oczach tworzy się historia. Po kilku tygodniach aksamitna rewolucja ogarnęła również Czechosłowację.

Komunistyczne rządy upadały jak kostki domina i zapowiadało się, że wkrótce cała Europa Wschodnia będzie wolna. Mój dziadek był największym komunistą Ameryki, a ja, przyglądając się tym wydarzeniom, postanowiłem, że zostanę największym kapitalistą Europy Wschodniej.

Pierwszy przełom nastąpił w czerwcu 1990 roku.

— Hej, Bill — powiedział John, zaglądając do mojego biura. — To ty chciałeś pracować na Wschodzie, tak?

Pokiwałem głową.

– Świetnie — ciągnął. — Bank Światowy szuka doradców do spraw restrukturyzacji, którzy pojadą do Polski. Chcę, żebyś sporządził projekt przekształcenia tamtejszej fabryki autobusów, która upada.

— Dobrze, ale ja nigdy wcześniej nie układałem takich projektów. Co mam zrobić?

— Idź do Wolfganga. On ci wszystko powie.

Wolfgang. Wolfgang Schmidt. Już na sam dźwięk jego nazwiska dostawałem gęsiej skórki.

Wolfgang był menedżerem, który na co dzień kierował kilkoma zespołami. Powszechnie uważano go za jednego z najbardziej uciążliwych we współpracy menedżerów w londyńskim oddziale BCG. Ten trzydziestokilkuletni Austriak uwielbiał podnosić głos, zmuszał ludzi do zarywania nocy i mieszał młodych konsultantów z błotem. Nikt nie chciał z nim pracować.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli zależy mi na wyprawie do Polski, będę musiał pomęczyć się z Wolfgangiem. Nigdy nie byłem w jego biurze, ale wiedziałem, gdzie się znajduje. Wszyscy wiedzieli, choćby po to, żeby omijać je szerokim łukiem.

Kiedy przekroczyłem próg, moim oczom ukazał się straszliwy bałagan. Całe pomieszczenie było zawalone pudełkami po pizzy, zmiętymi papierami i stosami dokumentów. Wolfgang pochylał się zgarbiony nad wielkim segregatorem i wodził palcem po kartce papieru. Jego wilgotne od potu czoło połyskiwało w świetle lampy, a zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony. Miał na sobie drogą,

szytą na miarę koszulę, a spomiędzy rozpiętych guzików wyzierał okrągły goły brzuch.

Chrząknąłem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

— Coś ty za jeden? — Wolfgang uniósł głowę i spojrzał w moją stronę.

— Bill Browder.

— Czego chcesz? Nie widzisz, że jestem zajęty?

Przyszło mi na myśl, że powinien być raczej zajęty sprzątaniem tego chlewu, w który zamieniło się jego biuro, ale zachowałem tę refleksję dla siebie.

— Muszę ułożyć projekt restrukturyzacji polskiej fabryki autobusów. John Lindquist kazał mi przyjść z tym do ciebie.

— Chryste — burknął Austriak. — Słuchaj, Browner, na początek znajdź życiorysy naszych konsultantów, którzy mieli do czynienia z ciężarówkami, autobusami, samochodami, czymkolwiek, co według ciebie ma jakiś związek. Zbierz ich jak najwięcej.

— Dobra. Mam tu z nimi wrócić?

— Najpierw je znajdź!

Menedżer znów pochylił się nad segregatorem i wrócił do lektury.

Opuściłem zagracone biuro i udałem się do biblioteki. Przeglądając akta personalne, zdałem sobie sprawę, dlaczego BCG cieszy się na całym świecie tak doskonałą reputacją. Pracowali dla nas ludzie w każdym zakątku świata, mający doświadczenie we wszystkich dziedzinach. Zespół konsultantów z oddziału w Cleveland zrzeszał ekspertów od produkcji samochodów, grupa z Tokio opracowywała strategię zarządzania zapasami dla japońskich koncernów motoryzacyjnych, a kilku konsultantów z Los Angeles specjalizowało się w badaniach operacyjnych. Skopiowałem wszystkie potrzebne życiorysy i niezwłocznie wróciłem do Wolfganga.

— Tak szybko, Brower?

— Nazywam się Browder …

— Tak, tak. Posłuchaj, mamy jeszcze parę innych zleceń w Polsce i faceci, którzy opracowują tamte projekty, wyjaśnią ci, co masz zrobić. Ja nie mam na to czasu. A teraz, gdybyś mógł… — Wolfgang machnął dłonią w stronę drzwi, dając mi do zrozumienia, że powinienem już iść.

Znalazłem potrzebnych mi konsultantów, którzy na szczęście bardzo się ucieszyli, że mogą mi służyć pomocą. Przez następnych kilka tygodni sporządzaliśmy harmonogramy i plany oraz gromadziliśmy informacje o tym, jak wspaniałą firmą jest BCG. Kiedy skończyliśmy, projekt był tak zgrabnie dopracowany, że nie mieściło mi się w głowie, jak można by go odrzucić. Wręczyliśmy efekt naszej pracy Johnowi Lindquistowi, który przekazał go Bankowi Światowemu, i zaczęło się oczekiwanie.

Dwa miesiące później do mojego biura wszedł Wolfgang, który wyglądał zaskakująco schludnie i radośnie.

— Bill, pakuj się. Lecisz do Polski.

— Wygraliśmy?

— Oczywiście! Teraz się zacznie prawdziwa robota.

Wpadłem w euforię.

— Mam zacząć dzwonić do ekspertów, których ujęliśmy w projekcie, żeby się upewnić, czy z nami polecą?

Wolfgang zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz? Jasne, że nie. Tylko ty będziesz pracował nad tą sprawą — odparł, po czym uderzył dłonią we framugę, odwrócił się i odszedł energicznym krokiem.

Nie mogłem w to uwierzyć. Wymieniłem w projekcie tylu imponujących specjalistów, a Polacy wybrali tylko mnie? Konsultanta z zaledwie rocznym stażem, który nie miał zielonego pojęcia o autobusach ani tym wszystkim, co się z nimi wiąże. Przepełniały mnie złe przeczucia, ale zachowałem je dla siebie. To było moje wymarzone zadanie. Musiałem tylko zacisnąć zęby i przystąpić do działania.

Pod koniec października 1990 roku, blisko rok po zburzeniu muru berlińskiego, wraz z Johnem, Wolfgangiem oraz dwoma innymi pierwszorocznymi konsultantami wszedłem na pokład samolotu linii lotniczych LOT, który odleciał do Warszawy. Na miejscu powitali nas czterej przedstawiciele Banku Światowego oraz dwaj pracownicy Autosana, zagrożonej fabryki, którą mieliśmy ratować od bankructwa. Po odprawie bagażowej wsiedliśmy do autobusu marki Autosan i wyruszyliśmy w stronę Sanoka, gdzie mieściła się siedziba przedsiębiorstwa.

To była długa podróż. Warszawa wkrótce ustąpiła miejsca wiejskim terenom, które w jesiennej szacie prezentowały się malowniczo, jednak wywierały również nieco przygnębiające wrażenie. W Polsce niedawno upadł rząd komunistyczny i warunki w tym kraju okazały się cięższe, niż przypuszczałem. To było jak podróż wehikułem czasu do 1958 roku. Samochody na drogach były przestarzałe, a poboczami jeździły furmanki zaprzężone w konie. Wiejskie gospodarstwa przedstawiały obraz nędzy, a domy w miastach, gdzie królowały betonowe bloki w sowieckim stylu, popadały w ruinę. Polacy cierpieli z powodu braku żywności, nadmiernej inflacji, przerw w dostawach prądu i całej masy innych niedogodności.

A mimo to, siedząc w tym rozklekotanym autobusie z czołem przyciśniętym do szyby, myślałem: To jest właśnie to miejsce, w którym chcę pracować. Przede mną rozpościerała się szeroka droga pełna nowych możliwości.

Po sześciu godzinach dotarliśmy do Sanoka, miasta liczącego

niespełna pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, położonego wśród zalesionych wzgórz na południowym wschodzie Polski zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Ukrainą. Zajechaliśmy przed restaurację należącą do przedsiębiorstwa Autosan i weszliśmy do środka. Na nasze powitanie wydano bankiet, na którym był obecny zarząd spółki oraz delegacja Banku Światowego. Żaden z gości nie odważył się skosztować poczęstunku — ociekających tłuszczem kotletów, rozgotowanych ziemniaków i sztuk wieprzowiny ze smakowicie wyglądającą galaretką. Oprócz zapachu tego niezbyt apetycznego jedzenia w powietrzu unosiła się woń przemysłowych rozpuszczalników dobiegająca z pobliskiej fabryki. Odniosłem wrażenie, że każdy, kto nie pochodzi z Sanoka, chce się stąd jak najszybciej wydostać. Jednak dyrekcja fabryki nie zamierzała nas wypuścić, a toasty i anegdoty ciągnęły się do późnego wieczora. W końcu o 23.15, kiedy podawano kawę, przedstawiciele Banku Światowego niezgrabnie podnieśli się z krzeseł, pożegnali się i wyszli, by odjechać autobusem do Rzeszowa, najbliższego miasta dysponującego przyzwoitym hotelem.

Moi koledzy z BCG odczekali, aż bankierzy znikną z pola widzenia, po czym również wstali i opuścili salę. Ne zewnątrz Wolfgang zaczął się targować z dwoma taksówkarzami o sześciogodzinny nocny kurs do Warszawy.

Zostałem na placu boju sam jeden — dwudziestosześciolatek z dyplomem w dziedzinie zarządzania i rocznym stażem w firmie konsultingowej — aby ratować to przedsiębiorstwo od katastrofy.

Wypiłem kawę i pożegnałem się z członkami zarządu, którzy zdawali się nie pojmować, że jestem nikim w porównaniu z tymi, którzy właśnie wyszli. Następnie odprowadzono mnie do hotelu Turysta, który przez najbliższych kilka miesięcy miał być moim domem.

Hotel mieścił się w zatęchłym trzypiętrowym budynku z betonowych płyt, który od rzeki San oddzielało tylko parę ulic. Nie było w nim windy, więc musiałem wspinać się po schodach. Wąskim i słabo oświetlonym korytarzem dotarłem do swojego pokoju. W ciasnym pomieszczeniu, przypominającym raczej przedsionek aniżeli pokój, stały przysunięte do przeciwległych ścian dwie wersalki, które zajmowały prawie całą podłogę z wyjątkiem wąskiego przejścia między nimi. Nad jedną z nich stał na przyśrubowanej do ściany półce trzynastocalowy czarno-biały telewizor. Nad wciśniętym pomiędzy wersalki tandetnym stolikiem z małą lampką nocną znajdowało się niewielkie okno, za którym roztaczał się widok na pusty plac.

Odbiegało to znacznie od standardu sieci Four Seasons, ale nie zważałem na to, tak byłem podekscytowany przyjazdem do Polski.

Podniosłem słuchawkę telefonu z obrotową tarczą, aby sprawdzić,

czy działa, ale linia była połączona z recepcją, a siedząca tam starsza kobieta nie znała ani słowa po angielsku. Wyjąłem ubrania z walizki i poukładałem w szafie. W pokoju było zimno, a grzejnik nie działał, więc włożyłem kurtkę, którą zabrałem z myślą o nadchodzącej zimie. Włączyłem telewizor, który odbierał tylko trzy programy, jedyne w Polsce. Na jednym były wiadomości, na drugim piłka nożna, a na trzecim jakiś program o hodowli owiec. Zgasiłem odbiornik. Przez chwilę obracałem gałką radia tranzystorowego, które przywiozłem ze sobą, ale nie udało mi się złapać żadnej stacji, więc dałem za wygraną.

Położyłem się do łóżka i próbowałem zasnąć, ale było mi zbyt zimno. Stukałem w grzejnik i kręciłem zaworem przy podłodze, ale temperatura nie rosła. W normalnych warunkach zadzwoniłbym do recepcji, ale tutaj nic by to nie dało ze względu na barierę językową. Włożyłem na siebie jeszcze jedną warstwę ubrania i ściągnąłem z wolnego łóżka narzutę, którą dodatkowo się okryłem, ale nawet to nie pomogło, chociaż wciąż miałem na sobie kurtkę. Całą noc przewracałem się z boku na bok i prawie nie zmrużyłem oka. Kiedy zaczęło świtać, poszedłem do łazienki w nadziei, że chociaż pod prysznicem się ogrzeję. Długo stałem i czekałem na strumień gorącej wody, ale wciąż ciekła zaledwie letnia.

Zrezygnowałem z kąpieli, ubrałem się i zszedłem na dół do małej hotelowej restauracji, gdzie miałem po raz pierwszy spotkać się z moim tłumaczem. Gdy tylko przestąpiłem próg sali, szczupły mężczyzna w źle dopasowanym szarym garniturze z syntetycznego materiału wyprężył się jak struna. Wsunął pod pachę zwiniętą gazetę i podał mi rękę na powitanie.

— Pan William?

— Tak — odparłem, ściskając jego dłoń. — To ja.

— Cześć. Nazywam się Leszek Sikorski — oznajmił z entuzjazmem.

Leszek był kilka lat starszy i nieco wyższy ode mnie, miał jasnobrązowe włosy, zielone oczy i nosił schludnie przystrzyżoną brodę. W innych okolicznościach mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie fatalny strój i krzywe zęby.

— Siadaj, proszę. — Leszek wskazał na krzesło i zapytał, niemal wykrzykując ostatnie słowo: — Jak się spało?

— Właściwie to zmarzłem. Ogrzewanie w pokoju nie działa.

— Tak. Włączają je dopiero z początkiem zimy! — wyjaśnił, znów podnosząc głos na końcu zdania. Mówił po angielsku tak nienaturalnie, że byłem pewien, iż uczył się tego języka z taśm Berlitza.

Podeszła do nas kelnerka i kiedy nalewała mi herbatę, Leszek odezwał się do niej po polsku.

— Co jej powiedziałeś? — zapytałem, gdy kobieta odeszła.

– Żeby ci przyniosła śniadanie.

— Czy mają tu menu?

— Nie, nie. Śniadanie jest tylko jedno.

Kilka minut później na stół wjechały rozgotowane parówki i jakiś dziwny polski ser topiony. Byłem tak głodny, że łapczywie pochłonąłem to wszystko.

Leszek wytrwale konsumował swoją porcję, nie okazując ani zachwytu, ani obrzydzenia. W trakcie posiłku zagadnął z ustami pełnymi jedzenia:

— Jesteś z Londynu, tak?

— Owszem.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— To poproszę cię o przysługę — rzekł i ściszył głos do szeptu. — Mógłbyś mnie poznać z Samanthą Fox?

Samantha Fox była obdarzoną obfitym biustem angielską piosenkarką, która zaczynała swoją karierę od zdjęć topless publikowanych na trzeciej stronie dziennika „Sun".

— Obawiam się, że nie — odparłem rozbawiony. — Nie znam jej.

Mój tłumacz odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Powinieneś — upierał się. — Przecież jesteś z Londynu.

— Chętnie bym ci pomógł, ale w Londynie mieszka siedem milionów ludzi.

Nie chciałem być nieuprzejmy, ale sytuacja wydała mi się absurdalna. Jak miałem postawić na nogi bankrutującą spółkę, kiedy jedynym ogniwem łączącym mnie ze światem dookoła był ten dziwny facet mający bzika na punkcie angielskiej modelki topless?

Po śniadaniu obaj wyszliśmy z hotelu i wcisnęliśmy się do maleńkiego czerwonego polskiego fiata, który fabryka autobusów przydzieliła mi na okres pobytu. Musiałem podjąć kilka prób, zanim silnik zakasłał i ożył. Leszek, uśmiechając się, wskazywał mi drogę do siedziby Autosana, która mieściła się w stojącym nieopodal rzeki białym sześciopiętrowym budynku z betonowych płyt. Zaparkowałem samochód i weszliśmy do środka. W holu poczułem tę samą nieprzyjemną woń rozpuszczalnika, która przykuła moją uwagę zeszłego wieczoru podczas kolacji. Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro i udaliśmy się do gabinetu dyrektora naczelnego. Dyrektor stał na progu niczym barykada, zasłaniając prawie całe drzwi rozłożystymi ramionami, a jego gęste wąsy nie mogły ukryć promiennego uśmiechu. Wyglądał na dwa razy starszego ode mnie i pracował w Autosanie od początku swojej kariery. Wyciągnął do mnie wielką dłoń robotnika o grubych palcach, a gdy podałem mu swoją, ścisnął ją tak mocno, że miałem wrażenie, jakbym został wciągnięty przez wyżymaczkę.

Dyrektor wpuścił nas do gabinetu i zaczął szybko mówić po polsku.

— Witamy w Sanoku. — Leszek tłumaczył, mówiąc równocześnie z nim. — On pyta, czy chciałbyś się napić brandy, aby uczcić twój przyjazd.

— Nie, dziękuję — odparłem z zakłopotaniem. Nie byłem pewien, czy nie popełniam jakiegoś nietaktu, odmawiając picia mocnego alkoholu z samego rana.

Potem dyrektor naczelny wygłosił mowę, w której po raz kolejny zaznaczył, że bardzo się cieszy z mojego przybycia. Wyjaśnił, że Autosan jest głównym zakładem pracy w Sanoku. Jeżeli upadnie, katastrofa czeka również miasto. Zarówno dyrekcja, jak i cała załoga Autosana spodziewała się, że BCG — czyli na dobrą sprawę ja — uchroni całe przedsiębiorstwo przed bankructwem. Potakująco kiwałem głową z wyrazem powagi na twarzy, starając się robić wrażenie pewnego siebie, ale zakres mojej odpowiedzialności napawał mnie przerażeniem.

Zakończywszy swą krótką przemowę, dyrektor dodał:

— Panie Browder, zanim przystąpi pan do pracy, muszę zapytać, czy mogę zrobić coś, co umili panu pobyt w Sanoku?

Zaraz po wejściu do gabinetu poczułem, że jest w nim bardzo ciepło, co zwróciło moją uwagę zwłaszcza po nieprzespanej nocy w lodowatym pokoju. Zobaczyłem stojący w kącie grzejnik elektryczny, z którego wydobywała się kojąca pomarańczowa poświata. Spoglądając w jego stronę, zapytałem niepewnie:

— Myśli pan, że mógłbym dostać taki grzejnik do swojego pokoju?

Po chwili, gdy Leszek przetłumaczył moje słowa, twarz dyrektora rozjaśnił uśmiech, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

— Panie Browder, możemy zrobić dużo więcej — oznajmił, mrugając porozumiewawczo. — Możemy przysłać kobietę, która ogrzeje pana w nocy.

— Nie, dziękuję — wyjąkałem z zażenowaniem, spuszczając wzrok. — Grzejnik w zupełności wystarczy.

Bezzwłocznie zabrałem się do pracy, a pierwszy tydzień spędzony w Polsce był największym szokiem kulturowym, jakiego doświadczyłem w całym swoim życiu. W Sanoku wszystko — zapachy, język, zwyczaje — było inne. Ale największym problemem okazało się dla mnie jedzenie. Jedynym dostępnym mięsem była wieprzowina, którą spotykało się na każdym kroku. Parówki na śniadanie, kanapki z szynką na lunch, kotlety na obiad — i tak codziennie. Nie było owoców ani warzyw. Kurczak uchodził za wyjątkowy przysmak. A co najgorsze, każda potrawa pływała w tłuszczu, jak gdyby to była jakaś magiczna przyprawa, która wszystko czyni smaczniejszym, choć było

wręcz odwrotnie.

W piąty dzień zacząłem przymierać głodem. Musiałem coś zrobić, więc postanowiłem pojechać do Warszawy, zameldować się w Marriotcie i zjeść coś przyzwoitego. Po przybyciu na miejsce zostawiłem bagaż w pokoju i od razu udałem się do restauracji. Nigdy wcześniej nie czułem się tak szczęśliwy, stojąc przy hotelowym bufecie. Nałożyłem sobie na talerz pełno sałatki, smażonego kurczaka, pieczeni wołowej, sera i kawałków bagietki, po czym rzuciłem się na jedzenie jak opętany. Potem jeszcze dwa razy wracałem po dokładkę. Gdy już byłem gotów wybrać sobie coś na deser, mój żołądek zaczął się buntować i wiedziałem, że jeśli natychmiast nie pognam do toalety, znajdę się w tarapatach.

W pośpiechu skierowałem kroki w stronę męskiej ubikacji, ale gdy szedłem przez hol, niespodziewanie natknąłem się na Wolfganga Schmidta.

— Browner! Co ty, do cholery, robisz w Warszawie? — zapytał Austriak.

Byłem tak zaskoczony jego widokiem, że nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

— Ja… właśnie pomyślałem, że skoro jest piątkowy wieczór…

— Piątkowy wieczór? — warknął. — Żartujesz sobie? Zabieraj dupsko z powrotem do Sanuka…

— Sanoka — poprawiłem go, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

— Jeden chuj. Masz tam wracać i integrować się z klientem podczas weekendu. Tak się robi w tej branży.

Ciśnienie w moim żołądku rosło w takim tempie, że słowa Wolfganga ledwie do mnie docierały.

— W porządku, wrócę. Przepraszam. Naprawdę, bardzo przepraszam.

Łazienka była tuż-tuż, a czas płynął nieubłaganie.

— W porządku, Browner — odparł Wolfgang, a gdy nareszcie zszedł mi z drogi, ruszyłem biegiem do toalety.

To przypadkowe spotkanie tak mnie onieśmieliło, że nie zdobyłem się już nigdy więcej na odwagę, by pojechać do Warszawy. Zamiast tego w weekendy krążyłem swoim małym fiatem po okolicy w poszukiwaniu jedzenia. Zatrzymywałem się w małych restauracjach, a ponieważ nie znałem ani słowa po polsku, wybierałem na chybił trafił trzy albo cztery potrawy z karty, licząc, że choć jedna okaże się jadalna. Modliłem się o kurczaka i czasami go dostawałem. Mogłem sobie na to pozwolić, gdyż kurs polskiego złotego był tak niski, że cena każdego dania stanowiła równowartość czterdziestu pięciu centów. Przyjemnie było wyrwać się z Sanoka, ale dokądkolwiek bym pojechał, wszędzie natrafiałem na tak samo paskudne jedzenie. W

ciągu dwóch miesięcy pobytu w Polsce schudłem prawie siedem kilo.

Problemy z żywnością stanowiły tylko jeden z przejawów ciężkiej sytuacji w Polsce. Autosan był kompletnym wrakiem i czekała go nieuchronna katastrofa. Po gospodarczej terapii szokowej, jaką przyniósł upadek komunizmu, polski rząd wycofał wszystkie zamówienia na autobusy z Sanoka. W rezultacie spółka straciła 90 procent sprzedaży i musiała znaleźć zupełnie nowy rynek zbytu albo przeprowadzić drastyczne cięcie kosztów.

Znalezienie nowych klientów graniczyło z niemożliwością, gdyż w owym czasie autobusy, które produkował Autosan, należały do najgorszych na świecie. Jedynym rozsądnym sposobem na uniknięcie bankructwa było zwolnienie dużej liczby pracowników. Zważywszy na fakt, że taka decyzja zaważyłaby na losach całego miasta, którego mieszkańcom fabryka dawała zatrudnienie, było to najmniej upragnione rozwiązanie, a ja nie miałem najmniejszej ochoty go proponować. Cała ta sytuacja wychodziła mi już bokiem, a romantyczne wyobrażenia o pracy w Europie Wschodniej szybko zaczynały blaknąć. Nie chciałem wyrządzić krzywdy tym ludziom.

Trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, gdy moje obawy jeszcze bardziej przybrały na sile, zasiadłem z Leszkiem do śniadania, które stało się codziennym rytuałem. Odkryłem, że od niedorzecznych rozmów w stylu tamtej o Samancie Fox najlepiej uchroni mnie milczenie, które Leszek potrafił uszanować. Pomimo niefortunnych początków przekonałem się, że to szczery i uczynny facet. Przez dwa miesiące spędzaliśmy razem każdy dzień i zaczynałem czuć do niego sympatię. Było mi przykro, że to on będzie musiał przetłumaczyć zarządowi Autosana moje przygnębiające zalecenia, a poza tym wiedziałem, że będzie mi go brakowało, gdy wreszcie wyjadę z Sanoka.

Tego ranka, dziobiąc widelcem wieprzową parówkę, zerknąłem nad stolikiem na gazetę Leszka. Z początku myślałem, że mój tłumacz studiuje dział ogłoszeń, ale potem przyjrzałem się dokładnie. W małych rubryczkach widniały liczby — dane finansowe — a otaczały je słowa, których znaczenia nie rozumiałem.

— Co to jest? — zapytałem, pochylając się nad gazetą.

— To pierwsze prywatyzacje w Polsce — wyjaśnił Leszek z dumą.

Słyszałem, że Polacy prywatyzują należące wcześniej do państwa spółki, ale byłem tak pochłonięty problemami Autosana, że w ogóle nie zwracałem na to uwagi.

— To interesujące… Co to za liczba? — zapytałem, wskazując rubrykę na górze strony.

— To jest kurs giełdowy akcji.

— A ta?

— To jest dochód spółki z ubiegłego roku.

— A to tutaj?

— To jest liczba akcji oferowanych do sprzedaży.

Szybko przeprowadziłem w myślach kilka obliczeń. Spółka, której wartość na podstawie kursu akcji wynosiła 80 milionów dolarów, w zeszłym roku zarobiła 160 milionów. Oznaczało to, że polski rząd sprzedawał tę spółkę za połowę jej zeszłorocznego dochodu. Ujmując rzecz prościej, wystarczyło zainwestować w tę spółkę i utrzymać się na rynku przez pół roku, żeby odzyskać swój wkład.

Jeszcze raz wypytałem dokładnie o wszystko, aby się upewnić, że niczego nie przeoczyłem. Wszystko się zgadzało. To było niesłychanie interesujące. Poddaliśmy takim samym kalkulacjom kilka innych przedsiębiorstw opisanych w gazecie i wyniki okazały się zbliżone.

Nigdy w życiu nie kupowałem akcji, ale wieczorem, leżąc w łóżku, nie mogłem przestać myśleć o prywatyzacji polskich spółek. *Muszę to zrobić. Czyż nie po to właśnie poszedłem do szkoły biznesu*?

Cały mój majątek wynosił wówczas dwa tysiące dolarów. Zadzwoniłem do Johna Lindquista, by się upewnić, że żadna klauzula nie zabrania mi kupowania akcji, a następnie postanowiłem zainwestować wszystkie swoje pieniądze. Poprosiłem Leszka o pomoc. W czasie przerwy na lunch poszliśmy do lokalnego banku, gdzie zamieniłem pieniądze na złotówki, a potem udaliśmy się na pocztę, żeby wypełnić formularze rejestracyjne. Była to tak skomplikowana operacja, że Leszek musiał cztery razy podchodzić do okienka i dopytywać, co mam wpisać w poszczególne rubryki. W końcu jednak mi się udało i tak oto wziąłem udział w pierwszej prywatyzacji w Europie Wschodniej.

W połowie grudnia wróciłem do Londynu, aby przygotować ostateczne zalecenia dla Autosana i Banku Światowego, które mieliśmy przedstawić po świętach. Szarpałem się w rozterce. Z mojej analizy wynikało, że chcąc się utrzymać na rynku, spółka musi zwolnić znaczną część swojej załogi. Jednak spędziłem z tymi ludźmi sporo czasu i zdawałem sobie sprawę, że masowe zwolnienia będą dla nich silnym ciosem. Nie miałem pojęcia, jak niektórym z nich uda się przeżyć. Pomyślałem o Leszku oraz jego licznej rodzinie i przed oczyma stanęły mi trudności, które już i tak musieli znosić. Miałem zalecić spółce redukcję etatów, ale chciałem jakoś złagodzić ten cios. Koncepcję zwolnień postanowiłem przedstawić w naszym projekcie jako jedną z „opcji strategicznych", wciąż łudząc się nadzieją, że polski rząd rozważy drugą opcję, czyli dofinansowanie Autosana.

Jednak gdy Wolfgang zobaczył „złagodzony" efekt mojej pracy, wpadł w furię.

— Co to za gówno?

— To są ich możliwości wyboru.

— Czyś ty zgłupiał, Browder? Oni nie mają żadnego wyboru.

Muszą wszystkich zwolnić.

Wolfgang okazał się skończonym draniem, ale przynajmniej zaczął poprawnie wymawiać moje nazwisko. Kazał mi usunąć wszystkie opcje strategiczne, a następnie przekazać projekt innemu konsultantowi do analizy. BCG miała zalecić Autosanowi zwolnienie większości załogi.

Po powrocie do Sanoka Wolfgang nalegał, abym to ja zaprezentował nasze wnioski. W największej sali konferencyjnej Autosana zasiadły delegacje BCG i Banku Światowego oraz cały zarząd spółki. Zgaszono światło i uruchomiłem projektor, w którym czekały przygotowane slajdy. Pierwszy z nich przedstawiał ogólny poziom redukcji personelu. Dały się słyszeć dobiegające z sali głośne westchnienia. Następnie opisałem nasze zalecenia. Leszek nerwowo tłumaczył zdanie po zdaniu. Z każdym kolejnym slajdem oszołomienie zebranych słabło, ustępując miejsca narastającemu wzburzeniu. Ludzie zaczęli na każdym kroku podważać moje słowa. Przedstawiciele Banku Światowego zerkali na Johna i Wolfganga w nadziei, że uda im się opanować sytuację, oni jednak milczeli, unikając wzroku swoich klientów. Gdy skończyłem, przeszywały mnie pełne wściekłości spojrzenia. Tylko dyrektor naczelny zachował spokój, a w jego oczach malował się wyraz głębokiego rozczarowania.

Miałem być rycerzem w lśniącej zbroi niosącym ocalenie zagrożonej fabryce, tymczasem okazałem się zdrajcą. Przepełniała mnie mieszanina gniewu, zwątpienia i upokorzenia. Może jednak Europa Wschodnia nie była odpowiednim miejscem dla mnie.

Opuszczając Polskę, jedno wiedziałem na pewno — nie chciałem już więcej mieć nic wspólnego z doradztwem.

Przez kilka kolejnych miesięcy rozmyślałem wiele o Autosanie, zastanawiając się, czy w którymś momencie mogłem postąpić inaczej. Nawiązanie kontaktu z tymi ludźmi było prawie niemożliwe, ale później dotarło do mnie, że polski rząd całkowicie zignorował rady BCG i nadal dofinansowywał fabrykę autobusów. Zazwyczaj konsultanci mają nadzieję, że ich zalecenia zostaną wypełnione, jednak w tym wypadku byłem szczęśliwy, że stało się odwrotnie.

Z Polską łączyły mnie już tylko moje akcje, których kurs regularnie sprawdzałem. Ich wartość wciąż rosła i z każdym punktem procentowym utwierdzałem się w przekonaniu, że odnalazłem swoje powołanie. Tym, co tak naprawdę chciałem robić, było inwestowanie w prywatyzujące się spółki Europy Wschodniej.

Jak się okazało, nie mogłem lepiej trafić. W ciągu następnego roku dwukrotnie obserwowałem, jak mój kapitał się podwaja. Ostatecznie wartość moich lokat wzrosła prawie dziesięć razy. Dla niewtajemniczonych, takie dziesięciokrotne przebicie dostarczało wrażeń będących finansowym odpowiednikiem palenia kraku. Gdy raz

spróbujesz, ciągle masz ochotę na więcej i nie potrafisz przestać.

Rozdział 5
Czech bez pokrycia

Teraz wiedziałem już dokładnie, czym chcę się zajmować w życiu — była to jednak dziedzina, która jeszcze nie istniała. Chociaż zniesiono żelazną kurtynę, nikt nie chciał inwestować pieniędzy w Europie Wschodniej. Wiedziałem, że to w końcu się zmieni, jednak póki co najlepszym wyjściem dla mnie było kontynuowanie pracy w BCG — zakładając, że po klęsce w Sanoku pozwolą mi zostać.

Po powrocie z Polski starałem się nie rzucać nikomu w oczy, licząc, że Wolfgang nie przedłożył sugestii, by mnie zwolniono. Musiał jednak o mnie zapomnieć albo miał za dużo na głowie, bo nikt nie przyszedł do mojego biura z wymówieniem. Dopiero pod koniec stycznia 1991 roku, kiedy John Lindquist zaproponował mi, abym razem z nim napisał artykuł, przekonałem się, że nic mi nie grozi. Gdyby chcieli się mnie pozbyć, jeden z ważniejszych ludzi w firmie nie zapraszałby mnie do współpracy.

Artykuł miał dotyczyć inwestycji w Europie Wschodniej i John zamierzał go polecić miesięcznikowi finansowemu „Mergers & Acquisitions Europe". Zapoznałem się z tym czasopismem i zauważyłem, że ma bardzo niski nakład, ale niewiele mnie to obeszło. Byłem gotów wykorzystać każdą możliwość, która pozwoli mi stać się ekspertem od inwestycji w tamtym regionie.

Przygotowując się do napisania artykułu, studiowałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Przeczytałem ponad dwieście artykułów prasowych i szybko odkryłem, że w ciągu ostatniej dekady przeprowadzono w krajach byłego bloku sowieckiego mniej niż dwadzieścia transakcji. Najbardziej aktywnym inwestorem był Robert Maxwell, urodzony w Czechosłowacji ekscentryczny brytyjski miliarder, który stał za trzema spośród nich.

Pomyślałem, że zaimponuję Johnowi, jeśli zdołam przeprowadzić wywiad z jakimś przedstawicielem imperium Maxwella, zadzwoniłem więc do ich biura prasowego i wspomniałem o moim artykule. Musieli się liczyć z „M&A Europe", gdyż ku mojemu zaskoczeniu zaproponowano mi spotkanie z wiceprezesem Maxwell Communication Corporation, Jeanem-Pierre'em Anselminim.

Tydzień później zjawiłem się w Maxwell House, nowoczesnym gmachu przy New Fetter Lane wznoszącym się w pół drogi między Fleet Street a Holborn Circus. Anselmini, władający angielskim uprzejmy Francuz przed sześćdziesiątką, powitał mnie i zaprosił do obitego pluszem gabinetu.

Podczas błahej pogawędki, od której zaczęliśmy spotkanie,

starannie rozłożyłem przed sobą moje notatki. Kiedy jednak przeszedłem do pierwszego pytania, gospodarz wskazał na jedną z kartek.

— Co to jest?

— To lista inwestycji w Europie Wschodniej — odparłem zadowolony, że tak dobrze się przygotowałem.

— Mogę rzucić okiem?

— Oczywiście.

Podsunąłem mu listę. Anselmini obejrzał ją uważnie i spiął się.

— Panie Browder, który dziennikarz przystępuje do wywiadu z wykazem fuzji i przejęć? — zapytał. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę być przygotowany do tego spotkania aż nazbyt dobrze. — Proszę mi opowiedzieć coś więcej o magazynie, dla którego pan pracuje.

— No cóż, ja… właściwie nie jestem z prasy. Pracuję w Boston Consulting Group, a ten artykuł piszę na własną rękę, bo fascynują mnie inwestycje w Europie Wschodniej.

Francuz rozparł się w fotelu i marszcząc brwi, spojrzał na mnie z uwagą.

— Czemu pan interesuje się tak Europą Wschodnią?

Opowiedziałem mu o ekscytujących przeżyciach, których dostarczyły mi akcje polskich spółek, o Autosanie i moich aspiracjach zawodowych dotyczących inwestycji w krajach bloku wschodniego.

Kiedy stało się jasne, że nie jestem szpiegiem, któremu zależy na poufnych informacjach o Maxwellu lub jego firmie, Anselmini zaczął się rozluźniać.

— Pańska dzisiejsza wizyta może faktycznie być ciekawym zbiegiem okoliczności — rzekł, pocierając podbródek. — Jesteśmy w trakcie zakładania funduszu inwestycyjnego o nazwie Maxwell Central and East European Partnership. Zaintrygowało mnie, że jest pan akurat takim typem człowieka, jakiego właśnie chcielibyśmy zatrudnić. Byłby pan zainteresowany?

Oczywiście byłem. Starałem się ukryć entuzjazm, ale bezskutecznie, i wychodząc ze spotkania, miałem w kalendarzu termin rozmowy kwalifikacyjnej.

Aby się do niej przygotować, poświęciłem następne dwa tygodnie na poszukiwanie ludzi, którzy mogli mi powiedzieć, jak się pracuje dla Roberta Maxwella. Maxwell był właścicielem „Daily Mirror” i uchodził nie tylko za ekscentryka, lecz również za człowieka władczego i drażliwego, z którym nie dało się wytrzymać, toteż miałem swoje obawy.

Odnalazłem byłą konsultantkę BCG, Sylvię Green, która kiedyś pracowała dla niego. Zadzwoniłem do niej i poprosiłem o radę.

— Posłuchaj, Bill — odparła po długiej chwili milczenia. —

Wybacz, że ujmę to dosadnie, ale według mnie byłbyś kompletnym wariatem, idąc do Maxwella.

— Dlaczego?

— Robert Maxwell to potwór. Ciągle wywala ludzi z pracy — mówiła Sylvia tonem pełnym emocji i przyszło mi na myśl, że chyba sama należała do osób, które zostały zwolnione.

— To niezbyt pokrzepiające.

Sylvia znów zamilkła.

— No, niezbyt — odezwała się w końcu. — Można by wiele opowiadać, ale krąży pewna historia, która jest szczególnie dramatyczna. Z pół roku temu Maxwell wracał z Tampy na Florydzie. Jego prywatny odrzutowiec już kołował na pas startowy, a on poprosił o pióro, żeby podpisać jakieś dokumenty. Gdy zamiast pióra Montblanc, którego zwykle używał, asystentka wręczyła mu zwykły długopis, wpadł w furię. Zapytał, jak może być tak głupia, by nie mieć pod ręką właściwego pióra, a gdy nie potrafiła udzielić zadowalającej odpowiedzi, natychmiast ją zwolnił. Wysadzono ją dosłownie na płycie lotniska. Ta biedna dziewczyna musiała wracać do Londynu na własną rękę.

Znalazłem jeszcze troje byłych pracowników Maxwella i usłyszałem kolejne trzy równie barwne i przerażające anegdoty, które łączył taki sam finał — wszyscy wylatywali z pracy.

— Prawdopodobieństwo, że wytrzymasz tam rok, jest równe zeru, Bill — poinformował mnie pewien zaprzyjaźniony bankier z Goldman Sachs.

Starannie przemyślałem wszystkie te opowieści, ale żadna z nich nie zdołała mnie odstraszyć. No i co z tego, że zostanę zwolniony? Miałem dyplom Stanfordu w dziedzinie zarządzania i staż w BCG. Gdyby zaszła potrzeba, na pewno znalazłbym inną pracę.

Odbyłem rozmowę kwalifikacyjną, potem dwie następne. Kilka dni później zaproponowano mi stanowisko.

Mimo wszystkich ostrzeżeń przyjąłem propozycję.

W marcu 1991 roku zacząłem nową pracę. Dzięki wyższym zarobkom mogłem zamieszkać samodzielnie i przeprowadziłem się do sympatycznego domu w Hampstead. Z domu wąską uliczką szedłem na stację metra, którym dojeżdżałem do Chancery Lane, a stamtąd miałem już niedaleko do Maxwell House. Robert Maxwell kupił ten budynek po części dlatego, że był on jednym z zaledwie dwóch w całym Londynie, które miały na dachu lądowisko dla helikopterów. Dzięki temu drogę do biura ze swej rezydencji Headington Hill Hall w Oksfordzie Maxwell mógł pokonywać w powietrzu, unikając korków.

Przybycie szefa w takim stylu wydawało mi się szczególnie imponujące, dopóki pierwszy raz nie doświadczyłem go osobiście. Był ciepły wiosenny dzień, gdy zza otwartych okien dobiegł odgłos

nadlatującego helikoptera. Stopniowo przybierał na sile, w miarę jak maszyna się zbliżała. Kiedy śmigłowiec zawisł nad budynkiem, po całym biurze zaczęły latać papiery, a z powodu hałasu trzeba było przerwać wszystkie rozmowy telefoniczne. Sytuacja wróciła do normy, dopiero gdy helikopter wylądował i łopaty wirnika przestały się obracać. Cała ta gehenna trwała cztery minuty.

Pierwszego dnia powiedziano mi, że mogę odebrać od sekretarki Maxwella kopię swojej umowy. Udałem się na dziewiąte piętro i czekałem w holu na swoją kolej. Właśnie czytałem sprawozdania roczne, gdy do sekretariatu wpadł sam Maxwell. Miał czerwoną twarz, a na jego koszuli ciemniały pod pachami okrągłe plamy potu.

— Czemu jeszcze nie połączyłaś mnie z sir Johnem Morganem?! — wrzasnął na swoją asystentkę, opanowaną jasnowłosą kobietę w ciemnej spódnicy, która nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani dotkniętą jego wybuchem.

— Nie powiedział pan, szefie, że chce pan z nim rozmawiać — odparła spokojnie, spoglądając na niego ponad szkłami okularów.

— Słuchaj, kobieto, nie mam czasu o wszystkim ci mówić — warknął Maxwell. — Albo się nauczysz wykazywać inicjatywą, albo nasze drogi się rozejdą.

Skuliłem się w fotelu, nie chcąc rzucać się w oczy, ale Maxwell zniknął z powrotem w swoim gabinecie równie szybko, jak się pojawił. Sekretarka dokończyła, co miała do zrobienia, i patrząc na mnie porozumiewawczo, wręczyła mi kopertę. Zabrałem ją i wróciłem na siódme piętro.

Tego samego dnia wspomniałem o tym incydencie jednej z sekretarek.

— To jeszcze nic — obruszyła się kobieta. — Kilka tygodni temu tak się na kogoś wydzierał, że biedny facet dostał zawału.

Wracając do biurka, nagle poczułem, że umowa zaczyna ciążyć mi w rękach. Wieczorem, gdy tylko z góry dobiegł odgłos helikoptera zwiastujący odlot Maxwella, przez całe piętro przetoczyła się fala gromkich owacji, która zdawała się wyrażać to, co myśleli o nim wszyscy pracownicy. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czy aby nie popełniłem błędu, zatrudniając się tutaj.

W poniedziałek, na początku drugiego tygodnia w nowej pracy, zastałem w swoim pokoju jasnowłosego Anglika, na oko starszego ode mnie o kilka lat, który siedział przy sąsiednim biurku.

— Cześć, jestem George. George Ireland — rzekł, podniósłszy się z krzesła, i podał mi rękę. — Będziemy razem pracować w tym biurze.

Mówił z akcentem wyższych sfer i wyraźnie wypowiadał każde słowo, więc z początku pomyślałem, że się zgrywa. Miał na sobie ciemny trzyczęściowy garnitur, na blacie jego biurka spoczywał numer „Daily Telegraph”, a czarny, ciasno zwinięty parasol stał oparty o

szafkę na dokumenty. Odniosłem wrażenie, jakbym miał przed sobą karykaturę typowego angielskiego dżentelmena.

Później dowiedziałem się, że kiedyś George pracował jako osobisty sekretarz Maxwella, lecz w przeciwieństwie do swoich poprzedników sam zrezygnował, zanim został zwolniony. Ponieważ przyjaźnił się od dzieciństwa z synem Maxwella, Kevinem, z którym studiował w Oksfordzie, znaleziono dla niego inną posadę. Przy całym poniżeniu, na jakie Maxwell narażał swój personel, cechowało go osobliwe i dobrze rozwinięte poczucie rodzinnej lojalności, które obejmowało także George'a.

Jednak odkąd go poznałem, stałem się podejrzliwy. Czy George zamierzał meldować szefowi o wszystkim, co powiem?

— Bill, widziałeś gdzieś Eugene'a? — zagadnął mnie George kilka minut później, gdy po zapoznawczej wymianie zdań zasiedliśmy przy swoich biurkach.

Eugene Katz był referentem finansowym i zajmował jedno z sąsiednich biur.

— Nie — odparłem bez namysłu. — Słyszałem, że Maxwell wysłał go, żeby przeprowadził badanie przedinwestycyjne jakiejś spółki w Stanach.

Na twarzy George'a pojawił się kpiący uśmieszek.

— Badanie przedinwestycyjne! — powtórzył sceptycznym tonem. — W życiu nie słyszałem nic zabawniejszego. Eugene nie ma pojęcia o spółkach i równie dobrze mógłbyś wysłać pierwszego lepszego sklepikarza, żeby przeprowadził to badanie przedinwestycyjne — rzekł, akcentując ostatnie dwa słowa dla większego efektu.

W trakcie pierwszego dnia wspólnej pracy George starannie zabiegał, abym nikogo w całej firmie nie darzył respektem. Był tak wyczulony na przejawy absurdu i hipokryzji, a przy tym miał tak cięty dowcip, że z trudem powstrzymywałem śmiech, ilekroć wspominał o którymś z głównych zastępców Maxwella.

Przy okazji mogłem się przekonać, że George nie jest nasłanym na mnie szpiclem.

Z jego komentarzy dało się wywnioskować, że Maxwell swoją spółką zarządza raczej jak małym narożnym sklepikiem, a nie międzynarodową korporacją. Powszechnym zjawiskiem był nepotyzm, a na każdym kroku coś szwankowało i podejmowano błędne decyzje. Mimo to wciąż byłem przekonany, że znalazłem najlepszą pracę pod słońcem. Spełniałem swoje marzenie o inwestycjach w Europie Wschodniej. Maxwell był jedynym inwestorem działającym w tym regionie i jeżeli ktoś chciał zdobyć kapitał, musiał przyjść do nas. Ponieważ moje zadanie polegało na weryfikacji wszystkich umów, w efekcie byłem odpowiedzialny za każdą transakcję finansową

zawieraną w tej części świata. I to w wieku zaledwie dwudziestu siedmiu lat.

Do jesieni 1991 roku zdążyłem prześwietlić ponad trzysta kontraktów. Odwiedziłem prawie wszystkie kraje byłego bloku wschodniego i czuwałem nad trzema ważnymi inwestycjami, jakich dokonywał nasz fundusz. Robiłem dokładnie to, co chciałem robić.

Ale potem, gdy 5 listopada po powrocie z lunchu włączyłem komputer, zobaczyłem na monitorze czerwony nagłówek Reutera, który głosił: „Maxwell zaginął na morzu". Zachichotałem i obróciłem się na fotelu w stronę George'a, który słynął z takich dowcipów, doszedłem więc do wniosku, że właśnie padłem ofiarą jednego z nich.

— Jak to zrobiłeś?

— O czym ty mówisz? — zapytał George, nie odrywając wzroku od swojej pracy.

— O tym nagłówku Reutera. Wygląda całkiem autentycznie.

— Co ty tam widzisz?

George podjechał na fotelu do mojego biurka i obaj wlepiliśmy wzrok w monitor.

— Ja… — zaczął powoli i wtedy zdałem sobie sprawę, że to nie jest żaden dowcip.

Nasze małe biuro miało przeszklone ściany i dostrzegłem Eugene'a, który blady niczym upiór pędził w stronę windy. Potem korytarzem przebiegło kilku wyższych rangą dyrektorów, których twarze wyrażały podobną panikę. Robert Maxwell rzeczywiście zaginął na morzu. To była straszna wiadomość. Mógł uchodzić za skończonego drania, ale był także niekwestionowanym przywódcą firmy i teraz, cokolwiek miało to zmienić, właśnie go zabrakło.

Nikt w biurze nie miał pojęcia o tym, co się stało, więc George i ja siedzieliśmy wpatrzeni w monitor. Era Internetu miała dopiero nadejść i dostęp do najświeższych wiadomości zapewniał nam wówczas tylko kanał Reutera. Sześć godzin po ogłoszeniu pierwszego komunikatu dowiedzieliśmy się, że helikopter ratunkowy hiszpańskiej marynarki wyłowił ogromne ciało Maxwella z Atlantyku w pobliżu Wysp Kanaryjskich. Miał sześćdziesiąt osiem lat. Do dziś nie wiadomo, czy był to wypadek, samobójstwo czy morderstwo.

Dzień po śmierci Maxwella cena akcji MCC poleciała w dół. Można było się tego spodziewać, ale sprawę pogarszał fakt, że Maxwell wykorzystywał akcje swoich spółek w charakterze poręczenia, a pożyczone pieniądze służyły mu do wspierania kursu akcji MCC. Teraz banki upomniały się o zwrot tych pożyczek, ale nikt nie wiedział, które z nich da się spłacić, a które nie. Najbardziej widocznym przejawem tej niepewności była niekończąca się procesja elegancko ubranych i podenerwowanych bankierów, którzy ustawiali się w kolejce do Eugene'a, aby odzyskać swoje pieniądze.

Chociaż wszyscy byliśmy wstrząśnięci śmiercią Maxwella, dręczyły nas obawy o własną przyszłość. Czy utrzymamy się na swoich posadach? Czy dostaniemy premie na koniec roku? Czy spółka w ogóle przetrwa?

Niespełna tydzień po śmierci Maxwella mój szef wezwał mnie do swojego gabinetu.

— Bill, w tym roku będziemy wypłacać premie nieco wcześniej. Dobrze się spisałeś i dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Byłem oszołomiony. W życiu nie widziałem tylu pieniędzy i było to dwa razy więcej, niż się spodziewałem.

— Ojej. Dziękuję.

Potem mój szef wręczył mi czek. Nie wypełniony maszynowo jak wszystkie czeki wystawiane przez dział płac, ale wypisany ręcznie.

— To bardzo ważne, abyś teraz poszedł do banku i poprosił o ekspresowe przeniesienie środków bezpośrednio na twoje konto. Gdy już będzie po wszystkim, wróć tutaj i powiedz, jak ci poszło.

Wyszedłem z gabinetu i niezwłocznie udałem się do banku Barclays przy High Holborn, gdzie drżącą z niecierpliwości ręką podałem czek kasjerowi i zażyczyłem sobie, aby pieniądze zostały przelane na mój rachunek.

— Proszę usiąść — powiedział kasjer i gdzieś wyszedł.

Usiadłem na starej brązowej sofie i nerwowo postukując stopami, zacząłem czytać broszurę o kontach oszczędnościowych. Upłynęło pięć minut. Sięgnąłem po ulotkę poświęconą funduszom powierniczym, ale nie mogłem się skupić. Myślałem o wycieczce do Tajlandii, którą zamierzałem wykupić na święta, kiedy będzie już po wszystkim. Pół godziny później dotarło do mnie, że coś nie gra. Czemu to tak długo trwa? W końcu po godzinie kasjer wrócił w towarzystwie łysego mężczyzny w średnim wieku ubranego w brązowy garnitur.

— Panie Browder, jestem dyrektorem oddziału. — Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, wbijając wzrok w czubki swoich butów, a potem spojrzał na mnie nieufnie. — Przykro mi, ale na koncie nie ma wystarczających środków, abyśmy mogli zrealizować ten czek.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Jak to możliwe, aby MCC, spółka obracająca miliardami funtów, nie miała na koncie pięćdziesięciu tysięcy na pokrycie czeku? Zabrałem niezrealizowany czek i szybko wróciłem do gabinetu szefa, aby obwieścić mu, co się stało. Spodziewał się premii, która miała stanowić wielokrotność mojej, toteż był, mówiąc oględnie, niepocieszony.

Wracałem do domu w podłym nastroju. Akurat tego wieczoru wypadała moja kolej, bym pełnił honory gospodarza cotygodniowych rozgrywek pokerowych. Mógłbym się bez tego obejść, bo dramatyczna sytuacja w pracy nadszarpnęła mi nerwy, ale o tej porze szóstka moich przyjaciół już do mnie jechała. W czasach, gdy nie było jeszcze

telefonów komórkowych, nie mogłem skontaktować się z nimi, żeby odwołać spotkanie.

Ledwie wszedłem do domu, goście zaczęli się schodzić jeden po drugim. Byli to głównie bankierzy i konsultanci, a także reporter z „Wall Street Journal", który został zaproszony po raz pierwszy. Kiedy dotarli już wszyscy, otworzyliśmy kilka piw i przystąpiliśmy do gry. Po kilku partiach mój przyjaciel Dan, Australijczyk zatrudniony w Merill Lynch, był już 500 funtów do tyłu, co w naszych rozgrywkach stanowiło dużą stratę. Niektórzy z nas myśleli, że podda się i pójdzie do domu, on jednak przybrał waleczną minę.

— Bez obaw, chłopaki — rzekł pewnym siebie tonem. — Jeszcze się odegram. Zresztą zbliża się czas premii, więc kto by się martwił pięcioma stówkami.

Połączenie kilku piw z przechwałkami Dana sprawiło, że nie zdołałem utrzymać języka za zębami.

— Nie uwierzycie, co mnie dziś spotkało — odezwałem się, ale nim przeszedłem do opowieści, zaznaczyłem: — Ale słuchajcie, musicie obiecać, że zachowacie to dla siebie.

Powiodłem wzrokiem po zebranych, którzy zgodnie pokiwali głowami, więc zrelacjonowałem im dramatyczne wydarzenia dnia. Moi przyjaciele oniemieli z wrażenia. Premia to jedyna rzecz, na której pracownikowi banku inwestycyjnego zależy, więc sama myśl, że mógłby dostać czek i nie być w stanie podjąć gotówki, jest dla niego najstraszniejszym koszmarem.

Skończyliśmy krótko po północy — Dan nie zdołał się odegrać — i wszyscy poszli do domu. Chociaż sam przegrałem 250 funtów, czułem zadowolenie, wiedziałem bowiem, że moja historia zaparła wszystkim dech.

Nadal chodziłem do pracy jakby nigdy nic, ale sytuacja w firmie stawała się coraz poważniejsza. Dwa dni po karcianych rozgrywkach, wchodząc na stację metra Hampstead, sięgnąłem po numer „Wall Street Journal" i na pierwszej stronie tuż nad zgięciem ujrzałem nagłówek: „Czech bez pokrycia". Pod spodem widniało nazwisko autora, a był nim Tony Horwitz, reporter, z którym grałem w pokera.

Zapłaciłem za gazetę i rozłożyłem ją. Tam czarno na białym widniała ta sama historia, którą opowiedziałem moim gościom przy kuchennym stole.

A to sukinsyn.

Wsiadłem do kolejki i jeszcze raz przeczytałem artykuł przerażony tym, co zrobiłem. Myślałem, że ten facet zachowa to dla siebie, a on najzwyczajniej mnie wykiwał. Bez względu na kryzys, który przechodziła firma, w żaden sposób nie mogłem wyłgać się od tego, jak zawaliłem.

W biurze patrzyłem daleko przed siebie, unikając spojrzeń

współpracowników. Rozpaczliwie próbowałem wymyślić jakieś przekonujące usprawiedliwienie dla mojego czynu, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Kilka minut później zjawił się George, całkowicie nieświadomy mojej wpadki. Zanim zdążyłem mu oznajmić, że najprawdopodobniej tego dnia wylecę z pracy, zerkając przez przeszkloną ścianę naszego biura, zauważyłem dziwną grupę mężczyzn, którzy stali w recepcji. Tak nie pasowali do tego miejsca, że pokazałem ich George'owi, który podjechał na krześle do mojego biurka. Gdy wspólnie przyglądaliśmy się niezwykłym gościom, na moment zapomniałem o tym nieszczęsnym artykule.

W przeciwieństwie do bankierów w ciemnych garniturach, którzy nawiedzali nas wcześniej, ci mężczyźni nosili źle dopasowane marynarki, na które mieli narzucone płaszcze przeciwdeszczowe, i wyglądali na całkowicie zagubionych. Zanim rozeszli się po naszych biurach, naradzali się przez chwilę zbici w ciasną gromadkę. Jeden z nich, liczący sobie na oko nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, zawitał do nas.

— Dzień dobry panom — odezwał się z ciężkim akcentem typowym dla cockneya. — Zapewne nie wiecie, co tu robimy. Jestem posterunkowy Jones. A to jest miejsce przestępstwa — dodał, wykonując ręką zamaszysty gest.

Przez krótką chwilę doznałem ulgi, że nie chodzi o mój wygłup z „Wall Street Journal". Uczucie to jednak szybko minęło, gdy zacząłem uświadamiać sobie powagę sytuacji.

Jones zanotował dane każdego z nas i białą taśmą do zabezpieczania dowodów zaczął oklejać nasze biurka, monitory komputerów i aktówki. Na koniec poprosił nas, abyśmy wyszli.

— Kiedy możemy wrócić do pracy? — zapytałem nerwowo.

— Obawiam się, że nie udzielę panu tej informacji. Wiadomo mi jedynie, że musicie panowie stąd wyjść. W tej chwili.

— Czy mogę zabrać moją teczkę?

— Nie. To dowód w śledztwie.

George i ja spojrzeliśmy po sobie, zabraliśmy płaszcze i szybko opuściliśmy budynek. Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, obległa nas horda reporterów kłębiących się przed wejściem.

— Braliście udział w defraudacji?! — krzyknął jeden z nich, podtykając mi pod nos mikrofon.

— Gdzie są pieniądze emerytów? — dopytywał inny, który na ramieniu trzymał kamerę.

— Co robiliście dla Maxwella?! — krzyczał trzeci.

Ledwie mogłem zebrać myśli, kiedy przepychaliśmy się przez tłum. Kilku dziennikarzy uparcie deptało nam po piętach i dało za wygraną dopiero kilkadziesiąt metrów dalej. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc idąc energicznym krokiem, dotarliśmy do Lincoln's Inn

Fields, a potem schroniliśmy się w muzeum Sir Johna Soane'a. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, George zaczął się śmiać. Sądził, że cała ta afera to jakiś wielki dowcip. Ja z kolei byłem wstrząśnięty. Jak mogłem być tak głupi i nie słuchać życzliwych rad, gdy wszyscy ostrzegali mnie przed Maxwellem?

Po powrocie do domu włączyłem telewizor. Głównym tematem wiadomości na każdym kanale było brakujące 460 milionów funtów z funduszu emerytalnego MCC. Maxwell okradał fundusz emerytalny, aby podreperować spadający kurs akcji, i w efekcie trzydzieści dwa tysiące emerytów straciło oszczędności swojego życia. Na kanale BBC zobaczyłem bijatykę przed wejściem do naszej siedziby, a nawet w przelocie dostrzegłem samego siebie przepychającego się przez tłum dziennikarzy. Wieczorem BBC ogłosiła, że korporacja Maxwella dopuściła się największego oszustwa w dziejach Wielkiej Brytanii.

Rankiem następnego dnia nie mogłem się zdecydować, czy iść do pracy, czy nie. Przez godzinę biłem się z myślami, aż w końcu postanowiłem, że pójdę. Opuściłem mój zaciszny dom, wsiadłem do metra i po raz kolejny musiałem torować sobie drogę w tłumie stojącym przed głównym wejściem do Maxwell House. Dotarłszy na siódme piętro, natknąłem się w recepcji na nową grupę obcych przybyszów. Tym razem byli to administratorzy majątku upadłościowego. Jeden z nich zatrzymał mnie, nim zdążyłem wejść do swojego biura.

— Proszę iść do sali zebrań — powiedział. — Ogłosimy ważny komunikat.

Wykonałem jego polecenie i znalazłem wolne miejsce obok George'a. Pół godziny później zjawił się mężczyzna w średnim wieku z podkładką do pisania w ręku. Był bez krawata, rękawy koszuli miał podwinięte, a jego zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony, jakby co chwilę przeczesywał je palcami. Wszedł na podium i zaczął czytać oświadczenie z przygotowanej kartki.

— Dzień dobry wszystkim. Nazywam się David Solent i reprezentuję firmę Arthur Andersen. Wczoraj wieczorem Maxwell Communication Corporation wraz ze wszystkimi filiami została przekazana pod nasz zarząd. Sąd ustanowił firmę Arthur Andersen nadzorcą majątku upadłościowego, który przeprowadzi likwidację spółki. Zgodnie ze standardowymi procedurami naszą pierwszą czynnością będzie ogłoszenie wypowiedzeń. — Solent zaczął odczytywać w porządku alfabetycznym nazwiska osób, które zostały zwolnione. Tu i ówdzie dał się słyszeć płacz sekretarek. Jeden mężczyzna zerwał się z krzesła, wykrzykując przekleństwa. Chciał podbiec do podium, ale zatrzymali go dwaj ochroniarze i wyprowadzili z sali. Potem został wyczytany George, a także syn Roberta Maxwella, Kevin, oraz prawie wszyscy pracownicy spółki,

których znałem.

Co zdumiewające, mojego nazwiska nie było na liście. Spośród wszystkich rzeczy, przed którymi mnie ostrzegano, zanim podjąłem tę pracę, jedna była pewna — że zostanę zwolniony — tymczasem do tego nie doszło. Wkrótce dowiedziałem się, że administratorzy pozwolili mi zostać, bo nie mieli pojęcia, co robić z inwestycjami w Europie Wschodniej. Potrzebowali kogoś, kto pomoże im to wyjaśnić.

Uczepiłem się tego małego zwycięstwa, wychodząc z założenia, że ułatwi mi ono znalezienie nowej pracy, kiedy będzie już po wszystkim. Niestety, bardziej nie mogłem się mylić. Nie byłem już złotym chłopcem. Praca u Maxwella okazała się plamą na moim życiorysie i niebawem odkryłem, że nikt w Londynie nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

Rozdział 6
Trawlery z Murmańska

Nikt z wyjątkiem jednej firmy — Salomon Brothers.

W 1991 roku, kiedy Maxwell wywołał potężny skandal w Wielkiej Brytanii, spółka Salomon Brothers zrobiła to samo w Stanach Zjednoczonych. Zeszłej jesieni Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy wykryła, że kilku czołowych specjalistów z tej firmy usiłuje manipulować amerykańskim rynkiem obligacji skarbowych. Nie było jasne, jak wnikliwie komisja będzie drążyć tę sprawę i czy w ogóle Salomon to przetrwa. Podobna sytuacja miała miejsce rok wcześniej w innej firmie, Drexel Burnham Lambert, która ogłosiła upadłość, pozostawiając wiele osób bez pracy. Obawiając się, że identyczny los spotka Salomon Brothers, wielu dobrych pracowników uciekło z tonącego statku i znalazło sobie zatrudnienie gdzie indziej.

Efektem było dużo wakatów, które spółka musiała obsadzić, tymczasem ja desperacko szukałem pracy. W bardziej pomyślnym okresie prawdopodobnie odrzuciliby moją kandydaturę, ale teraz byli zdesperowani tak samo jak ja, toteż po serii rozmów kwalifikacyjnych zaproponowali mi posadę w swoim londyńskim oddziale zajmującym się inwestycjami bankowymi na terenie Europy Wschodniej. Nie było to dokładnie to, czego pragnąłem. Marzyłem o tym, by zostać inwestorem — i podejmować decyzje co do zakupu akcji — a nie pracownikiem banku inwestycyjnego, który czuwa nad sprzedażą akcji. Co więcej, moje stanowisko nie było tak wysokie jak w MCC, co pociągało za sobą znaczny spadek wynagrodzenia. Ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, więc z wdzięcznością przyjąłem propozycję. Byłem zdecydowany pochylić nisko głowę i zrobić wszystko, co konieczne, by odzyskać dawną pozycję zawodową.

Niestety firma Salomon była prawdopodobnie miejscem najmniej sprzyjającym realizacji takiego planu. Każdy, kto czytał książkę *Liar's Poker*, uznałby Salomon Brothers za jedną z najbardziej bezwzględnych spółek na Wall Street. Dlatego stwierdzenie, że pierwszego dnia w nowej pracy czułem się zdenerwowany, byłoby wielkim niedomówieniem.

Do siedziby Salomon Brothers mieszczącej się nieopodal Victoria Station przy Buckingham Palace Road przyszedłem w czerwcu 1992 roku. Był niezwykle ciepły i słoneczny dzień, kiedy przekroczywszy wielką bramę z kutego żelaza, wjechałem ruchomymi schodami na górę. W holu głównej recepcji czekał elegancko ubrany wiceprezes, na oko kilka lat starszy ode mnie. Traktował mnie oschle i był zniecierpliwiony, jakby rozdrażniło go to, że kazano mu się mną zająć.

Przeszliśmy przez atrium do przeszklonych drzwi, za którymi znajdował się bank inwestycyjny. Wiceprezes zaprowadził mnie do mojego biurka i wskazał palcem na pudełko biletów wizytowych.

— Posłuchaj, tutaj układ jest prosty. Przez najbliższy rok osiągasz pięciokrotną wartość swojej pensji i wszystko gra. W przeciwnym razie wylatujesz. Jasne?

Pokiwałem głową, a on wyszedł. I to było wszystko. Żadnego szkolenia, żadnych mentorów, żadnego wprowadzenia. Tylko wyrabiaj normę albo żegnaj się z pracą.

Niepewny, co robić, próbowałem usadowić się wygodnie przy biurku stojącym w „wylęgarni" — otwartej przestrzeni, którą dzielili wszyscy pracownicy niższego szczebla. Gdy kartkowałem informator pracownika Salomon Brothers, moją uwagę zwróciła siedząca nieopodal sekretarka, która rozmawiała głośno przez telefon o lotach na Węgry. Kiedy skończyła, podszedłem do niej.

— Przepraszam, że podsłuchiwałem — zagadnąłem. — Jestem tu nowy i słyszałem, że rozmawiasz o Węgrzech. Może wiesz, co nasza firma tam robi?

— Och, nie ma problemu — zapewniła mnie kobieta. — Każdy tu słyszy rozmowy innych. Rezerwowałam lot dla zespołu, który kieruje prywatyzacją spółki Malev i wybiera się do Budapesztu w przyszłym tygodniu.

— Kto się tym zajmuje?

— Możesz ich poznać osobiście.

Sekretarka pokazała mi grupę mężczyzn, którzy siedzieli w jednej z przeszklonych sal konferencyjnych przylegających do wylęgarni. Chociaż pracowałem tam zaledwie od kilku godzin, zdawałem sobie sprawę, że jeśli mam odnieść sukces, muszę wykazać trochę inicjatywy. Podziękowałem sekretarce i udałem się do sali konferencyjnej. Kiedy otworzyłem drzwi, sześciu mężczyzn siedzących w środku przerwało rozmowę. Wszyscy odwrócili się w moją stronę i wlepili we mnie wzrok.

— Cześć, jestem Bill Browder — powiedziałem, starając się ukryć zakłopotanie. — Jestem nowy w zespole do spraw Europy Wschodniej. Pomyślałem, że może potrzebujecie pomocy przy waszym kontrakcie.

Krępujące milczenie przerwali dwaj młodsi członkowie zespołu, którzy cicho zachichotali.

— Dzięki, że wstąpiłeś, Bill, ale obawiam się, że nie brakuje nam ludzi — odezwał się ich szef.

Sytuacja była trochę niezręczna, ale nie mogłem dopuścić, by mnie to zniechęciło. Miałem oczy szeroko otwarte, rozpytywałem wszystkich wokół i po kilku dniach znalazłem kolejną okazję. Zespół zajmujący się prywatyzacją polskiej spółki telekomunikacyjnej odbywał właśnie spotkanie, podczas którego omawiał następną fazę

swojego przedsięwzięcia. Wiedziałem, że ci ludzie pracują na prowizję znacznie wyższą niż tamci od Malev, uznałem więc, że nie będą zbytnio się opierać, by przyjąć w swoje szeregi jeszcze jedną osobę.

Gdy pojawiłem się na ich spotkaniu, nie zostałem potraktowany tak uprzejmie, jak poprzednim razem.

— Kto ci kazał tu przyjść? — zapytał szef zespołu. — Nie jesteś nam potrzebny ani przy tym, ani przy żadnym innym kontrakcie w Polsce!

Nikt nie chciał dzielić się ze mną zyskami, ponieważ każdy musiał wyrobić tę samą pięciokrotną normę co ja. Po prostu wszyscy strzegli swojego poletka w Europie Wschodniej. Przez kilka tygodni zachodziłem w głowę, jak przetrwać w tej firmie. Potem jednak zauważyłem coś interesującego. Żaden z naszych pracowników nie działał w Rosji, co oznaczało, że nikt nie będzie próbował mnie stamtąd wygryźć. Postanowiłem zaryzykować. Oświadczyłem, że będę się zajmował inwestycjami na terenie Rosji, i czekałem, aż ktoś się sprzeciwi. Nikt nie protestował.

Od tego momentu Rosja stała się moim terytorium.

Istniał jednak logiczny powód, dla którego nikt nie interesował się Rosją — nie było tam podatnego gruntu dla inwestorów. Choć był to wolny kraj pod względem politycznym, we wszystkich dziedzinach życia, włącznie z podejściem do bankowości inwestycyjnej, nadal panował tam komunizm. Uparcie ignorowałem ten fakt i postanowiłem znaleźć jakikolwiek kontrakt. Niezmordowanie chodziłem na konferencje, spotkania, lunche biznesowe i imprezy networkingowe odbywające się w Londynie, licząc, że coś spadnie mi z nieba.

Minęły trzy miesiące, a ja nie zarobiłem dla mojego pracodawcy ani pensa i widoki na przyszłość nie rysowały się różowo. Ale wtedy pewien prawnik, którego poznałem na jednej z imprez networkingowych, powiedział mi o doradztwie dla Murmańskiej Floty Rybackiej. To rosyjskie przedsiębiorstwo połowowe działające ponad trzysta kilometrów na północ od koła podbiegunowego ogłosiło przetarg na doradztwo prywatyzacyjne. Nie miałem pojęcia o łowieniu ryb, ale w BCG nauczyłem się, jak przygotować doskonałą ofertę, więc zabrałem się do pracy.

Przejrzałem bazę kontraktów Salomon Brothers w poszukiwaniu czegokolwiek, co wiązałoby się z trawlerami lub rybołówstwem. Jak się okazało, przed piętnastu laty oddział w Tokio uczestniczył w kilku transakcjach z udziałem japońskich kompanii połowowych. Piętnaście lat wydawało się długim okresem, a kontrakty dotyczyły likwidacji zadłużenia, a nie prywatyzacji, ale cóż z tego? Uwzględniłem wszystkie doświadczenia z Japonii, dopiąłem ofertę na ostatni guzik i wysłałem do Murmańska.

Kilka tygodni później na moim biurku zadzwonił telefon. Dzwoniła kobieta imieniem Irina, która reprezentowała prezesa Murmańskiej Floty Rybackiej.

— Panie Browder, chciałabym pana poinformować, że przyjęliśmy pańską ofertę — oznajmiła z wyraźnym rosyjskim akcentem, a ja zastanawiałem się przez chwilę, czy w ogóle mieli w czym wybierać. — Kiedy może pan przyjechać do Murmańska, żeby przystąpić do pracy?

W głosie Iriny dawało się wyczuć zażenowanie, jak gdyby nigdy wcześniej nie rozmawiała z przedstawicielem zachodniego banku inwestycyjnego.

Nie posiadałem się z radości — właśnie uzyskałem pierwszy w życiu kontrakt z prawdziwego zdarzenia — ale przetarg nie wspominał o tym, ile mają mi zapłacić. Ponieważ dotąd nie poczyniłem żadnych postępów, by pięciokrotnie pomnożyć moją pensję, liczyłem na sporą sumę.

— Jestem zaszczycony, że wybrali państwo naszą firmę — mówiłem powoli, przybierając oficjalny ton, co w moim mniemaniu pozwalało mi sprawiać wrażenie kogoś starszego i bardziej wiarygodnego. — Czy mógłbym się dowiedzieć, jakie otrzymam wynagrodzenie?

Irina zamieniła z kimś kilka słów po rosyjsku, po czym znów zwróciła się do mnie:

— Panie Browder, przeznaczyliśmy na to zlecenie budżet wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za okres dwóch miesięcy. Czy ta suma panu odpowiada?

Poczułem, jak uchodzi ze mnie para. Trudno opisać, jak nikła jest dla bankiera inwestycyjnego taka kwota. Linda Evangelista, rozchwytywana w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych modelka, wypowiedziała kiedyś znamienne słowa: „Za mniej niż 10 tysięcy dolarów dziennie to ja nawet nie wstaję z łóżka”. Dla bankiera inwestycyjnego taka graniczna stawka wynosi milion dolarów. Ale dotąd nie zarobiłem nic dla Salomon Brothers, a pięćdziesiąt tysięcy było dużo lepsze niż nic, więc się zgodziłem.

Tydzień później wyruszyłem do Murmańska. Pierwszym etapem podróży był lot samolotem British Airways do Petersburga. Trwał cztery i pół godziny i chociaż wystartowaliśmy o 9.30, za sprawą trzygodzinnej różnicy czasu na petersburskim lotnisku Pułkowo znaleźliśmy się późnym popołudniem. Gdy samolot kołował do terminalu, wyjrzałem przez okno i ku swemu zdumieniu ujrzałem leżący przy pasie startowym wypalony kadłub pasażerskiej maszyny Aerofłotu. Nie miałem pojęcia, jak się tam znalazł, ale najwyraźniej usunięcie wraku stanowiło dla zarządu lotniska zbyt duże wyzwanie.

I tak oto powitała mnie Rosja.

Ponieważ wiele rejsów krajowych Aerofłotu odbywało się w porze nocnej, musiałem spędzić na lotnisku kolejne dziesięć godzin, gdyż samolot do Murmańska odlatywał dopiero o 3.30. Tak długie oczekiwanie w jakimkolwiek porcie lotniczym nie należy do przyjemności, ale na lotnisku Pułkowo było szczególnie uciążliwe. Terminal nie miał klimatyzacji i nawet w miejscu wysuniętym tak daleko na północ powietrze było gorące i panował zaduch. Wszyscy pocili się i palili papierosy. Próbowałem uciekać od dymu i nieświeżych ciał, ale gdy znalazłem rząd wolnych foteli, zaraz na miejsce obok mnie zwalił się jakiś potężny facet. Bez słowa zepchnął moją rękę z podłokietnika i natychmiast zaczął palić, zadając sobie wiele trudu, by wydmuchiwać dym w moją stronę.

Wstałem i przeniosłem się gdzie indziej.

W końcu tuż przed 3.30 wszedłem na pokład wiekowego Tu-134. Wszystkie siedzenia były zapadnięte, a ich wyświechtana tapicerka przesiąkła dymem z papierosów i wydzielała woń zastarzałego brudu. Zająłem miejsce przy oknie, ale fotel miał zepsutą blokadę, więc ilekroć chciałem się oprzeć, opadałem na kolana siedzącej za mną osoby.

Zatrzasnęły się drzwi i bez najmniejszej wzmianki o postępowaniu w razie awarii pokołowaliśmy w stronę pasa startowego. Oderwaliśmy się od ziemi, by wyruszyć w krótką, ale obfitującą w niewygody podróż. Gdy zbliżaliśmy się do celu, pilot ogłosił coś po rosyjsku. Jeden z pasażerów władający angielskim wyjaśnił mi, że cywilny port lotniczy ma jakąś awarię i zostaliśmy skierowani na lotnisko wojskowe oddalone od Murmańska o półtorej godziny jazdy.

Gdy w końcu samolot zaczął podchodzić do lądowania, poczułem ulgę, lecz nie trwała ona długo. Płyta lotniska była tak wyboista, że miałem wrażenie, jakby podwozie zaraz miało się urwać.

O 5.30 nareszcie dotknąłem ziemi. Byłem kompletnie wyczerpany. Ponieważ znajdowałem się na dalekiej północy, sierpniowe słońce wisiało nisko nad horyzontem i prawie wcale nie zachodziło. Na lotnisku wojskowym nie było terminalu, tylko podobny do magazynu niewielki budynek i parking, lecz z radością zauważyłem, że prezes floty trawlerów, Jurij Prutkow, pofatygował się tutaj, aby mnie powitać. Towarzyszyła mu Irina, długonoga blondynka o poważnej twarzy, którą pokrywał zbyt silny makijaż. Prutkow, rosły mężczyzna przed sześćdziesiątką, który ścisnął mi dłoń jak w imadle, był niemal kopią dyrektora naczelnego Autosana. Obaj zajęliśmy miejsca na tylnej kanapie firmowego samochodu, podczas gdy Irina usiadła z przodu i odwróciła się do nas, aby tłumaczyć naszą rozmowę. Kierowca ruszył i pojechaliśmy drogą wiodącą przez opustoszałą tundrę, która przypominała krajobraz księżycowy. Półtorej godziny później dotarliśmy do Murmańska.

Zawieziono mnie do najlepszego w mieście hotelu Arktyka. Zameldowałem się i poszedłem do pokoju. Łazienka śmierdziała moczem, nie było muszli klozetowej, a w spękanej umywalce brakowało kilku sporych kawałków porcelany. Moskitiera w oknie była rozerwana, więc potężne komary mogły bez przeszkód wlatywać do pokoju. Brak zasłon nie pozwalał odgrodzić się od świecącego prawie całą dobę słońca, a wygnieciony i zapadnięty materac wyglądał tak, jakby nie zmieniano go od wieków. Nawet się nie rozpakowałem. W mojej głowie kołatała się jedna myśl: Czym prędzej uciekać stąd w cholerę.

Po kilku godzinach ponownie zjawił się Prutkow i zabrał mnie do portu, aby pokazać mi swoją flotę. Po zardzewiałym trapie dostaliśmy się na pokład jednego z trawlerów. Był to wielki pływający kombinat długi na kilkadziesiąt metrów, na którym pracowało ponad sto osób, a we wnętrzu swego kadłuba mógł pomieścić tysiące ton ryb i lodu. Gdy zeszliśmy na jeden z niższych pokładów, uderzył mnie przytłaczający odór zepsutych ryb. Bez przerwy zbierało mi się na wymioty, tymczasem na moim przewodniku unoszący się w powietrzu fetor nie robił żadnego wrażenia. Zrobiło mi się żal tych nieszczęśników, którzy pracowali na takich statkach po kilka miesięcy z rzędu bez chwili wytchnienia.

Zwiedzaliśmy statek przez dwadzieścia minut, a potem udaliśmy się do siedziby floty, która mieściła się przy ulicy Trałowej 12. Biura były tak samo zniszczone jak statki, ale na szczęście nie śmierdziały. Hol wypełniało słabe zielonkawe światło, a ściany w recepcji wyglądały tak, jakby nie malowano ich od dziesięcioleci. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystko w tym przedsiębiorstwie kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, ale później, gdy popijając letnią herbatę, zaczęliśmy rozmawiać o sytuacji finansowej spółki, zacząłem zmieniać zdanie.

— Proszę mi powiedzieć, panie Prutkow, ile kosztuje jeden z tych statków? — zapytałem, a Irina przetłumaczyła moje słowa.

— We wschodnioniemieckiej stoczni płaciliśmy za nowy dwadzieścia milionów dolarów.

— Dużo ich macie?

— Około setki.

— Ile mają lat?

– Średnio siedem.

Przeprowadziłem w myślach szybką kalkulację. Sto trawlerów po dwadzieścia milionów każdy oznaczało, że cała flota jest warta dwa miliardy dolarów. Domyśliłem się, że po siedmiu latach cena statków spadła o połowę, czyli ich obecna wartość rynkowa wynosiła miliard dolarów.

Nie mogłem otrząsnąć się ze zdumienia. Ci ludzie zatrudnili mnie,

żebym im doradził, czy powinni skorzystać z przysługującego im prawa i nabyć w ramach rosyjskiego programu prywatyzacji 51 procent udziałów za 2,5 miliona dolarów. Dwa i pół miliona dolarów! Za połowę udziałów spółki, która dysponuje flotą trawlerów wartą miliard! Oczywiście, że powinni! Nie było nad czym się zastanawiać. Nie mogłem pojąć, dlaczego potrzebowali kogoś, kto by im to powiedział. Ale najbardziej żałowałem, że sam nie mogę uczestniczyć w zakupie tych 51 procent.

Omawiając to wszystko z Prutkowem, czułem, jak mój żołądek zaczyna wydzielać tę dobrze znaną substancję — tego samego doświadczyłem, gdy moje akcje z Polski osiągnęły dziesięciokrotne przebicie. Czy flota trawlerów z Murmańska jest wyjątkowym przypadkiem, czy takie rzeczy dzieją się w całej Rosji? — zastanawiałem się. A jeżeli tak, to w jaki sposób mógłbym wejść w taki interes?

Na następny dzień miałem zaplanowany powrót do Londynu, ale byłem tak podekscytowany, że kupiłem bilet w jedną stronę do Moskwy. Musiałem się przekonać, czy akcje wszystkich rosyjskich spółek również są tak tanie. Zresztą w Londynie i tak nikt za mną nie tęsknił — w firmie ledwie zdawali sobie sprawę z mojego istnienia.

Po przylocie do Moskwy i odprawie bagażowej kupiłem w kiosku na lotnisku mały anglojęzyczny katalog lokalnych firm i instytucji. Nigdy nie byłem w Moskwie, nie mówiłem po rosyjsku i nie znałem tutaj kompletnie nikogo. Wsiadłem do taksówki i kazałem się zawieźć do hotelu Metropol na placu Czerwonym. Kierowca od razu się zorientował, że można mnie łatwo oskubać, gdyż później się dowiedziałem, że policzył mi za ten kurs cztery razy więcej niż normalnie. Tkwiliśmy w korku na Prospekcie Leningradzkim, bulwarze szerszym od boiska futbolowego, powoli mijając setki identycznych bloków mieszkalnych z epoki komunizmu i billboardy z reklamami firm o dziwnie brzmiących nazwach.

Dwie godziny później taksówka zajechała przed hotel Metropol stojący naprzeciwko teatru Bolszoj. Kiedy już znalazłem się w pokoju, zadzwoniłem do przyjaciela z Londynu. Człowiek ten pracował kiedyś w Moskwie i polecił mi kierowcę oraz tłumacza, z których każdy liczył sobie po 50 dolarów za dzień pracy. Następnego dnia rano przejrzałem katalog firm i zacząłem dzwonić do wszystkich, którzy wydawali się odpowiedni, aby zapytać ich, czy byliby skłonni porozmawiać o rosyjskim programie prywatyzacji. W efekcie spotkałem się między innymi z urzędnikami ambasady Stanów Zjednoczonych, przedstawicielami spółki Ernst&Young, niższym rangą urzędnikiem rosyjskiego Ministerstwa Gospodarki oraz absolwentem Stanfordu, który pracował w American Express. W ciągu czterech dni odbyłem w sumie trzydzieści spotkań i na ich podstawie złożyłem

pełny obraz procesu prywatyzacji w Rosji.

Dowiedziałem się, że chcąc dokonać przejścia od komunizmu do kapitalizmu, rząd rosyjski postanowił przekazać w ręce ludności większość majątku państwowego. Miało się to odbyć na wiele sposobów, ale najbardziej interesujący z nich nosił nazwę „prywatyzacji czekowej". W ramach tego programu wszyscy obywatele Rosji — w sumie około 150 milionów — mieli otrzymać po jednym czeku prywatyzacyjnym z ogólnej puli, która stanowiła równowartość 30 procent niemal wszystkich rosyjskich przedsiębiorstw.

Sto pięćdziesiąt milionów czeków prywatyzacyjnych pomnożone razy 20 dolarów — tyle wynosiła wartość rynkowa jednego czeku — dawało sumę trzech miliardów. Ponieważ za wszystkie te czeki można by było wykupić około 30 procent akcji wszystkich spółek w Rosji, oznaczało to, że wartość całej rosyjskiej gospodarki wynosiła zaledwie 10 miliardów dolarów! To była jedna szósta wartości Wal-Martu!

Gdyby na to spojrzeć z innej perspektywy, Rosja posiadała 24 procent światowych zasobów gazu ziemnego i 9 procent zasobów ropy naftowej, a jej udział w światowej produkcji stali wynosił 6,6 procent. I to niewyobrażalne bogactwo surowców naturalnych i przemysłu wystawiono na sprzedaż za skromne 10 miliardów dolarów!

Jeszcze bardziej zdumiewający był fakt, że nie istniały żadne ograniczenia zakupu tych czeków. Mogłem je kupić ja, mogła je kupić spółka Salomon Brothers, każdy mógł je kupić. O ile to, co działo się w Polsce, przynosiło zyski, tutejsza sytuacja przechodziła wszelkie wyobrażenie.

Kiedy wróciłem do Londynu, byłem jak opętany. Chciałem obwieścić wszystkim w mojej firmie, że Rosja rozdaje swój majątek za darmo. Na początek opowiedziałem o swoim odkryciu jednemu z pracowników działu bankowości inwestycyjnej na Europę Wschodnią. On jednak, zamiast mi pogratulować, zmarszczył czoło i zapytał:

— A gdzie w tym wszystkim są nasze honoraria za doradztwo?

Dlaczego nie mógł zrozumieć, że bez trudu można było zarobić sto razy więcej? Honoraria za doradztwo? Czy on żartował? Kto by sobie zawracał głowę doradztwem?

Potem odwiedziłem kolegę z działu zarządzania inwestycjami, spodziewając się, że uściska mnie serdecznie, kiedy podzielę się z nim informacją o najbardziej oszałamiających możliwościach inwestycyjnych, o jakich kiedykolwiek słyszał. Tymczasem on popatrzył na mnie, jakbym sugerował, aby firma kupowała działki na Marsie.

Następnie udałem się do jednego z handlowców w sekcji rynków wschodzących, ale on spojrzał na mnie zdziwiony i spytał:

— Jaki jest zasięg i wolumen obrotu tych czeków?

Co? Kogo obchodzi, czy przyniosą 1 czy 10 procent zysku? Ja mówię o zysku rzędu 10 000 procent!

Nikt w Salomon Brothers nie potrafił wyjść poza te ciasne bariery rozumowania. Może gdybym wykazał się większym sprytem i wyrafinowaniem, zdołałbym przezwyciężyć tę ich krótkowzroczność, ale nie miałem takiej zdolności perswazji. Całymi tygodniami niezmordowanie przedstawiałem wszystkim moją koncepcję, wciąż nie tracąc nadziei, że w końcu uda mi się do kogoś dotrzeć.

Zamiast tego dokumentnie zszargałem sobie opinię w całej firmie. Nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego, ponieważ uważano mnie za „szurniętego maniaka, który w kółko nawija o Rosji". Koledzy, z którymi dotychczas utrzymywałem kontakty towarzyskie, przestali mnie zapraszać na lunch czy na drinka po pracy.

Był październik 1993 roku i właśnie minęło dwanaście miesięcy, odkąd zacząłem pracę w Salomon Brothers. Stałem się dla wszystkich obiektem kpin, lecz co najgorsze, zarobiłem dla firmy zaledwie pięćdziesiąt tysięcy, więc nie miałem żadnych wątpliwości, że lada chwila zostanę zwolniony. Kiedy rozpaczałem nad nieuchronną utratą pracy, na moim biurku zadzwonił telefon. Nie zwróciłem uwagi na nowojorski numer kierunkowy 2723, który pojawił się na wyświetlaczu, i podniosłem słuchawkę. Człowiek na drugim końcu linii mówił z wyraźnym amerykańskim akcentem i przeciągał samogłoski niczym prawnik z Georgii.

— Czołem? To ty jesteś Bill Browder?

— Tak. Kto mówi?

— Bobby Ludwig. Doszły mnie słuchy, że coś odkryłeś w Rosji.

Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z tym facetem i zachodziłem w głowę, kto to może być.

— Owszem — odparłem. — Pracujesz dla naszej firmy?

— Tak, w Nowym Jorku. Pomyślałem sobie, że może byłbyś tak miły i wpadł do mnie, żeby mi opowiedzieć, co tam się dzieje?

— Hm, pewnie. Mogę sprawdzić harmonogram i oddzwonić?

— Jasne.

Gdy skończyliśmy rozmowę, natychmiast zadzwoniłem do znajomego z sekcji rynków wschodzących, który pracował w Nowym Jorku, i zapytałem go o Bobby'ego Ludwiga.

— Bobby Ludwig? — zapytał mój kolega takim tonem, jakby szczytem głupoty było nie znać tego nazwiska. — To jeden z naszych czołowych kontraktorów, chociaż dziwny z niego facet. Niektórzy uważają go za szaleńca. Ale przynosi duże zyski, więc dają mu wolną rękę. A czemu o niego pytasz?

— Tak tylko. Dzięki.

Potrzebowałem właśnie kogoś takiego jak Bobby, aby wyrwać się z zastoju. Natychmiast do niego zadzwoniłem.

— Cześć, to znowu Bill. Z przyjemnością odwiedzę cię w Nowym Jorku i wprowadzę w temat.

— Piątek ci odpowiada?

— Pewnie. Jestem u ciebie w piątek.

Zarwałem dwie noce z rzędu, żeby przygotować w PowerPoincie prezentację na temat rosyjskich spółek. W czwartek wieczorem odleciałem do Nowego Jorku samolotem British Airways i zamiast oglądać filmy wyświetlane podczas rejsu, raz za razem przeglądałem swoją prezentację. Nie mogłem zaprzepaścić tej szansy.

W piątek rano przybyłem do nowojorskiej centrali Salomon Brothers, która mieściła się w budynku numer 7 World Trade Center. Stojące w południowo-zachodniej części kompleksu Bliźniacze Wieże lśniły w porannym słońcu. Zostałem skierowany na trzydzieste piąte piętro, gdzie czekała na mnie sekretarka Bobby'ego. Przywitała się ze mną i przeszliśmy przez parkiet giełdowy — ogromną salę, w której jak okiem sięgnąć ciągnęły się rzędy biurek, a w powietrzu buzowała nieposkromiona energia. Dziki i agresywny kapitalizm przenikał wszystko do cna.

Szliśmy brzegiem sali, mijając dziesiątki biurek, a potem skręciliśmy w krótki korytarz, który prowadził do gabinetu Bobby'ego. Sekretarka zapowiedziała moje przybycie i wyszła. Bobby siedział za biurkiem i patrzył przez okno w stronę Zatoki Nowojorskiej. Miał około pięćdziesiątki, ale zmierzwione rude włosy i zwieszające się nad kącikami ust wąsy sprawiały, że wyglądał starzej. Gdyby nie rozrzucone w nieładzie sterty dokumentów, wystrój gabinetu można by uznać za spartański, a prócz biurka i fotela jego umeblowanie stanowił jedynie okrągły stolik z dwoma krzesłami. Gdy Bobby poprosił mnie, abym usiadł, zauważyłem, że ma na nogach znoszone skórzane kapcie, a jego czerwony krawat jest cały w plamach. Jak się później dowiedziałem, traktował ten krawat jak amulet i prawie nigdy się z nim nie rozstawał od dnia, kiedy zarobił 50 milionów na jednej transakcji. Bobby rozsiadł się za biurkiem, a ja wyjąłem z teczki prezentację, położyłem przed nim egzemplarz i zacząłem mówić.

Zazwyczaj w trakcie takiego wystąpienia z zachowania słuchaczy można wywnioskować, czy są zainteresowani, znudzeni bądź zaskoczeni, ale Bobby niczego nie dawał po sobie poznać. Wpatrywał się tylko nieobecnym wzrokiem w tabele i wykresy, które mu pokazywałem. Nie wydawał żadnych pomruków świadczących o skupieniu, nie kiwał potakująco głową ani w żaden inny sposób nie okazywał, że moje słowa trafiają mu do przekonania. Tylko to tępe spojrzenie. To było niepokojące. A potem, kiedy byłem mniej więcej w połowie, Bobby nagle wstał i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. To była moja ostatnia szansa na ocalenie posady w Salomon Brothers i właśnie groziła mi klęska. Gdzie

popełniłem błąd? Czy da się jeszcze z tego wybrnąć? Może powinienem mówić szybciej? A może wolniej? Co, do cholery, mam robić?

Rozmyślałem tak blisko czterdzieści minut trawiony strachem i niepewnością. Potem zobaczyłem, że Bobby wraca. Zatrzymał się, żeby powiedzieć coś sekretarce, i powoli wszedł do gabinetu. Podniosłem się z krzesła, gotów błagać go na kolanach, gdyby to miało okazać się pomocne.

Ale nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Bobby mnie uprzedził:

— Browder, to najbardziej niesamowita historia, jaką w życiu słyszałem. Właśnie odwiedziłem komisję do spraw ryzyka i dostaliśmy dwadzieścia pięć milionów na inwestycje w Rosji. Nie trać czasu na nic innego. Wracaj do Moskwy i wpuszczajmy te pieniądze w obieg, zanim okazja przejdzie nam koło nosa, słyszysz?

Tak, słyszałem. Nie uroniłem ani słowa.

Rozdział 7
La Leopolda

Te słowa całkowicie odmieniły mój los. Zgodnie z poleceniem wróciłem do Londynu i od razu przystąpiłem do pracy, by zainwestować 25 milionów spółki Salomon Brothers. Niestety, ponieważ w grę wchodziła Rosja, nie mogłem ot tak zadzwonić do swojego agenta. Nie istniał jeszcze w tym kraju rynek giełdowy i jeżeli chciałem inwestować, musiałem uciec się do improwizacji.

Po powrocie z Nowego Jorku w poniedziałek zasiadłem przy swoim biurku w wylęgarni i zacząłem dzwonić do różnych firm, usiłując znaleźć punkt oparcia, by wykonać kolejny krok. Będąc w trakcie piątej rozmowy, zauważyłem mężczyznę w średnim wieku, który z poważną miną kroczył energicznie w moją stronę w towarzystwie dwóch uzbrojonych pracowników ochrony.

— Panie Browder, jestem szefem sekcji prawnej — warknął oskarżycielskim tonem, kiedy podszedł bliżej. — Mogę się dowiedzieć, co pan robi?

— Czy popełniłem jakieś wykroczenie?

Mężczyzna pokiwał głową.

— Słyszeliśmy, że dokonuje pan obrotu papierami wartościowymi ze stanowiska w banku inwestycyjnym. Jak zapewne panu wiadomo, jest to naruszenie kodeksu postępowania, jaki obowiązuje pracowników naszej spółki.

O czym mogą nie wiedzieć niewtajemniczeni, bank inwestycyjny składa się z dwóch połówek — działu handlowego, który kupuje i sprzedaje papiery wartościowe, oraz działu bankowości inwestycyjnej, który doradza spółkom w takich sprawach jak fuzje czy emisja nowych akcji. Przebiega między nimi wyraźna granica nazywana Murem Chińskim, aby maklerzy z działu handlowego nie mogli sprzedawać poufnych informacji, które doradcy z działu bankowości inwestycyjnej otrzymali od swoich klientów. Ja zajmowałem się bankowością inwestycyjną i dlatego nie wolno mi było handlować akcjami. W praktyce oznaczało to, że gdy w końcu zdołaliśmy ustalić, jak kupować akcje rosyjskich spółek, będę musiał się przenieść na parkiet giełdowy. Ale do tego wciąż było jeszcze daleko.

— Nie kupuję żadnych papierów wartościowych — wyjaśniłem zalęknionym tonem. — Ja tylko próbuję znaleźć sposób, jak to zrobić.

— Nie obchodzi mnie, jak pan to nazywa, panie Browder. Musi pan natychmiast zaprzestać tych czynności — rozkazał szef sekcji prawnej.

— Ale ja nie inwestuję. Ja tylko tworzę plan inwestycji —

broniłem się. — Wszystko to zostało zatwierdzone przez dyrekcję w Nowym Jorku. Nie robię nic złego.

Po skandalu z obligacjami skarbowymi, który omal nie doprowadził do katastrofy, spółka Salomon Brothers nie pozwalała sobie na żadne ryzyko.

— Przykro mi. Proszę zabrać swoje rzeczy — rzekł opryskliwie mężczyzna i skinął głową na pracowników ochrony. — Nie może pan już pracować w dziale inwestycyjnym.

Gdy się pakowałem, ochroniarze podeszli bliżej i stali nade mną ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, rozkoszując się rzadką okazją, by zademonstrować, jacy są groźni. Potem odeskortowali mnie do drzwi, które oddzielały bank inwestycyjny od parkietu giełdowego. Po drodze minęliśmy pewnego konsultanta z zespołu, który zajmował się rynkiem węgierskim. Facet puścił do mnie oko i bezgłośnie poruszył ustami, jakby mówił „Pierdol się". Nie musiałem już dłużej się zastanawiać, kto na mnie doniósł.

Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie drzwi, ochroniarze kazali mi oddać przepustkę banku inwestycyjnego i odeszli, zostawiając mnie z całym moim dobytkiem w stojących na podłodze kartonach. Obok przechodzili maklerzy i gapili się na mnie. Upokorzenie było tak silne, że poczułem się jak pierwszego dnia w szkole z internatem. Nie wiedziałem, co robić, więc wsunąłem swoje pudła pod najbliższe biurko, znalazłem telefon i zadzwoniłem do Bobby'ego.

— Bobby — odezwałem się, dysząc z przejęcia. — Właśnie sekcja prawna wykopała mnie z mojego działu. Jestem na parkiecie giełdowym i nawet nie mam gdzie usiąść. Co mam robić?

Bobby sprawiał wrażenie, jakby mój problem wcale go nie wzruszył. Okazał taki sam kompletny brak empatii jak w zeszłym tygodniu, kiedy prezentowałem mu swoją koncepcję.

— Nie wiem. Chyba musisz sobie poszukać innego miejsca. Mam na linii drugą rozmowę — oznajmił i przerwał połączenie.

Potoczyłem wzrokiem po ogromnej sali. Była wielka jak boisko futbolowe. Za ustawionymi w rzędach biurkami siedziały setki ludzi, którzy krzyczeli do telefonów, wymachiwali rękami i wskazywali na monitory komputerów, usiłując nadrobić małe rozbieżności w cenach wszelkich aktywów finansowych, jakie tylko można sobie wyobrazić. Tu i ówdzie pośród tej zgiełkliwej ciżby trafiały się wolne biurka, ale nie można było ot tak zająć sobie któregoś z nich. Trzeba było dostać od kogoś pozwolenie.

Starając się ukryć skrępowanie, podszedłem do sekcji rynków wschodzących, ponieważ znałem jej szefa. Gdy mu opisałem problem, okazał zrozumienie, ale najzwyczajniej nie miał wolnych miejsc, więc odesłał mnie do sekcji obligacji europejskich. Tam sytuacja okazała się taka sama.

Postanowiłem spróbować w sekcji instrumentów pochodnych, gdzie zauważyłem kilka pustych krzeseł. Podszedłem do szefa zespołu tak dyskretnie, jak tylko umiałem, i przedstawiłem się, napomykając przy okazji o Bobbym Ludwigu. Facet nawet nie raczył na mnie spojrzeć i musiałem mówić do jego potylicy.

Gdy skończyłem, okręcił się na fotelu obrotowym i odchylił na oparcie.

— Co ty sobie wyobrażasz? — rzucił w odpowiedzi. — Nie możesz tak sobie tu wejść i pytać o biurko. To jest, kurwa, śmieszne. Nie masz gdzie siedzieć, to idź do zarządu i załatwiaj z nimi.

Mężczyzna prychnął pogardliwie, po czym obrócił się z powrotem do monitorów i sięgnął po słuchawkę telefonu, na którym migotała dioda, informując o połączeniu.

Odszedłem jak niepyszny. Maklerzy nigdy nie słynęli z dobrych manier, ale mimo wszystko byłem zdeprymowany. Jeszcze raz zadzwoniłem do Bobby'ego.

— Bobby, próbowałem, ale nikt mi nie chce dać biurka. Czy mógłbyś coś zrobić?

Tym razem Bobby wpadł w złość.

— Billy, czemu zawracasz mi tym głowę? Jeżeli nie chcą ci dać biurka, to pracuj w domu. Nie obchodzi mnie, gdzie pracujesz. Tu chodzi o inwestycje w Rosji, a nie jakieś biurka.

— Dobrze, w porządku — odparłem, nie chcąc popsuć naszych relacji. — Ale w takim razie co z zezwoleniem na wjazd i zwrotem wydatków?

— Zajmę się tym — odburknął Bobby i rozłączył się.

Następnego dnia odebrałem w domu ekspresową przesyłkę kurierską, w której znajdowało się dwadzieścia podpisanych in blanco formularzy autoryzacji podróży. Wypełniłem skrupulatnie jeden z nich, przefaksowałem do działu delegacji Salomon Brothers i dwa dni później otrzymałem bilet do Moskwy.

Zaraz po przybyciu do Moskwy założyłem prowizoryczne biuro w pokoju hotelu Bałczug-Kempinski, który stoi na południowym brzegu rzeki Moskwy naprzeciwko cerkwi Wasyla Błogosławionego. Pierwszy krok polegał na dostarczeniu pieniędzy do Rosji, co oznaczało, że potrzebowaliśmy kogoś, kto mógłby odebrać gotówkę i pomóc nam kupić czeki prywatyzacyjne. Na szczęście znaleźliśmy rosyjski bank, którego właściciel był krewnym jednego z pracowników Salomon Brothers. Bobby uznał, że takie rozwiązanie będzie lepsze niż wysyłanie naszych pieniędzy do pierwszego lepszego banku w Rosji, nakazał więc komuś w administracji przygotować wszystkie dokumenty i na przetarcie nowego szlaku zatwierdził przelew miliona dolarów.

Dziesięć dni później zaczęliśmy kupować czeki prywatyzacyjne.

Na początek trzeba było podjąć pieniądze w banku. Przyglądałem się, jak kasjerzy wyjmują ze skarbca nowiutkie studolarowe banknoty i wkładają je do płóciennego worka o rozmiarach torby sportowej. Wtedy to po raz pierwszy w życiu zobaczyłem milion dolarów w gotówce i, co dziwne, nie był to wcale imponujący widok. Następnie grupa ochroniarzy zabrała pieniądze i zawiozła je opancerzonym samochodem na giełdę.

Moskiewska giełda czeków prywatyzacyjnych mieściła się kilka przecznic od placu Czerwonego, w zakurzonej sali kongresowej z czasów komunizmu naprzeciwko domu towarowego GUM. Pod zawieszoną u sufitu tablicą elektroniczną ustawiono rozkładane stoliki turystyczne, tworząc z nich kilka okręgów. Wszystkie transakcje przeprowadzano w gotówce, a ponieważ dostęp był nieograniczony, każdy mógł przynieść pieniądze lub czeki i robić interesy. Nie było żadnej ochrony, więc na miejscu cały czas kręcili się strażnicy bankowi.

Sposób, w jaki owe czeki trafiły do Moskwy, to zupełnie odrębna historia. Kiedy Rosjanie otrzymali je za darmo od państwa, nie mieli pojęcia, co z nimi robić, i często zadowalali się wymianą na butelkę wódki wartą 7 dolarów albo kilka połci wieprzowiny. Kilku bardziej przedsiębiorczych osobników masowo skupywało czeki w małych wioskach, by sprzedać je pośrednikom w większych miastach po 12 dolarów za sztukę. Taki pośrednik jechał potem do Moskwy i na jednym z rozkładanych stolików w rogu giełdy sprzedawał plik tysiąca lub dwóch tysięcy czeków po 18 dolarów każdy. Na koniec czeki trafiały w ręce jeszcze poważniejszych handlarzy i w pakietach po dwadzieścia pięć tysięcy sztuk albo i więcej były sprzedawane na stolikach pośrodku sali po 20 dolarów. Czasem niektóre jednostki omijały całą tę procedurę i czaiły się na obrzeżach giełdy, próbując znaleźć dobrą cenę za niewielkie zwitki czeków. Pośród tej obfitości gotówki i papierów wartościowych kłębili się różnej maści cwaniacy, biznesmeni, bankierzy, kanciarze, uzbrojeni strażnicy, brokerzy, moskwianie oraz handlarze z prowincji — a wszyscy byli pionierami wkraczającymi na nieznany ląd.

Na początek za pakiet dziesięciu tysięcy czeków zaoferowałem cenę 19,85 dolara od sztuki. Kiedy ogłosiłem swoją propozycję, dookoła zapanowało poruszenie, a jakiś mężczyzna podał mi kartkę z wydrukowaną na niej liczbą 12. Udałem się do stolika oznaczonego tym numerem w asyście pracowników banku i ochroniarzy. Wyjęliśmy gotówkę, a ludzie siedzący po drugiej stronie blatu rozłożyli przed nami czeki. Jeden ze sprzedawców brał zapakowane po dziesięć tysięcy pliki studolarówek i wkładał je jedną po drugiej do liczarki banknotów. Maszyna pracowała z furkotem, dopóki na wyświetlaczu nie ukazała się kwota 198.500. W tym samym czasie dwaj ludzie z

mojego zespołu liczyli czeki, sprawdzając, czy nie ma wśród nich falsyfikatów. Po blisko trzydziestu minutach transakcja została sfinalizowana. Zabraliśmy czeki do opancerzonego samochodu, a sprzedawca ze stanowiska numer dwanaście zrobił to samo z gotówką.

Taką operację powtarzaliśmy wielokrotnie przez kilka tygodni, aż spółka Salomon Brothers weszła w posiadanie czeków prywatyzacyjnych o wartości 25 milionów dolarów. Była to jednak dopiero połowa przedsięwzięcia. Teraz musieliśmy zainwestować czeki prywatyzacyjne w akcje rosyjskich spółek, co odbywało się na tak zwanych aukcjach czeków. Były one o tyle nietypowe, że do momentu zakończenia aukcji żaden z nabywców nie znał ceny, którą miał zapłacić. Gdyby na aukcję przyszła tylko jedna osoba, przynosząc tylko jeden czek prywatyzacyjny, wszystkie akcje wystawione na sprzedaż podlegałyby wymianie na ten jeden czek. Z drugiej strony, gdyby stawili się wszyscy mieszkańcy Moskwy, każdy ze swoim czekiem, cała pula akcji zostałaby równo rozdzielona między wszystkie czeki biorące udział w aukcji.

Sytuacja taka sprzyjała nadużyciom i wiele spółek uciekało się do różnych podstępów, by nie dopuścić ludzi do uczestnictwa w aukcjach, dzięki czemu podstawione osoby mogły tanio kupić ich akcje. Podobno Surguneftegaz, wielka spółka naftowa z Syberii, była zamieszana w zamknięcie portu lotniczego w noc poprzedzającą aukcję jej udziałów. Inna spółka naftowa zablokowała drogę przy użyciu płonących opon, aby nikt nie mógł dotrzeć na aukcję.

Ponieważ aukcje czeków prywatyzacyjnych były tak osobliwe i trudne do rozgryzienia, przyciągały niewiele osób — zwłaszcza z Zachodu. Spowodowało to gwałtowny spadek popytu, wskutek czego ceny były porażająco niskie nawet jak na rosyjskie standardy. Starannie przeanalizowałem każdą większą aukcję czeków prywatyzacyjnych, która odbyła się w przeszłości, i odkryłem, że za każdym razem kurs akcji znacząco wzrastał w stosunku do ceny, jaką osiągnęły one na aukcji — czasem dwukrotnie lub trzykrotnie. Gdyby taki stan nadal się utrzymywał, nasza firma w zasadzie miała gwarancję ogromnych zysków już za sam udział w aukcjach.

Kiedy tylko zaczęliśmy gromadzić czeki prywatyzacyjne, bacznie obserwowałem rządowe ogłoszenia o aukcjach. Na koniec poradziłem Bobby'emu, abyśmy wzięli udział w sześciu z nich, na których między innymi wystawiono na sprzedaż akcje rosyjskiej spółki naftowej Lukoil, państwowej kompanii energetycznej JeES Rossii oraz operatora telekomunikacyjnego Rostelecom.

Gdy doprowadziliśmy nasze przedsięwzięcie do końca, spółka Salomon Brothers zainwestowała 25 milionów dolarów w akcje o bezprecedensowo zaniżonej wartości. Bobby i ja byliśmy przekonani, że Salomon zarobi fortunę. Trzeba było tylko poczekać.

A nie musieliśmy czekać długo. W 1994 roku tygodnik „Economist” opublikował artykuł *Czy pora postawić na Rosję?* Przedstawiał on w przystępny sposób tę samą kalkulację dotyczącą wyceny rosyjskich spółek, którą przeprowadziłem, będąc pierwszy raz w Moskwie. W ciągu następnych dni miliarderzy, menedżerowie funduszy inwestycyjnych oraz inni spekulanci giełdowi zaczęli dzwonić do swoich brokerów, każąc im śledzić akcje rosyjskich spółek. Sprawiło to, że kiełkujący rynek giełdowy w Rosji zaczął się rozwijać, i to w oszałamiającym tempie.

W krótkim czasie wartość naszego portfela akcji wzrosła do 125 milionów dolarów. Zarobiliśmy sto milionów.

Za sprawą tego sukcesu stałem się bohaterem na londyńskim parkiecie Salomon Brothers, gdzie w końcu znalazło się dla mnie biurko. Ci sami „kumple”, którzy kiedyś ode mnie stronili, teraz co rano ustawiali się w kolejce, zanim jeszcze zjawiłem się w pracy, licząc, że dam im jakąś szansę, by mogli pomnożyć swoje pieniądze na rosyjskiej giełdzie.

W ciągu następnych tygodni zaczęli mnie również odwiedzać czołowi brokerzy, którzy w imieniu Salomon Brothers obracali wielkim kapitałem, i pytać, czy nie byłbym łaskaw spotkać się z ich najważniejszymi klientami.

— Bill, wyświadczyłbyś mi wielką uprzejmość, gdybyś zechciał do mnie wstąpić i poznać George’a Sorosa.

— Bill, Julian Robertson[2] będzie niezwykle rad, jeśli opowiesz mu coś o Rosji.

— Bill, czy znalazłbyś trochę czasu dla sir Johna Templetona[3]?

Oczywiście byłem łaskaw! Śmiechu warte — oto najpotężniejsi inwestorzy na świecie chcieli słuchać tego, co ja, dwudziestodziewięcioletni wiceprezes spółki[4], mam do powiedzenia. Latałem pierwszą klasą po całym świecie na koszt Salomon Brothers. Odwiedziłem San Francisco, Paryż, Los Angeles, Genewę, Chicago, Toronto, Nowy Jork, Bahamy, Zurych i Boston. Prawie po każdym spotkaniu słyszałem:

— Bill, czy mógłbyś zainwestować dla nas trochę pieniędzy w Rosji?

Nie miałem gotowej odpowiedzi na takie pytanie. Nasza sekcja była wówczas nastawiona na obracanie własnymi pieniędzmi i nie mogła zarządzać cudzym kapitałem.

— Nie wiem — odpowiadałem. — Pozwolisz, że skontaktuję się z moimi szefami i zapytam, czy na to zezwolą.

Tego rodzaju decyzja nie leżała w gestii Bobby’ego. Może i był naszym najlepszym inwestorem, ale nie miał uprawnień do rozstrzygania w tego rodzaju kwestiach. Zatem tuż po powrocie do Londynu odwiedziłem dyrektora do spraw handlowych i

wyłuszczyłem mu całą sprawę. W przeciwieństwie do moich poprzednich doświadczeń, kiedy to nikt nie chciał słuchać o Rosji, tym razem spotkałem się z dużo cieplejszym przyjęciem.

— To świetny pomysł, Bill. Bardzo mi się podoba. Coś ci powiem. Powołamy specjalny zespół, który to zbada.

Specjalny zespół? Ki czort? Ci ludzie zawsze musieli wszystko komplikować. Oto roztaczała się przed nimi szansa na złoty interes, a oni puszczali w ruch swoje korporacyjne absurdy.

Usiadłem za biurkiem i dziesięć minut później zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Beny Steinmetz, charyzmatyczny izraelski miliarder, którego poznałem podczas moich wojaży, kiedy to reprezentowałem Salomon Brothers na całym świecie. Beny dobiegał czterdziestki, miał zielone oczy o przenikliwym spojrzeniu i krótko przycięte kręcone włosy. Odziedziczył rodzinne imperium w branży diamentowej i był jednym z największych klientów indywidualnych Salomon Brothers.

— Bill, dużo myślałem o twojej prezentacji, którą przeprowadziłeś w Nowym Jorku kilka tygodni temu. Właśnie jestem w Londynie i chciałbym, żebyś wstąpił do Four Seasons i poznał kilku moich współpracowników.

— Kiedy?

— Teraz.

Beny nie zadawał pytań. On stawiał żądania.

Na to popołudnie miałem zaplanowanych kilka spotkań, ale nie były one tak ważne jak miliarder, który chciał inwestować w Rosji, więc odwołałem je wszystkie, po czym wskoczyłem do taksówki i kazałem się zawieźć na Hyde Park Corner. Kiedy wszedłem do hotelowego baru, zauważyłem Beny'ego w towarzystwie kilku ludzi, którzy pracowali w jego spółce diamentowej. Przedstawił nas sobie. Poznałem Nira z Republiki Południowej Afryki, Dave'a z Antwerpii i Moszego z Tel Awiwu.

Przysiadłem się do nich. Beny nie tracił czasu na uprzejmości.

— Bill, myślę, że powinniśmy wejść w układ.

Schlebiało mi, że ktoś tak zamożny jak Beny zareagował tak entuzjastycznie na moją wizję, ale przyglądając się jemu i jego towarzyszom, pomyślałem, że to niemożliwe, abym został wspólnikiem tej zbieraniny z różnych zakątków świata. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Beny dodał:

— Wyłożę pierwsze dwadzieścia pięć milionów. Co o tym sądzisz?

To sprawiło, że się zawahałem.

— Brzmi interesująco. Jak zamierzasz to zorganizować?

Beny i jego współpracownicy wdali się w chaotyczny wywód, z którego wynikało, że nie mają prawie żadnego pojęcia o zarządzaniu aktywami. Wiedzieli tylko tyle, że mają pieniądze i chcą mieć ich

więcej. Byłem jednocześnie podekscytowany i rozczarowany.

Wychodziłem z hotelu przekonany, że jest to dokładnie to, co chciałbym robić, ale z drugiej strony na pewno nie chciałbym tego robić z ludźmi tego pokroju co oni. Ten dylemat nie dawał mi spokoju przez resztę dnia i całą noc. Gdybym chciał działać na własną rękę, musiałbym zainwestować jakieś fundusze, ale nie wyobrażałem sobie, żeby spółka z Benym i jego kompanami wypaliła, ponieważ ci ludzie nie mieli doświadczenia w obracaniu aktywami, podobnie zresztą jak ja. Koniec końców byłem zmuszony odmówić Beny'emu.

Następnego dnia rano zadzwoniłem do niego i zebrałem się w sobie, aby sprostać temu niełatwemu wyzwaniu i powiedzieć miliarderowi „nie".

— Beny, twoja oferta jest naprawdę kusząca, ale niestety nie mogę jej przyjąć. Przykro mi, ale potrzebuję partnera, który zna się na zarządzaniu aktywami. Nie jest to również twoja dziedzina, nawet przy całej twojej wiedzy. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Nikt nie spławiał Beny'ego Steinmetza, on jednak teraz odpowiedział mi bez cienia zawodu:

— Oczywiście, że rozumiem. Jeżeli potrzebujesz kogoś z doświadczeniem w zarządzaniu aktywami, to ci go przyprowadzę.

Wzdrygnąłem się, słysząc te słowa. Wyobraziłem sobie, że wraca z kuzynem zatrudnionym w jakiejś małej firmie brokerskiej i stawia mnie w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji, gdyż jestem zmuszony powtórnie mu odmówić.

Beny zadzwonił dwadzieścia minut później.

— A co byś powiedział, gdyby Edmond Safra wszedł z nami w ten interes?

Edmond Safra! Safra był właścicielem nowojorskiego Republic National Bank i w świecie wielkiej finansjery cieszył się wyjątkowym poważaniem. Jeżeli Edmond Safra był skłonny przyłączyć się do tego przedsięwzięcia, było to jak wygrana na loterii.

— Tak, to by rozwiązało nasz problem. Jestem bardzo zainteresowany, Beny.

— Dobrze. Zorganizuję spotkanie.

Jeszcze tego samego popołudnia Steinmetz odezwał się ponownie.

— Wszystko gotowe. Leć do Nicei i bądź jutro w południe na molo Carltona w Cannes.

Ale ja muszę jutro być w pracy — pomyślałem.

— Beny, a nie moglibyśmy tego załatwić w przyszłym tygodniu, żebym mógł…

— Safra jest gotów spotkać się z tobą jutro — przerwał mi Beny, a w jego głosie dało się słyszeć rozdrażnienie. — Myślisz, że tak łatwo umówić się z nim na spotkanie?

— Och, no jasne. W porządku, będę tam jutro.

Kupiłem bilet i następnego dnia rano włożyłem garnitur, pojechałem prosto na Heathrow i zgłosiłem się do odprawy na lot do Nicei o 7.45. Wcześniej zadzwoniłem do działu transakcji giełdowych i udając chrapliwy kaszel, oświadczyłem, że potrzebuję dnia wolnego.

Po przybyciu do Nicei wsiadłem w taksówkę i zgodnie z instrukcją Beny'ego udałem się do hotelu Carlton w Cannes. Portier myślał, że chcę się zameldować, tymczasem ja zapytałem go, jak się dostać na molo. Wskazał na drugą stronę Boulevard de la Croisette, gdzie widniał długi szary pomost, który przecinał plażę, sięgając daleko w morze. Przeszedłem przez ulicę, mrużąc oczy — okulary przeciwsłoneczne zostawiłem w pochmurnym Londynie — i wszedłem na molo. Stąpając po deskach, mijałem pięknych opalonych ludzi w skąpych strojach kąpielowych. Z moją bladą cerą i ubrany w czarny wełniany garnitur zupełnie nie pasowałem do otoczenia. Gdy dotarłem na koniec mola, byłem cały spocony. Spojrzałem na zegarek. Było za pięć dwunasta.

Parę minut później dostrzegłem zbliżający się od zachodu jasny kadłub jachtu motorowego. Gdy podpłynął bliżej, rozpoznałem siedzącego za sterem Beny'ego. Miliarder zatrzymał czternastometrowego biało-niebieskiego sunseekera przy krawędzi pomostu i krzyknął:

— Bill, wsiadaj!

Beny był ubrany jak playboy z Lazurowego Wybrzeża w cienką morelową koszulę i białe lniane spodnie. Kontrast między naszymi strojami nie mógł być bardziej uderzający. Niepewnie wskoczyłem na pokład.

— Zdejmij buty — rozkazał Beny.

Wypełniłem polecenie, odsłaniając czarne skarpetki sięgające nad kostkę.

Beny skierował jacht w stronę morza, a gdy opuściliśmy przystań, natychmiast przyspieszył. Próbowałem nawiązać rozmowę na temat spotkania i Safry, ale warkot silnika i szum wiatru wszystko zagłuszały. Pędziliśmy na wschód w stronę Nicei, po drodze mijając położone na półwyspie Antibes i przecinając wody Baie des Anges, by pół godziny później zawinąć do portu Villefranche-sur-Mer.

Beny wpłynął na wolne miejsce przy kei, zacumował łódź i pospiesznie zamienił kilka zdań po francusku z kapitanem portu na temat postoju łodzi. Gdy skończył, udaliśmy się na parking, gdzie dwaj uzbrojeni ochroniarze zaprowadzili nas do czarnego mercedesa. Samochód wspinał się krętymi drogami w stronę jednego z najwyżej położonych punktów górujących nad Villefranche. W końcu wjechaliśmy na teren rozległej posesji, na której, jak się później dowiedziałem, stała najdroższa rezydencja na świecie. To była willa La Leopolda. Przypominała pałac w Wersalu, z taką tylko różnicą, że

tutaj roiło się od ochroniarzy rekrutujących się z byłych agentów Mosadu, którzy patrolowali okolicę ubrani w czarne kamizelki taktyczne i uzbrojeni w uzi oraz sig-sauery.

Wysiedliśmy z samochodu i pod eskortą przeszliśmy przez wielobarwny ogród, który wypełniał plusk wody w fontannach otoczonych przyciętymi na szpic cyprysami. Wprowadzono nas do przestronnego i urządzonego z przepychem salonu, z którego rozpościerał się widok na morze. Ściany zdobiły osiemnastowieczne obrazy olejne w złoconych drewnianych ramach, a nad naszymi głowami wisiał ogromny kryształowy żyrandol. Safra nie czekał na nas, co nie było żadnym zaskoczeniem. Dowiedziałem się później, że zgodnie ze standardowym ceremoniałem obowiązującym w tym domu goście powinni przybyć na miejsce i przygotować się do spotkania, zanim pojawi się gospodarz, aby nie marnować jego czasu. Ponieważ Beny zajmował jedną z niższych pozycji w otoczeniu miliardera, również podlegał tej zasadzie.

Kwadrans później Safra wszedł do salonu. Wstaliśmy, aby się z nim przywitać.

Safra był mężczyzną niskiego wzrostu o nalanej twarzy, rumianych policzkach i życzliwym uśmiechu.

— Witam, panie Browder — odezwał się z wyraźnym bliskowschodnim akcentem. — Proszę siadać.

Nigdy wcześniej nie widziałem Safry, nawet na zdjęciach, i przekonałem się, że swoim wyglądem ani trochę nie przypomina on archetypicznego Władcy Wszechświata o kwadratowej szczęce, jak zapewne wyobrażała go sobie większość ludzi. Miał na sobie swobodny strój, beżowe spodnie i elegancką, szytą na miarę włoską koszulę, do której nie nosił krawata. Wszyscy Chipowie i Winthropowie świata stroili się w drogie garnitury, czerwone szelki i rolexy. Dla człowieka pokroju Safry takie rzeczy nie miały znaczenia. On był ponad tym wszystkim.

Po krótkim wstępie Beny'ego zaprezentowałem gospodarzowi moją standardową ofertę. Safra szybko się rozpraszał i średnio co pięć minut albo odbierał telefon, albo do kogoś dzwonił i prowadził rozmowę, która nie miała kompletnie nic wspólnego z poruszanym przeze mnie tematem. Przerywał mi tyle razy, że nie byłem pewien, czy dotarły do niego jakiekolwiek informacje.

Kiedy już powiedziałem wszystko, Safra wstał, dając nam do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Podziękował mi za poświęcony czas i pożegnał się ze mną. Nic więcej.

Jeden z asystentów miliardera wezwał taksówkę, która miała mnie odwieźć na lotnisko. Kiedy czekałem na wysypanym żwirem podjeździe, podszedł do mnie Beny.

— Myślę, że się udało.

— Czyżby? Nie sądzę.

— Znam Edmonda — pocieszył mnie Beny. — Wszystko poszło dobrze.

Podjechała taksówka. Wsiadłem do środka i wróciłem do domu.

Na piątek zostało wyznaczone spotkanie specjalnego zespołu badawczego Salomon Brothers. Po przybyciu do pracy skierowałem kroki prosto do sali posiedzeń. Byłem zaskoczony, że przeznaczono na to tak duże pomieszczenie. Przed dziesiątą sala zaczęła się wypełniać i w ciągu kwadransa przyszło czterdzieści pięć osób. Większości z nich nigdy wcześniej nie widziałem. Zebrali się tam dyrektorzy zarządzający wyższego i niższego szczebla, członkowie rady nadzorczej, wyżsi rangą wiceprezesi — no i ja. W trakcie dyskusji rozpętała się wielka kłótnia o to, kto ma otrzymać dotację na ten nowy rosyjski interes. Odnosiłem wrażenie, jakbym oglądał walkę kogutów, i był to naprawdę imponujący widok, kiedy ludzie, którzy nie mieli absolutnie nic wspólnego z tym przedsięwzięciem, potrafili przytoczyć tyle mocnych argumentów przemawiających za tym, że należy im się udział w przyszłych zyskach. Nie potrafiłem przewidzieć, kto wygra tę przepychankę, ale nie miałem żadnych wątpliwości, kto ją przegra — i byłem to ja.

Spotkanie to wytrąciło mnie tak bardzo z równowagi, że przez kilka nocy nie mogłem spać. Nie zarobiłem dla firmy równowartości pięciu moich pensji, lecz sto razy więcej i nie zamierzałem pozwolić, żeby jacyś nadęci korporacyjni wyrobnicy zwinęli mi ten interes sprzed nosa.

Podjąłem decyzję. W poniedziałek przyszedłem do pracy, wziąłem głęboki oddech, po czym udałem się do gabinetu dyrektora do spraw handlowych i złożyłem wymówienie. Powiedziałem mu, że wybieram się do Moskwy, żeby założyć własną firmę inwestycyjną.

Postanowiłem nazwać ją Hermitage Capital.

Rozdział 8
Greenacres

Chociaż byłem przekonany, że odejście z pracy jest słusznym posunięciem, nie mogłem powstrzymać obaw, że wypływając na szerokie wody, napotkam wiele trudności. Czy bez wizytówki Salomon Brothers będę miał jakieś szanse? Czy ludzie potraktują mnie poważnie? Na co liczę, decydując się działać na własną rękę?

Takie pytania kotłowały mi się w głowie, kiedy ślęczałem w moim domu w Hampstead, opracowując broszurę informacyjną i ofertę mojego funduszu. Kiedy dokumenty nabrały zadowalającego kształtu, kupiłem bilet do Nowego Jorku i zacząłem dzwonić do inwestorów, by uzgodnić z nimi terminy spotkań.

Pierwszym z nich był Jean Karoubi. Ten pięćdziesięcioletni jowialny Francuz prowadził firmę zarządzającą aktywami, której specjalnością było inwestowanie w fundusze hedgingowe. Poznaliśmy się rok wcześniej na wiosnę podczas podróży do Moskwy i Karoubi oznajmił, że gdybym kiedyś założył własny fundusz, powinienem się z nim skontaktować.

Udałem się do jego biura, które mieściło się w Crown Building na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, zaledwie przecznicę od luksusowego domu mody Bergdorf Goodman. Gdy przybyłem na miejsce, Karoubi powitał mnie jak starego przyjaciela. Wyjąłem swoją ofertę i położyłem przed nim na stole, a on założył okulary i śledził ją uważnie strona za stroną, podczas gdy ja omawiałem poszczególne punkty. Kiedy skończyłem, zsunął okulary na czubek nosa i spojrzał na mnie z zadowoleniem.

— To robi wrażenie, Bill, a ja jestem zainteresowany. Powiedz mi, ile pieniędzy pozyskałeś do tej pory?

— Cóż, tak naprawdę nic. To moje pierwsze spotkanie.

Karoubi w zamyśleniu potarł podbródek.

— Coś ci powiem. Jeżeli uda ci się zebrać przynajmniej dwadzieścia pięć milionów, dodaję od siebie trzy. Zgoda?

Jego propozycja była ze wszech miar rozsądna. Nie chciał wpuszczać pieniędzy w fundusz, który nie nabierze rozmachu, bez względu na to, jak obiecująco jawiły się jego inwestycje. Wszystkie moje spotkania w Nowym Jorku miały niemal identyczny przebieg. Większości potencjalnych inwestorów podobała się moja koncepcja i niektórzy byli nią zainteresowani, lecz nikt nie chciał się angażować, dopóki ze swojej strony nie zagwarantuję masy krytycznej kapitału potrzebnej na rozruch.

W zasadzie potrzebowałem kogoś, kto wypisałby mi czek na

potężną sumę, abym mógł wcielić w życie swój plan. W idealnym świecie kimś takim byłby Edmond Safra, on jednak nie odzywał się od czasu naszego spotkania. Oznaczało to, że muszę znaleźć innego inwestora głównego, więc zarzuciłem sieć.

Pierwsza konkretna odpowiedź nadeszła kilka tygodni później z brytyjskiego banku inwestycyjnego o nazwie Robert Fleming. Było powszechnie wiadomo, że bank ten odnosił sukcesy na rynkach wschodzących i przymierzał się do inwestycji w Rosji, toteż otrzymałem zaproszenie do Londynu na spotkanie z kilkoma członkami zarządu.

Spotkanie przebiegło pomyślnie i poproszono mnie, żebym tydzień później jeszcze raz przedstawił swoją ofertę jednemu z dyrektorów. Gdy zjawiłem się tam ponownie, przy wejściu powitał mnie pracownik ochrony, w którego asyście udałem się do sali posiedzeń. Pomieszczenie to wyglądało dokładnie tak, jak dekorator wnętrz mógłby sobie wyobrażać siedzibę brytyjskiego banku handlowego o wielowiekowych arystokratycznych tradycjach. Podłogę pokrywały ciemne dywany o orientalnych wzorach, na środku stał zabytkowy stół konferencyjny z mahoniu, a ściany zdobiły portrety olejne członków rodziny Flemingów. Ubrany w białą marynarkę kamerdyner podał mi herbatę w porcelanowej filiżance. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że cała ta wielkopańska otoczka w angielskim stylu ma na celu sprawić, aby człowiek taki jak ja poczuł się tu obcym ignorantem.

Kilka minut później zjawił się pięćdziesięcioletni mężczyzna, który anemicznie uścisnął mi dłoń na powitanie. Miał siwe włosy, a na ramionach jego szytej na miarę, lekko pogniecionej marynarki dostrzegłem ślady łupieżu. Zasiadł przy stole i z przezroczystej teczki wyjął zapisaną kartkę, którą starannie położył przed sobą na blacie. Przeczytałem odwrócony do góry nogami nagłówek: „Oferta funduszu Browdera".

— Panie Browder, jestem niezmiernie rad, że pan przybył — powiedział z angielskim akcentem, bliźniaczo podobnym do tego, z jakim mówił George Ireland, mój dawny kolega z biura w Maxwell Communication Corporation. — Możliwości inwestowania w Rosji, które nam pan zaprezentował w zeszłym tygodniu, zrobiły wielkie wrażenie na mnie i moich współpracownikach. Przechodząc do rzeczy, chciałbym się dowiedzieć, jakiej oczekuje pan pensji i premii.

Pensja i premia? Skąd mu przyszło do głowy, że ja szukam u nich pracy? Po tym, co przeżyłem w takim gnieździe żmij jak Salomon Brothers, nie miałem najmniejszej ochoty wysługiwać się tej bandzie napuszonych dyletantów, którzy udawali biznesmenów, a swoje emocje wyrażali, nadużywając słowa „niezmiernie".

— Obawiam się, że musiało zajść jakieś nieporozumienie —

odparłem, starając się opanować drżenie głosu. — Nie przyszedłem tu na rozmowę kwalifikacyjną. Chciałbym pomówić o tym, czy pański bank zostanie głównym inwestorem mojego funduszu.

— Och. — Wyraźnie zbity z tropu dyrektor zaczął wertować leżące przed nim notatki. Takiego rozwoju wypadków jego scenariusz nie przewidywał. — No dobrze, a jakiego rodzaju transakcję ma pan nadzieję z nami zawrzeć?

— Szukam wkładu inwestycyjnego w kwocie dwudziestu pięciu milionów dolarów w zamian za pięćdziesiąt procent udziału w interesie — odparłem, patrząc mu prosto w oczy.

Dyrektor potoczył wzrokiem po ścianach, unikając mojego spojrzenia.

— Hm. Ale skoro nam przypadnie pięćdziesiąt procent udziału, to do kogo należy pozostałe pięćdziesiąt?

Miałem poważne wątpliwości, czy ten człowiek sobie nie żartuje.

— Do mnie.

Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

— Ale jeśli rynek rosyjski przyniesie takie zyski, o jakich pan mówi, zarobi pan miliony.

— No i o to chodzi. Ale pan również zarobi.

— Niezmiernie mi przykro, panie Browder. Układ tego rodzaju u nas na pewno by nie przeszedł — oznajmił dyrektor, ani trochę nie zdając sobie sprawy, jak śmiesznie zabrzmiały jego słowa. To, że jakiś dorobkiewicz mógłby się wzbogacić, w jego mniemaniu tak bardzo kłóciło się z archaicznymi zasadami brytyjskiego systemu klasowego, że wolał raczej pozbawić go tej szansy, aniżeli zarobić fortunę dla swojego banku.

Spotkanie dobiegło końca w uprzejmej atmosferze, ale wychodząc, poprzysiągłem sobie nigdy więcej nie wracać do żadnego z tych nadętych banków.

W ciągu najbliższych tygodni zaliczyłem jeszcze wiele falstartów i zapędziłem się w wiele ślepych uliczek, aż w końcu natrafiłem na amerykańskiego miliardera Rona Burkle'a. Burkle'owi przedstawił mnie Ken Abdallah, były broker z Salomon Brothers, w nadziei, że coś mu odpalę za ten kontakt.

Burkle był czterdziestotrzyletnim kawalerem z Kalifornii o płowych włosach i ładnie opalonej skórze. Należał do najbardziej liczącym się inwestorów na Zachodnim Wybrzeżu. Człowiek ten, który zaczynał swoją karierę jako pakowacz towaru przy sklepowej kasie, przeprowadził szereg udanych zakupów lewarowanych i znalazł się na liście najbogatszych Amerykanów magazynu „Forbes". Prócz sukcesów w biznesie gościł regularnie na stronach kronik towarzyskich w otoczeniu gwiazd Hollywood i grubych ryb ze świata polityki, jak choćby prezydent Clinton.

Był piękny słoneczny dzień, gdy we wrześniu 1995 roku przyleciałem do Los Angeles. Odebrałem samochód z wypożyczalni, zameldowałem się w hotelu i spojrzałem na adres Burkle'a — 1740 Green Acres Drive, Beverly Hills. Wsiadłem z powrotem do samochodu i pognałem w stronę wzgórz wznoszących się nad Los Angeles, po drodze mijając okazałe bramy rezydencji i pełne kwiatów ogrody. Wszędzie rosły drzewa — palmy, klony i dęby, a gdzieniegdzie również platany. Green Acres Drive była oddalona około półtora kilometra od Sunset Boulevard, a posesja numer 1740 znajdowała się na końcu ślepej ulicy. Zatrzymałem samochód przed czarną żelazną bramą i nacisnąłem przycisk domofonu. Z głośnika dobiegł męski głos, który kazał mi wjeżdżać.

— Będę czekał przy wejściu, Bill — dodał na koniec.

Brama otworzyła się i wjechałem na drogę, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się rzędy szpiczastych cyprysów. Gdy skręciłem na parking, moim oczom ukazała się najbardziej wystawna rezydencja, jaką kiedykolwiek widziałem. La Leopolda mogła być najdroższą willą świata, ale Greenacres zbudowana pod koniec lat dwudziestych przez gwiazdora kina niemego, Harolda Lloyda, należała do największych. Główny budynek miał czterdzieści cztery pokoje i zajmował powierzchnię przeszło czterech tysięcy metrów kwadratowych. Ten okazały pałac w stylu włoskiego renesansu otaczały wypielęgnowane trawniki, kort tenisowy, basen, liczne fontanny i wszelkie atrybuty bogactwa, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nigdy nie zachwycałem się zbytnio cudzymi posiadłościami, ale Greenacres naprawdę robiła wrażenie. Burkle był zwyczajnym facetem z Pomony w Kalifornii, który od zera doszedł do poziomu życia godnego saudyjskiego księcia.

Nacisnąłem dzwonek przy drzwiach. Burkle otworzył mi osobiście, a tuż za nim stał Ken Abdallah. Gospodarz powitał mnie i prowadził po rezydencji, a potem we trzech udaliśmy się do jego gabinetu, aby omówić warunki kontraktu. Burkle był zadziwiająco odprężony i w zasadzie przystał na moją propozycję — wkład inwestycyjny wysokości 25 milionów dolarów w zamian za 50 procent udziałów w funduszu. W mniej ważnych kwestiach, jak data rozpoczęcia działalności, nadzór nad zatrudnianiem pracowników i kapitał obrotowy, nie miał wiele do powiedzenia. Jak na człowieka o reputacji jednego z najostrzejszych graczy na Wall Street wydawał się wręcz niefrasobliwy.

Kiedy się już dogadaliśmy, Burkle zaprosił mnie i Kena na kolację, a potem do swojego ulubionego klubu nocnego. Byłem zaskoczony jego miłym usposobieniem. Nie przejawiał typowego dla bywalców Wall Street zuchwalstwa, którego się spodziewałem. Gdy na koniec wspólnego wieczoru wsiadałem do samochodu, zapewnił mnie, że jego prawnicy opracują umowę i za kilka dni wyślą mi ją do Londynu.

Nazajutrz leciałem z powrotem do domu i towarzyszyło mi poczucie, że usunąłem największą przeszkodę, jaka zagradzała mi drogę do rozkręcenia własnego biznesu. Na pokładzie samolotu wypiłem lampkę czerwonego wina, wznosząc cichy toast za pomyślność, obejrzałem początek filmu i zasnąłem.

Zgodnie z obietnicą cztery dni później faks w moim domu w Hampstead wypluł sążnisty dokument sporządzony przez prawników Burkle'a. Pełen niespokojnego podniecenia chwyciłem kartki i zacząłem czytać, by sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Pierwsza strona była w porządku. Tak samo druga, trzecia i następne. Ale potem doszedłem do siódmej. W paragrafie zatytułowanym „Kapitał funduszu", w miejscu, gdzie powinny widnieć słowa: „Yucaipa[5] powierza funduszowi 25 milionów dolarów", było napisane: „Yucaipa dołoży wszelkich starań, aby pozyskać dla funduszu 25 milionów dolarów". Co miały oznaczać te „wszelkie starania"? To nie było to, na co się umawiałem. Jeszcze raz przeczytałem umowę, by się upewnić, że nie popełniłem jakiegoś błędu. Nie popełniłem. Burkle nie angażował w mój fundusz żadnych pieniędzy, a jedynie obiecywał je zdobyć, jeżeli mu się uda. I w zamian za swoje starania oczekiwał połowy udziałów.

Nic dziwnego, że był taki rozluźniony podczas negocjacji, skoro niczego nie ryzykował!

Niezwłocznie zadzwoniłem do jego biura, ale sekretarka poinformowała mnie uprzejmie, że pan Burkle jest nieosiągalny. Zadzwoniłem jeszcze trzy razy, ale wciąż słyszałem to samo. Postanowiłem odezwać się do Kena Abdallaha.

— Wiem, że próbujesz skontaktować się z Ronem — powiedział Ken z beztroską kalifornijską manierą, jak gdyby właśnie wrócił z plaży. — W czym ci mogę pomóc?

— Posłuchaj, Ken. Właśnie dostałem umowę, z której wynika, że Ron tak naprawdę nie inwestuje pieniędzy w fundusz, a tylko oferuje pomoc w ich zdobyciu. Nie tak się umawialiśmy — wyjaśniłem zwięźle.

— Bill, byłem przy tym i Ron przystał właśnie na takie warunki — odparł Ken znacznie ostrzejszym tonem. Już nie mówił jak wyluzowany chłopak z Kalifornii.

— Ale co będzie, jeśli nie uda mu się zdobyć tych pieniędzy?

— To proste. Jego pięćdziesiąt procent wraca do ciebie.

Czy ci faceci zdawali sobie sprawę, w co się bawią? Burkle mógł zyskać prawo do połowy udziałów w moim funduszu w zamian za to, że zadzwoni do kilku osób i zdoła pozyskać od nich pieniądze. A jeśli nie znajdzie czasu, by chwycić za telefon, albo jeśli jego przyjaciele nie zechcą inwestować, ja zostanę w pustym biurze w Moskwie.

Ken słyszał, że jestem poirytowany, ale nie chciał, żebym się

wycofał, gdyż wtedy straciłby swoją dolę.

— Posłuchaj, Bill, nie masz o co się martwić. Ron jest jednym z najbardziej obrotnych finansistów w tym kraju. Jeżeli mówi, że zdobędzie dwadzieścia pięć milionów, to tak się stanie. Robił dużo większe interesy z zamkniętymi oczami. Po prostu wrzuć na luz. Wszystko dobrze się ułoży. Jestem tego pewien.

Ja wcale nie byłem tego pewien. Ale zgodziłem się przemyśleć całą sprawę. Być może usłyszałem to, co tak bardzo chciałem usłyszeć, i dlatego wbiłem sobie do głowy, że Burkle zgodził się zainwestować 25 milionów. Jakkolwiek do tego doszło, sprawa przybrała nieprzyjemny obrót. Powinienem był od razu zerwać umowę, ale nie miałem innych możliwości, a czas płynął nieubłaganie. Okazja, która nadarzała się w Rosji, nie mogła trwać wiecznie. Wiedziałem, że kiedy rosyjski rynek zacznie zwyżkować, umknie mi coś, co wydaje się jedyną w życiu szansą na zdobycie fortuny.

To Edmond Safra, a nie Burkle, był tak naprawdę człowiekiem, z którym chciałem współpracować, więc postanowiłem spróbować ostatniego podejścia. Nie mogłem skontaktować się z nim bezpośrednio, więc odszukałem Beny'ego, który akurat przebywał w Antwerpii. Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

— Cześć, Beny, mówi Bill. Wybacz, że nie odzywałem się przez jakiś czas, ale przez wzgląd na uprzejmość chciałem cię powiadomić, że zdecydowałem się zawrzeć układ z Ronem Burkle'em, żeby założyć fundusz w Rosji.

Beny milczał przez chwilę. Obaj wiedzieliśmy, że nie zadzwoniłem z uprzejmości.

— Co takiego? Kto to jest Burkle?

— To amerykański miliarder w branży supermarketów.

— Wydawało mi się, że potrzebujesz kogoś, kto ma doświadczenie w zarządzaniu aktywami. Czy ten Burkle się na tym zna?

— Nie wiem, ale tobie i Safrze najwyraźniej przeszło zainteresowanie moją propozycją.

Beny znów zamilkł.

— Zaczekaj, Bill — powiedział wreszcie. — Nie przeszło nam. Nie rób nic, dopóki się do ciebie nie odezwę. W tej chwili dzwonię do Edmonda.

Rozłączyłem się i zacząłem przechadzać się po domu tam i z powrotem w nerwowym oczekiwaniu. Godzinę później rozległ się dzwonek telefonu.

— Właśnie rozmawiałem z Edmondem — oznajmił Beny. — Jest gotów wejść z tobą w ten układ.

— Naprawdę? Jesteś pewien? Tak po prostu?

— Tak, Bill. Właśnie mi to powiedział. Zaproponował, że pojutrze

przyleci do ciebie z Genewy jeden z jego pełnomocników, Sandy Koifman. Ja też się wybiorę do Londynu i od razu sfinalizujemy sprawę.

Taka była psychika typowego miliardera. Gdybym nie miał konkurencyjnej oferty, Safra nie kiwnąłby palcem. Ale kiedy na horyzoncie pojawił się inny kontrahent, Safra nie mógł się oprzeć.

Dwa dni później o 11 udałem się na spotkanie z Benym i Sandym w wytwornej pięciopiętrowej kamienicy przy Berkeley Square, która należała do Safry. Sandy był wysokim mężczyzną około czterdziestki o smagłej cerze i śródziemnomorskich rysach twarzy. Ten były pilot myśliwca w Izraelskich Siłach Powietrznych słynął ze śmiałych posunięć na rynkach finansowych oraz upodobania do ferrari, a także ze swojej roztropności, która pozwalała mu chronić Safrę przed problemami. Poczułem, że Sandy taksuje mnie badawczym spojrzeniem. Lubił przemaglować każdego, zanim przystąpił do jakichkolwiek interesów, ale teraz Safra kazał mu dobić targu, więc do tego się ograniczył.

Propozycja była prosta i uczciwa — Edmond Safra i Beny Steinmetz zainwestują 25 milionów dolarów w mój fundusz i tym samym zapewnią mi kapitał początkowy na rozruch spółki. Bank Safry będzie przeprowadzał transakcje, kontrolował wartość aktywów i zajmował się wszystkimi dokumentami. Co najważniejsze, jeżeli się spiszę, Safra poleci mnie wszystkim swoim klientom, do których należeli członkowie najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodów świata. W zamian Safra ma prawo do połowy zysków i daje część swojej doli Beny'emu za to, że nas ze sobą poznał. Nie było nad czym się zastanawiać i z miejsca na wszystko się zgodziłem.

Kontrakt ten sprawiał mi szczególną satysfakcję, gdyż Safra słynął z tego, że robił interesy wyłącznie z ludźmi, których on i jego rodzina znają od pokoleń. Był to z jego strony bezprecedensowy gest, że zgodził się na transakcję z nieznanym kontrahentem. Nie miałem pojęcia, dlaczego zrobił ten wyjątek, ale nie zamierzałem podawać w wątpliwość tego szczęśliwego splotu wydarzeń. Sandy zdawał się czytać w moich myślach, bo kiedy zaakceptowałem warunki umowy, powiedział:

— Gratuluję, Bill. Wiem, że Edmond jest tym bardzo podekscytowany, ale ja będę cię bacznie obserwował.

Tydzień później otrzymałem umowę od prawników Safry. W przeciwieństwie do umowy Burkle'a miała ona dokładnie taką treść, jakiej się spodziewałem, i wkrótce potem ją podpisaliśmy. Kiedy powiadomiłem Burkle'a, że nie wchodzę z nim w interesy, wściekł się, obrzucił mnie przekleństwami i zagroził pozwem. Skończyło się na pogróżkach, ale przynajmniej poznałem w końcu jego prawdziwe oblicze, z którego słynął.

Teraz byłem gotowy do działania. Przez ostatnie miesiące przed końcem roku dopinałem wszystko na ostatni guzik, przygotowując się na przeprowadzkę do Moskwy. Tylko że do Moskwy nie wyjeżdżałem sam, gdyż poznałem dziewczynę.

Miała na imię Sabrina i spotkaliśmy się pół roku wcześniej na hucznej imprezie w Camden Town. Była piękną ciemnowłosą Żydówką z północno-zachodniej części Londynu, niepodobną do wszystkich, jakie dotychczas znałem. Pod jej miłą powierzchownością kryła się mieszanka żarliwej determinacji i subtelnej wrażliwości, której nie potrafiłem się oprzeć. Została sierotą w momencie narodzin i adoptowała ją jakaś biedna rodzina ze wschodniego Londynu, ale jakoś udało się jej opuścić East End, pozbyć się cockneyowskiego akcentu i dostać rolę w operze mydlanej. Tamtej nocy, gdy się poznaliśmy, razem wyszliśmy z przyjęcia i pojechaliśmy prosto do niej. Od tamtej pory byliśmy nierozłączni. Po dwóch tygodniach dałem jej klucze do mojego domu, a dzień później, kiedy wróciłem z joggingu, zastałem w holu dwie duże walizki. Zamieszkaliśmy razem, choć nigdy wcześniej żadne z nas nawet o tym nie wspominało. W innych okolicznościach ostudziłoby to mój zapał, ale byłem tak oczarowany Sabriną, że mogłaby zrobić wszystko, a ja nie miałbym nic przeciwko temu.

Po podpisaniu umowy z Safrą zadzwoniłem do niej z kancelarii prawniczej i umówiłem się z nią na wieczór w Ken Lo, naszej ulubionej chińskiej restauracji nieopodal Victoria Station, aby uczcić mój sukces. Podczas kolacji Sabrina była dziwnie przygnębiona i nie miałem pojęcia, co się dzieje. Ale potem, kiedy jedliśmy deser, nachyliła się w moją stronę i powiedziała:

— Bill, jestem naprawdę szczęśliwa, że ci się udało, ale nie chcę cię stracić.

— Nie stracisz mnie — odparłem z czułością. — Wyjeżdżasz ze mną.

— Bill, jeżeli chcesz, żebym wszystko rzuciła i przeprowadziła się z tobą do Moskwy, to musisz się ze mną ożenić. Mam trzydzieści pięć lat i chcę mieć dzieci, zanim będzie za późno. Nie mogę włóczyć się z tobą po świecie dla rozrywki.

Potrafiła być beztroska, seksowna i szalona, ale pod tym wszystkim kryła się zwyczajna żydowska dziewczyna, która chciała założyć rodzinę, i to pragnienie doszło do głosu tamtego wieczoru w Ken Lo. Nie chciałem z nią zrywać, lecz małżeństwo po zaledwie półrocznej znajomości wydawało się pochopną decyzją. Nic nie odpowiedziałem, a po powrocie do domu Sabrina zaczęła się pakować.

Przyjechała taksówka, a ona bez słowa otworzyła drzwi i nieporadnie zaczęła taszczyć ciężkie walizki, idąc żwirową ścieżką w stronę ulicy. Tak bardzo przytłaczała mnie myśl o rozstaniu, że w

jednej chwili podjąłem decyzję. Skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Pobiegłem za nią i zastąpiłem jej drogę.

— Sabrino, ja też nie chcę cię stracić. Pobierzmy się, wyjedźmy do Moskwy i zacznijmy wspólne życie.

W jej oczach zakręciły się łzy. Upuściła walizki, po czym rzuciła mi się w objęcia i pocałowała mnie.

— Dobrze, Bill. Chcę być wszędzie tam gdzie ty i robić z tobą wszystko. Kocham cię.

Rozdział 9
Noc na podłodze w Davos

Wszystko zaczynało się układać. Dostałem 25 milionów dolarów od Safry, miałem wspaniałe pomysły na inwestycje i oto czekała mnie w Moskwie wspaniała przygoda, którą miałem przeżyć wraz z moją ukochaną. Było jednak coś, co mogło obrócić wszystko w ruinę — wybory prezydenckie w Rosji, które miały się odbyć w czerwcu 1996 roku.

Borys Jelcyn, pierwszy w historii Rosji prezydent, który osiągnął ten urząd w drodze demokratycznych wyborów, przygotowywał się do reelekcji, ale sytuacja nie zapowiadała się dla niego korzystnie. Jego plan przejścia od komunizmu do kapitalizmu zakończył się spektakularną porażką. Zdobycze masowej prywatyzacji miały zostać rozdzielone między 150 milionów obywateli, tymczasem 39 procent rosyjskiej gospodarki znalazło się w rękach dwudziestu dwóch oligarchów, a cała reszta kraju żyła w biedzie. Aby powiązać koniec z końcem, profesorowie musieli zamienić się w taksówkarzy, pielęgniarki zaczęły parać się prostytucją, a muzea wyprzedawały bezcenne dzieła sztuki. Niemal wszyscy Rosjanie czuli się zastraszeni i upokorzeni, a winą za to obarczali Jelcyna. Kiedy w grudniu 1995 roku przygotowywałem się do przeprowadzki do Moskwy, wskaźnik poparcia dla Jelcyna wynosił zaledwie 5,6 procent. Tymczasem Giennadij Ziuganow, jego komunistyczny rywal, piął się w sondażach i cieszył się największym poparciem spośród wszystkich kandydatów.

Wielu ludzi obawiało się, że jeśli Ziuganow zostanie prezydentem, państwo skonfiskuje cały majątek, jaki został sprywatyzowany. Potrafiłem znieść w Rosji wiele niedogodności, takich jak hiperinflacja, strajki, brak żywności, a nawet przestępczość w miejscach publicznych. Ale gdyby rząd najzwyczajniej przejął wszystko i oświadczył, że kapitalizm się skończył, byłaby to katastrofa.

Zastanawiałem się, co mam robić. Wciąż była szansa, że Jelcyn wygra, więc nie zamierzałem się wycofywać z umowy zawartej z Safrą. Ale z drugiej strony nie mogłem też ulokować jego pieniędzy w kraju, który mógł je zagarnąć dosłownie z dnia na dzień. Zadecydowałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie przeprowadzić się do Moskwy i czekać. Fundusz mógł przetrzymać wszystkie pieniądze w gotówce aż do momentu, gdy stanie się jasne, kto wygra wybory. W najgorszym wypadku mogłem zwrócić Safrze jego wkład, wrócić do Londynu i zacząć wszystko od nowa.

Niezależnie od moich planów Sandy Koifman miał własną wizję

ochrony interesów Safry. Zadzwonił do mnie w styczniu 1996 roku i oświadczył, że zanim otrzymam jakiekolwiek pieniądze, muszę opracować coś, co nazwał zestawem procedur operacyjnych. Co to, do cholery, jest? — pomyślałem. Tego nie było w umowie. Safrę najwyraźniej tchórz obleciał i żądanie to wydawało się elegancką formą gry na zwłokę, dzięki której zyskiwał czas na zastanowienie, czy brnąć w to dalej, czy odstąpić od umowy.

Mogłem sprzeciwić się Sandy'emu, ale nie chciałem niczego robić na siłę. Zacząłem pracować nad powierzonym mi przez niego zadaniem, śledząc wyniki badań opinii publicznej w Rosji, by się przekonać, czy sprawy przybierają korzystny dla mnie obrót.

Już od tygodnia ślęczałem nad procedurami operacyjnymi, gdy zadzwonił do mnie mój przyjaciel, Marc Holtzman. Poznaliśmy się w Budapeszcie pięć lat wcześniej, kiedy pracowałem dla Maxwella. Marc zarządzał bankiem inwestycyjnym skoncentrowanym na krajach Europy Wschodniej oraz Rosji i cechowała go niespotykana zdolność nawiązywania kontaktów biznesowych. Można go było wysłać do dowolnego z krajów rozwijających się, a w ciągu dwudziestu czterech godzin był w stanie zorganizować spotkanie z prezydentem, ministrem spraw zagranicznych i prezesem banku centralnego. Chociaż był moim rówieśnikiem, czułem się przy nim jak amator, ilekroć przejawiał swoje wybitne zdolności polityczne.

— Cześć, Bill — odezwał się Marc, gdy tylko podniosłem słuchawkę. — Wybieram się do Davos. Chcesz się przyłączyć?

Marc mówił o Światowym Forum Ekonomicznym odbywającym się co roku w Davos w Szwajcarii, na którym gościli prezesi wielkich przedsiębiorstw, miliarderzy i głowy państw. Była to najbardziej elitarna impreza w świecie biznesu, a warunki uczestnictwa — kierowanie państwem albo korporacją o globalnym znaczeniu, jak również wpisowe w wysokości 50 tysięcy dolarów — miały na celu sprawić, by takie płotki jak Marc i ja nie mogły ot tak sobie „wybrać się do Davos".

— Z wielką przyjemnością, ale nie zostałem zaproszony — odparłem i nie było to nic odkrywczego.

— No i co z tego? Ja też nie!

Z niedowierzaniem pokręciłem głową na tę wyjątkową kombinację tupetu, ignorancji i awanturnictwa, jaka cechowała Marca.

— No dobra, ale gdzie się zatrzymamy? — spytałem, zwracając uwagę na kolejną przeszkodę, ponieważ było powszechnie wiadomo, że miejsca we wszystkich hotelach w promieniu wielu kilometrów są zarezerwowane z rocznym wyprzedzeniem.

— Och, to nie problem. Znalazłem pojedynczy pokój w hotelu Beau Sejour, w samym centrum miasta. Żadnych zbytków, ale będzie

zabawnie. Nie każ się prosić!

Wahałem się. Miałem dużo pracy. Ale wtedy Marc dodał z podnieceniem:

— Bill, musisz tam być. Zorganizowałem uroczystą kolację dla Giennadija Ziuganowa.

Giennadija Ziuganowa? Jak, do cholery, coś takiego mu się udało?

Najwyraźniej Marc był na tyle dalekowzroczny, że zaskarbił sobie względy Ziuganowa na długo przed tym, jak ten zaczął się liczyć na scenie politycznej. Kiedy ogłoszono, że Ziuganow pojawi się w Davos, Marc zadzwonił do niego i oświadczył: „Kilku znanych mi miliarderów i prezesów spółek z pięćsetki «Fortune» bardzo chce pana poznać. Czy byłby pan zainteresowany spotkaniem z nami przy kolacji w Davos?". Oczywiście Ziuganow był zainteresowany. Wtedy Marc napisał do wszystkich miliarderów i prezesów, którzy mieli przybyć do Davos, informując każdego z nich: „Giennadij Ziuganow, prawdopodobnie następny prezydent Rosji, chciałby osobiście pana poznać. Czy znajdzie pan czas, by zjeść z nim kolację dwudziestego szóstego stycznia?". Oczywiście wszyscy znaleźli czas. I w taki oto sposób Marc wszystko zorganizował. Była to prymitywna strategia, ale zadziwiająco skuteczna.

Dowiedziawszy się o Ziuganowie, skwapliwie przyjąłem zaproszenie. W najbliższy wtorek polecieliśmy do Zurychu, gdzie wsiedliśmy w pociąg do Davos. Chociaż Davos uchodzi za ekskluzywny kurort, z zaskoczeniem odkryłem, że wcale nie olśniewa luksusem. Miasto ma bardzo praktyczny, wręcz przemysłowy układ i należy do najbardziej zaludnionych w Alpach Szwajcarskich, a duże i funkcjonalne bloki mieszkalne przywodzą raczej na myśl budownictwo komunalne aniżeli coś, czego oczekiwałoby się po modnym ośrodku narciarskim.

Marc i ja zameldowaliśmy się w Beau Sejour. Recepcjonista nie krył rozbawienia na widok dwóch dorosłych mężczyzn, którzy wynajmują pokój z jednym łóżkiem, ale nie zawracaliśmy sobie tym głowy. Udaliśmy się na górę i rozpakowaliśmy bagaże. Marc zajął łóżko, a ja ulokowałem się na podłodze.

Wszystko to wydawało się komiczne. Byliśmy totalnymi intruzami. Nie zostaliśmy zaproszeni, nie uiściliśmy wpisowego i nie mieliśmy przepustek, które umożliwiały wstęp do centrum konferencyjnego. Ale wszystko to nie miało znaczenia, ponieważ wydarzenie, które nas interesowało, miało się rozegrać w hotelu Sunstar, gdzie spotykali się wszyscy Rosjanie.

Zostawiliśmy swoje rzeczy w pokoju, po czym udaliśmy się do Sunstar i obeszliśmy hol. Kręcili się tam Rosjanie różnej maści i kalibru. Od razu spostrzegłem znajomego biznesmena, Borysa

Fiodorowa, prezesa małej firmy brokerskiej z Moskwy, który w latach 1993–1994 pełnił funkcję ministra finansów w rosyjskim rządzie. Był korpulentny, miał krótkie brązowe włosy i pucołowate policzki, a zza okularów w prostokątnych ramkach spoglądały podobne do paciorków świdrujące oczy. Fiodorow roztaczał wokół siebie aurę wyniosłości, co było o tyle niedorzeczne, że nie przekroczył nawet czterdziestki. Kiedy Marc i ja podeszliśmy do stolika, przy którym pił kawę, spojrzał na nas z protekcjonalną miną i zapytał po angielsku:

— Co wy tu robicie?

Poczułem się jak w szkole. Może kiedyś Fiodorow pełnił urząd ministra finansów, ale teraz był tylko drobnym moskiewskim brokerem.

— Mam dwadzieścia pięć milionów dolarów do zainwestowania w Rosji — oświadczyłem od niechcenia. — Ale zanim je zainwestuję, muszę się dowiedzieć, jakie są szanse Jelcyna na zwycięstwo w wyborach. Oto co tutaj robię.

W chwili gdy wypowiedziałem słowa „dwadzieścia pięć milionów dolarów", postawa Fiodorowa zmieniła się całkowicie.

— Proszę, Bill, proszę, przysiądź się. Kim jest twój kolega?

Przedstawiłem Marca i zajęliśmy miejsca przy stoliku.

— Nie martw się o wybory, Bill — niemal natychmiast oznajmił Fiodorow. — Jelcyn wygra bez dwóch zdań.

— Skąd ta pewność? — zapytał Marc. — Ma zaledwie sześć procent poparcia.

Fiodorow uniósł rękę i wykonał zamaszysty gest skierowanym w stronę holu palcem.

— Oni tego dopilnują.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i rozpoznałem trzech mężczyzn. Byli to Borys Bieriezowski, Władimir Gusiński i Anatolij Czubajs. Wszyscy trzej stali w kącie, pośród tłoczącego się tłumu. Bieriezowski i Gusiński należeli do najbardziej osławionych rosyjskich oligarchów. Obaj pojawili się znikąd i tratując każdego, kto stanął im na drodze, pięli się na szczyt, by zostać właścicielami wartych miliardy banków, stacji telewizyjnych oraz wielkich zakładów przemysłowych. Z kolei Czubajs był jednym z najbardziej przebiegłych politycznych graczy. To on opracował reformy ekonomiczne Jelcyna, do których należał również nieszczęsny program masowej prywatyzacji. W styczniu 1996 roku zrezygnował ze stanowiska w rządzie, by skupić się całkowicie na ratowaniu słabnącej pozycji Jelcyna w wyborach prezydenckich.

Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale obserwując tę scenę, która rozegrała się w holu hotelu Sunstar, byłem naocznym świadkiem niesławnego „Paktu z diabłem", kiedy to oligarchowie postanowili zaangażować całe swoje zaplecze medialne i środki

finansowe w walkę o reelekcję Jelcyna. W zamian mogli przejąć niemal za darmo wszystko to, co zostało z niesprywatyzowanych rosyjskich spółek.

Gdy Marc i ja przechadzaliśmy się po holu, inni oligarchowie i pomniejsi bogacze, z którymi rozmawialiśmy, zgodnie powtarzali opinię Fiodorowa o zwycięstwie Jelcyna. Niewykluczone, że wszyscy mieli rację, ale równie dobrze mogli tylko prognozować taki rozwój wypadków, na jakim im zależało. Rosyjscy miliarderzy nigdy nie należeli do najbardziej wiarygodnych ludzi na świecie, a Jelcynowi dużo jeszcze brakowało do uzyskania 51 procent poparcia, które gwarantowały mu prezydenturę.

Pomyślałem, że o wiele rozsądniej będzie poznać intencje kandydata zajmującego czołową pozycję w zmaganiach, niż słuchać mrzonek powtarzanych przez ludzi, którzy mogli stracić wszystko, gdyby Jelcyn przegrał. Przyjechałem tam właśnie po to, żeby wybadać Ziuganowa i sposobność ku temu miała się nadarzyć podczas kolacji zorganizowanej przez Marca.

Wieczorem 26 stycznia wszedłem do zatłoczonej jadalni w hotelu Flüela. Był to jeden z dwóch pięciogwiazdkowych hoteli w Davos i Marc dokonał nie lada wyczynu, zamawiając tam salę. Zorganizowany przez niego bankiet okazał się najgłośniejszym wydarzeniem tego wieczoru.

Stoły tworzyły wielki kwadrat, po którego zewnętrznej stronie stały krzesła. Przyglądałem się gościom, kiedy wchodzili i zajmowali miejsca. Nigdy w życiu nie widziałem tylu znakomitości zgromadzonych z jednym miejscu — byli tam między innymi George Soros; Heinrich von Pieter, dyrektor generalny Siemensa; Jack Welch, dyrektor generalny General Electric, i Percy Barnevik, dyrektor generalny Asea Brown Boveri. W sumie zebrało się tam dwudziestu kilku miliarderów i dyrektorów oraz Marc i ja. Włożyłem swój najlepszy garnitur, by nie odstawać od reszty, wiedziałem jednak, że jako jedyny z obecnych będę tej nocy spał na podłodze.

Kilka minut po tym, jak wszyscy zasiedli przy stole, do sali dostojnym krokiem wszedł Ziuganow w asyście tłumacza oraz dwóch ochroniarzy i zajął honorowe miejsce. Marc z brzękiem trącił kieliszek czubkiem noża i wstał.

— Bardzo wam wszystkim dziękuję, że jesteście z nami tego wieczoru. Mam wielki zaszczyt wyprawić tę kolację na cześć Giennadija Ziuganowa, przywódcy Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej i kandydata na prezydenta — powiedział i zawiesił głos. Ziuganow już miał wstać, by również wygłosić toast, lecz wtedy Marc dodał z ożywieniem: — Chciałbym także podziękować mojemu przyjacielowi, Billowi Browderowi, który pomógł mi wszystko zorganizować. — Marc skierował w moją stronę otwartą dłoń. — Bill?

Podniosłem się z krzesła i stojąc na ugiętych nogach, zdawkowo skinąłem ręką, po czym usiadłem z powrotem. Czułem się potwornie zawstydzony. Był to ze strony Marca miły gest, że wyraził uznanie dla mojej osoby, lecz w tamtym momencie miałem ochotę zapaść się pod ziemię.

Gdy wszyscy skończyli główne danie, Ziuganow wstał i wygłosił przemówienie, którego treść dotarła do nas za pośrednictwem tłumacza. Plątał się bezładnie, poruszając najróżniejsze pozbawione znaczenia tematy, aż w końcu oświadczył:

— Ci, którzy obawiają się, że zamierzam przeprowadzić ponowną nacjonalizację, mogą spać spokojnie.

Ocknąłem się z odrętwienia i wytężyłem słuch.

— Obecnie komunizm to tylko etykietka — ciągnął Ziuganow. — Procesu prywatyzacji, który został zapoczątkowany w Rosji, nie da się cofnąć. Gdybyśmy chcieli upaństwowić własność prywatną, od Kaliningradu do Chabarowska wybuchłyby zamieszki. — Na koniec zdawkowo skinął głową i rzekł: — Mam nadzieję, że ponownie zobaczymy się w tym gronie, kiedy będę prezydentem Rosji.

Wszyscy milczeli oszołomieni, tymczasem Ziuganow usiadł, chwycił widelec i zajął się deserem. Czyżby faktycznie wykluczył możliwość powrotu do nacjonalizacji? Tak to zabrzmiało.

Wkrótce potem kolacja dobiegła końca, a Marc i ja wróciliśmy do naszego pokoju. Leżałem na podłodze i w mojej głowie kotłowały się myśli. Jeżeli Ziuganow mówił prawdę, niezależnie od tego, kto wygra wybory, mogłem znów zająć się interesami. Musiałem jak najszybciej podzielić się tą wiadomością z Sandym Koifmanem.

Następnego dnia z samego rana zadzwoniłem do niego do Genewy i opowiedziałem mu o wszystkim, ale nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Naprawdę mu wierzysz, Bill? Ci ludzie są skłonni obiecać wszystko.

— Sandy, ale Ziuganow powiedział to w obecności najpotężniejszych biznesmenów świata. To musi coś znaczyć.

— To nic nie znaczy. Ludzie kłamią, politycy kłamią, każdy kłamie. Na Boga, masz do czynienia z rosyjskim politykiem. Gdybym wierzył we wszystko, co mówią politycy, Safra już dawno byłby bankrutem.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale wszystko, co usłyszałem w Davos, napełniło mnie przeczuciem, że istnieje przynamniej mała szansa powodzenia i zamierzałem stanąć na głowie, by tę szansę wykorzystać.

Rozdział 10
Akcje uprzywilejowane

Półtora miesiąca po powrocie z Davos zakończyłem wreszcie opracowywanie zestawu procedur operacyjnych, którego zażądał ode mnie Sandy. Teraz musiał przesłać mi pieniądze, które Safra ulokował w moim funduszu, albo zerwać umowę.

Gdyby notowania Jelcyna zatrzymały się na poziomie 5,6 procent, Sandy z pewnością zrobiłby to drugie. Ale plan oligarchów okazał się skuteczny. Na początku marca poparcie dla Jelcyna wzrosło do 14 procent, wskutek czego Sandy znalazł się w kłopotliwym położeniu. Zawarta w umowie klauzula zastrzegała, że jeśli Safra się wycofa, będzie musiał zapłacić wielomilionowe odszkodowanie. Aczkolwiek gdyby Sandy uwolnił fundusze, a Jelcyn przegrał wybory, Safra mógłby stracić znacznie więcej. Aby jeszcze trochę zyskać na czasie, Sandy przelał na moje konto 100 tysięcy dolarów kapitału obrotowego, dzięki czemu mogłem przynajmniej założyć biuro w Moskwie.

Ja również byłem w rozterce. Nie podobała mi się perspektywa przeprowadzki do Moskwy bez żadnego realnego kapitału, ale też nie widziałem sensu, by zbytnio nalegać. Gdyby Safra zdecydował się teraz odstąpić od umowy, w ciągu trzech miesięcy poprzedzających wybory w Rosji nie zdołałbym znaleźć innego inwestora, który byłby gotów wyłożyć 25 milionów dolarów.

Zająłem się pracą i kontynuowałem przygotowania do przeprowadzki z Sabriną, ale nasze stosunki zaczęły się komplikować. Sabrina zaszła w ciążę niemal w tej samej chwili, gdy się jej oświadczyłem, i teraz dokuczały jej silne poranne nudności. Była w tak złym stanie, że kilka razy musiałem jechać z nią do szpitala, aby ją nawodniono.

Gdy w przeddzień wyjazdu do Moskwy pakowaliśmy w sypialni nasze walizki, powiedziała w końcu to, czego się obawiałem.

— Bill, myślałam o tym całą noc i…

— Co takiego?

— Przepraszam cię, ale nie mogę wyjechać z tobą do Rosji.

— Z powodu tych porannych nudności?

— Tak, a poza tym…

— No co? W takim razie dołączysz do mnie, kiedy już przestaną ci dokuczać, zgoda?

Sabrina odwróciła wzrok. Wyglądała na zmieszaną.

— Tak — odparła. — Znaczy, tak sądzę. Sama nie wiem, Bill. Po prostu nie wiem.

Choć bardzo chciałem, żeby była ze mną w Moskwie, nie mogłem mieć do niej pretensji. Miała zostać moją żoną i była ze mną w ciąży. Bez względu na wcześniejsze ustalenia zależało mi przede wszystkim na tym, żeby czuła się spokojna i szczęśliwa. To było najważniejsze.

Zgodziłem się, żeby została, i następnego dnia rano Sabrina zawiozła mnie na Heathrow. Pożegnaliśmy się na chodniku przed terminalem i obiecałem, że będę dzwonił do niej dwa razy dziennie. Pocałowałem ją i wszedłem do holu pełen nadziei, że moja narzeczona wkrótce do mnie dołączy.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, lecąc na wschód. Potem jednak wylądowałem na lotnisku Szeremietiewo, gdzie musiałem stawić czoło tłumom i zmierzyć się z panującym tam chaosem, toteż nie miałem siły myśleć o czymkolwiek, co nie dotyczyło zmagań z moskiewską rzeczywistością.

Miałem długą na dwie strony listę rzeczy do zrobienia, a pierwszym punktem było znalezienie biura. Kiedy już zameldowałem się w hotelu National, zadzwoniłem do Marca Holtzmana, który niedawno założył w Moskwie własne biuro. Powiedział mi, że jeden z lokali w jego sąsiedztwie jest wolny, więc umówiłem się na spotkanie, by niezwłocznie go obejrzeć.

Rankiem następnego dnia stanąłem na chodniku przed hotelem, aby zatrzymać taksówkę. Zanim jednak zdążyłem unieść rękę, pędząca środkowym pasem karetka pogotowia skręciła gwałtownie w stronę krawężnika i zatrzymała się tuż przede mną. Kierowca nachylił się, opuścił szybę w oknie i zapytał:

— Kuda wy jedietie?

Zrozumiałem, że mężczyzna chce wiedzieć, dokąd się wybieram.

— Parus Business Centre — odparłem bez cienia rosyjskiego akcentu i podałem adres: — Twierskaja Jamskaja dwadcat' tri. — To był szczyt mojej biegłości w posługiwaniu się lokalnym językiem. W przeciwieństwie do większości zamieszkałych w Moskwie ludzi Zachodu nigdy nie studiowałem literatury rosyjskiej, nie byłem szkolony na szpiega ani nie robiłem niczego przydatnego, co mogłoby mnie przygotować do życia w Rosji.

— Piat' tysiaczi rubliej — odparł kierowca.

Pięć tysięcy rubli, czyli około jednego dolara, za przejechanie trzech kilometrów.

Kiedy rozmawialiśmy, przy chodniku zatrzymały się cztery inne samochody i czekały w kolejce, na wypadek gdybym nie zdecydował się jechać karetką. Spieszyło mi się, więc wsiadłem. Zajmując miejsce na siedzeniu pasażera, obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, czy z tyłu nie leżą czyjeś zwłoki albo jakiś ranny. Na szczęście nikogo tam nie było. Zatrzasnąłem drzwi, a kierowca włączył się do ruchu i skręcił w ulicę Twerską.

Niebawem przekonałem się, że karetki pogotowia, które zgarniają z ulicy pasażerów, nie są w Moskwie niczym nadzwyczajnym. Każdy pojazd był potencjalną taksówką, zarówno prywatny samochód, jak i śmieciarka, czy nawet radiowóz milicyjny. Wszyscy tak desperacko szukali okazji do zarobku, że bez wyjątku zatrzymywali się i proponowali ludziom podwózkę.

Dziesięć minut później zajechaliśmy przed budynek Parus Business Centre. Wręczyłem kierowcy zapłatę, wysiadłem i przejściem podziemnym dostałem się na drugą stronę ulicy. Wszedłem do środka, minąłem znajdujący się na parterze punkt dealerski Chevroleta i przywitałem się z zarządcą budynku, gadatliwym Austriakiem.

Zarządca zaprowadził mnie do położonego na trzecim piętrze wolnego biura. Było rozmiarów przeciętnej sypialni — miało powierzchnię niespełna dwudziestu metrów kwadratowych.

Za oknami, które dało się uchylić zaledwie na kilka centymetrów, roztaczał się widok na parking i stojące za nim odrapane bloki mieszkalne z epoki komunizmu. Miejsce to nie należało do pięknych, ale było funkcjonalne, miało kilka gniazdek telefonicznych, a w tym samym korytarzu znajdowało się biuro Marca. Austriak chciał cztery tysiące dolarów za miesiąc, była to zatem najdroższa w przeliczeniu na metr kwadratowy przestrzeń biurowa w Moskwie. Próbowałem negocjować czynsz, ale zarządca tylko się roześmiał. Po krótkiej sprzeczce dałem w końcu za wygraną i podpisałem umowę najmu.

Skoro już wynająłem biuro, potrzebowałem również ludzi, którzy pomogliby mi je prowadzić. Chociaż dziesiątki milionów Rosjan rozpaczliwie szukało jakiegoś zarobku, znalezienie w Moskwie dobrego pracownika, który władał angielskim, graniczyło z niemożliwością. Siedemdziesiąt lat komunizmu zniszczyło w całym narodzie etos pracy. Do gułagów trafiały miliony obywateli, którzy wykazywali choćby cień osobistej inicjatywy. Komuniści surowo karali wszelkie przejawy samodzielnego myślenia, toteż instynkt samozachowawczy podpowiadał ludziom, by robić jak najmniej i mieć nadzieję, że nikt nie zwróci na nich uwagi. Było to tak głęboko zakorzenione w umyśle przeciętnego Rosjanina, że chcąc prowadzić w tym kraju biznes w zachodnim stylu, należało zafundować pranie mózgu młodym i nieskażonym pracownikom, aby wpoić im efektywność i zdolność klarownego myślenia, albo znaleźć jakąś fenomenalną osobę, której psychika zdołała się jakoś oprzeć presji komunizmu.

Na szczęście los mi sprzyjał. Lokalna firma brokerska zatrudniająca wielu ludzi przeszkolonych na Zachodzie niedawno zbankrutowała, więc niespełna tydzień po przybyciu do Moskwy udało mi się zatrudnić trzech dobrych pracowników. Byli to Clive, brytyjski trader i specjalista w dziedzinie badania rynku, Swietłana, sekretarka

perfekcyjnie władająca angielskim, i Aleksiej, doświadczony kierowca, który mówił wyłącznie po rosyjsku.

Kiedy wszyscy zebrali się w biurze, wysłałem Swietłanę, aby kupiła jakieś meble. Swietłana, ładna i niewysoka dwudziestodwuletnia Litwinka o ciemnych włosach i pogodnym usposobieniu, z entuzjazmem przystąpiła do powierzonego zadania. Znalazłszy się w sklepie meblowym, zadzwoniła do mnie, żeby powiedzieć mi o pięknych włoskich fotelach i biurkach, które jej zdaniem pasowałyby idealnie do biura.

— Jaka cena? — zapytałem.

— Około piętnastu tysięcy dolarów.

— Piętnaście tysięcy? Chyba żartujesz. A mają tam coś innego?

— Niewiele. Tylko jakieś brzydkie stoliki turystyczne i składane krzesła.

— A one ile kosztują?

— Około sześciuset dolarów.

— Bierzemy je.

Wieczorem stanęły w biurze cztery stoliki turystyczne i osiem składanych krzeseł, a także kwiatek doniczkowy, który Swietłana nabyła z własnej inicjatywy. Później kupiliśmy kilka komputerów i podłączyliśmy je, a w końcu tygodnia moja początkująca firma była gotowa do działania.

Kiedy się urządzałem, poparcie dla Jelcyna nadal rosło, ale do wyborów pozostało jeszcze dwa i pół miesiąca, toteż Sandy nadal się wstrzymywał z uwolnieniem dalszej części funduszy. W tym czasie zacząłem przyglądać się spółkom, w które mógłbym zainwestować, pod warunkiem że Safra wypłaci mi obiecane 25 milionów.

Pierwszą spółką, którą wziąłem pod lupę, były Moskiewskie Zakłady Petrochemiczne, znane pod nazwą MNPZ. W Salomon Brothers zarabialiśmy mnóstwo pieniędzy na rosyjskich spółkach naftowych, toteż moskiewska rafineria jawiła się jako obiecujący punkt wyjścia dla naszych poszukiwań.

Swietłana umówiła mnie z główną księgową MNPZ i na początku kwietnia udaliśmy się na spotkanie w siedzibie spółki. Pulchna jasnowłosa kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w niemodny rdzawoczerwony kostium, powitała nas przed wejściem do starego i brzydkiego budynku. Gdy wprowadziła nas do środka, naszym oczom ukazało się wnętrze, które czasy swojej świetności miało już za sobą. Pod sufitem migotały zepsute lampy, tu i ówdzie w posadzce ziały dziury po brakujących kafelkach, a ściany poszarzały od brudu.

Znalazłszy się w gabinecie głównej księgowej, zadałem jej serię podstawowych pytań.

— Jakie były dochody spółki w ubiegłym roku? Ile wyniósł zysk netto? Czy może mi pani powiedzieć, ile akcji znajduje się w rękach

udziałowców?

Pytania te mogą się wydawać prozaiczne, ale w Rosji takie informacje nie były podawane do wiadomości publicznej i chcąc je zdobyć, należało udać się do siedziby spółki i o wszystko wypytać.

Swietłana tłumaczyła odpowiedzi księgowej na temat dochodów i zysku, ale kiedy poruszyłem temat akcji, kobieta zapytała:

— Chodzi panu o akcje zwykłe czy uprzywilejowane?

Zetknąłem się już wcześniej z pojęciem akcji uprzywilejowanych, ale nie wiedziałem, co księgowa ma na myśli.

— Co to takiego?

— Akcje uprzywilejowane otrzymali w trakcie prywatyzacji nasi pracownicy.

— Czym się różnią od akcji zwykłych?

— Przysługuje im czterdzieści procent zysku z tytułu dywidend.

— A jaki zysk przypada na akcje zwykłe?

— Muszę zobaczyć. — Księgowa podniosła z biurka wielki segregator i przejrzała kilka zaplamionych kartek. — Z tego wynika, że w ciągu ostatniego roku żaden.

— Zatem akcjom uprzywilejowanym przysługują dywidendy w wysokości czterdziestu procent zysków, a akcjom zwykłym nic? — upewniłem się, nie do końca rozumiejąc tę rozbieżność.

— Zgadza się.

Po spotkaniu Swietłana i ja wsiedliśmy do zdezelowanej łady Aleksieja — małego kanciastego samochodu, który był wszechobecny na moskiewskich ulicach — i pojechaliśmy z powrotem do biura. Kiedy przedzieraliśmy się przez popołudniowe korki, zadzwoniłem do Jurija Burzyńskiego, jednego z moich ulubionych miejscowych brokerów. Jurij był rosyjskim imigrantem z Nowego Jorku, który niedawno przeniósł się z powrotem do Moskwy, żeby pracować dla firmy brokerskiej Creditanstalt-Grant. Nie był taki jak inni brokerzy, którzy obracali „akcjami dla turystów", jak je nazywałem, co stanowiło bankowy odpowiednik handlu obnośnego na plaży w Fidżi, gdzie tubylcy liczyli sobie po dziesięć dolarów za kokosy kupione wcześniej na targu po dwadzieścia centów.

Jurij miał dwadzieścia kilka lat i mówił zawsze przyciszonym głosem, jakby miał do przekazania jakąś tajemnicę. Często było trudno go zrozumieć, ale kiedy już się to udawało, zazwyczaj jego informacje okazywały się interesujące.

— Cześć, Jurij. Czy znasz cenę akcji uprzywilejowanych MNPZ? — zapytałem.

— Nie wiem. Być może. Muszę zobaczyć. — Jurij zasłonił dłonią słuchawkę i wymamrotał coś, zwracając się do swojego tradera. W tle usłyszałem jakieś zniekształcone krzyki, a potem odezwał się Jurij. — Tak, mogę ci sprzedać sto tysięcy za pięćdziesiąt centów — powiedział

tak cicho, że musiałem go poprosić, żeby powtórzył.

— A ile za akcje zwykłe?

Jurij znów coś wymamrotał i po chwili otrzymał odpowiedź.

— Sto tysięcy za siedem dolarów.

— Jesteś pewien?

— Tak. Takie są ceny.

Nie chciałem odsłaniać swoich kart, ale czułem, jak serce uderza mi coraz mocniej.

— Jeszcze się odezwę do ciebie w tej sprawie.

Rozłączyłem się i zacząłem główkować. Te akcje uprzywilejowane wydają się o wiele bardziej atrakcyjne od akcji zwykłych. Czy coś jest z nimi nie tak? Dlaczego ich cena jest niższa o 95 procent?

Gdy w końcu dotarliśmy do biura, wysłałem Swietłanę z powrotem do MNPZ po egzemplarz statutu spółki, który powinien zawierać szczegóły dotyczące różnego rodzaju akcji. Wróciła dwie godziny później i zaczęliśmy studiować dokument. Jedyna istotna różnica między akcjami uprzywilejowanymi a zwykłymi polegała na tym, że akcje uprzywilejowane nie dawały ich posiadaczom prawa do głosowania. Nie wydawało się to problemem, ponieważ zagraniczni inwestorzy, tacy jak my, i tak nie głosowali na corocznych walnych zgromadzeniach akcjonariuszy odbywających się w Rosji.

Byłem przekonany, że za tak znaczną obniżką kursu tych akcji musi kryć się jakaś inna przyczyna i przez kilka następnych dni usiłowałem to wyjaśnić. Czy akcje uprzywilejowane miały inną wartość nominalną? Nie. Czy prawo do ich posiadania było ograniczone do pracowników spółki? Nie. Czy wyższe dywidendy mogły być arbitralnie zmieniane lub anulowane przez zarząd spółki? Nie. Czy akcje te reprezentowały tylko nikłą część kapitału zakładowego? Nie. Nie potrafiłem znaleźć żadnej przyczyny tak niskich cen. Jedynym wyjaśnieniem, jakie przychodziło mi do głowy, był fakt, że nikt nie przejawiał zainteresowania tymi akcjami. Nikt przede mną.

Ze zdumieniem odkryłem, że ta anomalia nie ogranicza się do MNPZ. Niemal każda spółka w Rosji emitowała akcje uprzywilejowane i przeważnie kosztowały one znacznie mniej niż akcje zwykłe. To była żyła złota.

Zamierzałem dać Sandy'emu spokój aż do wyborów, ale teraz sytuacja stała się zbyt nagląca. Cena akcji uprzywilejowanych była o 95 procent niższa od ceny akcji zwykłych, te zaś były tańsze od akcji porównywalnych spółek zachodnich, a w ich przypadku różnica cen wahała się w granicach od 90 do 99 procent. Bez względu na obawy Sandy'ego związane z Ziuganowem takie anomalie cenowe spotykało się zbyt rzadko, by je zignorować. Mówimy o wielkim szczęściu, jeśli trafi się nam cena niższa o 30, czy nawet o 50 procent, ale znaleźć coś

tak taniego jest rzeczą niesłychaną. Musiałem natychmiast powiedzieć o tym Sandy'emu.

Kiedy podałem mu liczby, od razu się ożywił i zaczął wypytywać mnie o dodatkowe informacje. Niemal słyszałem, jak obracają się trybiki w jego głowie, kiedy szukał argumentów, aby przekonać Safrę do tej inwestycji.

Dwa dni później agencja badawcza Levada[6] ogłosiła najnowsze wyniki sondaży. Poparcie dla Jelcyna wzrosło z 14 do 22 procent. Mniej więcej dwie minuty po tym, jak wiadomość ta rozeszła się w eterze, zadzwonił mój telefon.

— Widziałeś notowania? — spytał Sandy podnieconym głosem.

— Tak. Fantastyczne, prawda?

— Posłuchaj, Bill, myślę, że powinniśmy zacząć kupować niektóre z tych akcji uprzywilejowanych. Przeleję ci jutro dwa miliony.

Przekazałem tę radosną wiadomość Clive'owi i Swietłanie, przybijając piątkę każdemu z nich. Podszedłem nawet do Aleksieja, który nie nauczył się tego gestu w swojej poprzedniej pracy, czyli w moskiewskiej drogówce. Niezdarnie chwyciłem go za rękę, uniosłem ją i klepnąłem otwartą dłonią w jego dłoń. Wyszczerzył zęby, uśmiechając się do mnie uprzejmie. Udział w tym nowym dziwacznym rytuale rodem z Ameryki najwyraźniej go ucieszył.

Zajęliśmy się interesami i wieczorem następnego dnia wszystkie nowe pieniądze funduszu były już ulokowane w akcjach uprzywilejowanych rosyjskich spółek.

W ciągu kolejnych trzech tygodni poparcie dla Jelcyna podskoczyło z 22 do 28 procent. Po raz pierwszy od początku kampanii wyborczej ludzie zaczęli liczyć się z ewentualnością, że Jelcyn naprawdę może wygrać. Na rynku giełdowym pojawili się nowi nabywcy, dzięki którym wartość inwestycji mojego funduszu wzrosła o 15 procent.

W przeciwieństwie do innych decyzji podejmowanych w życiu, inwestując pieniądze, wystarczy obserwować kursy giełdowe, aby wiedzieć, czy postąpiło się słusznie, czy nie. Nie ma tu miejsca na niejasności czy domysły. Gdy Sandy zobaczył, że jego zainwestowane 2 miliony przyniosły 300 tysięcy zysku, dało mu to większą pewność niż jakiekolwiek analizy finansowe. W sobotę zadzwonił na moją komórkę i powiadomił mnie, że w poniedziałek rano przeleje mi kolejne 3 miliony.

Teraz, kiedy zagrożenie katastrofą stopniowo zanikało, co poskutkowało wzrostem cen akcji, coraz więcej inwestorów, którzy nie chcieli przegapić okazji, zaczęło wkraczać na ten mały i niepewny rynek giełdowy. Nastąpiła gorączka zakupów. Tydzień po tym, jak Safra przelał kolejne 3 miliony, wartość inwestycji funduszu wzrosła o 21 procent. Ponieważ zaczęliśmy inwestować kilka tygodni wcześniej,

ogólny wzrost wynosił 40 procent. W świecie funduszy inwestycyjnych taki wynik byłby podsumowaniem bardzo pomyślnego roku, a nam udało się to osiągnąć w trzy tygodnie!

W następny poniedziałek Sandy przelał kolejne trzy miliony, nawet mi o tym nie mówiąc.

W tym emocjonującym okresie przyszło mi jeszcze uczestniczyć w ślubie — i to własnym. Sabrina i ja planowaliśmy się pobrać 26 maja 1996 roku, zaledwie na trzy tygodnie przed wyborami prezydenckimi w Rosji. W środę pospiesznie udałem się do Londynu, aby poczynić przygotowania do ceremonii.

Zaprosiliśmy dwieście pięćdziesięcioro gości z całego świata i kiedy staliśmy na bimie synagogi w Marble Arch, a Sabrina ślubowała mi, że będzie mnie kochać i szanować do końca swoich dni, byłem wzruszony. W życiu nie słyszałem tak szczerych słów jak te. Wypowiadałem swoją przysięgę, patrząc przez łzy na moją piękną i delikatną żonę. Po ceremonii wyprawiliśmy huczne przyjęcie, a izraelski zespół, który nam przygrywał, na początek wykonał *Hava Nagila*. Wznieśliśmy się w powietrze, stając na krzesłach, a potem tańczyliśmy całą noc. Bawiliśmy się przednio na naszym weselu w otoczeniu krewnych i przyjaciół i wydawało się, że wszystkie planety ustawiły się w zgodnym szyku, aby nam sprzyjać.

Obiecałem Sabrinie miesiąc miodowy, ale było to możliwe dopiero po wyborach, toteż w najbliższy poniedziałek, zmęczony, ale szczęśliwy, odleciałem z powrotem do Moskwy. Gdy zjawiłem się w biurze, Clive powiedział mi, że na nasze konto wpłynęło kolejne 5 milionów od Safry. W ciągu następnych dwóch tygodni otrzymaliśmy dwie kolejne pięciomilionowe transze. W drugim tygodniu czerwca, na tydzień przed wyborami prezydenckimi w Rosji, Safra przelał resztę pieniędzy, inwestując całą obiecaną kwotę 25 milionów, a wartość inwestycji Hermitage Fund wzrosła od samego początku o 65 procent.

Pierwsza tura wyborów prezydenckich odbyła się 16 czerwca. Clive, Swietłana, Aleksiej i ja przybyliśmy do biura o szóstej rano, by śledzić wiadomości z dalekowschodnich rubieży Rosji, gdzie ze względu na różnice między strefami czasowymi wszystko zaczęło się siedem godzin wcześniej. Wyniki były pomyślne dla Jelcyna. Na Sachalinie uzyskał 29,9 procent głosów, wyprzedzając Ziuganowa, na którego głosowało 26,9 procent wyborców. Podobnie było dalej na zachód i w Krasnojarsku Jelcyn zdobył 34 procent. W końcu ogłoszono wyniki w Moskwie, gdzie na Jelcyna oddano 61,7 procent głosów. Ostatecznie Jelcyn pokonał Ziuganowa przewagą 35,3 do 32 procent, a reszta wyborców głosowała na innych, mniej znaczących kandydatów. Jelcyn wygrał, ale ponieważ rosyjska konstytucja wymagała, aby zwycięski kandydat otrzymał 51 procent głosów, 3

lipca miała się odbyć druga tura wyborów.

W ciągu następnych tygodni ci, którzy mieli żywotny interes w reelekcji Jelcyna, postawili na niego wszystko. Trochę się obawiałem, że jest zbyt wcześnie, aby cokolwiek przesądzać, ale niepotrzebnie. W południe 3 lipca było jasne ponad wszelką wątpliwość, że Jelcyn zachowa prezydenturę. Kiedy liczono ostatnie głosy, miał nad Ziuganowem przewagę 14 punktów procentowych.

Rynek giełdowy oszalał, a wartość inwestycji naszego funduszu wzrosła do 125 procent. To było to. Teraz zacząłem robić prawdziwe interesy.

Rozdział 11
Sidanco

W sierpniu 1996 roku przyszła mi do głowy kolejna intrygująca koncepcja dotycząca inwestycji. Było upalne piątkowe popołudnie. Ciszę w naszym biurze rozpraszał jedynie delikatny szum komputerów, pomruk klimatyzatora i brzęczenie wielkiej muchy, która odzywała się od czasu do czasu. W letnie weekendy większość mieszkańców Moskwy wyjeżdżała do swoich podmiejskich domków zwanych daczami. Tego dnia miałem wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi, którzy zostali w mieście.

Kiedy mój skromny zespół już szykował się do wyjścia, zadzwonił telefon.

— Hermitage, zdrawstwujtie — odezwała się Swietłana znudzonym głosem i po chwili zakryła słuchawkę dłonią. — Bill, dzwoni Jurij.

— Jurij? Przełącz go do mnie.

Odebrałem połączenie i usłyszałem stłumiony głos brokera:

— Cześć, Bill, mam czteroprocentowy pakiet akcji Sidanco. Interesuje cię to?

— A co to takiego?

— To wielka spółka naftowa z zachodniej Syberii, o której nikt nie słyszał.

— Kto ją kontroluje?

— Grupa udziałowców pod kierownictwem Potanina.

Wszyscy znali Władimira Potanina, miliardera i oligarchę o zwalistej sylwetce i ospowatej twarzy, który piastował również urząd wicepremiera w rosyjskim rządzie.

— Ile chcą za cztery procent?

— Trzydzieści sześć milionów sześćset.

Chociaż mój fundusz rósł w siłę, nie mogłem sobie pozwolić na tak duży zakup, bez względu na to, jak atrakcyjna byłaby oferta. Aczkolwiek gdyby akcje okazały się dosyć interesujące, fundusz mógłby nabyć część pakietu. Milczałem, zastanawiając się nad tym.

— Jeżeli nie jesteś zainteresowany, nic nie szkodzi — powiedział Jurij.

— Nie, nie, Jurij, raczej jestem, ale muszę to przemyśleć.

— Nie ma sprawy.

— Ile mam czasu?

— Nie wiem. Chyba dam radę utrzymać to w tajemnicy jeszcze przez tydzień, zanim sprzedający zacznie naciskać, ale też niewiele osób szuka akcji takich drugorzędnych spółek.

Skończyłem rozmowę z Jurijem, a moi pracownicy wyszli z biura. Ale kiedy wracałem do domu, poczułem w trzewiach to pulsujące napięcie, takie samo jak wtedy, gdy moja inwestycja ulokowana w akcjach polskich spółek pomnożyła się dziesięciokrotnie albo kiedy przejrzałem system rosyjskich czeków prywatyzacyjnych. Wiedziałem, że Jurij nie sprzeda tego pakietu nikomu za moimi plecami, ale też zdawałem sobie sprawę, że szansa na naprawdę korzystny interes nie będzie trwać długo.

Przyszedłem do biura wcześnie rano w sobotę i zacząłem przeglądać raporty analityków oraz artykuły prasowe, by dowiedzieć się czegoś o Sidanco, ale nie znalazłem niczego w naszych papierach. Gdy w poniedziałkowy ranek mój zespół przyszedł do pracy, zawołałem Clive'a do swojego stolika.

— Szukałem informacji o Sidanco, ale tutaj nic nie znalazłem. Mógłbyś podzwonić po naszych brokerach i dowiedzieć się, czy któryś z nich coś wie?

Clive obiecał, że zaraz się do tego weźmie.

Wyszedłem z biura, żeby odbyć szereg umówionych spotkań, a kiedy wróciłem koło południa, od razu zapytałem Clive'a o efekt jego poszukiwań. Nic nie udało mu się znaleźć. Żadnych raportów, artykułów, danych ani nawet wiarygodnych pogłosek. Na temat Sidanco nikt nic nie wiedział.

Było to przygnębiające, ale wydawało się poniekąd logiczne. Taka spółka jak Lukoil, która wpuściła 67 procent swoich udziałów na giełdę, miała płynne aktywa i zapewniała brokerom spore prowizje. Z tych prowizji byli opłacani analitycy, którzy sporządzali raporty dla inwestorów szukających akcji. Z kolei w przypadku Sidanco, która obracała tylko czterema procentami akcji, prowizje nie były na tyle wysokie, by któryś z analityków zechciał tracić czas na pisanie raportów.

— Cóż, w takim razie będziemy musieli sami sięgnąć po te informacje — oświadczyłem.

Zdobywanie informacji w Rosji przypominało błądzenie w labiryncie. Odpowiedzi na pytania nasuwały kolejne zagadki, a tropy prowadziły donikąd. Nic nie było oczywiste ani konkretne. Po siedemdziesięciu latach zaszczepionej przez KGB paranoi Rosjanie z pieczołowitością chronili swoje informacje. Nawet niewinne pytanie o zdrowie mogło zostać odebrane jako próba wykradzenia tajemnicy państwowej, toteż zdawałem sobie sprawę, że uzyskanie danych na temat kondycji spółki może się okazać jeszcze trudniejsze.

Ja jednak się nie zrażałem. Kiedy przystąpiłem do poszukiwań, przypomniałem sobie, że jeden z moich kolegów ze Stanfordu wydaje miesięcznik branżowy dotyczący handlu ropą naftową i gazem ziemnym. Pomyślałem, że być może on ma jakieś informacje.

Zadzwoniłem do niego, ale zamiast rozmawiać o Sidanco, usiłował namówić mnie na subskrypcję swojego magazynu.

— To tylko dziesięć tysięcy dolarów rocznie! — oznajmił z ożywieniem.

Nie byłem zainteresowany subskrypcją.

— To trochę za dużo jak na moją kieszeń.

Mój dawny kolega ze studiów się roześmiał.

— Coś ci powiem, Bill. Jako że razem studiowaliśmy, wyślę ci kilka starych numerów za darmo.

– Świetnie. Wielkie dzięki.

Następnie sięgnąłem po stos wizytówek, który spoczywał na moim biurku. Gdybym pracował w londyńskim banku inwestycyjnym, mój segregator pękałby w szwach od wytwornych biletów wizytowych z tłoczeniami w grubym kartonie. W Rosji moja kolekcja była dużo skromniejsza. Część wizytówek była wydrukowana na zwykłym brystolu. Niektóre miały pomarańczowy kolor, inne zielony lub jasnoniebieski. Kilka sprawiało wrażenie, jakby wyszły z domowej drukarki. Dwie wizytówki były sklejone ze sobą z winy niskiej jakości tuszu. Mimo to zacząłem wertować je po kolei.

Rozdzieliłem sklejone wizytówki i moim oczom ukazało się nazwisko człowieka, o którym zapomniałem. Był nim Dmitrij Siewierow, który pracował jako konsultant w rosyjskiej spółce z branży finansowej. Poznaliśmy się, kiedy jeszcze pracowałem w Salomon Brothers, i zapadło mi w pamięć, że Dmitrij zajmuje się doradztwem dla rosyjskich spółek naftowych, które starają się o pożyczki bankowe. Pomyślałem, że może coś wiedzieć o Sidanco. Zadzwoniłem do jego biura i poprosiłem o spotkanie. Dmitrij nie sprawiał wrażenia człowieka, który jest rozchwytywany, i chętnie się zgodził.

Biuro Dmitrija mieściło się w budynku mieszkalnym, który stał przy zacisznej uliczce w jednej z najbardziej atrakcyjnych dzielnic Moskwy położonej na północ od Kremla. W dyżurce przy wejściu siedział strażnik w czarnym uniformie i palił papierosa. Można by go wziąć za żołnierza sił specjalnych, gdyby nie plastikowe klapki na jego stopach. Nawet nie podnosząc wzroku, wskazał mi machnięciem ręki drogę do windy.

Wyjąłem kartkę z adresem, który zapisała mi Swietłana, i zmarszczyłem czoło. Biuro Dmitrija znajdowało się na piętrze „czwartym i pół”. Nie miałem pojęcia, co to może oznaczać. Czy powinienem wjechać windą na czwarte piętro i wejść na górę, czy wjechać na piąte i zejść w dół?

Jakiś mężczyzna stanął obok mnie i nacisnął guzik przywołujący windę, która zjeżdżała bardzo wolno i okazała się ciasna jak budka telefoniczna. Musiałem wcisnąć się do środka obok tamtego człowieka

albo ryzykowałem kolejne dziesięć minut oczekiwania. Mężczyzna wybrał przycisk z cyfrą cztery i zerknął na mnie podejrzliwie. Wlepiłem wzrok w podłogę i milczałem.

Po wyjściu z windy udaliśmy się w przeciwnych kierunkach. Podążając śladem rozrzuconych niedopałków, wszedłem po schodach na półpiętro. Korpulentna starsza kobieta otworzyła drzwi i wpuściła mnie do mieszkania. Powiedziała, że Dmitrij właśnie je obiad, i skierowała mnie do kuchni. Nie wiedziałem, czy to jego matka, czy sekretarka.

— Siadaj! Siadaj! — odezwał się Dmitrij, kiedy stanąłem w drzwiach, i odsunął na bok koszyk wypełniony kromkami szarego chleba i słoik z cukrem. Usiadłem naprzeciwko niego na plastikowym krześle i starałem się nie patrzeć, jak macza chleb w misce kapuśniaku. — W czym mogę ci pomóc? — zapytał między kolejnymi kęsami.

— Poszukuję informacji na temat spółek naftowych.

— Doskonale! Trafiłeś pod właściwy adres.

— Możesz mi powiedzieć coś o Sidanco?

— Oczywiście. Wiem o nich wszystko. — Dmitrij wstał i wyszedł z kuchni, by po chwili wrócić z wielkim arkuszem w ręku. — Co chcesz wiedzieć?

— Na początek, jakie są ich zasoby?

Pochyliliśmy się obaj nad rozłożonym arkuszem, a Dmitrij wskazał palcem jedną z kolumn tabeli. Według jego danych Sidanco dysponowała sześcioma miliardami baryłek ropy. Mnożąc cenę czteroprocentowego pakietu razy dwadzieścia pięć, uzyskałem wartość aktywów całej spółki, czyli 915 milionów dolarów. Podzieliłem ją przez liczbę baryłek ropy stanowiącej rezerwy i z moich obliczeń wynikło, że Sidanco sprzedaje swoje złoża po 15 centów za baryłkę. To było czyste szaleństwo, zważywszy na fakt, że w owym czasie cena rynkowa baryłki ropy wynosiła 20 dolarów.

Zmarszczyłem brwi. Coś tu nie grało. Jeżeli te liczby miały coś wspólnego z prawdą, oferta Sidanco była niewiarygodnie tania.

— Nie do wiary — mruknąłem pod nosem.

Podziękowałem Dmitrijowi i wyszedłem. Kiedy wróciłem do biura, zleciłem Clive'owi wycenę aktywów Lukoilu, rosyjskiej spółki naftowej, której akcje cieszyły się największym zainteresowaniem. Clive zadzwonił do jednego z brokerów i po zakończeniu rozmowy podsunął mi swoją kalkulację.

Przez kilka sekund przyglądałem się liczbom.

— To nie może być prawda.

— Takie dane dostałem od brokera — tłumaczył się Clive.

Niezwykłe wydawało się to, że wartość aktywów Lukoilu w przeliczeniu na baryłkę ropy była sześć razy większa niż w przypadku

Sidanco, choć obie spółki sprawiały wrażenie podobnych.

— Dlaczego wartość Lukoilu byłaby tyle razy wyższa?

Clive zmrużył oczy.

— A może z Sidanco jest coś nie tak?

— Może. A jeżeli nie ma żadnego błędu? Rzeczywiście może być po prostu taniej.

— Byłoby cudownie. Ale jak to potwierdzić?

— Zapytamy ich. A jeżeli nam nie powiedzą, będziemy pytać innych ludzi, dopóki tego nie ustalimy.

Następnego dnia rozpoczęliśmy śledztwo.

Wybraliśmy się do dzielnicy biznesowej położonej na zachodnim brzegu rzeki Moskwy, gdzie nieopodal rezydencji ambasadora Wielkiej Brytanii spółka Sidanco miała swoje biura mieszczące się w dawnej posiadłości cara. Towarzyszyła mi Swietłana. Sekretarka, atrakcyjna długowłosa blondynka w butach na cienkich jak ołówki szpilkach, powitała nas w recepcji i zaprowadziła do urządzonej w stylu lat siedemdziesiątych sali konferencyjnej, w której stały fornirowane szafki i obita wyblakłym pluszem sofa. Oznajmiła nam, że dyrektor zaraz do nas przyjdzie.

Musieliśmy czekać pół godziny, zanim do sali wszedł dyrektor działu rozwoju strategicznego. Starał się sprawiać wrażenie członka zarządu, który cały ranek ma wypełniony ważnymi spotkaniami. Był wysokim i chudym mężczyzną tuż po trzydziestce, który już zaczynał łysieć. Wymamrotał po rosyjsku coś, czego nie zrozumiałem.

— Przeprasza, że kazał panu czekać — przetłumaczyła Swietłana. — Pyta, w czym może panu pomóc.

— Pażałujsta — dodał mężczyzna. — Czaj?

— Pyta, czy napije się pan herbaty — powiedziała Swietłana, siedząc sztywno pomiędzy nami na skórzanym fotelu.

Dyrektor spojrzał na zegarek. Czas uciekał. Podziękowałem za herbatę.

— Powiedz mu, że chciałbym się dowiedzieć, jak duże są ich złoża ropy — zwróciłem się do Swietlany.

Znałem już liczby, ale chciałem potwierdzić, czy są prawdziwe.

Dyrektor poruszył się niespokojnie na swoim fotelu, jak gdyby mnie zrozumiał, ale czekał, aż Swietłana przetłumaczy moje słowa. Zacisnął wargi w skąpym uśmiechu, założył nogę na nogę i przystąpił do wyjaśnień.

Po kilku minutach przerwał, aby Swietłana mogła przetłumaczyć.

— Twierdzi, że jeśli chodzi o złoża ropy, najważniejsza jest ich technika wiercenia. Powiedział, że Sidanco dysponuje najnowocześniejszym sprzętem i zatrudnia najlepszych inżynierów w kraju.

Nim zdążyłem się odezwać, dyrektor uciszył mnie ruchem dłoni.

Monotonnym głosem opowiadał dalej o odwiertach, zatorach rurociągów i firmach marketingowych, co Swietłana skrupulatnie tłumaczyła.

— Pyta, czy to wszystko — powiedziała nagle.

— Czy możesz go zapytać o złoża ropy?

— Już to zrobiłam — odparła zmieszana.

— Ale on nie odpowiedział. Zapytaj go jeszcze raz.

Swietłana ponownie zwróciła się do dyrektora, a na jej policzkach zapłonęły rumieńce. Mężczyzna rozparł się w fotelu i czekał, aż tłumaczka skończy mówić. Potem pokiwał głową, jakby wreszcie zrozumiał moje pytanie i zamierzał wszystko wyjawić.

Mówił coś przez dłuższą chwilę. Gdy zdałem sobie sprawę, że ani myśli przerywać, aby Swietłana mogła przetłumaczyć jego słowa, podałem jej świstek papieru i długopis. Dziewczyna zaczęła szybko notować. Pięć minut później posłała mi nerwowe spojrzenie, jakby chciała się upewnić, czy ma kontynuować. Po dziesięciu minutach przestała pisać.

Dyrektor zakończył wreszcie swój wywód, po czym wyprostował się na fotelu i skinieniem głowy dał Swietłanie znak, że może tłumaczyć.

— On twierdzi, że najlepsza ropa w Rosji pochodzi z zachodniej Syberii — powiedziała Swietłana, spoglądając na notatki. — Jest dużo lepsza od ciężkiego oleju z Tatarstanu czy Baszkirii. Mówi też…

— Czy powiedział, jak duże są ich złoża? — zapytałem, wchodząc tłumaczce w słowo.

— Nie.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— Zapytaj go jeszcze raz.

Swietłana zastygła w bezruchu.

— No, dawaj — ponagliłem ją. — To nic złego.

Dziewczyna powoli odwróciła się w stronę dyrektora, który już się nie uśmiechał. Poirytowany wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął przeglądać jego menu. Swietłana nieśmiało zadała mu pytanie po raz trzeci.

Mężczyzna wstał i warknął coś opryskliwie.

— Mówi, że jest już spóźniony na następne spotkanie — powiedziała Swietłana cichym głosem.

Najwyraźniej dyrektor nie zamierzał udzielać odpowiedzi na moje pytanie. Nie mogłem zrozumieć, czemu ten człowiek boi się przekazać mi dane dotyczące złóż, którymi dysponowała jego spółka. Prawdopodobnie sam tego nie pojmował, lecz zgodnie z panującym w Rosji obiegowym przekonaniem ujawnienie komuś prawdziwych informacji może mieć fatalne następstwa. Najlepszym sposobem, w

jaki Rosjanie radzili sobie z zadanymi wprost pytaniami, były pozbawione ładu i składu wielogodzinne tyrady, gdzie zasadnicza kwestia ginęła w potoku słów. Zazwyczaj ludzie są zbyt uprzejmi, by w takiej sytuacji naciskać rozmówcę i często zapominają o pytaniu, które postawili na początku. W starciu z zaprawionym w takich wybiegach Rosjaninem potrzeba nie lada koncentracji, żeby zyskać choćby szansę na odkrycie tego, czego się szukało.

— Ma nadzieję, że powiedział panu wszystko, czego chciał się pan dowiedzieć — dodała Swietłana.

Dyrektor wyciągnął rękę i uścisnął mi dłoń.

— Proszę znowu do nas wstąpić niebawem — powiedział doskonałą angielszczyzną. — Zawsze z przyjemnością gościmy zachodnich inwestorów.

Było jasne, że nikt w Sidanco nie zamierza ujawnić żadnych informacji o tej spółce. Zacząłem więc spotykać się z przedstawicielami innych firm, by sprawdzić, czy wiedzą coś o swoim konkurencie.

W Lukoilu poddano mnie pobieżnej rewizji, moją aktówkę prześwietlono, a paszport i komórkę zatrzymano w depozycie i otrzymałem je z powrotem dopiero przy wyjściu. Zostałem przekazany pod opiekę byłego funkcjonariusza KGB, zatrudnionego w dziale kontaktów z inwestorami i zajmującego się gośćmi z zagranicy. Były agent zapoznał mnie z trwającą godzinę prezentacją PowerPoint naszpikowaną zdjęciami szybów wiertniczych, na których tle pozowali uśmiechnięci dyrektorzy spółki w kaskach na głowach.

Podczas wizyty w biurze Juganskniefteiegazu dyrektor finansowy spółki próbował wyciągnąć ode mnie półtora miliarda dolarów pożyczki na sfinansowanie budowy nowej rafinerii.

W moskiewskim oddziale Tatneftu, mniejszej, choć i tak potężnej spółki naftowej z siedzibą w Tatarstanie, próbowano mnie nakłonić, abym przyłączył się do budowy autostrady. Każde spotkanie przebiegało tak samo. Zaczynałem je pełen optymizmu i nadziei, po czym zasypywała mnie lawina zbędnych informacji i wychodziłem, nie dowiedziawszy się niczego przydatnego.

Moje domysły na temat Sidanco zamieniły się wówczas w obsesję, która pochłaniała zbyt wiele czasu i energii. Co miałem nadzieję odkryć, kiedy wszyscy analitycy we wszystkich bankach inwestycyjnych spisali tę spółkę na straty? Być może istniał jakiś uzasadniony powód, dla którego nikt się nie interesował tym czteroprocentowym pakietem udziałów.

Kiedy po ostatnim spotkaniu wróciłem do biura gotów się poddać, Swietłana wręczyła mi kopertę z brązowego papieru.

— Właśnie przyszło ze Stanów — oznajmiła podekscytowana. — Od tego faceta z miesięcznika, do którego pan dzwonił.

— Możesz to wyrzucić — powiedziałem, nawet nie spoglądając na kopertę.

Domyślałem się, że najprawdopodobniej zawiera materiały promocyjne, które zachwalają korzyści płynące z inwestowania w wydobycie ropy naftowej. Potem jednak coś mnie tknęło. A może w środku jest coś więcej.

— Czekaj! — zawołałem. — Daj ją.

Przerzucając kartki magazynu, uświadomiłem sobie, że mój kolega ze Stanfordu przysłał mi żyłę złota, magiczny klucz do całej tej zagadki. Ten wypełniony fachowym bełkotem kolorowy magazyn zawierał dodatek, w którym znajdowały się wszystkie istotne dane dotyczące rosyjskich spółek naftowych, włącznie z tajemniczą Sidanco. Było tam dokładnie to, czego chciałem się dowiedzieć: złoża, wydobycie, produkcja, wszystko. Miałem to przed sobą, w jednym miejscu, a dane wyglądały na ścisłe i wiarygodne.

Wziąłem kartkę papieru i narysowałem na niej dwie kolumny. Nagłówek pierwszej z nich zatytułowałem Sidanco, drugiej — Lukoil, a pod spodem wpisałem wszystkie dane dotyczące obu spółek, które znalazłem w numerze miesięcznika. Kiedy skończyłem, przyjrzałem się zebranym informacjom. Praktycznie między obiema spółkami nie było żadnej różnicy. Po upadku Związku Radzieckiego każda z nich nieznacznie rozbudowała swoją infrastrukturę, toteż obie korzystały z takich samych zardzewiałych wież wiertniczych oraz przeciekających rurociągów i zatrudniały tak samo bezproduktywnych pracowników, którzy otrzymywali tak samo nędzne wypłaty.

Jedyna wyraźna różnica między nimi polegała na tym, że spółka Lukoil była dobrze znana i wielu brokerów opisywało ją w swoich raportach, tymczasem o Sidanco nikt nie wspominał. Kiedy zebraliśmy dane zawarte w owych raportach i porównaliśmy je z tym, co na temat Lukoilu wyczytałem z przysłanego magazynu, wszystko pasowało do siebie idealnie. Dlatego nabrałem przekonania, że informacje na temat Sidanco są również wiarygodne.

Było to doniosłe odkrycie. Wszyscy wiedzieli, że Lukoil to doskonały interes, ponieważ spółka ta dysponowała taką samą ilością ropy i gazu jak British Petroleum, ale jej akcje były dziesięć razy tańsze. Tymczasem Sidanco kontrolowała złoża tylko nieznacznie mniejsze od Lukoilu, ale wartość jej aktywów była sześć razy niższa. Innymi słowy, Sidanco była sześćdziesiąt razy tańsza od BP!

Nie było nad czym się zastanawiać. Mój fundusz nabył 1,2 procent udziałów po 4 dolary za akcję, wydając na wszystko około 11 milionów dolarów. Nigdy wcześniej nie podejmowałem decyzji związanych z pojedynczą inwestycją na tak wielką skalę. Kiedy Edmond Safra usłyszał o tym, co się dzieje, zapragnął również zainwestować w tę spółkę i natychmiast kupił tyle samo akcji dla

siebie.

Zazwyczaj kiedy akcje jakiejś spółki znajdują się w obrocie publicznym, ich cenę ustala rynek giełdowy. Jednak w przypadku Sidanco, gdzie 96 procent udziałów należało do jednej grupy inwestorów, a 4 procent znajdowało się w rękach akcjonariuszy mniejszościowych, z nami włącznie, prawie żadne akcje się nie sprzedawały. Dlatego nie mieliśmy pojęcia, czy zrobiliśmy dobry interes, czy wręcz przeciwnie. Przez pewien czas byłem o to spokojny, ale kiedy mijały kolejne miesiące, zaczynałem coraz bardziej się martwić. Staranne przygotowania i odrobina pewności siebie to jedno, ale gdybym dał plamę, mógłbym stracić znaczną część środków funduszu. Z biegiem czasu zaczynałem się zastanawiać, czy nie powinienem był postąpić jak wszyscy i nie porywać się na tak ryzykowną inwestycję. Odpędzałem jednak wszelkie obawy i zmuszałem się, by nie tracić nadziei, że w końcu wydarzy się coś dobrego. I wreszcie, niewiele ponad rok później, coś się wydarzyło.

We wtorek 14 października 1997 roku spółka BP ogłosiła, że kupuje 10 procent z należącego do Potanina większościowego pakietu akcji Sidanco za cenę 600 procent wyższą od tej, którą zapłaciliśmy rok wcześniej.

A jednak trafiliśmy w dziesiątkę.

Rozdział 12
Złota rybka

W ciągu tego roku wiele się wydarzyło. Nie tylko mój fundusz nareszcie rozwinął skrzydła, ale co ważniejsze, w listopadzie 1996 roku przyszedł na świat mój syn, David. Zgodnie z obietnicą Sabrina po jego narodzinach przyjechała z nim do Moskwy i od tamtego czasu zamieszkaliśmy we troje jak najprawdziwsza rodzina. Moja żona udekorowała pokój dziecinny, do którego wykonała własnoręcznie nawet zasłony i poduszki, a także znalazła kilka innych przybyłych z zagranicy matek, z którymi się zaprzyjaźniła.

Jednak pomimo tych starań nie potrafiła odnaleźć się w Moskwie. W 1997 roku coraz częściej podróżowała do Londynu, a kiedy nasz syn skończył rok, Sabrina i David już prawie wcale nie spędzali czasu w Moskwie. Nie byłem tym zachwycony, ale nie mogłem jej zmusić, żeby ze mną została, skoro źle się tu czuła. Toteż latałem do Londynu co drugi weekend, by widywać się z nią i Davidem.

Sabrina nalegała, aby w tym roku wybrać się na Boże Narodzenie do Kapsztadu. Od dzieciństwa Republika Południowej Afryki kojarzyła mi się z apartheidem i rasizmem, więc nie miałem ochoty odwiedzać tego kraju, jednak upór Sabriny okazał się silniejszy od moich uprzedzeń i w końcu się zgodziłem. Zresztą nie przejmowałem się tym zbytnio, bo wiedziałem, że i tak będę musiał tam pracować, więc przede wszystkim liczył się dla mnie zasięg sieci komórkowej i dostęp do faksu.

Kiedy 19 grudnia przylecieliśmy do Kapsztadu i zameldowaliśmy się w hotelu Mount Nelson, moja obojętność znikła. Nigdy w życiu nie widziałem tak cudownego miejsca.

Hotel Mount Nelson mieścił się w okazałym gmachu w brytyjskim stylu kolonialnym i stał w cieniu podobnej do fortecy Góry Stołowej. Codziennie świeciło słońce, a zielone trawniki otoczone rozkołysanymi palmami ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Basen był pełen baraszkujących dzieci, których rodzice odpoczywali w pobliżu. Białe obrusy na ustawionych pod gołym niebem restauracyjnych stolikach trzepotały poruszane podmuchami ciepłej bryzy, a kelnerzy o nieskazitelnych manierach czekali usłużnie, gotowi podawać drinki, jedzenie lub cokolwiek, czego byśmy sobie zażyczyli. W Mount Nelson czułem się jak w raju. To było kompletne przeciwieństwo moskiewskiej zimy.

Zadomowiliśmy się w hotelu i po raz pierwszy od kilku lat zacząłem się odprężać. Wyciągnięty na leżaku obok basenu spoglądałem na Davida, który bawił się na rozłożonym ręczniku, i

dotarło do mnie, jak bardzo jestem zmęczony. Pogrążałem się w stanie całkowitego rozluźnienia. Sabrina miała rację, wybierając to miejsce. Zamknąłem oczy. Czułem, że mógłbym tak się wylegiwać w słońcu całymi dniami.

Jednak kilka dni po przyjeździe, akurat kiedy zacząłem naprawdę pozbywać się napięcia, zadzwoniła moja komórka. Dzwonił Wadim, mój nowy specjalista od badań rynku. Wadim był dwudziestosiedmioletnim analitykiem finansowym z doktoratem w dziedzinie ekonomii, który uzyskał na jednym z czołowych moskiewskich uniwersytetów. Zatrudniłem go przed pięcioma miesiącami, aby moje niepewne poczynania nabrały bardziej profesjonalnego charakteru. Nosił okulary o grubych szkłach, miał ciemną kędzierzawą czuprynę i potrafił w ciągu kilku minut rozwiązać najbardziej skomplikowaną łamigłówkę ekonomiczną.

— Bill — zaczął poważnym tonem. — Od Reutera przyszły właśnie bardzo niepokojące wieści.

— Co takiego?

— Sidanco prowadzi emisję akcji. Ich ogólna liczba wzrośnie niemal trzykrotnie i sprzedają je tanio, bo prawie dziewięćdziesiąt pięć procent poniżej ceny rynkowej.

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. Jeżeli każdy miał prawo nabyć nowe akcje, skutki mogły być dla nas neutralne, lub nawet przynieść nieznaczne korzyści.

— To źle czy dobrze? — spytałem.

— Bardzo, ale to bardzo źle. Sidanco pozwala wszystkim akcjonariuszom oprócz nas na zakup tych nowych udziałów.

To było niedorzeczne. Gdyby Sidanco była w stanie trzykrotnie zwiększyć ogólną liczbę swoich akcji, nie dopuszczając nas do ich zakupu, to stan posiadania Safry i naszego funduszu zmieniłby się z 2,4 procent na 0,9 procent udziałów w spółce, która nie dałaby nam nic w zamian. Jednym pociągnięciem pióra Potanin i jego klika zamierzali w biały dzień obrabować Safrę i moich klientów z udziałów o wartości 87 milionów dolarów.

Usiadłem na leżaku.

— To niewiarygodne! Jesteś tego pewien, Wadimie? Może w komunikacie Reutera jest jakiś błąd czy coś takiego?

— Nie sądzę, Bill. Moim zdaniem to prawda.

— Zdobądź oryginalne dokumenty i przetłumacz je. To nie może być prawda.

Byłem wstrząśnięty i ogarniała mnie wściekłość. Jeżeli ta emisja prowadząca do efektu rozwodnienia udziałów będzie miała tak fatalne następstwa, utracę całą wiarygodność, jaką zdobyłem, odkrywając Sidanco, a inwestorzy poniosą ogromne straty.

Byłem również zdezorientowany. Nie mogłem pojąć, czemu

Potanin miałby robić coś takiego. Jaki miał w tym cel? Po co obniżać wartość naszych akcji i wywoływać skandal, kiedy właśnie spadł mu z nieba doskonały interes? Po wielkiej transakcji z BP nadal posiadał 86 procent udziałów w spółce, a dzięki tej emisji zyskiwał tylko 1,5 procent, których zamierzał nas pozbawić. Z finansowego punktu widzenia to nie miało żadnego sensu.

I wtedy pojąłem, dlaczego miałby tak postąpić — bo to było w rosyjskim stylu.

O zachowaniach tego typu opowiada znana rosyjska baśń. Pewnego razu ubogi wieśniak natknął się na złotą rybkę, która mówiła ludzkim głosem i obiecała spełnić jedno jego życzenie. Rozradowany wieśniak rozważał różne możliwości. Może zamek? Albo jeszcze lepiej, tysiąc sztabek złota? A gdyby tak statek, na którym można popłynąć dookoła świata? Miał już podjąć decyzję, kiedy rybka przerwała mu, napomykając, że istnieje jeden warunek — wszystko, czym obdaruje wieśniaka, jego sąsiad dostanie w dwójnasób. Wówczas ten bez zastanowienia powiedział: „W takim razie, proszę, wyłup mi oko".

Morał jest prosty — jeżeli chodzi o pieniądze, Rosjanie ochoczo, a wręcz radośnie, poświęcają własne korzyści, by pogrążyć swoich sąsiadów.

Właśnie taki musiał być motyw, który kierował działaniem Potanina i jego grupy inwestorów. Nieważne, że zarabiali czterdzieści razy więcej od nas, ale fakt, że grupa cudzoziemców bez żadnych powiązań również odnosiła spore sukcesy finansowe, był im solą w oku. To po prostu było niedopuszczalne, nie pasowało do rosyjskiego stylu.

Za to w rosyjskim stylu była totalna porażka i właśnie to mogło mnie spotkać, toteż musiałem wracać do Moskwy i opanować tę sytuację. Przez kilka następnych dni w Kapsztadzie próbowałem zapomnieć o swoich problemach i cieszyć się luksusami Mount Nelson, ale nie bardzo mi to wychodziło.

Gdy nasz urlop dobiegł końca, Sabrina, która chciała być jak najdalej od rosyjskiej zimy, zabrała Davida do Londynu. Ja wróciłem do Moskwy 12 stycznia 1998 roku, na dzień przed rosyjskim Nowym Rokiem — Rosjanie świętują Nowy Rok zgodnie z kalendarzem gregoriańskim 1 stycznia, a trzynaście dni później jeszcze raz obchodzą Nowy Rok według kalendarza juliańskiego. Zaraz po przybyciu na miejsce odbyłem rozmowę z Wadimem, który wszystko potwierdził. Organy administracyjne miały jeszcze półtora miesiąca na zatwierdzenie tej grożącej osłabieniem kapitału emisji, ale sprawa była w toku.

Musiałem coś zrobić, żeby to powstrzymać.

Zaledwie dzień później, 13 stycznia, dostrzegłem jakąś szansę. Zadzwonił do mnie pewien przyjaciel, który powiedział mi o przyjęciu

noworocznym odbywającym się w domu Nicka Jordana, bogatego rosyjsko-amerykańskiego bankiera związanego z holdingiem JP Morgan. Brat Nicka, Borys, był doradcą finansowym Potanina i dyrektorem nowego banku inwestycyjnego o nazwie Renaissance Capital. Znałem ich obu z widzenia i przekonałem mojego przyjaciela, aby zabrał mnie ze sobą na przyjęcie.

Przyjęcie odbywało się w wielkim luksusowym mieszkaniu z epoki Breżniewa znajdującym się kilka przecznic od Kremla — jednym z tych, za które banki inwestycyjne płaciły co miesiąc po 15 tysięcy dolarów czynszu, aby ich przybyłym z Zachodu pracownikom łatwiej było „znosić trudy pobytu w Moskwie". Nie trwało długo, jak wyłowiłem Borysa z tłumu rosyjsko-amerykańskich gości raczących się kawiorem i szampanem. Pod wieloma względami Borys Jordan był ucieleśnieniem rosyjskiej wizji klasycznego Amerykanina — głośny, skory do przyjaznego obściskiwania i wystrojony tak samo jak typowy broker z Wall Street.

Podszedłem prosto do niego. Gdy mnie zauważył, był wyraźnie zdziwiony, ale nie zareagował zbyt wylewnie. Wyszedł mi naprzeciw i mocno uścisnął moją dłoń.

— Jak się masz, Bill?

Od razu przeszedłem do rzeczy.

— Nie najlepiej, Borysie. Co się dzieje z Sidanco? Jeżeli ta emisja dojdzie do skutku, będę miał poważny problem.

Borys wyglądał na zażenowanego. Nie w smak mu była konfrontacja na przyjęciu noworocznym brata. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy omiótł wzrokiem innych gości.

— Bill, to jest jedno wielkie nieporozumienie. Niczym się nie przejmuj.

Zwrócił swoją uwagę ku srebrnej tacy z tartinkami i ostrożnie podniósł jedną z nich.

— Coś ci powiem — dodał, unikając mojego wzroku. — Przyjdź do Renaissance jutro o wpół do piątej i wyjaśnimy tę sprawę. — Ugryzł kęs kanapki i mówił dalej z pełnymi ustami. — Poważnie, Bill, wszystko będzie w porządku. A teraz się napij. To jest impreza noworoczna!

I to był koniec naszej rozmowy. Był tak przekonujący, a ja tak bardzo chciałem mu wierzyć, że zostałem chwilę na przyjęciu i wyszedłem trochę spokojniejszy.

Rano obudziłem się, kiedy było jeszcze ciemno — w styczniu słońce wschodzi w Moskwie dopiero około 10 — i pojechałem do pracy. Gdy udałem się do biura Borysa, znów panowały ciemności. Punktualnie o 16.30 wszedłem do siedziby Renaissance Capital mieszczącej się w nowoczesnym przeszklonym budynku. Stał on nieopodal moskiewskiego Białego Domu, wielkiego gmachu, w którym

obradował rosyjski rząd. Bez zbędnych ceremonii zaprowadzono mnie do pozbawionej okien sali konferencyjnej. Nie zaproponowano mi nic do jedzenia ani picia, więc siedziałem i czekałem.

I czekałem.

I czekałem.

Po godzinie zaczęła ogarniać mnie paranoja. Czułem się jak ryba w szklanej kuli i zacząłem rozglądać się dookoła, wypatrując ukrytych kamer, chociaż żadnych nie było widać. Zacząłem podejrzewać, że Borys mnie okłamał. Nie zanosiło się na to, że wszystko będzie w porządku.

Byłem już gotów stamtąd wyjść, gdy wreszcie otworzyły się drzwi, ale to nie był Borys. Do sali wszedł Leonid Rożeckin, trzydziestojednoletni urodzony w Rosji absolwent prawa na elitarnej amerykańskiej uczelni, z którym zetknąłem się przy kilku okazjach (i który dziesięć lat później miał zostać zamordowany w Jurmale na Łotwie po głośnym zatargu ze swoimi kontrahentami).

Leonid, który najwyraźniej obejrzał amerykański film *Wall Street* o jeden raz za dużo, miał włosy zaczesane do tyłu w stylu Gordona Gekko i nosił czerwone szelki oraz szytą na miarę koszulę z monogramem. Zajął miejsce u szczytu stołu konferencyjnego i oparł splecione palce obu dłoni na kolanie.

— Przykro mi, ale Borys nie mógł przyjść — wyjaśnił po angielsku z lekkim rosyjskim akcentem. — Jest zajęty.

— Ja również.

— Nie wątpię. Co cię do nas sprowadza?

— Dobrze wiesz, Leonidzie. Przyszedłem porozmawiać o Sidanco.

— Rozumiem. W czym rzecz?

— Jeżeli ta emisja dojdzie do skutku, będzie to kosztować mnie i moich inwestorów z Edmondem Safrą włącznie osiemdziesiąt siedem milionów dolarów.

— Tak, wiemy o tym. Taki jest nasz cel.

— Co?

— Taki mamy cel — powtórzył Leonid obojętnie.

— Celowo staracie się nas pogrążyć?

Leonid zamrugał powiekami.

— Tak.

— Ale jak możecie to robić? To nielegalne!

Rożeckin wzdrygnął się lekko.

— Tu jest Rosja. Myślisz, że przejmujemy się takimi rzeczami?

Pomyślałem o wszystkich moich klientach. Pomyślałem o Edmondzie. Nie mogłem w to uwierzyć.

— Leonidzie, możesz orżnąć mnie, ale razem ze mną inwestuje kilka wielkich figur z Wall Street — oznajmiłem, wiercąc się nerwowo na krześle. — Ten mały kamyk może wywołać lawinę!

— Nie martwimy się o to.

Siedzieliśmy w milczeniu, a ja trawiłem to, co właśnie usłyszałem. Po chwili Leonid spojrzał na zegarek i wstał.

— Jeżeli to wszystko, muszę już iść.

Zszokowany próbowałem wymyślić coś, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

— Leonidzie, jeżeli to zrobisz, będę zmuszony wypowiedzieć ci wojnę — rzuciłem.

Rożeckin znieruchomiał, ja zresztą również. Po kilku sekundach zaczął się śmiać. Moje ostrzeżenie zabrzmiało groteskowo i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Mimo to, chociaż bynajmniej nie chciałem cofnąć tych słów, zacząłem się zastanawiać, co tak naprawdę miałem na myśli. Wypowiedzieć wojnę? Walczyć z oligarchą? W Rosji? Tylko głupiec porwałby się na coś takiego.

Nerwy miałem napięte jak postronki, ale niczego nie dałem po sobie poznać.

— A więc to tak? — powiedział Leonid, kiedy w końcu opanował śmiech. — Życzę ci powodzenia.

Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ta wymiana zdań tak bardzo wytrąciła mnie z równowagi, że przez kilka sekund stałem jak wryty, a gdy w końcu doszedłem do siebie, moim ciałem wstrząsnął dreszcz wywołany oburzeniem, strachem i upokorzeniem. Oszołomiony wybiegłem z siedziby Renaissance Capital na piętnastostopniowy mróz. Wsiadłem do chevroleta blazera, którego niedawno kupiłem z drugiej ręki, a Aleksiej wrzucił bieg i ruszył w stronę mojego mieszkania.

Po kilku minutach jazdy w milczeniu sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do przebywającego w Nowym Jorku Edmonda. Kilka pierwszych prób zakończyło się niepowodzeniem, ale w końcu mi się udało. Jego sekretarka powiedziała, że jest zajęty, ale nalegałem, że muszę się z nim skontaktować. Czułem tremę przed rozmową z nim, ale teraz, kiedy już stało się jasne, że zostaniemy orżnięci na 87 milionów, musiałem wyjaśnić mu całą sytuację. Safra był spokojny, choć ta wiadomość wyraźnie go zmartwiła. Nikt nie lubi tracić pieniędzy, a Edmond wyjątkowo źle to znosił.

— Co z tym zrobimy? — zapytał, kiedy skończyłem.

— Będziemy walczyć z tymi skurwielami. Wypowiemy im wojnę.

Chociaż były to moje słowa, wydawały mi się obce. Przez chwilę na linii panowała cisza.

— O czym ty mówisz, Bill? — zapytał Edmond poważnym tonem. — Jesteś w Rosji. Oni cię zabiją.

Starałem się zebrać myśli.

— Może zabiją, a może nie, ale nie pozwolę, żeby uszło im to na sucho — oświadczyłem.

Nie dbałem o to, czy kieruje mną odwaga, czy głupota, jeśli była tu jakaś różnica. Zostałem przyparty do muru i traktowałem poważnie wszystko, co mówiłem.

— Ja nie mogę brać w tym udziału, Bill — rzekł Safra, wolno cedząc słowa, bezpieczny po drugiej stronie oceanu.

Ale ja nie byłem bezpieczny i to sprawiało, że buzowała we mnie adrenalina. Wykorzystałem ten stan.

— Edmondzie — powiedziałem, kiedy Aleksiej skręcił w ulicę Bolszaja Ordynka, na której mieszkałem. — Jesteś moim wspólnikiem, ale nie szefem. Będę z nimi walczył niezależnie do tego, czy mnie wesprzesz, czy nie.

Safra nie miał nic więcej do powiedzenia i zakończyliśmy rozmowę. Aleksiej zaparkował przed wejściem do budynku, ale nie wyłączył silnika i gorący nawiew wciąż ogrzewał wnętrze samochodu. Wysiadłem i powlokłem się do domu. Tej nocy nie zmrużyłem oka.

Następnego ranka wszedłem ze spuszczoną głową do nowej siedziby funduszu, większego biura, do którego przeprowadziliśmy się przed kilkoma miesiącami. W nocy dopadło mnie mnóstwo wątpliwości i zacząłem żałować pochopnie wypowiedzianych słów. Kiedy jednak dotarłem do recepcji, z zadumy wyrwało mnie jakieś poruszenie. W holu tłoczyło się kilkunastu uzbrojonych ochroniarzy. Jeden z nich, który nimi dowodził, podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

— Panie Browder, jestem Ariel Bouzada — powiedział z izraelskim akcentem. — Przysłał nas pan Safra. Mamy cztery opancerzone samochody i piętnastu ludzi. Będziemy panu towarzyszyć, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Uścisnąłem rękę Ariela. Był mniej więcej w moim wieku i niższego wzrostu, ale sprawiał wrażenie silniejszego, twardszego i o wiele groźniejszego niż ja. Roztaczał wokół siebie atmosferę władzy połączonej z groźbą użycia siły. Najwyraźniej Edmond zdecydował się jednak stanąć u mojego boku.

Po powitaniu z ochroniarzami zamknąłem się w swoim gabinecie i usiadłem za biurkiem. Ukryłem twarz w dłoniach. Jak prowadzić wojnę z oligarchą? — zachodziłem w głowę. Jak prowadzić wojnę z tym przeklętym oligarchą?

Zmierzyć się z nim twarzą w twarz, ot co.

Zebrałem swój zespół w niewielkiej sali konferencyjnej. Potem wyjąłem z szafki ryzę papieru i taśmę klejącą, po czym rzuciłem je na stół i poleciłem wszystkim, aby okleili ściany kartkami, zamieniając całe pomieszczenie w wielką tablicę.

— Weźcie flamastry — powiedziałem. — Musimy wymyślić coś, co narazi Władimira Potanina na straty większe od potencjalnych korzyści, jakie odniósłby, okradając nas. Każdy pomysł się liczy.

Bierzmy się do pracy.

Rozdział 13
Prawnicy, spluwy i kasa

Opracowaliśmy złożony z trzech etapów plan, który miał prowadzić do stopniowego zwiększania nacisków wywieranych na Potanina.

Pierwszy etap polegał na ujawnieniu emisji dodatkowych akcji przed zachodnimi kontrahentami Potanina. Jako zarządzający wielomiliardowym kapitałem oligarcha prowadził on wiele interesów, które nie były bezpośrednio związane ze spółką Sidanco. Należały do nich inwestycje prowadzone do spółki z takimi ludźmi jak George Soros oraz takie formy działalności jak fundacja Uniwersytetu Harvarda albo fundusz emerytalny dla pracowników gigantycznej amerykańskiej korporacji Weyerhaeuser.

Edmond i ja rozdzieliliśmy między siebie listę zadań i odbyliśmy wiele rozmów telefonicznych. Po długich naradach zdecydowaliśmy wysłać im zwyczajną prezentację przygotowaną w PowerPoincie, która opisywała szczegółowo planowaną emisję akcji grożącą rozwodnieniem kapitału. Nasze przesłanie było proste — oto jak Potanin chce nas wykiwać. Jeżeli go nie powstrzymacie, możecie być następni.

Większość tych ludzi skontaktowała się później z Potaninem, by narzekać na jego decyzję. Nie poznałem treści ich rozmów, ale wyobrażałem sobie, jak napominają go, że planowana emisja narazi na szwank wartość ich wspólnych inwestycji i że powinien zaprzestać motywowanych tylko własną korzyścią działań w stosunku do nas.

Czekaliśmy na reakcję Potanina, licząc, że może się wycofa. Niestety, przeliczyliśmy się. Wszystko, co robił, przybrało tylko na sile. Prawdopodobnie oligarcha myślał: Kim jest ten gnojek z Chicago? Poświęciłem mnóstwo czasu i wysiłku na pielęgnowanie tych układów, a teraz ten facet chce zszargać moje dobre imię! Jak w ogóle mogło do tego dojść?

To było dobre pytanie. Ilekroć zagraniczni inwestorzy w Rosji padali ofiarą takich grabieży, odbywali burzliwe narady za zamkniętymi drzwiami, próbując znaleźć jakiś sposób, by się bronić — podobnie jak my. Ale potem ich prawnicy i doradcy zwracali uwagę na fakt, że podejmowanie walki jest niebezpieczne i skazane na niepowodzenie — podobnie jak z początku uczynił Edmond — i po całej tej buńczucznej gadaninie inwestorzy podwijali ogon pod siebie i umykali cichaczem.

Ale w tym wypadku było inaczej. Nie byłem pracownikiem wielkiego banku inwestycyjnego ani jakiejś spółki z pięćsetki

magazynu „Fortune”. Byłem szefem własnego funduszu inwestycyjnego. Potanin nie umiał zrozumieć, że nie puszczę mu tego płazem i nie poddam się bez walki.

Kolejną osobą, która tego nie rozumiała, była Sabrina. Znała moje zamiary, które od początku jej się nie spodobały. Opowiedziałem jej o wszystkim tego samego wieczoru, kiedy zadzwoniłem do Edmonda, a wtedy wpadła w histerię.

— Bill, jak możesz nam to robić?! — krzyknęła do słuchawki.

— Kochanie, muszę tak postąpić. Nie mogę pozwolić, żeby uszło im to bezkarnie.

— Jak możesz tak mówić? Jak możesz być takim egoistą? Jesteś mężem i ojcem. Ci ludzie cię zabiją!

— Mam nadzieję, że nie. Ale poczuwam się do odpowiedzialności wobec ludzi, którzy powierzyli mi swoje pieniądze. Wpakowałem ich w te tarapaty, więc teraz muszę ich wyciągnąć.

— Ale kogo oni obchodzą? Ty masz rodzinę. Nie rozumiem, dlaczego nie możesz znaleźć sobie normalnej pracy w Londynie jak wszyscy nasi znajomi!

Sabrina miała rację, mówiąc o rodzinie, ale byłem tak rozgniewany i oburzony zagraniem Potanina, że nie docierały do mnie jej argumenty.

Utknęliśmy w całkowitym impasie, ale tak czy inaczej nie mogłem ciągle przejmować się Sabriną. Zacząłem tę wojnę i musiałem prowadzić ją dalej.

Niestety pierwszy etap planu się nie powiódł. Mimo to zwróciliśmy na siebie uwagę oligarchy. Wpuściłem do wody kilka kropel krwi i pod koniec tygodnia zjawił się rekin Potanina, Borys Jordan.

Potanin musiał porządnie nagadać mu do słuchu, bo kiedy Borys zadzwonił do mnie, był roztrzęsiony i kipiał ze złości.

— Bill, co ty, do cholery, wyprawiasz? — wyjąkał. — Dlaczego kontaktujesz się z naszymi inwestorami?

— Czy Leonid nie powiedział ci o naszym spotkaniu? — odparłem, siląc się na maksymalny spokój.

— Powiedział, ale myślałem, że wszystko do ciebie dotarło.

Ciągnąłem tę rozgrywkę, modląc się, by mój głos nie zaczął drżeć.

— A co miało dotrzeć?

— Bill, ty chyba nie rozumiesz, że nie przestrzegasz zasad!

Zerknąłem w stronę jednego z masywnych ochroniarzy, który stał pod drzwiami mojego gabinetu. Wystraszony czy nie, puściłem tę przestrogę mimo uszu i postanowiłem podjąć walkę z tymi ludźmi.

— Borysie, jeśli uważasz, że nie przestrzegam zasad, zaczekaj tylko na mój kolejny ruch — powiedziałem ze spokojem, który nawet mnie samego wprawił w zdumienie, i nie czekając na odpowiedź,

rozłączyłem się. Czułem, że emocje zaraz mnie rozsadzą.

Potem przystąpiliśmy do drugiego etapu, który polegał na upublicznieniu całej sprawy.

Zachodni dziennikarze stanowili trzon moskiewskiej społeczności imigrantów i wielu z nich poznałem, niektórych nawet całkiem dobrze. Należała do nich Chrystia Freeland, dyrektorka moskiewskiego oddziału „Financial Timesa". Była kilka lat młodszą ode mnie atrakcyjną brunetką i miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Nikt jednak nawet nie uznałby jej za niską, taki miała w sobie zapał i braki w posturze nadrabiała swoim podejściem do życia. W kontaktach z różnymi ludźmi Chrystia dawała wyraźnie do zrozumienia, jak bardzo zależy jej na informacjach dotyczących oligarchów, ale nie udawało się jej znaleźć nikogo, kto byłby na tyle odważny — bądź głupi, w zależności od punktu widzenia — aby udzielić jej oficjalnego wywiadu. Aż do tej pory.

Zadzwoniłem do niej i umówiliśmy się na spotkanie w mojej ulubionej moskiewskiej restauracji Semiramis specjalizującej się w kuchni bliskowschodniej. Kiedy złożyliśmy zamówienie, Chrystia wyjęła z torebki mały czarny dyktafon i położyła go na środku stolika. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z dziennikarzami i cała procedura była dla mnie czymś nowym, więc od razu zacząłem opowiadać. Kelner przyniósł humus i baba ghanoush, a Chrystia co jakiś czas zapisywała coś w notesie, kiedy mówiłem pomiędzy kolejnymi kęsami. Potem na stół wjechały kebaby z jagnięciny, tymczasem ja dalej snułem swoją opowieść, a ona słuchała. W końcu dotarłem do finału. Chrystia milczała, co było deprymujące, i zacząłem się obawiać, że być może moja historia nie spełniła jej oczekiwań. Kiedy podano nam herbatę miętową i bakławę, zapytałem:

— No i co o tym sądzisz?

Starałem się nie wiercić na krześle w nerwowym oczekiwaniu, kiedy dziennikarka ujęła w dłonie pozłacaną szklankę z herbatą i uniosła wzrok.

— Bill, to jest bomba. Od dawna czekałam na coś takiego.

Dzień później Chrystia zadzwoniła do Potanina, by poznać jego wersję, on zaś zareagował w typowo rosyjskim stylu.

W normalnych okolicznościach byłoby oczywiste, że nadszedł moment, w którym powinien ustąpić. Potanin zarabiał miliardy dolarów na niedawnej korzystnej transakcji z BP. Czemu miałby ryzykować tak wiele, żeby tylko odebrać nam tych kilka procent udziałów? Ale to nie były normalne okoliczności. To była Rosja i tutaj o wiele bardziej liczyło się to, żeby nie okazać słabości.

Całe to zajście utwierdzało mnie w przekonaniu, że rosyjska kultura biznesu jest najbliższa stosunkom panującym na więziennym spacerniaku. W więzieniu jedyne, co masz, to twoja reputacja. Na taką

pozycję musisz ciężko pracować i nie tak łatwo z niej zrezygnujesz. Kiedy ktoś zmierza w twoją stronę, żeby ci się dobrać do skóry, nie możesz stać bezczynnie. Musisz go zabić, zanim on zabije ciebie. Jeżeli tego nie zrobisz, a uda ci się przeżyć atak, wszyscy uznają cię za słabeusza i zanim się obejrzysz, stracisz cały szacunek i zostaniesz czyjąś dziwką. Taka jest kalkulacja, którą każdy oligarcha i każdy polityk w Rosji przeprowadza codziennie.

Logiczna odpowiedź Potanina na pytania Chrystii powinna brzmieć następująco:

— Pani Freeland, zaszło wielkie nieporozumienie. Pan Browder zobaczył jakiś wstępny projekt emisji, który nigdy nie powinien zostać skierowany do zatwierdzenia. Sekretarka, która go ujawniła, została zwolniona. Oczywiście wszyscy udziałowcy Sidanco, włącznie z inwestorami pana Browdera i panem Safrą, zostaną podczas tej emisji potraktowani uczciwie.

Ale ponieważ byliśmy w Rosji, Potanin nie mógł sobie pozwolić na brak poważania ze strony jakiegoś drobnego inwestora z zagranicy, więc nie miał innego wyjścia, jak wytoczyć cięższą artylerię. Dlatego udzielił odpowiedzi w stylu: „Bill Browder w sposób beznadziejny i nieodpowiedzialny zarządza swoim funduszem. Gdyby wykonywał swoją pracę jak należy, wiedziałby zawczasu, że tak go potraktuję. Jego klienci powinni go pozwać i oskubać ze wszystkiego".

Było to równoznaczne z przyznaniem się do zamiaru popełnienia oszustwa i zostało powiedziane oficjalnie.

Jeszcze w tym samym tygodniu Chrystia spisała obszerną relację. Tematem natychmiast zainteresowały się Reuter i Bloomberg, a także „Wall Street Journal" oraz anglojęzyczny dziennik „Moscow Times". W ciągu następnych kilku tygodni emisja akcji Sidanco stała się głośną sprawą poruszaną przez wszystkich, którzy interesowali się rynkiem finansowym w Rosji. Ci sami ludzie snuli także rozważania, jak długo uda mi się przeżyć.

Wydawało mi się, że teraz Potanin będzie musiał dać za wygraną i albo zrezygnuje z emisji, albo dopuści nas do udziału w niej. On jednak zamiast się poddać, uderzył jeszcze mocniej. Wraz z Borysem Jordanem zorganizował szereg konferencji prasowych i wywiadów, podczas których starał się usprawiedliwić swoje stanowisko. Jednak zamiast przekonać ludzi, że racja jest po jego, a nie mojej stronie, udawało mu się jedynie na bieżąco podgrzewać temat.

Największym minusem moich poczynań było to, że publicznie znieważyłem rosyjskiego oligarchę, a w Rosji coś takiego już nie raz kończyło się tragicznie. Wyobraźnia potrafi podsuwać straszliwe wizje, kiedy człowiek się zastanawia, w jaki sposób ktoś mógłby nastawać na jego życie. Bomba w samochodzie? Snajper? Trucizna? Naprawdę bezpieczny czułem się jedynie wtedy, gdy wychodziłem z

samolotu na Heathrow podczas moich wizyt w Londynie.

Niezbyt pocieszający był również fakt, że niedawno doszło do podobnej sytuacji. Paul Tatum, Amerykanin przebywający w Rosji od 1985 roku, wdał się w zagorzały spór o swoje prawo własności do moskiewskiego hotelu Radisson-Sławianskaja. W trakcie awantury opublikował w lokalnej gazecie całostronicowe ogłoszenie, w którym oskarżył swojego wspólnika o szantaż — podobnie jak postąpiłem ja, zarzucając Potaninowi próbę oszustwa. Wkrótce po tym, jak ogłoszenie się ukazało, 3 listopada 1996 roku, Tatum został zastrzelony w przejściu podziemnym niedaleko hotelu i nie pomogła mu nawet kamizelka kuloodporna, którą nosił. Po dziś dzień nikogo nie skazano za to morderstwo.

Nie trzeba było wiele, żebym zaczął myśleć, że mogę być kolejnym Paulem Tatumem.

Oczywiście podjąłem niezbędne środki ostrożności i zaufałem piętnastu ochroniarzom, których przydzielił mi Safra. W czasie trwania zatargu zawsze poruszałem się po Moskwie w konwoju, w którym jeden samochód jechał na przedzie, dwa osłaniały mnie po bokach, a czwarty zamykał kolumnę. W pobliżu mojego domu samochód prowadzący odłączał się od reszty i dwaj ochroniarze docierali na miejsce kilka minut wcześniej, aby sprawdzić, czy nikt nie podłożył tam bomby i nie czyha na mnie jakiś snajper. Potem pod dom zajeżdżała reszta samochodów i wyskakiwali z nich ochroniarze, którzy tworzyli kordon i eskortowali mnie bezpiecznie do wejścia. W moim mieszkaniu dwaj mężczyźni z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi siedzieli na sofie, podczas gdy ja usiłowałem zasnąć. Niektórzy z moich amerykańskich przyjaciół uważali, że taki układ jest całkiem fajny, jednak mogę zdecydowanie powiedzieć, że nie było nic fajnego w tym, że po moim domu cały czas kręcili się uzbrojeni po zęby ochroniarze, nawet jeżeli byli tam dla mojego bezpieczeństwa.

Kiedy środki przewidziane w drugim etapie planu również nie powstrzymały Potanina, przystąpiliśmy do trzeciej fazy. Było to desperackie zagranie i nie miałem pojęcia, co zrobię i czy moja firma w ogóle przetrwa, jeżeli się nie powiedzie.

To ostatnie podejście zacząłem od spotkania z Dmitrijem Wasiliewem, przewodniczącym rosyjskiej Federalnej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd (FKPWiG).

Wasiliew, drobny i żylasty mężczyzna w okularach w drucianej oprawie, zza których spoglądały przenikliwe oczy, przyjął mnie w swoim gabinecie mieszczącym się w kompleksie postsowieckich budynków rządowych. Wysłuchał uważnie mojej opowieści, a kiedy skończyłem, zapytałem go, czy mógłby mi jakoś pomóc.

W odpowiedzi zadał mi proste pytanie:

— Czy oni złamali prawo?

— Oczywiście, że tak.

Wasiliew zdjął okulary, by przetrzeć jedno ze szkieł starannie złożoną chusteczką.

— To działa następująco — oznajmił. — Jeśli uważa pan, że pańskie zarzuty są uzasadnione, proszę szczegółowo opisać wykroczenia pana Potanina i złożyć skargę u nas. My ją rozpatrzymy i we właściwym czasie udzielimy odpowiedzi.

Nie byłem pewien, czy Wasiliew dodaje mi otuchy, czy stara się mnie spławić, ale postanowiłem wziąć jego słowa za dobrą monetę. Pospiesznie wróciłem do biura, wezwałem zespół prawników i kazałem im przygotować szczegółową skargę. Kiedy skończyli, efektem ich pracy był dwustustronicowy dokument w języku rosyjskim wymieniający wszystkie przepisy, do których naruszenia w naszym mniemaniu mogło dojść wskutek zapowiedzianej emisji akcji. Nie mogąc dłużej znieść niecierpliwego wyczekiwania, złożyłem skargę jeszcze tego samego dnia, w którym została ukończona.

Dwa dni później ku mojemu wielkiemu zdumieniu na ekranie Reutera ukazał się czerwony nagłówek: „FKPWiG bada przypadek naruszenia praw inwestorów". Wszyscy byliśmy zszokowani. Wyglądało na to, że Wasiliew rzeczywiście dobierze się Potaninowi do skóry.

Mimo to nie byłem pewien, co może się wydarzyć w trakcie tego śledztwa. Teraz nie było to już wyłącznie starcie cudzoziemca z oligarchą. Do gry wkroczył Wasiliew, który był Rosjaninem, co prawdopodobnie czyniło go bardziej narażonym na niebezpieczeństwo. Nie miało znaczenia, że był przewodniczącym Federalnej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Wszystko mogło się zdarzyć.

Podczas kolejnych tygodni, kiedy Wasiliew robił swoje, codziennie rozmawiałem przez telefon z nowojorskimi asystentami Safry i siłą rzeczy moje sprawozdania dotyczące Sidanco stawały się coraz mniej entuzjastyczne. Dowiedziałem się, że Edmond zaczyna tracić wiarę w moją zdolność do rozwiązania tego problemu.

Nie byłem pewien, co zamierza Edmond, ale niepokój w jego głosie oraz częstotliwość telefonów od Sandy'ego i jego prawników z Nowego Jorku sugerowały, że coś jest nie w porządku.

Wszystko stało się jasne, kiedy zadzwonił do mnie jeden z moich brokerów i powiedział, że natknął się na Sandy'ego w holu hotelu Kempinski. Sandy mógł przylecieć do Moskwy, nie informując mnie o tym tylko z jednego powodu — żeby negocjować z Potaninem za moimi plecami.

Nie mogłem w to uwierzyć. Jeżeli moje podejrzenia były słuszne, takie posunięcie stanowiło dowód całkowitej słabości. Najprawdopodobniej Potanin i Borys Jordan mieli dobry ubaw,

widząc chaos w naszych szeregach.

Zadzwoniłem do szefa zespołu prawników Safry w Nowym Jorku.

— Wysłałeś Sandy'ego do Moskwy na pertraktacje z Potaninem? — zapytałem.

Na linii zapadło niezręczne milczenie. Miałem się o tym nie dowiedzieć i mój rozmówca był zakłopotany.

— Wybacz, Bill, ale to dla ciebie za wysokie progi — rzekł w końcu, kiedy zebrał się w sobie. — To jest poważny interes, w którym chodzi o wielkie pieniądze. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli pozwolisz nam się tym zająć.

Byłbym skłonny się z nim zgodzić, gdyby to wszystko działo się w Nowym Jorku, gdzie funkcjonowały sądy, a sześćdziesięciodwuletni specjalista od prawa giełdowego mógł więcej od trzydziestotrzyletniego dyrektora funduszu inwestycyjnego — ale tu była Rosja, gdzie obowiązywały inne zasady.

— Z całym szacunkiem, nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje — odparłem. — Jeżeli okażesz przed tymi ludźmi choć odrobinę słabości, nasi inwestorzy stracą wszystko, a cała wina spadnie na ciebie.

Nie dawałem za wygraną i poprosiłem go o trochę czasu, żebym przynajmniej mógł się przekonać, do czego doprowadzą moje posunięcia. Opierał się, ale powiedział, że musi uzgodnić to z Safrą. Zadzwonił do mnie jeszcze tego samego popołudnia.

— Edmond daje ci jeszcze dziesięć dni — oznajmił ponuro. — Potem, jeżeli nic się nie zmieni, przejmujemy sprawę.

Następnego dnia zadzwoniłem do Wasiliewa, aby się dowiedzieć, w jakim punkcie znajduje się śledztwo, ale jego sekretarka powiedziała mi, że jest niedostępny. Skontaktowałem się z kilkoma prawnikami i zapytałem, czy mogą oszacować, ile czasu potrzebuje FKPWiG na podjęcie decyzji. Żaden z nich nie miał pojęcia.

Dni mijały jeden po drugim. Szef prawników Safry dzwonił do mnie codziennie. Sytuacja wyglądała nieciekawie.

— Posłuchaj, Bill, obiecaliśmy ci dziesięć dni, ale nic się nie dzieje — powiedział szóstego dnia. — W poniedziałek Sandy poleci z powrotem do Moskwy, żeby spotkać się z Potaninem. Doceniamy wszystko, co zrobiłeś, ale to nie przyniosło efektów.

Nigdy nie czułem się tak podle jak tego wieczoru, kiedy wróciłem do domu. Nie dość, że wykiwali mnie Rosjanie, to jeszcze wspólnik stracił do mnie zaufanie. Przewidywałem, że jeśli nam się poszczęści, to przypuszczalnie zdołamy zatrzymać 10 albo 20 procent tego, co zagarnie Potanin, i najprawdopodobniej będzie to koniec mojej współpracy z Safrą. Praktycznie rzecz biorąc, oznaczało to również koniec Hermitage Capital.

Następnego dnia, wchodząc do biura, zamierzałem chociaż zapanować nad nieuchronną katastrofą. Ale nie musiałem tego robić.

Bez żadnego uprzedzenia przyszedł faks z odbitką pierwszej strony „Financial Timesa”. Nagłówek głosił: „Organy nadzoru odwołują emisję akcji Sidanco”. Wasiliew udaremnił emisję akcji, która groziła efektem rozwodnienia kapitału.

Na to czekałem.

Wygrałem. Przybłęda z Chicago pokonał rosyjskiego oligarchę na jego własnym boisku. Edmund Safra zadzwonił, żeby mi pogratulować. Nawet szef jego prawników niechętnie przyznał, że miałem rację.

Kiedy całe przedsięwzięcie zostało odgórnie wstrzymane, Potanin się wycofał. Jego reakcja była w każdym calu tak samo przepojona rosyjskim duchem, jak pierwotna chęć pogrążenia mnie — kiedy pieniądze znikły ze stołu, nie było o co się szarpać.

Starłem się z oligarchą na więziennym spacerniaku i zapracowałem sobie na szacunek. Co więcej, nauczyłem się walczyć z Rosjanami, którzy nie byli tak niezwyciężeni, za jakich chcieli uchodzić.

Rozdział 14
Przerwane wakacje w Villa d'Este

Po zwycięstwie nad Potaninem wszystko zaczęło się układać po mojej myśli. W 1997 roku Hermitage Capital został uznany za najlepiej prosperujący fundusz na świecie i jego wartość wzrosła przez ostatni rok o kolejne 235 procent, a licząc od momentu założenia o 718 procent. Kapitał, którym zarządzaliśmy, z początkowych 25 milionów rozrósł się do ponad miliarda dolarów. „New York Times", „Business Week", „Financial Times" oraz magazyn „Time" zgodnie okrzyknęły mnie cudownym dzieckiem nowoczesnej finansjery. Moi klienci prześcigali się wzajemnie, zapraszając mnie na swoje jachty w południowej Francji, a gdziekolwiek się pojawiałem, podejmowano mnie wystawnie. Wszystko to było niebywale ekscytujące, a spotykało mnie, trzydziestotrzylatka, który działał w tej branży od zaledwie dwóch lat.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że powinienem był zachować trochę więcej ostrożności. Każdy z tych sukcesów dostarczał powodu do świętowania, ale wszystkie razem wzięte stanowiły bardzo wyraźną zapowiedź odwrócenia trendu. Mój umysł to pojmował, ale w głębi ducha pragnąłem, aby takie błogie życie trwało w nieskończoność. Dlatego wciąż inwestowałem cały kapitał funduszu, żywiąc przekonanie, że wszystko pozostanie tak jak dawniej.

Inni, w szczególności Edmond Safra, nie podzielali mojego optymizmu.

Safra zadzwonił do mnie na początku kwietnia 1998 roku.

— Bill, niepokoi mnie to wszystko, co się dzieje w Azji — powiedział. — Czy nie powinniśmy sprzedawać swoich udziałów.

Miał na myśli azjatycki kryzys ekonomiczny, który rozpoczął się latem 1997 roku i doprowadził Tajlandię, Indonezję, Malezję i Koreę Południową do inflacji, spadku wartości akcji i poważnego zastoju rynku.

— Myślę, że powinniśmy trzymać się twardo i przeczekać tę burzę. Rosji nic nie grozi, Edmondzie.

— Skąd ta pewność, Bill? Już raz mocno oberwaliśmy.

Jego obawy były uzasadnione. W styczniu 1998 roku fundusz stracił 25 procent swojej wartości, ale do kwietnia zdołał odzyskać połowę utraconego kapitału i byłem przekonany, że z powrotem pniemy się w górę.

— Rynek przechodzi teraz okres zawirowań. Kiedy sytuacja się uspokoi, wszystko odzyskamy.

— Powiedz mi, dlaczego tak myślisz? — zapytał z

powątpiewaniem.

— Ponieważ obawa, że Rosja stoi nad przepaścią, jest niczym innym, jak tylko obawą. Opiera się na przeczuciach i nie ma żadnych realnych podstaw.

— Co masz na myśli?

— Cóż, po pierwsze, Rosji nie łączy z Azją zbyt wiele interesów. Po drugie, Rosja nie konkuruje z Azją. I po trzecie, Azjaci nie inwestują w Rosji. Po prostu nie wyobrażam sobie, w jaki sposób tamtejsze problemy mogłyby przenieść się tutaj.

Edmond zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Ja też miałem taką nadzieję.

Niestety, jak się okazało, popełniłem straszliwy błąd.

Całkowicie przeoczyłem fakt, że świat jest jednym wielkim morzem płynności finansowej. Jeżeli w jednym miejscu fala się cofnie, zjawisko to powtarza się wszędzie. Gdy wielcy inwestorzy zaczęli tracić pieniądze w Azji, zaczęli wycofywać ze wszystkich swoich portfeli na całym świecie narażone na ryzyko udziały, a akcje rosyjskich spółek znajdowały się na szczycie tej listy.

Taka sytuacja postawiła rosyjski rząd w obliczu poważnego zagrożenia. W ciągu ostatnich kilku lat Rosja, która zmagała się z ogromnym deficytem budżetowym w sektorze usług publicznych, zaciągnęła pożyczkę w wysokości 40 miliardów dolarów, emitując trzymiesięczne bony skarbowe. Oznaczało to, że aby utrzymać się na powierzchni, rząd musiał co trzy miesiące uzyskać 40 miliardów dolarów ze sprzedaży nowych obligacji, aby wypłacić tę kwotę za poprzednie obligacje, których termin wykupu mijał. Dodatkowo, żeby przyciągnąć nabywców, rząd musiał wypłacać odsetki przekraczające 30 procent, przez co próg zadłużenia stawał się wciąż coraz wyższy.

W sprzyjających okolicznościach można by uznać taką strategię finansową za niezbyt rozsądną, ale w niesprzyjających okolicznościach stawała się zwykłym samobójstwem.

Jedynym, co mogło teraz ocalić Rosję, był Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Wiosną 1998 roku wszyscy brokerzy w Moskwie i ich klienci mówili o interwencji MFW.

Co ciekawe, rosyjski rząd nie podzielał naszych obaw. Nie wiedziałem, czy była to arogancja, czy głupota, ale Kreml strugał ważniaka przed MFW, zamiast paść na kolana i błagać o pomoc. W połowie maja Larry Summers, przyszły zastępca sekretarza Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych, przyleciał do Rosji, aby zdecydować, co jego kraj może zaradzić na sytuację, która groziła poważnym kryzysem. Ponieważ Stany Zjednoczone były najpotężniejszym z członków Międzynarodowego Funduszu Walutowego, opinia Summersa miała decydujący wpływ na rozwój

wypadków. Chociaż każdy zachodni polityk zdawał sobie sprawę, że Summers to najbardziej wpływowy z graczy w świecie finansów, kiedy rosyjski premier, Siergiej Kirijenko, dowiedział się, że jest on zaledwie zastępcą sekretarza, poczuł się urażony i nie zgodził się go przyjąć. Kilka dni później, 23 maja 1998 roku, przebywająca w Rosji delegacja MFW, która miała negocjować warunki udzielenia pomocy w wysokości 20 miliardów dolarów, natrafiła na podobne przeszkody i zrezygnowała z rozmów. Zarówno Summers, jak i przedstawiciele MFW wyjechali z Rosji, nie dokonawszy żadnych konkretnych ustaleń.

Bez pieniędzy MFW, które wsparłyby rosyjski rynek obligacji, chcąc zwabić nabywców, Kreml podniósł wysokość odsetek wypłacanych przy wykupie własnych bonów skarbowych z 30 do 44 procent. Jednak zamiast przyciągnąć inwestorów, posunięcie to wywarło odwrotny efekt. Na Wall Street pojawiły się podejrzenia. Jeżeli Rosja musi podnosić oprocentowanie z 30 do 44 procent — wnioskowano — to coś jest nie w porządku i lepiej nie mieć z tym nic wspólnego.

Ten brak pewności doprowadził do krachu na rosyjskim rynku giełdowym i w maju mój fundusz doświadczył oszałamiającego spadku o 33 procent, skutkiem czego wartość naszego kapitału obniżyła się o 50 procent od początku roku.

Edmond miał rację.

Strata tylu pieniędzy postawiła mnie przed dylematem. Czy powinniśmy sprzedawać akcje, kiedy już polecieliśmy w dół o 50 procent? Czy nie ustępować i czekać na poprawę? Myśl, że po takiej stracie moglibyśmy na zawsze utknąć w miejscu, była upokarzająca. Przypuszczałem, że rynek osiągnął dno, więc radziłem trwać na pozycjach i czekać na odsiecz ze strony MFW.

Na początku czerwca zaczęły krążyć pogłoski, że MFW znów przystąpił do negocjacji. Na rynku giełdowym coś drgnęło i w ciągu jednego tygodnia nasz fundusz poszedł w górę o 9 procent. Ale w następnym tygodniu pogłoski okazały się nieprawdziwe i fundusz spadł o 8 procent.

W lipcu odsetki z tytułu bonów skarbowych osiągnęły szokujący poziom 120 procent. Rosyjski rząd z pewnością nie byłby w stanie spłacić tego zobowiązania, gdyby nie włączył się MFW. Arogancja Kremla mogła doprowadzić do wściekłości Larry'ego Summersa i technokratów z MFW, jednak wiedzieli oni, że taka niewypłacalność państwa byłaby katastrofą, toteż w ostatniej chwili Stany Zjednoczone wsparły sowity pakiet pomocowy dla Rosji. Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy 20 lipca wyasygnowały 22,6 miliarda dolarów, natychmiast przelewając pierwszą ratę w wysokości 4,8 miliarda.

Kiedy zobaczyłem nagłówki prasowe, kamień spadł mi z serca.

Miałem doszczętnie zszargane nerwy przez nawał złych wiadomości, ale kryzys został zażegnany. Wyglądało na to, że pomoc Zachodu ocaliła Rosję — jak również pieniądze moich inwestorów. W następnym tygodniu fundusz odzyskał 22 procent swoich strat. Telefon się urywał, kiedy dzwonili do mnie zadowoleni klienci, z którymi zaczynałem snuć rozważania, jak będzie przebiegał proces regeneracji.

Było jednak za wcześnie, by odtrąbić zwycięstwo. Z punktu widzenia rosyjskich oligarchów pakiet pomocowy nie był siatką ochronną, lecz ogromną skarbonką, dzięki której mogli zamienić swoje ruble na dolary, by zabrać te pieniądze z Rosji i ukryć jak najdalej. W ciągu następnych czterech tygodni takiej wymianie poddano ruble o łącznej wartości 6,5 miliarda dolarów. Tym sposobem kraj wrócił do punktu, w którym znajdował się przed interwencją Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Jak gdyby te finansowe zawirowania nie wystarczały, moje małżeństwo powoli się rozpadało. Od czasu zajścia z Sidanco Sabrina była na mnie coraz bardziej wściekła. Uważała moją decyzję o podjęciu walki z Potaninem za zdradę i zażądała, abym przeprowadził się z powrotem do Londynu. Przypomniałem jej, że bez względu na całą tę groźną otoczkę zgodziła się zamieszkać ze mną w Moskwie, jednak ona nie chciała o tym słyszeć. Była również kompletnie głucha na moje argumenty o zobowiązaniach wobec inwestorów.

Bardzo trudno było nam znaleźć jakiś sensowny sposób, który pozwoliłby nam zbliżyć się do siebie. Poza opieką nad Davidem, w czym była wspaniała, jedynym aspektem naszego małżeństwa, w który się angażowała, było planowanie rodzinnych wakacji. Tylko podczas nich spędzaliśmy ze sobą więcej niż tydzień, toteż pozwalałem jej wybierać wszystko, na co miała ochotę, w nadziei, że te wyjazdy zbliżą nas do siebie.

Na początku lata, zanim wszystko zaczęło się walić na rosyjskim rynku finansowym, Sabrina zarezerwowała apartament w hotelu Villa d'Este nad jeziorem Como we Włoszech. Apartament w tym pięciogwiazdkowym hotelu kosztuje 1200 dolarów za dobę, czyli więcej, niż wydawałem w ciągu całego lata tuż po ukończeniu studiów. Podczas takich ekstrawaganckich wakacji zawsze czułem się nieswojo, bez względu na to, czy mogłem sobie na nie pozwolić, czy nie. Moja matka, która uciekła przed Holocaustem, wpoiła mi pogląd, że wydawanie pieniędzy na zbytki jest głupie i nieodpowiedzialne. Zważywszy na moje położenie, było to irracjonalne, ale wciąż miałem opory z wydaniem trzydziestu dolarów na śniadanie kontynentalne. Często wynajdywałem jakiś pretekst, żeby nie iść na śniadanie, i prosiłem Sabrinę o przyniesienie kilku bułek, o tak wielkie wyrzuty sumienia przyprawiało mnie „trwonienie pieniędzy".

Akurat te wakacje nie mogły przypaść na gorszy okres. Rynki finansowe przeżywały wzloty i upadki po 5 procent w ciągu jednego dnia, a ja nie powinienem odchodzić od biurka dalej niż na metr. Jednak gdybym odmówił, naraziłbym swoje małżeństwo na całkowity kryzys. Toteż w połowie sierpnia poleciałem do Mediolanu, gdzie wsiadłem w samochód, by spotkać się z Sabriną i Davidem nad jeziorem Como.

Kontrast między Rosją a Włochami był uderzający. Podczas gdy w Moskwie wszyscy byli spięci, poirytowani i agresywni, tutaj otaczali mnie opaleni, rozluźnieni i szczęśliwi ludzie. Rozgościliśmy się w luksusowym apartamencie z dwiema sypialniami i wyszliśmy na taras. Patrzyłem na krystalicznie czyste alpejskie jezioro otoczone pofałdowanymi pagórkami i na roześmianych wczasowiczów, którzy pluskali się w wodzie. Pogoda była bezwietrzna, a w powietrzu unosił się zapach sosen. Wszystko to wydawało mi się nierealne.

Próbowałem się odprężyć i przez kilka najbliższych dni nie myśleć obsesyjnie o każdym zwrocie na rynku, lecz było to niemożliwe. Wyciszenia zaznawałem jedynie o świcie, kiedy budził się David. Ubierałem go, napełniałem jego butelkę mlekiem i wspólnie spędzaliśmy w spokoju parę godzin, spacerując po wypielęgnowanych hotelowych ogrodach, podczas gdy Sabrina jeszcze spała.

Te chwile intymności sprawiały mi prawdziwą radość, ale rankiem 18 sierpnia, kiedy David i ja wróciliśmy ze spaceru i siedzieliśmy na balkonie, patrząc na jezioro, a Sabrina się kąpała, zadzwonił Wadim.

— Bill, chyba się zaczęło — powiedział z paniką w głosie.

— Co się zaczęło? — zapytałem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Wartość rubla spada w niekontrolowany sposób. Rząd już nie wspiera waluty. Analitycy przewidują, że dewaluacja może sięgnąć siedemdziesięciu pięciu procent.

— O mój Boże.

Odstawiłem butelkę wody mineralnej na metalowy stolik. Byłem kompletnie zszokowany. Obok nas śmignął jakiś ciemno upierzony ptak i skręcił ostro w kierunku jeziora. David wydał radosny okrzyk.

— Jest jeszcze gorzej, Bill. Rząd ogłosił, że nie jest w stanie spłacić długu krajowego.

— Co? Czemu mieliby to robić, skoro mogą po prostu wydrukować pieniądze na spłatę? To nie ma sensu.

— Bill, żadna z rzeczy, które robią ci ludzie, nie ma najmniejszego sensu — powiedział Wadim zrezygnowanym tonem.

— A jak reagują na to rynki? — zapytałem, przygotowując się na najgorsze.

— To kompletna porażka. Po ofertach nie ma śladu. Tu i ówdzie dochodzi do sporadycznych transakcji od osiemdziesięciu do

dziewięćdziesięciu procent poniżej kursu.

Zakończyłem rozmowę, nie powiedziawszy nic więcej, zabrałem Davida i weszliśmy do środka. Czegoś takiego nie wyobrażałem sobie nawet w najgorszych koszmarach. Przed rozmową z Wadimem byłem przekonany, że rynek sięgnął dna. W tym momencie stało się oczywiste, że muszę wracać do Moskwy.

Kiedy powiedziałem o tym Sabrinie, zapytała, dlaczego nie mogę zająć się tym na miejscu. Próbowałem jej wytłumaczyć, jak poważny obrót przybrała sytuacja i jak ważne jest, bym niezwłocznie znalazł się w Moskwie, ale nie rozumiała tego. Spakowałem się pospiesznie i kiedy byłem gotów do wyjścia, chciałem przytulić Sabrinę, ale mnie odtrąciła. Wziąłem Davida na ręce i uścisnąłem go mocno.

Tego samego dnia wieczorem byłem już w Moskwie i gdy w końcu opadł kurz, mój fundusz doznał straty 900 milionów dolarów — spadku wartości o 90 procent. Dopiero teraz sięgnęliśmy dna.

Trudno opisać, jakie to uczucie, kiedy człowiek straci 900 milionów dolarów. Doznawałem wrażenia, jakbym został opróżniony od środka. Jeszcze przez wiele tygodni czułem nieprzyjemne mrowienie między łopatkami, jakbym dosłownie dźwigał na swoich plecach brzemię porażki. I nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Przez poprzednie dwa lata rozsławiałem zalety inwestowania w Rosji, a teraz zawiodłem swoich inwestorów w spektakularnym stylu.

Było to również publiczne upokorzenie. Ci sami dziennikarze, którzy dobijali się do mnie, żeby prezentować moje sukcesy, teraz desperacko chcieli poznać wszystkie posępne szczegóły mojej klęski. Czułem się jak ofiara groźnego wypadku, przy której wszyscy przechodnie zwalniają kroku, żeby popatrzeć na kałużę krwi i płonący wrak.

Mimo to w głębi ducha nie widziałem innej możliwości, jak tutaj zostać. Musiałem odzyskać wszystkie pieniądze, które stracili przeze mnie moi klienci. Nie zamierzałem opuścić Rosji z podkulonym ogonem. Nie chciałem, aby takiego mnie zapamiętano.

Rozdział 15
Wszystko kiedyś się kończy

Byłem na siebie wściekły za całe to niepowodzenie, ale co intrygujące, moi klienci nie mieli do mnie pretensji. Borykali się ze znacznie większymi problemami. Ponieważ przed kryzysem odsetki wypłacane przy wykupie rosyjskich bonów skarbowych przekroczyły 30 procent i większość ludzi uważała je za mniej ryzykowne od akcji, przeciętny inwestor korzystający z mojego funduszu ulokował pięć razy więcej kapitału na rynku obligacji niż w Hermitage Fund. Zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli, oprocentowanie bonów skarbowych stało się tak atrakcyjne, że wielu inwestorów zaciągało pożyczki, żeby kupić ich jeszcze więcej. Chociaż moi klienci zdawali sobie sprawę, że w najgorszym wypadku wartość ich inwestycji w Hermitage może spaść do zera, nigdy nie przyszło im do głowy, że to samo może się stać z ich portfelami rosyjskich obligacji rządowych. A jednak właśnie to spotkało wielu z nich.

Jednym z najbardziej poszkodowanych był Beny Steinmetz, izraelski magnat diamentowy, który poznał mnie z Edmondem. Ponieważ stracił na bonach skarbowych, musiał wycofać inwestycje z Hermitage i zrzec się udziałów w spółce. Odejście takiego wspólnika było przykre, ale na szczęście wciąż miałem przy sobie Edmonda.

Albo przynajmniej tak mi się wydawało.

W maju 1999 roku, spędzając weekend w Londynie, zajrzałem do „Financial Timesa" i przeczytałem, że Edmond Safra sprzedał Republic National Bank holdingowi HSBC. Podobnie jak Beny, bank Edmonda również zainwestował krocie w rosyjskie obligacje rządowe i poniósł wielkie straty. Edmond, który przeżył więcej wahań rynku, niż byłbym w stanie zliczyć, dawniej prawdopodobnie otrząsnąłby się z tego, ale od kilku lat zmagał się z chorobą Parkinsona. W okresie, gdy byliśmy wspólnikami, ciągle podupadał na zdrowiu, które pogorszyło się do tego stopnia, że miał nawet trudności z prowadzeniem rozmowy. Z jakiegoś powodu nie wyznaczył swojego następcy, toteż nie było nikogo, kto zająłby jego miejsce, gdyby musiał się wycofać. Dlatego był zmuszony jak najszybciej sprzedać swój bank i dobił targu z HSBC.

Odejście Edmonda ugodziło mnie mocno. Należał do najznakomitszych finansistów świata — a teraz właśnie przestał być moim wspólnikiem.

W moim życiu osobistym również panował kryzys. Od nagłego wyjazdu z Villa d'Este moje stosunki z Sabriną jeszcze się pogorszyły. Rozłąka, napięcie i dzieląca nas odległość bardzo źle odbijały się na naszych relacjach. Kłóciliśmy się za każdym razem, kiedy na weekend

przylatywałem do Londynu. Byliśmy na prostej drodze do rozwodu, chociaż starałem się robić wszystko co w mojej mocy, żeby to powstrzymać. Zaproponowałem, abyśmy skorzystali z fachowej pomocy. Odwiedziliśmy trzech terapeutów, ale żaden nie przypadł nam do gustu. Próbowałem przedłużać wizyty w domu do trzech lub czterech dni, ale moja obecność drażniła Sabrinę, zamiast ją cieszyć.

Pomimo to zaplanowała rodzinne wakacje w sierpniu 1999 roku. Tym razem wybrała hotel Elouda Beach w jednym z greckich kurortów. Była tak podekscytowana tym wyjazdem, że gdy tylko znaleźliśmy się na miejscu, nie posiadała się z radości i traktowała mnie z sympatią. Nawet okazywała mi czułość. Nie patrzyła na mnie z chłodem i nie robiła mi wyrzutów za pracę, pobyt w Rosji i za klientów. Drugiego dnia wieczorem wynajęliśmy niańkę, z którą zostawiliśmy Davida, by wybrać się do miejscowej tawerny. Po kolacji opowiedziałem jej trochę o Rosji, a ona w kółko mówiła o tym, jak wspaniały jest David. Przez tych kilka godzin myślałem, że nie jest aż tak źle. Że znów jest tak jak kiedyś. Nawet chciałem ją zapytać, czy coś się stało, że tak diametralnie zmieniła swoje nastawienie, ale postanowiłem po prostu cieszyć się z tego. Pamiętam, że nawet śmiała się z jakiegoś głupiego żartu, który rzuciłem podczas deseru.

Następny dzień wyglądał tak samo. Spędziliśmy go nad morzem, gdzie bawiliśmy się w piasku i zjedliśmy lunch, który przyniesiono nam na plażę. Wieczorem, kiedy zaszło słońce i wróciliśmy do hotelu, żeby położyć Davida do łóżka, byłem przekonany, że z jakiegoś niewiadomego powodu Sabrinie udało się przezwyciężyć kryzys i wszystko wróci do normy.

Kiedy David zasnął, poszedłem do łazienki, żeby zmyć z siebie piach i olejek do opalania. Potem stanąłem przy umywalce, odkręciłem wodę i zacząłem się golić. Sabrina, która odświeżyła się, kiedy opowiadałem Davidowi bajkę na dobranoc, czytała w sypialni jakieś czasopismo. To była scena z idealnych wakacji rodzinnych.

Już kończyłem się golić i właśnie przejeżdżałem maszynką po szyi, gdy w drzwiach łazienki stanęła Sabrina.

— Bill, musimy porozmawiać.

Patrząc na jej odbicie w lustrze, opuściłem rękę, by opłukać żyletkę w umywalce.

— Oczywiście. O co chodzi?

— Nie chcę być już twoją żoną — odparła spokojnie.

Maszynka wyśliznęła mi się z dłoni i niezdarnie zacząłem jej szukać po omacku. Zakręciłem wodę, chwyciłem ręcznik i odwróciłem się w stronę Sabriny.

— Co?

— Nie chcę być już twoją żoną. Dłużej nie mogę.

— Ale wydawało mi się, że jest nam tak dobrze — powiedziałem

niepewnie.

— Wydawało się. Cóż, jestem dla ciebie miła, bo wszystko sobie przemyślałam. Nie widzę sensu, żeby dłużej się wściekać.

Sabrina posłała mi słaby uśmiech, po czym odwróciła się i poszła z powrotem do łóżka, pozostawiając mnie z moimi myślami.

Byłem zdruzgotany, ale również czułem ulgę. Nasze małżeństwo utknęło w ślepym zaułku. Nie chciałem wieść „normalnego życia na normalnej posadzie" w Londynie, do którego usiłowała mnie nakłonić, a ona nie chciała mieć nic wspólnego z moim szalonym życiem w Moskwie. Pod żadnym względem nie tworzyliśmy udanego związku, a sam fakt, że chciałem uniknąć rozpadu małżeństwa, nie był dobrym powodem, by nadal to ciągnąć. W pewnym sensie byłem jej wdzięczny, że zdobyła się na odwagę, żeby to skończyć, kiedy ja nie potrafiłem.

Pomimo ciemnych chmur wiszących nad naszym małżeństwem zostaliśmy w Grecji do końca wakacji, by nadal cieszyć się swoim towarzystwem i obecnością naszego synka. Było tak, jakbyśmy nagle znowu byli przyjaciółmi, a nie skłóconymi małżonkami, którzy nie mogą ze sobą wytrzymać. Gdy nasz urlop dobiegł końca, pojechaliśmy na lotnisko, gdzie poszliśmy w kierunku różnych bramek.

— Bill, wiem, że to moja wina — powiedziała Sabrina na pożegnanie. — Jest mi naprawdę przykro.

— Wszystko w porządku — odparłem, zdając sobie sprawę, że chociaż postąpiła wspaniałomyślnie, mówiąc coś takiego, przynajmniej połowa winy spoczywa na mnie.

— Jesteśmy dobrymi ludźmi, Bill. Ty jesteś dobrym ojcem i myślę, że ja jestem dobrą matką. Po prostu nie tak miało być.

— Wiem.

Sabrina pocałowała mnie w policzek i odeszła, pchając przed sobą wózek Davida. Kiedy patrzyłem za nimi, ogarnęło mnie to przytłaczające poczucie straty, które już tak dobrze zdążyłem poznać. Znów doznałem wrażenia, jakbym w środku był pusty, ale tym razem było o wiele gorzej. Utrata miłości jest dużo cięższa niż utrata pieniędzy.

Wróciłem do Rosji. Przyszła jesień, a Moskwa wydawała się najbardziej zimnym i nieprzyjaznym ze wszystkich miejsc na świecie, jakie kiedykolwiek odwiedziłem. Jedyną pociechę stanowił fakt, że pomimo gigantycznych strat mój fundusz zdołał przetrwać i nadal działał. Co dziwne, w branży funduszy hedgingowych spadek wartości o 30 lub 40 procent oznacza, że klienci wycofują cały swój kapitał i można zwijać interes. Jednak w przypadku straty rzędu 90 procent, jaka spotkała Hermitage w 1999 roku, większość klientów powiedziała sobie: „A niech tam! Równie dobrze można spróbować to przetrwać, może wszystko wróci do normy". Pomimo katastrofalnych wyników

mój fundusz po krachu wciąż zarządzał stu milionami dolarów. Przynosiło to zyski, które wystarczały na opłacenie czynszu oraz utrzymanie niewielkiego zespołu i dalsze prowadzenie działalności.

Tylko że nie mieliśmy dosłownie nic do roboty. Począwszy od punktu szczytowego rynku aż do początku 1999 roku, wielkość obrotów spadała o 99 procent ze stu do jednego miliona dolarów dziennie i większość walorów funduszu traciła płynność do tego stopnia, że nie mógłbym ich sprzedać, nawet gdybym chciał. Nie udało mi się również umówić na spotkanie z żadnym spośród obecnych ani potencjalnych klientów. Ludzie, którzy kiedyś tak skwapliwie zapraszali mnie na swoje jachty, teraz nie znajdowali nawet kwadransa, by wypić ze mną filiżankę herbaty.

Najtrudniejszą porą dnia był dla mnie wieczór, gdy o 18.00 zamykałem biuro i wracałem do domu. Zajmowałem wystawnie urządzone mieszkanie znajdujące się niedaleko Kremla. Kuchnia była wyposażona w sprzęty marki Poggenpohl, a w łazience miałem jacuzzi i saunę. Mógłby to być naprawdę wspaniały dom, ale brakowało mu kobiecej ręki i nie trzymałem tam prawie żadnych rzeczy osobistych. Było to chłodne, sterylne i niezbyt przytulne miejsce, pozbawione przedmiotów, które darzyłbym szczególnym sentymentem, co tylko pogłębiało moje uczucie osamotnienia.

Każdy dzień zlewał się z następnym, gdy niezmiennie od rana do wieczora obserwowałem dogorywający rynek, ale 3 grudnia po powrocie z pracy odebrałem telefon. Dzwonił Sandy Koifman, prawa ręka Edmonda. Sandy odszedł z Republic National Bank po przejęciu HSBC, ale nadal utrzymywaliśmy kontakt. Jego głos brzmiał zawsze silnie i stanowczo, ale teraz mówił zupełnie innym tonem.

— Bill, mam dla ciebie bardzo złą wiadomość.

Wyglądało na to, że ostatnimi czasy docierały do mnie wyłącznie złe wiadomości.

— Co się stało?

— Edmond nie żyje.

Wypowiedzenie tych słów sprawiało Sandy'emu wyraźną trudność i słyszałem, że ten były pilot myśliwca powstrzymuje łzy.

— Co?

— On nie żyje.

— Ale jak to się stało?

— Zginął wczoraj w pożarze swojego apartamentu w Monako.

— W pożarze? O czym ty mówisz?

— Informacje wciąż są bardzo skąpe — wyjaśnił Sandy, który zdołał już zebrać się w sobie. — Policja nie ujawnia żadnych szczegółów, a Lily, żona Edmonda, jest w szoku. Z tego, co zrozumiałem, jeden z jego pielęgniarzy upozorował włamanie i podłożył ogień. Edmond i jego pielęgniarka ulegli zaczadzeniu.

Zaniemówiłem z wrażenia. Sandy również milczał.

— Mój Boże — odezwałem się w końcu. — To okropne… Jest mi tak przykro, tak bardzo przykro.

— Dziękuję, Bill. Skontaktuję się z tobą, kiedy będę wiedział coś więcej. Chciałem tylko, żebyś usłyszał o tym ode mnie.

Starannie odłożyłem słuchawkę. Ta kropla przepełniła czarę goryczy. Zdążyłem się pogodzić z tym, że Edmond nie jest już moim wspólnikiem, ale był on dla mnie kimś więcej. Edmond Safra był moim mentorem i wzorem do naśladowania.

A teraz go zabrakło.

Rozdział 16
Wtorki z Morriem

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty rok był najgorszy w moim życiu i miałem nadzieję, że kolejne lata przyniosą jakieś pozytywne zmiany. Ale kiedy nadszedł nowy rok, trudno było dostrzec, aby cokolwiek zmieniło się na lepsze.

Co gorsza, wszyscy moi znajomi wyprowadzili się z Moskwy. Kiedyś co czwartek grywałem w pokera z imigrantami z Zachodu oraz mówiącymi po angielsku Rosjanami, a w szczytowym okresie, który przypadał na połowę 1997 roku, w tych wieczornych spotkaniach regularnie uczestniczyło trzynaście osób. Ale w styczniu 2000 roku tylko ja zostałem z tego towarzystwa. Byłem jak ostatni pasażer przy taśmie bagażowej na lotnisku. Wszyscy zabrali już swoje walizki i wrócili do domu, a ja stałem samotnie, patrząc na wstęgę podajnika, która obracała się z metalicznym skrzypieniem, i czekałem na swój bagaż, chociaż wiedziałem, że zaginął i na próżno go wypatruję.

Zostałem w Moskwie z jednej prostej przyczyny — nieważne w jaki sposób, ale zamierzałem odzyskać pieniądze swoich klientów.

Teoretycznie stan gospodarki po kryzysie powinien temu sprzyjać. Mój fundusz ulokował spory kapitał w większości rosyjskich spółek naftowych i gazowych. Spółki te sprzedawały ropę naftową za dolary, ale wszystkie opłaty regulowały w rublach. Ich sprzedaż nie uległa obniżeniu, ale ich koszty zmniejszyły się o 75 procent za sprawą kryzysu walutowego. Ujmując to najprościej, gdy maleją koszty, jakie ponosi spółka, jej zyski rosną. Spodziewałem się, że wskutek dewaluacji rubla dochody spółek z naszego portfela mogą wzrosnąć od 100 do 700 procent. Gdyby wszystko inne pozostało w niezmienionym stanie, wartość akcji tych spółek powinna znacząco wzrosnąć.

Tylko że wszystko inne nie pozostało w niezmienionym stanie. Przed kryzysem oligarchowie, którzy byli akcjonariuszami większościowymi tych spółek, przeważnie zachowywali się uczciwie w stosunku do akcjonariuszy mniejszościowych. Dlaczego? Ponieważ chcieli dostać z Wall Street fundusze, które uważali za „darmowe pieniądze". Przedstawiciele zachodnich banków inwestycyjnych zapowiedzieli im: „Możemy pozyskać dla was dużo pieniędzy, ale jeśli chcecie je dostać, nie naruszajcie praw swoich inwestorów". I tego przestrzegali.

Taka umowa obowiązywała przed kryzysem i generalnie trzymała oligarchów w ryzach. Ale kiedy nastąpił krach, wszyscy pracownicy banków inwestycyjnych, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Rosją, zostali zwolnieni, ci zaś, których oszczędzono, musieli z ręką na sercu

przysięgać swoim szefom, że nigdy nie słyszeli o Rosji. Kiedy w 1999 roku oligarchowie postanowili zadzwonić do swoich bankierów i upomnieć się o „darmowe pieniądze", nikt nie odbierał telefonu. Z dnia na dzień stali się pariasami. Wall Street zamknęła się na interesy z rosyjskimi oligarchami.

Oligarchowie nie mieli już żadnej motywacji do uczciwego postępowania, a stojąc przed perspektywą wielkich korzyści, jakie niosła ze sobą dewaluacja, nie mieli też żadnej motywacji, by nie kraść. Po co mieliby dzielić się zyskami z akcjonariuszami mniejszościowymi? Co takiego im zawdzięczali? Nic.

Pozbawieni hamulców rozpętali istną orgię złodziejstwa. Uciekali się do rozmaitych metod, a ponieważ organy ścigania nie stawały im na drodze, ich wyobraźnia nie znała granic. Odarcie z aktywów, rozwodnienie kapitału, ceny transferowe czy przywłaszczenia to tylko niektóre z ich sztuczek.

Stanowiło to ogromny problem, który nie dawał spokoju działającym w Rosji ludziom biznesu, a ponieważ starcie z Sidanco przyniosło mi pewną reputację, na początku stycznia 2000 roku zostałem zaproszony przez moskiewskie przedstawicielstwo Amerykańskiej Izby Handlowej, by przybliżyć społeczności lokalnych biznesmenów aspekty naruszenia ładu korporacyjnego. Wyglądało na to, że jako jedyny człowiek w Moskwie jestem na tyle szalony, by opowiadać publicznie o karygodnych wyczynach rosyjskich oligarchów.

Swoją analizę postanowiłem przeprowadzić na przykładzie spółki naftowej Jukos. Mogłem wybrać którekolwiek z rosyjskich przedsiębiorstw, ale Jukos był najbardziej odpowiedni ze względu na liczne skandale z akcjonariuszami mniejszościowymi. Zatytułowałem swoją prezentację „Siły zbrojne naruszające ład korporacyjny", aby scharakteryzować wiele różnych sposobów, z których korzystają oligarchowie, by łupić swoich akcjonariuszy mniejszościowych. Wojskami lądowymi były ceny transferowe, marynarką wojenną odzieranie z aktywów, a piechotą morską rozwadnianie kapitału akcjonariuszy.

Moje wystąpienie zostało zaplanowane na godzinę ósmą w śnieżny styczniowy poranek. Gdy o 6.30 zadzwonił budzik, ledwie zdołałem zwlec się z łóżka. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus 20 stopni, ulice pokrywała świeża warstwa białego puchu, a słońce jeszcze nie wzeszło. Ponieważ moskiewska giełda papierów wartościowych była czynna dopiero od 11.00, zwykle nie przychodziłem do biura przed 10.30. Po prostu nie byłem przyzwyczajony do tak wczesnego wstawania. Zresztą któż w Moskwie szedłby w zimowy poranek na jakąś prezentację? Ja na pewno nie, gdybym nie był prowadzącym.

Aleksiej przyjechał o 7.45 i zawiózł mnie do znajdującej się niedaleko mojego mieszkania siedziby Amerykańskiej Izby Handlowej. Gdy przybyłem na miejsce, ku swemu zdumieniu zobaczyłem, że sala konferencyjna jest wypełniona po brzegi. Wszedłem do środka i wmieszałem się w tłum ubranych w szare garnitury podobnych do siebie mężczyzn w średnim wieku. W tym morzu szarości nie mogłem nie zwrócić uwagi na piękną młodą kobietę. Miała czerwono-pomarańczową sukienkę i włosy ciasno spięte w kok na czubku głowy jak baletnica. Nagle poczułem, że nie na próżno zerwałem się tak wcześnie. Przedzierając się w głąb sali, zboczyłem w jej stronę.

— Cześć, jestem Bill Browder — zagadnąłem, wyciągając rękę, gdy podszedłem bliżej.

Mocno uścisnęła moją dłoń, a jej palce były nieco chłodne.

— Elena Mołokowa — odparła oficjalnym tonem.

— Co cię tutaj sprowadza o tak wczesnej porze?

— Interesują mnie nastroje na rosyjskim rynku inwestycyjnym.

Wręczyłem jej swoją wizytówkę. Elena niechętnie sięgnęła do torebki, żeby mi się zrewanżować. Spojrzałem na jej bilet wizytowy i zobaczyłem, że pracuje dla amerykańskiej firmy z branży public relations, z której usług korzystał Michaił Chodorkowski, czyli nikt inny, jak dyrektor generalny Jukosu. Teraz zaczynałem wszystko rozumieć. Miałem postawić pod pręgierzem największego klienta jej firmy, więc przysłali kogoś, kto oceni skalę zniszczeń.

— Interesują cię nastroje na rosyjskim rynku inwestycyjnym? — zapytałem tonem, który przypuszczalnie zdradzał odrobinę za duże zaskoczenie.

— Oczywiście, panie Browder — odparła Elena z poważną miną.

— W takim razie cieszę się, że przyszłaś.

Kiedy się oddalałem, towarzyszyło mi dziwne uczucie, jak gdyby Elena lekko przyciągała mnie z powrotem do siebie. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że między nami coś zaiskrzyło, i chociaż pora była dla mnie zdecydowanie za wczesna, czułem świeżą motywację, by spisać się jak najlepiej przed publicznością. Włożyłem w swoje wystąpienie dużo więcej polotu i dramatyzmu niż w zwykłych okolicznościach i spotkałem się z dobrym przyjęciem. Elena jednak pozostawała niewzruszona. Przemawiając, zerkałem na nią o wiele częściej, niż powinienem, a na jej twarzy malował się wciąż ten sam profesjonalny i pozbawiony uśmiechu wyraz. Kiedy skończyłem, chciałem znów z nią porozmawiać, ale zagadnęła mnie grupka słuchaczy, którzy stanęli między nami jak bariera. Kątem oka obserwowałem jej kolorową sukienkę, kiedy wymykała się z sali, znikając z mojego życia.

Ale nadal miałem jej wizytówkę.

Czułem, jak wypala mi dziurę w kieszeni. Chciałem do niej

zadzwonić, gdy tylko dotarłem do biura, ale rozsądek podpowiadał mi, żeby odczekać godzinę. Byłem trochę jak uczniak, który obmyśla najlepszy sposób, by umówić się z dziewczyną, nie dając po sobie poznać, jak bardzo mu na niej zależy.

Jej telefon musiał zadzwonić siedem razy, zanim podniosła słuchawkę. Nie sprawiała wrażenia, że tak samo jak ja czekała z utęsknieniem na tę rozmowę, mimo to udało mi się ją zaprosić na lunch, choć ton jej głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest to wyłącznie spotkanie służbowe i nic poza tym. Ale co tam! Musiałem od czegoś zacząć. Przynajmniej wykonałem pierwszy krok.

Spotkaliśmy się tydzień później w szwedzkiej restauracji o nazwie Scandinavia znajdującej się tuż za rogiem ulicy Twerskiej, nieopodal placu Puszkina. Spotkanie było trochę krępujące, ponieważ żadne z nas nie wiedziało, co drugie ma w planach. Spodziewałem się, że Elena będzie chciała porozmawiać ze mną o rosyjskiej gospodarce, Jukosie i ładzie korporacyjnym, ona zaś była wyraźnie zmieszana, kiedy przeszedłem do bardziej osobistych pytań, na które zręcznie unikała odpowiedzi. W połowie lunchu zorientowaliśmy się, że odbieramy na różnych falach, mimo to moja wytrwałość zaczęła przynosić efekty. Wprawdzie Elena nie do końca otworzyła się przede mną, ale zanim kelner przyniósł rachunek, zdążyłem się przekonać, że jest nie tylko piękna, ale również niezwykle inteligentna. Ukończyła z najlepszymi wynikami Uniwersytet Moskiewski — rosyjski odpowiednik Oksfordu czy Cambridge — i miała dwa doktoraty, z ekonomii i nauk politycznych. Fakt, że pracowała dla wroga, czynił ją w moich oczach szalenie atrakcyjną; jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Tak czy inaczej, musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby ją zdobyć.

Gdyby była pierwszą lepszą Rosjanką, nie byłoby to trudne. W Moskwie mężczyźni z Zachodu, zwłaszcza ci bogaci, cieszyli się ogromnym wzięciem. Rosyjskie dziewczęta rzucały się na ciebie i wskakiwały ci do łóżka prawie na dzień dobry. Żadnych podchodów ani umizgów. Tylko „cześć” i zanim się obejrzałeś, już jakaś zgrabna lisiczka o idealnie wykrojonych ustach i tajemniczym spojrzeniu owijała się wokół ciebie, podczas gdy ty główkowałeś, gdzie jest najbliższy hotel.

Elena była inna. W niczym nie ustępowała spełnionym zawodowo kobietom, jakie można spotkać w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Nie potrzebowała mężczyzny ze względu na pieniądze, a z pewnością nie po to, by poprawić sobie samopoczucie. Wiedziałem, że zdobycie jej względów nie będzie łatwe. Nie zniechęcałem się jednak. Niedługo po spotkaniu przy lunchu zadzwoniłem do niej i znów ją zaprosiłem, tym razem na kolację. W moim zachowaniu musiało być coś, co ją przekonało. Chociaż nie zareagowała entuzjastycznie, przyjęła moje

zaproszenie.

Poszliśmy do chińskiej restauracji o nazwie Mao, a Elena zachowywała się jeszcze bardziej powściągliwie niż poprzednim razem. Wiedziała, że kierują mną jakieś ukryte motywy, i była ostrożna. Kiedy szliśmy przez salę i siadaliśmy przy naszym stoliku, sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej.

Co oczywiście sprawiało, że jeszcze bardziej jej pragnąłem.

Przez chwilę rozmawialiśmy o błahostkach, a potem zapytałem:

— Czytałaś artykuł Lee Wolosky'ego w „Foreign Affairs"? O tym, że Ameryka powinna traktować oligarchów jak pariasów?

Elena zmarszczyła nos, by subtelnie wyrazić dezaprobatę.

— Nie, nie czytałam.

— Jest bardzo interesujący — powiedziałem, unosząc do ust kieliszek czerwonego wina. — Autor sugeruje, że rząd Stanów Zjednoczonych powinien odebrać oligarchom wizy, żeby nie mogli dostać się do Ameryki.

Kiedy mówiłem, na nieskazitelnej niczym biała porcelana skórze Eleny zaczęły się pojawiać czerwone cętki.

— Dlaczego Amerykanie tak się uwzięli na Rosjan? W innych krajach też jest sporo złych ludzi. To by była hipokryzja — oświadczyła takim tonem, jakbym ją uraził.

— Niezupełnie. Oligarchowie to potwory, a od czegoś trzeba zacząć — odparłem rzeczowo.

Uderzyłem w czuły punkt i nastrój całkowicie się zmienił. Po co wspominałem o tym artykule? Chciałem zdobyć zaufanie i przychylność Eleny, a nie drażnić się z nią. Porzuciłem ten temat i próbowałem skierować rozmowę na inne tory, ale nie udało mi się naprawić wyrządzonej szkody. Tego wieczoru pożegnaliśmy się zdawkowym pocałunkiem w policzek. Bez względu na to, jak bardzo mi się podobała, pozwoliłem sobie na nieprzychylne uwagi pod adresem jej kraju. Wracając do domu, byłem pewien, że już więcej się nie zobaczymy.

Przez resztę wieczoru robiłem sobie wyrzuty o tę zmarnowaną randkę i nie mogłem opędzić się od myśli, że moje niesforne zachowanie jest odzwierciedleniem innych problemów. Moja firma wciąż zmagała się z przeciwnościami, rosyjska gospodarka dogorywała i wyglądało na to, że oligarchowie zagarną wszystkie pieniądze, jakimi zarządzał fundusz. Nie tylko moja praca, ale również próby zdobycia tej niedostępnej kobiety sprowadzały się do bezsilnej szamotaniny. Położyłem się do łóżka targany niepokojem. Po godzinie przewracania się z boku na bok sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Alana Cullisona, mojego przyjaciela i dziennikarza „Wall Street Journal". Zbliżała się północ, ale to nie miało znaczenia. Alan zawsze kładł się późno i mogłem liczyć, że ze mną porozmawia. Opowiedziałem mu o

nieudanej randce, a on wspierał mnie stereotypowymi wyrazami ubolewania. Potem, w połowie mojej opowieści, wymieniłem nazwisko Eleny.

— Czekaj — przerwał mi Alan. — Spotkałeś się z Eleną Mołokową?

— W zasadzie już dwa razy.

— Kurczę, Bill, to już samo w sobie jest nie lada wyczynem. Wielu na nią leci.

— No cóż, myślę, że im się poszczęści. Ja spieprzyłem.

— Ech, kto by się tym przejmował… Po Moskwie chodzą miliony ładnych dziewcząt.

— Tak, ale nie takich jak ta — odparłem, wzruszając ramionami.

Nie mogłem liczyć na głębokie współczucie ze strony Alana i po chwili nasza rozmowa dobiegła końca. W końcu udało mi się zasnąć, a rano obudziłem się z silną determinacją, by zająć się swoim życiem. Musiałem po prostu zapomnieć o Elenie. Byłem zapracowanym człowiekiem i miałem wiele zadań do wykonania, a dookoła było tyle innych kobiet, gdyby mi na tym zależało…

Tylko że nie na tym mi zależało. Chociaż starałem się ze wszystkich sił, nie mogłem zapomnieć Eleny i tydzień po naszym niefortunnym spotkaniu w Mao postanowiłem, że muszę coś zrobić, żeby ratować tę znajomość.

Tylko co mogłem zrobić? Jak nawiązać z nią kontakt, aby moje starania nie wyglądały na desperackie czy żałosne? Jedynym, co zapamiętałem oprócz rozczarowania Eleny wywołanego moimi poglądami na temat oligarchów, była opowieść o śmierci jej ojca. Wydarzyło się to przed trzema laty, kiedy doznał niespodziewanego zawału serca. Jego odejście całkowicie ją zaskoczyło i najgorsze, jak mi się zwierzyła, było dla niej to, że nie mogła się z nim pożegnać. Zbyt wiele rzeczy pozostało niewypowiedzianych.

Ta smutna historia nasunęła mi skojarzenie z książką, którą niedawno czytałem, zatytułowaną *Wtorki z Morriem*. Napisałem do Eleny krótki liścik i wsunąłem go pod okładkę książki, po czym zapakowałem ją i kazałem Aleksiejowi dostarczyć do jej biura. Moja wiadomość brzmiała następująco: „Droga Eleno. Po tym, jak opowiedziałaś mi o swoim ojcu, wciąż myślę o Tobie i o tej książce. Opowiada o umierającym człowieku, który stara się powiedzieć wszystko to, co ma do powiedzenia, dopóki jeszcze może mówić. Nie wiem, czy znajdziesz czas, aby ją przeczytać, ale mam taką nadzieję, bo być może przemówi do Ciebie tak samo, jak do mnie. Serdeczności, Bill”.

Szczerze mówiąc, było to ryzykowne zagranie, chociaż książka faktycznie zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Była prosta, bezpośrednia i niesamowicie poruszająca. Ale wysyłając ją Elenie,

obawiałem się, że może odebrać ten gest inaczej, jakby to był mały koń trojański, którego wykorzystuję, żeby przeniknąć do jej serca.

Kolejny tydzień minął bez żadnego odzewu i nabrałem pewności, że mój zabieg okazał się chybiony. Ale potem, tydzień później, Swietłana wychyliła się zza swojego biurka i powiedziała:

— Bill, telefon do ciebie od Eleny Mołokowej.

Serce podskoczyło mi w piersi, kiedy sięgałem po słuchawkę.

— Halo?

— Cześć, Bill.

— Cześć, Eleno. Czy… czy dostałaś książkę, którą ci posłałem?

— Tak.

— A miałaś okazję do niej zajrzeć?

— Owszem.

Mówiła tonem łagodniejszym niż ostatnio. Nie byłem pewien, ale jej głos brzmiał tak, jakby zrzuciła z siebie jakiś twardy pancerz.

— I podobała ci się?

Elena westchnęła.

— Bardzo mi się podobała. Właśnie skończyłam ją czytać. W tej chwili. Naprawdę zrobiła na mnie wrażenie. Dziękuję ci.

— Miło mi. Znaczy, proszę bardzo.

— Zaskoczyło mnie to również.

Jej głos zmienił się, delikatnie przybierając osobisty ton, jakiego nigdy dotąd nie używała w rozmowie ze mną.

— Tak? A czemuż to?

— Nie przypuszczałam, że jesteś taki wrażliwy, Bill. Absolutnie — powiedziała i wyczułem, że się uśmiecha.

— Szczerze mówiąc, właściwie nie wiem, czy jestem wrażliwy — odparłem i zawiesiłem głos. — Powiedz mi, czy… chciałabyś znów wybrać się ze mną na kolację?

— Tak, chciałabym. Bardzo bym chciała.

Kilka dni później spotkałem się z Eleną w ekskluzywnej restauracji Mario, którą często odwiedzali członkowie rosyjskiej mafii, ale która słynęła z najlepszych w Moskwie potraw kuchni włoskiej. Zjawiłem się tam wcześniej i zająłem miejsce przy barze, a gdy kierownik sali przyprowadził Elenę, przetarłem oczy ze zdumienia. Zmieniła się nie do poznania. Tym razem jej jasne włosy nie były ciasno upięte w kok, tylko opadały swobodnie na ramiona. Szminka miała czerwieńszy kolor niż poprzednio, czarna sukienka ciaśniej opinała jej ciało, a zarazem była bardziej elegancka od wszystkich strojów, w jakich ją dotychczas widziałem. Elena była nie tylko piękna, lecz także seksowna. Nie miałem żadnych wątpliwości, że dla niej tak naprawdę to była nasza pierwsza randka. Zasiedliśmy do kolacji. Nie poruszaliśmy tematu rosyjskich oligarchów, ładu korporacyjnego ani biznesowych obyczajów. Rozmawialiśmy o

naszych rodzinach, naszym życiu i aspiracjach — o tym, o czym rozmawia każdy, kiedy chce kogoś poznać. To było wspaniałe. Zanim pożegnaliśmy się tego wieczoru, objąłem ją w talii i przyciągnąłem do siebie, a ona nie opierając się, wymieniła ze mną nasz pierwszy pocałunek.

Po tym spotkaniu dzwoniliśmy do siebie codziennie, a ja najchętniej widywałbym ją każdego dnia, lecz Elena miała czas na spotkanie tylko raz w tygodniu lub nawet raz na dwa tygodnie. W ten sposób spędzaliśmy wspólne chwile przez trzy miesiące — miłe rozmowy przy kolacji i czuły pocałunek na pożegnanie, po czym każde z nas odchodziło w swoją stronę. Chciałem czegoś więcej i wydawało mi się, że ona również, ale nie wiedziałem, jak wykonać następny krok. Postanowiłem więc zrobić coś szalonego i romantycznego.

Zbliżał się początek maja, kiedy cała Rosja świętuje i wszyscy wypadają z obiegu na dziesięć dni. Pewnego popołudnia zadzwoniłem do Eleny.

— Miałabyś ochotę wyskoczyć ze mną na urlop do Paryża?

Zawahała się. Z pewnością nie byłem pierwszym mężczyzną, który proponował jej taki spontaniczny wypad, a oboje wiedzieliśmy, do czego dojdzie, jeżeli się zgodzi.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię, Bill — odparła po krótkiej chwili.

Zadzwoniła do mnie dziesięć minut później.

— Z miłą chęcią wybrałabym się z tobą, gdybym miała wizę.

Słysząc słowa „Z miłą chęcią", poczułem, jak wzbiera we mnie fala ciepła, która jednak szybko się ulotniła na wzmiankę o wizie. Zdobycie wizy do kraju zachodnioeuropejskiego dla Rosjanki, która nie miała jeszcze trzydziestu lat, nie było łatwym zadaniem. Zazwyczaj potrzeba było kilku tygodni i góry dokumentów, aby udowodnić, że wnioskodawca nie zamierza na stałe zostać na Zachodzie. Co gorsza, zostały nam tylko cztery dni do rozpoczęcia okresu świątecznego, żeby to załatwić.

Elena zadzwoniła do kilku znajomych, które pracowały w biurach podróży. Na szczęście jedna z nich organizowała wycieczkę do Paryża i właśnie tego popołudnia wybierała się do ambasady francuskiej po wizy z trzydziestoma paszportami. Gdyby Elenie udało się dostarczyć papiery na czas, miała szansę szybko uzyskać wizę. Zebrała wszystkie wymagane dokumenty i, co ciekawe, następnego dnia jej wniosek został przyjęty. Niespełna tydzień po tym, jak ją zaprosiłem, siedzieliśmy obok siebie w samolocie Air France zmierzającym do Paryża.

Chcąc zaimponować Elenie, zarezerwowałem apartament w hotelu Le Bristol, jednym z najpiękniejszych i najbardziej luksusowych hoteli we Francji, jeśli nie na całym świecie. Dwaj bagażowi w białych

rękawiczkach wzięli nasze nieduże walizki i poprowadzili nas w głąb budynku. Szliśmy po wyścielanych niebieskimi chodnikami korytarzach, w których stały krzesła w stylu Ludwika XV, na ścianach wisiały kinkiety, a ja zerkałem na Elenę, by zaobserwować jej reakcję. Na jej twarzy malował się delikatny uśmiech, ale ona zawsze miała taką minę, niezależnie od nastroju. Dotarliśmy na miejsce i bagażowy otworzył przed nami drzwi jednego z najbardziej imponujących apartamentów hotelowych, w jakim kiedykolwiek byłem, a do tego czasu odwiedziłem ich sporo. Wręczyłem bagażowym napiwki, dziękując im moją pożałowania godną francuszczyzną, po czym obróciłem się w stronę Eleny.

Wystrój apartamentu nie zrobił na niej wrażenia albo doskonale to maskowała swoim delikatnym uśmiechem.

— Przejdźmy się — zaproponowała.

Odświeżyliśmy się i zeszliśmy na dół, na Avenue Matignon. Paryż jest stworzony do spacerów, więc szliśmy niespiesznie, rozmawiając o różnych błahostkach. Od czasu do czasu chwytaliśmy się za ręce, ale nigdy nie trwało to na tyle długo, bym nabrał przeświadczenia, że nareszcie ją zdobyłem. Zanosiło się na deszcz i kiedy skręciliśmy na Pola Elizejskie, wiszące nad naszymi głowami chmury wyglądały naprawdę złowieszczo.

— Czuję, że zaraz się rozpada — powiedziała Elena.

— Racja.

Wypatrzyliśmy kawiarnię, której stojące na zewnątrz stoliki były osłonięte parasolami, i zasiedliśmy przy jednym z nich. Gdy zjawił się kelner z ciepłym pieczywem, zamówiłem butelkę bordeaux. Zjedliśmy małże duszone w białym winie i wielką porcję frytek. Jeszcze nie zaczęło padać, więc poprosiłem o crème brûlée i dzbanek angielskiej herbaty. Kiedy podano nam deser, wielkie krople zaczęły rozbryzgiwać się na chodniku i bębnić o parasol. Parasol nie był zbyt duży, więc przysunąłem się z krzesłem do Eleny i otoczyłem ręką jej talię, by ochronić ją przed deszczem. Chichotaliśmy jak dzieciaki, gdy dookoła rozpętało się wiosenne oberwanie chmury. Przyciągnąłem Elenę bliżej i posadziłem sobie na kolanach, a ona zarzuciła mi ręce na szyję i mocno się do siebie przytuliliśmy.

W tym momencie już wiedziałem, że jest moja, a ja należę do niej.

Rozdział 17
Analiza kradzieży

To zdumiewające, jak miłość wszystko zmienia. Po powrocie do Moskwy czułem, że wypełniają mnie pokłady nowej energii. Miałem wrażenie, że z Eleną u boku potrafię sprostać każdemu wyzwaniu.

W owym czasie moim głównym zmartwieniem było powstrzymanie masowego rozkradania spółek, których akcje znajdowały się w naszym portfelu. Na skutek kryzysu fundusz Hermitage stracił już 90 procent swojej wartości, a teraz oligarchowie zagarniali właśnie pozostałe 10 procent. Wiedziałem, że jeśli nic nie zrobię, wkrótce fundusz zostanie z niczym.

Do takich aktów kradzieży dochodziło we wszystkich sektorach gospodarki, od bankowości po surowce naturalne, ale szczególnie wyróżniała się największa w Rosji spółka — gigant naftowy i gazowy, Gazprom.

Pod względem wydajności produkcji i znaczenia strategicznego Gazprom należał do przedsiębiorstw najbardziej liczących się na świecie. Mimo to ogólna wartość rynkowa spółki, która wynosiła 12 miliardów dolarów, była mniejsza niż średniej wielkości amerykańskiej spółki naftowej. Złoża węglowodorów, którymi dysponował Gazprom, ośmiokrotnie przekraczały zasoby ExxonMobil i były dwanaście razy większe niż złoża BP — czyli dwóch największych spółek naftowych świata — a mimo to Gazprom liczył sobie za baryłkę ropy o 99,7 procent mniej od nich.

Czemu tak tanio? Odpowiedź była prosta — większość inwestorów sądziła, że 99,7 procent zasobów tej spółki została skradziona. Ale w jaki sposób można było ukraść w całości jedno z największych przedsiębiorstw świata? Nikt tego nie wiedział, ale wszyscy uznali to za fakt.

Chociaż zdawałem sobie sprawę, jak nieuczciwi potrafią być Rosjanie, nie mieściło mi się w głowie, że zarząd Gazpromu wszystko rozkradł. Gdybym potrafił jakoś udowodnić, że rynek się myli, można by mnóstwo na tym zarobić. Musiałem dokładnie zbadać tę spółkę i odkryć, co tak naprawdę się dzieje. W tym celu należało przeprowadzić „analizę kradzieży".

Ale jak przeprowadzić analizę kradzieży rosyjskiej spółki? Tego nie uczono w szkole biznesu w Stanfordzie. Oczywiście nie mogłem zwrócić się bezpośrednio do zarządu Gazpromu. Nie mogłem też poprosić o pomoc analityków z któregoś z wielkich międzynarodowych banków inwestycyjnych. Dla nich liczyła się tylko dobrze opłacana praca, więc wchodzili w dupę zarządowi Gazpromu i

nigdy nie potwierdziliby publicznie informacji o bezczelnych kradzieżach, do których dochodziło na ich oczach.

Kiedy zastanawiałem się, jak to rozegrać, uświadomiłem sobie, że w tej sytuacji może mi się przydać doświadczenie zdobyte w BCG. Jako doradca w dziedzinie zarządzania przekonałem się, że najlepszym sposobem na trudne pytania jest znalezienie ludzi, którzy znają odpowiedzi, i wypytanie ich.

Sporządziłem zatem listę ludzi, którzy wiedzieli coś o Gazpromie — konkurentów, klientów, dostawców, byłych pracowników, urzędników państwowych i tym podobnych. Potem każdego z nich zapraszałem na śniadanie, lunch, obiad, herbatę, kawę albo deser. Nie chciałem spłoszyć ich przedwcześnie, więc nie ujawniałem im całych swoich planów. Mówiłem tylko, że jestem zachodnim inwestorem, który chciałby z nimi porozmawiać. Ku memu zaskoczeniu mniej więcej trzy czwarte około czterdziestoosobowej grupy informatorów, z którymi nawiązałem kontakt, zgodziło się na spotkanie.

Pierwszą rozmowę przeprowadziłem z dyrektorem działu planowania małej firmy, która stanowiła rodzimą konkurencję Gazpromu. Łysy i z lekką nadwagą, nosił radziecki zegarek i wymięty szary garnitur. Wadim i ja spotkaliśmy się z nim przy lunchu we włoskiej restauracji Dorian Gray, która znajdowała się nad brzegiem rzeki Moskwy naprzeciwko placu Błotnego.

Po zwyczajowej błahej pogawędce na wstępie przeszedłem do rzeczy.

— Chcieliśmy z panem porozmawiać, ponieważ staramy się ustalić, co skradziono z Gazpromu — oznajmiłem bez ogródek. — Należy pan do ekspertów w tej dziedzinie i pomyślałem, że może byłby pan skłonny podzielić się z nami swoją wiedzą.

Nastąpiła chwila ciszy i pomyślałem, że chyba przeciągnąłem strunę, ale wtedy twarz naszego rozmówcy przybrała radosny wyraz. Mężczyzna oparł dłonie na białym obrusie i pochylił się do przodu.

— Tak się cieszę, że pan o to zapytał. Zarząd Gazpromu to banda największych oszustów, jakich można sobie wyobrazić. Wszystko rozkradają.

— Na przykład co? — odezwał się Wadim.

— Weźmy taki Tarkosalenieftiegaz — odparł mężczyzna, uderzając łyżką o blat. — Utworzyli go na bazie Gazpromu.

— Co to jest Tarko… — zainteresował się Wadim.

— Tarko Sale — przerwał mu nasz rozmówca. — To złoża w okręgu jamalsko-nienieckim. Mają około czterystu miliardów metrów sześciennych gazu.

Wadim wyjął kalkulator i przekształcił podaną ilość na baryłki przeliczeniowe ropy[7]. Wynik, jaki otrzymał — 2,7 miliarda baryłek ropy — oznaczał, że złoża Tarko Sale są większe od zasobów

Occidental Petroleum, amerykańskiej spółki o kapitale 9 miliardów.

Mam raczej mocne nerwy, ale odłączenie od Gazpromu tak dużej spółki przyprawiło mnie o szok. Tymczasem nasz rozmówca przeszedł do szczegółów, wymieniając nazwiska, podając daty i opowiadając o innych potężnych złożach gazu, które były rozkradane. Wypytywaliśmy go o wszystko, co tylko przyszło nam na myśl, i zapisaliśmy siedem stron w notatniku. Ostatecznie musieliśmy przerwać lunch po dwóch godzinach, w przeciwnym razie rozmowa ciągnęłaby się w nieskończoność.

Nieświadomie natknąłem się na jedno z najważniejszych zjawisk kulturowych postsowieckiej Rosji — eksplodujący rozrzut skali zamożności. W czasach komunizmu najbardziej majętny człowiek w Rosji był około sześciu razy bogatszy od najbiedniejszego. Członek Politbiura mógł mieć większe mieszkanie, samochód albo ładną daczę, ale nic poza tym. Tymczasem w 2000 roku najzamożniejszy człowiek w Rosji był bogatszy od najbiedniejszego aż dwieście pięćdziesiąt tysięcy razy. Rozbieżność ta powstała w tak krótkim czasie, że zatruła ducha narodu. Ludzi przepełniał taki gniew, że byli gotowi wyrzucić z siebie wszystko, jeżeli tylko ktoś chciał o tym rozmawiać.

Większość pozostałych spotkań przebiegała w podobny sposób. Spotkaliśmy się z konsultantem w dziedzinie przemysłu petrochemicznego, który opowiedział nam o innych skradzionych złożach gazu. Przeprowadziliśmy rozmowę z dyrektorem do spraw rurociągów, który wspominał, jak Gazprom zamienił całą swoją sprzedaż gazu w byłym Związku Radzieckim na szemrane pośrednictwo. Rozmawialiśmy z byłym pracownikiem, który opowiadał o tym, jak Gazprom udzielał przyjaciołom członków zarządu wielkich pożyczek poniżej rynkowej stopy procentowej. W sumie zapełniliśmy dwa notatniki ciężkimi oskarżeniami o kradzieże i oszustwa.

Jeśli wierzyć we wszystkie informacje, które zebraliśmy, prawdopodobnie był to największy przekręt w dziejach gospodarki. Było tylko jedno wielkie zastrzeżenie. Nie mieliśmy pojęcia, czy którekolwiek z tych oskarżeń jest prawdziwe. Ludzie mogli opowiadać takie rzeczy z zawiści, mogli wyolbrzymiać albo celowo wprowadzać nas w błąd. Musieliśmy znaleźć jakiś sposób na zweryfikowanie tych informacji.

Ale jak w Rosji można stwierdzić, czy cokolwiek jest prawdą? Czyż nie to właśnie stanowiło istotę problemu, z którym przede wszystkim musieliśmy się uporać w przypadku Gazpromu? Rosja była tak mglistym i nieprzeniknionym krajem, że czasem człowiek odnosił wrażenie, jakby nie widział własnej ręki trzymanej tuż przed oczami.

Tak mogło się wydawać, ale w rzeczywistości wcale nie było tak tajemniczo. Wystarczyło tylko zdrapać wierzchnią warstwę, by ze

zdumieniem odkryć, że Rosja to jedno z najbardziej przejrzystych miejsc na ziemi. Trzeba było tylko wiedzieć, jak zdobywać informacje, a my przyswoiliśmy sobie tę umiejętność niemal przez przypadek kilka tygodni po tym, jak nasze rozmowy w sprawie Gazpromu dobiegły końca.

Jadąc do pracy swoim volkswagenem golfem, Wadim utknął w korku przy placu Puszkina, gdzie Bulwarnoje Kolco styka się z ulicą Twerską. Na tym skrzyżowaniu każdy samochód może skręcić tylko w lewo albo w prawo, wskutek czego przez większość dnia panuje tam nieustanny zator. Kierowców, którzy tkwią tam około godziny uwięzieni w swoich samochodach, oblega mała armia przedsiębiorczych uliczników handlujących wszystkim, od pirackich płyt DVD poprzez gazety aż po zapalniczki.

Gdy pewnego dnia Wadim tkwił w korku przed tym skrzyżowaniem, do jego samochodu podszedł jakiś chłopiec, zachwalając swój towar. Wadim nie był zainteresowany, ale chłopiec nie dawał za wygraną.

— No dobra, co tam masz? — spytał Wadim ostrożnie.

Chłopiec rozchylił poły brudnej niebieskiej kurtki, odsłaniając kolekcję płyt kompaktowych zapakowanych w foliowe koszulki.

— Bazy danych.

To zaintrygowało Wadima.

— Jakiego rodzaju bazy danych?

— Każdego. Spisy abonentów komórkowych, zeznania podatkowe, wykroczenia drogowe, fundusze emerytalne. Co pan zechce.

— A to ciekawe. Jaka jest cena?

— To zależy. Od pięciu do pięćdziesięciu dolarów.

Wadim zerknął z ukosa na drobne literki opisów, którymi były opatrzone wszystkie płyty, i jego uwagę przyciągnął tytuł „Moskiewskie Biuro Ewidencyjne". Wadim zastanowił się przez chwilę. Moskiewskie Biuro Ewidencyjne było instytucją, która zbierała informacje o właścicielach wszystkich spółek z siedzibą w Moskwie.

— A za ile ta? — Wadim wskazał na płytę.

— Ta? Hm… pięć dolarów.

Wadim wręczył chłopcu banknot pięciodolarowy i schował swój nowy nabytek.

Zaraz po przybyciu do biura zasiadł przy komputerze, by się przekonać, czy nie wydał pięciu dolarów na czystą płytę CD. Jednak zgodnie z obietnicą chłopca na monitorze ukazało się menu, które pozwalało ustalić, kto posiada tytuł prawny do czerpania zysków z każdej spółki zarejestrowanej w Moskwie.

Był to moment, w którym odkryliśmy drugie spośród najciekawszych zjawisk kulturowych w Rosji — mianowicie fakt, że

jest to jeden z najbardziej zbiurokratyzowanych krajów świata. Oparta na centralnym planowaniu gospodarka radziecka wymagała gromadzenia danych na temat każdego aspektu życia, aby biurokraci w Moskwie mogli decydować o wszystkim, począwszy od tego, ile jajek potrzeba w Krasnojarsku, aż po ilość prądu potrzebnego we Władywostoku. Upadek systemu komunistycznego niczego nie zmienił, gdyż moskiewskie ministerstwa nadal funkcjonowały, a zatrudnieni w nich urzędnicy stawali na głowie, żeby rozliczyć się ze wszystkiego, za co byli odpowiedzialni.

Dzięki przypadkowemu zakupowi Wadima szybko zyskaliśmy biegłość w wyszukiwaniu wszelkiego rodzaju danych, które pomogły nam zweryfikować oskarżenia zebrane w trakcie rozmów o Gazpromie. Korzystając z tej bazy danych, wywnioskowaliśmy, że między 1996 a 1999 rokiem Gazprom sprzedał siedem ogromnych pól gazowych niemal za bezcen.

Transakcje te były nie tylko gigantyczne, ale cechował je również skrajny cynizm. Nowi właściciele skradzionych majątków nie starali się nawet ukryć swojego stanu posiadania.

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów była historia spółki Sibnieftiegaz, dawnej filii Gazpromu. To syberyjskie przedsiębiorstwo petrochemiczne uzyskało w 1998 roku licencję na eksploatację złóż gazu o wielkości 1,6 miliarda baryłek przeliczeniowych ropy. Na podstawie najbardziej ostrożnych szacunków ustaliliśmy, że wartość jego kapitału wynosiła około 530 milionów dolarów, mimo to pozwolono, aby grupa nabywców kupiła 53 procent udziałów Sibnieftiegazu za 1,3 miliona dolarów — czyli 99,7 procent taniej w stosunku do rzeczywistej wartości, jaka wynikała z naszej kalkulacji!

Kim byli ci szczęśliwi nabywcy? Jeden z nich nazywał się Giennadij Wiachiriew i był bratem prezesa zarządu Gazpromu, Rema Wiachiriewa. Giennadij wraz ze swoim synem Andriejem za pośrednictwem Gazpromu kupił 5 procent udziałów Sibnieftiegazu za 87 600 dolarów.

Osiemnastoprocentowy pakiet akcji kupiła za 158 tysięcy dolarów spółka, której współwłaścicielem był Wiktor Briański, szef działu rozwoju strategicznego Gazpromu. Kolejne 10 procent udziałów Sibnieftiegazu nabyła spółka należąca do Wiaczesława Kuzniecowa i jego żony, Natalii. Kuzniecow był szefem audytu wewnętrznego w Gazpromie, czyli działu, którego zadanie polegało na wykrywaniu i udaremnianiu tego rodzaju procederu.

Natrafiliśmy jeszcze na sześć wielkich transakcji, których dokonano podobnymi metodami. Kiedy Wadim zestawił wszystkie rezerwy ropy naftowej i gazu, jakie ujęto w bilansie Gazpromu, okazało się, że spółka ta w zasadzie rozdała złoża dorównujące swoją wielkością surowcom naturalnym Kuwejtu. O dużo mniejsze bogactwa

toczono regularne wojny.

Jednak najbardziej zadziwiające było odkrycie Wadima, że te skądinąd ogromne złoża ropy i gazu stanowią zaledwie 9,65 procent ogólnych rezerw Gazpromu. Innymi słowy, ponad 90 procent majątku tej spółki nie zostało rozkradzione. Inni inwestorzy nie zdawali sobie z tego sprawy. Na rynku powszechne było przekonanie, że rozszabrowano ostatni metr sześcienny gazu i ostatnią kroplę ropy, i to dlatego ceny spółki są o 99,7 procent niższe w stosunku do zachodnich. My jednak odkryliśmy właśnie, że Gazprom zachował 90 procent kapitału — i nikt więcej o tym nie wiedział.

Co powinien zrobić inwestor w takiej sytuacji? Powinien udziały takiej spółki wykupywać na potęgę, ot co.

W świecie, gdzie ludzie potrafią walczyć do upadłego o 20 procent zysku, my właśnie odkryliśmy coś, co mogłoby przynieść 1000 albo nawet 5000 procent. Było to tak oczywiste, że fundusz Hermitage powiększył swój pakiet akcji Gazpromu do granicznych 20 procent, czyli największej procentowo ilości udziałów jednej spółki, jaką może nabyć fundusz inwestycyjny.

Większość specjalistów w branży inwestycyjnej na tym by poprzestała. Człowiek przeprowadza kalkulacje, dokonuje zakupów, a potem czeka, aż inni wpadną na ten sam pomysł. Ale ja nie mogłem tak postąpić. Nasze odkrycia związane z Gazpromem były zbyt poważne. Musiałem podzielić się nimi ze światem.

Zrobiłem więc coś bardzo niezwykłego jak na moją profesję. Podzieliłem dossier Gazpromu na sześć części, z których każdą przekazałem jednemu z wielkich zachodnich organów medialnych. Ich reporterzy i redaktorzy natychmiast się zorientowali, jaki wpływ mogą mieć te informacje, a nasze badania były tak wyczerpujące, że nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Oszczędziliśmy im miesięcy żmudnych poszukiwań i niedługo zamienili nasze odkrycia w serię wstrząsających artykułów.

Pierwszy z nich ukazał się 24 października 2000 roku na łamach „Wall Street Journal" i nosił tytuł *Pożeracz gazu?* Autor pisał, że zagrabione złoża mieszczą wystarczająco dużo gazu ziemnego, by „zasilać całą Europę przez pięć lat". Dzień później „Financial Times" wydrukował artykuł *Pod rządami dyrektorów Gazpromu*. Opisywał on szczegóły wszystkich transakcji z udziałem krewnych i przyjaciół zarządu spółki. Następny był „New York Times", który 28 października w dziale poświęconym gospodarce międzynarodowej opublikował artykuł *Zarząd Gazpromu prowadzi wyprzedaż.* Niespełna miesiąc później, 20 listopada, w tygodniku „Business Week" ukazał się *Gazprom na cenzurowanym*, a 24 grudnia „Washington Post" zamieścił artykuł zatytułowany *Transfer aktywów może stanowić wyzwanie dla Putina*.

Opinia publiczna w Rosji i na świecie była wstrząśnięta skalą korupcji w Gazpromie. W ciągu kolejnych sześciu miesięcy ukazało się ponad 500 artykułów w języku rosyjskim i 275 po angielsku, które opisywały nasze odkrycia.

Te relacje prasowe spotkały się w Rosji z dostrzegalnym oddźwiękiem. Rosjanie akceptowali korupcję i oszustwa jako pojęcia abstrakcyjne, ale kiedy na konkretnych przykładach zobaczyli, kto i ile bierze, wpadli w furię. Wzburzenie było tak wielkie, że w styczniu 2001 roku parlament rosyjski zwołał obrady poświęcone sytuacji w Gazpromie. Ostatecznie zarządzono śledztwo, które miała przeprowadzić Izba Kontroli, rosyjski odpowiednik działającego w Wielkiej Brytanii Krajowego Urzędu Kontroli.

W odpowiedzi na śledztwo Izby Kontroli zarząd Gazpromu zlecił przeprowadzenie niezależnej inspekcji, czym miała się zająć wielka amerykańska firma rachunkowa PricewaterhouseCoopers.

Po kilku tygodniach Izba Kontroli ogłosiła wynik śledztwa. Chyba nie było w tym nic zaskakującego, kiedy podano do wiadomości, że nie odkryto żadnych uchybień w zarządzaniu spółką. Transfer aktywów został usprawiedliwiony, ponieważ „Gazprom podlegał ograniczeniom kapitałowym i potrzebował zewnętrznego kapitału".

Pozostał jedynie raport PricewaterhouseCoopers. Firma ta zarabiała miliony dolarów rocznie jako audytor Gazpromu, więc każdy zarzut pod adresem klienta godziłby w nią samą. Oczywiście jej raport również usprawiedliwił poczynania Gazpromu, przytaczano najbardziej niedorzeczne argumenty, aby dowieść, że wszystko to, co odkryliśmy, było uzasadnione i zgodne z prawem.

Chociaż można było się spodziewać takiego obrotu sprawy, tak bardzo miałem tego wszystkiego dość, że chciałem znaleźć się jak najdalej od Moskwy, kiedy odbędzie się tam coroczne walne zgromadzenie akcjonariuszy Gazpromu. Wiedziałem, że pomimo ujawnionych przez nas faktów zarząd będzie dumnie pokazywał światu, jak sprawnie kieruje spółką.

Chciałem uniknąć całego tego przedstawienia, więc zapytałem Elenę, czy nie wybrałaby się ze mną gdzieś w długi weekend. Akurat ukończyła duże przedsięwzięcie w pracy i przystała na moją propozycję, więc zarezerwowałem dwa bilety do Stambułu, jednego z niewielu atrakcyjnych miejsc, gdzie mogliśmy się udać bez konieczności zdobywania wizy dla Eleny.

Wylecieliśmy z Moskwy 30 czerwca, w dniu zgromadzenia, i po odprawie w porcie lotniczym Atatürk pojechaliśmy taksówką do hotelu Ciragan Palace, dawnego pałacu sułtana znajdującego się po europejskiej stronie Bosforu. Był piękny letni dzień. Wyszliśmy na sąsiadującą z basenem werandę i zjedliśmy lunch pod wielkim białym parasolem, który chronił nas przed promieniami słońca. Przed naszymi

oczami przesuwały się z wolna różnej wielkości statki, które wypływały na morze Marmara bądź z niego wracały. Lot trwał zaledwie trzy godziny, ale egzotyczne widoki i odgłosy Turcji w połączeniu z kojącą obecnością Eleny przyprawiały mnie o wrażenie, jakby miliony kilometrów dzieliły mnie od Rosji i jej nieczystych interesów.

Kiedy zamówiliśmy herbatę miętową i deser, rozległ się sygnał mojej komórki. Nie miałem ochoty odbierać, ale dzwonił Wadim, więc zrobiłem wyjątek.

I wtedy usłyszałem fantastyczną wiadomość.

Zarząd Gazpromu wcale nie obnosił się z dumą na corocznym walnym zgromadzeniu swoich akcjonariuszy. Rem Wiachiriew nie był już prezesem zarządu, a pozbawił go tej funkcji nie kto inny, jak sam prezydent Władimir Putin.

Putin zastąpił Wiachiriewa praktycznie nieznanym nikomu Aleksiejem Millerem. Tuż po objęciu stanowiska Miller obwieścił, że zabezpieczy pozostałe aktywa spółki i odzyska to, co zostało skradzione. W odpowiedzi na tę deklarację cena akcji Gazpromu podskoczyła o 134 procent w ciągu jednego dnia.

W ciągu kolejnych dwóch lat wartość tych akcji znów dwukrotnie wzrosła. A potem jeszcze raz się podwoiła… i jeszcze raz. W 2005 roku cena akcji Gazpromu była sto razy wyższa od tej, którą fundusz Hermitage zapłacił za swój pakiet. Ich wartość wzrosła nie o 100 procent, ale sto razy. Nasza mała kampania doprowadziła do pokonania jednego z najbardziej nieuczciwych oligarchów w Rosji. I bez wątpienia była to najlepsza inwestycja mojego życia.

Rozdział 18
Pięćdziesiąt procent

Poza pracą i spędzaniem czasu z Eleną największą radość sprawiała mi w Moskwie gra w tenisa, której oddawałem się często.

W pewną mroźną sobotę w lutym 2002 roku spieszyłem się na mecz z zaprzyjaźnionym brokerem. Ponieważ byłem spóźniony, Aleksiej jechał szybko, a ja siedziałem na tylnej kanapie blazera i trzymałem Elenę za rękę. Gdy samochód zbliżał się do ostatniego odcinka drogi, który prowadził do hali tenisowej, zobaczyłem na środku jezdni duży ciemny kształt. Inne samochody wymijały go z lewej i prawej strony. Myślałem, że to jakiś duży worek, który wypadł z ciężarówki, ale gdy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że na ulicy leży człowiek.

— Stój! — krzyknąłem do Aleksieja.

Mój kierowca nic nie powiedział i wcale nie zamierzał zwolnić.

— Stój, do jasnej cholery — powtórzyłem.

Aleksiej niechętnie zatrzymał się obok leżącego. Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem z samochodu. Elena poszła w moje ślady, a kiedy Aleksiej zobaczył, że nie ma wyboru, również wysiadł. Samochody śmigały obok nas z wyciem klaksonów, kiedy przyklęknąłem obok leżącego mężczyzny. Nie krwawił, ale był nieprzytomny i zauważyłem, że ma drgawki i pianę na ustach. Nie wiedziałem, co mu się stało, ale przynajmniej był żywy.

Nachyliłem się i złapałem go pod ramię. Aleksiej chwycił go z drugiej strony, a Elena podtrzymywała jego nogi. Podnieśliśmy go wspólnymi siłami i ruszyliśmy w stronę krawężnika. Na chodniku znaleźliśmy pryzmę miękkiego śniegu, na której delikatnie go ułożyliśmy. Mężczyzna zaczął dochodzić do siebie.

— Epilepsja — bełkotał niewyraźnie. — Epilepsja.

— Wszystko będzie dobrze — zwróciła się do niego Elena po rosyjsku i poklepała go po ramieniu.

Ktoś musiał zadzwonić pod numer alarmowy, gdyż po chwili przyjechały trzy radiowozy. Ku memu zaskoczeniu milicjanci nie zwrócili nawet uwagi na poszkodowanego, tylko z tupotem rozbiegli się po chodniku, szukając winnego. Gdy się zorientowali, że jestem cudzoziemcem, zajęli się tłumem gapiów, którzy stali dookoła. W końcu otoczyli Aleksieja, oskarżając go, że potrącił tego człowieka. Chory mężczyzna, który zdążył już całkowicie odzyskać przytomność, usiłował wyjaśnić, że Aleksiej wcale go nie potrącił, tylko udzielił mu pomocy, lecz milicjanci nie zwracali na niego uwagi. Zażądali od Aleksieja dokumentów i kazali mu dmuchać w alkomat. Potem wdali

się z nim w zajadłą kłótnię, która trwała piętnaście minut. W końcu, gdy doszli do wniosku, że wszystko jest w porządku, zadowoleni wrócili do radiowozów i odjechali. Chory podziękował nam i wsiadł do ambulansu, który zjawił się tymczasem, a my wróciliśmy do blazera.

Kiedy ruszyliśmy, Aleksiej wyjaśnił, dlaczego miał takie opory, by się zatrzymać.

— W Rosji tak jest zawsze — tłumaczyła jego słowa Elena. — Nie ma znaczenia, czy tamtego faceta w ogóle ktoś potrącił, czy nie. Kiedy zjawiają się gliny, muszą znaleźć winnego i nie ma dyskusji.

Na szczęście Aleksiej jako były pułkownik drogówki potrafił się wybronić. Ale przeciętnego moskwianina taki akt miłosierdzia mógłby kosztować siedem lat więzienia. Tutaj każdy o tym wiedział.

Właśnie taka była Rosja.

Dotarłem na mecz tenisowy, ale choć bardzo się starałem, nie potrafiłem zapomnieć o tym incydencie. A gdybyśmy się nie zatrzymali? Prędzej czy później jakiś samochód nie skręciłby w bok i leżący na jezdni mężczyzna mógłby odnieść poważne obrażenia albo zginąć. Przyszło mi do głowy, że zapewne każdego dnia podobne rzeczy dzieją się w całej Rosji i ta myśl przyprawiła mnie o dreszcz. Taki przewrotny scenariusz nie ograniczał się jednak do bezpieczeństwa na drodze. Dotyczył wszystkich dziedzin życia — biznesu, nieruchomości, służby zdrowia, szkolnictwa. Wszędzie, gdzie działo się coś złego, ludzie woleli się nie mieszać w obawie o własną skórę. Nie byli pozbawieni ludzkich odruchów, lecz obawiali się, że za udzielenie pomocy zamiast nagrody spotka ich kara.

Być może powinienem uznać ten incydent za omen. Może powinienem był zająć się w Rosji własnymi interesami, a nie walczyć z korupcją w spółkach, w które inwestowałem. Ale wierzyłem, że mogę w czymś dopomóc. Ponieważ nie byłem Rosjaninem — milicjanci mnie zignorowali, gdy tylko usłyszeli, że mówię po angielsku — byłem przekonany, że mogę dokonać rzeczy, na które żaden Rosjanin w podobnej sytuacji nie miał przyzwolenia.

To wyjaśniało, dlaczego po sukcesie naszej kampanii w sprawie Gazpromu postanowiłem ścigać korupcję w innych wielkich spółkach, których akcje znajdowały się w naszym portfelu. Zająłem się spółką JeES, państwowym przedsiębiorstwem energetycznym, i państwowym bankiem oszczędnościowym Sbierbank. Jak w przypadku Gazpromu, kilka miesięcy zajęło mi zbadanie, w jaki sposób dokonywano kradzieży. Wynikom moich śledztw nadawałem formę łatwo przyswajalnych prezentacji, które przekazywałem międzynarodowym mediom.

Podobnie jak w przypadku Gazpromu, kiedy cała kampania osiągała temperaturę wrzenia, do akcji wkraczał rząd Putina, żeby

zademonstrować swoją władzę.

Gdy ujawniłem, że prezes zarządu JeES próbował sprzedać oligarchom majątek swojej spółki po znacznie zaniżonych cenach, Kreml tymczasowo zawiesił sprzedaż aktywów. Kiedy oskarżyłem Sbierbank i jego radę dyrektorów o sprzedaż tanich udziałów osobom ze swoich kręgów przy wykluczeniu akcjonariuszy mniejszościowych, rząd rosyjski zmienił przepisy, zakazując takich nadużyć.

Od razu nasuwa się pytanie, dlaczego Władimir Putin pozwolił mi na to wszystko. Otóż przez pewien czas nasze interesy się pokrywały. Gdy w styczniu 2000 roku Putin przejął obowiązki głowy państwa, został prezydentem Federacji Rosyjskiej, ale faktyczną władzę prezydencką sprawowali oligarchowie, lokalni gubernatorzy i zorganizowane grupy przestępcze. Od chwili objęcia urzędu stało się dla niego sprawą najwyższej wagi odebranie władzy tym ludziom i przywrócenie jej Kremlowi — lub raczej, ściśle rzecz ujmując, wzięcie jej we własne ręce.

Putin wyznawał polityczną zasadę, która głosiła: „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem", i w zasadzie moja kampania przeciwko korupcji dawała mu pretekst, by uderzyć w politycznych przeciwników, z czego regularnie korzystał.

Byłem tak zaabsorbowany swoimi sukcesami i niespodziewanymi zyskami, jakie osiągał fundusz, że nie zdawałem sobie z tego sprawy. Naiwnie sądziłem, że Putin kieruje się interesem kraju i rzeczywiście pragnie oczyścić Rosję.

Wielu ludzi pytało, czemu oligarchowie po prostu mnie nie zabili za ujawnienie ich korupcji. To dobre pytanie. W Rosji ludzie ginęli za dużo mniejsze przewinienia. W tym społeczeństwie bezprawia wszystko mogło się wydarzyć i często do tego dochodziło.

Uszedłem z życiem nie dlatego, że ktoś żywił respekt wobec prawa, lecz dzięki paranoi. Rosja jest krajem opartym na teoriach konspiracyjnych. Ludzie tworzą mnóstwo różnych koncepcji, usiłując coś wytłumaczyć, ale żadna z nich nie jest prosta ani przejrzysta. Dla przeciętnego Rosjanina było niepojęte, że jakiś skromny Amerykanin, który znał zaledwie kilka słów po rosyjsku, mógł w pojedynkę rzucić się na najbardziej wpływowych oligarchów w Rosji. Jedyne sensowne wyjaśnienie było takie, że muszę działać w imieniu kogoś potężniejszego. Ponieważ każda z moich potyczek prowadziła do interwencji rządu, większość ludzi przypuszczała, że stoi za mną sam prezydent. Było to jednak niedorzeczne. Nigdy w życiu nie spotkałem się z Putinem, ale ponieważ wszyscy podejrzewali, że jestem „jego człowiekiem", nikt nie ważył się mnie tknąć.

Następstwem moich kampanii i interwencji Putina była spektakularna poprawa kondycji funduszu. Do końca 2003 roku wartość Hermitage wzrosła o 1200 procent od najniższego punktu.

Zrekompensowałem wszystkie straty, jakie ponieśliśmy w 1998 roku. Zajęło to pięć lat i wymagało nadludzkich wysiłków, ale osiągnąłem zamierzony cel, wyciągając swoich klientów ze straszliwego kryzysu. Zrehabilitowałem się, a poza tym miałem wrażenie, że odkryłem idealny model biznesu — nie tylko zdobywałem mnóstwo pieniędzy, ale również przyczyniałem się do tego, aby w Rosji było lepiej. Na świecie niewiele jest takich profesji, które pozwalają zarówno się wzbogacić, jak i czynić dobro, a ja pracowałem w jednej z nich.

Wydawało się, że wszystko to jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, ale tak było. W pewien sobotni ranek w październiku 2003 roku, kiedy ćwiczyłem na bieżni w swoim mieszkaniu, oglądając CNN, na pasku u dołu ekranu pojawiła się sensacyjna wiadomość, że Michaił Chodorkowski, prezes Jukosu i najbogatszy człowiek w Rosji, został aresztowany.

Zeskoczyłem z bieżni, wytarłem pot z czoła i pognałem do kuchni, gdzie Elena przygotowywała śniadanie.

— Słuchałaś wiadomości?! — krzyknąłem, wciąż jeszcze łapiąc oddech.

— Tak, właśnie słucham radia. To niewiarygodne.

— Jak myślisz, co teraz będzie?

— Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, żeby go nie wypuścili do poniedziałku. W Rosji bogaci ludzie nie spędzają aż tyle czasu w areszcie.

Aresztowanie oligarchy wzbudziło we mnie mieszane uczucia. Na krótką metę byłby to silny cios dla rosyjskiego rynku i mój fundusz mógłby ponieść straty, gdyby Chodorkowski spędził za kratkami choćby kilka dni. Jednak z bardziej długofalowej perspektywy, gdyby jakimś cudem pozostał w więzieniu i byłby to początek represji wobec oligarchów, Rosja miała szansę stać się normalnym krajem. Koniec końców byłby to pomyślny obrót wydarzeń nie tylko dla mojego funduszu, ale dla wszystkich obywateli tego kraju.

Gdy w poniedziałkowy ranek przyjechałem do biura, Chodorkowski nadal przebywał w areszcie, a indeks giełdowy poleciał w dół o 10 procent. Informacja o aresztowaniu oligarchy pojawiła się na pierwszych stronach wszystkich liczących się na świecie gazet. Moi klienci wpadli w panikę i dzwonili do mnie przez cały dzień. Pytali, do czego to wszystko może doprowadzić i czy powinni wycofać się z inwestycji w Rosji.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na te pytania. Nikt nie miał pojęcia, co będzie dalej. Wszystko sprowadzało się do osobistych negocjacji między Władimirem Putinem i Michaiłem Chodorkowskim, w których ani prawo, ani logika nie grały żadnej roli.

Z jakichś przyczyn, których nikt tak naprawdę nigdy nie pozna, negocjacje te przybrały niekorzystny obrót dla oligarchy, który pod

koniec tygodnia nadal przebywał w areszcie. Potem napięcie wzrosło, kiedy rosyjski rząd zajął należący do Chodorkowskiego trzydziestosześcioprocentowy pakiet akcji Jukosu.

To bezprecedensowe wydarzenie było katastrofą nie tylko dla Chodorkowskiego, ale dla całego rynku finansowego. Każdy inwestor w głębi ducha żywi lęk przed wywłaszczeniem, a teraz właśnie coś takiego zdarzyło się pod rządami Władimira Putina. W ciągu czterech następnych dni roboczych indeks giełdowy poleciał w dół o dalsze 16,5 procent, a akcje Jukosu straciły 27,7 procent wartości.

Dlaczego Putin to robił? Najbardziej popularna teoria głosi, że Chodorkowski nie przestrzegał złotej zasady Putina: „Nie mieszaj się do polityki, a będziesz mógł zachować profity ze swoich szemranych interesów". Oligarcha złamał tę zasadę, kiedy ofiarował partiom opozycyjnym miliony dolarów na kampanię przed zbliżającymi się wyborami do parlamentu i kiedy zaczął wyrażać opinie, które były jednoznacznie wymierzone w prezydenta. Putin jest człowiekiem, który wierzy w siłę symboli, a ponieważ Chodorkowski przeciągnął strunę, należało go przykładnie ukarać.

Jakby dla zaakcentowania powagi sytuacji Putin urządził szeroko zakrojone polowanie na wszystkich, których coś łączyło z Chodorkowskim. W ciągu kilku tygodni po jego aresztowaniu rosyjskie organy ścigania rozprawiły się z partiami politycznymi, które finansował, jego organizacjami dobroczynnymi oraz pracownikami.

W lipcu 2004 roku Chodorkowski i jego wspólnik, Płaton Lebiediew, stanęli przed sądem i usłyszeli oskarżenie o sześć aktów oszustwa, dwa przestępstwa podatkowe i jedną kradzież. Każdy z nich został skazany na dziewięć lat więzienia. Ponieważ wszystko to odbywało się na pokaz, Putin zrobił rzecz bezprecedensową, wpuszczając na salę rozpraw kamery telewizyjne, aby sfilmowały najbogatszego człowieka w Rosji zamkniętego w klatce dla oskarżonych.

Ten widok robił wielkie wrażenie. Wyobraź sobie, że zajmujesz siedemnaste miejsce na liście najbogatszych oligarchów Rosji. Jesteś na swoim jachcie zacumowanym przy Hotel du Cap w Antibes na Lazurowym Wybrzeżu. Właśnie skończyłeś posuwać kochankę i wychodzisz do kambuza po dwa kieliszki szampana i trochę kawioru. Chwytasz pilota, zmieniasz kanał na CNN i na ekranie widzisz znajomą twarz — człowieka, który jest o wiele bogatszy, sprytniejszy i potężniejszy od ciebie, a teraz siedzi za kratami.

Jaka byłaby twoja naturalna reakcja? Co byś zrobił?

Wszystko, by zyskać pewność, że nie trafisz do takiej samej klatki.

Po skazaniu Chodorkowskiego większość rosyjskich oligarchów jeden po drugim przychodziła do Putina, żeby zadać pytanie:

— Władimirze Władimirowiczu, co mam zrobić, żeby nie

skończyć jak on?

Nie było mnie przy tym, więc mogę tylko snuć domysły, ale wyobrażam sobie, że odpowiedź Putina brzmiała jakoś tak:

— Pięćdziesiąt procent.

I to nie pięćdziesiąt procent dla rządu czy administracji prezydenckiej, ale pięćdziesiąt procent dla samego Władimira Putina. Nie wiem tego na pewno. Mogło to być trzydzieści albo siedemdziesiąt procent, albo jakiś zupełnie inny układ. Pewne było wtedy tylko to, że po skazaniu Chodorkowskiego interesy moje i Putina nie szły już w parze. Putin zamienił oligarchów w swoje „dziwki", umocnił swoją władzę i według wielu szacunków stał się najbogatszym człowiekiem świata.

Niestety nie byłem na tyle uważny, by dostrzec, że Putin i ja zaczniemy wchodzić sobie w drogę. Po aresztowaniu i skazaniu Chodorkowskiego w ogóle nie zmieniłem swojego postępowania. Robiłem dokładnie to, co wcześniej — publicznie piętnowałem rosyjskich oligarchów, wyciągając na światło dzienne ich przewinienia. Ale sytuacja się zmieniła. Zamiast ścigać wrogów Putina, teraz godziłem w jego interesy.

Można by się zastanawiać, czemu tego nie zauważałem. Wszystko sprowadza się do tamtego incydentu z mężczyzną leżącym na drodze. Wtedy milicjanci zostawili mnie w spokoju, widząc, że nie jestem Rosjaninem. Nabrałem przekonania, że cudzoziemców nie dotyczą niepisane reguły, które obowiązują wszystkich mieszkańców Rosji. Gdybym prowadził swoją antykorupcyjną krucjatę jako obywatel rosyjski, z pewnością zostałbym aresztowany, pobity albo zamordowany.

Ale wtedy Putin nie był tak zuchwały, jak teraz. Wtedy zamordowanie cudzoziemca wydawało się zbyt drastyczne. Natomiast zamykając mnie w więzieniu, stałby się w równym stopniu jak ja zakładnikiem całej tej sytuacji. Gdyby to zrobił, przez jedną trzecią każdego spotkania z przywódcami zachodnich państw byłby zmuszony dyskutować o moim uwolnieniu. W końcu Putin wpadł na kompromisowe rozwiązanie, które zadowoliło wszystkich — 13 listopada 2005 roku po powrocie z Londynu zostałem zatrzymany w porcie lotniczym Szeremietiewo-2, uwięziony na piętnaście godzin i wydalony z kraju.

Rozdział 19
Zagrożenie bezpieczeństwa narodowego

Gdy tylko wyszedłem z samolotu po deportacji z Rosji w listopadzie 2005 roku, zacząłem wydzwaniać do różnych ludzi, aby ustalić, co zaszło. Elena, która była w ósmym miesiącu ciąży, próbowała mi pomóc w miarę swoich możliwości. Przez ostatnie dziesięć lat pracowicie budowałem swoją firmę od podstaw, wyrzekając się życia towarzyskiego, czujnie śledząc każdy ruch na rynku giełdowym i traktując weekendy jak dni robocze, a wszystko po to, żeby stworzyć fundusz inwestycyjny o kapitale wartym 4,5 miliarda dolarów. Nie mogłem pozwolić, aby zwykłe pozbawienie mnie wizy zniszczyło to wszystko za jednym zamachem.

Najpierw zadzwoniłem do dobrze ustosunkowanego londyńskiego prawnika specjalizującego się w sprawach imigracyjnych. Wysłuchał mojej historii, która go zaintrygowała. Właśnie się dowiedział, że innemu obywatelowi brytyjskiemu, Billowi Bowlingowi, adwokatowi zajmującemu się obroną praw człowieka, też odmówiono wjazdu do Rosji, dlatego podejrzewał, że przyczyną mojego wydalenia mogła być pomyłka spowodowana zbieżnością nazwisk. Uznałem to tłumaczenie za dosyć naciągane, ale w Rosji takie rzeczy były możliwe.

Następnie skontaktowałem się z HSBC, który stał się moim wspólnikiem, kiedy Edmond sprzedał swój bank. Jako niesłychanie biurokratyczna instytucja HSBC był całkowicie pozbawiony polotu w kwestii zarabiania pieniędzy, ale reprezentował światową klasę, jeśli chodziło o stosunki z brytyjskimi władzami.

Najpierw odbyłem rozmowę z dyrektorem generalnym banku komercyjnego HSBC, Clive'em Bannisterem. W ciągu piętnastu minut Bannister skontaktował mnie z sir Roderikiem Lyne'em, byłym ambasadorem brytyjskim w Rosji, który służył HSBC pomocą w takich sprawach jak moja. Sir Roderic obiecał przeprowadzić mnie przez labirynt brytyjskiej administracji rządowej. Kwadrans po rozmowie z nim byłem umówiony na spotkanie z Simonem Smithem, szefem sekcji rosyjskiej Biura Spraw Zagranicznych.

Dwa dni później udałem się do siedziby ministerstwa, imponującego gmachu przy King Charles Street utrzymanego w stylu włoskiego neoklasycyzmu. Zgłosiłem się w recepcji i zostałem przeprowadzony przez wielki dziedziniec do głównego wejścia. Wodziłem wzrokiem po wysokich sklepieniach, marmurowych kolumnach i zdobieniach z epoki wiktoriańskiej. Budynek ten został zaprojektowany w okresie największej świetności imperium brytyjskiego, aby onieśmielić odwiedzających i wzbudzić w nich

respekt, i chociaż spotykałem się z wieloma prezesami, politykami i miliarderami, zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Simon Smith zjawił się kilka minut później. Był mniej więcej pięć lat starszy ode mnie, miał gęste siwiejące włosy i nosił okulary bez oprawek, które odcinały się na tle jego rumianej twarzy.

— Witam, panie Browder. Cieszę się, że pan przyszedł — powiedział wesoło z wystudiowanym akcentem. Usiedliśmy, a gospodarz sięgnął po biało-niebieski porcelanowy imbryk i napełnił moją filiżankę. Rozniosła się woń cejlońskiej herbaty. — A więc wygląda na to, że narobił pan sobie kłopotów u naszych przyjaciół w Moskwie.

— Na to wygląda.

— Cóż, zatem pewnie ucieszy pana wiadomość, że już zajmujemy się tą sprawą — oznajmił oficjalnym tonem. — Nasz minister do spraw europejskich przebywa teraz w Moskwie. Zamierza porozmawiać jutro na pański temat z doradcą Putina do spraw polityki zagranicznej, Siergiejem Prichodką.

Jego słowa napełniły mnie otuchą.

— To wspaniale. Jak pan myśli, kiedy poznamy wynik tej rozmowy?

Smith wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że wkrótce — rzekł, po czym nachylił się i chwycił filiżankę w obie dłonie. — Ale jest pewna istotna kwestia.

— Jaka?

— Będąc na placówce w Moskwie, z wielkim podziwem śledziłem pańskie działania w obronie praw akcjonariuszy i wiem, jak skutecznie wykorzystywał pan w tym celu prasę. Ale teraz musi pan bezwzględnie zachować to w tajemnicy przed mediami. Jeżeli ta historia nabierze rozgłosu, nie zdołamy panu pomóc. Rosjanie będą się zapierać rękami i nogami i pański problem nigdy nie zostanie rozwiązany. Oni zawsze muszą zachować twarz w takiej sytuacji.

Odstawiłem filiżankę, starając się nie okazywać zakłopotania. Zastosowanie się do tej sugestii było dla mnie nie do pomyślenia. Ale oto stałem w obliczu najpoważniejszego problemu w mojej karierze zawodowej, a rząd brytyjski był gotów przechylić szalę na moją korzyść. Zrozumiałem, że muszę spełnić żądanie Smitha, więc zgodziłem się i zakończyliśmy spotkanie.

Smith zadzwonił do mnie następnego dnia po południu.

— Prichodko twierdzi, że nie ma pojęcia, czemu pana wydalono, ale obiecał to zbadać — oznajmił, jak gdyby to była dobra wiadomość. Było dla mnie mało prawdopodobne, aby czołowy doradca Putina do spraw polityki zagranicznej nic nie wiedział o deportacji jednego z największych zagranicznych inwestorów w Rosji. — Postanowiliśmy zaangażować w tę sprawę naszego ambasadora w Moskwie, Tony'ego

Brentona — dodał Smith. — Chciałby porozmawiać z panem jak najszybciej.

Następnego dnia zadzwoniłem do Brentona. Zacząłem opowiadać mu o moich perypetiach, ale po kilku sekundach ambasador mi przerwał.

— Nie ma potrzeby, Bill. Wiem wszystko o panu i funduszu Hermitage. Myślę, że Rosjanie robią wielkie głupstwo, zrażając do siebie tak poważnego inwestora.

— Mam nadzieję, że to jakaś pomyłka.

— Ja też. Przypuszczam, że uda mi się rozwiązać ten problem z wizą, kiedy porozmawiam z odpowiednimi ludźmi. Proszę o cierpliwość. Jest pan w dobrych rękach.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że faktycznie trafiłem w dobre ręce. Podobało mi się podejście Tony'ego Brentona. Podobnie jak Smith sprawiał wrażenie szczerze zaangażowanego w rozwiązanie mojego problemu. Nie miałem pojęcia, czy odebrano mi wizę, bo zostałem pomylony z kimś innym, czy była to zemsta kogoś, kto padł ofiarą mojej kampanii antykorupcyjnej, ale czułem, że mając po swojej stronie rząd brytyjski, wyjdę z tego obronną ręką.

Na początek Brenton wysłał do rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych prośbę o oficjalne uzasadnienie. Jeżeli wstrzymano mi wizę na skutek pomyłki, wszystko powinno natychmiast się wyjaśnić.

Tydzień później zadzwoniła do mnie sekretarka Brentona z informacją, że odpowiedź z ministerstwa nadeszła. Przesłała mi ją faksem. Gdy tylko kartka wysunęła się z urządzenia, podałem ją Elenie, która odchrząknęła i zaczęła tłumaczyć.

— Mamy zaszczyt poinformować, że decyzja o odmowie wjazdu na terytorium Federacji Rosyjskiej obywatelowi Wielkiej Brytanii, Williamowi Browderowi, została podjęta przez stosowne władze na mocy paragrafu pierwszego, artykułu dwudziestego siódmego prawa federalnego.

— Co to jest artykuł dwudziesty siódmy prawa federalnego?

Elena wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia.

Zadzwoniłem do Wadima, który wciąż był w Moskwie, i zadałem mu to samo pytanie.

— Zaczekaj chwilkę — powiedział i usłyszałem, jak stuka w klawiaturę. Minęło około minuty, gdy znów się odezwał. — Bill, artykuł dwudziesty siódmy pozwala rosyjskim władzom na wydalenie osób, które ich zdaniem stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

— Co?

— Zagrożenie bezpieczeństwa narodowego — powtórzył Wadim.

— O kurwa — wyszeptałem. — Nie jest dobrze.

— Nie, nie jest.

Ten jeden dokument uświadomił mi, że moje problemy z wizą nie były efektem nieporozumienia. Nie zostałem wcale pomylony z Billem Bowlingiem. Ktoś wpływowy chciał mnie wygryźć z Rosji.

Rozdział 20
Vogue Cafe

— To niedobrze, Bill, ale proszę się nie martwić — rzekł Tony Brenton, kiedy go poinformowałem, że Rosjanie uznali mnie za zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa narodowego. — Będziemy nadal działać na drodze dyplomatycznej. Jestem umówiony na spotkanie z Igorem Szuwałowem, jednym z czołowych doradców ekonomicznych Putina. Spodziewam się, że można liczyć na jego przychylność. Aczkolwiek w tym momencie nic nie stoi na przeszkodzie, aby uruchomił pan również własne kontakty.

Przyznałem mu rację i wraz z Wadimem zacząłem sporządzać listę rosyjskich urzędników, którzy naszym zdaniem mogli okazać się pomocni.

Elena, którą poznałem w Moskwie przed pięciu laty, zamieszkała ze mną, została moją żoną i była w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem. Dwa miesiące poprzedzające termin porodu spędziła w Londynie. Gdy wieczorem 15 grudnia 2005 roku siedziałem na łóżku, uzupełniając swoją listę o kolejne nazwiska, z łazienki wyszła Elena, osłaniając szlafrokiem wydatny brzuch.

— Bill — odezwała się z przerażoną miną. — Chyba odeszły wody.

Zerwałem się na równe nogi, a notatki rozsypały się po łóżku i podłodze. Nie wiedziałem, co robić. Moja była żona, Sabrina, urodziła Davida przez cesarskie cięcie w wyznaczonym terminie, więc nie miałem żadnych doświadczeń z porodami naturalnymi, podobnie jak Elena, która pierwszy raz miała zostać matką. Przeczytaliśmy wiele książek na ten temat i chodziliśmy na różne kursy, ale kiedy przyszło co do czego, cała ta wiedza gdzieś uleciała. Jedną ręką złapałem przygotowaną torbę z rzeczami do szpitala, drugą objąłem Elenę i poprowadziłem ją pospiesznie w stronę windy, a potem do garażu, gdzie pomogłem jej wgramolić się do samochodu. Szpital św. Jana i św. Elżbiety mieścił się niedaleko, ale w panice skręciłem na Lisson Grove w złą stronę i wjechałem w plątaninę ulic jednokierunkowych, z których nijak nie potrafiłem się wydostać. Kiedy rozglądałem się rozpaczliwie w lewo i w prawo, zawsze łagodna i opanowana Elena zaczęła wykrzykiwać takie słowa, jakich nigdy nie słyszałem z jej ust. Najwyraźniej zaczęły się skurcze.

Dziesięć minut później dotarliśmy do szpitala. Na szczęście Elena nie urodziła w samochodzie. Cała reszta poszła błyskawicznie i po dziesięciu godzinach na świat przyszła nasza córeczka, Jessica. Była zdrowym noworodkiem ważącym 3,35 kilograma. Radość z jej

narodzin przyćmiła wszystkie troski, które gnębiły mnie w związku z wizą.

Dwa dni później opuściliśmy szpital. Zaczęli nas odwiedzać przyjaciele, którzy przynosili kwiaty, smakołyki i prezenty dla dziecka. David, który właśnie ukończył dziewięć lat, nagle został starszym bratem. Jego widok, kiedy po raz pierwszy bierze na ręce Jessicę owiniętą w szpitalny kocyk i całuje ją, należy do wspomnień, które pielęgnuję ze szczególną czułością. Nadeszło Boże Narodzenie, które David i ja obchodzimy pomimo faktu, że jesteśmy żydami, i na tydzień lub więcej moje problemy znikły.

Nowy Rok minął w równie błogiej i niczym niezakłóconej atmosferze. Z Rosji nie nadchodziły żadne wiadomości, gdyż cały kraj był zajęty świętowaniem prawosławnego Bożego Narodzenia, ale potem, wczesnym rankiem 14 stycznia 2006 roku, odezwał się Wadim.

— Bill, właśnie dzwonił do mnie zastępca Grefa.

German Gref był ministrem rozwoju gospodarczego i jednym z najbardziej dostrzegalnych reformatorów w rządzie Putina. Przed świętami Wadim skontaktował się z jego zastępcą, by poprosić o pomoc w sprawie mojej wizy.

— No i co? Co powiedział?

— Powiedział, że Grefowi udało się dotrzeć całkiem wysoko. Rozmawiał o tobie z Nikołajem Patruszewem, szefem FSB.

— Ojej — skwitowałem krótko.

Byłem pod wrażeniem, ale poczułem też lekki strach. FSB była rosyjską służbą bezpieczeństwa, tajną policją powszechnie znaną w czasach komunizmu jako okryty złą sławą KGB. Jakby samo to nie brzmiało dostatecznie złowrogo, Patruszew uchodził za jednego z najbardziej bezwzględnych ludzi w najbliższym otoczeniu Putina.

— Widocznie powiedział Grefowi: „Lepiej trzymaj się od tego z daleka. Nie wtykaj nosa w sprawy, które cię nie dotyczą” — oznajmił Wadim i zawiesił głos, pozwalając wybrzmieć swoim słowom, a potem dodał, jakby to nie było oczywiste: — Za tym stoją jakieś bardzo poważne figury, Bill.

Wiadomość ta podziałała na mnie jak kubeł zimnej wody. Przywróciła mnie brutalnie do rzeczywistości, spychając na dalszy plan wszystkie pozytywne odczucia, jakie wzbudziły we mnie święta i narodziny Jessiki.

Tydzień później Tony Brenton przekazał mi równie przygnębiającą wiadomość.

— Szuwałow okazał się życzliwy, ale mówi, że nic nie może na to zaradzić.

Chociaż wszystkie odpowiedzi przynosiły rozczarowanie, moją sprawą zajmował się również Oleg Wiugin, przewodniczący rosyjskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Napisał on list do

wicepremiera, prosząc go o przywrócenie mi wizy. Wiugin wybierał się w połowie lutego do Londynu na międzynarodową konferencję poświęconą inwestycjom i miałem nadzieję, że przywiezie mi lepsze wiadomości.

Umówiliśmy się na spotkanie już pierwszego wieczoru po jego przybyciu, w barze hotelu Claridge w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair. Jednak widząc go, od razu się zorientowałem, że coś nie gra. Usiedliśmy na niskich, obitych aksamitem stołkach barowych i zamówiliśmy drinki.

— Dziękuję ci, że napisałeś do wicepremiera w mojej sprawie — zacząłem.

— Nie ma za co dziękować — odparł Oleg nienaganną angielszczyzną. — Ale obawiam się, że to nic nie da. Stanowisko rządu w sprawie twojej wizy jest niewzruszone.

Serce we mnie zamarło.

— Jak to niewzruszone?

Wiugin spojrzał na mnie, nieznacznie uniósł brwi i bez słowa wskazał szczupłym palcem na sufit. Czy miał na myśli Putina? Było to niejasne, ale tylko tak mogłem zinterpretować jego tajemniczy gest. Jeżeli faktycznie sam Putin podjął tę decyzję, nie miałem żadnych szans, żeby coś zmienić.

Kiedy opowiedziałem Wadimowi o tym spotkaniu, nie był tak rozczarowany jak ja.

— Jeśli Putin rzeczywiście za tym stoi, musiał dostać fałszywe informacje na twój temat. Dotrzemy do kogoś, kto jest blisko niego, żeby przekazał mu prawdę.

Było to miłe ze strony Wadima, że znalazł tak optymistyczne wyjście z tej beznadziejnej sytuacji, ale nie byłem przekonany, że to coś da.

— A któż mógłby to dla nas zrobić? — zapytałem sceptycznie.

— A co powiesz na Dworkowicza? — odparł Wadim.

Arkadij Dworkowicz był głównym doradcą ekonomicznym Putina i Wadim poznał go w trakcie naszej kampanii przeciwko odzieraniu z aktywów, którego ofiarą padło jedno z państwowych przedsiębiorstw energetycznych. Dworkowicz był wobec nas przyjaźnie nastawiony, a co najważniejsze, miał bezpośredni dostęp do prezydenta.

— Warto zaryzykować — powiedziałem.

Wadim skontaktował się z Dworkowiczem, który ku mojemu zaskoczeniu obiecał, że spróbuje pomóc.

Pomimo niewzruszonej pogody ducha, jaką przejawiał Wadim, wyraźnie zaczynało nam brakować pomysłów. Kilka dni po tym, jak opowiedziałem Wadimowi o niezbyt pocieszającej rozmowie z Wiuginem, do naszego moskiewskiego biura zadzwonił jakiś mężczyzna, który nie chciał się przedstawić, i twierdził, że ma ważne

informacje dotyczące wstrzymania mojej wizy. Zgodził się przekazać je wyłącznie osobiście i zapytał, kiedy mogliby się spotkać.

Wadim zadzwonił do mnie i zapytał, co ma robić. W normalnych okolicznościach trzymalibyśmy się jak najdalej od anonimowego informatora proszącego o spotkanie, teraz jednak uznałem, że potrzebny jest nam jakiś przełom.

— Możecie się umówić w jakimś miejscu publicznym? — zapytałem.

— Nie widzę przeszkód — odparł Wadim.

— To może warto spróbować — powiedziałem niepewnie.

Dzień później nieznajomy zadzwonił ponownie i zgodził się spotkać z Wadimem w Vogue Cafe na ulicy Kuźniecki Most, ulubionym lokalu rosyjskich oligarchów, który odwiedzali ze swoimi dwudziestoletnimi modelkami. Wokół nich roiło się od uzbrojonych ochroniarzy, dzięki czemu miejsce nadawało się idealnie na takie spotkanie.

Podczas gdy Wadim rozmawiał z informatorem, ja przez ponad dwie godziny przechadzałem się nerwowo po mieszkaniu, czekając na wiadomość. W końcu, tuż po 11.00 czasu londyńskiego, zadzwonił telefon.

— Bill, to było bardzo męczące — odezwał się Wadim poważnym tonem. — Ten facet miał dużo do powiedzenia.

— Dobrze, ale przede wszystkim, kto to był?

— Nie wiem. Nie podał mi prawdziwego nazwiska, ale przedstawił się jako Asłan. To ktoś, kto pracuje dla rządu. Prawdopodobnie dla FSB.

— Dlaczego mielibyśmy wierzyć komuś, kto nie chce ujawnić swojej tożsamości? — zapytałem sceptycznie.

— Ponieważ on wszystko wie. Dosłownie wszystko, Bill. Wie o twoich kontaktach z Grefem, Wiuginem, Szuwałowem i Prichodką. Pokazał mi kartkę ze wszystkimi szczegółami twojego zatrzymania na lotnisku i kopię listu od Brentona. To było przerażające.

Poczułem, jak ciarki przebiegają mi po plecach.

— Co dokładnie powiedział?

— Powiedział, że całą sprawą kieruje FSB i wstrzymanie twojej wizy to dopiero początek.

— Dopiero początek?

— Tak powiedział. I dodał, że FSB jest zainteresowana, cytuję, „zagarnięciem kapitału Hermitage".

— O kurwa.

— Tak. Jest gorzej, niż sądziliśmy. Nie chodzi wyłącznie o firmę. Tu chodzi o nas, o mnie. Najprawdopodobniej FSB śledzi każdy mój krok, a tamten facet twierdzi, że niedługo zostanę aresztowany.

Wadim mówił jak zwykle spokojnym tonem, jak gdyby opowiadał

o czymś, co się przytrafiło komuś innemu. Gwałtownie wstałem z krzesła, które przewróciło się na podłogę.

— Czy ty mu wierzysz?

— Nie jestem pewien, ale facet sprawia wrażenie bardzo wiarygodnego.

— Czemu ten Asłan miałby ci zdradzać ich zamiary?

— Mówi, że w służbach toczy się wojna, a jego frakcja walczy z ludźmi, którzy dobrali się do nas.

Nie miałem pojęcia, czy to wszystko jest prawdą, czy jakąś wyreżyserowaną prowokacją, ale jednego byłem pewien — Wadim musiał opuścić Rosję.

— Posłuchaj, myślę, że powinieneś jak najszybciej tu przylecieć. Jeżeli istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że ten facet nie kłamie, nie możemy dopuścić, żebyś został aresztowany.

— Czekaj, czekaj, Bill. Nie przesadzajmy.

— Chyba żartujesz, Wadimie. Uciekaj stamtąd. Jesteś w Rosji. W Rosji! Tam nie ma czegoś takiego jak przesada.

Zakończyliśmy rozmowę, ale Wadim nie zgodził się na wyjazd. Wiedział, że gdyby teraz opuścił Rosję, mógłby już nigdy tam nie wrócić. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby dobrowolnie skazać się na wygnanie z powodu słów, które usłyszał tego popołudnia od jakiegoś nieznajomego. Potrzebował więcej informacji.

Ja miałem na to inny pogląd i błagałem Wadima, aby porozmawiał z Władimirem Pastuchowem, moskiewskim prawnikiem, z którego porad fundusz Hermitage korzystał od wielu lat. Władimir był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znałem i kiedykolwiek będzie mi dane poznać. Będąc prawie niewidomy, nosił okulary grube jak denka od butelek, w których wyglądał jak skryba z powieści Dickensa. Jednak za sprawą tej ułomności umysł Władimira był bardziej przenikliwy, wydajniejszy i lepiej rozwinięty niż u wszystkich ludzi, jakich znałem. Miał rzadki dar — potrafił przejrzeć do głębi każdą złożoną sytuację i dostrzec najdrobniejszy szczegół. Był niczym genialny szachista, zdolny przewidzieć każdy ruch przeciwnika, zanim ten w ogóle uświadomi sobie, że może go wykonać.

Chociaż Wadim nie chciał wyjeżdżać, zgodził się na spotkanie z Władimirem. Kiedy prawnik tuż przed północą otworzył mu drzwi, Wadim przyłożył palec do ust, dając znak, że nie powinni rozmawiać, gdyż w mieszkaniu mógł zostać zainstalowany podsłuch. W milczeniu wszedł do środka, zasiadł przy komputerze Władimira i zaczął pisać.

„Dostałem ostrzeżenie od człowieka pracującego dla rządu, że zostanę aresztowany. Czy oni mogą to zrobić?”

Władimir przejął klawiaturę.

„Pytasz mnie jako prawnika czy jako przyjaciela?”

„Jedno i drugie”.

„Jako prawnik odpowiadam, że nie. Nie ma podstaw, żeby cię aresztować. Jako przyjaciel mówię, że tak. Absolutnie. Oni mogą zrobić wszystko".

„Powinienem wyjechać?"

„Czy twój informator jest wiarygodny?"

„Myślę, że bardzo".

„Więc powinieneś".

„Kiedy?"

„Natychmiast".

Wadim wrócił do domu, pospiesznie spakował walizkę i udał się na lotnisko, skąd o 5.40 zamierzał odlecieć do Londynu rejsem British Airways. Nie mogłem zasnąć, dopóki o 2.30 czasu londyńskiego nie dostałem wiadomości tekstowej od Wadima, który był już na pokładzie samolotu kołującego na pas startowy.

Wadim przyleciał do Londynu tego ranka i przyjechał prosto do mnie. Obaj byliśmy w szoku. Nie mogliśmy uwierzyć, że sytuacja tak szybko uległa pogorszeniu.

Kiedy siedzieliśmy w moim gabinecie, dyskutując o wydarzeniach, które rozegrały się dzień wcześniej, Wadim otrzymał wiadomość, że Arkadij Dworkowicz, doradca ekonomiczny Putina, potraktował poważnie naszą prośbę o pomoc. Dworkowicz zdołał przekonać kilku członków administracji prezydenta, że jeśli moja wiza nie zostanie przywrócona, ucierpi na tym rynek inwestycji w Rosji. Co najważniejsze, kwestia mojej wizy miała zostać poruszona w trakcie spotkania Narodowej Rady Bezpieczeństwa z prezydentem Putinem, zaplanowanego na najbliższą sobotę.

Po tej rozmowie Wadim i ja próbowaliśmy wyciągnąć jakieś wnioski ze sprzecznych wiadomości, które nadchodziły z Rosji. Jak to możliwe, że tacy ludzie jak minister gospodarki albo przewodniczący rosyjskiej komisji papierów wartościowych określali moją sytuację jako beznadziejną, podczas gdy doradca ekonomiczny prezydenta zamierzał pomóc mi w odzyskaniu wizy podczas konferencji Rady Bezpieczeństwa Narodowego?

Przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie każdy mówi nam to, co wydaje mu się prawdą, ale w rządzie rosyjskim walczy ze sobą wiele frakcji, które wyrażają własne opinie.

Cokolwiek działo się naprawdę, mogłem jedynie mieć nadzieję, że frakcja Dworkowicza uzyska przewagę i posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego przyniesie pomyślne rozwiązanie.

Potem jednak, zaledwie cztery dni przed rozstrzygającym posiedzeniem, do rozgrywki włączył się dodatkowy przeciwnik. Otrzymałem e-mail od szefa moskiewskiej redakcji „Washington Post", Petera Finna, który pisał: „Cześć, Bill. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Wybacz, że zawracam ci głowę plotkami, ale

chodzą słuchy, że masz jakieś problemy z wizą. Czy to prawda? A jeżeli tak, to czy byłbyś skłonny o tym porozmawiać? Dla inwestora z taką pozycją to nie byle co. Pozdrawiam, Peter".

Cholera jasna! Skąd ten facet dowiedział się o mojej wizie? Nie podobało mi się to. Przypomniała mi się przestroga Simona Smitha, który mówi, że Rosjanie mogą się zawziąć, jeśli moja sprawa nabierze rozgłosu. Nie odpisałem Finnowi, a on na szczęście nie drążył dalej.

Niestety w czwartek zadzwonił do mnie kolejny reporter, Arkadij Ostrowski z „Financial Timesa". Do niego również dotarły pogłoski.

— Czy to prawda, że nie wpuszczono cię do Rosji, Bill?

Poczułem skurcz w żołądku.

— Przykro mi, Arkadij, ale nie mogę o tym rozmawiać.

— Daj spokój, Bill. To jest wiadomość dnia. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Arkadij i ja mówiliśmy sobie po imieniu, ponieważ był on jednym z dziennikarzy, którzy przyczynili się do ujawnienia afery Gazpromu. Przed Arkadijem nie mogłem niczego się wyprzeć, ale musiałem grać na zwłokę.

— A jeżeli to prawda, a ja dam ci wywiad na wyłączność, mógłbyś poczekać jeszcze cztery dni? — zapytałem.

Nie był zachwycony moim warunkiem, ale było to lepsze niż nic, więc uzgodniliśmy, że zadzwonię do niego w poniedziałek.

Rozmowa z Arkadijem kompletnie wytrąciła mnie z równowagi. Dziennikarze najwyraźniej zwietrzyli, co się dzieje, i pozostawało mi tylko wystrzegać się rozmów z nimi przez najbliższe trzydzieści sześć godzin. Jednak w piątek o 10.30 reporterka agencji Reutera Elif Kaban zostawiła mi wiadomość na poczcie głosowej. Nie powiedziała, o co jej chodzi, ale zadzwoniła ponownie o 11.45.

Tego popołudnia byłem umówiony na lunch ze starym przyjacielem z Waszyngtonu i wyszedłem z biura, nie odpowiadając na żadną z jej prób nawiązania kontaktu. Spotkałem się z moim przyjacielem w chińskiej restauracji i wyłączyłem telefon, ale na wszelki wypadek położyłem blackberry'ego na stoliku, aby móc śledzić rozwój wydarzeń. Ledwie zdążyliśmy wybrać kilka potraw, kiedy na ekranie smartfona zamigotała wiadomość od mojej sekretarki: „Bill, Elif Kaban wciąż usiłuje skontaktować się z tobą. Twierdzi, że Reuter otrzymał wiarygodne informacje na temat twoich problemów z wjazdem do Rosji, i chciałaby dać ci szansę na ogłoszenie pierwszego komentarza. Proszę, skontaktuj się z nią jak najszybciej. Dzwoniła już dzisiaj cztery razy. Elif Kaban jest bardzo natarczywa!".

Przez kilka sekund patrzyłem bezmyślnie na wiadomość, po czym schowałem blackberry'ego do kieszeni i próbowałem beztrosko delektować się lunchem. Wiedziałem, że zaraz smród się rozniesie, ale potrzebowałem przynajmniej kilku minut spokoju.

Po wyjściu z restauracji poszedłem okrężną drogą przez Green Park. Świeciło słońce i był to jeden z tych pogodnych wiosennych dni, kiedy w Londynie chce się żyć. Wciągałem głęboko rześkie powietrze i wodziłem wzrokiem po wszystkich tych beztroskich ludziach, którzy spacerowali po parku i którym nie groziło, że ich świat stanie na głowie.

Kilka minut po tym, jak znów zasiadłem przy biurku, agencja Reutera ogłosiła komunikat: „Dyrektor generalny Hermitage wydalony z Rosji".

Tajemnica się wydała. Mój telefon natychmiast zaczął się urywać. Dzwonili z „Financial Timesa", „Daily Telegraph", „Independent", „Wall Street Journal", „Forbesa", „Kommiersanta", „Wiedomosti", indeksu Dow Jones, Associated Press, „New York Timesa" i około dwudziestu innych serwisów informacyjnych. Stało się właśnie to, przed czym ostrzegał mnie Simon Smith. Teraz Rosjanie nie mieli żadnych szans, by zachować twarz, i mogłem pożegnać się z nadzieją na ustępstwo z ich strony. Nie miałem się co łudzić, że posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa przyniesie jakieś pomyślne rozwiązanie. Mój los został przypieczętowany i od tej chwili nie żywiłem złudzeń, że jest to oficjalna decyzja. W Rosji byłem skończony.

Tylko że Rosja jeszcze ze mną nie skończyła.

Rozdział 21
G8

Kiedy rosyjski rząd występuje przeciw komuś, nie robi tego łagodnie, lecz ucieka się do najbardziej drastycznych środków. Sprawa Michaiła Chodorkowskiego i Jukosu była tego najlepszym przykładem. Kara za sprzeciwienie się Władimirowi Putinowi dosięgła również wszystkich, którzy mieli z Chodorkowskim coś wspólnego — kadrę dyrektorów, jego prawników, księgowych, kontrahentów, a nawet jego organizacje dobroczynne. Na początku 2006 roku w rosyjskich więzieniach przebywało dziesięć osób powiązanych z Jukosem, wiele innych uciekło z kraju, a władze skonfiskowały kapitał spółki wart dziesiątki miliardów dolarów. Potraktowałem to wszystko jako lekcję poglądową i nie zamierzałem dopuścić, aby Rosjanie zrobili ze mną coś podobnego. Musiałem jak najszybciej ewakuować z Rosji swoich ludzi oraz pieniądze klientów.

Sprowadziłem do Londynu dyrektora działu operacyjnego funduszu, Iwana Czerkasowa, aby pomógł mi tego dokonać. Czerkasow przyszedł do Hermitage z JP Morgan przed pięciu laty i miał za zadanie nękać brokerów, uganiać się za bankami i czuwać nad listą płac. Był trzydziestodziewięcioletnim wysokim mężczyzną o nienagannej prezencji, mówił biegle po angielsku z amerykańskim akcentem i doskonale wykonywał swoją pracę.

Iwan założył centrum kryzysowe w naszej siedzibie przy Tavistock Street w Covent Garden i zabrał się do pracy. Ewakuacja ludzi była stosunkowo prosta. Wszyscy pracownicy Hermitage, którzy moim zdaniem byli narażeni na ryzyko, wraz ze swoimi rodzinami w ciągu miesiąca znaleźli bezpieczne schronienie poza granicami Rosji.

O wiele trudniej było sprzedać warte miliardy dolarów udziały rosyjskich spółek, tak aby nikt się nie zorientował. Gdyby na rynku rozeszła się wieść, co robimy, brokerzy i spekulanci giełdowi zaczęliby uprawiać strategię zwaną „front-running". W tym wypadku oznaczałoby to, że gdyby brokerzy zauważyli, iż Hermitage zamierza się pozbyć wszystkich udziałów Gazpromu, próbowaliby sprzedać te akcje pierwsi, zaniżając cenę, co naraziłoby klientów mojego funduszu na wielomilionowe straty.

Aby tego uniknąć, musieliśmy znaleźć brokera, który zająłby się zleceniem sprzedaży i zachował przy tym całkowitą dyskrecję. Jednak brokerzy z reguły stanowią środowisko, na którym nie można polegać, a rosyjscy brokerzy w szczególności nie należą do godnych zaufania. Nie mogliśmy też skorzystać z pomocy wielkiej zachodniej firmy brokerskiej, z którą dotychczas robiliśmy interesy, bo gdyby tylko

zaczęła realizować nasze zlecenia, inni mogliby szybko wydedukować, że Hermitage prowadzi wyprzedaż, i zacząć zbijać nasze ceny.

Dlatego mieliśmy bardzo ograniczone pole manewru. Spośród wszystkich wiarygodnych kandydatów wybraliśmy trzydziestotrzyletniego brokera o uprzejmym usposobieniu, który prowadził dwuosobowe biuro obrotu papierami wartościowymi w moskiewskim oddziale jednego z wielkich europejskich banków. Człowiek ten od lat zabiegał niestrudzenie, by nawiązać z nami współpracę, i teraz postanowiliśmy dać mu taką okazję.

Iwan zadzwonił do niego i oznajmił, że jego wytrwałość w końcu się opłaciła.

— Jest tylko jeden warunek — dodał. — Musi pan się zobowiązać do całkowitej dyskrecji.

— Oczywiście — odparł broker. — Możecie na mnie polegać.

Następnego dnia broker otrzymał zlecenie sprzedaży akcji o wartości 100 milionów dolarów. Prawdopodobnie spodziewał się miliona, maksymalnie pięciu, ale taka suma przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Niewykluczone, że było to największe zlecenie w jego życiu.

W ciągu następnego tygodnia sprzedał wszystko, nie wzbudzając przy tym żadnej reakcji rynku i nie dopuszczając do żadnego wycieku informacji. Z dumą składał nam relację o swoich wynikach przekonany, że na tym jego rola się skończyła, toteż był bezgranicznie zdumiony, kiedy dostał następne zlecenie na 100 milionów dolarów. Również tym razem wywiązał się bez zarzutu. Przez kolejne dwa miesiące fundusz dawał mu podobne zlecenia, aż w końcu broker sprzedał wszystkie nasze akcje rosyjskich spółek warte miliardy dolarów, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Dzięki tym mistrzowskim operacjom jego mała i nieznana nikomu firma stała się najlepiej prosperującym biurem obrotu papierami wartościowymi w Europie. A co najważniejsze, Hermitage wyprowadził z Rosji wszystkie swoje pieniądze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Zabezpieczywszy swoich ludzi i kapitał, pozbawiliśmy przeciwnika dwóch najważniejszych atutów, jakie mógł wykorzystać przeciwko nam. Wszelkie kroki, jakie podjąłby teraz rząd rosyjski, nie wydawały się już tak groźne.

Poczułem się lepiej, kiedy to osiągnęliśmy, ale musiałem jeszcze odzyskać zaufanie swoich klientów. Większość z nich inwestowała w Hermitage dlatego, że mieszkałem w Rosji. Będąc na miejscu, mogłem wyszukiwać dochodowe inwestycje i chronić nasz kapitał, gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót. Nagle zostałem pozbawiony obu tych możliwości.

Pierwszy zwrócił uwagę na ten fakt Jean Karoubi, inwestor, którego poznałem w 1996 roku. Z biegiem lat Jean stał się jednym z

moich najbliższych powierników i zawsze trzymał rękę na pulsie rynku. Gdy 17 marca agencja Reutera ujawniła informację o moich problemach z wizą, Jean zadzwonił do mnie niemal natychmiast.

— Bill, świetnie nam się współpracowało — zaczął niepodobnym do niego, pełnym powagi tonem — ale teraz jest mi trudno znaleźć jakiś powód, dla którego miałbym trzymać swoje pieniądze w funduszu, kiedy podpadłeś rosyjskim władzom.

Słysząc takie słowa w ustach jednego z moich najdawniejszych i najbardziej oddanych popleczników, byłem nieco zszokowany, ale Jean miał rację. Daleki byłem od przekonywania go, żeby zatrzymał swój kapitał w Hermitage i ryzykował jeszcze bardziej, gdy sytuacja w Rosji zacznie wymykać się spod kontroli. Najlepsze, co mógł zrobić w takiej sytuacji, to zgarnąć swoją wygraną i iść do domu.

W ciągu kolejnych dni przeprowadziłem wiele podobnych rozmów z klientami, którzy doszli do takich samych wniosków. Wiedziałem, że wkrótce zaczną przychodzić zlecenia umorzenia i nie będzie ich mało.

Najbliższym dniem, w którym inwestorzy mogli wycofać pieniądze z funduszu, był 26 maja, musieli jednak złożyć wniosek osiem tygodni wcześniej. Zatem 31 marca mogłem się przekonać, jak poważna jest sytuacja.

Tego dnia o 17.20 otrzymałem listę zleceń od HSBC, administratora funduszu. Zwykle subskrypcje i umorzenia mieściły się na jednej stronie, a w bardziej aktywnym kwartale zajmowały dwie albo trzy. Jednak ta lista miała dziesięć stron i obejmowała 240 osób, które żądały zwrotu swoich pieniędzy. Szybko przerzuciłem cały plik do końca i podsumowałem wszystko. Przeszło 20 procent kapitału miało zostać wycofane.

Bądź co bądź była to ogromna liczba, a wiedziałem, że to dopiero początek. Stałem na skraju przepaści. Wszystko, na co tak ciężko pracowałem, zaczynało obracać się w ruinę. Sytuacja mogłaby się poprawić tylko wtedy, gdybym odzyskał rosyjską wizę. Ale ja postawiłem na niej krzyżyk.

Co zdumiewające, rząd brytyjski tak łatwo się nie poddał. W połowie czerwca zadzwonił do mnie Simon Smith, szef sekcji rosyjskiej Biura Spraw Zagranicznych.

— Znaleźliśmy obiecujący sposób na rozwiązanie pańskiego problemu z wizą. Ale zanim wykonamy następny krok, chciałbym się upewnić, czy nadal jest pan zainteresowany powrotem do Rosji.

— Oczywiście, że jestem zainteresowany — odparłem z entuzjazmem. — Ale myślałem, że po tej aferze w mediach już nic nie da się zrobić.

— Dziennikarze z całą pewnością nie ułatwili nam zadania. Ale my nie dajemy za wygraną — zapewnił mnie Smith.

— Co pan ma na myśli?

— Jak panu zapewne wiadomo, Rosja jest gospodarzem szczytu G8, który odbywa się piętnastego lipca w Petersburgu. Zamierzamy umieścić pańską sprawę w terminarzu premiera, aby porozmawiał o niej osobiście z Putinem.

— Naprawdę… byłoby wspaniale.

— Proszę nie obiecywać sobie zbyt wiele. Nie ma nic pewnego, ale pracujemy nad tym.

Odłożyłem słuchawkę i wyjrzałem przez okno. Jak mogłem nie robić sobie wielkich nadziei. Wstrzymanie wizy naraziło moje interesy na szwank, a jej przywrócenie równie łatwo mogło znów postawić fundusz na nogi.

W miarę jak zbliżał się szczyt G8, stawałem się kłębkiem nerwów. Gdyby interwencja premiera Tony'ego Blaira przyniosła pozytywny skutek, zmieniłoby to moje życie. Jednak kiedy mijały dni i tygodnie, zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. Nie mogłem skontaktować się ze Smithem. Próbowałem zachować zimną krew, ale nie mogłem pojąć, czemu najpierw Smith dodawał mi otuchy, a potem nagle zamilkł.

Kiedy nie mogłem już dłużej tego znieść, zadzwoniłem do sir Roderica Lyne'a, byłego ambasadora brytyjskiego w Rosji, który obecnie był doradcą HSBC. Lyne nie krył zaskoczenia, że Smith w ogóle zasugerował poruszenie mojej sprawy podczas G8, i poradził mi, żebym nie obiecywał sobie zbyt wiele. Z doświadczenia wiedział, że podczas takich szczytów zawsze pojawiają się nieprzewidziane kwestie, które burzą starannie ustalony porządek obrad.

Starałem się zastosować do jego rady, ale sześć dni przed rozpoczęciem szczytu Elena i ja poszliśmy na lunch do Richoux, restauracji przy Circus Road w dzielnicy St. John's Wood. Kiedy zasiedliśmy przy stoliku, Elena wzięła numer „Observera" i zaczęła od niechcenia przerzucać strony.

— Bill, spójrz na ten nagłówek — odezwała się nagle z błyskiem w oczach. — „Podczas rozmów z Putinem Blair poruszy sprawę dyrektora funduszu inwestycyjnego".

Złapałem gazetę i zacząłem czytać. Artykuł stanowił potwierdzenie tego, o czym rozmawiał ze mną Smith. Najbardziej istotne zdanie zawierało wyraźną obietnicę: „Premier wykorzysta szczyt G8, który odbędzie się w najbliższy weekend w Petersburgu, aby poprosić prezydenta Rosji o zniesienie wszystkich restrykcji nałożonych na Browdera".

Elena patrzyła na mnie oszołomiona.

— To niesamowite — powiedziała.

Artykuł w „Observerze" zaskoczył również moich klientów i niektórzy wstrzymali się z decyzją o wycofaniu swoich pieniędzy aż do zakończenia konferencji.

Przepełniał mnie radosny nastrój, ale na trzy dni przed rozpoczęciem G8 Wadim zawołał mnie do swojego biurka.

— Bill, musisz to zobaczyć — powiedział, wskazując nagłówek Bloomberga na monitorze.

Pochyliłem się i przebiegłem wzrokiem artykuł o libańskich bojownikach Hezbollahu, którzy ostrzelali terytorium Izraela rakietami przeciwpancernymi. Zginęło trzech żołnierzy izraelskich, a pięciu zostało schwytanych i uprowadzonych do Libanu.

— Co to ma wspólnego z nami? — zapytałem sceptycznie.

— Nie jestem pewien, ale wygląda na to, że na Bliskim Wschodzie zaczyna się wojna. To może odwrócić uwagę Blaira od rozmów o twojej wizie.

Faktycznie, następnego dnia Izrael przeprowadził ataki z powietrza na cele w Libanie, między innymi na lotnisko w Bejrucie, podczas których zginęło czterdzieścioro czworo cywilów. Rosja, Francja, Wielka Brytania i Włochy natychmiast skrytykowały Izrael za użycie „niewspółmiernie dużej" siły, a Stany Zjednoczone publicznie potępiły milicję Hezbollahu. Wadim miał rację. Szczyt G8 łatwo mógł się przeobrazić w gorączkowe rozmowy o zażegnaniu kryzysu na Bliskim Wschodzie, zmuszając Blaira do zmiany planów.

Gdy w sobotę rozpoczął się szczyt, nie miałem pojęcia, co się wydarzy, a przez weekend nie mogłem skontaktować się z nikim z brytyjskiego rządu. Rozmowy ciągnęły się, ale wszystkie doniesienia mediów dotyczyły Izraela i Libanu. Ani słowa o mojej wizie.

Na koniec szczytu Putin zwołał konferencję prasową. Setki dziennikarzy z całego świata wypełniły salę po brzegi, a każdy liczył, że uda mu się zadać pytanie prezydentowi Rosji.

Po blisko dwudziestu minutach Putin wskazał na trzydziestotrzyletnią Catherine Belton, atrakcyjną i filigranową reporterkę „Moscow Timesa".

— Niedawno Bill Browder został pozbawiony rosyjskiej wizy wjazdowej — zaczęła dziennikarka niepewnie. — Zaniepokoiło to wielu inwestorów i zachodnich dyplomatów, którzy nie mogą zrozumieć, czemu do tego doszło. Czy może pan wyjaśnić, dlaczego wstrzymano mu wizę bez żadnego uzasadnienia?

Belton skończyła i usiadła. Położyła notatnik na kolanach i czekała na odpowiedź.

W sali zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że pytanie brytyjskiej dziennikarki zaskoczyło Putina. Minęło kilka sekund, zanim prezydent się odezwał.

— Proszę powtórzyć. Komu dokładnie wstrzymano wizę?

Catherine znów wstała.

— Billowi Browderowi. To dyrektor generalny funduszu Hermitage, który jest największym inwestorem na rosyjskim rynku

giełdowym. Jestem przekonana, że premier Wielkiej Brytanii rozmawiał dzisiaj z panem na ten temat.

Putin zmarszczył czoło.

— Cóż, szczerze mówiąc, nie znam powodu, dla którego jakiś konkretny człowiek miałby spotkać się z odmową wjazdu na teren Federacji Rosyjskiej — odpowiedział cierpko. — Przypuszczam, że musiał naruszyć prawo naszego kraju.

I na tym koniec. Słysząc tę odpowiedź, wiedziałem, że Blair nie poruszył mojej sprawy i nie odzyskam wizy. Co więcej, gdybym przetłumaczył słowa Putina na prosty język, przekaz byłby jasny jak słońce. „Nigdy nie wymieniamy nazwisk naszych wrogów i dotyczy to również Billa Browdera. Zaraz nakażę swoim organom ścigania, aby wszczęły przeciwko niemu tyle postępowań kryminalnych, ile tylko się da”.

Gdyby ktoś uznał taką interpretację za paranoiczną lub przesadzoną, byłby w błędzie. Jeśli już, to ja sam byłem niewystarczająco paranoiczny.

Rozdział 22
Naloty

Po odpowiedzi Putina moi klienci zyskali jasność. Nastawienie Rosji nie wróżyło nic dobrego. Kolejny termin umorzenia przypadał na 25 sierpnia i tym razem kolejnych 215 klientów wycofało z funduszu ponad 30 procent kapitału. W mojej branży coś takiego nazywa się szturmem na fundusz i kiedy wybucha panika, podobnie jak w przypadku szturmu na bank jest prawie niemożliwa do opanowania. Wiedziałem, że jeśli nie dokonam jakiegoś cudu, fundusz Hermitage wkrótce będzie zmuszony zakończyć działalność.

Podczas swojej kariery przeżyłem setki wzlotów i upadków. Akcje przybierają i tracą na wartości często bez wyraźnej przyczyny, więc musiałem się uodpornić, by móc przyjmować na siebie impet złych wiadomości i nie tracić wiary. Nie straciłem wiary po tym, jak w 1998 roku kapitał funduszu stracił 90 procent swojej wartości, i moja postawa została nagrodzona, gdy wszystko wróciło do normy.

Ale tym razem było inaczej.

Całe moje życie zawodowe było ukierunkowane na prowadzenie inwestycji w Rosji. Nigdy nie przyszło mi do głowy, abym mógł robić cokolwiek innego. Teraz jednak, kiedy nie mogłem już działać w Rosji, musiałem pomyśleć o czymś innym. Jakie miałem możliwości wyboru? Nie wyobrażałem sobie powrotu do Ameryki, gdzie musiałbym konkurować z tysiącami takich jak ja. Nie wyobrażałem sobie również przeprowadzki w takie miejsce jak Chiny, by przez kolejne dziesięć lat wyrabiać sobie tam pozycję.

I z całą pewnością nie wybierałem się na emeryturę. Miałem czterdzieści dwa lata i rozpierała mnie energia. Żadna możliwość nie wyglądała zachęcająco, a im dłużej rozmyślałem o mojej sytuacji, tym bardziej wydawała mi się beznadziejna.

Fakt, że Hermitage stanął w obliczu bankructwa, był jeszcze bardziej przygnębiający dla ludzi, którzy dla mnie pracowali. Po wszystkich ekscytujących przeżyciach, jakich dostarczała nam działalność w Rosji, nikt nie chciał rozwiązania zespołu, gdyż wtedy wszyscy musieliby wrócić do zwykłej pracy w bankach inwestycyjnych lub firmach brokerskich.

Kiedy rozważałem nasze atuty, nie miałem żadnych wątpliwości, że nabraliśmy doświadczenia w wyszukiwaniu inwestycji o zaniżonej wartości. Potrafiliśmy również doskonale chronić nasze inwestycje przed nieuczciwym zarządzaniem. Uznałem, że powinniśmy wykorzystać te dwie umiejętności na innych rynkach wschodzących.

Postanowiłem wysłać Wadima oraz czterech innych analityków

do Brazylii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Kuwejtu, Turcji i Tajlandii, by się przekonać, czy znajdą tam coś interesującego. Spotkali się oni z przedstawicielami dwudziestu najtańszych spółek w każdym z tych krajów. W sumie przeprowadzili sto rozmów, sporządzili poważne analizy dziesięciu przedsiębiorstw i ostatecznie wskazali trzy obiecujące perspektywy inwestycji.

Pierwszą z nich była brazylijska spółka telekomunikacyjna, której kapitał stanowił trzykrotną wartość jej ubiegłorocznych dochodów i był najniższy na świecie jak na spółkę tej branży; drugą — turecka rafineria, której akcje były o 72 procent tańsze od akcji innych rafinerii; a trzecią — firma handlująca nieruchomościami z siedzibą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, której akcje miały wartość o 60 procent niższą od wartości netto jej aktywów.

Zacząłem inwestować pieniądze funduszu w akcje tych spółek i podzieliłem się wnioskami analityków z moim przyjacielem, Jeanem Karoubim. Mogłem zawsze liczyć na jego fachową opinię, a tym razem zareagował o wiele przychylniej, niż się spodziewałem.

— Bardzo mi się podobają te pomysły, Bill — powiedział. — Myślę, że to jest rodzaj działalności, który powinieneś rozwijać.

Jean miał rację. Moje umiejętności inwestora mogły znaleźć zastosowanie wszędzie, zwłaszcza w krajach, które doświadczały podobnych problemów jak Rosja. Nie potrzebowałem Rosji, żeby odnosić sukcesy.

Kiedy poinformowałem o tych inwestycjach innych klientów, większość zareagowała tak samo jak Jean. Jesienią 2006 roku znów cieszyłem się tak dużym zaufaniem, że zacząłem przygotowywać ofertę nowego funduszu o nazwie Hermitage Global.

Chciałem, aby prospekt był gotowy na Światowe Forum Ekonomiczne, które miało się odbyć w Davos pod koniec stycznia 2007 roku. Żadne miejsce na świecie nie nadaje się tak doskonale na pozyskiwanie kapitału jak Davos.

Mój los zmienił się od czasu, gdy byłem tam pierwszy raz w 1996 roku. Nie musiałem już spać na podłodze ani snuć się po hotelowym holu, aby nawiązać znajomość z ważnymi osobistościami. Od 2000 roku byłem pełnoprawnym członkiem forum i od tamtego czasu uczestniczyłem w nim regularnie.

Tym razem postanowiłem zabrać ze sobą Elenę. Była w pierwszym trymestrze drugiej ciąży i uznałem, że interesujące wykłady i bankiety w Davos zapewnią jej pożądane wytchnienie od opieki nad naszą roczną córeczką. Wylądowaliśmy w Zurychu, skąd pociągiem pojechaliśmy do Davos, tak samo jak Marc Holtzman i ja przed wielu laty, a na miejscu zameldowaliśmy się w hotelu Derby. Zaraz po przybyciu zacząłem chodzić na spotkania.

Jak przewidział Jean, fundusz Hermitage Global wzbudził

zainteresowanie inwestorów. Drugiego dnia, po wysłuchaniu nowej oferty, jeden z moich wieloletnich klientów zapytał:

— Wybierasz się dziś wieczorem na rosyjską kolację?

— Jaką rosyjską kolację?

Wiedziałem, że w Davos przebywa liczna delegacja Rosjan, ale działo się tam tyle rzeczy, że nie słyszałem o tej kolacji.

— To wielkie wydarzenie. Będą tam wszystkie ważne osobistości z Rosji.

— Wątpię, czy pozwolą mi się do siebie zbliżyć — powiedziałem z uśmiechem.

— I w tym tkwi cały urok tej imprezy, że to nie Rosjanie decydują, kto weźmie w niej udział, tylko Światowe Forum Ekonomiczne. Możesz po prostu się zapisać.

Był to intrygujący pomysł. Po spotkaniu podszedłem prosto do stanowiska komputerowego, gdzie można było zgłaszać swój udział w imprezach. Zalogowałem się i kilkoma kliknięciami zapisałem siebie i Elenę na kolację.

Wieczorem przybyliśmy do centrum konferencyjnego dziesięć minut wcześniej, aby się przekonać, że niemal wszystkie miejsca są zajęte. Przechadzając się po sali, znaleźliśmy ostatnie dwa wolne krzesła. Gospodarzem każdego stolika był jeden z rosyjskich VIP-ów i rozejrzawszy się dookoła, z przerażeniem odkryłem, że siedzimy w towarzystwie dyrektora działu eksportu Gazpromu. Nie mogliśmy trafić na bardziej krępujące miejsce. Antykorupcyjna kampania Hermitage przeciwko Gazpromowi prawdopodobnie przyczyniła się do mojego wydalenia z Rosji, a teraz miałem zjeść eskalopki cielęce, placki ziemniaczane i tort marchewkowy wraz z jednym z najwyższych rangą dyrektorów tej spółki.

Obaj przez całą ucztę unikaliśmy kontaktu wzrokowego, tymczasem rosyjscy dygnitarze i oligarchowie po kolei zabierali głos. Każdy z nich starał się zdystansować poprzednika, mówiąc jeszcze bardziej niestrawnie i wygłaszając jeszcze więcej pochlebstw oraz drętwych frazesów. Rosjanie doskonale potrafią mówić, nie przekazując przy tym żadnych treści, i tego wieczoru dali świetny tego pokaz.

Pod koniec kolacji, gdy pobrzękiwały sztućce, a kelnerzy kursowali między stolikami, przy wejściu dało się zauważyć jakieś poruszenie. Do sali weszło dwudziestu rosłych ochroniarzy, którzy utworzyli ruchomy kordon wokół niewysokiego mężczyzny. Dopiero kiedy podszedł do stolika, rozpoznałem w nim Dmitrija Miedwiediewa, pierwszego wicepremiera Rosji. Miedwiediew startował w wyborach prezydenckich, by zająć miejsce Putina, który kończył drugą kadencję w czerwcu 2008 roku, i w Davos po raz pierwszy miał okazję zaprezentować się międzynarodowej

społeczności.

Gdy wszyscy zjedli danie główne, Miedwiediew wstał i podszedł do mikrofonu w głębi sali. Mówił przez kilka minut, a ja słuchałem tłumaczenia w słuchawce, dochodząc do wniosku, że jego wystąpienie jest jeszcze bardziej nudne i pozbawione treści niż poprzednie. Nie mogłem się doczekać końca tej imprezy.

Gdy tylko Miedwiediew skończył, na salę wylegli kelnerzy, roznosząc talerzyki z tortem marchewkowym oraz kawę i herbatę. Kiedy popijałem herbatę i dziobałem widelczykiem lukier na torcie, Elena pociągnęła mnie za rękaw marynarki.

— Bill, mam świetny pomysł — wyszeptała. — Może poprosiłbyś Miedwiediewa o pomoc w sprawie twojej wizy?

Zerknąłem na nią z ukosa.

— Nie bądź śmieszna.

Wyczerpałem wszystkie możliwości odzyskania wizy, włącznie z próbami dotarcia do Putina. Po szczycie G8 uznałem ten rozdział w moim życiu za definitywnie zamknięty. Co więcej, nie potrafiłem sobie wyobrazić nic bardziej upokarzającego, jak chodzenie za Miedwiediewem i błaganie o wizę.

Próbowałem wyperswadować to Elenie, ale ona nie słuchała.

— Mówię serio — upierała się. — Zobacz, nikt z nim nie rozmawia. Po prostu spróbujmy.

Wstała i wbiła we mnie wyczekujące spojrzenie. Sprzeciwianie się Elenie było straszniejsze od nieprzyjemnej rozmowy z rosyjskim politykiem, więc również wstałem i niechętnie ruszyłem za nią na drugi koniec sali.

— Dzień dobry, panie wicepremierze — odezwałem się, wyciągając rękę na powitanie, gdy podeszliśmy do Miedwiediewa. — Nazywam się Bill Browder. Może pan mnie pamięta.

Elena tłumaczyła, a Miedwiediew ściskał moją dłoń. Dookoła zapanowało poruszenie, gdy ludzie zauważyli, co się dzieje. Skoro ja mogłem z nim rozmawiać, to oni również mogli. Goście zaczęli podnosić się z miejsc i podchodzić do nas.

— Tak, oczywiście, pamiętam pana. Jak się pan miewa, panie Browder?

— W porządku, ale jak zapewne panu wiadomo, od ponad roku nie mogę dostać się do Rosji. Pomyślałem, że może pan pomógłby mi odzyskać wizę.

Gdy wypowiadałem te słowa, otaczał nas już ciasny krąg ludzi, wśród których znajdował się reporter agencji Bloomberga, a jeszcze inny z „New York Timesa". O ile wizyta w Davos była międzynarodowym debiutem Miedwiediewa, o tyle nasza rozmowa miała się stać jednym z najciekawszych momentów całej konferencji.

Wicepremier omiótł wzrokiem zbiegowisko dookoła. Musiał

podjąć błyskawiczną decyzję. Mógł odrzucić moją prośbę, zwracając na siebie uwagę mediów, albo obiecać pomoc, co nie wzbudziłoby już takiej sensacji.

— Z miłą chęcią, panie Browder — odparł po chwili zastanowienia. — Jeżeli dostarczy mi pan kopię swojego wniosku o wizę, przekażę ją Federalnej Służbie Granicznej z osobistym zaleceniem, by rozpatrzono ją pozytywnie.

To było to. Reporterzy oblegli Miedwiediewa, a Elena i ja wyśliznęliśmy się z tłumu.

— No widzisz? — Elena ścisnęła moją dłoń. — Miałam rację.

Wróciliśmy prosto do hotelu i zadzwoniliśmy do Londynu. Zebranie wszystkich papierów wymaganych do wniosku wizowego zwykle trwa trzy dni, ale moi ludzie siedzieli nad tym całą noc i o 8 rano hotelowy faks wypluł niezbędne dokumenty.

Tego ranka miałem wiele spotkań z inwestorami, więc Elena udała się do sali w centrum konferencyjnym, gdzie Miedwiediew miał wygłosić przemówienie, i stanęła przy podium. Ze względu na środki bezpieczeństwa nie mogła podejść do wicepremiera, ale zauważyła Arkadija Dworkowicza, doradcę Putina, który wcześniej próbował mi pomóc. Zapytała go, czy mógłby przekazać wniosek. Dworkowicz wziął od niej dokument i obiecał, że to zrobi.

Dzień później konferencja dobiegła końca, a Elena i ja wróciliśmy do Londynu dumni z mojej przypadkowej interwencji na najwyższym szczeblu.

Na rezultat trzeba było czekać kilka tygodni, ale 19 lutego otrzymałem informację z Moskwy na temat mojej wizy. Odpowiedź nie nadeszła jednak z Federalnej Służby Granicznej, lecz od podpułkownika Artema Kuzniecowa z moskiewskiego oddziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Było to dziwne. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zajmowało się sprawami kryminalnymi, a nie wizami. Ponieważ nie mówiłem po rosyjsku, poprosiłem o pomoc Wadima.

— W porządku, wyjaśnię panu, na czym polega sytuacja — powiedział Kuzniecow, kiedy Wadim poinformował go, że pracuje dla mnie.

– Świetnie.

— O ile mi wiadomo, pan Browder złożył wniosek o pozwolenie na przekroczenie granicy Federacji Rosyjskiej.

— Tak, złożyliśmy komplet dokumentów.

— Zatem chciałbym wstąpić do pana i omówić tę sprawę, jeżeli to możliwe — rzekł Kuzniecow swobodnym tonem.

— Widzi pan, rzecz w tym, że obecnie nie przebywam w Moskwie — odparł Wadim. — Więc gdyby mógł pan nam wysłać swoje pytania, postaramy się na nie odpowiedzieć.

— Nie mogę ich panu wysłać. Wolałbym porozmawiać osobiście — powiedział Kuzniecow z irytacją w głosie.

To nie było zwyczajne dochodzenie. Zgodnie z obowiązującymi procedurami rosyjscy urzędnicy zawsze wysyłali mi pytania na piśmie. Po dziesięciu latach spędzonych w Rosji dobrze wiedziałem, że jeśli ktoś prosi o nieoficjalne spotkanie, to oznacza tylko jedno — chce łapówki. W wielu sytuacjach, kiedy urzędnik chciał na mnie coś wymusić, ignorowałem go, a on zawsze dawał mi spokój.

— Im szybciej odpowiecie na te pytania, tym szybciej wasze problemy znikną — oznajmił Kuzniecow na koniec.

Jak w przypadku podobnych żądań w przeszłości, to również postanowiłem zignorować.

Być może ta rozmowa bardziej wytrąciłaby mnie z równowagi, gdyby otwarcie funduszu Hermitage Global nie przebiegało tak pomyślnie, toteż szybko o niej zapomniałem. Do funduszu jeden po drugim przystępowali moi dawni klienci, jak również wielu nowych. Do końca kwietnia 2007 roku zebrałem 625 milionów dolarów. Nie zrekompensowało to sumy wycofanej z rosyjskiego funduszu, ale oznaczało, że zdołałem powstrzymać krwawienie i moja firma pozostanie na rynku.

W poniedziałek 4 czerwca 2007 roku miałem spotkać się w paryskim hotelu Westin z radą dyrektorów, by przedstawić wyniki z początkowej fazy działalności Hermitage Global. Po wszystkich niepomyślnych wydarzeniach, jakie spotykały mnie w ciągu ostatnich dwóch lat, po raz pierwszy od czasu wydalenia z Rosji mogłem się podzielić z radą dyrektorów jakąś dobrą wiadomością.

Iwan i ja przyjechaliśmy na miejsce wieczorem 3 czerwca, żeby się przygotować. Następnego ranka wstałem o 6.00, poszedłem do siłowni, wziąłem prysznic i zjadłem lekkie śniadanie. O 8.00 wisiałem na telefonie, kłócąc się z moim traderem o akcje pewnej spółki z Dubaju, które miał sprzedać kilka dni wcześniej. Na giełdzie w Dubaju wystąpiły problemy techniczne, które doprowadziły do wstrzymania sprzedaży. Teraz ceny akcji spadały, a ja byłem wściekły, że nie udało się ich sprzedać, nim zaczęliśmy tracić pieniądze. Trader próbował się usprawiedliwiać, a ja byłem coraz bardziej rozdrażniony.

W trakcie tej burzliwej dyskusji usłyszałem sygnał oczekującego połączenia. Spojrzałem na wyświetlacz tylko po to, by sprawdzić, czy nie dzwoni Elena, która pod koniec miesiąca miała urodzić nasze drugie dziecko. Nie była to jednak Elena, lecz Emma, sekretarka moskiewskiego biura Hermitage. Emma, sympatyczna dwudziestojednoletnia Rosjanka z prowincji, która wyglądała o kilka lat młodziej, była uczciwa, pracowita i skrupulatnie prowadziła nasze biuro. Rzadko kontaktowała się ze mną bezpośrednio, więc kazałem traderowi zaczekać i przełączyłem aparat na drugą rozmowę.

— Emmo, czy to może poczekać?

— Nie, nie może — odparła nieskazitelną angielszczyzną. — Do naszego biura właśnie wkroczyło dwudziestu pięciu milicjantów w cywilu.

— Co?

Emma powtórzyła to, co właśnie powiedziała.

— O kurwa. Zaczekaj. — Przełączyłem się na rozmowę z traderem, powiedziałem mu, że zadzwonię później, i wróciłem do połączenia z Emmą. — Czego chcą?

— Nie wiem, ale jest tu pewien facet, Artem Kuzniecow, który nimi dowodzi, i on…

— Powiedziałaś: Kuzniecow?

— Tak.

To musiał być ten sam Artem Kuzniecow, który próbował mnie przycisnąć kilka miesięcy wcześniej.

— Czy ma nakaz przeszukania?

— Tak. Pokazał mi go, ale nie pozwolił zatrzymać.

— Czy możesz zanotować, co jest na nim napisane?

— Postaram się.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem do Iwana, żeby powiedzieć mu, co się dzieje. Iwan był równie wstrząśnięty i zadzwonił do Emmy. Potem skontaktowałem się z moim moskiewskim prawnikiem, Jamisonem Firestone'em. Jamison, wysportowany, przystojny, czterdziestojednoletni Amerykanin o jasnych oczach, brązowych włosach i niespotykanie chłopięcej twarzy, był rusofilem, który mieszkał w Moskwie od 1991 roku. Był wspólnikiem zarządzającym Firestone Duncan, kancelarii prawnej, którą założył wraz z innym Amerykaninem, Terrym Duncanem. W 1993 roku, podczas kryzysu konstytucyjnego w Rosji, Terry udał się do wieży telewizyjnej Ostankino, by wspierać protestujących. Kiedy siły rządowe otworzyły do nich ogień, próbował ewakuować rannych, ale sam został postrzelony i wkrótce potem zmarł. Od tamtego czasu Jamison sam prowadził firmę.

Jamison od razu wzbudził moją sympatię, nie tylko tym, że był szczery i bezpośredni — polubiłem go również dlatego, że w przeciwieństwie do innych prawników nigdy ze mnie nie zdzierał. Na przestrzeni lat połączyło nas wiele interesów i obaj wspólnie się rozwijaliśmy.

Gdy tylko Jamison podniósł słuchawkę, darowałem sobie wszelkie uprzejmości i od razu przeszedłem do rzeczy.

— Jamie, przed chwilą dzwoniła do mnie sekretarka z Moskwy i…

— Bill, właśnie miałem do ciebie dzwonić…

— Jamie, milicja zrobiła nalot na moje biuro!

— U ciebie też są?

— O czym ty mówisz, Jamie?

— Dwa tuziny tajniaków właśnie przetrząsają moją kancelarię. Mają nakaz w sprawie Kamei.

Ta wiadomość była jak cios prosto w twarz.

— Jezu Chryste!

Kameya była rosyjską spółką należącą do jednego z naszych klientów, któremu doradzaliśmy przy inwestycjach na rosyjskiej giełdzie. Skoro milicja wkroczyła jednocześnie do naszego biura i kancelarii Jamisona, nasuwał się tylko jeden wniosek, że celem jest Hermitage.

— Kurwa, Jamie, co robić?

— Nie wiem. Zamknęli nas wszystkich w sali konferencyjnej. Nie wypuszczają nikogo, nawet do toalety. Ten nakaz nie wydaje mi się ważny. Gliny nie mają prawa rozpocząć rewizji, dopóki nie stawi się nasz obrońca, a oni i tak wywracają wszystko do góry nogami.

— Mógłbyś do mnie zadzwonić, kiedy dowiesz się czegoś więcej?

— Zadzwonię.

Zakończyłem rozmowę. Byłem już spóźniony na spotkanie z radą dyrektorów. Złapałem teczkę z moim terminarzem i dokumentami do prezentacji i szybko zbiegłem na dół. W moich żyłach buzowała adrenalina i nie potrafiłem myśleć o niczym innym, jak tylko o tych rewizjach.

Wszedłem do sali, gdzie czekali na mnie czterej członkowie rady dyrektorów, mężczyźni po pięćdziesiątce i sześćdziesiątce, którzy przybyli z różnych zakątków Europy. Wyglądali na odprężonych i zadowolonych, kiedy popijając kawę i pogryzając rogaliki, plotkowali o giełdowych nowinkach. Zburzyłem ten beztroski nastrój, opowiadając im, co się dzieje w Moskwie. Gdy mówiłem, do sali wpadł blady jak ściana Iwan. Jeden z członków rady zapytał, czy wiemy już coś więcej. Ponieważ nie mieliśmy nowych wiadomości, postanowiłem zadzwonić do Emmy i przełączyłem telefon na tryb konferencyjny.

Emma odebrała i również włączyła głośnik. Słuchaliśmy, jak w oddalonym o niespełna trzy tysiące kilometrów biurze trzaskają upadające na podłogę segregatory, rozlegają się krzyki i tupot ciężkich butów, a ktoś próbuje nawet rozwiercić nasz sejf.

Minęło dziesięć minut. Dwadzieścia. Pół godziny. Wciąż nie mogliśmy otrząsnąć się z szoku i byliśmy pełni podziwu dla Emmy, która próbowała zapanować nad sytuacją, wydzierając się na funkcjonariuszy.

— Kto wam pozwolił pić naszą kawę? Odłożyć mi ten komputer! Proszę go zostawić! Ten pan nie ma nic wspólnego z Hermitage.

Mówiła o pracowniku Deutsche Bank, który pechowo zjawił się w

biurze z samego rana, by dostarczyć jakieś dokumenty. Milicjanci kazali mu zostać, więc siedział uwięziony w sali konferencyjnej i trząsł portkami ze strachu.

Wszystko to było zarówno przerażające, jak i intrygujące. Zapewniłem członków rady, że w naszym biurze milicja nic nie znajdzie — żadnych istotnych informacji, żadnych poufnych dokumentów ani, co najważniejsze, żadnych papierów wartościowych. Wszystko, co miało jakąś wartość, zostało bezpiecznie wywiezione z tego kraju zeszłego lata.

Gdy nadal słuchaliśmy odgłosów rewizji w biurze Hermitage, odezwała się moja komórka. Dzwonił Jamison. Wyszedłem na korytarz, żeby odebrać.

— Bill, stało się coś strasznego!

— Jamison, mów wolniej — powiedziałem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby ten prawnik z piętnastoletnim doświadczeniem w branży biznesowej był tak wzburzony i roztrzęsiony. — Co się dzieje?

— Maksym, jeden z młodszych prawników z mojej kancelarii, wytknął im, że nakaz jest nieważny i że nie mogą zabierać niczego, co nie ma związku z Kameyą.

— Co oni na to?

— Spuścili mu łomot! W tej chwili jedzie do szpitala.

— O kurwa. Nie stało mu się nic poważnego?

— Nie mam pojęcia.

Ścisnęło mnie w gardle.

— Jamie, musisz udokumentować wszystko, co wyprawiają ci faceci. Nie dopuścimy, żeby cokolwiek uszło na sucho tym skurwielom.

— Ale tu nie chodzi tylko o Maksyma. Oni prawie wszystko zabierają.

— Co to znaczy: wszystko?

— Akta klientów, których nic nie łączy z Kameyą. Od frontu podjechały dwie furgonetki. Zabrali prawie wszystkie komputery, nasze serwery, wszystkie stemple i pieczęcie firmowe, które przechowujemy dla naszych klientów. To wszystko nie ma sensu. Jak nasi klienci będą funkcjonować bez dokumentów i pieczątek? Zresztą nie wyobrażam sobie, jak my w ogóle będziemy funkcjonować po czymś takim. Nie możemy nawet odebrać poczty!

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Jest mi bardzo przykro, Jamie. Ale wyjdziemy z tego razem, obiecuję ci. Najważniejsze, żebyś dał mi znać, co z Maksymem, kiedy tylko czegoś się dowiesz.

— Dobrze.

Wróciłem do sali konferencyjnej kompletnie oszołomiony. Wszyscy skierowali wzrok w moją stronę.

— Wyłącz telefon — poleciłem.

Iwan pożegnał się z Emmą i przerwał połączenie. Wtedy opowiedziałem im, co się wydarzyło w siedzibie Firestone Duncan. Nikt się nawet nie odezwał.

Tkwiliśmy po uszy w gównie i jeżeli nie wiedziałem jeszcze nic o Rosji, to właśnie dostałem pierwszą lekcję.

Rozdział 23
Departament K

O 15.00 Iwan i ja odjechaliśmy pociągiem Eurostar z powrotem do Londynu. Nie chcieliśmy, aby ktokolwiek słyszał nasze rozmowy, a jedyne miejsce, które zapewniało nam dyskrecję, znajdowało się między wagonami, gdzie przycupnęliśmy na niewygodnych rozkładanych siedzeniach. Za oknami przemykały rozmazane w pędzie szare i zielone plamy krajobrazów północnej Francji. Próbowaliśmy się dodzwonić do Moskwy i do Londynu, ale wciąż traciliśmy zasięg, kiedy pociąg przejeżdżał przez tunele, więc w końcu daliśmy za wygraną i wróciliśmy na swoje miejsca, gdzie siedzieliśmy w milczeniu do końca podróży. Chociaż wiedziałem, że Rosja to brutalny kraj, od 1992 roku, gdy po raz pierwszy postawiłem stopę na rosyjskiej ziemi, nigdy nie doświadczyłem tego na własnej skórze, podobnie jak osoby z mojego otoczenia. Teraz nagle stało się to aż nazbyt realne.

Przede wszystkim martwiłem się o Maksyma. Po powrocie do domu skontaktowałem się z Jamisonem i zapytałem o najświeższe wiadomości. Na szczęście obrażenia, które odniósł młody prawnik, nie zagrażały jego życiu. Nalegałem, aby Jamie złożył skargę, lecz on się opierał.

— Maksym jest przerażony. Milicjanci, którzy go pobili, zagrozili mu, że jeśli piśnie słówko, oskarżą go, że zaatakował ich nożem, i wyląduje w więzieniu.

Cóż mogłem na to powiedzieć? Przynajmniej nie podniósł poważnego uszczerbku na zdrowiu.

Następnego dnia rano przyjechałem wcześnie do biura. Iwan był już na miejscu i studiował odręczny odpis nakazu przeszukania, który Emma przesłała faksem. Miała wręcz obsesyjnie staranne pismo i stawiała kształtne literki niczym uczennica, lecz treść notatki nie wyglądała już tak niewinnie. Z nakazu wynikało, że wydział przestępstw skarbowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wszczął postępowanie karne przeciwko Iwanowi, zarzucając mu zagarnięcie 44 milionów dolarów należnych z tytułu podatku od dywidend spółki Kameya. Sfabrykowano nakaz zapłaty tego podatku, a ponieważ to Iwan zarządzał kapitałem naszych klientów, wina spadła na niego.

Bez względu na to, jak bezprawny może się wydawać rosyjski wymiar sprawiedliwości z zewnątrz, Rosja pozostaje suwerennym krajem, z którym większość zachodnich rządów współpracowała w przypadku ekstradycji, listów gończych Interpolu i zamrażania aktywów. Nawet jeżeli przebywaliśmy w Londynie, ignorowanie takiej

sprawy jak ta mogło doprowadzić do różnego rodzaju przykrych dla Iwana konsekwencji.

Zarzuty były bezpodstawne — Kameya płaciła podatki według takiej samej stawki, jak wszystkie inne spółki — a oskarżanie Iwana o jakiekolwiek przestępstwo było rażącą niesprawiedliwością. Mało kto żył w takim poszanowaniu dla wszelkich zasad jak Iwan Czerkasow. Był przykładnym mężem i ojcem, świetnym kolegą i współpracownikiem. Zawsze miał starannie wyprasowany garnitur, nosił schludnie przystrzyżone włosy i nigdy się nie spóźniał. Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak chodzi tam i z powrotem po moim biurze wytrącony z równowagi bezpodstawnym oskarżeniem, i obiecałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by wyciągnąć go z tych tarapatów.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było zatrudnienie najlepszego moskiewskiego prawnika, jakiego znałem, a był nim trzydziestopięcioletni adwokat, Siergiej Magnitski. Siergiej pełnił funkcję szefa biura podatkowego w kancelarii Firestone Duncan i dysponował encyklopedyczną wiedzą na temat rosyjskiego prawa gospodarczego. Krążyły pogłoski, że odkąd zaczął tam pracować, nigdy nie przegrał żadnej sprawy.

Gdy tylko Siergiej zgodził się na współpracę, poprosiliśmy go, aby zbadał, czy nie popełniliśmy żadnych błędów. Iwan zawsze był czujny i zakładałem, że wszystkie nasze zobowiązania zostały uregulowane prawidłowo, ale skoro Ministerstwo Spraw Wewnętrznych stawiało nam tak poważne zarzuty, musieliśmy być tego absolutnie pewni.

Siergiej zażądał wszystkich deklaracji podatkowych spółki Kameya wraz z potwierdzającą je dokumentacją. Siedział nad nimi całą noc i zadzwonił do nas rano.

— Panowie, przyjrzałem się podatkom Kamei od każdej strony. Iwan nie zrobił nic złego.

Podczas gdy Siergiej pomagał nam zrozumieć zawiłości prawa podatkowego, Iwan potrzebował również specjalisty od prawa karnego, aby uporać się z milicją. Zatrudniliśmy więc Eduarda Hajruddinowa, byłego oficera dochodzeniowego i sędziego, który od 1992 roku pracował jako adwokat. Miał czterdzieści osiem lat, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, siwe włosy, gęste wąsy i potężne dłonie. Przywodził na myśl rosyjską wersję kowboja z reklamy Marlboro. Był typem człowieka, którego warto mieć po swojej stronie, gdyby sytuacja stała się nieciekawa. Występował jako obrońca i wygrał kilka z najgłośniejszych i pozornie beznadziejnych spraw kryminalnych w Rosji — co w kraju, gdzie współczynnik skazań przekracza 99 procent, zakrawało na istny cud.

Eduard zaoferował się pójść na komisariat milicji i sprawdzić, o co chodziło funkcjonariuszom. Gdy przybył na miejsce, skierowano go

do prowadzącego śledztwo w naszej sprawie trzydziestotrzyletniego majora, Pawła Karpowa. Eduard poprosił go o udostępnienie akt sprawy, do których przysługiwał mu wgląd zgodnie z rosyjskim prawem. Karpow odmówił. To nie było normalne. W ciągu całej swojej piętnastoletniej kariery adwokata Eduard jeszcze nigdy z czymś takim się nie spotkał.

Prawnik był przygnębiony oporem Karpowa, za to ja uznałem to za dobry znak. Pomyślałem, że skoro Karpow boi się pokazać nam akta, musi to oznaczać, że po prostu nie ma żadnej sprawy.

Niestety moja optymistyczna teoria niemal natychmiast zaczęła się kruszyć. Już 14 czerwca zadzwoniła do mnie Catherine Belton, brytyjska dziennikarka, która podczas szczytu G8 w 2006 roku zapytała Putina, dlaczego zostałem wydalony z Rosji. Obecnie pracowała dla „Financial Timesa" i chciała się dowiedzieć, czy mogę jakoś skomentować nalot funkcjonariuszy rosyjskiej milicji na moje biuro. Udzieliłem jej odpowiedzi, licząc, że w swoim artykule wiernie przedstawi sytuację z naszego punktu widzenia.

Gdy rankiem następnego dnia podniosłem leżące pod drzwiami gazety, na pierwszej stronie „Financial Timesa" zobaczyłem nagłówek: *Rosja prowadzi kontrolę podatkową w firmie Browdera*. Przysiadłem na ławeczce w korytarzu i przeczytałem trzy razy cały artykuł. Roiło się w nim od insynuacji i wymysłów rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale moją uwagę zwróciło jedno zdanie w samym środku artykułu: „Zdaniem śledczych pan Browder stoi za tym spiskiem".

Ci ludzie nie ustępowali ani na krok. Mieli znacznie poważniejsze zamiary. Cokolwiek działo się w związku z Iwanem i Kameyą, stanowiło tylko preludium do tego, co szykowali przeciwko mnie.

Perspektywy były niepokojące, a my znajdowaliśmy się w skrajnie niekorzystnym położeniu. Mogliśmy mieć najlepszych prawników w Rosji, ale nie miało to żadnego znaczenia, gdyż naszymi przeciwnikami byli funkcjonariusze organów ścigania, którzy działali poza prawem. Teraz przede wszystkim potrzebowaliśmy informacji — takich, jakimi dysponowała FSB. Potrzebowaliśmy pomocy Asłana, mężczyzny, który w 2006 roku ostrzegł Wadima i doradził mu ucieczkę, kiedy zaczęło robić się gorąco po moim wydaleniu z Rosji.

Nie mieliśmy pojęcia, czy wewnętrzny konflikt, który nakłonił go do udzielenia informacji Wadimowi, nadal trwa, ani czy Asłan będzie skłonny znów nam pomóc, ale warto było spróbować.

Wadim wysłał mu niewinną informację, prosząc o rozmowę.

Pół godziny później przyszła odpowiedź: „Co chcesz wiedzieć?".

„Mam nadzieję, że możesz mi powiedzieć, kto stoi za tymi nalotami z ubiegłego tygodnia, jak również co planują dalej?" — odpisał Wadim.

Po kilku minutach przyszła kolejna odpowiedź: „Tak, wiem. Za tym wszystkim stoi Departament K FSB. Chcą przyskrzynić Browdera i zagarnąć cały jego kapitał. To dopiero początek. Szykują wiele innych spraw kryminalnych”.

Gdy Wadim tłumaczył mi treść tej wiadomości, moja noga zaczęła mimowolnie dygotać. Informacja Asłana była jednoznaczna i przerażająca, a ja desperacko pragnąłem, by ten człowiek się mylił.

Miałem tysiące pytań, zaczynając od tego, czym jest Departament K.

Zapytałem Wadima, on jednak tego nie wiedział. Podeszliśmy do jego biurka, licząc, że uda się nam coś znaleźć w Internecie. Po otwarciu kilku odnośników dotarliśmy do oficjalnej witryny rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Okazało się, że Departament K jest wydziałem zajmującym się zwalczaniem szpiegostwa gospodarczego.

Chwiejnym krokiem wróciłem do swojego biurka i opadłem na fotel. Poleciłem sekretarce, aby nie przełączała do mnie żadnych rozmów. Musiałem to wszystko przetrawić. Świadomość, że jestem ścigany przez Departament K, była zbyt trudna do zniesienia.

Jestem ścigany przez rosyjską tajną policję i nic z tym nie mogę zrobić — myślałem. Nie mogę złożyć na nich zażalenia ani zażądać wglądu w akta mojej sprawy. To jest tajna policja. Co gorsza oni dysponują wszelkimi środkami, jakie można sobie wyobrazić, zarówno zgodnymi z prawem, jak i bezprawnymi. FSB nie tylko wydaje nakazy aresztowania i wnioski o ekstradycję, ale również zleca zamachy.

Rozdział 24
„W Rosji tylko baśnie dobrze się kończą”

Gdy tak siedziałem przy biurku, próbując to wszystko ogarnąć, sekretarka bezszelestnie położyła na blacie obok mojego łokcia karteczkę z wiadomością: „Dzwoniła Elena. Nic pilnego”. W normalnych okolicznościach zadzwoniłbym do niej, ale moją głowę zaprzątało tyle myśli, że tego nie zrobiłem.

Mniej więcej godzinę później Elena zadzwoniła ponownie. Tym razem odebrałem.

— Czemu nie zadzwoniłeś?! — krzyknęła, zanim zdążyłem się odezwać.

— O co ci chodzi? Powiedziałaś, że to nic pilnego.

— Nie. Powiedziałam, że to jest pilne. Ja rodzę. Jestem w szpitalu.

— O mój Boże! Już jadę!

Zerwałem się z fotela i pognałem w stronę wyjścia. Nie miałem zamiaru czekać na windę i zbiegłem po schodach, z trudem łapiąc równowagę na zakrętach, gdyż na nogach miałem mokasyny o gładkich podeszwach. Gdy wypadłem na ulicę oświetloną popołudniowym słońcem, zdążyłem już zapomnieć o Departamencie K, FSB i Rosji.

Covent Garden pokrywa gmatwanina wąziutkich uliczek, które prowadzą do zamkniętej dla ruchu kołowego Piazzy, a wsiadanie do taksówki w tej dzielnicy mijało się z celem, gdyż potrzeba było dwudziestu minut, żeby stamtąd wyjechać. Puściłem się sprintem w stronę Charing Cross Road, ale gdy tam dotarłem, w zasięgu wzroku nie było żadnej wolnej taksówki. Oglądając się co chwila przez ramię, czy nie nadjeżdża taryfa, biegłem dalej w kierunku szpitala. Kluczyłem między pieszymi oraz wszystkim, co jeździ po londyńskich ulicach, włącznie z ciężarówkami, dwupoziomowymi autobusami i skuterami. Wydawało się, jakby w całym mieście nie było wolnej taksówki. Szpital znajdował się zbyt daleko, by dotrzeć tam na piechotę, ale wciąż biegłem, aż w końcu udało mi się zatrzymać taksówkę przy Shaftesbury Avenue.

Piętnaście minut później wpadłem z impetem do szpitala. Jak skończony oferma dotarłem do sali porodowej na trzecim piętrze. Elena była w ostatniej fazie porodu. Krzyczała z bólu, a twarz miała czerwoną od wysiłku. Nie miała czasu, by wściekać się na mnie — nie miała czasu, by w ogóle o mnie pomyśleć. Wziąłem ją za rękę, a ona ścisnęła mnie tak mocno, że jej paznokcie nieomal rozorały mi skórę do krwi. Dwadzieścia minut później przyszła na świat nasza druga

córka — Veronica.

W przeciwieństwie do narodzin Jessiki, kiedy radość przysłaniała myśli o wydarzeniach w Rosji, tym razem moje problemy były tak ogromne, że nie potrafiłem się od nich uwolnić. Gdy tylko zyskałem pewność, że Elena i Veronica są zdrowe, znów zacząłem się martwić.

Nie zamierzałem dzielić się z Eleną złymi wiadomościami, w każdym razie na pewno nie teraz. Postanowiłem dać jej wypocząć i cieszyć się naszą małą córeczką. Następnego dnia wróciliśmy do domu, a ja starałem się trzymać fason, kiedy odwiedzali nas krewni i przyjaciele, by zobaczyć dziecko i złożyć gratulacje. Jednak ani na chwilę nie mogłem zapomnieć o tym, co działo się na drugim planie. Jeżeli do tej pory jakoś się trzymałem, zawdzięczałem to głównie Elenie. Nasz związek cechował osobliwy rytm emocji. Ilekroć wpadałem w panikę, ona była spokojna, i na odwrót. Jak dotąd sprawdzało się to doskonale, ale najnowsze wieści były tak wstrząsające, że nie wyobrażałem sobie, by ów schemat zadziałał.

Dwa dni po powrocie do domu nie mogłem już dłużej czekać. Wieczorem, gdy ukołysałem Veronicę do snu, podszedłem i usiadłem obok Eleny.

— Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Elena chwyciła mnie za rękę i spojrzała mi w oczy.

— O co chodzi?

Opowiedziałem jej o najnowszej informacji Alana na temat Departamentu K. Leżąca w wiklinowej kołysce Veronica co jakiś czas przerywała mi, gaworząc przez sen albo wydając typowe dla noworodków serie urywanych westchnień.

— Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? — zapytałem, skończywszy opowieść.

Wyraz twarzy Eleny nie zmienił się ani na moment. Jak zawsze emanowała spokojem.

— Zaczekajmy na ich następny krok, a wtedy zareagujemy — powiedziała cicho. — Oni mogą wydawać się straszni, ale to tylko ludzie, jak wszyscy. Kiedyś popełnią błąd.

Elena uścisnęła moją dłoń i obdarzyła mnie jednym ze swoich łagodnych uśmiechów.

— A co z naszymi wakacjami? — spytałem.

Zaplanowaliśmy rodzinne wakacje na sierpień, kiedy tylko Veronica będzie mogła podróżować.

— To proste. Pojedziemy. Będziemy dalej normalnie żyć.

Na szczęście przez kilka następnych tygodni panował spokój, a z Rosji nie nadchodziły żadne alarmujące wieści. W połowie sierpnia 2007 roku wybraliśmy się w krótką podróż samolotem na południe Francji. Veronica większą część lotu przespała, a Jessica i ja zajęliśmy się dziecinną grą, do której wykorzystaliśmy plastikową butelkę i

foliowy woreczek z kilkoma skrawkami papieru. David podawał nam napoje, serwetki, ulubione zabawki i przekąski, a w przerwach odrabiał zadanie domowe. Gdy wylądowaliśmy w Marsylii, odruchowo włączyłem blackberry'ego, by sprawdzić, czy ktoś do mnie dzwonił albo wysłał mi wiadomość. Nie było nic — w każdym razie nic ważnego — i uznałem to za dobry znak na początek wakacji. Przeszliśmy odprawę, odebraliśmy bagaż i udaliśmy się w stronę wyjścia z terminalu. Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, owionęła nas przyjemna fala gorącego powietrza. Kierowca, który po nas przyjechał, pomógł załadować nasze rzeczy, po czym wszyscy wsiedliśmy do vana. Kiedy samochód ruszył, rozległ się sygnał mojej komórki. Dzwonił Iwan.

— Bill, znowu się zaczęło — odezwał się głosem, w którym pobrzmiewała panika.

Nim zdążyłem się zorientować, o co mu chodzi, moja noga zaczęła bezwolnie dygotać. Jego panika była zaraźliwa.

— Co się zaczęło?

— Milicja robi nalot na moskiewski oddział Credit Suisse.

— A co to ma wspólnego z nami?

— Szukają wszystkiego, co należy do Hermitage.

— Ale my niczego u nich nie trzymamy — odparłem.

— Tylko że milicja chyba o tym nie wie.

— W takim razie czego szukają?

— Zaczekaj. Mam kopię nakazu rewizji. — Iwan odłożył słuchawkę i pół minuty później znów się odezwał. — Szukają wszystkiego, co należy do Hermitage Capital Management, Hermitage Capital Services, Hermitage Capital Basset Management, Hermitage Basset Management… i tak dalej przez dwie strony. Mam kontynuować?

— Nie.

Najwyraźniej rosyjska milicja próbowała grać z nami w okręty, formułując nazwę naszej firmy na wszystkie możliwe sposoby w nadziei na trafienie. Nieomal parsknąłem śmiechem na tę amatorszczyznę.

— Kto dowodzi tą akcją? — zapytałem.

— I to jest właśnie najgorsze. Artem Kuzniecow.

Jasny szlag! Artem Kuzniecow? Wydawało się, że ten człowiek ma swój udział we wszystkich plagach, jakie spadły na nas w Rosji.

Zakończyliśmy rozmowę, ale już wiedziałem, że oto przechodzimy do kolejnego etapu. Nasz informator, Asłan, miał rację — ci ludzie rzeczywiście dybali na nasz kapitał. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego nie wiedzieli, że nie mamy już w Rosji żadnych aktywów. Czyżby rosyjska tajna służba nie była aż tak sprytna? Niewykluczone. Jak zauważyła Elena, być może ci ludzie faktycznie

popełniają błędy jak wszyscy.

Kuzniecow opuścił Credit Suisse z pustymi rękami, ale nadal szukał jakichś aktywów Hermitage. W ciągu następnych dwóch tygodni, kiedy próbowałem się rozkoszować słoneczną pogodą południowej Francji, on przeprowadzał rewizje w innych moskiewskich bankach. Wkroczył do HSBC, Citibanku i ING, ale w żadnym z nich niczego nie znalazł.

Gdy docierały do mnie wieści o kolejnych rewizjach, coraz bardziej oddalałem się od mojej rodziny. Zamiast odpoczywać, śpiewać kołysanki Veronice i Jessice albo pluskać się z Davidem w basenie, większość czasu spędzałem na rozmowach telefonicznych, usiłując przewidzieć, co teraz zrobi nasz przeciwnik.

Kiedy wakacje dobiegły końca, wróciłem do Londynu i zaszyłem się w biurze wraz z moim zespołem, aby zaplanować następne posunięcia. Głównym problemem natury prawnej było postępowanie przeciwko Iwanowi. Nie przejmowałem się zbytnio rewizjami w bankach, ale głęboko nurtowało mnie wszystko, co mogłoby doprowadzić do aresztowania lub ekstradycji Iwana.

Ponieważ Eduard przekonał się, że major Karpow nie jest skłonny do udzielania informacji na temat sprawy Iwana, Siergiej wpadł na interesujący pomysł.

— Skoro milicja nie chce nam powiedzieć, co się dzieje, może powinniśmy zwrócić się bezpośrednio do władz skarbowych i sprawdzić, co mają nam do powiedzenia?

Był to dobry pomysł. Nasze biuro księgowe wysłało list do moskiewskiego urzędu skarbowego, w którym rozliczała się Kameya, z zapytaniem, czy spółka ta ma jakieś zaległości podatkowe.

Gdy 13 września Siergiej zadzwonił do Iwana, aż kipiał z podniecenia.

— Księgowi dostali odpowiedź. Nie uwierzysz, ale wynika z niej, że Kameya nie zalega z żadnymi podatkami. Tak naprawdę ma nadpłatę w wysokości stu czterdziestu tysięcy dolarów!

Iwan przekazał mi tę wiadomość, wprawiając mnie w osłupienie. Mieliśmy niepodważalny dowód, że zarzuty przeciwko niemu są całkowicie fałszywe. Równie dobrze Scotland Yard mógłby wkroczyć do naszego londyńskiego biura, oskarżając nas o uchylanie się od zobowiązań podatkowych, podczas gdy lokalny urząd skarbowy nie odnotowałby żadnych zaległości. Bez względu na to, jak bardzo wypaczony był rosyjski wymiar sprawiedliwości, ten list w pełni oczyszczał Iwana.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zacząłem się odprężać. Minął wrzesień, zaczął się październik, a z Rosji nie przychodziły już żadne złe wiadomości. Trwaliśmy w pełnej gotowości, czekając na kolejne ciosy, ale tej jesieni posiedzenia sztabu kryzysowego zaczęły

zamieniać się stopniowo w narady inwestycyjne. Nareszcie mogliśmy odetchnąć z ulgą i rozmawiać z analitykami o papierach wartościowych zamiast z prawnikami o milicyjnych nalotach.

Krajem, do którego wciąż nawiązywaliśmy podczas tych spotkań, była Korea Południowa.

Koreę Południową trudno uznać za kraj rozwijający się, jak Tajlandia czy Indonezja, ale bazując na wskaźniku cena/zysk, udziały koreańskich spółek były tam o 40 procent tańsze niż na giełdzie amerykańskiej. Przyciągało to uwagę takich inwestorów jak ja. Skoro nie potrafiłem znaleźć żadnej logicznej przyczyny takiej różnicy cen, to kurs akcji pewnych przedsiębiorstw teoretycznie mógł wzrosnąć. Postanowiłem wybrać się w październiku do Korei, by odwiedzić kilka tamtejszych spółek i spróbować ustalić, dlaczego ich akcje są tak tanie.

Wylądowałem w Seulu w niedzielny wieczór 14 października. Po dwunastogodzinnym locie i dwóch godzinach jazdy z lotniska do centrum miasta zameldowałem się w hotelu Intercontinental i rozpakowałem bagaż. Chociaż w Seulu zegar wskazywał 23.00, mój organizm był przekonany, że jest wczesne popołudnie. Przez większą część nocy bezskutecznie próbowałem zasnąć, aż w końcu dałem za wygraną. Wstałem z łóżka i usiadłem przy oknie, za którym rozciągała się nocna panorama Seulu. Migocące światłami i wyraźnie obce miasto przywodziło na myśl scenerię z jakiegoś filmu. Czy to w Tokio, w Pekinie, Hongkongu czy w Bangkoku, każdy gość z Zachodu po przybyciu do Azji przeżywa taki rozstrój wywołany nagłą zmianą strefy czasowej.

Tej nocy pozostało mi jeszcze kilka godzin snu i musiałem zerwać się z łóżka wcześnie rano, by zdążyć na spotkanie z Kevinem Parkiem, trzydziestopięcioletnim koreańskim brokerem, w którego towarzystwie miałem złożyć wizyty w różnych przedsiębiorstwach. Park zaaranżował spotkania z przedstawicielami kilku banków, firmy deweloperskiej i dostawcy części samochodowych. Mój rozstrojony zegar biologiczny sprawiał, że każde z tych spotkań kosztowało mnie wiele wysiłku i musiałem szczypać się pod stołem, żeby nie zasnąć. To był ciężki dzień.

Wieczorem znajdowałem się na skraju omdlenia, ale Kevin uparł się, bym poszedł z nim na koreańskie barbecue. Tak sumiennie wywiązał się z zadania, planując moją podróż, że nie mogłem mu odmówić. Wypiłem dwie dietetyczne cole w hotelowym pokoju, opłukałem twarz zimną wodą i zjechałem do holu, gdzie czekał na mnie Kevin. W restauracji zamówiliśmy bulgogi, bibimbap i kimchi. Po kolacji, kiedy byłem przekonany, że mogę nareszcie wrócić do hotelu i rzucić się do łóżka, Kevin zaprosił mnie na drinka do pobliskiego baru karaoke, gdzie mieliśmy spotkać kilku jego kolegów

z pracy. Przeżywałem istne katusze, gdy Kevin i jego koledzy próbowali mnie częstować szkocką, zmieniając się kolejno przy mikrofonie. W końcu o północy, kiedy powieki same zaczynały mi opadać, mój koreański gospodarz ulitował się nade mną i wsadził mnie do taksówki, którą wróciłem do hotelu.

Następnego dnia czekało mnie jeszcze więcej spotkań i jeszcze więcej jedzenia, ale mimo problemów z aklimatyzacją i przesadnej gościnności cieszyłem się, że znów mogę być zwykłym analitykiem inwestycyjnym i choć na chwilę oderwać się od problemów związanych z Rosją.

Pod koniec dnia wróciłem do Intercontinentala, by sprawdzić pocztę. Brytyjskie sieci komórkowe nie działają w Korei, więc moje biuro przekazywało mi wszystkie wiadomości do hotelu. Kiedy jadąc windą, przeglądałem plik kartek, zauważyłem notkę od Wadima: „Zadzwoń do mnie, kiedy to dostaniesz. Pilne".

Wadim nie miał skłonności do przesady, kiedy więc twierdził, że coś jest pilne, to naprawdę takie było. Serce zaczęło mi kołatać, kiedy biegłem do swojego pokoju, żeby zatelefonować.

Wadim odebrał po pierwszym sygnale.

— Bill, zadzwonił do nas dziś rano komornik z sądu w Petersburgu. Powiedział, że zapadł wyrok w sprawie jednej z naszych rosyjskich spółek inwestycyjnych, i chciał się dowiedzieć, gdzie może znaleźć pieniądze na pokrycie roszczenia.

Chociaż sprzedaliśmy wszystkie nasze udziały w rosyjskich przedsiębiorstwach, musieliśmy zachować puste spółki holdingowe przez trzy lata, aby móc je prawidłowo zlikwidować.

— Wyrok? Jaki wyrok? O czym on mówi?

— Nie wiem.

— Jesteś pewien, że ten człowiek naprawdę istnieje?

Było wielce prawdopodobne, że mieliśmy do czynienia z jakąś nieporadną maskaradą.

— Nie, ale myślę, że nie powinniśmy tego ignorować.

— Oczywiście. O jakiej kwocie mówił? — zapytałem, spodziewając się, że co najwyżej przeoczyliśmy rachunek na 200 dolarów za usługi kurierskie, który jakimś sposobem trafił do sądu.

— Siedemdziesiąt jeden milionów dolarów.

— Siedemdziesiąt jeden milionów? To szaleństwo! Z jakiego tytułu?

— Nie mam pojęcia.

— Wadimie, natychmiast przekaż to Eduardowi i Siergiejowi. Musimy się dowiedzieć, o co chodzi.

— Już się robi.

Mój beztroski tydzień w Korei diabli wzięli. Rosjanie nie odpuszczali. Cała ta sprawa z komornikiem była śmiechu warta. Skąd,

do cholery, wzięło się to roszczenie? Kto za nim stał? Jak mogli zająć aktywa, których nie było już nawet w Rosji? Nie mogli. A jeżeli mogli?

Nie byłem już w stanie myśleć o Korei. Musiałem jak najszybciej wracać do Londynu. Zadzwoniłem do Kevina, przeprosiłem go serdecznie, że nie dam rady przyjść na kolację, i poprosiłem, żeby odwołał resztę zaplanowanych spotkań. Następnie skontaktowałem się z biurem Korean Air i zarezerwowałem bilet na samolot do Londynu na następny ranek.

Po długim locie udałem się prosto do biura, gdzie czekali na mnie Iwan i Wadim. Zasiedliśmy w sali konferencyjnej i wysłuchałem relacji o tym, co udało się wyjaśnić, kiedy byłem w powietrzu.

Po pierwsze, wyrok był prawdziwy. Eduard pojechał pociągiem do Petersburga, poszedł do sądu, poprosił o akta sprawy i sfotografował je aparatem cyfrowym. Wadim sięgnął po zdjęcia leżące na stercie papierów i położył je przede mną.

— Tu jest napisane „Mahaon” — wyjaśnił, wskazując palcem na kopię dokumentu. Była to nazwa jednej z zawieszonych spółek holdingowych naszego funduszu. — A tu jest kwota.

Kwota była podana w rublach, ale przeprowadziłem w myślach szybką kalkulację i okazało się, że stanowiła równowartość blisko 71 milionów dolarów.

— Jak mogliśmy o tym nie wiedzieć? — zapytałem przekonany, że to jakieś kolosalne niedopatrzenie z naszej strony.

— Siergiej też się nad tym zastanawiał — odparł Wadim. — Kiedy Eduard był w Petersburgu, Siergiej sprawdził rejestr własności spółki.

— I co? — zapytałem pełen złych przeczuć.

Iwan westchnął ciężko.

— Mahaon została skradziona, Bill.

— Jak to skradziona? Jak można ukraść spółkę?

— Nie jest to łatwe — odparł Iwan, który znał się trochę na procedurach urzędowych. — Ale w zasadzie spółka może bezprawnie zmienić właściciela, jeżeli ktoś wejdzie w posiadanie jej pieczęci, aktów własności, certyfikatów i dokumentów rejestracyjnych.

Słysząc to, doznałem wstrząsu.

— Właśnie taką dokumentację skonfiskowała milicja — powiedziałem cicho. — Podczas nalotu na kancelarię Jamiego.

— Otóż to — potwierdził Iwan.

A następnie wyjaśnił, że kiedy to się stało, nowi posiadacze dokumentów mogli postępować jak pełnoprawni właściciele spółki. Mogli ją prowadzić albo zlikwidować, upłynnić jej aktywa albo zmienić siedzibę — praktycznie mieli nieograniczone możliwości.

Teraz wszystko stało się jasne. Padliśmy ofiarą procederu zwanego „rosyjską grabieżą zorganizowaną”. Zazwyczaj polega on na

tym, że skorumpowani funkcjonariusze milicji wszczynają fałszywe śledztwa, przekupieni sędziowie zatwierdzają konfiskatę majątków, a członkowie grup przestępczych są gotowi uciszyć każdego, kto wejdzie im w drogę. Była to tak powszechna praktyka, że niezależny rosyjski dziennik „Wiedomosti" opublikował nawet wykaz dostępnych usług wraz z cenami. Na przykład zamrożenie kapitału albo wszczęcie postępowania karnego kosztowało 50 tysięcy dolarów, a wydanie nakazu sądowego 300 tysięcy. Jedynym sposobem na skuteczną walkę z tymi rabusiami był skrajnie brutalny odwet, który w naszym przypadku oczywiście nie wchodził w grę.

Siergiej spędził całą noc na poszukiwaniach i zadzwonił do nas następnego dnia, aby wyjaśnić, jak do tego doszło.

— Mahaon oraz dwie inne spółki należące do ciebie zostały przejęte przez firmę o nazwie Pluton z siedzibą w Kazaniu.

Kazań jest stolicą Tatarstanu, półautonomicznej republiki leżącej w centralnej Rosji.

— Kto jest właścicielem Plutona? — zapytałem.

— Niejaki Wiktor Markiełow, który jak wynika z rejestru skazanych, w dwa tysiące pierwszym roku dostał wyrok za pozbawienie życia.

— Nie do wiary! — krzyknąłem. — A więc milicja wpada do naszego biura, zabiera wszystkie dokumenty, a potem podstawiają jakiegoś kryminalistę, który bezprawnie przejmuje nasze spółki?

— Właśnie tak to wygląda — rzekł Siergiej. — Co gorsza wykorzystano te dokumenty, żeby spreparować szereg kontraktów z datą wsteczną, a z nich wynika, że twoja firma jest winna siedemdziesiąt jeden milionów jakiejś spółce fasadowej, z którą nigdy nie robiłeś żadnych interesów.

— O Boże — jęknąłem.

— Czekaj, to jeszcze nie wszystko. Te fałszywe umowy trafiły do sądu, gdzie stawił się jakiś adwokat, którego nie wynajmowałeś, żeby bronić twoich spółek. Kiedy tylko zaczęła się rozprawa, ten człowiek przyznał się w twoim imieniu do całego zadłużenia.

Teraz wszystko, choć odrażające i niepojęte, nabierało sensu. Kiedy zobaczyłem wszystkie wątki połączone w logiczną całość, zacząłem się śmiać. Najpierw tylko trochę, potem coraz głośniej. Nie było nic zabawnego w tym, co się działo, ale śmiałem się, bo czułem ulgę. Z początku wszyscy milczeli, ale potem przyłączył się do mnie Iwan, a po chwili zawtórował mu Wadim.

Poznaliśmy intencje naszych przeciwników i wiedzieliśmy, że ponieśli całkowitą porażkę. Chcieli zagarnąć pieniądze Hermitage, ale w Rosji ich nie było. Z opublikowanego w prasie cennika wynikało, że wydali miliony na łapówki dla sędziów, gliniarzy i urzędników tylko po to, by obejść się smakiem.

Jedynym, który się nie śmiał, był Siergiej.

— Za wcześnie na świętowanie, Bill — powiedział, a jego słowa dobiegające z głośnika telefonu zabrzmiały złowieszczo. — To jeszcze nie koniec.

— Co masz na myśli? — zapytał Wadim.

— Nie wiem — odparł Siergiej lekko zniekształconym przez zakłócenia na linii głosem. — Ale w Rosji tylko baśnie dobrze się kończą.

Rozdział 25
Aparatura zagłuszająca

Mogliśmy wyjść z tej sytuacji obronną ręką i zapomnieć o wszystkim. Istniała jednak poważna przeszkoda. Wciąż toczyło się postępowanie karne przeciwko Iwanowi.

Sprawę prowadzili Kuzniecow i Karpow, obaj bezsprzecznie uwikłani w kradzież naszych spółek. Aby ich zdemaskować, postanowiliśmy wnieść przeciwko nim skargę do rosyjskich władz. Ponieważ nasz zespół prawników miał pełne ręce roboty, powierzyliśmy to zadanie Władimirowi Pastuchowowi, adwokatowi, który w 2006 roku nakłonił Wadima do opuszczenia Rosji.

Pastuchow przyleciał do Londynu i zainstalował się w sali konferencyjnej w naszej nowej siedzibie. Po sukcesie funduszu Hermitage Global przenieśliśmy się do świeżo odrestaurowanego budynku przy Golden Square, nieopodal Picadilly Circus, i już nie musieliśmy się tłoczyć w wynajmowanych biurach w Covent Garden.

Prawnik rozłożył wokół siebie sterty naszych akt i w ciągu kilku kolejnych dni przeprowadził rozmowę z każdym z nas. Następnie przygotował obszerną skargę dotyczącą nielegalnego zagarnięcia naszych spółek i powstania ogromnego zadłużenia. W osobnym paragrafie opisał, jaki związek ma oszustwo z dokumentami oraz plikami elektronicznymi, które zarekwirowano podczas rewizji przeprowadzonych pod dowództwem Kuzniecowa i nad którymi pieczę sprawował Karpow.

Podczas gdy Władimir przystąpił do ofensywy, przebywający w Rosji Eduard prowadził działania obronne. Od pięciu miesięcy usiłował zdobyć akta sprawy Iwana, aby przygotować jego obronę, i od pięciu miesięcy major Karpow nieugięcie odmawiał ich przekazania. Eduard składał skargi do prokuratorów i zwierzchników Karpowa, lecz nic nie wskórał. Z każdą odmową jego frustracja przybierała na sile. Nie była to już dla niego wyłącznie sprawa zawodowa, zaczynał traktować ją osobiście.

Ale kiedy 29 listopada niespodziewanie zadzwonił do niego Karpow i oznajmił, że zgadza się udostępnić część dokumentów, których wydania konsekwentnie odmawiał od kilku miesięcy, Eduard odwołał wszystkie zaplanowane spotkania i pognał do moskiewskiej siedziby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Nowosłobodskiej. Karpow powitał go przy wejściu, a gdy dotarli do jego biura, wskazał mu krzesło. Eduard usiadł.

— Wiem, że prosił pan o akta sprawy Czerkasowa i jestem gotów pokazać panu dzisiaj niektóre z nich — oznajmił major, uśmiechając

się z wyższością.

Eduard wbił w niego pełne złości i pogardy spojrzenie.

— Dawno temu powinienem był je dostać.

— Nieważne. Udostępniam je panu teraz. Proszę okazać odrobinę wdzięczności. — Karpow wstał, chwycił oburącz wysoką na przeszło dwadzieścia centymetrów stertę dokumentów, po czym okrążył biurko i z hukiem cisnął papiery na blat przed Eduardem. — Jest jednak pewien problem. Mamy nieczynne ksero, więc jeśli zależy panu na kopiach, musi pan przepisywać odręcznie.

Zazwyczaj Eduarda cechował opanowany profesjonalizm, ale teraz ten trzydziestoletni oficerek z wypielęgnowanymi paznokciami paradujący we włoskim garniturze za trzy tysiące dolarów i z drogim zegarkiem na ręku pastwił się nad nim jak szkolny osiłek. Po pięciu miesiącach bezowocnych starań o dostęp do akt takie zachowanie było dla Eduarda nie do przyjęcia. Sam był kiedyś śledczym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale nigdy nie traktował nikogo w taki sposób.

— Co pan sobie wyobraża? — zaczął krzyczeć, nie mogąc pohamować frustracji. — Przyłapaliśmy was. Wiemy o wszystkim, co się wydarzyło w Petersburgu!

Karpow zrobił się blady jak ściana.

— Co? A niby co miało się stać w Petersburgu? — odparł, zgrywając głupiego.

— Mamy wszystkie dowody. Dokumenty znajdujące się w waszych rękach posłużyły do zagarnięcia trzech spółek i utworzenia fałszywych długów. Z moim doświadczeniem w sprawach karnych mogę panu powiedzieć, że nietrudno będzie to udowodnić.

Major skrzyżował ręce na piersi i rozejrzał się nerwowo po swoim gabinecie. Po kilku sekundach dał Eduardowi znak, by przeszedł na drugą stronę biurka. Gdy Eduard stanął za plecami Karpowa, ten zaczął z pasją uderzać palcami w klawiaturę swojego laptopa, najwyraźniej przekonany, że w biurze znajduje się podsłuch. Eduard nachylił się, by przeczytać wiadomość. „Ja nie brałem w tym udziału. To była akcja Kuzniecowa". Chwilę później milicjant skasował cały tekst.

W ciągu kilku sekund arogancja Karpowa ustąpiła miejsca usłużności. Major pomógł nawet Eduardowi wybrać do skopiowania co ważniejsze dokumenty z akt Iwana.

Eduard nie był pewien, czemu zawdzięcza taki obrót sprawy, ale nie zamierzał zmarnować okazji. Zapamiętale notował, ale musiał przestać, gdy Karpow oznajmił, że musi iść na inne spotkanie. Niezwykłe było to, że milicjant odprowadził Eduarda nie tylko do wyjścia z budynku, ale towarzyszył mu również w drodze na parking. Najprawdopodobniej liczył, że adwokat powie coś więcej na temat

dowodów, którymi dysponujemy.

Siedząc w samochodzie, Eduard zdał sobie sprawę, że popełnił wielki błąd. Nie upoważniliśmy go, aby z kimkolwiek rozmawiał o naszym odkryciu. Tracąc nad sobą panowanie, zdradził naszym przeciwnikom, że przejrzeliśmy ich knowania.

Kiedy Eduard odzyskał zimną krew, zadzwonił do Londynu, by opowiedzieć nam, co się stało. Niewątpliwie popełnił błąd, ale trudno było czynić mu wyrzuty, zważywszy na zachowanie Karpowa. Eduard przeprosił nas i doradził, żebyśmy jak najszybciej złożyli naszą skargę, zanim tajemnica wyjdzie na jaw. Zapytałem Władimira, ile jeszcze potrzebuje czasu.

— Cztery dni — odpowiedział nienaganną angielszczyzną, co oznaczało, że będzie gotowy na 3 grudnia 2007 roku.

Tymczasem musiałem lecieć do Genewy, gdzie 30 listopada miałem zjeść lunch z klientem. W obliczu wszystkich tych wydarzeń wolałbym zostać w Londynie, ale spotkanie było zbyt ważne, aby je odwoływać. Wyleciałem rano, a wróciłem wieczornym lotem. Gdy siedziałem w taksówce, która mijała właśnie Canary Wharf, wiozący mnie z lotniska do domu, zadzwoniła do mnie sekretarka.

Odczytała mi wszystkie wiadomości, jakie pozostawiono dla mnie tego dnia, a na koniec oznajmiła:

— Szukał pana niejaki Igor Sagirian. Czy mam teraz pana z nim połączyć?

— Sagirian?

Zacząłem szukać w pamięci. Znałem to nazwisko. Przeglądając listę kontaktów w moim smartfonie, przypomniałem sobie, że był to jeden z członków zarządu Renaissance Capital, spółki Borysa Jordana, z którą zetknąłem się, tocząc wojnę z Sidanco. Spotkałem Sagiriana tylko raz, na konferencji inwestorów przed kilku laty, więc nie wiedziałem, dlaczego teraz próbuje się ze mną skontaktować.

— Oczywiście. Porozmawiam z nim.

Sekretarka zadzwoniła do niego i przekierowała rozmowę.

— Mówi Bill Browder — zacząłem. — Jak się miewasz, Igorze?

— Dobrze, na ile to możliwe w dzisiejszych czasach. Posłuchaj, kiedy wrócisz do Londynu? Chciałbym się z tobą spotkać i chwilę porozmawiać. Wolałbym osobiście niż przez telefon.

Zaintrygowała mnie jego prośba. Ledwie znałem faceta, a on był gotów przylecieć z Moskwy, żeby zobaczyć się ze mną.

— Nie ma problemu. A o co chodzi?

— Nic wielkiego, ale jak wiesz, każdy ulega pewnym naciskom, więc chciałem tylko przedyskutować z tobą, jakie można jeszcze poczynić kroki, ponieważ sporo ze sobą współpracujemy, a mamy ostatnio małe trudności.

Jego odpowiedź nie trzymała się kupy. Nie miałem pojęcia, o

jakich „naciskach” czy „małych trudnościach” mówił, i zacząłem podejrzewać, że ma to coś wspólnego z niedawną wizytą Eduarda u Karpowa.

— Czy chciałbyś teraz pomówić o czymś konkretnym?

— Cóż, szczerze mówiąc, problem w tym, że rozmawiam przez komórkę. Szczęściarz z ciebie, bo mieszkasz w Wielkiej Brytanii, ale ja jestem w Rosji i wolałbym spotkać się osobiście.

Działo się coś niezwykłego. Być może Sagirian zamierzał przekazać mi wiadomość od moich przeciwników albo negocjować w ich imieniu. Jakiekolwiek miał plany, jego prośba nie wyglądała na przypadkową, więc zgodziłem się na spotkanie w hotelu Dorchester. Termin wyznaczyłem na 11 grudnia, zaraz po powrocie z podróży biznesowej na Bliski Wschód, w którą właśnie się wybierałem.

Następnego dnia rano poleciałem do Arabii Saudyjskiej, a w najbliższy poniedziałek nasz zespół prawników przedłożył rosyjskim władzom skargę, która zajęła aż 244 strony. Dwa egzemplarze otrzymał prokurator generalny, dwa trafiły do przewodniczącego Komitetu Śledczego, a kolejne dwa powędrowały do szefa wydziału wewnętrznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Spodziewałem się reakcji na nasze skargi dopiero po Nowym Roku, jednak dwa dni później, kiedy szedłem przez hol hotelu Four Seasons w Rijadzie, zadzwonił do mnie podekscytowany Jamison Firestone, który nadal przebywał w Moskwie.

— Bill, czy to połączenie jest bezpieczne?

— Co?

— Czy twój telefon jest czysty?

— Nie mam pojęcia. Jestem w Arabii Saudyjskiej. A dlaczego pytasz?

— Właśnie miałem bardzo dziwne spotkanie z facetem, który nazywa się Igor Sagirian.

— Sagirian?

— Tak. Jest prezesem Renaissance Capital…

— Wiem, kim on jest. Czego od ciebie chciał?

— Chciał porozmawiać o tobie, Bill.

— Co?

— To było podejrzane. On wiedział wszystko o twojej sytuacji. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, miał na biurku plik dokumentów na twój temat. Wziął jedną z kartek i wykonał jakiś dziwny gest, dając do zrozumienia, że sytuacja jest poważna. Powiedział, że stoją za tym bardzo źli ludzie. Tacy, którzy z nikim się nie cackają. Faceci z kryminalną przeszłością.

— Czego od ciebie chciał? — zapytałem.

— I tu robi się ciekawie. Mam cię przekonać, żebyś pozwolił Renaissance na likwidację waszych skradzionych spółek.

— Likwidację naszych skradzionych spółek? To niedorzeczne. Dlaczego mu na tym zależy? Jak miałby tego dokonać?

— Nie mam pojęcia. Nie rozumiem, w jaki sposób likwidacja tych spółek miałaby pomóc Iwanowi. Zresztą jak Sagirian może zlikwidować coś, czym nie zarządza?

Zakończyliśmy rozmowę. Sytuacja faktycznie stała się bardzo osobliwa. Skąd Sagirian dowiedział się o tym wszystkim? Z pewnością nie od nas. Oznaczało to, że nasze spotkanie może mieć rozstrzygające znaczenie, jeśli nadarzy mi się okazja, by poznać bliżej zamiary przeciwników.

W pośpiechu doprowadziłem do końca interesy na Bliskim Wschodzie, a po powrocie do Londynu z pomocą Iwana i Wadima przygotowałem się do spotkania. Liczyłem, że uda mi się zaskoczyć Sagiriana.

Nieodzowne było również nagranie naszej rozmowy, abyśmy później mogli przeanalizować każde słowo wypowiedziane przez Igora. Na dwa dni przed spotkaniem zadzwoniłem do Stevena Becka, byłego oficera brytyjskich sił specjalnych i eksperta w dziedzinie bezpieczeństwa, z którego pomocy korzystałem w tego typu sytuacjach. Przyszedł do mojego biura z dwoma specami od podsłuchów. Jeden z nich poprosił o moją kaszmirową marynarkę. Podałem mu ją niechętnie i wzdrygając się, patrzyłem, jak rozcina szew klapy, wsuwa do środka mikrofon i z powrotem zaszywa otwór. Potem przeciągnął kabel do lewej kieszeni, w której ukrył mały cyfrowy dyktafon. To jego miałem użyć, by nagrać rozmowę z Sagirianem.

Nadszedł dzień spotkania. Wyszedłem z biura na Golden Square, wsiadłem do taksówki i włączyłem dyktafon, gdy samochód ruszył. Byłem kłębkiem nerwów. Miałem spotkać się twarzą w twarz z człowiekiem, którego podejrzewałem o powiązania z wielkim przestępczym spiskiem. W mojej karierze stawiałem czoło niezliczonym oszustom finansowym i innym cwaniakom, ale nigdy dotąd nie pakowałem się dobrowolnie w tak niebezpieczną sytuację. Musiałem wytężać wszystkie swoje siły, by zachować spokój.

Taksówka zajechała pod hotel Dorchester przy Park Lane i zatrzymała się na trójkątnym podjeździe między srebrnym bentleyem i czerwonym ferrari. Nie było to nic niezwykłego, zważywszy na wystawne bogactwo rosyjskich oligarchów i arabskich szejków, którzy upodobali sobie ten hotel. Przyjechałem wcześniej. Wszedłem do środka i rozsiadłszy się w holu na oliwkowozielonym fotelu, zacząłem omiatać wzrokiem wnętrze, próbując wyłowić Sagiriana z tłumu, który przewijał się między marmurowymi kolumnami. Zjawił się około 19.10 i idąc pospiesznym krokiem, sprawiał wrażenie, jakby spóźnił się na zwyczajne spotkanie biznesowe. Pięćdziesięciopięcioletni

Sagirian był nieznacznie wyższy ode mnie, miał siwe włosy, krągłe policzki i obwisły podbródek, który płynnie przechodził w szyję. Wyglądał raczej jak dobrotliwy dziadek, a nie ktoś, kogo podejrzewałem o powiązania z naszymi problemami w Rosji.

Przez chwilę gawędziliśmy o londyńskiej pogodzie, Moskwie i polityce, krążąc wokół właściwej kwestii, która stanowiła powód naszego spotkania. W końcu zapytałem go, co sprawiło, że zdecydował się przybyć z tak daleka, aby ze mną porozmawiać. Igor westchnął ciężko i oznajmił, że ostatnio milicja wkroczyła do siedziby Renaissance Capital. Jego zdaniem do nalotu doszło dlatego, że jego spółka robiła z nami interesy. Powtórzył to, co powiedział Jamisonowi, dając jasno do zrozumienia, że jeśli pozwolę mu zlikwidować skradzione spółki holdingowe Hermitage, jakimś sposobem rozwiąże to wszystkie problemy, z którymi borykamy się my i Renaissance.

Nie miało to sensu. Po pierwsze, Hermitage od lat nie robiła żadnych interesów z Renaissance. Po drugie, jak mogłem dać mu zgodę na likwidację owych spółek, skoro nie należały już do nas? I po trzecie, nawet gdybym mógł go do tego upoważnić, jak mielibyśmy skorzystać na tym my, a w szczególności Iwan, przeciwko któremu wciąż toczyło się postępowanie karne? Doszedłem do wniosku, że Sagirian albo oszalał, albo tak naprawdę ma zgoła inne plany. Podejrzewałem to drugie.

Starałem się ciągnąć go za język, żeby jak najwięcej nagrać. Niestety na każde bezpośrednie pytanie odpowiadał wymijająco i niespójnie, podobnie jak wtedy, gdy ostatnio rozmawialiśmy przez telefon. Nagle spojrzał na zegarek i gwałtownie poderwał się z miejsca.

— Spóźnię się na kolację, Bill. Liczę, że będziesz miał udane święta.

Wymieniliśmy uścisk dłoni i Sagirian opuścił hotel równie pospiesznie, jak do niego wszedł. Podążyłem za nim i od razu wskoczyłem do taksówki, by jak najszybciej wrócić do biura i przeanalizować nagranie.

Gdy dojechałem na Golden Square, w sali konferencyjnej czekał już na mnie cały mój zespół, a także Steven wraz z jednym ze swoich speców od inwigilacji. Wyciągnąłem dyktafon z kieszeni, odłączyłem kabel i wręczyłem urządzenie Stevenowi, który położył je na stole i nacisnął przycisk odtwarzania.

Wszyscy pochyliliśmy się nad blatem. Słyszeliśmy moją rozmowę z kierowcą taksówki i odgłosy jazdy do hotelu. Potem rozległy się moje kroki na chodniku i słowa odźwiernego, który pozdrowił mnie przy wejściu. Następnie z głośnika popłynęły ściszone dźwięki wypełniające hotelowy hol, gdy wtem wszystko zagłuszył jednostajny

szum.

Steven wziął dyktafon, myśląc, że coś się popsuło. Przesunął nagranie kilka sekund w tył i znów włączył odtwarzanie. Efekt był taki sam. Przesunął nagranie do przodu, licząc, że udało się zarejestrować dalszy ciąg rozmowy, ale nadal słyszeliśmy tylko szum. Ustał dopiero wtedy, gdy wyszedłem z hotelu i poprosiłem odźwiernego o przywołanie taksówki.

— Co to było? — zapytałem, patrząc na Stevena.

Steven obracał dyktafon w dłoni i przyglądał mu się, marszcząc brwi.

— Nie wiem. Albo to urządzenie nawaliło, albo ten Sagirian miał przy sobie aparaturę zagłuszającą.

— Jezu Chryste. Aparaturę zagłuszającą? Skąd on w ogóle mógł coś takiego wytrzasnąć?

— To nie jest łatwe. Ale takiego sprzętu powszechnie używają służby specjalne, jak choćby FSB.

Kompletnie wytrąciło mnie to z równowagi. Wydawało mi się, że jestem sprytny, zatrudniając Stevena i bawiąc się w szpiega, tymczasem okazało się, że miałem do czynienia z prawdziwym szpiegiem. Zadecydowałem, że nie będę już więcej się angażował w jakieś dziecinne podchody.

Sagirian okazał się fałszywym tropem, a my nadal nie wiedzieliśmy, co knują przeciwnicy. Teraz mogliśmy już tylko liczyć, że coś przyniosą skargi, które przedłożyliśmy rosyjskim władzom.

Dzień po spotkaniu z Sagirianem otrzymaliśmy pierwszą oficjalną odpowiedź z petersburskiego oddziału Komitetu Śledczego przy Prokuraturze Generalnej Federacji Rosyjskiej. Wadim wydrukował ją i pomijając zawiłości terminologii prawnej, przeszedł do sedna.

— Posłuchaj tego, Bill. Tu jest napisane: „W sądzie w Petersburgu nie doszło do żadnych uchybień i wniosek o wszczęcie postępowania karnego zostaje oddalony z powodu braku znamion przestępstwa”.

— Braku znamion przestępstwa? Przecież ukradziono nasze spółki!

— Czekaj, to jeszcze nie wszystko. Łaskawie zaznaczają, że nie będą ścigać naszego prawnika, Eduarda, za złożenie skargi — rzekł Wadim z przekąsem.

Dzień później przyszła kolejna odpowiedź. Tym razem z wydziału wewnętrznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który powinien być szczególnie zainteresowany brudnymi interesami Kuzniecowa i Karpowa.

— Posłuchaj — odezwał się Wadim, przeglądając dokument. — Wydział wewnętrzny powierza zbadanie naszej skargi samemu Pawłowi Karpowowi.

— Nie mówisz poważnie.

— Owszem. Tu jest wyraźnie napisane.

W ciągu następnego dnia dostaliśmy jeszcze trzy odpowiedzi, z których każda była tak samo bezużyteczna.

Do końca roku tylko jedna skarga pozostała nierozpatrzona. Nie miałem powodu, aby przypuszczać, że odpowiedź będzie w czymkolwiek inna od poprzednich. Jednak rankiem 9 stycznia 2008 roku do Eduarda zadzwonił śledczy Rostisław Rassochow z wydziału kryminalnego Komitetu Śledczego. Rassochow, któremu powierzono rozpatrzenie naszej skargi, poprosił Eduarda o przybycie do siedziby komitetu w celu złożenia szczegółowych wyjaśnień.

Kiedy Eduard dotarł na miejsce, powitał go mężczyzna w podobnym wieku. Nosił wygnieciony bistorowy garnitur, tani zegarek i miał niemodną fryzurę. W kraju tak przeżartym korupcją jak Rosja taki wygląd budził nadzieję. Udali się do gabinetu Rassochowa i linijka po linijce prześledzili całą skargę. Śledczy z kamiennym wyrazem twarzy zadawał naszemu adwokatowi szczegółowe pytania. Na koniec oznajmił, że zamierza wszcząć postępowanie przygotowawcze w sprawie naszych zarzutów przeciwko Kuzniecowowi oraz Karpowowi i wezwać ich na przesłuchanie.

Była to wspaniała wiadomość. Mogłem tylko wyobrazić sobie miny Kuzniecowa i Karpowa, kiedy dostaną wezwanie do śledczego. Wydawało się, że po tym wszystkim, co tamci dwaj nam wyrządzili, nareszcie sytuacja zaczyna się obracać na naszą korzyść.

Rozkoszowałem się uczuciem satysfakcji blisko dwa miesiące, aż do pewnego wieczoru na początku marca, kiedy Wadim wszedł do mojego biura z posępną miną.

— Właśnie dostałem wiadomość od mojego informatora, Asłana — oznajmił.

— Na jaki temat? — spytałem zaniepokojony, gdyż zaczynałem się już przyzwyczajać, że Wadim wciąż przynosi niepomyślne wieści, zwłaszcza jeśli pochodziły od Asłana.

Wadim podsunął mi swój telefon i wskazał palcem wyświetlacz, na którym widniały jakieś rosyjskie słowa.

— Tu jest napisane: „Toczy się postępowanie karne przeciwko Browderowi. Sprawa numer 401052. Republika Kałmucji. Uchylanie się od zobowiązań podatkowych na znaczne sumy”.

Poczułem się, jakby nagle uszło ze mnie powietrze. Wyglądało na to, że Kuzniecow i Karpow biorą odwet za to, że zostali wezwani na przesłuchanie do siedziby Komitetu Śledczego. W głowie kotłowały mi się setki pytań, ale była już 19.30 i tak się pechowo złożyło, że Elena i ja za pół godziny musieliśmy się pojawić na kolacji, która została zaplanowana przed wieloma miesiącami. Mój dawny przyjaciel z Salomon Brothers i jego narzeczona zdołali dokonać niemożliwego, gdy udało im się zarezerwować stolik w nowej londyńskiej restauracji

L’Atelier du Joël Robuchon, i nie mogłem odwołać tego spotkania w ostatniej chwili.

W drodze do restauracji zadzwoniłem do Eleny, by opowiedzieć jej o wiadomości od Asłana. Po raz pierwszy od rozpoczęcia tego kryzysu jej rytm emocjonalny zgrał się z moim i obydwoje wpadliśmy w panikę. Gdy dotarliśmy na miejsce, nasi przyjaciele siedzieli już przy stoliku, uśmiechając się szeroko. Zdążyli zamówić dla całej naszej czwórki zestaw siedmiu dań, na których degustację potrzeba było co najmniej trzech godzin. Wytrwale starałem się maskować panikę, podczas gdy narzeczeni beztrosko opowiadali o planowanym weselu i podróży poślubnej oraz innych fantastycznych restauracjach w Londynie. Nie mogłem się doczekać końca kolacji. Kiedy podano drugi deser, Elena ścisnęła moje kolano pod stołem i oznajmiła, że musimy wracać do dzieci. Opuściliśmy restaurację w pośpiechu. W drodze do domu obydwoje milczeliśmy w taksówce.

Nowe postępowanie karne przeciwko mnie wymagało natychmiastowej reakcji. Rankiem następnego dnia kazałem Eduardowi rzucić wszystko i jechać prosto do Elisty, stolicy Kałmucji, aby zdobyć jak najwięcej informacji na temat tej sprawy.

Dzień później Eduard poleciał do Wołgogradu, gdzie wsiadł do taksówki i wyruszył w czterogodzinną podróż do Elisty. Krajobraz Kałmucji — południowej republiki położonej nad Morzem Kaspijskim i zamieszkanej przez buddystów — okazał się największym pustkowiem, jakie w życiu widział. Na pagórkowatej równinie nie rosły żadne drzewa, ani nawet trawa. Wszędzie jak okiem sięgnąć tylko brunatna ziemia i szare niebo. Monotonię rozpraszały jedynie zrujnowane budynki stojące co kilkanaście kilometrów.

Po przybyciu na miejsce Eduard udał się prosto do siedziby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Puszkina. Schludny i nowoczesny trzypiętrowy budynek stał na wprost placu, na którym wznosiła się złota pagoda.

Eduard wszedł do środka, przedstawił się w recepcji i zapytał, czy mógłby zobaczyć się ze śledczym, który prowadzi postępowanie w sprawie numer 401052. Kilka minut później pojawił się niski Azjata w średnim wieku o pałąkowatych nogach ubrany w skórzaną kurtkę.

— W czym mogę pomóc? — zapytał.

Eduard podał mu rękę.

— Czy to pan prowadzi postępowanie przeciwko Williamowi Browderowi?

Mężczyzna, który przedstawił się jako Nuszkinow, spojrzał badawczo na Eduarda.

— Kim pan jest?

— Pan wybaczy. Właśnie przyjechałem z Moskwy. Jestem prawnikiem pana Browdera. — Eduard pokazał śledczemu swoje

pełnomocnictwo. — Czy mógłbym dowiedzieć się czegoś o postępowaniu przeciwko mojemu klientowi?

Nuszkinow się odprężył.

— Tak, tak, oczywiście. Zapraszam do mojego biura.

Obaj przeszli długim korytarzem do małego i zagraconego pomieszczenia, gdzie śledczy pozwolił Eduardowi przejrzeć akta sprawy.

Zarzucano mi dwa przypadki uchylania się od zobowiązań podatkowych, których rzekomo dopuściłem się w 2001 roku. Obowiązujące w Kałmucji ulgi podatkowe niczym się nie różnią od tych na Jersey czy wyspie Man, toteż fundusz zarejestrował tam dwie swoje spółki. Zarzuty bez wątpienia były sfabrykowane. W aktach Eduard znalazł wyniki kontroli przeprowadzonych przez organy podatkowe, z których wynikało, że wszystko zostało prawidłowo opłacone. Pokazał je śledczemu, który westchnął ciężko.

— Niech pan posłucha, ja nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Ściągnęli mnie z urlopu, żebym przyjął ważną delegację z Moskwy.

— Co to za delegacja?

— Było ich czterech. Domagali się, żeby wszcząć to postępowanie. Powiedzieli, że taka jest instrukcja z samej góry i ma związek z pogorszeniem stosunków między Rosją i Wielką Brytanią. Nie miałem wyboru — tłumaczył się Nuszkinow wyraźnie zmartwiony tym, ile przepisów musiał nagiąć, żeby wypełnić to polecenie. Później dowiedzieliśmy się, że w skład delegacji wchodził Karpow, dwaj podwładni Kuzniecowa i funkcjonariusz Departamentu K.

— Więc jaki to ma status? — dociekał Eduard.

— Wszczęliśmy postępowanie karne i wydaliśmy federalny list gończy za Browderem.

Kiedy następnego dnia wieczorem Eduard wrócił do Moskwy, zadzwonił do nas i zdał nam relację. Asłan miał całkowitą rację. Sprawa przeciwko Iwanowi stanowiła dopiero początek naszych kłopotów i mieliśmy wszelkie podstawy, aby sądzić, że najgorsze dopiero przed nami.

Rozdział 26
Zagadka

Pierwszego października 1939 roku Winston Churchill wygłosił słynne przemówienie, w którym rozważał perspektywę przystąpienia Związku Radzieckiego do II wojny światowej: „Nie mogę przewidzieć, jakie działania podejmie Rosja. To owiana tajemnicą zagadka kryjąca się wewnątrz zawiłej łamigłówki, choć prawdopodobnie istnieje jakieś rozwiązanie. Tym rozwiązaniem jest rosyjska racja stanu".

W 2008 roku spostrzeżenia Churchilla były nadal aktualne, z jednym tylko zastrzeżeniem. Zamiast racji stanu obecnie poczynaniami Rosji kierowały pieniądze, zwłaszcza te pochodzące z przestępczego procederu, który pozwalał się bogacić urzędnikom państwowym.

Wszystko w tej sytuacji było zagadkowe. Dlaczego Karpow i jego trzej współpracownicy wybrali się w daleką podróż do Kałmucji, żeby w akcie zemsty założyć mi sprawę karną? Po co ścigali Iwana, skoro nic na tym nie zyskiwali? Po co zadawali sobie tyle trudu, przeprowadzając rewizje we wszystkich tych bankach, skoro aktywa Hermitage znajdowały się poza Rosją?

Nie umiałem tego rozgryźć. Im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że klucz do rozwiązania tej łamigłówki tkwi w pozostałościach naszych spółek, które zostały bezprawnie zagarnięte. Ich wartość ekonomiczna była znikoma, ale gdyby jakoś udało się nam je odzyskać, mielibyśmy prawo zażądać od władz udostępnienia wszelkich stosownych informacji. Na ich podstawie moglibyśmy dociec, kto stał za całym tym oszustwem, gdyż na Kuzniecowie i Karpowie trop się nie kończył.

W tym celu podjęliśmy odpowiednie kroki prawne w moskiewskim sądzie arbitrażowym. Posunięcie to musiało zaskoczyć naszych przeciwników, ponieważ natychmiast zaskarżyli nasz wniosek w sądzie w Kazaniu, wskutek czego sprawa musiała zostać przeniesiona do Tatarstanu. Prawdopodobnie uznali, że tamtejszy sąd będzie im bardziej przychylny.

Nie wiedziałem, jakie mamy szanse przed prowincjonalnym rosyjskim sądem, ale ucieszyło mnie, że nasi przeciwnicy tak szybko przeszli do ofensywy. Najwyraźniej musieliśmy trafić w ich czuły punkt. W chłodny marcowy dzień Eduard oraz jeden z młodszych prawników niezwłocznie polecieli do stolicy Tatarstanu i udali się do sądu, eleganckiego budynku znajdującego się w obrębie murów kremla kazańskiego. Eduard nawykł do wizyt w zapuszczonych gmachach sądów karnych, gdzie ludzie zachowywali się agresywnie i

panowała napięta atmosfera, ale tym razem trafił do sądu cywilnego. Otoczenie było bardziej przyjazne, a ludzie o wiele życzliwsi.

Dzień przed rozprawą Eduard poprosił urzędniczkę o udostępnienie akt sprawy. Kobieta wprowadziła nazwy spółek do bazy danych.

— Przeciwko tym firmom były dwa pozwy. Życzy pan sobie oba? — zapytała uczynnie.

Eduard nigdy wcześniej nie słyszał o drugim pozwie, ale celowo nie dał niczego po sobie poznać i tylko się uśmiechnął.

— Tak, poproszę oba.

Urzędniczka przyniosła z sąsiedniego pomieszczenia pudełko pełne dokumentów i zasugerowała Eduardowi, że wygodniej będzie mu się z nimi zapoznać przy stoliku w korytarzu. Adwokat podziękował jej, usiadł przy stoliku i zaczął przeglądać akta. Pierwszy pozew dotyczył sprawy, w związku z którą przybył do Kazania, ale drugi widział po raz pierwszy. Dotyczył on roszczenia na kwotę 581 milionów dolarów w stosunku do spółki Parfenion, jednej z tych, które nam skradziono.

Wertował papiery jak zahipnotyzowany. Roszczenie było kopią tego, które złożono w petersburskim sądzie. Nasi przeciwnicy skorzystali z usług tego samego prawnika i posłużyli się takimi samymi fałszywymi kontraktami, które również zawierały informacje zdobyte przez milicję podczas rewizji.

Kiedy usłyszałem o kolejnych setkach milionów zadłużenia, zacząłem się zastanawiać, do ilu sądów w Rosji wpłynęły jeszcze podobne pozwy przeciwko naszym skradzionym spółkom. Podzieliłem się tymi obawami z resztą zespołu, a Siergiej zaczął przeszukiwać bazę danych rosyjskich sądów. W ciągu tygodnia odkrył jeszcze jedno orzeczenie na kwotę 321 milionów, które wydał sąd arbitrażowy w Moskwie.

W sumie przy użyciu tego samego schematu skierowano przeciwko skradzionym nam spółkom pozwy na łączną kwotę około miliarda dolarów.

Odkrycie to sprawiło, że zagadka stała się jeszcze bardziej skomplikowana. Wciąż nie było jasne, w jaki sposób oszuści zamierzali cokolwiek uzyskać z tytułu tych roszczeń. Sam fakt, że byliśmy im „winni” te pieniądze, nie oznaczał jeszcze, że jakimś cudem pojawią się one na ich kontach. W Rosji nie było żadnych pieniędzy, które mogliby zagarnąć. Nabrałem przekonania, że ci ludzie mają jakiś inny plan. Tylko jaki?

Ich zamiary nie były jasne i zdałem sobie sprawę, że muszę cofnąć się o krok i jeszcze raz przyjrzeć się wszystkiemu, aby sprawdzić, czy nie uda mi się dostrzec jakichś innych schematów lub powiązań, które mogły umknąć naszej uwadze.

W sobotni ranek pod koniec maja 2008 roku poprosiłem Iwana, aby przyszedł do biura i przyniósł do sali konferencyjnej całą naszą dokumentację sądową i wyciągi bankowe. Rozłożyliśmy wszystkie te papiery na dużym stole i podzieliliśmy je na kilka stert. Po jednej na każdy pozew, każdą rewizję w banku i każdą sprawę karną. Kiedy wszystko zostało posegregowane, zaczęliśmy ustalać porządek chronologiczny poszczególnych wydarzeń.

— Kiedy Kuzniecow urządził ostatni nalot na nasze banki? — zapytałem.

Iwan przez chwilę przeglądał plik dokumentów.

— Siedemnastego sierpnia.

— Dobrze. A jakie są daty wydania fałszywych orzeczeń?

— W Petersburgu zapadło trzeciego września, w Kazaniu trzynastego listopada, a w Moskwie jedenastego grudnia.

— A więc, ujmując to najprościej, oszuści pofatygowali się do każdego z tych sądów i wydali niemałe pieniądze, aby uzyskać te wyroki, nawet kiedy już wiedzieli, że nasze spółki zostały wyczyszczone z aktywów i pieniędzy?

— Najwyraźniej — potwierdził Iwan, który po raz pierwszy zauważył tę niespójność.

— Po co mieliby to robić?

— Może chcieli wykorzystać te wyroki jako zabezpieczenie jakiejś pożyczki? — zasugerował Iwan.

— To niedorzeczne. Żaden bank nie pożyczyłby pieniędzy pod zastaw tak podejrzanych dokumentów.

— A jeżeli próbują zagarnąć twój osobisty majątek za granicą?

Już na samą myśl poczułem ukłucie strachu, chociaż wiedziałem, że to niemożliwe. Potwierdzili to moi brytyjscy prawnicy, kiedy tylko dowiedziałem się o roszczeniach złożonych w petersburskim sądzie.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i nagle coś zaczęło mi świtać.

— Ile wynosił dochód Hermitage w dwa tysiące szóstym roku?

— Sekundę. — Iwan włączył swój laptop i otworzył plik. — Dziewięćset siedemdziesiąt trzy miliony dolarów.

— A jaki podatek zapłaciliśmy za tamten rok?

Iwan znów spojrzał na monitor.

— Dwieście trzydzieści milionów.

— To może wydawać się szalone, ale… czy myślisz, że oni starają się uzyskać zwrot tego podatku?

— To jest szalone, Bill. Władze podatkowe nigdy by na to nie poszły.

— Nie wiem. Myślę, że powinniśmy zapytać Siergieja.

W poniedziałek Iwan zadzwonił do Siergieja, by przedyskutować tę teorię, jednak ten również ją zlekceważył.

— Odpada — stwierdził bez chwili namysłu. — To absurdalne, żeby ktoś chciał kraść zapłacone podatki.

Jednak godzinę później Siergiej zadzwonił do nas.

— Chyba byłem zbyt pochopny. Sprawdziłem w kodeksie podatkowym i to, o czym mówicie, teoretycznie jest możliwe. Aczkolwiek nie wyobrażam sobie, jak miałoby to wyglądać w praktyce.

Podczas gdy ja siedziałem w biurze i wysnuwałem różne teorie, Siergiej działał na pierwszej linii frontu, prowadząc własne dochodzenie. Przede wszystkim zależało mu na zdobyciu informacji o ludziach, którzy byli uwikłani w ten przekręt. Złożył pismo w moskiewskim urzędzie, w którym skradzione spółki były zarejestrowane, domagając się wszelkich informacji na ich temat. Chociaż nie otrzymał odpowiedzi, nasi przeciwnicy wykonali znaczący ruch. Natychmiast przenieśli skradzione spółki do prowincjonalnej mieściny w południowej Rosji — Nowoczerkaska. Dociekania Siergieja wyraźnie ich spłoszyły. Wtedy nasz prawnik wysłał list do urzędu ewidencyjnego w Nowoczerkasku, domagając się takich samych informacji. Tamtejsi urzędnicy również okazali się niechętni do współpracy, tymczasem oszuści znów zmienili lokalizację spółek. Tym razem zarejestrowali je w Chimkach, mieście położonym w obwodzie moskiewskim. Taka zabawa w kotka i myszkę wyraźnie dawała się oszustom we znaki, toteż Siergiej wysłał również pismo do urzędu w Chimkach.

Siergiej zdawał sobie sprawę, że chociaż ludzie, z którymi walczyliśmy, nie mają poszanowania dla prawa, cechuje ich niemal wiernopoddańczy respekt wobec biurokratycznych procedur. Dlatego prowokując naszych przeciwników do nieustannego przenoszenia siedziby spółek, liczył, że dzięki temu milicja zbierze dowody ich przestępczej działalności. Siergiej wiedział, że jeśli coś trafi do akt sprawy, zgodnie z przepisami zostanie tam na zawsze. Miał nadzieję, że choć śledztwo w sprawie kradzieży naszych spółek brnie w ślepą uliczkę, w przyszłości może je przejąć ktoś uczciwy i poprowadzić jak należy. Już samo to prawdopodobieństwo sprawiało, że oszuści byli cały czas zagrożeni.

Siergiej umówił się na spotkanie w siedzibie Komitetu Śledczego na 5 czerwca 2008 roku. Kiedy przybył na miejsce, powitał go oficer dochodzeniowy prowadzący naszą sprawę i zaprosił do swojego gabinetu. Gdy otwierał przed nim drzwi, Siergiej zauważył, że jego ręce trzęsą się nerwowo.

Wkrótce okazało się, jaka była tego przyczyna. W gabinecie przy biurku siedział podpułkownik Artem Kuzniecow.

Siergiej stanął jak wryty.

— Co on tu robi? — zapytał, patrząc śledczemu prosto w oczy.

— Podpułkownik Kuzniecow został nam przydzielony do pomocy w tej sprawie — odparł ten, unikając wzroku Siergieja.

Najpierw Karpowowi powierzono rozpatrzenie skargi przeciwko niemu samemu, a teraz Kuzniecow robił to samo.

— Nie będę z panem rozmawiał w jego obecności — oznajmił Siergiej stanowczo.

— Dobrze — powiedział śledczy niepewnym tonem. — W takim razie musi pan zaczekać na korytarzu, aż skończymy rozmowę.

Siergiej siedział przez godzinę na niewygodnym metalowym krześle, trzymając dokumenty na kolanach. Kuzniecow i oficer śledczy prawdopodobnie liczyli, że w końcu sobie pójdzie, jednak on był nieustępliwy. Gdy Kuzniecow opuścił wreszcie gabinet, Siergiej wstał i wszedł do środka. Przedstawił dowody i załączył swoje zeznanie świadka, w którym jawnie wskazywał na winę Kuzniecowa i Karpowa. Zgodnie z procedurami śledczy nie miał innego wyjścia, jak przyjąć te dokumenty i dołączyć do akt sprawy.

Siergiej wyszedł z budynku i ruszył w stronę stacji metra. To, co właśnie się stało, przechodziło wszelkie pojęcie. Spodziewał się, że jego materiał dowodowy nic nowego nie wniesie. Przypuszczał, że jego zeznanie jako świadka zostanie zignorowane. Liczył się nawet z tym, że będzie traktowany opryskliwie. Do głowy mu jednak nie przyszło, że człowiek, przeciwko któremu składał dowody, okaże się członkiem zespołu badającego tę sprawę.

Po wyjściu z metra Siergiej okrążył jeszcze dwa razy cały kwartał, żeby ochłonąć, ale kiedy zasiadł przy swoim biurku w kancelarii Firestone Duncan, dostrzegł na blacie jeszcze jedną rzecz, której się nie spodziewał. Leżał przed nim list z urzędu w Chimkach, do którego wysłał prośbę o informacje na temat naszych skradzionych spółek.

Adwokat rozdarł kopertę i zaczął czytać. Przynajmniej raz ktoś naprawdę się postarał. Odpowiedź zawierała żądane informacje i nazwiska, ale co najważniejsze, wynikało z niej, że ludzie, którzy bezprawnie zagarnęli nasze spółki, założyli konta w dwóch mało znanych bankach — Universal Savings Bank oraz Intercommerz Bank.

To był wielki przełom. Do czego trzy spółki zadłużone na miliard dolarów i nie mające żadnych aktywów potrzebowały rachunków bankowych? Siergiej natychmiast wszedł na stronę Banku Centralnego. Wpisał w okno wyszukiwarki hasło „Universal Savings” i odkrył, że jest to bardzo mały bank, którego kapitał wynosi zaledwie 1,5 miliona dolarów. Intercommerz był nieco większy ze swoim dwunastomilionowym kapitałem. Trudno w ogóle było nazwać je bankami.

Potem jednak zauważył coś niesłychanie interesującego. Ponieważ oba banki były tak niewielkie, za każdym razem, kiedy wpłacano do nich jakieś pieniądze, na stronie internetowej dało się zauważyć

wzrost wartości depozytu. I faktycznie, Siergiej znalazł parę dużych wpływów. Pod koniec grudnia, niedługo po tym, jak oszuści założyli rachunki bankowe dla naszych skradzionych spółek, Universal Savings Bank przyjął wpłatę w wysokości 97 milionów dolarów, a Intercommerz 147 milionów.

Wtedy to Siergiej przypomniał sobie nasze pytanie o zwrot podatku. Suma wpłat do obydwu banków odpowiadała w przybliżeniu kwocie podatku za 2006 rok, który zapłaciły spółki należące do funduszu Hermitage. To nie mógł być zbieg okoliczności. Siergiej szybko zebrał wszystkie orzeczenia sądowe i rozłożył je obok zeznań podatkowych naszych spółek. W tym momencie wszystko stało się dla niego jasne.

Orzeczenie petersburskiego sądu w sprawie przeciwko spółce Mahaon opiewało na kwotę 71 milionów dolarów i okazało się, że dokładnie tyle samo wynosił dochód tej spółki w 2006 roku. Sąd w Kazaniu uznał zadłużenie spółki Parfenion w wysokości 581 milionów, czyli tyle samo, ile zarobiła w 2006 roku. Identycznie wyglądała sprawa trzeciej ze skradzionych spółek, Rilend, rozpatrywana przed sądem w Moskwie. W sumie oszuści sfabrykowali fałszywe orzeczenia o 973 milionach dolarów zaległości, by uzyskać zwrot realnej kwoty 973 milionów.

Siergiej niezwłocznie zadzwonił do Iwana, by poinformować go o swoim odkryciu, a po kilku minutach wyjaśnień Iwan zerwał się z krzesła i ruchem ręki przywołał mnie i Wadima.

— Spójrzcie na to — rzekł podekscytowany, wskazując na monitor.

Iwan otworzył stronę internetową Banku Centralnego Rosji i zobaczyliśmy dwa wykresy obrazujące duże wpłaty na konta bankowe, które odkrył Siergiej.

— Sukinsyny — powiedziałem.

— Bill, Siergiej wszystko rozgryzł — oznajmił Iwan.

— To świetnie, ale jak udowodnimy, że te pieniądze tak naprawdę pochodzą od władz podatkowych? — spytałem.

— Zapytam w kilku źródłach w Moskwie, czy będą w stanie zweryfikować przelewy elektroniczne. Teraz, kiedy znamy już nazwy banków, chyba możemy ustalić, skąd przyszły pieniądze.

Dwa dni później Wadim wpadł do mojego gabinetu i rozłożył na moim biurku kilka kartek.

— To są te przelewy — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

Spojrzałem na wydruki, ale na każdym z nich widniał tekst po rosyjsku.

— Co tu jest napisane?

Wadim przewertował kartki i zatrzymał się na ostatniej stronie.

— To jest potwierdzenie przelewu od rosyjskiego fiskusa dla

spółki Parfenion na kwotę stu trzydziestu dziewięciu milionów dolarów z tytuły zwrotu podatku. Tu jest przelew na siedemdziesiąt pięć milionów dla Rilend. A to szesnaście milionów dla Mahaon. Łącznie dwieście trzydzieści milionów dolarów.

Była to taka sama kwota jak podatek, który zapłaciliśmy za ubiegły rok. Identyczna.

Natychmiast zebraliśmy się w moim biurze i zadzwoniliśmy do Siergieja, by pogratulować mu wspaniałego odkrycia, on jednak, chociaż udało mu się rozwiązać zagadkę, był przygnębiony. Ci ludzie ukradli te pieniądze rosyjskim podatnikom — jemu, jego rodzinie, jego przyjaciołom. Każdemu, kogo znał.

— To jest najbardziej cyniczny postępek, jaki w życiu widziałem — stwierdził.

Byliśmy świadkami największego zwrotu w dziejach rosyjskiego systemu podatkowego. Został przeprowadzony z tak wielkim rozmachem i cynizmem, że nie mieliśmy już żadnych wątpliwości. To musiała być nielegalna operacja, a my dysponowaliśmy teraz dowodami, które pozwalały ujawnić cały ten proceder i pociągnąć sprawców do odpowiedzialności.

I właśnie to zamierzaliśmy zrobić.

Rozdział 27
DHL

Moim zdaniem Władimir Putin upoważnił stosowne organy do wydalenia mnie z Rosji i prawdopodobnie zatwierdził próby zagarnięcia naszych aktywów, jednak nie mieściło mi się w głowie, że mógłby pozwolić urzędnikom państwowym na kradzież 230 milionów dolarów należących do państwa. Byłem przekonany, że gdy tylko przekażemy dowody przestępstwa rosyjskim władzom, to strażnicy prawa dopadną złoczyńców i na tym sprawa się skończy. Mimo wszystko nie przestawałem wierzyć, że są jeszcze w Rosji porządni ludzie. Tak więc 23 lipca 2008 roku zaczęliśmy składać szczegółowe doniesienia o oszustwie podatkowym, wysyłając je do wszystkich organów ścigania oraz instytucji ochrony porządku publicznego w Rosji.

Podzieliliśmy się również informacjami o tej aferze z „New York Timesem" i zajmującym czołową pozycję wśród niezależnych rosyjskich mediów dziennikiem „Wiedomosti". Opublikowane w nich artykuły wzbudziły niemałą sensację i sprawa szybko nabrała rozgłosu zarówno w Rosji, jak i na całym świecie.

Kilka dni po ujawnieniu afery zwróciła się do mnie niezależna rosyjska rozgłośnia radiowa Echo Moskwy, prosząc o udzielenie czterdziestopięciominutowego wywiadu przez telefon. Zgodziłem się i 29 lipca podczas audycji na żywo metodycznie opowiedziałem o naszych perypetiach — nalotach milicji, bezprawnym zagarnięciu naszych spółek, fałszywych orzeczeniach sądu, byłych kryminalistach zamieszanych w ten proceder, współudziale organów ścigania i, co najważniejsze, kradzieży 230 milionów dolarów należących do podatników. Prowadzący wywiad Matwiej Ganapolski, doświadczony reporter, który od lat stykał się z przestępczością i korupcją w Rosji, był wyraźnie wstrząśnięty.

— Skoro nikt nie przerwał naszej transmisji, to jutro ktoś na pewno zostanie aresztowany — powiedział, kiedy skończyliśmy wywiad. — Coś muszą z tym zrobić.

Też byłem takiego zdania. Tylko że nikt nic nie robił. Mijały godziny, mijały dni i nic się nie działo. Mijały tygodnie i nadal nic się nie działo. Trudno było uwierzyć, że tak nagłośniona sprawa kradzieży państwowych pieniędzy nie wywołała żadnej reakcji.

W końcu doczekaliśmy się reakcji, lecz nie takiej, jak się spodziewałem. W niezwykle spokojny i upalny letni dzień 21 sierpnia 2008 roku rozdzwonił się telefon w moim londyńskim biurze. Pierwszy odezwał się Siergiej, który przebywał w kancelarii Firestone

Duncan, potem ze swojego domowego biura zadzwonił Władimir Pastuchow, a na koniec Eduard ze swojej daczy pod Moskwą. Każdy z prawników miał mi do powiedzenia to samo — właśnie ekipa funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeprowadziła rewizję w jego miejscu pracy.

Najbardziej niepokojące było to, co usłyszałem od Eduarda. O 16.56, kiedy nie było go w biurze, zjawił się tam kurier DHL z przesyłką. Niespełna godzinę później na miejsce przybyła duża grupa funkcjonariuszy milicji, aby dokonać przeszukania. Ledwie przystąpili do dzieła, „znaleźli" paczkę doręczoną przez kuriera i zarekwirowali ją. Kiedy tylko znalazła się w ich rękach, przerwali akcję i wyszli.

Nie ulegało wątpliwości, że całe przedstawienie miało związek z dostarczeniem tajemniczej przesyłki. Na szczęście sekretarka Eduarda była na tyle przewidująca, że skopiowała list przewozowy i przesłała nam go faksem. Przeżyliśmy szok, kiedy weszliśmy na stronę DHL, wpisaliśmy numer przesyłki i zobaczyliśmy adres zwrotny: Grafton House, 2–3 Golden Square, London W1F 9HR.

Był to adres londyńskiej siedziby funduszu.

Oczywiście przesyłka ta nie została nadana z naszego biura, choć z listu przewozowego wynikało, że wyszła z sortowni DHL w południowym Londynie. Natychmiast skontaktowaliśmy się z policją i złożyliśmy doniesienie. Jeszcze tego samego dnia w naszym biurze zjawił się sierżant detektyw Richard Norten, młody policjant w skórzanej kurtce i okularach przeciwsłonecznych.

Przedstawiłem się i zapytałem, czy przypadkiem zdołał ustalić, kto nadał tę paczkę.

Policjant wzruszył ramionami i wyjął z kieszeni kurtki płytę DVD.

— Nie, ale mam nagranie z monitoringu w punkcie DHL w Lambeth — powiedział. — Może uda się wam ich zidentyfikować.

Wskazałem w stronę swojego biurka. Podeszliśmy do niego wszyscy, a Norten wsunął płytę do mojego komputera. Chwycił mysz, otworzył plik i zaczął na podglądzie przesuwać do przodu nagranie o niskiej rozdzielczości przedstawiające wnętrze biura spedycyjnego, przez które przewijali się różni ludzie. W pewnym momencie włączył odtwarzanie.

— Tutaj.

Zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na przybyszów z Europy Wschodniej. Jeden z nich niósł reklamówkę z logo domu towarowego w Kazaniu. Była wypełniona jakimiś papierami. Mężczyzna włożył je do firmowego pudełka DHL i zamknął je, tymczasem jego towarzysz wypełnił list przewozowy i zapłacił gotówką za wysyłkę. Potem obaj obrócili się plecami do kamery i wyszli.

— Rozpoznajecie któregoś? — zapytał policjant.

Spojrzałem na Iwana i Wadima, ale obaj pokręcili przecząco głowami.

— Nie — odparłem. — Nie znamy ich.

— Jeżeli podacie mi nazwiska ludzi, którzy sprawiają wam problemy w Rosji, mogę ich poszukać na listach pasażerów, którzy w zeszłym tygodniu przylecieli na Heathrow i Gatwick.

Nie obiecywałem sobie zbyt wiele po tej propozycji, ale podałem listę nazwisk Nortenowi, który pożegnał się i wyszedł.

Nie miałem jednak czasu, by zastanawiać się nad DHL, ponieważ rosyjskie władze zaczynały działać coraz szybciej. Prócz nalotów na biura naszych prawników nakazały Władimirowi i Eduardowi stawić się w najbliższą sobotę na przesłuchanie w siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Kazaniu.

Wezwania te nie tylko były sprzeczne z prawem — adwokaci nie mogą być zmuszani do składania zeznań na temat swoich klientów — ale nie wróżyły nic dobrego. Komenda milicji w Kazaniu uchodziła za jedną z najbardziej wstecznych i skorumpowanych w całej Rosji. Przy niej ta z *Midnight Express* wyglądała jak Holiday Inn. Pracujący tam ludzie byli powszechnie znani ze swoich skłonności do torturowania zatrzymanych, których potrafili nawet gwałcić za pomocą butelki, aby wymusić zeznania. Co więcej, wzywając Eduarda i Władimira w sobotę, funkcjonariusze byli poza zasięgiem aż do poniedziałku i w tym czasie mogli z nimi zrobić, co chcieli, mniej lub bardziej potajemnie.

Byłem kompletnie przerażony. Działania naszych przeciwników weszły na zupełnie nowy poziom. Ewakuowałem z Rosji Iwana, Wadima oraz innych pracowników Hermitage, aby zapobiec właśnie czemuś takiemu, lecz nawet w najgorszych koszmarach nie przypuszczałem, że celem represji mogą się stać nasi prawnicy.

Szczególnie obawiałem się aresztowania Władimira, mając na uwadze jego słabe zdrowie. Zadzwoniłem do niego natychmiast i powiedziałem, że się o niego martwię, on jednak był dziwnie beztroski. Traktował tę sytuację jak czysto akademickie zagadnienie, które można zbadać i przeanalizować, a nie jak coś, w co był osobiście uwikłany.

— Nie przejmuj się, Bill. Jestem chroniony jako adwokat. Nie mogą wezwać mnie na przesłuchanie. Powiadomiłem moskiewską radę adwokacką, która udzieli im odpowiedzi w moim imieniu. Ani myślę wybierać się do Kazania.

— Załóżmy na moment, że się mylisz i mimo wszystko cię zatrzymają. Z twoim zdrowiem nie przeżyłbyś tygodnia w więzieniu.

— Ależ to by było nie do pomyślenia, Bill. Oni nie mogą nękać prawników.

Nie dawałem jednak za wygraną.

— Posłuchaj, Władimirze. To ty przekonałeś Wadima parę lat temu, żeby uciekał z Rosji w środku nocy. Teraz kolej na ciebie. Przyleć chociaż do Londynu, żebyśmy mogli porozmawiać o tym osobiście.

Władimir milczał przez krótką chwilę.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię — rzekł w końcu.

Wadim przeprowadził podobną rozmowę z Eduardem, który również nie zamierzał wyjeżdżać. Obaj adwokaci doskonale zdawali sobie sprawę, że mają wszelkie podstawy, aby odrzucić te wezwania jako niezgodne z prawem, toteż żaden z nich nie stawił się na przesłuchanie.

Minęła sobota i nic się nie wydarzyło. Tak samo w niedzielę. W poniedziałek rano zadzwoniłem do Władimira.

— W porządku, przeżyłeś weekend i przemyślałeś to sobie. Kiedy przylatujesz do Londynu?

— Nie wiem, czy się na to zdecyduję. Wszyscy mówią mi to samo. Jeżeli opuszczę Rosję, będzie to najgorsza rzecz, jaką mógłbym zrobić. Sugerowałoby to, że jestem winny albo coś w tym rodzaju. Zresztą tutaj jest całe moje życie, wszyscy moi klienci. Nie mogę ot tak, po prostu spakować się i wyjechać.

Rozumiałem jego opory, czułem jednak, że pozostając w Rosji, Władimir naraża się na niebezpieczeństwo, które wciąż rośnie.

— Ale jeżeli w coś cię wrabiają, nie ma znaczenia, czy jesteś winny, czy nie. Musisz stamtąd wyjechać, o ile nie na stałe, to przynajmniej dopóki to wszystko się nie skończy. Pozostając tam, popełniasz głupstwo.

Pomimo wszystkich argumentów, jakich użyłem, Władimir był zdecydowany zostać. Aż do środy, kiedy do mnie zadzwonił.

— Właśnie dostałem nowe wezwanie z Kazania — oznajmił i wyczułem z tonu jego głosu, że stracił już dotychczasową pewność siebie.

— I co?

— Zadzwoniłem do śledczego, który je wystawił, i powiedziałem mu, że to nielegalne. A on na to, że jeśli się nie stawię, to doprowadzą mnie siłą. Próbowałem napomknąć o moim stanie zdrowia, ale nie chciał mnie słuchać. Mówił do mnie jak gangster, a nie oficer milicji.

— A więc teraz…

— Ale nawet nie to jest najgorsze. Od tego stresu nabawiłem się problemów z okiem. Jakby zamieniło się w rozżarzony węgiel, który tkwi w mojej czaszce. Jak najszybciej muszę się zgłosić do mojego lekarza, ale on jest we Włoszech.

— Więc leć do Włoch.

— Zrobię to, kiedy tylko wydobrzeję na tyle, aby móc podróżować.

Tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że Eduard również otrzymał drugie wezwanie. Spodziewał się, że moskiewska rada adwokacka będzie w stanie je oddalić, ale w jego przypadku też nie dało się nic zrobić.

Ponieważ Eduard był kiedyś śledczym i sędzią, próbował wykorzystać swoje dawne znajomości, by się dowiedzieć, kto za tym stoi. Nikt jednak nie znał odpowiedzi i wszyscy zgodnie mu doradzali, aby się ukrył, dopóki wszystkiego nie wyjaśni.

Po raz pierwszy w swoim życiu Eduard znalazł się na niepewnym gruncie. Był człowiekiem, do którego wszyscy przychodzili po pomoc i nigdy nie było odwrotnie. Od 1992 roku Eduard występował jako obrońca w sprawach karnych, reprezentując klientów najróżniejszego pokroju i należał do adwokatów, którzy mogli się poszczycić największą liczbą wygranych spraw. I chociaż znał na wylot działanie machiny prawnej, nie miał pojęcia, jak się ukryć. Na szczęście wielu jego byłych klientów to wiedziało i kilku z nich, usłyszawszy, że znalazł się w opałach, zaproponowało mu pomoc.

W czwartek 28 sierpnia 2008 roku, dwa dni przed wyznaczonym terminem przesłuchania w Kazaniu, Eduard zadzwonił do Wadima.

— Możliwe, że nie będę się odzywał przez jakiś czas. Gdyby tak się zdarzyło, nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.

Wadim zaczął się domagać bardziej szczegółowych wyjaśnień, lecz Eduard mu przerwał.

— Muszę iść — powiedział i zakończył połączenie.

Po tej rozmowie Eduard wyjął baterię ze swojej komórki i udał się prosto do swojego mieszkania znajdującego się w pobliżu Wzgórz Worobiowych na południu Moskwy. Wiedział, że od kilku tygodni jest pod obserwacją. Ludzie, którzy go śledzili, nie starali się nawet z tym kryć. Każdej nocy pod blokiem parkował samochód, a siedzący w nim dwaj mężczyźni cały czas mieli oko na jego mieszkanie. Było to tym bardziej przerażające, że Eduard nie wiedział, czy są to członkowie mafii, czy milicyjni tajniacy. Tak czy inaczej, nie było mu spieszno, by się o tym przekonać.

Po kolacji adwokat wraz z żoną udał się na wieczorną przechadzkę. Ludzie siedzący w samochodzie nie poszli za nimi, wiedzieli bowiem, że małżonkowie spacerują tak co wieczór i zawsze wracają.

Idąc wolnym krokiem wzdłuż szerokiej alei, para przeszła niecały kilometr. Jednak zamiast zawrócić w miejscu, gdzie zawsze to robili, Eduard pociągnął żonę za rękę i szybko przeprowadził ją na drugą stronę ulicy. Tam czekało na nich duże czarne audi A8 z przyciemnianymi szybami. Żona Eduarda wiedziała, że jej mąż ma kłopoty, ale nie została wtajemniczona w plan. Adwokat obrócił się w jej stronę.

— Właśnie przyszedł ten moment — powiedział.

Tej nocy Eduard miał się zapaść pod ziemię. Żona objęła go mocno i pocałowała. Obydwoje nie wiedzieli, czy jeszcze kiedyś się zobaczą. Kiedy czułe pożegnanie dobiegło końca, adwokat otworzył tylne drzwi sedana i położył się na podłodze, po czym samochód odjechał.

Jego żona przeszła z powrotem na drugą stronę ulicy, wetknęła ręce w kieszenie i przełykając łzy, samotnie ruszyła w stronę domu. Nie zauważyła, że dwaj mężczyźni w zaparkowanym przed blokiem samochodzie ożywili się na jej widok. Minęło kilka godzin, nim zdołali przetrawić to, co się stało, ale już koło północy do jej drzwi zapukało trzech ludzi, którzy wypytywali o Eduarda.

Kobieta nie miała pojęcia, gdzie podziewa się jej mąż, i dokładnie takiej odpowiedzi im udzieliła.

Skoro Eduard ze wszystkimi swoimi koneksjami i znajomością prawa karnego zdecydował się zniknąć, nie ulegało wątpliwości, że Władimir, poważnie schorowany intelektualista, musi natychmiast opuścić Rosję.

Niezwłocznie zadzwoniłem do Władimira zaniepokojony faktem, że wciąż przebywa w Moskwie.

— Władimirze, Eduard znikł. Kiedy wyjeżdżasz?

— Przykro mi, Bill. Wciąż nie czuję się na tyle dobrze, żeby podróżować. Ale twoje spostrzeżenia spotkały się z pełną aprobatą.

Nie byłem do końca pewien, co chciał mi dać do zrozumienia poprzez to zagadkowe zdanie, a on nie chciał się wdawać w dyskusję, jednak wyglądało na to, że zamierza wyjechać.

W każdym razie miałem taką nadzieję. Byłem przekonany, że kiedy tym razem obaj prawnicy nie stawią się na przesłuchanie w kazańskiej siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, skorumpowani gliniarze wydadzą nakaz ich aresztowania.

Władimir nie mógł mi powiedzieć, że rozważa swoje możliwości wydostania się z Rosji. Najbardziej atrakcyjne obejmowały przekroczenie granicy na lądzie lub morzu. Rosyjskie przejścia graniczne były tak przestarzałe, że do większości odległych punktów nie dotarły jeszcze nowoczesne technologie umożliwiające wykrywanie zbiegów. Posterunki te były zazwyczaj obsadzane przez odrzuconych kandydatów do służby w straży granicznej. Wydawało się, że lenistwo i pijaństwo są wymagane na tych stanowiskach, a personel pozwalał bez przeszkód wymknąć się z kraju każdemu, kto znajdował się na liście poszukiwanych. Biorąc pod uwagę te kryteria, najlepiej było opuścić Rosję przez przejście w Niechotiejewce na granicy z Ukrainą albo promem z Soczi do Stambułu. Niestety podróż samochodem do każdego z tych odległych miejsc mogłaby spotęgować dolegliwości Władimira. Rosja słynie z fatalnego stanu dróg, w

których pełno jest wybojów, a na niektórych odcinkach brakuje asfaltu, toteż od jazdy po takich wertepach cierpiący na problemy z siatkówką Władimir mógłby nawet trwale oślepnąć.

Po odrzuceniu tych możliwości Władimir dostrzegł jedną, która miała szanse powodzenia. W niedzielę 31 sierpnia kończyły się wakacje w Rosji i zapowiadało się, że tłumy ludzi będą przekraczać granicę w obydwie strony. Władimir liczył, że w tym chaosie służby graniczne nie dadzą rady dokładnie sprawdzić wszystkich paszportów. Było to ryzykowne posunięcie i każda w pełni sprawna osoba szukałaby bezpieczniejszego rozwiązania, ale Władimir nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Nadeszła sobota 30 sierpnia — dzień, w którym Władimir i Eduard mieli się stawić na przesłuchanie w Kazaniu. Siedziałem jak na szpilkach, spodziewając się, że zaraz zadzwoni do mnie żona Władimira, aby powiadomić o jego aresztowaniu. Nie było jednak żadnych telefonów z Rosji. Kusiło mnie, żeby skontaktować się z Władimirem w niedzielę rano, ale nie chciałem wzbudzać czujności nikogo, kto mógłby podsłuchiwać jego rozmowy telefoniczne.

Tego dnia Władimir, jego żona i syn kupili bilety na rejs linii Alitalia o godzinie 23.00 z lotniska Szeremietiewo do Mediolanu. Wyszli z domu o 16.40, niosąc zwykłe podręczne torby. Nikt ich nie obserwował, tak jak Eduarda. Wsiedli do taksówki i zamówili kurs na lotnisko, ale ponieważ na ulicach panował wzmożony ruch spowodowany zakończeniem wakacji, podróż trwała dwie i pół godziny. Dojechali na Szeremietiewo o siódmej wieczorem i ustawili się w kolejce do odprawy. W terminalu panował kompletny chaos. Wszędzie kręciło się pełno ludzi, którzy nie mogli trafić do właściwych kolejek, a większość przejść tarasowały ogromne walizki. Atmosfera była napięta, gdyż całe grupy pasażerów obawiały się, że nie zdążą na samolot.

Właśnie na takie warunki liczył Władimir. Odprawa trwała przeszło godzinę. Potem nastąpiła kontrola bezpieczeństwa. Kolejną godzinę zajęło przejście przez bramki wykrywacza metalu i prześwietlanie bagażu. Mijała już 22.00, kiedy Władimir i jego rodzina stanęli w kolejce do kontroli paszportowej. Ścisk był taki sam jak w poprzednich kolejkach, ludzie wpychali się jedni przed drugich i kłócili się o to, kto był pierwszy.

Gdy nasz adwokat znalazł się wreszcie na początku kolejki, dotarła do niego powaga sytuacji. Uświadomił sobie, że jeśli jego plan się nie powiedzie, prawdopodobnie zostanie aresztowany przez ludzi, którzy pracują dla tych skorumpowanych oficerów milicji. A jeżeli zostanie aresztowany, przypuszczalnie umrze w więzieniu. Nie popadając w przesadny dramatyzm, można twierdzić, że zwykłe przekroczenie granicy było dla Władimira sprawą życia i śmierci.

Niespełna czterdzieści minut przed startem samolotu Władimir wraz z żoną i synem przekroczył czerwoną linię na posadzce i podszedł do budki strażnika. W środku siedział młody mężczyzna o rumianych policzkach i jasnych oczach, a jego czoło lśniło od potu.

— Dokumenty — odezwał się po rosyjsku, nie odrywając wzroku od terminalu komputerowego.

Prawnik sięgnął do saszetki, w której trzymał paszporty i karty pokładowe.

— Szalona noc dzisiaj na lotnisku — zagadnął, starając się przybrać swobodny ton.

Młodzieniec mruknął pod nosem coś niezrozumiałego. Spojrzał na Władimira i zmarszczył czoło, czekając na dokumenty.

— Proszę bardzo. — Władimir wręczył mu wszystkie papiery.

Prawdopodobnie był to pięćsetny zestaw dokumentów, jaki strażnik przeglądał tego dnia. Zazwyczaj rosyjska służba migracyjna skrupulatnie kontroluje każdy paszport. Zanim urzędnik przybije stempel, wpisuje szczegółowe dane do komputera i czeka na wyniki. Jednak gdyby tego dnia wszyscy byli tak dokładni, doprowadziłoby to do wielogodzinnych opóźnień i połowa pasażerów nie zdążyłaby na swoje loty.

Nie zawracając sobie głowy procedurami, mężczyzna wziął pieczątkę i przekartkował każdy paszport, wbijając w środku czerwony stempel wyjazdowy. Potem oddał dokumenty Władimirowi.

— Następny! — krzyknął.

Władimir chwycił syna pod ramię i cała rodzina oddaliła się pospiesznie. Weszli na pokład samolotu zaledwie piętnaście minut przed startem. Zasiedli w fotelach, zapięli pasy i odmówili dziękczynne modły. Samolot pokołował na pas startowy i oderwał się od ziemi, a po kilku godzinach wylądował we Włoszech.

Władimir zadzwonił do mnie późno w nocy, kiedy tylko znalazł się na lotnisku.

— Bill, jesteśmy w Mediolanie! — zawołał radośnie.

Władimir był bezpieczny, a ja nareszcie odetchnąłem z ulgą.

Rozdział 28
Chabarowsk

Władimir był już bezpieczny, ale Eduard wciąż przebywał gdzieś na terenie Rosji i nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

Nawet jego żona nie wiedziała, gdzie się ukrywał. Po tym, jak rozstali się na Prospekcie Uniwersyteckim, Eduard został zawieziony do mieszkania przyjaciela po wschodniej stronie Moskwy, tuż za obrębem Pierścienia Sadowego. Spędził tam dwie noce. Nie wychodził na zewnątrz i do nikogo nie dzwonił. Chodził tam i z powrotem po mieszkaniu, a gdy jego przyjaciel wracał do domu, dyskutował z nim o całej tej sytuacji i rozważał swoje możliwości. Nie był przygotowany na opuszczenie kraju. Jeszcze nie w tej chwili.

Trzeciego dnia tuż przed świtem Eduard wsiadł do samochodu innego przyjaciela i został przewieziony do innego mieszkania. Eduard leżał na tylnym siedzeniu, a kierowca kluczył okrężną drogą i gdy tylko się upewnił, że nikt ich nie śledzi, pojechał do następnej kryjówki.

Tam Eduard spędził kolejne dwie noce. Takie przenosiny działały mu na nerwy. Przywykł robić wszystko samodzielnie, a teraz nagle stał się całkowicie zależny od innych. Nie mógł skorzystać z telefonu ani sprawdzić poczty elektronicznej. Mógł jedynie śledzić wiadomości i miotać się po mieszkaniu jak uwięzione w klatce dzikie zwierzę. Czuł się coraz bardziej zestresowany.

Pod koniec pierwszego tygodnia Eduard otrzymał wiadomość od jednego ze swoich przyjaciół. Nie była pocieszająca. Zwiększono liczbę ludzi zaangażowanych w jego poszukiwanie.

Pościg był coraz bliżej i w Moskwie zaczęło się robić za gorąco.

Eduard nie miał zamiaru opuszczać Rosji i przyznawać się do porażki, musiał więc znaleźć inne miasto, w którym mógłby się ukryć. Zastanawiał się nad wyjazdem do Woroneża albo Niżnego Nowogrodu. Każde z tych miast dzieliło od Moskwy kilka godzin jazdy pociągiem, ale byłby tam zdany wyłącznie na siebie. Eduard był doświadczonym adwokatem, ale nie miał wprawy w ukrywaniu się i prawdopodobnie nie przetrwałby tygodnia. Zdał sobie sprawę, że potrzebuje dwóch rzeczy — oddalonej od Moskwy kryjówki i pomocy kogoś zaufanego.

Przejrzał swoje kontakty, spośród których jeden wyraźnie się wyróżniał. Był to mężczyzna imieniem Michaił, który mieszkał w Chabarowsku na dalekim wschodzie Rosji. Dziesięć lat wcześniej Eduard pomógł mu wykaraskać się z poważnych tarapatów, ratując go przed wyrokiem długoletniego więzienia.

Zadzwonił do Michaiła z telefonu na kartę i opowiedział o swojej sytuacji.

— Jeżeli tylko znajdziesz sposób, by dostać się do Chabarowska, mogę cię ukrywać, jak długo zechcesz — powiedział Michaił, wysłuchawszy opowieści.

Chabarowsk z pewnością spełniał warunki odległej kryjówki, jako że od Moskwy dzieliło go przeszło sześć tysięcy kilometrów, czyli prawie pięćset więcej, niż dzieli Londyn od równika. Problem tkwił w tym, jak się tam dostać. Podróż samochodem trwałaby zbyt długo i Eduard mógłby zostać zatrzymany do kontroli drogowej, a gdyby jakiś skorumpowany lokalny gliniarz przyczepił się do niego, skończyłoby się to katastrofą. Pociąg również nie wchodził w grę, ponieważ kupując bilet, Eduard musiałby podać nazwisko, żeby potem spędzić tydzień w metalowym pudle na kółkach, podczas gdy jego prześladowcy mogliby połączyć elementy układanki.

Najlepszym rozwiązaniem był samolot. Choć tutaj jego nazwisko też zostałoby wprowadzone do systemu, podróż zajęłaby osiem godzin i prześladowcom zostałoby znacznie mniej czasu na reakcję.

By zwiększyć szanse, że uda mu się wymknąć niepostrzeżenie, Eduard postanowił lecieć w piątek późno w nocy. Miał nadzieję, że ludzie, którzy go monitorują, zaczną już weekendowe pijaństwo, dzięki czemu zmaleje prawdopodobieństwo, że przyjmą informację, wyciągną wnioski i zaczną działać, zanim on zdąży wylądować.

Półtorej godziny przed planowanym odlotem przyjechał na moskiewskie lotnisko Domodiedowo, które obsługuje większość regionalnych rejsów, i podszedł do kontuaru, aby kupić bilet. Kasjerka podała mu cenę — 56 890 rubli, czyli prawie 1500 funtów — a Eduard wyjął portfel i odliczył banknoty. Wręczył kobiecie gotówkę z taką nonszalancją, na jaką tylko potrafił się zdobyć, chociaż serce kołatało mu w piersi jak oszalałe. Była to wielka kwota, ale kasjerka przyjęła pieniądze bez zmrużenia oka i wróciła do stukania w klawiaturę. Po chwili podała Eduardowi bilet i z uśmiechem życzyła mu przyjemniej podróży.

Pierwszą przeszkodę Eduard miał już za sobą. Czekała go jeszcze kontrola bezpieczeństwa i odprawa przed wejściem na pokład, a następnie pozostało mu tylko czekać na start. Te przeszkody również pokonał bez żadnych problemów, ale istniało jeszcze jedno zagrożenie. Zakup imiennego biletu mógł zaalarmować naszych przeciwników i było bardzo prawdopodobne, że ich kompani zaczają się na Eduarda w Chabarowsku. Nasz adwokat usiłował przespać nocny lot, w trakcie którego pokonywał siedem stref czasowych, lecz okazało się to niemożliwe.

W końcu Eduard, wyczerpany i zmięty, wylądował w Chabarowsku. Samolot zatrzymał się przy terminalu, do kadłuba

przystawiono schodki i pasażerowie zaczęli wysiadać. Kiedy Eduard stanął w drzwiach, zobaczył zaparkowany na płycie lotniska samochód. Serce podjechało mu do gardła, ale w tym samym momencie obok pojazdu zauważył Michaiła, który uśmiechał się do niego przyjaźnie.

Eduard zszedł po stopniach, niosąc podręczny bagaż i nie przechodząc nawet przez terminal, opuścił lotnisko samochodem Michaiła, który zawiózł go do niepozornego hotelu na obrzeżach miasta, gdzie wynajął dla niego pokój pod przybranym nazwiskiem.

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie Eduard przebywa, co robi ani czy jest bezpieczny. Ale chociaż nie byliśmy w stanie udzielić mu pomocy na terenie Rosji, mogliśmy dowiedzieć się czegoś więcej na temat przyczyny jego problemów.

Na początku września otrzymaliśmy kopie materiałów z sądu w Kazaniu. Najbardziej złowrogim z dokumentów było oświadczenie Wiktora Markiełowa, przestępcy skazanego za zabójstwo, który bezprawnie zagarnął nasze spółki. Zeznał on, że robił wszystko pod kierunkiem niejakiego Oktaja Gasanowa, który zmarł na atak serca na dwa miesiące przed kradzieżą. Co więcej, Markiełow twierdził, że Gasanow wszystkie instrukcje dostał od Eduarda Hajruddinowa i że Eduard wykonywał moje polecenia.

Teraz zrozumieliśmy, co może się stać, jeżeli Eduard pozostanie w Rosji. Skorumpowani funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych prędzej czy później go znajdą. Kiedy trafi do aresztu, będą go torturować, dopóki nie złoży zeznań obciążających nas obu winą za kradzież tych 230 milionów. Jeśli spełni ich żądania, potraktują go łagodnie i trafi tylko na kilka lat do kolonii karnej. Jeśli odmówi, zabiją go i wszystko, co zeznał Markiełow, zostanie oficjalnie uznane za „prawdę".

Musieliśmy znaleźć jakiś sposób, by go o tym powiadomić. Wadim przekazał kilku moskiewskim znajomym Eduarda prostą wiadomość, na wypadek gdyby nawiązali z nim kontakt: „Wypłynęły nowe informacje. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Wyjedź najszybciej, jak to możliwe".

Chociaż o tym nie wiedzieliśmy, nasza wiadomość dotarła wreszcie do Eduarda. Jednak on i tak nie zamierzał się poddawać. Sądził, że jeśli nasze skargi trafią w ręce kogoś dostatecznie wysoko postawionego, wszystko uda się w końcu wyjaśnić.

Ale nawet Michaił zaczynał się niepokoić i uznał, że pobyt w Chabarowsku staje się dla Eduarda zbyt niebezpieczny. Przydzielił mu dwóch uzbrojonych ochroniarzy, którzy przewieźli go do leśnej daczy oddalonej od miasta o sto pięćdziesiąt kilometrów. Dom był zasilany w elektryczność przez generator, a Eduard miał do dyspozycji telefon satelitarny oraz samochód. Otaczała go malownicza okolica porośnięta

lasami, wśród których rozciągały się stawy rybne.

Po dwóch tygodniach na tym pustkowiu Eduard dostał wiadomość od Michaiła. Jeden z najbardziej zaufanych powierników Eduarda wybrał się specjalnie do Chabarowska, żeby osobiście przekazać mu jakąś informację. Eduard uznał to za dobry znak. Czy ktoś zdecydowałby się na tak daleką podróż na drugi koniec kraju tylko po to, żeby dostarczyć złe wieści? Dwa dni później Eduard w asyście ochroniarzy wsiadł do samochodu i pojechał do kawiarni na obrzeżach Chabarowska, gdzie miał się spotkać z człowiekiem z Moskwy.

Jednak nadzieja szybko opuściła Eduarda, gdy zobaczył swojego przyjaciela, który z wyrazem posępnej troski na twarzy uścisnął mu dłoń. Obaj usiedli przy stoliku i zamówili herbatę.

— Próbowaliśmy wszystkiego — oznajmił przyjaciel. — Stoją za tym jacyś bardzo wpływowi ludzie. Nic się nie da zrobić. To się nie skończy.

— I przebyłeś taki szmat drogi tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

Mężczyzna pochylił się w stronę Eduarda.

– Żeby powiedzieć ci osobiście, że musisz opuścić Rosję. Oni są gotowi cię zabić. Tych ludzi nic nie powstrzyma.

Słowa te wstrząsnęły Eduardem do głębi. Po spotkaniu zadzwonił do Michaiła.

— Muszę wyjechać z Rosji. Możesz mi w tym pomóc?

— Zrobię, co w mojej mocy — odparł Michaił.

W tak zdecentralizowanym kraju jak Rosja na niektórych obszarach potężni biznesmeni mają władzę nie mniejszą niż moskiewskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Michaił był jednym z najbardziej znaczących przedsiębiorców w tym regionie i Eduard nie miał innego wyjścia, jak zdać się na niego. Liczył, że dzięki jego wpływom bez przeszkód przejdzie kontrolę graniczną, opuszczając Rosję.

Michaił zatrudnił lokalnego prawnika, w którego asyście Eduard miał przekroczyć wszystkie punkty kontroli. Eduard w kółko wypytywał, czy ów adwokat zdoła przekonać urzędników służby migracyjnej, aby go przepuścili, a Michaił w kółko mu odpowiadał, aby się nie martwił. Oczywiście Eduard nie potrafił się na to zdobyć.

W końcu nadszedł 18 października 2008 roku i o godzinie 10.00 Eduard przyjechał na lotnisko, gdzie spotkał się z prawnikiem, niskim mężczyzną o przyjaznym spojrzeniu ubranym w dobrze skrojony szary garnitur. Eduard miał brytyjską wizę, więc podszedł do stanowiska linii Asiana i kupił bilet w klasie ekonomicznej na rejs do Londynu okrężną drogą przez Seul. Potem ustawił się w kolejce do kontroli bezpieczeństwa i odprawy paszportowej. Kiedy do startu pozostała

tylko godzina i nie mógł już dłużej czekać, ruszył wraz z prawnikiem w stronę posterunku kontrolnego.

Obaj mężczyźni podeszli do wymalowanej na posadzce linii i przekroczyli ją. Prawnik nie odstępował Eduarda ani na krok, kiwając głową i mrugając do strażników. Z kilkoma wymienił nawet uścisk dłoni. Eduard położył bagaż na taśmie i przeszedł przez bramkę wykrywacza metalu.

Następnie udali się w kierunku stanowiska kontroli paszportowej. Adwokat przywitał się z siedzącym w budce strażnikiem, podając mu rękę i wymieniając z nim uprzejmości. Strażnik sięgnął po paszport i położył go przed sobą na blacie. Przewertował kilka stron, szukając wolnego miejsca, uniósł wzrok na Eduarda, potem na towarzyszącego mu prawnika, a następnie uderzył stemplem w poduszkę z czerwonym tuszem, a później w stronę paszportu. Nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na monitor komputera. Zamknął paszport i oddał go Eduardowi, który spojrzał prawnikowi w oczy. Mężczyzna mrugnął do niego porozumiewawczo.

— Dziękuję panu — powiedział Eduard, po czym odwrócił się i pobiegł w kierunku bramki, gdyż do odlotu pozostało zaledwie kilka minut.

Wpadł na pokład samolotu, który chwilę później wystartował. Dopiero po dwóch godzinach, kiedy samolot przelatywał nad Morzem Japońskim, co oznaczało, że opuścił już rosyjską strefę powietrzną, Eduard po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł ulgę. Wydostał się z Rosji.

Tego samego dnia w Londynie zadzwonił telefon Wadima, a na wyświetlaczu pojawił się jakiś nieznany numer kierunkowy. Wadim odebrał.

— Halo?

— Mówi Eduard.

Wadim podskoczył na krześle. Prawie dwa miesiące nie mieliśmy żadnych wieści od Eduarda. Każdego dnia miotaliśmy się między nadzieją a rozpaczą, zastanawiając się, czy nasz przyjaciel jest bezpieczny, czy już zginął.

— Eduardzie! — krzyknął Wadim. — Gdzie jesteś? Wszystko z tobą w porządku?

— W porządku. Jestem w Seulu.

— W Seulu?

— Tak. Lecę do Londynu następnym rejsem linii Asiana. Jutro będę na miejscu.

— Więc jesteś bezpieczny?

— Tak, tak. Mam wam dużo do opowiedzenia. Niedługo się zobaczymy.

Następnego dnia o 19.00 Eduard przyjechał samochodem prosto z

Heathrow do naszej siedziby na Golden Square. Kiedy tylko przestąpił próg, kolejno braliśmy go w objęcia i poklepywaliśmy po plecach. Choć wcześniej spotkałem go tylko raz, miałem wrażenie, jakbyśmy byli braćmi witającymi się po wieloletniej rozłące.

Kiedy w końcu usiedliśmy, Eduard opowiedział nam o swoich przejściach, podczas gdy Wadim i Iwan na zmianę tłumaczyli jego słowa. Słuchaliśmy go jak urzeczeni.

— To niesamowite, Eduardzie — odezwałem się, kiedy skończył mówić. — Naprawdę niesamowite. Dzięki Bogu, że ci się udało.

— Racja. — Eduard pokiwał głową. — Bogu niech będą dzięki.

Tego wieczoru pozwoliłem sobie na chwilę radości z faktu, że Eduard zdołał bezpiecznie opuścić Rosję, jednak wciąż nie było widać końca naszych problemów.

Podczas gdy Eduard się ukrywał, Siergiej wciąż przebywał w Moskwie narażony na ataki ze strony naszych przeciwników. Pod koniec września natknęliśmy się na artykuł opublikowany w mało znanym moskiewskim tygodniku poświęconym tematyce gospodarczej „Diełowoj Wtornik". Artykuł ten nosił tytuł *Czysto angielski przekręt* i głoszono w nim znaną już tezę, że Eduard i ja zaplanowaliśmy całe oszustwo, jednak wymieniał również osobę, której nazwiska nigdy wcześniej nie widzieliśmy w prasie — Siergieja Magnitskiego.

Po tej publikacji Wadim próbował nakłonić Siergieja do wyjazdu z Rosji, on jednak stanowczo odmówił. Z uporem twierdził, że nie może go spotkać nic złego, ponieważ nie popełnił żadnego wykroczenia. Oburzał go również fakt, że ludzie ci okradli jego kraj z tak wielkich pieniędzy. Był nieugięty i tak święcie wierzył w praworządność, że 7 października jeszcze raz udał się do siedziby Komitetu Śledczego i złożył kolejne oświadczenie pod przysięgą. Powtórnie wykorzystał obowiązujące procedury, aby dowody zostały oficjalnie dołączone do akt, i tym razem dostarczył sporo dodatkowych szczegółów na temat oszustwa oraz zamieszanych w nie osób.

Było to śmiałe posunięcie, jednak napełniało mnie niepokojem. Chociaż Siergiej imponował mi swoją determinacją i prawością, zważywszy na to, co groziło Eduardowi i Władimirowi, byłem pełen obaw, że wkrótce zostanie aresztowany. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Rankiem 20 października 2008 roku Iwan po raz kolejny usiłował przemówić mu do rozumu.

— Posłuchaj, wszyscy nasi prawnicy znaleźli się na celowniku. Eduard jest tutaj. Władimir jest tutaj. Widzieliśmy materiały, w których figuruje twoje nazwisko. Jestem przekonany, że jeśli tam zostaniesz, przytrafi ci się coś bardzo złego.

— Ale czemu cokolwiek miałoby mi się stać? Nie złamałem

żadnych przepisów. Uwzięli się tylko na Eduarda i Władimira, bo oni podważyli sfałszowane orzeczenia sądu. Ja tym się nie zajmowałem. Nie ma powodu, abym uciekał.

— Musisz wyjechać, Siergieju. Oni cię aresztują. Proszę cię. Błagam.

— Przykro mi, Iwanie. Prawo mnie chroni. To nie jest rok trzydziesty siódmy — odparł Siergiej, nawiązując do czystek stalinowskich, kiedy aresztowani przez tajne służby ludzie przepadali bez wieści.

Nic nie było w stanie go przekonać. Siergiej postanowił zostać w Rosji i nic nie mogliśmy na to zaradzić. Wywodził się z innego pokolenia niż Władimir i Eduard, którzy dorastali w Związku Radzieckim i widzieli na własne oczy, jak przewrotne bywają rosyjskie władze. Jeżeli wpływowi ludzie chcieli kogoś aresztować, dopinali swego. Prawo nie miało żadnego znaczenia. Z kolei Siergiej miał trzydzieści sześć lat i wychował się w czasach, kiedy sytuacja zaczynała się poprawiać. Postrzegał Rosję nie taką, jaka była naprawdę, lecz taką, jaką chciał ją zobaczyć. Dlatego nie zdawał sobie sprawy, że w Rosji nie rządzi prawo, lecz ludzie. A nie byli to ludzie uczciwi.

Rozdział 29
Dziewiąte przykazanie

Wczesnym rankiem 24 listopada 2008 roku trzy oddziały funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych podlegające podpułkownikowi Artemowi Kuzniecowowi rozjechały się po Moskwie. Jeden z nich udał się do mieszkania Siergieja. Pozostałe dwa skierowały się do domów innych prawników, którzy podlegali mu w firmie Firestone Duncan.

Kiedy Irina Perichina, jedna z podwładnych Siergieja, usłyszała pukanie do drzwi, siedziała właśnie przy toaletce. Jak każda szanująca się Rosjanka po trzydziestce spaliłaby się ze wstydu, gdyby musiała pokazać się komuś bez makijażu. Dlatego zamiast otworzyć, najpierw dokończyła nakładać tusz na rzęsy i pomalowała usta szminką. Dopiero potem, gdy już była gotowa, podeszła do drzwi, ale nikogo nie zastała na korytarzu. Milicjanci dali za wygraną i odeszli, myśląc, że nikogo nie ma w domu.

Borysowi Samołowowi, drugiemu z prawników, dopisało szczęście, gdyż nie mieszkał tam, gdzie był zameldowany, więc też uniknął spotkania z milicją.

Jednak Siergiej był w domu wraz ze swoim ośmioletnim synem, Nikitą. Siergiej szykował się do pracy, a Nikita do szkoły. Jego starszy syn, Stanisław, już wyszedł. Żona Siergieja, Natasza, tego ranka nie czuła się najlepiej i poszła do lekarza.

Gdy rozległo się pukanie, Siergiej otworzył drzwi i zobaczył przed sobą trzech funkcjonariuszy. Odsunął się na bok i wpuścił ich do środka.

Rodzina Magnitskich zajmowała nowoczesne mieszkanie z dwiema sypialniami w centrum Moskwy przy ulicy Pokrowka. Przez kolejne osiem godzin milicjanci wywracali cały lokal do góry nogami. Natasza, która wróciła od lekarza, była wstrząśnięta i przerażona. Ale Siergiej nie tracił pewności siebie.

— Nie martw się — szeptał do żony, gdy siedzieli razem w pokoju Nikity. — Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Oni nie mogą mi nic zrobić.

Rewizja wciąż trwała, kiedy ze szkoły wrócił Stanisław. Chłopiec wpadł w gniew, ale ojciec zapewnił go spokojnym głosem, że wszystko będzie dobrze.

Milicjanci skończyli przeszukanie o 16.00. Skonfiskowali wszystkie dokumenty Siergieja i komputery, rodzinne zdjęcia, stos płyt DVD z filmami dla dzieci, a nawet kolekcję kartonowych samolotów należącą do Nikity oraz jego szkicownik. Potem oznajmili Siergiejowi,

że jest aresztowany. Kiedy go wyprowadzali, odwrócił się w stronę żony i dzieci i z wymuszonym uśmiechem zapewnił ich, że wkrótce wróci.

Tak oto rozpoczęła się udręka Siergieja Magnitskiego. Strzępy informacji docierały do mnie stopniowo w ciągu kilku miesięcy, ale nigdy nie przestawałem myśleć o jego losie.

O rewizji w jego domu dowiedziałem się od razu. Po południu 24 listopada Wadim wpadł do mojego gabinetu. Na jego twarzy malowała się panika.

— Bill, musisz natychmiast przyjść do sali konferencyjnej!

Pospieszyłem za nim. Wiedziałem, co zaraz usłyszę. Iwan, Eduard i Władimir już na mnie czekali.

— Siergiej został aresztowany — oznajmił Wadim, gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi.

— O kurwa.

Opadłem na najbliższe krzesło. Nagle zaschło mi w ustach. W mojej głowie kotłowały się dziesiątki pytań i obrazów. Gdzie był przetrzymywany? Na jakiej podstawie go zatrzymano? W jaki sposób go wrobili?

— Co z nim teraz będzie? — zwróciłem się do Eduarda.

— Zostanie przesłuchany i albo zwolnią go za kaucją, albo trafi do aresztu śledczego. Niemal na pewno to drugie.

— Jakie tam są warunki?

Eduard westchnął, unikając mojego spojrzenia.

— Kiepskie, Bill. Kiepskie, bez dwóch zdań.

— Jak długo mogą go tam trzymać?

— Nawet rok.

— Rok? Bez postawienia zarzutów?

— Tak.

Moja wyobraźnia zaczęła pracować na wysokich obrotach. Nie mogłem się oprzeć skojarzeniu z amerykańskim serialem telewizyjnym *Oz* opowiadającym o prawniku, absolwencie Harvardu, który zostaje wtrącony do fikcyjnego zakładu karnego zwanego Szmaragdowym Miastem, pełnego brutalnych przestępców. Był to tylko serial, ale niesłychane rzeczy, jakie spotykały tego bohatera, przyprawiały mnie o dreszcze, kiedy zastanawiałem się, co czeka Siergieja. Czy strażnicy będą go torturować? Czy będzie gwałcony? Jak łagodny intelektualista z klasy średniej poradzi sobie w takiej sytuacji?

Przede wszystkim musiałem zorganizować mu prawnika. Siergiej zażyczył sobie, aby reprezentował go dobrze znany adwokat z jego rodzinnego miasta, Dmitrij Charitonow. Wynajęliśmy go natychmiast. Spodziewałem się, że przekaże nam on wszystko, czego się dowie o sytuacji Siergieja, jednak okazało się, że jest skrupulatnie inwigilowany. Był pewien, że milicja podsłuchuje jego rozmowy

telefoniczne i monitoruje pocztę elektroniczną. Chciał się kontaktować tylko osobiście, a było to możliwe dopiero w połowie stycznia, gdyż wtedy zamierzał odwiedzić Londyn. Nie byłem zadowolony z takiego układu, ale skoro był to adwokat, na którym zależało Siergiejowi, nie mogłem się z nim kłócić.

Moim drugim posunięciem było spotkanie z nowym szefem sekcji rosyjskiej Biura Spraw Zagranicznych, Michaelem Davenportem, wykształconym w Cambridge prawnikiem mniej więcej w moim wieku. W przeciwieństwie do jego poprzednika, Simona Smitha, nie darzyłem go sympatią. Zetknąłem się z nim wcześniej kilka razy, by powiadomić go o naszych problemach z Rosjanami, jednak Davenport postrzegał mnie chyba jako biznesmena, który dostał to, na co sobie zasłużył, i nie jest godny uwagi brytyjskiego rządu.

Teraz, kiedy chodziło o ratowanie bezbronnego człowieka, miałem nadzieję, że jego nastawienie się zmieni.

Przyszedłem do jego gabinetu przy King Charles Street. Davenport zaprosił mnie do środka i wskazał na duży stół konferencyjny, po czym poprosił swojego asystenta, aby podał nam herbatę.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Browder? — zapytał, gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie.

— Mam bardzo złe wieści z Rosji — powiedziałem cicho.

— Co się stało?

— Jeden z moich prawników, Siergiej Magnitski, został aresztowany.

Davenport zesztywniał.

— Jeden z pańskich prawników, powiada pan?

— Tak. Siergiej zdemaskował wielkie oszustwo podatkowe, o którym panu opowiadałem kilka miesięcy temu. A teraz aresztowali go funkcjonariusze zamieszani w to przestępstwo.

— Na jakiej podstawie?

— Wciąż próbujemy to ustalić. Ale gdybym miał zgadywać, oskarżyli go o uchylanie się od zobowiązań podatkowych. Takie są ich metody.

— To bardzo przykre. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Przedstawiłem każdy szczegół, a Davenport notował.

— Poruszymy tę kwestię z Rosjanami tak szybko, jak to tylko możliwe — obiecał władczym tonem, gdy skończyłem mówić.

Poznałem w życiu dostatecznie wielu dyplomatów, by zdawać sobie sprawę, że przekaz, który kryje się pod tą standardową formułą, naprawdę brzmi: „Gówno dla ciebie zrobimy”.

Spotkanie wkrótce dobiegło końca. W pośpiechu wyszedłem na ulicę, wsiadłem do taksówki i wróciłem do biura. Kiedy przejeżdżałem przez Trafalgar Square, zadzwoniła moja komórka.

— Właśnie otrzymałem niezbyt dobre wieści od mojego

informatora, Asłana — oznajmił Wadim.

— Co takiego?

— Powiedział mi, że ministerstwo przydzieliło do sprawy Siergieja dziewięciu wysokich rangą śledczych. Dziewięciu!

— O czym to świadczy?

— W normalnych przypadkach wystarcza dwóch albo trzech. Nad większymi przestępstwami pracuje trzech albo czterech. Tylko do spraw politycznych wielkiego kalibru, jak afera Jukosu, potrzeba aż dziewięciu.

— Jasna cholera!

— To jeszcze nie wszystko. Powiedział też, że za aresztowanie Siergieja osobiście odpowiada Wiktor Woronin, szef Departamentu K.

— O kurwa — wymamrotałem i zakończyłem połączenie.

Siergiej był w poważnych tarapatach.

Dwa dni po aresztowaniu Siergieja przesłuchano go w Twerskim Sądzie Rejonowym w Moskwie. Milicja nie zdobyła żadnych dowodów przestępstwa, więc nie było podstaw prawnych do przetrzymywania go w areszcie. Siergiej i jego prawnicy spodziewali się, że w związku z tym na pewno zostanie orzeczone zwolnienie za kaucją.

Kiedy zjawili się w sądzie, stanęli twarzą w twarz z nowym oficerem śledczym oddelegowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Był nim trzydziestojednoletni major Oleg Silczenko, który ze swoją chłopięcą powierzchownością sprawiał wrażenie, jakby nawet nie był jeszcze uprawniony do składania zeznań w sądzie. Mógłby być stażystą Siergieja w dziale podatkowym Firestone Duncan albo studentem ostatniego roku Uniwersytetu Moskiewskiego. Miał jednak na sobie starannie odprasowany niebieski mundur, a agresywny sposób, w jaki przedstawiał „dowody", nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jest on w każdym calu funkcjonariuszem rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Silczenko przekonywał, że Siergiej nosi się z zamiarem ucieczki, i wymachując dowodem w postaci „raportu" sporządzonego przez Departament K, twierdził, iż ubiegał się on o wizę brytyjską i zarezerwował bilet na samolot do Kijowa. Oba zarzuty były fałszywe. Siergiej oświadczył, że nie starał się o żadną wizę, co można łatwo potwierdzić, kontaktując się z ambasadą Wielkiej Brytanii. Następnie przeszedł do rzekomej rezerwacji biletu do Kijowa, ale sędzia nie dał mu dokończyć.

— Nie mam powodu, aby wątpić w informacje dostarczone przez organy śledcze — rzekł sędzia.

Potem zarządził, aby do rozprawy Siergiej przebywał w areszcie. Siergieja wyprowadzono z sądu i zakutego w kajdanki wsadzono do samochodu. Dziesięć dni był przetrzymywany w nieznanym miejscu, a następnie został przewieziony do miejsca, w którym miał spędzić

kolejne dziesięć miesięcy, moskiewskiego aresztu zwanego po prostu ośrodkiem zatrzymań nr 5.

Trafił tam do celi, w której przebywało czternastu osadzonych, ale do dyspozycji było tylko osiem pryczy. Światło paliło się dwadzieścia cztery godziny na dobę, a więźniowie spali na zmianę. Miało to na celu doprowadzić zarówno Siergieja, jak i innych osadzonych do wyczerpania na skutek braku snu. Prawdopodobnie Silczenko spodziewał się, że po tygodniu walk z zahartowanymi kryminalistami o miejsce na materacu ten nienawykły do niewygód prawnik zmięknie i będzie gotów zgodzić się na wszystko. Okazało się jednak, że był w błędzie.

W ciągu kolejnych dwóch miesięcy Siergiej kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu. Każda cela była gorsza od poprzedniej. W jednej nie było ogrzewania, a przez wybite okno dostawało się do środka mroźne powietrze. Panował taki ziąb, że Siergiej omal nie zamarzł na śmierć. Toalety, które miały postać zwykłych otworów w podłodze, nie były niczym odgrodzone od miejsc do spania. Często wybijało kanalizację i nieczystości rozlewały się po podłodze. W jednej z cel jedyne gniazdko elektryczne znajdowało się tuż obok toalet, więc chcąc zagotować wodę, trzeba było trzymać czajnik, stojąc nad latryną. W innej celi Siergiej zatkał nieszczelny wychodek plastikowym kubkiem, ale w nocy przegryzł go szczur i do rana wybiło tyle ścieków, że więźniowie musieli skakać po pryczach i krzesłach jak małpy.

Jednak gorsze od takich niewygód były dla Siergieja tortury psychiczne. Nasz prawnik był bardzo zżyty ze swoją rodziną, a Silczenko pastwił się nad nim, odmawiając mu wszelkich kontaktów z bliskimi. Kiedy Siergiej ubiegał się o pozwolenie na wizytę żony i matki, major odpowiedział:

— Wniosek odrzucony. To nie jest korzystne dla śledztwa.

Potem Siergiej poprosił o zgodę na rozmowę telefoniczną z ośmioletnim synem.

— Odmawiam — rzekł Silczenko. — Pański syn jest zbyt młody, by rozmawiać z panem przez telefon.

Nie zgodził się również na odwiedziny ciotki Siergieja, gdyż jak twierdził, „osadzony nie mógł udowodnić", że jest ona jego krewną.

Cel tych wszystkich działań był prosty — Silczenko chciał zmusić Siergieja do wycofania zeznań obciążających Kuzniecowa i Karpowa. Jednak Siergiej pozostawał nieugięty, a za każdym razem, gdy odmawiał majorowi, ten starał się jeszcze bardziej uprzykrzyć mu życie, izolując go od świata, który znał i w którym do niedawna cieszył się wolnością.

Dopiero po przesłuchaniu, które odbyło się w styczniu 2009 roku, dowiedzieliśmy się, w jak strasznych warunkach przebywał Siergiej, całkowicie odizolowany od rodziny i narażony na szykany ze strony

Silczenki. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że stanowczo odmawiał wycofania swoich zeznań. Wtedy to zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z niezłomnej siły Siergieja.

Chociaż większość informacji, które dotarły do nas w styczniu, była niesłychanie przygnębiająca, pojawił się również pewien pozytywny akcent. Przenoszony z miejsca na miejsce Siergiej w jednej z cel poznał Ormianina oskarżonego o włamanie. Człowiek ten przygotowywał się do rozprawy i rozpaczliwie potrzebował pomocy adwokata. Nawet nie mając dostępu do kodeksów czy innych źródeł, Siergiej zdołał przygotować wyczerpującą mowę obrończą dla swojego towarzysza niedoli. Kiedy Ormianin stanął przed sądem, został nieoczekiwanie oczyszczony z zarzutów i wyszedł na wolność. Wieść o tym rozeszła się wśród osadzonych i notowania Siergieja błyskawicznie wzrosły. Z dnia na dzień stał się jednym z najbardziej lubianych i najlepiej chronionych pensjonariuszy aresztu śledczego.

Straszliwe sceny z serialu *Oz* chociaż po części przestały mnie prześladować i spałem nieco spokojniej, dowiedziawszy się, że Siergiej nie jest maltretowany przez innych więźniów. Niestety władze nie zmieniły do niego stosunku.

Pod koniec lutego Silczenko w tajemnicy przeniósł Siergieja do specjalnego ośrodka zwanego IVS1. Był to areszt przejściowy niepodlegający głównemu systemowi penitencjarnemu, gdzie śledczy mogli robić z więźniami, co im się żywnie podobało. Podejrzewaliśmy, że to właśnie tam Silczenko oraz oficerowie FSB usiłowali zmusić Siergieja do podpisania fałszywego oświadczenia. Nie mieliśmy pojęcia, jak go tam traktowali, ale podejrzewaliśmy najgorsze.

Przez następne dwa lub trzy miesiące dowiedzieliśmy się niewiele więcej. Jednego tylko byliśmy pewni — że bez względu na metody, do jakich uciekał się Silczenko i inni funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Siergiej odmawiał podpisania czegokolwiek, co mu podsuwali. Kiedy Silczenko żądał od niego, aby obciążył kogoś swoimi zeznaniami, Siergiej odpowiadał, że będzie zeznawał tylko przeciwko oficerom, którzy dopuścili się przestępstwa. W końcu major musiał zdać sobie sprawę, że poważnie zlekceważył tego łagodnego prawnika.

Im większe udręki musiał znosić Siergiej, tym silniejsza była jego determinacja. W liście do matki napisał: „Mamo, nie martw się o mnie za bardzo. Chwilami sam jestem zaskoczony własną odpornością psychiczną. Wydaje mi się, jakbym potrafił wytrzymać wszystko".

Siergiej się nie poddawał. Ale chociaż jego wola była niezłomna, organizm zaczął się poddawać. Na początku kwietnia Siergiej ponownie został przeniesiony, tym razem do aresztu zwanego Matrosskaja Tiszyna. Tam zaczął cierpieć na silne bóle żołądka. Ataki trwały wiele godzin, a ich efektem były gwałtowne wymioty. Do połowy czerwca Siergiej stracił dwadzieścia kilo. Był chory, ale nie

miałem pojęcia, co mu dolega.

Gdy Siergiej przesiedział w areszcie całą wiosnę, jakaś cząstka mnie zaczynała pragnąć, aby dał swoim prześladowcom to, czego chcieli. Robiąc to, naraziłby mnie na jeszcze większe problemy z rosyjskimi władzami, ale nie miałoby to żadnego znaczenia, gdyż w zamian pewnie wydostałby się z tego piekła i wrócił na łono rodziny.

Mijał dzień za dniem, a ja stawałem się coraz bardziej zdeterminowany, by wyciągnąć Siergieja z więzienia. Ponieważ w Rosji nie mogłem nic wskórać, musiałem wykorzystać wszystkie możliwości na Zachodzie.

Rząd brytyjski dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza się wysilać w sprawie Siergieja, zacząłem więc szukać organizacji międzynarodowych, które mogłyby mu pomóc. Najbardziej rzetelna wydała mi się Rada Europy, wszechstronna organizacja, która zajmowała się w szczególności kwestiami dotyczącymi praw człowieka. Miała siedzibę w Strasburgu, w jej skład wchodziło czterdzieści siedem państw europejskich z Rosją włącznie. Rada niedawno powierzyła przeprowadzenie śledztwa dotyczącego systemu sądownictwa karnego w Rosji niemieckiej parlamentarzystce i byłej minister sprawiedliwości, Sabine Lutheusser-Schnarrenberger, która teraz szukała najbardziej intrygujących spraw do swojego raportu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że rywalizujemy o jej uwagę z wieloma innymi ofiarami rosyjskich władz. W owym czasie w rosyjskich więzieniach przebywało około 300 tysięcy niesłusznie skazanych, toteż nie robiliśmy sobie wielkich nadziei. Mimo to nasi prawnicy skontaktowali się z jej biurem i pani komisarz zgodziła się na spotkanie. Przed spotkaniem poświęciłem tydzień na opracowanie prezentacji, w której szczegółowo krok po kroku przedstawiłem, jak nasi przeciwnicy dokonali kradzieży i jak doszło do tego, że Siergiej stał się ich zakładnikiem i jest maltretowany podczas śledztwa. Kiedy pani Lutheusser-Schnarrenberger poznała wszystkie fakty, tak klarownie przedstawione i poparte licznymi dowodami, od razu postanowiła zająć się sprawą Siergieja.

W kwietniu 2009 roku wysłała rosyjskim organom prawnym długą listę pytań. Był to obiecujący rozwój wypadków, ponieważ już sam fakt, że Rada Europy interesuje się sprawą Siergieja, mógł doprowadzić do jego uwolnienia, albo przynajmniej zapewnić mu lepsze warunki.

Niestety, do niczego takiego nie doszło.

Rosyjskie władze nie zgodziły się na osobiste spotkanie, więc Sabine Lutheusser-Schnarrenberger musiała wysłać swoje pytania na piśmie. Po długim milczeniu nadeszły odpowiedzi.

Pierwsze pytanie było proste: „Dlaczego Siergiej Magnitski został aresztowany?”.

Odpowiedź brzmiała: „Siergiej Magnitski nie został aresztowany”.

Oczywiście było to kłamstwo. Siergiej przebywał w rosyjskim więzieniu. Nie wiem, co Rosjanie sobie wyobrażali, udzielając takiej odpowiedzi.

Drugie pytanie brzmiało: „Dlaczego Siergiej Magnitski został aresztowany przez funkcjonariusza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podpułkownika Kuzniecowa, przeciwko któremu zeznawał przed aresztowaniem?”.

Odpowiedź była równie absurdalna: „Oficer o takim nazwisku nie pracuje w moskiewskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych”. Dysponowaliśmy dowodami na to, że Kuzniecow od lat jest zatrudniony w tej instytucji. Rosjanie musieli chyba uważać komisarz Rady Europy za głupią.

Niemal cała reszta odpowiedzi była tak samo niedorzeczna i kłamliwa.

Sabine Lutheusser-Schnarrenberger zamierzała umieścić wszystkie te brednie w swoim raporcie, ale miał on być gotowy dopiero w sierpniu, a Siergiej nie mógł tak długo czekać. Wciąż szukałem pomocy i natrafiłem na dwie wpływowe organizacje prawnicze, które można było zaangażować w tę sprawę — Międzynarodowe Stowarzyszenie Prawników i Brytyjskie Towarzystwo Prawnicze. Po wysłuchaniu mojej opowieści i zapoznaniu się z dokumentacją obie organizacje wystosowały listy do prezydenta Miedwiediewa i prokuratora generalnego, Jurija Czajki, domagając się uwolnienia Siergieja.

Tym razem również wiele sobie obiecywałem po tych interwencjach, okazało się jednak, że nic nie przyniosły. Na list Brytyjskiego Towarzystwa Prawniczego biuro prokuratora generalnego odpowiedziało: „Zapoznaliśmy się z wnioskiem, jednak nie znaleźliśmy podstaw do interwencji urzędowej”. Pozostałe organy rosyjskich władz nie zadały sobie nawet trudu, aby udzielić odpowiedzi na listy.

Szukając dalej pomocy, zwróciłem się ku Ameryce. W czerwcu 2009 roku zostałem zaproszony do Waszyngtonu, aby złożyć zeznanie przed amerykańskim oddziałem Komitetu Helsińskiego, niezależnej organizacji rządowej, której misją jest monitorowanie krajów byłego bloku wschodniego pod kątem przestrzegania praw człowieka. W owym czasie na jej czele stał należący do Partii Demokratycznej senator z Marylandu, Ben Cardin. Celem przesłuchania było podjęcie decyzji, które sprawy znajdą się w grafiku podczas zbliżającego się spotkania prezydentów Obamy i Miedwiediewa.

Po raz pierwszy miałem okazję przedstawić sprawę Siergieja tak znanym osobistościom amerykańskiej sceny politycznej. Senatorowie i kongresmani byli wstrząśnięci moją opowieścią o cierpieniach

moskiewskiego prawnika. Niestety, jeden z członków komitetu, Kyle Parker, podjął decyzję, że sprawa Siergieja nie zostanie ujęta w porządku obrad na najwyższym szczeblu. Parker twierdził, że jest za dużo innych, bardziej naglących kwestii, którymi należy się zająć.

Po wizycie w Waszyngtonie zdałem sobie sprawę, że aby nadać sprawie Siergieja odpowiednią wagę, musimy zwrócić na nią uwagę mediów. Na temat Siergieja ukazało się zaledwie kilka artykułów, a wszystkie zostały napisane wkrótce po jego aresztowaniu. Chociaż bardzo się starałem, dziennikarze po prostu nie wykazywali zainteresowania. Wprawdzie w Rosji działo się tyle złego, jednak historia uwięzionego prawnika nie jawiła się im jako warta opublikowania. Ilekroć zaczynałem opowiadać o skomplikowanych szczegółach sprawy Siergieja, dziennikarze przewracali oczami.

Gdy już wyczerpałem całą listę rosyjskich korespondentów, natknąłem się na młodego reportera „Washington Post", Philipa Pana. W przeciwieństwie do innych przebywał on w Moskwie od niedawna i nie był zblazowany. Od razu dostrzegł w tym temacie wielki potencjał.

Od początku lipca do sierpnia 2009 roku przeprowadził wywiady z członkami naszej ekipy, zweryfikował nasze dokumenty i stawał na głowie, by zmusić rosyjskie władze do udzielenia nam odpowiedzi. Na początku sierpnia połączył wszystkie obciążające materiały w naprawdę mocny demaskatorski artykuł. Ukazał się on 13 sierpnia w „Washington Post" i nosił tytuł *Nagonka na trzech prawników, którzy wykryli przekręt*. Pan oskarżył rosyjskie władze o oszustwo na wielką skalę i wytłumaczył, w jaki sposób chciały zatuszować przestępstwo, biorąc na cel Siergieja, Eduarda i Władimira.

W normalnych okolicznościach taka sensacyjna wiadomość wzbudziłaby wielkie poruszenie, ale tym razem panowała niezmącona cisza. Żadnej reakcji ze strony Rosjan, którzy sprawiali wrażenie, jak gdyby nic się nie stało. Co gorsza, rosyjska prasa nie podchwyciła tematu. Dziennikarze bali się pisać o czymkolwiek, co miało związek ze mną. Omijali mnie, jakbym był radioaktywny.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy ukazał się artykuł w „Washington Post", Sabine Lutheusser-Schnarrenberger ogłosiła swój raport. Ona również skrupulatnie przedstawiła, jak doszło do wyłudzenia zwrotu podatku i jak Siergiej został niesłusznie aresztowany i jest maltretowany w więzieniu. W podsumowaniu napisała: „Nie mogę się oprzeć podejrzeniom, że ten skoordynowany atak został przeprowadzony przy wsparciu wysoko postawionych urzędników. Wydaje się, że wykorzystują oni słabe punkty w systemie sądownictwa karnego Federacji Rosyjskiej".

Jej raport był stanowczy i oskarżycielski, ale również nie spotkał się z żadnym oddźwiękiem. Rosjanie zbyli go milczeniem. Ludzi, którzy pastwili się nad Siergiejem, takie rzeczy po prostu nie

obchodziły.

Urządziliśmy w firmie wielką debatę, aby zadecydować, co robić. Tradycyjne metody wsparcia nie przynosiły żadnych efektów, a nam zaczynało brakować pomysłów. Wtem nasza dwudziestoczteroletnia sekretarka wetknęła głowę do gabinetu.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale mimowolnie podsłuchałam waszą rozmowę — powiedziała. — A myśleliście o tym, żeby zamieścić film na YouTube?

W 2009 roku niespecjalnie się orientowałem, czym jest YouTube, więc sekretarka przyniosła swój laptop i pokazała, jak to działa.

Ponieważ na wszystkich innych frontach nasze działania prowadziły donikąd, warto było tego spróbować. Pod koniec roku uporządkowaliśmy wszystkie informacje na temat oszustwa, napisaliśmy scenariusz i wyprodukowaliśmy czternastominutowy film. Wyjaśniał on w prosty sposób, jak milicjanci do spółki z przestępcami zdołali okraść rosyjski skarb państwa na 230 milionów dolarów i w jaki sposób zemścili się na Siergieju, który wykrył ich oszustwo. Przygotowaliśmy dwie wersje — jedną po rosyjsku, a drugą po angielsku. Przekaz był o wiele bardziej przejrzysty i zrozumiały niż wszystko, czego próbowaliśmy do tej pory, i spodziewałem się, że wywoła ogromne wrażenie.

Paliłem się, by jak najszybciej opublikować film, ale chciałem, żeby najpierw zaaprobował go Siergiej, ponieważ to on był najbardziej narażony na ewentualne reperkusje. Przekazałem kopię scenariusza jego prawnikowi i czekałem niecierpliwie na wiadomość. Jednak okazało się, że Siergiej boryka się z poważniejszymi problemami.

Latem 2009 roku stan jego zdrowia uległ znacznemu pogorszeniu. Lekarze z więziennego ambulatorium zdiagnozowali u niego zapalenie trzustki, kamicę żółciową i zapalenie pęcherzyka żółciowego. Zalecili mu badanie ultrasonograficzne i nie wykluczali, że będzie konieczna operacja.

Tydzień przed badaniem, które było zaplanowane na 1 sierpnia 2009 roku, major Silczenko podjął decyzję o przeniesieniu Siergieja z Matrosskoj Tiszyny do Butyrek, pilnie strzeżonego więzienia, które w czasach sowieckich pełniło funkcję punktu przesiadkowego w drodze do gułagu. Miejsce to było owiane w Rosji złą sławą, o wiele bardziej ponurą niż Alcatraz w Stanach. Co gorsza okazało się, że w Butyrkach nie ma zaplecza medycznego, które zapewniłoby Siergiejowi odpowiednią opiekę.

To, co musiał tam przeżyć, przywodziło na myśl *Archipelag Gułag* Sołżenicyna.

Gdy 25 lipca został przetransportowany do Butyrek, od razu zwrócił się do władz więzienia o umożliwienie mu dalszego leczenia, które powinien mieć zapewnione. Jego prośba została jednak

najzwyczajniej zignorowana. Przez wiele tygodni marniał w celi, a z każdym dniem jego dolegliwości przybierały na sile.

W końcu późnym popołudniem 24 sierpnia ból żołądka stał się tak nieznośny, że Siergiej nie był w stanie leżeć. W każdej pozycji czuł przenikliwe kłucie, które rozchodziło się poprzez splot słoneczny i promieniowało na całą klatkę piersiową. Poczuł ulgę, dopiero kiedy podkurczył kolana, zwinął się w kłębek i zaczął się kołysać z boku na bok.

O 17.30 wrócił z przesłuchania Eryk, jego współlokator z celi, i zobaczył, że Siergiej leży na pryczy w pozycji embrionalnej i cicho pojękuje. Zapytał go, co mu jest, ale Siergiej cierpiał tak mocno, że nie zdołał odpowiedzieć. Wtedy Eryk zawołał, żeby wezwano lekarza. Usłyszał go strażnik i obiecał sprowadzić pomoc, ale na tym się skończyło. Pół godziny później Eryk zaczął uderzać w kraty, aby przyciągnąć uwagę strażnika, ale nikt nie zareagował.

Minęła godzina, gdy na korytarzu dały się słyszeć jakieś męskie głosy.

— Która cela?

— Dwieście sześćdziesiąt siedem! — krzyknął Eryk. — Proszę, chodźcie tu szybko!

Nikt jednak nie przyszedł.

W ciągu następnych kilku godzin ból stał się jeszcze bardziej nieznośny. Siergiej trzymał się dzielnie, choć łzy ciekły mu po twarzy, aż w końcu o 21.30 do celi weszli dwaj strażnicy, którzy zabrali go do izby chorych.

Musiał czekać kolejne pół godziny, podczas gdy pielęgniarka powoli wypełniała jakieś papierki. Kucał, przyciskając kolana do piersi, by złagodzić ból. Kiedy pielęgniarka skończyła wreszcie pisać, warknęła oskarżycielsko:

— No dobra. Co pana sprowadza?

Ciałem Siergieja wstrząsały silne dreszcze, więc mówił powoli przez zaciśnięte zęby.

— Boli mnie tak, że nie mogę wytrzymać. Dopraszałem się wiele razy, ale nie zostałem zbadany przez lekarza, odkąd mnie tu przeniesiono miesiąc temu.

Pielęgniarka była wyraźnie poirytowana.

— Jak to nie został pan zbadany? Badał pana lekarz w poprzednim areszcie.

— Tak. Zalecił mi leczenie i operację. Ale tutaj niczego takiego mi nie zapewniono.

— Kiedy pan do nas trafił? Dopiero miesiąc temu? I czego pan oczekuje? Chodzić w kółko do lekarza? Należało się leczyć, kiedy był pan na wolności.

— Na wolności nie chorowałem. Te dolegliwości się pojawiły,

kiedy trafiłem do aresztu.

— Proszę mi tu bajek nie opowiadać — odparła pielęgniarka i odprawiła Siergieja, nie zalecając mu żadnej kuracji. Na koniec dodała: — Jeżeli potrzebuje pan opieki medycznej, proszę napisać list do swojego lekarza.

Strażnicy odprowadzili więźnia z powrotem do celi. W końcu ból osłabł na tyle, że Siergiejowi udało się zapaść w niespokojny sen.

Teraz stało się jasne, że władze więzienia celowo odmawiają mu możliwości leczenia. Śledczy wykorzystywali chorobę, której nabawił się w areszcie, aby go złamać. Wiedzieli, że kamica żółciowa należy do najbardziej bolesnych dolegliwości. Na Zachodzie mijają dwie godziny, zanim pacjent doczołga się na ostry dyżur, gdzie lekarze aplikują mu dawkę morfiny i od razu przystępują do badania. Jednak Siergiej musiał się zmagać z nieleczoną kamicą przez cztery miesiące, i to bez żadnych środków przeciwbólowych. To, co wycierpiał, przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Siergiej oraz jego prawnicy wysłali ponad dwadzieścia listów do wszystkich instancji rosyjskiego systemu penitencjarnego, organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, rozpaczliwie błagając o zapewnienie osadzonemu pomocy medycznej. Większość tych petycji została zignorowana, ale odpowiedzi, które otrzymał, były wstrząsające.

Major Oleg Silczenko napisał: „Kategorycznie odrzucam wniosek o badanie lekarskie".

Sędzia okręgu twerskiego, Aleksiej Kriworuczko, odpowiedział: „Pańska prośba o rozpatrzenie skarg na utrudnianie dostępu do opieki medycznej i okrutne traktowanie została oddalona".

Odpowiedź Andrieja Peczegina z biura prokuratora generalnego brzmiała: „Nie ma podstaw do interwencji urzędowej".

Jelena Staszina, jedna z sędziów, którzy podjęli decyzję o przedłużeniu pobytu Siergieja w więzieniu, napisała: „Uznaję pański wniosek o zbadanie dokumentacji medycznej oraz warunków osadzenia za nieistotny dla sprawy".

Nie dość, że Siergiej był bezustannie maltretowany, zaczął go regularnie odwiedzać pewien tajemniczy mężczyzna. Odmówił on podania swojego nazwiska i nazwy instytucji, którą reprezentował, a ilekroć przychodził, strażnicy wywlekali Siergieja z celi i prowadzili do zatęchłego pomieszczenia bez okien. Spotkania trwały krótko, ponieważ człowiek ów miał tylko jedno do powiedzenia.

— Zrobisz, czego chcemy, albo zostaniesz tutaj i będziesz coraz bardziej cierpiał.

Za każdym razem Siergiej patrzył w oczy siedzącemu po drugiej stronie stołu mężczyźnie i odmawiał spełnienia jego żądań.

Nikt nie potrafi przewidzieć, ile zdoła wytrzymać, dopóki nie

zostanie do tego zmuszony. Sam nie mam pojęcia, jak bym zniósł coś takiego, i Siergiej prawdopodobnie też tego nie wiedział, dopóki nie znalazł się w takiej sytuacji. Mimo to nigdy, bez względu na konsekwencje, nie dał się zmusić do krzywoprzysięstwa. Siergiej był człowiekiem religijnym i nie zamierzał pogwałcić dziewiątego[8] przykazania, które brzmi: „Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu". Pod żadnym pozorem nie wziąłby na siebie winy za przestępstwo, którego nie popełnił, ani też nie poświadczyłby fałszywie przeciwko mnie. Zdawać by się mogło, że taki czyn byłby dla Siergieja bardziej odrażający i bolesny niż jakakolwiek fizyczna tortura.

I tak oto ten niewinny człowiek został pozbawiony wszelkiego kontaktu ze swoimi najbliższymi, zdradzony przez wymiar sprawiedliwości i odtrącony przez biurokrację, by trafić za więzienne mury, gdzie był torturowany i coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Ale nawet w najcięższych warunkach, kiedy miał jak najbardziej uzasadnione podstawy, by dać swoim prześladowcom to, czego chcieli, pozostawał nieugięty. Chociaż odebrano mu wolność i narażono go na utratę zdrowia, chociaż zagrożone było nawet jego życie, nie zdradził swoich ideałów i swojej wiary.

Siergiej ani myślał się poddać.

Rozdział 30
16 listopada 2009

Kiedy Siergiej przechodził piekło na ziemi, ja żyłem jak w transie. Najgorsze były sobotnie poranki. Budziłem się wcześnie i obracałem się na bok, by popatrzeć na Elenę leżącą obok mnie w naszym wielkim łożu małżeńskim. Nad wezgłowiem łóżka znajdowało się okno, za którym rozpościerał się widok na Londyn. Cieszyłem się wolnością, nie doskwierały mi żadne niewygody i czułem się kochany. Wciąż miałem na wyciągnięcie ręki wszystko to, co było moją miłością, podczas gdy Siergiejowi zostały tylko wspomnienia. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Chęć odkupienia komunistycznych tradycji rodzinnych moimi kapitalistycznymi aspiracjami zaprowadziła mnie do Rosji, ale nigdy nie przypuszczałem, że na skutek tych poczynań ucierpi ktoś, kogo los nie był mi obojętny.

Wstawałem, człapałem do łazienki i wchodziłem pod prysznic. Gorąca woda miała mnie oczyścić, ale nie do końca się to udawało. Obmywałem się z brudu, ale poczucie winy nadal oblepiało mnie jak smoła. Siergiej brał prysznic najwyżej raz w tygodniu, a czasem musiał czekać nawet trzy tygodnie. Woda, która lała się na jego ciało, była zimna, a mydło szorstkie, jeżeli w ogóle jakieś dostawał. W celach panowały fatalne warunki, a stan jego zdrowia coraz bardziej się pogarszał. Myśląc o tym nie raz, musiałem zwalczać ataki mdłości. Nawet dziś, kiedy wchodzę do łazienki, wciąż przypomina mi się Siergiej.

Ale wtedy w każdą sobotę wstawałem z łóżka, brałem prysznic i otaczałem miłością moją rodzinę. Kiedy docierały do mnie kolejne złe wiadomości o stanie Siergieja, jeszcze zacieklej walczyłem o jego uwolnienie. Jego sytuacja stawała się opłakana.

W październiku 2009 roku ponownie wybrałem się do Waszyngtonu i Nowego Jorku, by nadal zabiegać o poparcie dla jego sprawy. Nikt nie przejawiał nią szczególnego zainteresowania, ale ja wciąż próbowałem. Musiałem w jakiś sposób sprawić, aby cały świat przejął się tym, co działo się z Siergiejem. Nie miałem jednak pojęcia, jak tego dokonać.

Akurat wchodziłem na pokład samolotu British Airways, którym miałem wrócić do Londynu, kiedy rozległ się sygnał mojej komórki. Dzwoniła Elena. Odebrałem i zanim zdążyła się odezwać, powiedziałem:

— Kochanie, właśnie wchodzę do samolotu. Czy to może poczekać?

— Nie, nie może. Rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

właśnie wydało oficjalny akt oskarżenia.

Odszedłem na bok, przepuszczając innych pasażerów.

— Przeciwko Siergiejowi?

— Tak. — Elena zawiesiła głos. — I przeciwko tobie. Zawzięli się na was obu.

Takiego scenariusza zawsze można było się spodziewać, a jednak słysząc tę wiadomość, przeżyłem szok.

— Oni naprawdę zamierzają to zrobić.

— Tak. Urządzą wielki pokazowy proces.

Upłynęła chwila, zanim znów się odezwałem.

— Czy wiadomo, co się teraz stanie? — zapytałem.

— Eduard twierdzi, że Siergiej dostanie sześć lat, a ciebie skażą zaocznie na tyle samo. Powiedział, że Rosja ogłosi czerwony alert i będzie się ubiegać o twoją ekstradycję.

Czerwony alert Interpolu jest międzynarodowym nakazem aresztowania. Gdyby wydano go na moje nazwisko, mógłbym zostać zatrzymany na każdym przejściu granicznym zaraz po okazaniu paszportu. Potem Rosjanie złożyliby wniosek o moją ekstradycję, która najprawdopodobniej zostałaby przeprowadzona. Trafiłbym do Rosji, by przeżywać taką samą gehennę jak Siergiej.

— Bill, musimy natychmiast wydać oświadczenie prasowe, żeby zdementować ich kłamstwa.

— Dobrze — odparłem. Myśl, że miałbym stanąć przed rosyjskim sądem, kompletnie wytrąciła mnie z równowagi i dygocąc ze zdenerwowania, przyłączyłem się z powrotem do kolejki ludzi, którzy wchodzili na pokład samolotu. — Napiszę coś w powietrzu i przejrzymy to, kiedy wrócę.

— Bezpiecznego lotu, skarbie. Kocham cię.

— Ja ciebie też.

Zająłem swoje miejsce i pogrążony w myślach wlepiłem wzrok przed siebie. Wiedziałem, że teraz będę musiał się zmierzyć z lawiną przykrych nagłówków prasowych głoszących, że „Browder i Magnitski stają przed sądem za oszustwo podatkowe" albo „Rosja wydaje list gończy za Browderem". Każde sprostowanie, jakie ogłosimy, znajdzie się na samym końcu tych artykułów, więc prawie nikt nie zwróci na nie uwagi. W tym właśnie tkwił cały urok poczynań skorumpowanych rosyjskich urzędników, którzy nadużywali swojej władzy, aby kraść pieniądze i terroryzować swoje ofiary. Swoje przestępstwa ukrywali za otoczką legalności, jaką zapewniał im urzędowy status organów ochrony porządku publicznego. Prasa zawsze publikowała ich oficjalne oświadczenia, jakby były one zgodne z rzeczywistością, ponieważ w większości krajów stróżowie prawa nie kłamią w żywe oczy. Stanowiło to dla nas duży problem. Musiałem znaleźć jakiś sposób, by ogłosić, jak było naprawdę.

Samolot osiągnął pułap przelotowy, wygaszono światła, a ja próbowałem zająć wygodną pozycję w fotelu. Wpatrując się tępo w podświetlany znak informujący o zakazie palenia, nagle przypomniałem sobie o filmie, który zamierzaliśmy umieścić na YouTube. Siergiej dał nam zielone światło zaledwie tydzień wcześniej i wszystko było gotowe. Po co wydawać oświadczenie prasowe — pomyślałem — skoro mamy znacznie lepszy sposób na ujawnienie prawdy?

Po przybyciu do Londynu wsiadłem w taksówkę i pojechałem prosto do biura. Zdjąłem z półki dysk z nagraniem i przesłałem film na serwer YouTube. Zatytułowałem go: „Hermitage ujawnia oszustwo rosyjskiej milicji". Film szybko zyskał popularność i pod koniec pierwszego dnia miał już jedenaście tysięcy odsłon. Trzy dni później liczba ta wzrosła do dwudziestu tysięcy, a po tygodniu przekroczyła czterdzieści siedem tysięcy. Jak na materiał poświęcony skomplikowanemu przestępstwu i naruszeniu praw człowieka było to całkiem sporo. Wcześniej musiałem organizować serie czterdziestopięciominutowych spotkań, podczas których zapoznawałem kolejnych rozmówców z tematem. Teraz za jednym razem dziesiątki tysięcy ludzi dowiedziały się o wszystkim.

Kiedy tylko film znalazł się w sieci, zaczęli do mnie dzwonić przyjaciele, współpracownicy i znajomi, a każdy z nich był wielce zdumiony zawiłością tej sprawy. Słyszeli oni o uwięzieniu Siergieja, ale nie do końca zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, dopóki nie zobaczyli tego materiału. Wśród ludzi, którzy kontaktowali się ze mną, byli również dziennikarze. Film szybko stał się wielkim wydarzeniem. Po raz pierwszy ludzie uzmysłowili sobie, że rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie jest szacowną instytucją pilnującą przestrzegania prawa, ale raczej grupą urzędników, którzy nadużywają swojej władzy, by dokonywać oszustw finansowych na ogromną skalę. Dzięki temu filmowi zyskaliśmy po raz pierwszy mocny punkt zaczepienia, który pozwolił nam ogłosić prawdę o tym, co wydarzyło się w Rosji, i zadać naszym przeciwnikom silny cios.

Zamknięty w więziennej celi Siergiej również dzielnie stawał w obronie prawdy, nawet pomimo wszystkich cierpień, na które był narażony.

W środę 14 października 2009 roku wysłał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oficjalne dwunastostronicowe oświadczenie, w którym przedstawił dokonane przez urzędników państwowych oszustwa oraz późniejsze próby ich zatajenia. Nie pozostawiając miejsca na żadne domysły, skrupulatnie wyszczególnił, kto, gdzie i kiedy dopuścił się konkretnych czynów. W podsumowaniu napisał: „Jestem przekonany, że wszyscy członkowie grupy śledczej są wykonawcami czyichś przestępczych zleceń".

Był to dokument o niezwykłym znaczeniu i wysyłając go, Siergiej wykazał się nie lada odwagą. Komuś, kto nie zna panujących w Rosji stosunków, trudno wytłumaczyć, jak wiele ryzykował, zdobywając się na ten czyn. W Rosji wystarczy ujawnić o wiele mniej, by stracić życie. Fakt, że Siergiej dokonał tego, siedząc w więzieniu, gdzie był zdany na łaskę ludzi, którzy go tam zamknęli i których obciążał swoimi zeznaniami, świadczy o tym, z jaką determinacją starał się zdemaskować korupcję w rosyjskich organach ścigania i pociągnąć do odpowiedzialności swoich prześladowców.

W owym czasie zostałem zaproszony do Stanfordu, gdzie miałem wygłosić odczyt na temat zagrożeń związanych z inwestowaniem w Rosji. Postanowiłem zabrać ze sobą mojego syna, Davida, który miał wówczas dwanaście lat. David nigdy nie widział mojej Alma Mater i kiedy wokół działo się tyle przykrych rzeczy, zapragnąłem pokazać mu miejsce, w którym spędziłem kilka najszczęśliwszych lat życia.

Wchodząc na pokład samolotu lecącego do San Francisco, starałem się zapomnieć o wydarzeniach w Rosji. Ale bez względu na strefę czasową albo część świata, w której się znajdowałem, nie mogłem się uwolnić od myśli o Siergieju, które przepełniały mnie smutkiem i poczuciem winy. Jedynie widząc go na wolności, mógłbym zaznać spokoju.

Dzień po przybyciu na miejsce wygłosiłem odczyt. Opowiedziałem słuchaczom o moich interesach w Rosji zakończonych wydarzeniami, które w ciągu ostatniego roku bez reszty wypełniły moje życie. Zaprezentowałem również opublikowany na YouTube film, który nawet kilka osób wzruszył do łez.

Kiedy David i ja opuściliśmy salę wykładową i przechadzaliśmy się w ciepłym kalifornijskim słońcu, przez chwilę poczułem się trochę lepiej. Choć nasz film miał dziesiątki tysięcy odsłon w internecie, nigdy wcześniej nie zetknąłem się bezpośrednio z ludźmi, którzy go oglądali. Kiedy podzieliłem się historią Siergieja z publicznością wypełniającą salę i zobaczyłem przejęcie na twarzach ludzi, nie czułem się już tak bardzo osamotniony w mojej walce.

Potem jednak, kiedy spacerowałem z Davidem po kampusie, odezwała się moja komórka. Dzwonił Władimir Pastuchow, a ton jego głosu nie zwiastował niczego dobrego.

— Bill, stało się coś naprawdę okropnego.

— Co takiego?

— Właśnie dostałem wiadomość tekstową. Po rosyjsku. Treść jest taka: „Co jest gorsze, więzienie czy śmierć?”.

Przyspieszyłem kroku.

— Czy to było skierowane do ciebie?

— Nie wiem.

— Tu może chodzić o mnie. O Wadima albo… O Siergieja?

— Nie wiem. Możliwe.

— Kto to przysłał?

— Nie podpisał się.

— Skąd wziął twój numer? Nikt nie zna numeru twojej komórki.

— Nie mam pojęcia, Bill.

David przyglądał mi się zaniepokojony. Zatrzymałem się i posłałem mu niewyraźny uśmiech, aby rozproszyć jego obawy.

— Można go wyśledzić? Ustalić, kto jest nadawcą?

— Spróbuję. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko dowiem się czegoś więcej.

— Dziękuję ci.

Wszelkie pozytywne odczucia, jakich doświadczyłem, wyparowały w ciągu tej krótkiej rozmowy. Podróż powrotna do Londynu była długa i przygnębiająca. Nie miałem pojęcia, jak potraktować tę groźbę, do kogo była skierowana i co powinniśmy zrobić w tej sprawie. Sytuacja wydawała się poważna, co było bardzo niepokojące.

Po kilku dniach Władimir otrzymał kolejną wiadomość, także po rosyjsku: „Pociągi, pociągi jadą przez noc, pociągi, pociągi nigdy nie przystają". Władimir wyjaśnił mi, że był to fragment słynnego rosyjskiego wiersza, który opowiadał o niezliczonych transportach więźniów do obozów pracy w górach Uralu, gdzie czekała ich pewna śmierć.

Kilka dni później zadzwonił do mnie niespodziewanie mój wieloletni klient, Philip Fulton. Był on moim przyjacielem i powiernikiem od czasów afery Gazpromu. Właśnie przyleciał z żoną do Londynu i chciał poznać moją rodzinę. Zjedliśmy urocze śniadanie w restauracji na czwartym piętrze domu towarowego Harvey Nicholas i udało mi się na parę godzin odsunąć wszystkie zmartwienia na bok. Philip i jego żona zachwycali się moimi córeczkami i spotkanie przebiegło w miłej atmosferze. Wstyd mi się przyznawać, ale przez krótką chwilę czułem się dobrze. Zdawałem sobie sprawę, że moje problemy nie znikły, ale wiedziałem również, że jest rzeczą dopuszczalną — a może nawet wskazaną — zapomnieć o nich na kilka chwil i poudawać, że wiodę normalne życie.

Ale kiedy opuszczaliśmy restaurację, znów zadzwonił Władimir.

— Przyszła nowa wiadomość.

— Co tym razem?

— Cytat z *Ojca chrzestnego*. „Jeżeli historia nas czegoś uczy, to tego, że każdego można zabić".

— O kurwa — wykrztusiłem po chwili milczenia, a ręce zaczęły mi drżeć.

Byłem przerażony. Rankiem następnego dnia skopiowałem trzy wiadomości ze smartfona Władimira i zgłosiłem sprawę SO15,

wydziałowi antyterrorystycznemu Scotland Yardu. Policjanci z grupy dochodzeniowej przesłuchali mnie i Władimira, a technicy zajęli się identyfikacją nadawcy. Każda wiadomość została wysłana z niezarejestrowanego numeru, co było rzeczą niezwykłą. Steven Beck, nasz specjalista od ochrony, powiedział nam później, że jedynymi ludźmi w Rosji, którzy mają dostęp do niezarejestrowanych numerów, są członkowie FSB.

W czwartek 12 listopada Siergiej miał się stawić w sądzie na kolejnej rozprawie. Dojazd do sądu nigdy nie był prosty. Wszystko zaczynało się o 5 nad ranem, kiedy strażnicy wywlekali więźniów z cel i prowadzili do więziennej furgonetki. Około dwudziestu mężczyzn musiało się zmieścić w samochodzie przeznaczonym do przewozu o połowę mniejszej liczby osób, który potem kilka godzin stał na parkingu, podczas gdy jakiś urzędnik w biurze aresztu wypełniał papierki. Siergiej oraz inni więźniowie stali stłoczeni w furgonetce i czekali. Nie mieli dostępu do wody i świeżego powietrza ani możliwości skorzystania z toalety. Ta sama procedura powtarzała się po całym dniu spędzonym w sądzie i więźniowie wracali do swoich cel dopiero po północy. W ciągu dnia nie dostawali żadnych posiłków i często musieli przetrwać bez jedzenia nawet do trzydziestu sześciu godzin. W gruncie rzeczy taka wyprawa do sądu była sama w sobie formą tortury, która miała na celu pognębić więźniów i złamać ich morale, by całkiem utracili i tak już nikłą nadzieję na uniewinnienie.

Tego dnia Siergiej przyjechał do sądu późnym rankiem. Został wprowadzony do korytarza i przykuty do kaloryfera. Kiedy siedział, przeglądając petycje, których przygotowanie zajęło mu ostatnie dwa tygodnie, podszedł do niego major Silczenko i oznajmił z drwiącym uśmieszkiem:

— Przekazałem sądowi dokumenty, o które prosiłeś.

Od sześciu tygodni Siergiej domagał się różnych dokumentów związanych ze sprawą. Potrzebował ich, by należycie przygotować się do obrony, ale teraz, na dziesięć minut przed rozpoczęciem rozprawy, kiedy Silczenko załączył je wreszcie do akt, Siergiej nie miał czasu, by się z nimi zapoznać. Zanim to do niego dotarło, strażnicy odpięli go od kaloryfera, wprowadzili do sali rozpraw i zamknęli w klatce dla oskarżonych.

Wchodząc do sali, Siergiej zauważył swoją matkę i ciotkę, które siedziały w pierwszym rzędzie ławek dla publiczności. Pomachał do nich ukradkiem, starając się przybrać odważną minę.

Sędzia Jelena Staszina zaczęła rozprawę. Na początku Siergiej odczytał swoją skargę, w której zaznaczył fakt, że nie zapewniono mu w areszcie odpowiedniej opieki medycznej. Sędzia Staszina ją oddaliła. Wtedy Siergiej odczytał skargę na sfabrykowanie dowodów w aktach sprawy, jednak ta również została oddalona. Kiedy zaczął się

skarżyć na bezprawne aresztowanie, sędzia przerwała mu w pół zdania i tę skargę też oddaliła. W sumie Staszina oddaliła kilkanaście wniosków, które chciał złożyć. Gdy Siergiej poprosił o więcej czasu, aby mógł się zapoznać z nowymi materiałami, które dostarczył Silczenko, sędzia kazała mu milczeć.

Ale Siergiej nie zamierzał siedzieć cicho. Podniósł się z ławy oskarżonych i stojąc w klatce, donośnym głosem, który nie przystawał do jego stanu zdrowia, oskarżył Staszinę o naruszenie przepisów i pogwałcenie jego praw. Swoją przemowę zakończył słowami:

— Odmawiam udziału w dzisiejszej rozprawie, ponieważ wszystkie petycje, w których domagam się poszanowania moich praw, zostały najzwyczajniej zignorowane przez sąd.

To powiedziawszy, usiadł i odwrócił się od sędzi, a rozprawa toczyła się dalej bez jego udziału. Staszina pozostała niewzruszona. Omówiła kilka kwestii technicznych, a następnie bez zmrużenia oka zarządziła przedłużenie aresztu. Rozprawa dobiegła końca. Siergiej nie miał nawet siły, by uśmiechnąć się do swoich bliskich, kiedy strażnicy wyprowadzali go z klatki.

Posadzono go znów na korytarzu i przykuto do tego samego kaloryfera. Ani jego adwokat, ani rodzina nie mogli zobaczyć się z nim przez całą resztę wieczoru. Matka i ciotka Siergieja marzły przez wiele godzin, czekając przed sądem na furgonetkę, która miała go zawieźć z powrotem do Butyrek, aby do niego pomachać i powiedzieć mu, że go kochają. Minęła jednak 21.00, a samochód wciąż się nie pokazywał. Zimno, rozpacz i smutek doskwierały im coraz bardziej. W końcu dały za wygraną i wróciły do domu.

Dowiedziałem się o tym wszystkim następnego dnia rano. Kiedy przekazałem tę relację Elenie, poważnie się zaniepokoiła.

— To mi się nie podoba, Bill. Nie podoba mi się to ani trochę.

Przyznałem jej rację.

— Trzeba kogoś wysłać do Butyrek — nalegała Elena. — Ktoś musi dzisiaj zobaczyć się z Siergiejem.

Ale nikt nie mógł tego zrobić. Jego adwokat, jedyna osoba uprawniona do odwiedzania go w areszcie, wyjechał z miasta i miał wrócić dopiero w poniedziałek.

Kwadrans po północy zawibrował sygnał poczty głosowej w moim blackberrym. Nikt nie dzwonił do mnie nigdy na ten telefon. Nikt nie znał nawet tego numeru. Spojrzałem na Elenę i odsłuchałem pocztę głosową. Była tylko jedna wiadomość.

Pośród odgłosów brutalnych uderzeń usłyszałem przeraźliwe krzyki i błagania jakiegoś mężczyzny. Nagranie trwało około dwóch minut i urywało się w połowie pełnego bólu zawodzenia. Odtworzyłem je jeszcze raz dla Eleny. Potem siedzieliśmy na łóżku, nie mogąc zasnąć, i rozważaliśmy wszelkiego rodzaju makabryczne

scenariusze.

Kiedy tylko wzeszło słońce, zacząłem wydzwaniać do wszystkich, których znałem. Wszyscy czuli się dobrze. Jedyną osobą, do której nie mogłem zadzwonić, był Siergiej.

W poniedziałek 16 listopada 2009 roku adwokat Siergieja, Dmitrij, przyjechał do Butyrek, aby się z nim zobaczyć. Został jednak poinformowany, że nie można przyprowadzić Siergieja na widzenie, ponieważ jest „zbyt niedysponowany, by opuścić celę". Kiedy Dmitrij zażądał zaświadczenia lekarskiego o stanie zdrowia Siergieja, kazano mu się zwrócić do Silczenki. Zadzwonił do niego i poprosił o kopię tego dokumentu, ale major oznajmił, że jest to „wewnętrzna sprawa śledztwa" i odmówił podania jakichkolwiek szczegółów.

Celowo starano się spławić Dmitrija. Siergiej był w znacznie poważniejszym stanie niż zwykła „niedyspozycja". Nieleczone od miesięcy zapalenie trzustki, kamica żółciowa i zapalenie pęcherzyka żółciowego sprawiły, że organizm w końcu się poddał i stan Siergieja okazał się krytyczny. Chociaż administracja aresztu w Butyrkach dotychczas odrzucała jego liczne prośby o zapewnienie opieki medycznej, tego dnia został wreszcie przewieziony do ambulatorium w Matrosskoj Tiszynie, gdzie miał otrzymać pomoc.

Gdy dojechał na miejsce, zamiast na izbę chorych trafił do izolatki, gdzie przykuto go kajdankami do ramy łóżka. Potem do celi weszło ośmiu strażników w pełnym rynsztunku bojowym. Siergiej zażądał, aby ich dowódca skontaktował się z jego adwokatem i prokuratorem.

— Znalazłem się tutaj, ponieważ ujawniłem kradzież pięciu miliardów czterystu milionów rubli, której dokonali funkcjonariusze organów ścigania — powiedział.

Ale strażnicy nie przyszli mu pomóc. Przyszli go pobić. Zaczęli go wściekle okładać gumowymi pałkami.

Godzinę i osiemnaście minut później przybył na miejsce cywilny lekarz, który znalazł leżące na podłodze zwłoki Siergieja Magnitskiego.

Żona Siergieja miała już nigdy nie usłyszeć jego głosu. Jego matka miała już nigdy nie zobaczyć spokojnego uśmiechu na twarzy syna. Jego dzieci miały już nigdy nie poczuć łagodnego uścisku ojcowskich rąk.

„Przetrzymywanie mnie w areszcie nie ma nic wspólnego z przewidzianym w prawie przeznaczeniem tego środka zapobiegawczego — pisał Siergiej w swoim więziennym dzienniku. — Jest to kara, którą wymierzono mi za to, że broniłem interesów mojego klienta, jak również państwa rosyjskiego".

Siergiej Magnitski oddał życie za swoje ideały. Zginął, ponieważ wierzył w prawo. Zginął, bo kochał ludzi i Rosję. Miał trzydzieści

siedem lat.

Rozdział 31
Kłamstwo katyńskie

W kwietniu 1940 roku, na początku II wojny światowej, stacjonujący na Białorusi oficer NKWD, Wasilij Michajłowicz Błochin, otrzymał rozkaz stracenia jak największej liczby polskich jeńców wojennych. Miał to przeprowadzić sprawnie i nie dopuścić, by Polacy zorientowali się, jaki los ich czeka. Na terenie obozu jenieckiego Błochin kazał zbudować specjalną szopę. Miała ona dwa wejścia i ze wszystkich stron była otoczona workami z piaskiem. Każdy z jeńców, których wprowadzano do środka pojedynczo, musiał uklęknąć, a wtedy Błochin zabijał go strzałem w tył głowy. Ciała wynoszono drugimi drzwiami i ładowano na ciężarówkę. Gdy ciężarówka była pełna, wywoziła zwłoki do lasu, gdzie zrzucano je do zbiorowego grobu.

Błochin spisywał się doskonale. Ożywiał się w nocy i pracował niezmordowanie od zmierzchu do świtu. Początkowo używał będącego w standardowym wyposażeniu armii radzieckiej rewolweru, ale potem zamienił go na niemieckiego walthera PPK. Pistolet ten miał słabszy odrzut, dzięki czemu tak bardzo nie bolała go ręka. W ciągu dwudziestu ośmiu dni, pozwalając sobie tylko na jedną przerwę z okazji majowego Święta Pracy, Błochin zamordował około siedmiu tysięcy polskich jeńców. Niemniej ten niezwykle wydajny kat był zaledwie jednym z wykonawców zorganizowanej przez reżim stalinowski wielkiej masakry, w efekcie której straciły życie dwadzieścia dwa tysiące polskich żołnierzy i oficerów. Większość z nich została pochowana w lesie katyńskim.

Gdy wojna dobiegła końca i odkryto masowe groby, władze sowieckie ogłosiły, że za tę zbrodnię odpowiadają Niemcy. Świat wiedział o wszystkich niewyobrażalnych potwornościach, jakich naziści dopuścili się podczas wojny, więc takie kłamstwo brzmiało całkiem przekonująco. Aby je uwiarygodnić, Rosjanie spreparowali dowody, opublikowali oficjalne raporty i powtarzali swoje insynuacje tak często i przy tak wielu okazjach, ze słynnym procesem norymberskim włącznie, że ich wersja wydarzeń stała się niepodważalna. Dopiero po wielu dziesięcioleciach, na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Związek Radziecki znajdował się na krawędzi rozpadu i nie miał już sił, by dłużej podtrzymywać tę mistyfikację, Rosjanie ujawnili, co tak naprawdę wydarzyło się w lesie katyńskim.

Mogłoby się wydawać, że kiedy Rosja wkroczyła w XXI wiek, jej rząd zaprzestał tego rodzaju praktyk. Ale kiedy Władimir Putin

doszedł do władzy w 2000 roku, zamiast zlikwidować tę machinę kłamstw i fałszerstwa, zmodyfikował ją i uczynił jeszcze potężniejszą.

Morderstwo Siergieja Magnitskiego stało się typowym przykładem tego podejścia, a my mieliśmy niepowtarzalną okazję, by zobaczyć, jak funkcjonują wszystkie tryby i tłoki tej machiny.

Wczesnym rankiem 17 listopada, kilka godzin przed wschodem słońca, matka Siergieja, Natalia, jak co tydzień wybrała się do aresztu w Butyrkach, by dostarczyć synowi paczkę z jedzeniem i lekarstwami. O 5.30 ustawiła się pod bocznym wejściem wraz z członkami rodzin innych więźniów. Wszyscy przychodzili wcześnie, gdyż przesyłki dla więźniów przyjmowano tylko między 9.00 a 11.00 we czwartki. Gdyby Natalia nie zdążyła w tym terminie, musiałaby czekać przez cały następny tydzień. Ponieważ większość aresztowanych nie mogłaby przetrwać bez tych paczek, matka Siergieja nigdy się nie spóźniała.

Tego ranka kolejka poruszała się wolno. Natalia tłoczyła się wraz z pięćdziesięcioma innymi oczekującymi w wąskim korytarzu prowadzącym do kantorka, w którym dwoje strażników więziennych przyjmowało paczki. Gdy w końcu o 9.40 przyszła kolej na nią, wręczyła strażniczce listę przedmiotów, które przyniosła.

Kobieta spojrzała na formularz i energicznie pokręciła głową.

— Ten więzień nie przebywa już w naszym zakładzie — oświadczyła. — Wczoraj wieczorem został przewieziony do Matrosskiej Tiszyny.

— Do tamtejszego szpitala? — zapytała niespokojnie Natalia.

Mając w pamięci mizerny wygląd Siergieja podczas rozprawy sądowej przed kilkoma dniami, martwiła się o zdrowie syna i miała nadzieję, że nie doszło do jakiejś krytycznej sytuacji.

— Nie wiem — odparła funkcjonariuszka surowym tonem.

Natalia wzięła paczkę pod pachę i w pośpiechu wyszła na zewnątrz. Udała się do metra i dojechała do Matrosskiej Tiszyny na 10.30. Na szczęście w kolejce do przyjmowania paczek czekały tylko trzy osoby.

— Powiedziano mi, że przebywa tutaj mój syn, Siergiej Magnitski — odezwała się, gdy przyszła na nią kolej.

Strażniczka nie zajrzała nawet do dziennika ani nie wpisała nazwiska do systemu komputerowego.

— Tak, został tutaj przewieziony wczoraj w bardzo złym stanie.

Natalię zaczęła ogarniać panika.

— Co się z nim stało? Czy nic mu nie jest?

Kobieta milczała przez kilka sekund.

— Obawiam się, że nie — odpowiedziała wreszcie. — Zmarł wczoraj o dziewiątej wieczorem.

Matka Siergieja krzyknęła z przerażenia.

— Co? Co takiego?

— Zmarł na skutek martwiczego zapalenia trzustki, przepukliny przewodu pokarmowego i wstrząsu toksycznego — wyjaśniła funkcjonariuszka beznamiętnym tonem. — Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

Natalia zaczęła dygotać. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Wiadomość o śmierci syna była dla niej tak silnym wstrząsem, że musiała oprzeć się o biurko, aby nie upaść. W oczach wzbierały jej łzy.

— Niechże pani się odsunie, bo muszę obsłużyć następną osobę — chłodno powiedziała strażniczka.

Matka Siergieja nawet na nią nie spojrzała.

— Musi pani odejść na bok — powtórzyła kobieta i wskazała na plastikowe krzesło stojące pod ścianą.

Natalia powiodła wzrokiem za jej palcem i powłócząc nogami, ruszyła w tamtą stronę. Inni ludzie stojący w kolejce przyglądali się jej, ale nikt nie wiedział, jak się zachować.

Opadłszy ciężko na twarde plastikowe krzesło, Natalia wybuchła płaczem. Po kilku minutach zdołała opanować się na tyle, by zadzwonić do adwokata Siergieja, Dmitrija, który miał w okolicy swoje biuro. Gdy kwadrans później Dmitrij przybył na miejsce, Natalia nie była już w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Adwokat wziął sprawy w swoje ręce i zażądał widzenia z lekarzem dyżurnym. Po kilku minutach zjawił się jakiś mężczyzna w białym kitlu. Potwierdził informację na temat przyczyny śmierci i oświadczył, że ciało Siergieja zostało przewiezione do kostnicy nr 11, gdzie można dowiedzieć się czegoś więcej.

Tego ranka mój telefon zadzwonił o 7.45. W Moskwie była 10.45. Odebrałem połączenie i rozpoznałem w słuchawce głos Eduarda, który mówił coś szybko po rosyjsku. Podałem aparat Elenie. Słuchała przez kilka sekund, po czym gwałtownie wciągnęła powietrze, a w jej oczach pojawiły się łzy. Później zaczęła krzyczeć. Nie po rosyjsku czy angielsku. Żadnych słów, tylko nieartykułowany skowyt. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś wydawał z siebie taki odgłos.

Kiedy powiedziała mi, że Siergiej nie żyje, zerwałem się na równe nogi i zacząłem chodzić w kółko jak dzikie zwierzę uwięzione w klatce.

Śmierć Siergieja tak dalece przerastała najmroczniejsze z moich koszmarów, że nie wiedziałem, jak się zachować. Ból, który czułem, miał fizyczny wymiar, jakby ktoś ugodził mnie nożem w brzuch.

Przez kilka minut miotałem się po domu, dysząc ciężko i powstrzymując łzy, aż w końcu zdołałem się opanować na tyle, by zadzwonić do kilku osób. Pierwszą z nich był Władimir. On zawsze wiedział, jak postąpić, co powiedzieć, do kogo się zwrócić — ale nie tym razem. Kiedy przekazałem mu tę tragiczną wiadomość, na linii

zapadła cisza. Władimir zaniemówił.

— Bill, to jest okropne — wyszeptał w końcu.

Rezygnując z prysznica, naciągnąłem spodnie, włożyłem koszulę i wybiegłem na ulicę, by złapać taksówkę. Do biura przyjechałem pierwszy, ale w ciągu dwudziestu minut wszyscy byli już na miejscu, wyrwani z domowych pieleszy i pogrążeni w smutku.

Podczas każdego poważnego kryzysu decydujące znaczenie mają działania, jakie podejmuje się w ciągu pierwszych kilku godzin. Szybko przygotowaliśmy oświadczenie prasowe po angielsku i po rosyjsku. Do niego załączyliśmy czterdziestostronicowy odręczny dokument, w którym Siergiej szczegółowo opisał swoje męczarnie, utrudnianie dostępu do opieki medycznej oraz inne ciężkie przejścia, na jakie naraziły go władze więzienia. Następnie rozesłaliśmy ten materiał, modląc się, aby tym razem wzbudził czyjeś zainteresowanie.

I tym razem wszyscy byli zainteresowani.

Większość poważnych gazet podjęła temat, a reporterzy zwracali się do rosyjskich władz, prosząc o komentarz. Rzecznikiem prasowym rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych była Irina Dudukina, pulchna czterdziestoletnia kobieta o jasnych włosach. Wkrótce po tym, jak zaczęły się telefony od dziennikarzy, ogłosiła oficjalną wersję wydarzeń. Według niej Siergiej nie zmarł na skutek martwiczego zapalenia trzustki, przepukliny przewodu pokarmowego i wstrząsu toksycznego, jak wcześniej poinformowano jego matkę, lecz przyczyną śmierci była „niewydolność krążenia" i nie stwierdzono „żadnych oznak użycia przemocy".

Tego samego dnia Dudukina posunęła się jeszcze dalej, zamieszczając oficjalny komunikat na stronie internetowej ministerstwa. Głosił on, że „w aktach sprawy nie było ani jednej skargi Magnitskiego na stan zdrowia", a „jego nagła śmierć przyprawiła śledczych o szok".

Było to wierutne kłamstwo. W aktach sprawy znajdowało się nie tylko wiele skarg, ale również odpowiedzi odmowne wydane przez majora Silczenkę oraz innych oficerów śledczych, którzy nie wyrazili zgody, żeby Siergieja otoczono opieką medyczną.

Dudukina skłamała również w kwestii czasu i miejsca śmierci Siergieja. Twierdziła, że Siergiej zmarł o 21.50 na łóżku w oddziale ratunkowym aresztu Matrosskaja Tiszyna, kiedy lekarze próbowali go reanimować. Było to całkowicie sprzeczne ze słowami cywilnego lekarza, który pierwszy przybył na miejsce i zeznał, że Siergiej zmarł około godziny 21.00 na podłodze w celi.

Nigdy nie miałem okazji poznać matki ani żony Siergieja. Zawsze kontaktowałem się bezpośrednio z nim, a kiedy został aresztowany — za pośrednictwem jego adwokata. Teraz jednak z jego najbliższymi połączyła mnie na zawsze nierozerwalna więź.

Pierwszy raz zadzwoniłem do jego matki 17 listopada. Wadim pełnił funkcję tłumacza. Chciałem nie tylko wyrazić najgłębsze ubolewanie, ale również zapewnić, że czuję się odpowiedzialny za to, co spotkało jej syna, i że nie jest osamotniona w swoim bólu. Była to jedna z najtrudniejszych rozmów, jakie przeprowadziłem w życiu. Natalia była niepocieszona. Siergiej, jej jedyny syn, był dla niej wszystkim. Ilekroć zaczynała mówić, głos jej się łamał i wybuchała płaczem. Nie chciałem przysparzać jej bólu, ale zależało mi, aby wiedziała, że zamierzam przejąć rolę Siergieja i otoczyć całą jego rodzinę opieką. Co ważniejsze, chciałem jej powiedzieć, że dołożę wszelkich starań, aby ludzie, którzy dręczyli i zabili jej syna, zostali pociągnięci do odpowiedzialności, i nie spocznę, dopóki tego nie zrobię.

Niestety, nie mogłem udać się do Moskwy, aby im pomóc, zatem bliscy Siergieja sami musieli sobie radzić z żałobą. Dzień po jego śmierci zażądali, aby w oficjalnej sekcji zwłok brał udział niezależny lekarz sądowy, ale prokurator nie zgodził się na to, mówiąc: „Wszyscy nasi lekarze sądowi są tak samo niezależni".

Dwa dni później Natalia poprosiła o wydanie ciała Siergieja rodzinie, która chciała zorganizować własną autopsję. Ten wniosek również został odrzucony z uzasadnieniem, iż „nie ma powodu, aby podważać wyniki oficjalnej autopsji".

Tego samego dnia Natalia udała się do kostnicy nr 11. Gdy dotarła na miejsce, powiedziano jej, że ciało Siergieja nie jest przechowywane w chłodni, gdyż nie ma tam już miejsca, i że powinno zostać natychmiast pochowane, w przeciwnym razie zacznie się rozkładać. Gdy zapytała, czy może odebrać zwłoki syna, aby rodzina mogła urządzić nabożeństwo żałobne z otwartą trumną, urzędnik kategorycznie zaprzeczył i oznajmił:

— Ciało zostanie wydane tylko zarządowi cmentarza.

Następnego dnia rodzina musiała poczynić przygotowania do pogrzebu. Matka Siergieja wraz z jego żoną i ciotką pojechały do kostnicy, aby dostarczyć czarny garnitur, biała koszulę i niebieski krawat w paski. Kobiety liczyły, że będą mogły po raz ostatni zobaczyć zmarłego. Pracownik kostnicy zgodził się niechętnie. Schodami zaprowadził je do piwnicy, a potem korytarzem do pogrążonego w półmroku pomieszczenia, w którym unosił się mdlący zapach formaliny i rozkładu. Po piętnastu minutach mężczyzna wepchnął do wnętrza wózek, na którym spoczywały zwłoki.

— Teraz możecie się pożegnać — powiedział.

Ciało Siergieja było przykryte białym prześcieradłem pod samą szyję. Natalia przyniosła ze sobą świecę, którą zgodnie z prawosławnym obrządkiem chciała włożyć synowi do ręki. Gdy podniosła prześcieradło, widok sińców na jego dłoniach i głębokich

ran na nadgarstkach przyprawił ją o wstrząs. Wszystkie trzy kobiety, gdy zauważyły te obrażenia, zaczęły szlochać.

Zalewając się łzami, po kolei ucałowały Siergieja w czoło i uścisnęły jego pokaleczone ręce. Potem wręczyły ubranie pracownikowi kostnicy i wyszły.

Rankiem 20 listopada 2009 roku z kostnicy nr 11 wyjechała furgonetka, która wiozła drewnianą brązową trumnę, i udała się w kierunku cmentarza Preobrażeńskiego położonego w północno-wschodniej części Moskwy. Przyjaciele Siergieja wyjęli trumnę z samochodu i umieścili ją na wózku, po czym kondukt pogrzebowy ruszył w stronę miejsca pochówku. Wiele osób niosło wielkie bukiety kwiatów, a gdy trumna spoczęła obok przygotowanego grobu, zdjęto jej wieko. Siergiej był ubrany nienagannie. Leżał okryty białym bawełnianym całunem, który sięgał mu do piersi. Jego skóra miała naturalny kolor. Chociaż ślady przemocy na jego rękach były wyraźnie widoczne, wyglądał spokojnie i takiego wszyscy mieli go zapamiętać.

Jego krewni i przyjaciele podchodzili kolejno, aby się pożegnać, i kładli czerwone róże u jego stóp. Natalia i wdowa po Siergieju, Natasza, zanosząc się płaczem, ułożyły wokół jego głowy girlandę białych róż. Nie przestawały płakać, kiedy zamykano wieko trumny i opuszczano ją do grobu.

Od momentu śmierci Siergieja wszystkie wydziały rosyjskich organów ścigania starały się zatuszować sprawę. W środę 18 listopada Komitet Śledczy wydał oświadczenie, w którym napisano: „Nie znaleziono żadnych podstaw do wszczęcia dochodzenia w sprawie śmierci Magnitskiego". Trzy dni po pogrzebie, 23 listopada, biuro prokuratora generalnego ogłosiło, że „nie dopatrzono się żadnych uchybień w czynnościach urzędowych, ani oznak naruszenia prawa. Śmierć nastąpiła wskutek ostrej niewydolności krążenia". W końcu 24 listopada naczelnik aresztu Matrosskaja Tiszyna oświadczył: „Nie odkryto śladów żadnych wykroczeń. Śledztwo dotyczące śmierci Magnitskiego należy zakończyć, a jego sprawę przenieść do archiwum".

Ale sprawa Siergieja nie mogła tak po prostu zniknąć. Każdy więzień radzi sobie na swój sposób z przeciwnościami, jakie spotykają go za kratkami, a metoda Siergieja polegała na skrupulatnym notowaniu wszystkiego. Podczas 358 dni pobytu w areszcie on i jego adwokaci złożyli 450 skarg, opisując szczegółowo, kto, jak, kiedy i gdzie naruszył jego prawa. Owe skargi, jak również dowody, które w końcu ujrzały światło dzienne, uczyniły morderstwo Siergieja najlepiej udokumentowanym przypadkiem pogwałcenia praw człowieka, jaki przydarzył się w Rosji na przestrzeni ostatnich trzydziestu pięciu lat.

W ciągu tygodnia po śmierci Siergieja całkowicie stłumiłem swoje emocje. Z całych sił starałem się szukać w Rosji sprawiedliwości, ale

wszyscy zgodnym chórem wypierali się wszystkiego, co działało na mnie demoralizująco. Wieczorem 25 listopada wróciłem do domu i zasiadłem do kolacji z Eleną. Oparłem głowę na rękach i zamknąłem oczy. Spodziewałem się, że Elena pogłaszcze mnie po karku albo powie coś, by poprawić mi nastrój, jak czyniła to wiele razy. Teraz jednak coś innego zaprzątało jej uwagę.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że jest pochłonięta czytaniem jakiegoś e-maila na swoim blackberrym.

— Co się stało? — zapytałem.

Elena uniosła dłoń i doczytała wiadomość do końca.

— Miedwiediew właśnie zażądał śledztwa w sprawie śmierci Siergieja — powiedziała.

— Co?

— Prezydent Miedwiediew zamierza wszcząć śledztwo.

— Naprawdę?

— Tak. Tu jest napisane, że komisarz praw człowieka zapoznał go z tą sprawą i że prezydent nakazał prokuratorowi generalnemu i ministrowi sprawiedliwości przeprowadzić dochodzenie.

Niemal w tej samej chwili, gdy Elena powiedziała mi o tym, zadzwonił mój telefon.

— Bill, znasz już najnowsze wieści o Miedwiediewie? — zapytał Władimir.

— Właśnie je czytamy z Eleną. Co o tym sądzisz?

— Widzisz, Bill, nie wierzę w ani jedno słowo, jakie mówią ci ludzie. Ale co nam szkodzi?

— Myślę, że nic — odparłem.

Chociaż nic nie mogło zmienić faktu, że Siergiej nie żyje, wiadomość ta sugerowała, że w murach rosyjskiej twierdzy zła powstał jakiś wyłom. Pojawiała się nadzieja, że Rosjanie nie pójdą za przykładem kłamstwa katyńskiego, zatajając całą prawdę o sprawie Siergieja.

Dwa tygodnie później, 11 grudnia, rzecznik prezydenta oświadczył, że „w następstwie" śmierci Siergieja dwudziestu funkcjonariuszy służby więziennej otrzyma dymisje. Słysząc to, zacząłem sobie wyobrażać, że oprawcy Siergieja zostaną aresztowani we własnych domach i wtrąceni do tych samych cel, w których przetrzymywali swoją ofiarę. Niestety, jeszcze tego samego dnia do mojego biurka podszedł Wadim z plikiem kartek w ręku. Minę miał ponurą.

— Co to jest? — zapytałem, wskazując na papiery.

— Nazwiska zwolnionych funkcjonariuszy. Dziewiętnastu z nich nie ma absolutnie nic wspólnego z Siergiejem. Kilku z nich pracowało w tak odległych miejscach, jak Władywostok i Nowosybirsk, czyli tysiące kilometrów od Moskwy.

— Czy w ogóle któryś miał z nim jakikolwiek związek?

— Jeden. Ale to kompletna bzdura. Mydlenie oczu.

Podsumowaniem strategii zaprzeczeń i udawanych represji była reakcja na raport moskiewskiej Komisji Nadzoru Publicznego, który został opublikowany 28 grudnia. KNP jest organizacją pozarządową, która zajmuje się badaniem przypadków nagłych zgonów w niejasnych okolicznościach, do jakich dochodzi w moskiewskich więzieniach. Wkrótce po śmierci Siergieja komisja wszczęła śledztwo, na którego czele stanął nieprzekupny urzędnik, Walery Borszew. Przesłuchał on strażników, lekarzy oraz więźniów, którzy mieli jakąkolwiek styczność z Siergiejem. Wraz ze swoim zespołem przestudiował również złożone przez niego skargi oraz urzędowe akta związane z jego sprawą. Wnioski były jednoznaczne. W raporcie KNP napisano, że Siergiejowi „notorycznie odmawiano udzielenia pomocy lekarskiej", że „poddawano go fizycznym i psychicznym torturom", że „jego prawo do życia zostało pogwałcone przez państwo", że „oficerowie śledczy, prokuratorzy i sędziowie odpowiadają za nieznośne warunki, w jakich był przetrzymywany" i w końcu, że „po jego śmierci urzędnicy państwowi kłamali i starali się zataić prawdę na temat jego cierpień i okoliczności zgonu".

Borszew przekazał swój raport pięciu agencjom rządowym, do których należała kancelaria prezydenta, Ministerstwo Sprawiedliwości i biuro prokuratora generalnego.

Żadna z tych instytucji nigdy nie udzieliła odpowiedzi.

Dla władz nie miało znaczenia, że „Nowaja Gazieta" zamieściła na pierwszej stronie niepublikowane zapiski więzienne Siergieja i że każdy mógł je przeczytać.

Nie miało znaczenia, że od śmierci Siergieja jego nazwisko zostało wymienione w 1148 artykułach, które ukazały się w prasie rosyjskiej i w 1257 artykułach opublikowanych na Zachodzie.

Nie miało znaczenia, że skrytobójcza śmierć Siergieja naruszyła umowę społeczną, na którą wszyscy się godzili: jeżeli nie mieszasz się w żadne kontrowersyjne sprawy — politykę, prawa człowieka lub cokolwiek związanego z Czeczenią — to możesz żyć spokojnie i cieszyć się osiągnięciami despotycznego reżimu.

Rosyjski rząd był tak bardzo pochłonięty tuszowaniem prawdy, że zlekceważył najbardziej emocjonalne aspekty sprawy Siergieja. Był on zwyczajnym, wywodzącym się z klasy średniej specjalistą od prawa podatkowego, który co rano kupował kawę w Starbucksie, kochał swoją rodzinę i ślęczał nad papierkami przy swoim biurku. Jego nieszczęście polegało na tym, że kiedy wpadł na trop wielkiej afery korupcyjnej z udziałem wysoko postawionych urzędników państwowych, zachował się, jak na rosyjskiego patriotę przystało, i złożył doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Za ten czyn

pozbawiono go prawa do normalnego życia i zamknięto w jednej z najmroczniejszych katowni, gdzie został zamęczony na śmierć.

Nie miało znaczenia, że równie łatwo podobny los mógł spotkać każdego Rosjanina.

Starając się powściągnąć sceptycyzm, żywiłem nadzieję, że Rosja ma już daleko za sobą czasy masowego, wspieranego przez rząd zakłamania, byłem jednak w błędzie. Pod płaszczykiem świetlanej propagandy wciąż czaiło się zło.

Zatem jeżeli zależało mi, aby oddać Siergiejowi sprawiedliwość, musiałem jej szukać poza Rosją.

Rozdział 32
Wojna Kyle'a Parkera

Tylko jak na Zachodzie szukać sprawiedliwości w sprawie tortur i morderstwa, których dopuszczono się w Rosji?

Ponieważ rząd brytyjski nie okazał się skłonny do udzielenia pomocy, musiałem poszerzyć zakres swoich poszukiwań. Nasuwał się logiczny wniosek, że ze względu na moją przeszłość kolejnym miejscem, w które powinienem się udać, są Stany Zjednoczone. We wtorek 2 marca 2010 roku przyleciałem do Waszyngtonu, gdzie czekało mnie kilka spotkań zaplanowanych na początek miesiąca. W Waszyngtonie było chłodno i dżdżysto. Pierwszą osobą, z którą miałem się zobaczyć, był Jonathan Winer, światowej sławy prawnik specjalizujący się w sprawach kryminalnych. Zanim otworzył własną kancelarię, sprawował urząd zastępcy sekretarza stanu do spraw narkotyków i organów ścigania, powszechnie nazywanego w Ameryce „sekretarzem od prochów i bandziorów". Odpowiadał za politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych dotyczącą przemytu narkotyków i rosyjskiej mafii. Potrafił skutecznie działać i był naprawdę twardy.

Dzień po przyjeździe udałem się do jego biura w centrum miasta. Zważywszy na reputację Winera, wyobrażałem go sobie jako wysokiego i szorstkiego faceta w typie bohaterów, w których wcielał się Clint Eastwood, toteż przestępując próg jego gabinetu, pomyślałem, że chyba pomyliłem drzwi. Moim oczom ukazał się niewysoki, łysiejący mężczyzna w średnim wieku o pociągłej twarzy, podobny do jednego z moich ulubionych profesorów ekonomii z czasów studenckich. W niczym nie przypominał bohaterskiego pogromcy kryminalistów, jakiego spodziewałem się zobaczyć.

Jonathan zaprosił mnie do środka, a gdy usiadłem, poprosił mnie uprzejmie, abym przedstawił mu całą historię. Słuchał uważnie, co jakiś czas robiąc notatki. Cały czas milczał i odezwał się dopiero, kiedy skończyłem opowiadać. Wtedy to zacząłem rozumieć, czym zasłużył sobie na swoją opinię.

— Rozmawiał pan już o tym z komisją senacką do spraw stosunków międzynarodowych? — zapytał mnie niskim głosem.

— Nie. A powinienem?

— Owszem. Proszę ją dopisać do listy. — Winer postawił znaczek obok jednego z punktów na swojej kartce. — A co z komisją śledczą Izby Reprezentantów?

— Też nie. A co to takigo? — zapytałem, czując się jak coraz większy ignorant.

— To komisja kongresowa, która ma praktycznie nieograniczoną

władzę w kwestii powoływania świadków. Ją też proszę dodać do listy. A Helsińska Fundacja Praw Człowieka?

— Tak, jestem umówiony na spotkanie ostatniego dnia pobytu.

Poczułem się odrobinę lepiej, widząc, że nie jestem całkowicie nieprzygotowany. Chociaż dopiero poznałem tego człowieka, zależało mi na jego aprobacie.

— To dobrze. Oni są ważni. Po tym spotkaniu chciałbym się dowiedzieć, jak panu poszło. — Winer postawił kolejny znaczek w swoich notatkach. — A co z Departamentem Stanu? Będzie się pan widział z kimś od nich?

— Tak, jutro. Nazywa się Kyle Scott i kieruje sekcją rosyjską.

— To dopiero początek. Później przydzielą panu kogoś wyższego rangą, ale na razie tyle wystarczy. — Jonathan na moment zawiesił głos. — Ma pan jakiś plan?

Każde jego pytanie uświadamiało mi coraz bardziej, że nie mam pojęcia, co robię.

— Cóż, zamierzałem im opowiedzieć, co się przytrafiło Siergiejowi — odparłem niepewnie.

Jonathan uśmiechnął się dobrotliwie, jak gdyby rozmawiał z dzieckiem.

— Scott dostał szczegółowy raport wywiadu na temat waszego funduszu i Siergieja. Przy takim dostępie do informacji, jakimi dysponuje nasz rząd, będzie prawdopodobnie wiedział o tej sprawie więcej niż pan. Jeżeli chodzi o Departament Stanu, podstawowym celem tego spotkania jest ograniczenie potencjalnych szkód. Będą próbowali ustalić, czy sytuacja jest na tyle poważna, by zmusić rząd do działania. Pańskim zadaniem jest przekonać ich, że tak.

— W porządku. Jak mam tego dokonać?

— Wszystko zależy od tego, czego pan od nich oczekuje.

— Tak naprawdę chciałbym, aby ludzie, którzy zamordowali Siergieja, ponieśli zasłużoną karę.

Jonathan Winer przez kilka sekund pocierał dłonią podbródek.

— Cóż, jeśli naprawdę chce pan włożyć kij w mrowisko, radzę poprosić ich o zastosowanie restrykcji 7750. Pozwala ona Departamentowi Stanu na wprowadzenie sankcji wizowych wobec skorumpowanych zagranicznych urzędników. To prawo ustanowił Bush w dwa tysiące czwartym roku. Można by w ten sposób naprawdę zaleźć Rosjanom za skórę.

Był to znakomity pomysł. Sankcje wizowe mogłyby okazać się dotkliwym ciosem dla stylu życia rosyjskich hochsztaplerów. Kiedy upadł komunizm, skorumpowani rosyjscy oficjele zaczęli podróżować po całym świecie, panosząc się we wszystkich pięciogwiazdkowych hotelach od Monte Carlo po Beverly Hills i szastając pieniędzmi, jakby to był ostatni dzień w ich życiu. Gdybym zdołał przekonać

amerykański rząd do wprowadzenia tej restrykcji, wstrząsnęłoby to rosyjskimi elitami.

— Czy Departament Stanu naprawdę mógłby to zrobić? — zapytałem.

Jonathan wzruszył ramionami.

— Mało prawdopodobne, ale warto spróbować. Rzadko się stosuje ten przepis, aczkolwiek figuruje w kodeksach i ciekawe, jakich argumentów użyją, żeby się od niego wykręcić przy całym materiale dowodowym w tej sprawie.

— Zatem tak zrobię — oznajmiłem, podnosząc się z fotela. — Bardzo panu dziękuję.

Opuściłem biuro Jonathana, czując się o wiele pewniej. Wciąż byłem obcy w Waszyngtonie, ale teraz przynajmniej miałem plan i sojusznika.

Rankiem następnego dnia przyjechałem do Departamentu Stanu. Prosta bryła gmachu o ostro zarysowanych krawędziach bardziej przypominała gigantyczną wydłużoną cegłę aniżeli siedzibę dyplomatycznej potęgi Stanów Zjednoczonych. Gdy przeszedłem skrupulatną kontrolę bezpieczeństwa, powitała mnie sekretarka Kyle'a Scotta, która stukając rytmicznie wysokimi czarnymi obcasami, poprowadziła mnie przez labirynt bezbarwnych korytarzy o wyłożonych linoleum podłogach. W końcu stanęliśmy przed drzwiami opatrzonymi wizytówką „Wydział ds. Rosji".

Sekretarka otworzyła przede mną drzwi, a gdy wszedłem do niewielkiego przedsionka, wskazała mi wejście do narożnego gabinetu.

— Pan Scott zaraz do pana przyjdzie.

Zazwyczaj takie położenie gabinetu świadczy o pewnym starszeństwie, kiedy jednak wszedłem do środka, uzmysłowiłem sobie, że jest to jedyna oznaka statusu Kyle'a Scotta. Wnętrze było zagracone i z ledwością mieściło się w nim biurko, sofa dla dwóch osób, stolik do kawy i para krzeseł. Usiadłem na sofie i czekałem.

Po kilku minutach do gabinetu wszedł Kyle Scott w towarzystwie asystentki. Był mniej więcej mojego wzrostu, wyglądał na mojego rówieśnika i miał osadzone blisko siebie brązowe oczy. Jego szary garnitur z białą koszulą i czerwonym krawatem stanowił typowy strój pracownika amerykańskiej administracji rządowej.

— Witam, panie Browder. Bardzo dziękuję, że zechciał pan przyjść — powiedział, wspaniałomyślnie nie wspominając, że to ja prosiłem go o spotkanie.

— To ja dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

— Mam tu coś, co jak myślę, bardzo pana ucieszy. — Scott uśmiechnął się tajemniczo.

Jego asystentka, młoda kobieta w szarym kostiumie z czerwoną

apaszką owiniętą wokół szyi, pisała coś w kołonotatniku. Szef sekcji rosyjskiej obrócił się, by podnieść leżący na biurku pękaty szary skoroszyt, który zgodnie z przewidywaniami Jonathana bez wątpienia zawierał materiały na temat Siergieja. Scott złączył kolana, położył na nich skoroszyt i wyjął z niego pojedynczą kartkę.

— Co to jest? — spytałem zaintrygowany.

— Panie Browder, co roku Departament Stanu publikuje raport na temat praw człowieka, a w tegorocznym raporcie znajdują się dwa bardzo dobitne punkty dotyczące sprawy Magnitskiego.

Słyszałem, że takie organizacje jak Human Rights Watch albo Amnesty International przez cały rok ciężko pracują nad tym, by sprawy, którymi się zajmują, zostały włączone do tego raportu, a tymczasem Kyle Scott wręczał mi to na srebrnej tacy.

Chociaż inni mogliby to uznać za wielki sukces, w naszym przypadku tak nie było. Parę punktów w amerykańskim raporcie rządowym na temat praw człowieka nie robiło na rosyjskich władzach żadnego wrażenia. Rosjanie starali się zatuszować przestępstwo na wielką skalę i mogliby się jedynie przejąć realnymi konsekwencjami swych czynów.

Kyle Scott przyglądał mi się, oczekując jakiejś reakcji.

— Mogę przeczytać, co tu jest napisane?

Wręczył mi kartkę. Treść raportu brzmiała całkiem dobitnie, ale były to tylko słowa.

Uniosłem wzrok na Scotta i zwróciłem się do niego uprzejmym tonem:

— To wygląda naprawdę świetnie. Bardzo panu dziękuję. Ale chciałbym pana poprosić o coś jeszcze.

Scott poruszył się niespokojnie na fotelu, a jego asystentka zerknęła na mnie znad swoich notatek.

— Oczywiście. Mianowicie o co?

— Panie Scott, dowiedziałem się o pewnym amerykańskim przepisie, który sprawdziłby się doskonale w przypadku sprawy Magnitskiego. Mam na myśli restrykcję 7750, którą stosuje się, by zakazać wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych skorumpowanym zagranicznym urzędnikom.

Scott wyprężył się i usiadł prosto.

— Znam ten przepis. Ale jakie miałby zastosowanie w tej sytuacji? — zapytał, przyjmując postawę obronną.

— Miałby zastosowanie, gdyż powszechnie wiadomo, że ludzie odpowiedzialni za śmierć Siergieja są skorumpowani i dlatego podlegają tej restrykcji. Sekretarz stanu powinien zakazać im wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Asystentka notowała gorączkowo, jakbym zaczął mówić trzy razy szybciej. Nie spodziewali się, że spotkanie przybierze taki obrót.

Nie było to coś, co chcieli usłyszeć, ponieważ od 2009 roku, kiedy Barack Obama został prezydentem, polityka rządu amerykańskiego wobec Rosji uległa wyraźnemu złagodzeniu. Na określenie tych stosunków administracja wprowadziła nawet nowe słowo — „wyzerowanie". Chodziło o to, by zbudować od podstaw relacje, które uległy zepsuciu, ale w praktyce taka polityka oznaczała, że Stany Zjednoczone nie będą poruszać nieprzyjemnych kwestii dotyczących spraw wewnętrznych Rosji, dopóki Rosja będzie sumiennie przestrzegać zasad wymiany handlowej, rozbrojenia nuklearnego i wielu innych zagadnień. Oczywiście rząd amerykański mógłby wskazać w raporcie kilka punktów, by „wyrazić zaniepokojenie" przypadkami łamania praw człowieka, ale zgodnie z podstawową linią polityczną Stany Zjednoczone nie zamierzały robić absolutnie nic w tej sprawie.

Domagałem się czegoś, co było całkowicie sprzeczne z taką doktryną, i nagle Scott znalazł się na grząskim gruncie.

— Przykro mi, panie Browder, ale wciąż nie rozumiem, jak 7750 odnosi się do sprawy Magnitskiego — powiedział wymijająco.

Zdawałem sobie sprawę, że szef sekcji rosyjskiej Departamentu Stanu znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji, ale zamiast się wycofać, postanowiłem zaatakować ze zdwojoną siłą.

— Jak pan może tak mówić? Ci ludzie ukradli dwieście trzydzieści milionów dolarów należących do rosyjskich obywateli, a następnie zamordowali człowieka, który ich zdemaskował. Wyprali wszystkie brudne pieniądze, a teraz rosyjskie władze prowadzą wielką kampanię, żeby ukryć prawdę. Ta restrykcja jest wręcz stworzona do takich spraw jak ta.

— Ale, panie Browder, ja nie… Nie sposób byłoby udowodnić, że którykolwiek z tych urzędników dopuścił się rzeczy, o których pan mówi — powiedział stanowczo Scott.

Starałem się zachować spokój, ale przychodziło mi to z coraz większym trudem.

— W raporcie, który właśnie pan mi pokazał, pojawia się kilka nazwisk tych ludzi — odparłem dobitnie.

— Ja… ja…

Mój głos zaczął przybierać na sile.

— Panie Scott, jest to najlepiej udokumentowany przypadek naruszenia praw człowieka od czasu upadku Związku Radzieckiego. Wiadomo z niezależnych źródeł, że kilku rosyjskich urzędników jest zamieszanych w śmierć Siergieja. Z przyjemnością wtajemniczę pana w tę kwestię.

Spotkanie potoczyło się w zupełnie innym kierunku, niż przewidywał Scott, który teraz chciał je jak najszybciej zakończyć. Dał znak asystentce, która przestała notować, po czym podniósł się z

fotela. Ja również wstałem.

— Pan wybaczy, panie Browder, ale spieszę się na następne spotkanie — powiedział, odprowadzając mnie do drzwi. — Chętnie porozmawiam o tym z panem innym razem, ale w tej chwili po prostu nie mogę. Jeszcze raz dziękuję, że pan przyszedł.

Uścisnąłem jego dłoń, w pełni zdając sobie sprawę, że nieprędko wrócę do tego gabinetu. Asystentka Scotta bez słowa odprowadziła mnie do wyjścia z budynku.

Opuściłem Departament Stanu sfrustrowany i poirytowany. Niebo miało ciemnopopielatą barwę, gdy szedłem na wschód, w kierunku Kapitolu, w którego pobliżu miałem odbyć kolejne spotkanie. Krocząc wzdłuż National Mall zauważyłem dwóch mężczyzn około dwudziestki ubranych w niebieskie marynarki z mosiężnymi guzikami i beżowe spodnie, którzy zbliżali się z naprzeciwka, dyskutując o czymś z ożywieniem. Mieli jeszcze pryszcze na twarzach, ale pracowali w Waszyngtonie i bawili się w rządzenie krajem. To nie był mój świat. Za kogo się uważałem, myśląc, że uda mi się tutaj coś wskórać? Rozmowa z Jonathanem uzmysłowiła mi, jak słabo jestem zorientowany, co potwierdziło się tylko podczas tego nieprzyjemnego spotkania z Kyle'em Scottem.

Tego dnia miałem w planach jeszcze kilka rozmów, ale przebrnąłem przez nie jak zamroczony, toteż żadna z nich nie przyniosła żadnych wymiernych rezultatów. Umiałem się skupić jedynie na powrocie do Londynu.

Przed opuszczeniem Waszyngtonu udałem się na ostatnie spotkanie, tym razem z Kyle'em Parkerem z Komitetu Helsińskiego. Był to ten sam człowiek, który nie zgodził się na umieszczenie sprawy Siergieja w grafiku prezydenta Obamy, kiedy Siergiej jeszcze żył, więc nie spodziewałem się ciepłego przyjęcia. Nie odwołałem tego spotkania tylko dlatego, że Jonathan Winer uznał je za tak ważne.

Zapamiętałem Kyle'a Parkera jako mężczyznę po trzydziestce, którego zmęczone oczy zdawały się widzieć więcej, niż sugerowałby jego wiek. Mówił biegle po rosyjsku i miał doskonałe rozeznanie we wszystkim, co działo się w Rosji. Równie dobrze mógłby pracować dla CIA, a nie jakiejś mało znanej komisji kongresowej zajmującej się obroną praw człowieka.

Skierowałem kroki do Ford House Office Building przy D Street, który zaledwie jedna przecznica dzieliła od torów kolejowych i autostrady. Ten brzydki szary gmach całkowicie pozbawiony architektonicznego uroku stał z dala od Wzgórza Kapitolińskiego, prawdopodobnie w jednej z najmniej atrakcyjnych części kompleksu budynków rządowych. Wchodząc do środka, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w takich miejscach upycha się wszystkie drugorzędne organizacje kongresowe, które nie należą do dominujących kręgów

władzy.

Kyle Parker powitał mnie przy bramce kontroli bezpieczeństwa i zaprowadził do kiepsko ogrzanej sali konferencyjnej, w której na półkach stały najrozmaitsze pamiątki po Związku Radzieckim. W milczeniu zasiadł u szczytu długiego stołu. Zaczerpnąłem powietrza, by przerwać tę niezręczną ciszę, ale mnie ubiegł.

— Chciałbym powiedzieć, jak bardzo ubolewam, że w zeszłym roku nie zrobiliśmy nic więcej, aby pomóc Siergiejowi. Trudno zliczyć, jak często o nim myślałem od czasu jego śmierci.

Nie spodziewałem się takich słów, więc upłynęło trochę czasu, zanim odpowiedziałem:

— Staraliśmy się, Kyle.

Wtedy Parker powiedział coś, co tak nie licowało z waszyngtońskim stylem, że po dziś dzień trudno mi w to uwierzyć.

— Kiedy rozesłaliście wiadomość o śmierci Siergieja, czytałem ją raz za razem, wracając metrem do domu. Czułem się zdruzgotany. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej byłeś tutaj i błagałeś o pomoc dla niego. Nie mogłem powstrzymać łez. Po powrocie do domu opowiedziałem o tym żonie. Ona też się rozpłakała. To morderstwo to jedna z najgorszych rzeczy, z jaką się zetknąłem od początku mojej kariery.

Byłem zdumiony. Nigdy nie słyszałem, by przedstawiciel administracji rządowej mówił w tak uczuciowy sposób.

— Nie wiem, co powiedzieć. Dla mnie to też było najgorsze z doświadczeń. Tylko myśl, że trzeba dopaść tych, którzy mu to zrobili, pomaga mi rano wstać z łóżka.

Wziąłem głęboki oddech. Ten człowiek całkowicie różnił się od wszystkich, których dotychczas spotkałem w Waszyngtonie.

Chciałem opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się w Departamencie Stanu, lecz nim zdążyłem otworzyć usta, Kyle rozpoczął istną burzę mózgów.

— Chcę sporządzić listę wszystkich osób zamieszanych w niesłuszne aresztowanie, maltretowanie i śmierć Siergieja. Chodzi mi nie tylko o Karpowa i Kuzniecowa oraz innych zbirów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale również o lekarzy, którzy ignorowali jego prośby o pomoc, sędziów, którzy zatwierdzili jego areszt, i urzędników skarbowych, którzy ukradli pieniądze podatników. O wszystkich, którzy są bezpośrednio odpowiedzialni za śmierć Siergieja.

— To nic trudnego. Mamy takie informacje oraz dokumenty na ich poparcie. Ale co chciałbyś z tym zrobić?

— Powiem ci, co chciałbym zrobić. Chciałbym zorganizować komisję kongresową, która pojechałaby do Moskwy zebrać szczegółowe informacje, a także nakłonić ambasadę amerykańską, aby

zadzwoniła do wszystkich osób z tej listy, prosząc je o spotkanie w celu omówienia sprawy Magnitskiego. Nie sądzę, by wielu zgodziło się przyjść, ale rosyjskie władze byłyby wstrząśnięte faktem, że Stany Zjednoczone przywiązują tak dużą wagę do tej sprawy.

— Podoba mi się ten pomysł, ale widzę wiele przyczyn, dla których mógłby nie wypalić. Aczkolwiek moglibyśmy wykorzystać tę listę w inny sposób.

— Zamieniam się w słuch.

Opowiedziałem Parkerowi o Jonathanie Winerze, restrykcji 7750 oraz rozmowie ze Scottem w Departamencie Stanu. Kyle notował wszystko, co mówiłem.

— To świetny pomysł — powiedział, stukając czubkiem długopisu o notatnik. — Jak to przyjął ten człowiek z departamentu?

— Niezbyt dobrze. Kiedy wspomniałem o tym przepisie, zaczął zbaczać z tematu, wykręcać się i wyprosił mnie z biura.

— Coś ci powiem. Porozmawiam z senatorem Cardinem i poproszę go, aby wysłał do sekretarz Clinton prośbę o wdrożenie restrykcji 7750. — Kyle zawiesił głos i spojrzał mi prosto w oczy. — Zobaczymy, czy senatora Stanów Zjednoczonych też potraktują w taki sposób.

Rozdział 33
Senator McCain

Po powrocie do Londynu zgromadziłem wszystkich członków zespołu, by opowiedzieć im, co się wydarzyło w Waszyngtonie. Wiedziałem, że czekają na jakieś dobre wieści. Wszystkie działania, jakie podejmowaliśmy na terenie Rosji, donikąd nas nie zaprowadziły. Nie próbowałem dodawać im otuchy, kiedy zajmowali miejsca przy stole konferencyjnym. Zamiast tego opowiedziałem im całą historię mojego pobytu w Waszyngtonie, wspominając na końcu o sankcjach wizowych i liście senatora Cardina do Hillary Clinton.

— Bill, zdajesz sobie sprawę, że to już nie byle co? — zapytał Iwan, kiedy skończyłem mówić. — Jeżeli się uda, będziemy mieli po swojej stronie rząd Stanów Zjednoczonych.

— Wiem, Iwanie, wiem.

Ta wiadomość przyczyniła się znacząco do podniesienia morale, zwłaszcza wśród należących do naszego zespołu Rosjan. Jak przyzna każdy, kto czytał Gogola, Czechowa lub Dostojewskiego, i jak powiedział kiedyś sam Siergiej, rosyjskie opowieści nie kończą się szczęśliwie. Rosjanie są oswojeni z przeciwnościami losu, cierpieniem i rozpaczą, a nie z pomyślnym zwieńczeniem starań, a na pewno nie ze sprawiedliwością. Nic więc dziwnego, że wielu Rosjan nosi w sobie głęboko zakorzeniony fatalizm, który każe im wierzyć, że świat jest i zawsze będzie zły i że wszelkie starania zmierzające do zmiany takiego stanu rzeczy są skazane na niepowodzenie.

Ale teraz Kyle Parker, młody Amerykanin, postanowił zakwestionować ten fatalizm.

Niestety, minął tydzień, potem drugi i trzeci, a Kyle nie dawał znaku życia. Codziennie obserwowałem, jak Iwan, Wadim i Władimir poddają się z powrotem ponurym nastrojom, a w trzecim tygodniu nawet ja zaraziłem się tym rosyjskim pesymizmem. Miałem ochotę sięgnąć po telefon, lecz powstrzymywałem się przed tym w obawie, że mógłby odstraszyć Kyle'a. Im więcej czasu upływało od naszego spotkania, tym większych nabierałem wątpliwości, czy dobrze odczytałem jego intencje.

Wreszcie pod koniec marca 2010 roku uznałem, że nie mogę dłużej czekać. Wybrałem numer Kyle'a, który odebrał po pierwszym sygnale, jakby bez przerwy wisiał na telefonie.

— Halo? — odezwał się pogodnym tonem.

— Cześć, Kyle. Mówi Bill Browder. Wybacz, że cię niepokoję, ale zastanawiałem się, czy może już wiesz, kiedy senator Cardin wyśle swój list. Miałoby to ogromny wpływ na naszą kampanię. Tak

naprawdę myślę, że całkowicie by ją zmieniło.

— Przykro mi, ale tutaj nie zawsze wszystko odbywa się zgodnie z planem. Ale nie martw się, Bill. Trochę cierpliwości. Ja podchodzę do tego poważnie.

— W porządku, postaram się — odparłem, chociaż jego słowa nie uspokoiły mnie ani trochę. — Ale gdybym mógł coś zrobić, cokolwiek, aby pomóc, daj mi znać.

— Oczywiście.

Chociaż wierzyłem, że Kyle był głęboko poruszony śmiercią Siergieja, odnosiłem wrażenie, że apelując do mojej cierpliwości, chce mnie delikatnie spławić. Nie miałem złudzeń, że wielu ludziom w Waszyngtonie zależy na uniknięciu sankcji i że w końcu nie będzie żadnego listu senatora Cardina.

Kilka tygodni później, w pewien piątek, nastał jeden z tych nielicznych momentów, w którym zrobiłem coś niezwiązanego z naszą kampanią i zabrałem Elenę oraz Davida do kina na Leicester Square. Film, thriller polityczny *Autor widmo* w reżyserii Romana Polańskiego, chyba pasował nawet do mojej sytuacji. Kiedy siedzieliśmy w zaciemnionej sali, oglądając zwiastuny filmów przed seansem i chrupiąc popcorn, w mojej kieszeni zawibrowała komórka. Spojrzałem na wyświetlacz. Dzwonił Kyle Parker.

Szepnąłem do Eleny, że za chwilę wrócę, i wyszedłem do holu.

— Halo?

— Bill, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Wszystko gotowe. Sekretarz Clinton dostanie list w poniedziałek rano.

— List? Wysyłacie go?

— Tak. W tej chwili wprowadzamy ostatnie poprawki. Prześlę ci go za godzinę.

Zakończyliśmy rozmowę. Udałem się z powrotem na salę i obejrzałem film do końca, ale nie potrafiłem się skupić na akcji. Po seansie pospiesznie wróciliśmy do domu, gdzie natychmiast włączyłem komputer i wydrukowałem list przeznaczony dla Hillary Clinton. Przeczytałem go kilka razy, trzymając oburącz kartkę.

Był napisany pięknym stylem, treściwym i poruszającym. Podsumowujący akapit brzmiał:

„Nalegam, aby niezwłocznie i trwale pozbawić przywileju korzystania z wizy Stanów Zjednoczonych wszystkie osoby mające związek z tym przestępstwem, jak również ich podwładnych oraz członków ich rodzin. Postępując w ten sposób, oddamy w pewnym stopniu sprawiedliwość nieżyjącemu Siergiejowi Magnitskiemu oraz jego bliskim, a także uświadomimy dobitnie skorumpowanym urzędnikom w Rosji oraz innych krajach, że Stany Zjednoczone traktują poważnie zwalczanie takiego procederu oraz szkód będących jego następstwem”.

Natychmiast zadzwoniłem do Kyle'a.

— Coś wspaniałego. Brakuje mi słów, żeby wyrazić, jak wiele to znaczy dla mnie i dla wszystkich, którzy znali Siergieja.

— Powiedziałem ci, że to zrobimy. Śmierć Siergieja złamała mi serce. Chcę dołożyć wszelkich starań, żeby jego ofiara nie poszła na marne — rzekł Kyle lekko łamiącym się głosem.

— I co teraz?

— W poniedziałek Clinton dostanie list. Zaraz po wysłaniu umieścimy go na stronie komitetu.

— To świetnie. Porozmawiamy w poniedziałek. Miłego weekendu.

Minęły prawie dwie godziny, zanim zasnąłem tej nocy. Zastanawiałem się, czy Cardin naprawdę zamierza to zrobić. Czy z czegoś takiego można się wycofać w ostatniej chwili? A jeżeli wyśle ten list, to jak zachowa się Clinton? Jak zareagują Rosjanie?

Nadszedł niedzielny poranek. Przyjechałem wcześnie do pracy, zasiadłem przy swoim biurku i otworzyłem stronę Komitetu Helsińskiego. Nie znalazłem tam nic nowego, ale uświadomiłem sobie, że Londyn dzieli od Waszyngtonu pięciogodzinna różnica czasu, toteż listu należy się spodziewać o późniejszej porze.

Ponownie zajrzałem na stronę w południe czasu londyńskiego, lecz nadal nic tam nie było. Przechadzając się po biurze, zauważyłem, że nie jestem jedynym, który nerwowo sprawdza witrynę internetową Komitetu Helsińskiego. Wadim, Iwan i Władimir obserwowali ją na swoich monitorach, ale ilekroć któryś z nas włączał odświeżanie strony, wciąż ukazywało się to samo.

Wreszcie o 14.12 — o 9.12 w Waszyngtonie — pojawiła się nowa strona. Zobaczyłem przed sobą dwa zdjęcia, z których jedno przedstawiało Kuzniecowa, a drugie Karpowa, a obok widniała petycja senatora Cardina do sekretarz stanu Hillary Clinton. Załączona do niego była lista sześćdziesięciu urzędników powiązanych ze śmiercią Siergieja i oszustwem podatkowym. Obok każdego z nazwisk znajdowały się informacje o przydziale i stanowisku służbowym, data urodzenia i rola, jaką odegrał w sprawie Magnitskiego. Cardin domagał się, aby wszystkich sześćdziesięcioro na stałe pozbawić prawa wjazdu na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Opadłem na oparcie fotela. To się działo naprawdę. Widziałem przed sobą list, który mógł zobaczyć cały świat. Nareszcie zaczęto coś robić, by wyciągnąć konsekwencje wobec oprawców Siergieja. Gdy patrzyłem na monitor, ścisnęło mnie w gardle. Jeżeli Siergiej spoglądał na nas z góry, mógł się przekonać, że jego przejmujące listy z więzienia, w których błagał o pomoc, odniosły wreszcie jakiś skutek.

W ciągu dziesięciu minut rosyjskie agencje informacyjne zaczęły relacjonować to wydarzenie. Pół godziny później temat podchwyciły

zachodnie media. Pod koniec dnia we wszystkich doniesieniach przewijało się nowe określenie, które powtarzano raz za razem — „lista Cardina".

W Rosji nikt dotąd nie słyszał o Benie Cardinie, ale po 26 kwietnia 2010 roku zapanował w tym kraju obiegowy pogląd, że ów senator z Marylandu jest najważniejszym politykiem w Ameryce. Rosyjscy obrońcy praw człowieka i działacze opozycji, wykorzystując koniunkturę, zaczęli pisać listy do prezydenta Obamy i Przewodniczącego Komisji Europejskiej, w których wyrażali swoje poparcie dla listy Cardina. Była to pierwsza od czasów Ronalda Reagana tak zdecydowana reakcja zachodniego polityka na kwestię łamania praw człowieka w Rosji. Niewesoły był fakt, że świat nigdy nie zauważał zbrodni popełnianych w Rosji, a gdy w nielicznych przypadkach zdarzało się inaczej, zagraniczne rządy nie podejmowały żadnych działań. Aż tu nagle amerykański senator wymienia nazwiska sześćdziesięciorga rosyjskich urzędników i domaga się, by za okrucieństwa, jakich się dopuścili, pozbawić ich prawa wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Był to całkowity precedens.

Podczas gdy zwykli Rosjanie świętowali, czołowi dygnitarze Putina dostawali apopleksji. Wszyscy poplecznicy prezydenta zbijali niewyobrażalne majątki, wykorzystując swoje stanowiska, a wielu z nich dopuszczało się niecnych czynów, aby się wzbogacić. Teoretycznie lista Cardina otwierała możliwość wyciągnięcia konsekwencji wobec tych ludzi. To wydarzenie zmieniało dla nich wszystko.

Ale przynajmniej na początku nie mieli oni powodów do obaw. Waszyngtońscy dyplomaci nie kwapili się, by spełniać postulaty Cardina, licząc, że z czasem sprawa przyschnie i problem sam zniknie.

Na to się jednak nie zanosiło. Na wypadek gdyby Departament Stanu zignorował senatora Cardina, Kyle zamierzał uderzyć jeszcze wyżej. Zorganizował dla mnie spotkanie z kierowaną przez Toma Lantosa Komisją Praw Człowieka Izby Reprezentantów, przed którą miałem złożyć zeznanie w sprawie Magnitskiego.

Przesłuchanie było zaplanowane na 6 maja i miało się odbyć w Rayburn House Office Building, który stoi po południowo-wschodniej stronie Kapitolu. Wzniesiony w 1965 roku gmach jest utrzymany w oszczędnym neoklasycystycznym stylu, jaki cechuje większość zabudowy Waszyngtonu, chociaż jego wnętrze różni się od innych budynków kongresowych. Nie ma tam strzelistych marmurowych kolumn, wysklepionych kopuł ani boazerii z ciemnego drewna. Podłogi w korytarzach pokrywa linoleum, sufity są niskie, a tarcze zegarów i windy mają chromowane wykończenia.

Nigdy wcześniej tam nie byłem, więc przyjechałem grubo przed godziną 10.00, żeby oswoić się z tym miejscem. Wybrałem wejście od

strony Independence Avenue i przeszedłem przez stanowisko kontroli bezpieczeństwa obsadzone przez dwóch funkcjonariuszy straży kongresowej. Znalazłem drogę do sali nr 2255 i zajrzałem do wnętrza. W przestronnym pomieszczeniu znajdowało się półkoliste podium dla członków komisji, dwa długie stoły przeznaczone dla przesłuchiwanych świadków, a za nimi galeria dla publiczności, mogąca pomieścić siedemdziesiąt pięć osób. Przewodniczący komisji, kongresman z Massachusetts, Jim McGovern, jeszcze się nie zjawił, ale członkowie personelu krążyli po sali, prowadząc luźne rozmowy. Wróciłem na korytarz i jeszcze raz odświeżyłem sobie w pamięci całą historię Siergieja.

Gdy znów przekroczyłem próg sali, przy miejscach dla świadków ustawiono niewielkie wizytówki ze zgiętych kartoników. Za długim stołem zasiadali przedstawiciele renomowanych instytucji — Komisji Ochrony Dziennikarzy, Human Rights Watch oraz Centrum Ochrony Międzynarodowej — i poczułem się trochę obco jako biznesmen pośród wszystkich tych aktywistów zajmujących się zawodowo ochroną praw człowieka.

Właśnie dostrzegłem Kyle'a Parkera, który zasiadł na jednym z miejsc dla publiczności, gdy pojawił się kongresman McGovern. Był to sympatyczny mężczyzna o sporej łysinie i miłej chłopięcej twarzy. Mówił z bostońskim akcentem i każdemu ze świadków uścisnął dłoń na powitanie. Od razu przypadł mi do gustu. Poprosił nas o zajęcie miejsc i rozpoczęło się przesłuchanie.

Pierwsza zabrała głos obrończyni prześladowanych rosyjskich dziennikarzy. Pomagała sobie notatkami i przedstawiła wiele przypadków zabójstw i porwań dziennikarzy, którzy zdemaskowali przestępstwa rosyjskiego reżimu. Czułem się onieśmielony zarówno szerokim zakresem jej zeznań, jak i znajomością zagadnień politycznych. Ja zamierzałem przedstawić tylko jedną sprawę i nie miałem nawet przygotowanego oświadczenia, które mógłbym odczytać.

Następna była przedstawicielka Human Rights Watch, która mówiła o wielu przypadkach łamania praw człowieka w Rosji udokumentowanych przez jej organizację. Nawiązała również do kilku głośnych spraw, do których należały zabójstwa Anny Politkowskiej i Natalii Estemirowej. Przypominałem sobie historię obu tych morderstw i byłem pod wrażeniem tego wystąpienia. Gdy dobiegło końca, czułem się jeszcze bardziej nieprzygotowany.

Szykownie wystrojeni członkowie personelu, którzy rozproszyli się po całej sali, byli mniej poruszeni. Brali oni już udział w wielu takich przesłuchaniach i znali wszystkie te historie. Wpatrzeni w wyświetlacze telefonów, które trzymali w złożonych dłoniach, wodząc kciukami po klawiaturach, nawet nie zauważyli, że pierwsze

wystąpienie dobiegło końca i zaczęło się następne.

W końcu przyszła kolej na mnie. Nie miałem żadnych danych statystycznych, żadnych zestawień ani notatek. Skrępowany stanąłem przed komisją, skubiąc nerwowo rękawy marynarki, i zacząłem mówić. Przedstawiłem się w kilku słowach, a potem opowiedziałem ponurą i wzruszającą historię Siergieja Magnitskiego. Patrzyłem McGovernowi prosto w oczy, a on nie unikał mojego wzroku. Szczegółowo zrelacjonowałem jemu oraz pozostałym członkom komisji, jak Siergiej wpadł na trop przestępstwa, jak został aresztowany po złożeniu doniesienia, jak bestialsko był maltretowany w więzieniu i w końcu, jak został zamordowany.

Mówiąc, zauważyłem, że wszyscy członkowie personelu przestali stukać w klawiatury swoich telefonów. Na koniec wystąpienia poprosiłem komisję o poparcie dla skierowanej do Departamentu Stanu prośby senatora Cardina o nałożenie sankcji wizowych na zabójców Siergieja.

— Ta sprawa dotyczy jednego człowieka, ale są tysiące podobnych spraw — oświadczyłem w podsumowaniu. — A ludzie, którzy robią takie rzeczy, nadal będą je robić, jeżeli nie znajdzie się jakiś sposób, by ich powstrzymać i pokazać im, że nie są bezkarni.

Siadając, spojrzałem na zegarek. Moje wystąpienie trwało osiem minut. Oparłem ręce na blacie i rozejrzałem się wokół. Kilka osób, z obrońcami praw człowieka włącznie, miało łzy w oczach. Czekałem, aż ktoś się odezwie, ale w sali panowała cisza.

W końcu po blisko dwudziestu sekundach McGovern splótł palce dłoni i pochylił się do przodu.

— Mam zaszczyt współprzewodniczyć tej komisji prawie dwa lata i słyszałem bardzo dużo. Jesteśmy zasypywani tak ogromną liczbą danych statystycznych i faktów, że czasem tracimy ludzką zdolność ich przeżywania. Dlatego jestem panu wdzięczny, panie Browder, że zjawił się pan tutaj, by opowiedzieć o sprawie Siergieja Magnitskiego. Doprawdy, to tragiczna historia. Sądzę, że ludzie, którzy dopuścili się takiej zbrodni, nie powinni mieć prawa przyjeżdżać tutaj i prowadzić interesów. Musi być jakaś sprawiedliwość. Dlatego nie chciałbym poprzestawać na liście do Hillary Clinton. Powinniśmy przedłożyć projekt ustawy, uzyskać oficjalną rekomendację Kongresu i przekazać go wyżej, administracji prezydenckiej. To jest sprawiedliwość. Należy to zrobić, w przeciwnym razie nie będzie żadnych efektów. Ma pan moje słowo, że tym się zajmiemy.

Gdy przesłuchanie się skończyło, ja i Kyle wyszliśmy z sali w całkowitym milczeniu. Czyżby senator McGovern właśnie obiecał wprowadzenie ustawy wymierzonej w zabójców Siergieja? Owszem. Tak dalece wykraczało to poza moje najbardziej optymistyczne oczekiwania, że wydawało się wręcz niewiarygodne.

— Kyle, czy myślisz, że Cardin byłby skłonny zrobić to samo w senacie? — zapytałem, gdy zeszliśmy na dół.

Kyle Parker przystanął.

— Zważywszy na to, co właśnie się stało, nie wyobrażam sobie, aby mógł postąpić inaczej.

Tego samego dnia po południu Kyle zadzwonił do mnie, żeby potwierdzić, że Cardin z przyjemnością zostanie jednym ze współautorów ustawy i przeforsuje ją w senacie. Nagle pojawiła się niewielka, lecz realna szansa, że Stany Zjednoczone przyjmą akt prawny, który na cześć Siergieja zostanie nazwany Ustawą Magnitskiego.

Potrzeba było jednak wiele pracy, by urzeczywistnić tę ideę. Przede wszystkim należało opracować dokument, który Cardin i McGovern przedstawią Kongresowi. Gotowy projekt będzie musiał zyskać aprobatę komisji legislacyjnych powołanych przez senat oraz Izbę Reprezentantów. Następnie zostanie przegłosowany przez Kongres. Jeżeli obie izby przyjmą projekt ustawy, pozostanie jeszcze zatwierdzenie go przez prezydenta.

Co roku przez Kongres przewijają się tysiące takich projektów i zaledwie kilkadziesiąt z nich staje się obowiązującym prawem. Dlatego należało zadbać, aby dokument, który Cardin i McGovern zaprezentują swoim współpracownikom, był odporny na potencjalną krytykę. Kyle pracował nad projektem ustawy przez całe lato i w tym okresie blisko się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Każdego dnia rozmawialiśmy, czasami dwa razy dziennie, i obaj staraliśmy się dowiedzieć jak najwięcej na temat amerykańskiego prawa cywilnego.

Na początku września projekt ustawy był gotowy.

— Na kiedy Cardin może wyznaczyć termin głosowania w senacie? — zapytałem Kyle'a, gdy przesłał mi efekt swojej pracy.

Kyle roześmiał się.

— To nie jest takie proste, Bill. Żeby w Waszyngtonie przeszedł projekt ustawy, potrzebne jest wsparcie ze strony obydwu partii. Będziemy potrzebowali zasłużonego i wpływowego senatora z Partii Republikańskiej, który pomoże nam ruszyć z miejsca. Dopiero wtedy będziemy mogli zacząć działać.

— Czy Cardin znajdzie kogoś takiego?

— Możliwe, ale jeżeli chcesz to przyspieszyć, sam również możesz spróbować. Twoja historia o Siergieju jest bardzo przekonująca.

Nie chciałem niczego pozostawiać przypadkowi, więc po rozmowie z Kyle'em zacząłem przeglądać listę republikańskich senatorów, którzy mogliby wesprzeć nasz projekt, i rzuciło mi się w oczy jedno nazwisko — John McCain.

Jeżeli któryś z senatorów miał bliższe pojęcie o więziennej katordze, był to John McCain. Podczas wojny w Wietnamie służył jako

pilot myśliwca i gdy jego samolot został zestrzelony, trafił do niewoli. Był więziony i torturowany w obozie jenieckim przez pięć lat, zanim go zwolniono. Z pewnością potrafiłby zrozumieć, jakiej udręki doświadczył Siergiej, i byłby skłonny coś zrobić, by oddać mu sprawiedliwość.

Tylko jak miałem zorganizować spotkanie z Johnem McCainem? Dostęp do waszyngtońskich dygnitarzy był ściśle ograniczony, a im wyższe ktoś zajmował stanowisko, tym trudniej było się do niego dostać. Okoliczności takie sprzyjały powstaniu całej sieci lobbystów. Kiedy zacząłem pytać o kogoś, kto mógłby mnie przedstawić senatorowi, ludzie patrzyli na mnie, jakbym chciał od nich wyłudzić milion dolarów.

Ale wtedy przypomniałem sobie, że znam pewną osobę, która mogłaby mi pomóc. Nazywała się Juleanna Glover i była wysoką, atrakcyjną kobietą o falujących kasztanowych włosach, nienagannym stylu i swobodnym sposobie bycia. Poznałem Juleannę przez wspólnego znajomego w Waszyngtonie w 2006 roku, wkrótce po tym, jak Rosjanie cofnęli moją wizę. Zaprosiła mnie na bankiet w Cafe Milano, modnej włoskiej restauracji w Georgetown. Pod koniec przyjęcia wymieniliśmy się wizytówkami, ale dopiero po powrocie do hotelu, kiedy wpisałem jej nazwisko w wyszukiwarkę, uzmysłowiłem sobie, że siedziałem obok jednej z najbardziej wpływowych waszyngtońskich lobbystek.

Juleanna mogła się pochwalić całkiem imponującą listą dokonań. Była rzecznikiem prasowym wiceprezydenta Dicka Cheneya, a potem pełniła funkcję doradcy politycznego przy biurze prokuratora generalnego, Johna Ashcrofta. Gdy Ashcroft zakończył swoją karierę w rządzie, wraz z nim odeszła z polityki, aby poprowadzić jego kancelarię prawną Ashcroft Group. Cieszyła się takim poważaniem, że w 2012 roku magazyn „Elite" uznał ją za jedną z najbardziej wpływowych kobiet w Waszyngtonie.

Prawdopodobnie tamtego wieczoru po przyjęciu Juleanna po powrocie do domu również wpisała moje nazwisko w wyszukiwarkę i dowiedziała się o moich problemach z rosyjskim rządem. Następnego dnia rano zadzwoniła do mnie, by zaoferować mi pomoc, i od tamtej pory zostaliśmy przyjaciółmi. Po śmierci Siergieja wśród pierwszych osób, które do mnie zadzwoniły, by wyrazić współczucie, byli Juleanna Glover i John Ashcroft.

— Wiemy, jak fatalnie musisz się czuć, Bill — powiedział Ashcroft. — Ale powinieneś wiedzieć, że nie jesteś sam. Gdybyśmy mogli w jakiś sposób pomóc tobie albo rodzinie Siergieja, możesz na nas liczyć. Po prostu zadzwoń.

I teraz potrzebowałem pomocy. Potrzebowałem pomocy, by dotrzeć do Johna McCaina.

Zadzwoniłem do Juleanny i wyjaśniłem jej całą sytuację. Powiedziała, że bez problemu umówi mnie z McCainem. Czy rzeczywiście było to dla niej takie proste? Zakończyliśmy rozmowę i zanim upłynęło dziesięć minut, oddzwoniła do mnie.

— Bill, senator McCain spotka się z tobą dwudziestego drugiego września kwadrans po trzeciej.

Okazało się, że owszem, dla niej to była łatwizna.

Poleciałem do Waszyngtonu 22 września, a następnego dnia po południu Juleanna przyszła po mnie do hotelu. Pojechaliśmy razem taksówką na Wzgórze Kapitolińskie, przeszliśmy kontrolę bezpieczeństwa i udaliśmy się do gabinetu McCaina mieszczącego się w gmachu Russell Senate Office Building pod numerem 241. Zważywszy na pozycję McCaina w senacie, jego biuro składające się z kilku wysoko sklepionych pomieszczeń miało pierwszorzędną lokalizację. Przedstawiliśmy się i sekretarka wprowadziła nas do poczekalni. Doradca McCaina do spraw polityki zagranicznej, Chris Brose, wysoki i szczupły mężczyzna o rudych włosach i przyjaznym uśmiechu, przywitał się z nami i zabawiał nas rozmową, gdy czekaliśmy na senatora. Pół godziny później zjawił się McCain.

Stojąc w drzwiach i uśmiechając się życzliwie, powitał nas serdecznym uściskiem dłoni. Weszliśmy do jego biura, wypełnionego ciepłym światłem i wygodnie umeblowanego wnętrza, w którym stała skórzana sofa i długa, wypełniona książkami biblioteczka. Wystrój był typowy dla zachodnich stanów i gdyby nie wysokie sklepienie i strzeliste okna po obu stronach biurka, można by się tam poczuć jak w przytulnym domowym gabinecie jakiegoś oczytanego przedsiębiorcy z Phoenix.

Zająłem miejsce na sofie, senator zaś przysiadł na krześle przy stoliku do kawy.

— Dziękuję, że pan przyszedł, panie Browder. Poinformowano mnie, że chce mi pan opowiedzieć o tym, co dzieje się w Rosji — zaczął.

Prawdopodobnie spodziewał się, że będę szukał u niego poparcia dla jakiegoś biznesu w Rosji.

— Owszem, panie senatorze.

Potem zacząłem mówić o Siergieju i do McCaina szybko dotarło, że to spotkanie będzie inne niż wszystkie. Nie minęły dwie minuty, jak przerwał mi, unosząc dłoń, i zapytał o datę aresztowania Siergieja. Odpowiedziałem i wróciłem do opowieści. Chwilę później znów mi przerwał i zażądał dokładnych wyjaśnień na temat warunków panujących w rosyjskim więzieniu. Odpowiedziałem, a potem dalej mówiłem, dopóki znów mi nie przerwał. Rozmawialiśmy w ten sposób, aż minęło przeznaczone dla mnie piętnaście minut i do gabinetu zajrzała sekretarka, by oznajmić, że nadszedł czas na

następne spotkanie. Zastygłem w bezruchu. Teraz nadarzała się sposobność, by poprosić go o poparcie projektu ustawy, i nie mogłem jej zmarnować.

— Muszę poświęcić panu Browderowi trochę więcej czasu — powiedział McCain łagodnie. Sekretarka wyszła, a senator z powrotem skierował na mnie swoją uwagę. — Proszę kontynuować.

Opowiadałem dalej. Padały następne pytania, na które udzielałem odpowiedzi. Po kolejnych piętnastu minutach znów pojawiła się sekretarka i McCain znów grzecznie ją odprawił. Zaczęliśmy całą sekwencję jeszcze raz, a kiedy skończyłem, okazało się, że spędziłem w gabinecie McCaina blisko godzinę.

— Historia Siergieja jest wstrząsająca, naprawdę straszna. Ubolewam nad tym, co go spotkało, i współczuję wszystkim, dla których był bliski.

— Dziękuję, panie senatorze.

— Proszę powiedzieć, jak mogę panu pomóc?

Opowiedziałem mu o Cardinie i McGovernie oraz o wstępnym szkicu Ustawy Magnitskiego.

— Ponieważ senator Cardin jest demokratą, bardzo by pomogło, gdyby projekt tej ustawy poparł również jakiś wpływowy republikanin — dodałem na koniec. — Liczyłem, że mógłby to być pan.

McCain odchylił się na oparcie fotela, a jego twarz przybrała wyraz uroczystej zadumy.

— Oczywiście, zrobię to. Chociaż tyle mogę — rzekł i zwrócił się do swojego asystenta, Chrisa Brose'a, który cały czas siedział obok nas. — Skontaktuj się, proszę, jak najszybciej z senatorem Cardinem, żeby zgłosić mój udział w tej inicjatywie — polecił i znów skierował wzrok na mnie. — Był pan dla Siergieja prawdziwym przyjacielem. Niewielu ludzi zdobyłoby się na to, co pan robi, a ja bardzo to szanuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby panu pomóc dochodzić sprawiedliwości. Niech Bóg pana błogosławi.

Rozdział 34
Nietykalni

Kiedy latałem tam i z powrotem przez Atlantyk, zabiegając o poparcie waszyngtońskich polityków, mój zespół w Londynie działał na froncie rosyjskim.

Od października 2009 roku, gdy opublikowaliśmy na YouTube nasz pierwszy materiał, wielu zwyczajnych obywateli Rosji dzwoniło do nas spontanicznie lub pisało maile w związku z tą sprawą. Jedną z takich osób była młoda kobieta, Jekatierina Michiejewa, która opowiedziała nam przerażającą historię.

Okazało się, że dobrze nam znana grupa funkcjonariuszy rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych prześladowała nie tylko nas. Jak wynikało z relacji Michiejewej, w 2006 roku dwaj z nich brali udział w nalocie na biuro jej męża, Fiodora. Po rewizji Fiodor został aresztowany i zawieziony na ten sam posterunek, na który kiedyś trafił Siergiej. Jednak nie zamknięto go w celi, lecz wyprowadzono do czekającego na zewnątrz samochodu. Jacyś mężczyźni wepchnęli go na tylne siedzenie i bez żadnego wyjaśnienia wywieźli do oddalonego pięćdziesiąt kilometrów od Moskwy domu. Fiodor szybko zorientował się, że jest zakładnikiem. Jak wyjaśniła nam Jekatierina, jednym z porywaczy był Wiktor Markiełow, ten sam skazany za zabójstwo kryminalista, który w 2007 roku przejął kontrolę nad naszymi skradzionymi spółkami.

Wkrótce po przybyciu na miejsce porywacze zadzwonili do szefa Fiodora, by zażądać 20 milionów dolarów za jego zwolnienie. Jeden z nich zadzwonił także do Jekatieriny i ostrzegł ją, że jeśli zawiadomi milicję, Fiodorowi stanie się coś złego, a jej złożą wizytę ludzie, którzy dokonają na niej zbiorowego gwałtu.

Jekatierina była przerażona, ale dzielnie zlekceważyła pogróżki. Udała się na inny posterunek, a tamtejsi funkcjonariusze szybko zlokalizowali miejsce, w którym był przetrzymywany jej mąż. Wzięli szturmem dom, uwolnili Fiodora, a Markiełow i jego kompani trafili do aresztu.

Niestety, na tym się nie skończyło. Miesiąc później Fiodor został ponownie aresztowany przez tę samą grupę funkcjonariuszy i trafił do celi wraz z jednym ze swoich niedawnych porywaczy. Nie mamy pojęcia, co go tam spotkało ani kto brał w tym udział, wiemy jedynie, że ostatecznie został oskarżony o defraudację i skazany na jedenaście lat kolonii karnej w okręgu kirowskim, oddalonym osiemset kilometrów od Moskwy. Trzydziestopięcioletnia Jekatierina i Fiodor mieli dwójkę dzieci, a teraz ich rodzina została rozdzielona. Nagle ta

młoda kobieta została zmuszona do samotnego wychowywania dzieci, podczas gdy jej mąż gnił w kolonii karnej.

Zdawałem sobie sprawę, że mamy do czynienia ze złymi ludźmi, ale historia ta dowodziła, że czym prędzej należy powstrzymać Kuzniecowa, Karpowa oraz im podobnych.

Od tego momentu nasz zespół skoncentrował całą swoją energię na szukaniu wszelkich informacji związanych z tymi funkcjonariuszami. Przetrząsaliśmy wyciągi z rachunków bankowych, pisma procesowe i wyroki sądowe, dokumenty ewidencyjne, listy oraz raporty, usiłując natrafić na ślad jakichkolwiek aktywów należących do tych dwóch ludzi. Byliśmy pewni, że w końcu coś znajdziemy. Kuzniecow i Karpow ubierali się w drogie garnitury, nosili modne zegarki i jeździli luksusowymi samochodami, chociaż miesięczne zarobki każdego z nich nie przekraczały 1500 dolarów. Jakiekolwiek dowody na ich rozrzutność dałyby nam wielką przewagę w wymierzonej przeciwko nim kampanii.

Zaczęliśmy nasze śledztwo od przepuszczenia ich nazwisk przez te same bazy danych, z których korzystaliśmy, walcząc z aferami korupcyjnymi w Rosji. Niestety, niczego nie znaleźliśmy. Kiedy jednak wprowadziliśmy personalia ich rodziców, ukazało się kilka bezpośrednich trafień. Kuzniecow i Karpow nie grzeszyli dyskrecją, co wydawało się tym bardziej zaskakujące, że obaj byli oficerami milicji.

Jednym z najbardziej interesujących odkryć było zarejestrowane na matkę Kuzniecowa przeszło stupięćdziesięciometrowe mieszkanie w prestiżowym wieżowcu Edelweiss stojącym przy Prospekcie Kutuzowskim, moskiewskim odpowiedniku Pól Elizejskich. Z jego okien rozciągał się widok na park Zwycięstwa i było warte około 1,6 miliona dolarów.

Odkryliśmy również, że ojciec Kuzniecowa jest właścicielem mieszczącego się w budynku zwanym Capital Constellation Tower mieszkania o powierzchni ponad osiemdziesięciu metrów kwadratowych, którego wartość rynkowa wynosiła w przybliżeniu 750 tysięcy dolarów.

Prócz tych ekskluzywnych lokali na matkę Kuzniecowa były jeszcze zarejestrowane trzy działki w obwodzie nogińskim na obrzeżach Moskwy, które zostały wycenione na prawie 180 tysięcy dolarów.

Teoretycznie można by uznać taki stan posiadania za zgodny z prawem, ale miesięczny dochód rodziców Kuzniecowa sięgał zaledwie 4,5 tysiąca dolarów, co nie wystarczyłoby nawet na pokrycie podatku od tych nieruchomości. Nasuwało nam się tylko jedno logiczne wyjaśnienie — za to wszystko zapłacił ich syn, Artem.

Do rodziny Kuzniecowów należały nie tylko luksusowe mieszkania i działki. Według ewidencji moskiewskiego wydziału ruchu

drogowego matka Kuzniecowa posiadała nowego land rovera freelandera o wartości 65 tysięcy dolarów, podczas gdy jego żona była właścicielką wartego 115 tysięcy range rovera oraz mercedesa SLK 200, który kosztował 81 tysięcy dolarów.

Baza danych rosyjskiej kontroli granicznej zawierała jeszcze bardziej intrygujące ciekawostki dotyczące stylu życia Kuzniecowa. W 2006 roku Artem i jego żona zaczęli podróżować po świecie jak para rozrzutnych milionerów. W ciągu pięciu lat odbyli ponad trzydzieści podróży do ośmiu różnych krajów, między innymi do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii. Na Cypr polecieli nawet prywatnym odrzutowcem.

Z naszych ustaleń wynikało, że ogólna wartość majątku należącego do rodziny Kuzniecowów wynosiła około 2,6 miliona dolarów. Na swoim stanowisku w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Kuzniecow musiałby pracować przez 145 lat, żeby dorobić się takiej fortuny.

Informacje na temat Karpowa, do których się dokopaliśmy, były równie szokujące i pasowały do tego samego schematu: luksusowe mieszkanie o wartości 930 tysięcy dolarów należące do jego matki emerytki, na którą zarejestrowane było również nowe audi A3 i porsche 911, a także mercedes E280 zarejestrowany na jego nazwisko. Od 2006 roku Karpow odwiedził Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Włochy, Karaiby, Hiszpanię, Austrię, Grecję, Cypr, Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Turcję. Odwiedzał najdroższe nocne kluby w Moskwie, gdzie fotografował się z atrakcyjnymi dziewczynami i elegancko ubranymi przyjaciółmi. Najwyraźniej nie czuł skrępowania, chwaląc się takim stylem życia, gdyż w internecie można było znaleźć pełno zamieszczonych przez niego zdjęć, na których szczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Ci faceci byli odrażający. Przeciętny Rosjanin dostałby apopleksji, gdyby zobaczył, w jakie luksusy opływają Kuzniecow i Karpow. Informacje o ich nieruchomościach, wakacjach i samochodach mogły wywrzeć o wiele silniejszy efekt niż jakikolwiek artykuł w prasie lub wywiad radiowy. Musieliśmy pokazać, jak ci dwaj funkcjonariusze milicji średniego szczebla obłowili się na swoim procederze. Nie mogliśmy dopuścić, by nadal wiedli takie podwójne życie, rano doprowadzając ludzi do ruiny, a wieczorem odwiedzając najdroższe restauracje.

Postanowiłem opublikować na YouTube nowe filmy, tym razem z Artemem Kuzniecowem i Pawłem Karpowem w rolach głównych. Od razu zabraliśmy się do dzieła i materiał był gotowy w czerwcu 2010 roku, w tym samym czasie, gdy w Waszyngtonie powstawał pierwszy zarys Ustawy Magnitskiego. Teraz pozostawało nam tylko czekać na odpowiedni moment.

Moment taki nastąpił, kiedy Oleg Ługunow, generał rosyjskiej milicji, który wydał rozkaz aresztowania Siergieja, rozpoczął publiczną kampanię, aby wybielić wszystkich odpowiedzialnych za jego uwięzienie i śmierć. Gdy na antenie jednej z popularnych stacji radiowych zadano mu pytanie, czy podczas pobytu w areszcie Siergiej był poddawany jakiejś presji, Ługunow odparł uprzejmie: „To normalne, że śledczym zależy na wydobyciu zeznań. Tak się dzieje we wszystkich krajach". Jego słowa zabrzmiały tak, jak gdyby w tym, co spotkało Siergieja, nie było nic nadzwyczajnego.

Kampania tuszowania prawdy nabierała rozmachu i musieliśmy jakoś zareagować, więc 22 czerwca opublikowałem na YouTube film o Kuzniecowie. W tym samym czasie uruchomiliśmy nową stronę www.russian-untouchables.com, na której zamieściliśmy dokumenty i dowody na poparcie naszych zarzutów dotyczących niewiarygodnego bogactwa rosyjskich urzędników.

W pierwszy dzień film o Kuzniecowie został obejrzany 50 tysięcy razy, co przekraczało ogólną sumę odsłon naszego pierwszego filmu, który opowiadał o wykrytym przez Siergieja oszustwie podatkowym. W ciągu tygodnia materiał ten zobaczyło 170 tysięcy osób i w Rosji zyskał on największą popularność wśród zamieszczonych na kanale YouTube filmów o tematyce politycznej. Opozycyjny rosyjski tygodnik „New Times" zamieścił obszerny artykuł *Prywatne odrzutowce podpułkownika*. Bogactwo Kuzniecowa stało się tak sensacyjnym tematem, że nawet odbiło się echem w brytyjskim tygodniku „Sunday Express", który prawie nigdy nie donosi o tym, co dzieje się za granicą.

Podczas gdy wszyscy dyskutowali i rozpisywali się o naszym najnowszym filmie, grupa rosyjskich aktywistów wzięła sprawy w swoje ręce. Zjawili się w domu, w którym mieszkał Kuzniecow, i na drzwiach każdego z mieszkań przykleili zdjęcie Siergieja z wypisanym na nim nazwiskiem podpułkownika. Wywiesili również ogromny transparent na ścianie budynku stojącego naprzeciwko okien Kuzniecowa.

Aby wywrzeć nacisk na rosyjskie władze, tuż przed ukazaniem się naszego filmu Jamie Firestone złożył doniesienie w biurze Prokuratora Generalnego Federacji Rosyjskiej i wydziale wewnętrznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kwestionując legalność pochodzenia majątku Kuzniecowa.

Pomimo przytłaczających dowodów rosyjskie władze zwarły szeregi w obronie tego średniego rangą oficera milicji. W kółko powtarzano słowa wiceministra spraw wewnętrznych, Aleksieja Anichina, który oświadczył, że badanie źródła dochodów Kuzniecowa „nie leży w zakresie obowiązków" jego resortu.

Chociaż reakcję na nasz film cechował oficjalny chłód, wyraźnie

dopiekliśmy do żywego naszym przeciwnikom. Paweł Karpow złożył 11 lipca 2010 roku skargę na mnie i moich współpracowników, zarzucając nam zniesławienie. W swoim doniesieniu napisał: „William Browder, Eduard Chajredtinow, Jamison Firestone i Siergiej Magnitski przeprowadzili kampanię informacyjną, która miała na celu zdyskredytowanie mnie oraz Artema Kuzniecowa, jak również zatarcie śladów ich własnej działalności przestępczej". Twierdził również, że: „Jedyną osobą, która odniosła korzyści z kradzieży własnej firmy, zwrotu podatku oraz śmierci Magnitskiego, był William Browder".

Otóż to — teraz Karpow utrzymywał, że to ja jestem odpowiedzialny za śmierć Siergieja.

Być może przypuszczał, że wycofam się, kiedy mnie zaatakuje, ale odniosło to wręcz odwrotny skutek. Dzień po tym, jak dotarła do nas wiadomość o złożonym przez niego doniesieniu, opublikowaliśmy o nim film. Wizualnie był on jeszcze lepszy od tego o Kuzniecowie. Można było w nim zobaczyć należące do Karpowa samochody i dom, ale zawierał również wiele jego zdjęć wykonanych w moskiewskich dyskotekach, restauracjach i nocnych klubach. Zakładaliśmy, że każdy uczciwy przedstawiciel rosyjskiej klasy średniej dozna szoku, widząc, na jakim poziomie żyje ten skądinąd przeciętny oficer milicji. I nie myliliśmy się.

Tymczasem Jamie złożył kolejne doniesienia na Karpowa. Tym razem wydział wewnętrzny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przesłuchał nawet Kuzniecowa i Karpowa, ale ostatecznie oświadczył, że nie ma uprawnień do badania dochodów ich rodziców i że nie wykrył żadnych nieprawidłowości.

Kuzniecow i Karpow mogli być nietykalni dla rosyjskich organów ścigania, ale nie dla opinii publicznej. W ciągu trzech miesięcy nasze filmy obejrzało ponad 300 tysięcy osób. Bez względu na to, ile kłamstw rozpowszechniały rosyjskie władze, zawsze ktoś mógł podnieść rękę i zapytać: „No dobrze, ale skoro ci panowie nie są skorumpowani, to w jaki sposób tak bardzo się wzbogacili? Możecie to wyjaśnić? W jaki sposób tak bardzo się wzbogacili?".

Rozdział 35
Konto w banku szwajcarskim

W sierpniu zabrałem Davida na weekendowy wypad do Kornwalii. Kiedy wspinaliśmy się ścieżką prowadzącą na szczyt klifu, z nieba spadł mi nieoczekiwany prezent. Miał on postać wiadomości, którą przekazał mi przez telefon Jamie Firestone.

Jamie był tak podekscytowany, że ledwie mógł się wysłowić.

— Cześć, Bill. Mogę poprawić ci humor?

— Pewnie — odparłem zziajany, tymczasem David przystanął w cieniu, by napić się wody. — Co się dzieje?

— Właśnie dostałem e-mail od kogoś, kto podobno może udowodnić, że pewna kobieta z moskiewskiego urzędu skarbowego numer dwadzieścia osiem zarobiła miliony dolarów na tym przekręcie ze zwrotem podatku.

— Kto ci wysłał ten e-mail?

— Niejaki Alejandro Sanchez.

— Niezbyt rosyjskie nazwisko. Skąd wiesz, że to nie jakaś ściema?

— Nie wiem. Ale przysłał mi w załączniku kilka wyciągów z banku w Szwajcarii i dokumenty jakiejś spółki z siedzibą na drugim końcu świata.

— Co z nich wynika?

– Że przelano kupę forsy na konta bankowe należące do męża tej kobiety z urzędu skarbowego, która zatwierdziła zwrot podatku.

— To wspaniale! Myślisz, że te wyciągi są prawdziwe?

— Nie wiem. Ale Sanchez napisał, że jeżeli będziemy zainteresowani, jest skłonny się spotkać.

— Byłbyś gotów z nim porozmawiać?

— Jasne — powiedział Jamie niemal lekceważącym tonem. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie stracił optymizmu. — Bez obaw, Bill.

Zakończyłem rozmowę i pociągnąłem kilka łyków wody. David i ja opuściliśmy głowy i ruszyliśmy dalej pod górę, ale nie zwracałem już uwagi na piękne widoki. Biłem się z myślami. Naszej kampanii potrzebne było takie przełomowe odkrycie jak to, ale z drugiej strony nie chciałem narażać Jamiego.

Żadne miejsce nie było bezpieczne, zwłaszcza Londyn, w którym roiło się od Rosjan. W 2006 roku Aleksander Litwinienko, były agent FSB dobrze znany z krytyki rządów Putina, został otruty przez swoich dawnych kolegów w hotelu Millenium znajdującym się nieopodal ambasady Stanów Zjednoczonych.

Jamie i Sanchez wymienili jeszcze kilka e-maili i ustalili termin

spotkania na 27 sierpnia 2010 roku. Nasz plan zakładał, że jeśli Sanchez okaże się wiarygodny, Jamie zadzwoni do Wadima, który przyłączy się do nich i wspólnie przejrzą dokumenty.

Sanchez zaproponował bar Polo w hotelu Westbury w Mayfair, położony tak niedaleko miejsca, w którym dokonano zamachu na Litwinienkę, że złowieszcze skojarzenia nasuwały się same. Pełen obaw, że wydarzy się coś strasznego, zadzwoniłem do Stevena Becka, naszego specjalisty od ochrony, i poprosiłem o wsparcie.

Steven obejrzał lokal i postanowił zaangażować czterech ludzi, którzy mieli ochraniać Jamiego i Wadima. Dwóch z nich służyło kiedyś w jednostkach specjalnych, a pozostali dwaj mieli za sobą przeszłość w wywiadzie brytyjskim. W dniu spotkania o 14.30 mężczyźni ci zaczęli jeden po drugim zjawiać się w lokalu. Zajęli strategiczne pozycje — dwaj obstawili wejścia, jeden usiadł nieopodal stolika, przy którym miała odbyć się rozmowa, a jeden zajął miejsce na końcu baru. Niczym nie odróżniali się od reszty gości. Jeden z nich miał przy sobie urządzenie mogące wykryć i unieszkodliwić sprzęt podsłuchowy podobny do tego, którym jak przypuszczaliśmy, posłużył się Sagirian podczas spotkania w hotelu Dorchester. Drugi dyskretnie przeszedł obok z licznikiem Geigera, by sprawdzić, czy w poliżu nie ma materiałów radioaktywnych, ponieważ Litwinienko został otruty silnie toksycznym izotopem polonu.

Nie stanowiło to absolutnej gwarancji bezpieczeństwa, ale wiedziałem, że jeśli sytuacja przybierze niepożądany obrót, ludzie Stevena szybko wyprowadzą Jamiego i Wadima ze strefy zagrożenia.

Jamie zjawił się na miejscu dużo wcześniej i wszedł do baru przez jedne z podwójnych drzwi ze stali i szkła. Przemierzył urządzone w stylu art déco nisko sklepione wnętrze, idąc w stronę zarezerwowanego stolika. Zasiadł na jednym z obitych niebieskim pluszem foteli klubowych zwróconym tyłem do ściany, na której wisiał obraz przedstawiający Empire State Building. Taka pozycja miała walory strategiczne, a miejsce to wybrał Steven, uznając je za najbezpieczniejsze. Jamie usiłował wypatrzeć ochroniarzy pośród wypełniających lokal turystów, ale na próżno. Powiódł wzrokiem wzdłuż baru o zielono-czarnym marmurowym blacie, za którym barman mieszał koktajl z martini i nalewał go do zmrożonych kieliszków. Do stolika podeszła kelnerka, przynosząc na małym talerzyku gratisową przekąskę, i nim Jamie zdążył się zastanowić, jego wzrok padł na prażone migdały. Zamówił dietetyczną colę z plasterkiem cytryny, a gdy mu ją podano, nawet nie tknął stojącej na blacie szklanki. Wszystko mogło być zatrute.

Sanchez spóźnił się piętnaście minut. Był mężczyzną po czterdziestce, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i wydatny brzuch. Nosił sportową marynarkę w kolorze piaskowym, ciemne

spodnie i białą koszulę bez krawata. Miał zmierzwione brązowe włosy i bladą cerę, a w jego rozbieganych oczach malowało się napięcie. Gdy tylko się odezwał, stało się jasne, że jego prawdziwe nazwisko nie brzmi Sanchez.

— Proszę wybaczyć ten pseudonim, panie Firestone — zagadnął po rosyjsku. — Ale muszę być ostrożny.

— Rozumiem — odparł Jamie, również po rosyjsku, zastanawiając się, czy pozostali goście w barze są ochroniarzami Sancheza.

— Naprawdę nazywam się Aleksandr Pierieplicznyj.

Jamie skinął na kelnerkę, tymczasem Pierieplicznyj opadł na fotel. Kiedy zamawiał zieloną herbatę, Jamie zmierzył go wzrokiem. Rosjanin też przyglądał mu się badawczo.

— Dziękuję, że zgodził się pan na to spotkanie — odezwał się Pierieplicznyj, gdy kelnerka podała mu herbatę.

— Ależ proszę. Jesteśmy bardzo zainteresowani tym, co ma pan do powiedzenia.

Rosjanin sięgnął po filiżankę, ostrożnie upił łyk herbaty i odstawił ją z powrotem na spodeczek. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie w niezręcznym milczeniu.

— Skontaktowałem się z panem, ponieważ zobaczyłem filmy o Kuzniecowie i Karpowie — przemówił wreszcie Pierieplicznyj. — Śmierć Magnitskiego była dla mnie szokiem. Wszyscy Rosjanie przymykają oko na korupcję, ale zamęczyć niewinnego człowieka na śmierć to już za wiele.

Bzdura — pomyślał Jamie. Wiedział, że w tych czasach większość Rosjan nie kieruje się tak wzniosłymi zasadami. W Rosji wszystko kręciło się wokół pieniędzy. Wokół tego, jak je zdobyć, zatrzymać dla siebie i zabezpieczyć przed zakusami innych. Jamie nie miał pojęcia, jakie są prawdziwe zamiary Pierieplicznego, ale był przekonany, że człowiek ten nie rozmawia z nim przez wzgląd na los Siergieja.

— Informacje załączone do pańskiego e-maila są interesujące, ale niepełne — powiedział. — Czy ma pan więcej dokumentów?

— Tak — odparł Rosjanin. — Ale nie przy sobie.

Jamie odchylił się na oparcie fotela, przyglądając się topniejącym kostkom lodu w szklance coli.

— Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, gdyby przyłączył się do nas jeden z moich kolegów? Chciałbym zapoznać go z dokumentami, które pan dostarczył. Kiedy się upewnimy, że wszystko jest dla nas jasne, powiemy panu, czego jeszcze nam potrzeba.

Pierieplicznyj się zgodził. Jamie wyjął komórkę z kieszeni i wysłał wiadomość Wadimowi, który czekał tuż za rogiem na New Bond Street. Dwie minuty później Wadim pchnął przeszklone drzwi baru, podszedł do stolika i przedstawił się. Kiedy usiadł, Jamie położył na

stoliku dokumenty Pierieplicznego. Wadim przewertował je pobieżnie i zapytał:

— Czy mógłbym liczyć na objaśnienia z pańskiej strony?

— Oczywiście. Jest to wyciąg z konta w banku Credit Suisse należącego do Władlena Stiepanowa, męża Olgi Stiepanowej. — Pierieplicznyj wskazał na rząd cyfr w połowie kartki. — To jest przelew na półtora miliona euro z dwudziestego szóstego maja. Ten na milion siedemset wykonano szóstego czerwca. A tu kolejny, z siedemnastego czerwca, na milion trzysta.

Rosjanin przebiegł palcem po siedmiu innych transakcjach. W maju i czerwcu 2000 roku łącznie wpłynęło na to konto siedem milionów sto tysięcy euro.

Jamie zerknął z ukosa na dokument.

— Skąd pan to wziął? — zapytał.

— Powiedzmy, że mam pewne znajomości — odparł Pierieplicznyj, wiercąc się nerwowo na fotelu.

Jamiemu i Wadimowi nie podobało się takie wyjaśnienie, ale nie chcieli spłoszyć informatora, więc nie dopytywali o szczegóły.

— Coś takiego bardzo by się nam przydało, ale na żadnym z tych wyciągów nie widzę nazwiska Władlena Stiepanowa — rzekł Wadim, przerzucając kartki. — Jaki on ma z tym związek?

— To proste. Konto należy do cypryjskiej spółki, której właścicielem jest Władlen. — Pierieplicznyj wskazał na akt własności, na którym widniały personalia Stiepanowa, ale nie było jego podpisu.

Wadim zsunął okulary na czubek nosa. Zajmował się śledzeniem oszustw finansowych od przeszło trzynastu lat i z reguły uznawał, że wszystko jest kłamstwem, dopóki nie zobaczył dowodów, które obalały wszelkie wątpliwości.

— Dziękuję panu. Ale bez potwierdzenia, że ta spółka faktycznie należy do Stiepanowa, niewiele z tym możemy zrobić. Potrzebujemy kopii tych dokumentów z jego podpisem.

— Rozumiem — powiedział Pierieplicznyj. — To miało być tylko na początek. Mogę przynieść, czego wam potrzeba, jeżeli zechcecie znów się spotkać.

— Byłoby świetnie — odparł Jamie.

Na tym zakończyli rozmowę. Jamie i Wadim wymienili z Pierieplicznym uściski dłoni i wyszli z baru.

Słuchając relacji Wadima, który po rozmowie wrócił do biura, nie mogłem powstrzymać się od podejrzeń.

— To mi pachnie jakimś szwindlem — powiedziałem.

— Niewykluczone. Ale jeśli on mówi prawdę, po raz pierwszy moglibyśmy ujawnić, jak niektórzy z tych ludzi obłowili się na tym oszustwie podatkowym.

— Zobaczymy, czy Pierieplicznyj przyniesie nam to, co obiecał.

Termin kolejnego spotkania został ustalony na przyszły tydzień. Tym razem miał wziąć w nim udział również Władimir Pastuchow, który będąc prawie niewidomy, niesamowicie wyczuwał chrakter ludzi.

W następny wtorek Wadim i Władimir udali się na spotkanie do baru Polo. Zgodnie z obietnicą Pierieplicznyj przyniósł im opatrzony podpisem dokument, z którego wynikało, że Władlen Stiepanow jest właścicielem spółki z siedzibą na Cyprze i kontem w Credit Suisse.

Gdy wrócili do biura i pokazali mi go, nie zrobił na mnie wrażenia. Wyglądał jak zwykły kawałek papieru z kilkoma nieczytelnymi podpisami. Coś takiego mógł podrobić każdy.

— Co to jest? Ledwie da się odczytać.

— To wystawił rewident Stiepanowa — wyjaśnił Wadim.

Odnosiłem wrażenie, że moi współpracownicy zbyt łatwo dali się przekonać Pierieplicznemu.

— Taki podpis mógł złożyć każdy. Naprawdę sądzicie, że powinniśmy zaufać temu facetowi?

— Ja tak — odparł Wadim. — Według mnie on mówi prawdę.

— A ty, Władimirze, co o tym myślisz?

— Ja też mu wierzę. Wydaje się uczciwy.

W ciągu najbliższych tygodni doszło do kolejnych spotkań, podczas których dowiedzieliśmy się kilku interesujących rzeczy. Prócz informacji o kontach w szwajcarskim banku Pierieplicznyj opowiedział nam, że Stiepanowowie kupili willę z sześcioma sypialniami i dwa luksusowe apartamenty na Wyspach Palmowych, sztucznym archipelagu u wybrzeży Dubaju. Ich wartość rynkowa wynosiła około 7 milionów dolarów. W Rosji zbudowali rezydencję w najmodniejszej dzielnicy na przedmieściach Moskwy, wycenioną na 20 milionów dolarów. Łącznie ulokowali w nieruchomościach i na kontach bankowych blisko 40 milionów.

Aby unaocznić, jak niewyobrażalnie wielkie były to kwoty, Wadim zdobył zeznania podatkowe Stiepanowów, z których wynikało, że od 2006 roku ich średni roczny dochód wynosił zaledwie 38 281 dolarów.

Nie miałem wątpliwości, że informacja ta zrobi furorę w sieci, kiedy przygotujemy kolejny materiał filmowy i zamieścimy go na YouTube. Dodanie Olgi Stiepanowej do naszej listy nietykalnych mogło być dla rosyjskich elit silnym wstrząsem.

Istniał jednak pewien problem. Historia Pierieplicznego stanowiła tak doskonały materiał, że wszystko to wydawało się zbyt piękne.

Było wielce prawdopodobne, że Pierieplicznyj współpracuje z FSB, prowadząc dobrze zaplanowaną operację, która miała na celu podważenie mojej wiarygodności. Takie zagrania były typowe dla rosyjskich tajnych służb — stworzyć postać z wiarygodną legendą, dać

jej do przekazania wartościowe informacje i czekać, aż cel je ujawni, a wtedy dowieść, że informacje są fałszywe.

Gdyby faktycznie spełnił się taki scenariusz, wszystkie działania, jakie prowadziliśmy od trzech lat, współpracując z dziennikarzami i organami rządowymi na całym świecie, poszłyby na marne. Wkrótce politycy zaczęliby zadawać sobie pytanie: „Po co mamy popierać tego kłamcę kosztem naszych stosunków z Rosją?".

Skoro mieliśmy przystąpić do pracy nad filmem o Stiepanowach, musiałem się upewnić, że Pierieplicznyj mówi prawdę, a także ustalić, jak wszedł w posiadanie tych informacji.

Przez długi czas nasz informator traktował wymijająco tę kwestię, ale w końcu przestał się wzbraniać. Wyjaśnił nam, że ma dostęp do tylu dokumentów finansowych, ponieważ bank, którego był właścicielem, świadczył usługi wielu zamożnym Rosjanom, między innymi Stiepanowom.

Powodziło mu się całkiem nieźle aż do 2008 roku, kiedy to nastąpił krach na giełdzie, a on stracił znaczną część należących do Stiepanowów pieniędzy. Stiepanowowie, zamiast się z tym pogodzić, oskarżyli go o kradzież i zażądali, aby ich spłacił. Ponieważ Pierieplicznyj nie zamierzał pokrywać ich strat inwestycyjnych, Olga Stiepanowa, wykorzystując swoje stanowisko naczelnika urzędu skarbowego, wszczęła przeciwko niemu postępowanie karne pod zarzutem uchylania się od zobowiązań podatkowych.

Pierieplicznyj szybko opuścił Rosję, aby uniknąć aresztowania. Sprowadził swoją rodzinę do wynajętego domu w Surrey, gdzie się przyczaił. Przebywając w Wielkiej Brytanii, zobaczył nasze filmy o Kuzniecowie i Karpowie, a wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Gdyby zdołał nakłonić nas do opublikowania materiału o Oldze Stiepanowej i jej mężu, mogłoby to skompromitować ich do tego stopnia, że już nie musiałby się ich bać.

Kiedy Władimir przekazał mi tę historię, uznałem ją za wiarygodną i w końcu byłem gotów, by rozpocząć pracę nad kolejnym filmem opartym na informacjach Pierieplicznego.

Ale gdy tylko zaczęliśmy się przekonywać do naszego nowego informatora, dostaliśmy ostrzeżenie od Asłana: „Departament K rozjuszony filmami o Kuzniecowie i Karpowie. Planują nową operację na wielką skalę przeciwko Hermitage i Browderowi".

Poprosiliśmy o sprecyzowanie, jednak Asłan nie znał żadnych szczegółów. Obawy, że Pierieplicznyj jest częścią spisku FSB, zaczęły prześladować mnie na nowo. Być może wszystko szło zgodnie z ich planem. Nie miało znaczenia, jak bardzo sensacyjne były dostarczone przez niego informacje. Przed wykonaniem następnego kroku musiałem być pewien ponad wszelką wątpliwość, że nie pakujemy się prosto w pułapkę.

Rozdział 36
Podatkowa Księżna

Jesienią 2010 roku jedną z najważniejszych spraw stało się uzyskanie absolutnej pewności, że Aleksandr Pierieplicznyj nie próbuje nas wrobić.

Zaczęliśmy od sprawdzenia nieruchomości pod Moskwą i szybko ustaliliśmy, że działka o powierzchni blisko sześćdziesięciu arów, na której stoi okazała podmiejska rezydencja, należy do osiemdziesięciopięcioletniej matki Władlena Stiepanowa. Roczny dochód tej utrzymującej się z emerytury staruszki wynosił 3500 dolarów, mimo to jakoś weszła w posiadanie tego skrawka ziemi wartego 12 milionów dolarów, i to zanim jeszcze cokolwiek na nim zbudowano.

Ale Stiepanowowie coś na nim postawili.

Zatrudnili jednego z najlepszych moskiewskich architektów, który zaprojektował dwa kanciaste modernistyczne budynki o łącznej powierzchni przeszło tysiąca stu metrów kwadratowych. Zostały wzniesione z niemieckiego granitu, hartowanego szkła i polerowanego metalu. Patrząc na zdjęcia tych domów, pomyślałem, że wyglądają raczej jak własność dyrektora funduszu inwestycyjnego, a nie rosyjskiej urzędniczki średniego szczebla i jej męża.

Następnie zajęliśmy się Dubajem. Korzystając z internetowej bazy nieruchomości, bez trudu potwierdziliśmy, że znajdująca się na Wyspach Palmowych willa, która została kupiona za 767 123 dolary, faktycznie należy do Władlena Stiepanowa. Niestety pozostałe dwa apartamenty, których łączna wartość przekraczała 6 milionów dolarów, były w trakcie budowy i nie zostały jeszcze zarejestrowane. Ustaliliśmy ich właściciela tylko na podstawie kilku przelewów ze szwajcarskiego konta Stiepanowa.

Konta w banku szwajcarskim stanowiły wątek, który łączył wszystko w całość. Nie tylko były wykorzystywane do luksusowych zakupów, ale również znajdowało się na nich ponad 10 milionów dolarów, które trafiły tam, jak twierdził Pierieplicznyj, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy doszło do wyłudzenia zwrotu podatku. Gdyby udało się nam potwierdzić, iż owe konta są prawdziwe, moglibyśmy opublikować materiał o Oldze Stiepanowej i jej mężu, i to wstrząsnęłoby całą Rosją.

Teraz wszystko zależało od tego. W idealnym świecie mógłbym udać się do Credit Suisse i zapytać, czy owe wyciągi są autentyczne, ale wiedziałem, że znani ze swojej dyskrecji szwajcarscy bankierzy niczego mi nie powiedzą.

Mogłem również zwrócić się do moich znajomych z Credit Suisse, ale oni też niewiele by mi pomogli. Ujawnianie poufnych informacji na temat klientów stanowiło wykroczenie, za które można było stracić pracę, a nie znałem nikogo, kto byłby skłonny podjąć dla mnie takie ryzyko.

Jedynym rozwiązaniem było skierowanie wniosku do władz szwajcarskich. Gdy mój londyński prawnik sporządził taki dokument, zapytałem, jak długo jego zdaniem będę musiał czekać na odpowiedź.

— Nie wiem — odparł. — Od trzech miesięcy do roku.

— Od trzech miesięcy do roku? To o wiele za długo. Czy można to jakoś przyspieszyć?

— Nie. Z doświadczenia wiem, że władze szwajcarskie potrafią długo zwlekać. Zajmą się tym, kiedy uznają za stosowne.

Styczeń i luty upłynęły bez żadnych nowych wiadomości, podobnie marzec. W połowie marca 2011 roku skończyliśmy pracę nad filmem o Stiepanowej, który okazał się lepszy od wszystkiego, co zrobiliśmy do tej pory. Chciałem wykonać następne posunięcie, ale władze szwajcarskie zatrzymywały mnie w miejscu.

Wtedy to, pod koniec marca, dowiedzieliśmy się o zupełnie nowym zwrocie w rosyjskiej kampanii tuszowania prawdy. Rosjanie skazali byłego kryminalistę, niejakiego Wiaczesława Chlebnikowa, za udział w oszustwie podatkowym. Mogli wtrącić do więzienia setki takich kozłów ofiarnych i nie zrobiłoby to na mnie żadnego wrażenia, ale moją uwagę zwróciły oficjalne dokumenty procesowe. Wyrok głosił, że urzędnicy fiskusa są całkowicie niewinni i że zostali „wprowadzeni w błąd" i „wmanewrowani" w przyznanie największego zwrotu podatku w dziejach Rosji.

Tacy urzędnicy, jak Olga Stiepanowa.

Uznałem, że tego już za wiele. Że oni nie mogą ciągle tak kłamać. Że informacje Pierieplicznego są prawdziwe. Że ja o tym wiem, Szwajcarzy o tym wiedzą i wkrótce cały świat się dowie.

Film ukazał się w sieci 20 kwietnia 2011 roku. Reakcja była natychmiastowa, a jej skala większa niż przy wszystkich naszych wcześniejszych poczynaniach. Pod koniec pierwszego dnia film miał ponad 200 tysięcy odsłon. Do końca tygodnia został obejrzany ponad 360 tysięcy razy. A do końca miesiąca zobaczyło go ponad pół miliona osób. Olga Stiepanowa stała się znana na całym świecie jako Podatkowa Księżna, a dziennikarze ze wszystkich zakątków Rosji wciąż rozprawiali o niej i jej mężu. Reporterzy NTV, jednej z państwowych stacji telewizyjnych, wytropili nawet sędziwą matkę Władlena Stiepanowa, która zajmowała jednopokojowe mieszkanie w bloku z czasów komunizmu. Zapytana o nieruchomości formalnie należące do niej odpowiedziała, że zgodziła się figurować w akcie własności w zamian za opłacenie sprzątaczki, która raz w tygodniu

pomaga jej robić porządki. Jej opływający w dostatki syn nawet należycie się o nią nie zatroszczył.

Trzy dni po opublikowaniu filmu szwajcarski prokurator generalny obwieścił, że konta Stiepanowów w Credit Suisse zostały zablokowane. Nawet nas o tym nie informując, władze szwajcarskie wkrótce po otrzymaniu naszego wniosku wszczęły przeciwko nim postępowanie karne pod zarzutem prania brudnych pieniędzy.

Czułem, że stanęło na moim. Informacje Pierieplicznego okazały się prawdziwe, a pieniądze Stiepanowów zostały zamrożone. Uderzyliśmy przestępców tam, gdzie najbardziej ich zabolało — w ich konta bankowe.

Rozdział 37
Jak się robi kiełbasę

Publikując na YouTube materiały o skorumpowanych rosyjskich urzędnikach, kompletnie zaskoczyliśmy naszych przeciwników, ale prawdziwym ciosem, który miał zburzyć spokój rosyjskich elit władzy, było uchwalenie sankcji przez Kongres Stanów Zjednoczonych.

Jesienią 2010 roku, kiedy nawiązaliśmy kontakt z Pierieplicznym, Kyle Parker ukończył pracę nad projektem Ustawy Magnitskiego. Senatorowie Ben Cardin, John McCain, Roger Wicker i Joe Lieberman 29 września przedstawili projekt ustawy senatowi. Jej wymowa była prosta — wszyscy, którzy byli zamieszani w bezpodstawne aresztowanie, maltretowanie i śmierć Siergieja Magnitskiego, zostaną publicznie napiętnowani i pozbawieni prawa wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych, a ich aktywa w tym kraju ulegną zablokowaniu.

Kiedy oficjalnie ogłoszono rozpoczęcie obrad nad ustawą, władze rosyjskie wpadły w furię i musiały wynaleźć jakiś sposób, by zareagować na to posunięcie Waszyngtonu. Pierwsza okazja nadarzyła się 10 listopada, niecały tydzień przed pierwszą rocznicą śmierci Siergieja. W Rosji obchodzono Dzień Milicji i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zorganizowało coroczną ceremonię wręczenia nagród swoim najbardziej zasłużonym funkcjonariuszom. Spośród trzydziestu pięciu nagrodzonych pięć osób odgrywało znaczącą rolę w sprawie Magnitskiego. Nagrodą dla najlepszego śledczego zostali uhonorowani Paweł Karpow i Oleg Silczenko, oficerowie milicji, którzy odpowiadali za gehennę Siergieja w więzieniu, a specjalne wyrazy uznania otrzymała Irina Dudukina, rzeczniczka ministerstwa, która lojalnie rozgłaszała kłamstwa na temat Siergieja tuż po jego śmierci.

Pięć dni później rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwołało konferencję prasową, aby „ujawnić nowe szczegóły dotyczące sprawy Magnitskiego". Przewodniczyła jej Dudukina. Tlenione włosy miała trochę dłuższe i mocniej utapirowane niż przed rokiem, ale wciąż była pulchna i wyglądała na steraną życiem, a jej żuchwa nasuwała nieodparte skojarzenie z żuchwą lalki brzuchomówcy. Rozłożyła prowizoryczny afisz ze sklejonych taśmą dwudziestu kartek formatu A4 i przymocowała go do tablicy. Chociaż widniała na nim bezładna gmatwanina słów i liczb, których większość była zbyt mała, aby dała się odczytać, afisz ten „dowodził", że Siergiej dopuścił się oszustwa i wyłudził zwrot podatku w kwocie 230 milionów dolarów. Gdy ze strony dziennikarzy zaczęły padać najbardziej podstawowe pytania dotyczące tego wykresu, Dudukina nie potrafiła udzielić

żadnych sensownych wyjaśnień i wkrótce wszyscy obecni zorientowali się, że mają do czynienia z fałszerstwem.

Chociaż takie metody były prymitywne i agresywne, stanowiły potwierdzenie, że nasze działania trafiły w czuły punkt. Nie byłem jedynym, który to zauważył. Wiele innych osób, które doświadczyły łamania praw człowieka w Rosji, widziało to samo. Kiedy projekt ustawy trafił do senatu, ludzie ci przybywali do Waszyngtonu albo pisali listy do polityków popierających wprowadzenie Ustawy Magnitskiego, a ich podstawowe przesłanie było jedno: „Znaleźliście piętę achillesową reżimu Putina". Potem kolejno pytali: „Czy możecie dodać do tej listy ludzi, którzy zabili mojego brata?", „Możecie wspomnieć o tych, którzy torturowali moją matkę?", „A co z tymi, którzy porwali mojego męża?".

Senatorowie szybko zdali sobie sprawę, że natknęli się na coś o wiele poważniejszego niż tylko jeden rażący przypadek. Mimowolnie odkryli nową metodę walki z łamaniem praw człowieka przez despotyczne rządy w dwudziestym pierwszym wieku — wymierzone w skorumpowanych urzędników sankcje wizowe i zamrożenie kapitałów.

Po kilkunastu rozmowach i listach tego rodzaju senator Cardin i jego współpracownicy odbyli naradę i postanowili rozszerzyć zakres oddziaływania nowej ustawy, dodając do niej sześćdziesiąt pięć słów. Te nowe słowa głosiły, że prócz sankcji przeciwko oprawcom Siergieja Ustawa Magnitskiego będzie godziła również we wszystkich innych rosyjskich dygnitarzy, którzy dopuścili się łamania praw człowieka.

Tak uzupełniony projekt ustawy został oficjalnie przedłożony w Kongresie 19 maja 2011 roku, niespełna miesiąc po opublikowaniu na YouTube filmu o Oldze Stiepanowej. Po ogłoszeniu tego faktu grupa rosyjskich aktywistów zaczęła oblegać Wzgórze Kapitolińskie, domagając się przyjęcia ustawy. Nagabywali każdego senatora, który chciał z nimi rozmawiać, aby głosował za projektem. Był wśród nich Garri Kasparow, słynny arcymistrz szachowy i działacz ruchu obrony praw człowieka, jak również Aleksiej Nawalny, najsłynniejszy przywódca rosyjskiej opozycji, a także Jewgienija Czirikowa, znana rosyjska działaczka na rzecz ochrony przyrody. Nie musiałem zachęcać żadnej z tych osób. Wszyscy zjawili się z własnej woli.

Ta nieskoordynowana inicjatywa odniosła wspaniałe skutki. Liczba zwolenników ustawy wciąż rosła, gdyż co miesiąc trzech lub czterech nowych senatorów deklarowało swoje poparcie. Bez przeszkód zdobywaliśmy popularność. W Waszyngtonie nie było żadnego lobby rosyjskich oprawców i skrytobójców, które mogłoby stanąć nam na drodze. Żaden senator, czy to najbardziej liberalny demokrata, czy skrajnie konserwatywny republikanin, nie zamierzał zmarnować okazji, by zagrodzić drogę do Ameryki ludziom

odpowiedzialnym za tortury i morderstwa.

Ustawa Magnitskiego nabierała takiego rozpędu, że wydawała się niemożliwa do powstrzymania. Od dnia, w którym Kyle Scott z Departamentu Stanu zaczął grać na zwłokę, nie miałem wątpliwości, że amerykańscy dyplomaci są nastawieni krytycznie do mojej sprawy, ale teraz zostali postawieni pod murem. Gdyby otwarcie sprzeciwili się projektowi ustawy, wyglądałoby to tak, jakby brali stronę Rosjan. Aczkolwiek gdyby publicznie ją poparli, naraziłoby to na szwank „wyzerowaną" politykę Obamy wobec Rosji. Musieli znaleźć jakiś inny sposób.

W środę 20 lipca 2011 roku Departament Stanu wyłożył karty na stół, wysyłając do senatu memorandum zatytułowane „Komentarze do procedury legislacyjnej S 1039 w sprawie Siergieja Magnitskiego". Chociaż nie planowano podawać tego dokumentu do wiadomości publicznej, w ciągu kilku dni nastąpił wyciek.

Zdobyłem egzemplarz memorandum i pełen napięcia zacząłem go przeglądać. Był to szczyt waszyngtońskiej hipokryzji. Departament Stanu zapewniał, że władze wykonawcze już mogą korzystać z sankcji przewidzianych przez Ustawę Magnitskiego, więc nie trzeba wprowadzać nowego aktu prawnego.

Siląc się na spryt, dyplomaci próbowali ugłaskać senatorów. W swojej nocie przedstawili kolejny ważny powód, dla którego senat nie powinien popierać tej ustawy, a mianowicie fakt, iż ludzie odpowiedzialni za śmierć Magnitskiego już zostali pozbawieni prawa wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Dlatego przyjęcie nowego aktu prawnego jest zbędne.

Miałem wątpliwości, czy taki obrót sprawy jest korzystny, zadzwoniłem więc do Kyle'a Parkera, by zasięgnąć jego opinii.

— My też nie wiemy, co o tym sądzić. Cardin kazał mi się skontaktować z Departamentem Stanu i dowiedzieć się, kto jest na liście osób, wobec których zastosowano sankcje wizowe, ale nie udzielono mi takiej informacji.

— A powiedzieli ci przynajmniej, ile osób jest na tej liście?

— Nie. Tego też nie chcieli zdradzić.

— Co z zamrożeniem aktywów?

— W tej kwestii wypowiadają się jasno. Nie popierają zamrożenia aktywów.

— Jaka jest reakcja Cardina?

— Całkiem prosta. Nie przychylamy się do tego i dalej forsujemy projekt ustawy.

W poniedziałek 8 sierpnia 2011 roku Cardin publicznie odrzucił stanowisko rządu i ponownie zadeklarował swoje zaangażowanie w sprawę Ustawy Magnitskiego w ostro sformułowanym oświadczeniu na łamach „Washington Post", które nosiło tytuł *Konsekwencje dla*

zabójców Siergieja Magnitskiego. Był to wyraźny przejaw jego determinacji, ponieważ Cardin i Obama należeli do tej samej partii. Senator publicznie rzucił wyzwanie prezydentowi.

Gdy ukazało się oświadczenie prasowe Cardina, Biały Dom podjął jeszcze bardziej energiczne działania. Przedstawiciele rządu tak bardzo obawiali się popsucia stosunków z Moskwą, że zasugerowali Cardinowi oraz jego poplecznikom, aby nowa ustawa miała zastosowanie globalne, a nie ograniczała się wyłącznie do Rosji.

Senatorowie byli zachwyceni tym pomysłem. Inicjatywa zrodzona ze sprawy Siergieja miała się przeobrazić w historyczny akt na rzecz obrony praw człowieka o zasięgu ogólnoświatowym.

Od tego momentu Cardin skoncentrował swoje wysiłki na poddaniu projektu ustawy pod głosowanie w senacie. Aby tego dokonać, należało się zmierzyć z ostatnią przeszkodą — senacką komisją do spraw stosunków międzynarodowych. Do głosowania nad projektem ustawy mogło dojść dopiero wtedy, gdy był on zatwierdzony przez taką komisję, a ponieważ Ustawa Magnitskiego dotyczyła sankcji wizowych, musiała zostać rozpatrzona przez komisję do spraw stosunków międzynarodowych. Ponieważ nasz projekt cieszył się tak wielkim poparciem i nie wzbudzał w senacie żadnych sprzeciwów, wydawało się to czystą formalnością.

Cardin poprosił, aby przewodniczący komisji, senator John Kerry, umieścił tę kwestię w programie najbliższego posiedzenia, które miało się odbyć 9 września. Z jakiegoś powodu Kerry odmówił. Cardin złożył wniosek o rozpatrzenie sprawy w następnym terminie, 12 października, lecz i tym razem spotkał się z odmową. Nie było jasne, na czym polega problem Kerry'ego, ale bez wątpienia takowy istniał.

Tymczasem dotarły do nas makabryczne wiadomości z Moskwy. Matka Siergieja, Natalia, otrzymała w końcu dostęp do protokołu z sekcji zwłok syna. Wśród dokumentów, które pozwolono jej skopiować, znajdowało się sześć kolorowych fotografii zwłok Siergieja wykonanych wkrótce po jego śmierci. Choć same w sobie nie stanowiły zaskoczenia, przedstawiały siniaki na rękach i nogach ofiary oraz głębokie rany na nadgarstkach — te same obrażenia, które zauważyła Natalia, kiedy poszła zobaczyć ciało syna w kostnicy. Mogła również skopiować urzędowy dokument podpisany przez naczelnika aresztu Matrosskaja Tiszyna, który zezwalał strażnikom na zastosowanie wobec Siergieja środka przymusu w postaci gumowych pałek.

Fakt, że Siergieja spotkała gwałtowna śmierć z rąk funkcjonariuszy organów ścigania, był teraz niezaprzeczalny i poparty oficjalnymi dowodami.

Po obejrzeniu tych zdjęć i dokumentów Natalia złożyła nową skargę, domagając się od władz rosyjskich wszczęcia śledztwa w

sprawie morderstwa. Jak w przypadku wszystkich starań, jakie podejmowaliśmy w Rosji, jej wniosek został odrzucony.

Kiedy rozmawiałem z nią przez telefon, mogłem ją jedynie pocieszyć, że jesteśmy bliscy osiągnięcia pewnej formy sprawiedliwości. Zapewniłem ją, że robię wszystko, co w mojej mocy, i chociaż sankcje wizowe i zamrożenie kapitałów w Ameryce nie stanowią dostatecznie wysokiej kary za to, co ci ludzie zrobili Siergiejowi, jest to lepsze od całkowitej bezkarności, jaką cieszyli się do tej pory.

Kolejne posiedzenie senackiej komisji do spraw stosunków międzynarodowych odbyło się 29 listopada 2011 roku. Gdy na stronie internetowej komisji pojawił się porządek obrad na ten dzień, kliknąłem w link, spodziewając się zobaczyć nazwisko Siergieja. Przewinąłem stronę. Pierwszy punkt brzmiał: „Uchwała w sprawie objęcia ochroną dorzecza Mekongu".

Przewinąłem nieco niżej i zobaczyłem kolejny punkt: „Uchwała w sprawie stanowiska senatu wobec pokojowej rewolucji w Tunezji".

Przewinąłem stronę do końca. Nigdzie nie było wzmianki o Ustawie Magnitskiego. Niezwłocznie zadzwoniłem do Kyle'a.

— Co się, do cholery, dzieje? Nie widzę projektu ustawy.

— Nie mam pojęcia. Sami próbujemy to rozgryźć.

Zaczynałem podejrzewać, że za kulisami trwają jakieś pertraktacje, które nie wróżą nic dobrego.

Ponieważ problem wydawał się związany z osobą Kerry'ego, doszedłem do wniosku, że mógłbym się z nim spotkać, a wtedy historia Siergieja przekonałaby go do przyjęcia tego samego kursu, jakim podążali McCain i McGovern.

Zadzwoniłem do Juleanny. Miała znakomite osiągnięcia w organizowaniu spotkań z senatorami, ale kiedy spróbowała dotrzeć do Kerry'ego, wróciła z kwitkiem. Jedyne, co zdołała wskórać, to audiencja u jego doradcy do spraw Rosji, Jasona Brudera.

Poleciałem do Waszyngtonu i dzień po przybyciu udałem się wraz z Juleanną do Dirksen Senate Office Building, gdzie pod drzwiami sali obrad czekał na nas Bruder, trzydziestokilkuletni facet średniego wzrostu z krótko przystrzyżoną hiszpańską bródką. Wprowadził nas do wysoko sklepionego wnętrza, w którym połączone ze sobą stoły i biurka tworzyły kształt podkowy. Nie znalazłszy odpowiedniego miejsca, w którym moglibyśmy swobodnie porozmawiać, wzięliśmy krzesła przeznaczone dla publiczności i ustawiliśmy je w kręgu na środku sali.

Podziękowałem Bruderowi za poświęcenie mi czasu i zacząłem opowiadać historię Siergieja. Bruder przerwał mi po trzecim zdaniu.

— Tak, tak, wiem o tej sprawie wszystko. Bardzo mnie to poruszyło. On i jego rodzina zasługują, aby sprawiedliwości stało się

zadość.

— Po to tu jesteśmy.

— Proszę mnie posłuchać. Wiele o tym myślałem. Senator i ja naprawdę chcielibyśmy pomóc w sprawie Magnitskiego.

— To znakomicie. Czy senator poprze projekt ustawy i zapewni mu aprobatę komisji?

Bruder odchylił się na oparcie krzesła, które zaskrzypiało.

— Cóż, naprawdę nie sądzę, aby Ustawa Magnitskiego stanowiła właściwe rozwiązanie tych problemów, panie Browder.

No i znów się zaczyna — pomyślałem, wracając myślami do Kyle'a Scotta i wszystkich tych zapalczywych karierowiczów z amerykańskiej administracji.

— Co pan ma na myśli, mówiąc, że nie jest to „właściwe rozwiązanie"?

W odpowiedzi doradca senatora wyrecytował niemal słowo w słowo te same wyświechtane argumenty, jakich używał Departament Stanu. Próbowałem się z nim spierać, ale nic do niego nie docierało.

— Proszę mnie posłuchać, ta sprawa jest dla nas ważna — oznajmił na koniec. — Chciałbym, aby senator Kerry porozmawiał o Magnitskim bezpośrednio z ambasadorem Rosji, gdy tylko się z nim spotka.

Porozmawia z ambasadorem Rosji? Czy on sobie ze mnie kpił? Nazwisko Siergieja pojawiało się na pierwszych stronach wszystkich znaczących gazet na świecie. Prezydent Rosji i jego ministrowie poświęcili mnóstwo czasu, próbując złagodzić następstwa śmierci Magnitskiego, a Bruderowi się wydawało, że cicha rozmowa z ambasadorem przyniesie jakieś efekty?

Wyszedłem ze spotkania, przeklinając pod nosem.

Okazało się, że Kerry jest przeciwny przyjęciu Ustawy Magnitskiego nie dlatego, że uważa ją za niewłaściwe posunięcie polityczne. W Waszyngtonie krążyły pogłoski, że John Kerry blokuje projekt ustawy z prostej przyczyny — chce zostać sekretarzem stanu, kiedy Hillary Clinton złoży rezygnację. Najprawdopodobniej, jak się domyślałem, jednym z warunków, jakie musiał spełnić, aby objąć to stanowisko, było storpedowanie Ustawy Magnitskiego na etapie komisji senackiej.

Przez kilka miesięcy nic się nie działo z projektem ustawy. Ale potem, wiosną 2012 roku, otrzymaliśmy nieoczekiwany prezent. Po niespełna dwudziestu latach negocjacji w sierpniu tego roku Rosja miała zostać wreszcie przyjęta do Światowej Organizacji Handlu. Od tego momentu wszystkie państwa należące do organizacji mogły prowadzić wymianę handlową z Rosją na takich samych warunkach, bez opłat celnych czy innych kosztów. Jedynym państwem, którego to nie dotyczyło, były Stany Zjednoczone, a to za sprawą ustawy zwanej

poprawką Jacksona-Vanika.

Ten ustanowiony w połowie lat siedemdziesiątych akt prawny ograniczał stosunki handlowe z krajami bloku komunistycznego w odwecie za to, że Związek Radziecki utrudniał emigrację rosyjskim Żydom. Początkowo Rosjanie twardo obstawali przy swoim, ale po kilku latach zdali sobie sprawę, że takie sankcje zbyt wiele ich kosztują, i ostatecznie pozwolili, aby 1,5 miliona Żydów opuściło kraj.

Trzydzieści siedem lat później Związek Radziecki już nie istniał, a rosyjscy Żydzi mogli bez przeszkód emigrować, ale poprawka Jacksona-Vanika wciąż obowiązywała. Pozostając w mocy, uniemożliwiała takim przedsiębiorstwom, jak Boeing, Caterpillar czy Ford, jak również amerykańskim eksporterom wołowiny, swobodne czerpanie korzyści z rosyjskiego rynku na równi z innymi państwami należącymi do Światowej Organizacji Handlu.

Zdaniem amerykańskich przedsiębiorców poprawka Jacksona-Vanika musiała zostać uchylona, a rząd Obamy w pełni popierał taką koncepcję. Gdyby prezydent sam mógł to zrobić, dawno byłoby po wszystkim, ale do zniesienia aktu prawnego potrzebna była uchwała Kongresu.

Przebywałem akurat w Waszyngtonie, gdzie wraz z Juleanną prowadziłem naszą kampanię, gdy amerykański rząd rozpoczął starania o zniesienie poprawki Jacksona-Vanika. Po serii porannych spotkań Juleanna i ja pozwoliliśmy sobie na przerwę i poszliśmy na lunch do baru mieszczącego się w podziemiach Hart Office Building. Siedziałem przy mizernym aluminiowym stoliku i jadłem sałatkę, gdy Juleanna trąciła mnie w ramię i pokazała palcem w głąb korytarza. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem otoczonego niewielką grupką doradców senatora Joego Liebermana, jednego z najsłynniejszych zwolenników Ustawy Magnitskiego.

— Bill, tam jest Lieberman — wyszeptała Juleanna. — Myślę, że powinieneś z nim porozmawiać o całej tej sytuacji z poprawką Jacksona-Vanika.

— Teraz? On właśnie gdzieś idzie. Jak mam się z nim rozmówić.

Chociaż nauczyłem się być asertywny, kiedy sytuacja tego wymaga, po dziś dzień jest mi niezręcznie narzucać się niczego niepodejrzewającym nieznajomym, zwłaszcza tym, którzy wciąż są publicznie nagabywani. Ale Juleanna nie zważała na moje wyraźne skrępowanie. Wstała i praktycznie ściągnęła mnie z krzesła.

— No, chodź, Bill. Porozmawiajmy z nim.

Idąc ramię w ramię, przecięliśmy korytarz, zmierzając w stronę senatora Liebermana. Gdy tylko znaleźliśmy się dostatecznie blisko, Juleanna wyciągnęła rękę na powitanie.

— Wybaczy pan, senatorze, że przeszkodzę, ale właśnie się zastanawiałam, czy mogłabym przedstawić panu Billa Browdera,

człowieka, który stoi za Ustawą Magnitskiego.

Lieberman i jego doradcy przystanęli. Myśli senatorów zaprzątają setki spraw i czasem potrzeba kilku sekund, by się zorientowali, kto jest kim. Gdy słowa „Ustawa Magnitskiego" dotarły do Liebermana, jego twarz pojaśniała.

— Ach, pan Browder — rzekł, odwracając się w moją stronę. — Miło mi pana poznać. Jestem wdzięczny za wszystko, czego pan dokonał.

Pochlebiało mi, że senator ma jakiekolwiek pojęcie o tym, kim jestem.

— Nie osiągnąłbym niczego bez pańskiego wsparcia — odparłem szczerze. — Istnieje jednak pewien problem. Zapewne panu wiadomo, że rząd nalega na zniesienie poprawki Jacksona-Vanika.

— Tak, wszędzie o tym głośno.

— Według mnie to niedorzeczne, że Biały Dom likwiduje jeden z najważniejszych aktów prawnych, jakie kiedykolwiek wprowadzono w obronie praw człowieka, jednocześnie blokując Ustawę Magnitskiego.

Senator zastanowił się przez chwilę i odparł szczerym tonem:

— Ma pan absolutną rację. Musimy coś z tym zrobić.

— A co można z tym zrobić?

— Powiem panu. Poinformujemy rząd, że będziemy blokować uchylenie poprawki Jacksona-Vanika, dopóki oni nie przestaną blokować Ustawy Magnitskiego. Jestem pewien, że John, Ben i Roger[9] staną po mojej stronie.

— To byłoby mocne posunięcie. Dziękuję panu.

— Nie, to ja panu dziękuję za to, co pan zrobił — powiedział Lieberman, po czym zwrócił się do swoich doradców i jednemu z nich kazał przypomnieć sobie o wydaniu oświadczenia w tej sprawie, a następnie poszedł w swoją stronę, pozostawiając Juleannę i mnie na środku wypełnionego ludźmi gwarnego korytarza.

Minęło kilka sekund, zanim ochłonąłem.

— Czy to wydarzyło się naprawdę?

— Z całą pewnością — odparła Juleanna. — Tak się załatwia sprawy w Waszyngtonie, Bill. Moje gratulacje.

Zgodnie z obietnicą kilka dni później Lieberman wraz z kilkoma innymi zwolennikami Ustawy Magnitskiego wysłał list do senatora z Montany, Maxa Baucusa, który pełnił funkcję przewodniczącego senackiej komisji finansów. Komisja do spraw stosunków międzynarodowych miała dopuścić do głosowania nad Ustawą Magnitskiego, z kolei komisja finansów miała zatwierdzić uchylenie poprawki Jacksona-Vanika. Treść listu brzmiała: „Jeżeli nie dojdzie do przyjęcia Ustawy Magnitskiego, będziemy się stanowczo sprzeciwiać zniesieniu poprawki Jacksona-Vanika". Zważywszy na sposób działania senatu, taki list można było uznać za weto.

Senatorowi Baucusowi zależało na zniesieniu poprawki Jacksona-Vanika. Wielu jego wyborców z Montany zajmowało się hodowlą bydła i eksportem mięsa. Chcieli sprzedawać swoje befsztyki i hamburgery w Rosji, która stanowiła szósty co do wielkości rynek zbytu dla amerykańskiej wołowiny, bez obaw o spadek koniunktury.

Oznaczało to, że jedynym sposobem na unieważnienie poprawki Jacksona-Vanika jest zatwierdzenie Ustawy Magnitskiego, i po krótkiej naradzie senat postanowił ująć te dwie sprawy w jednym wniosku legislacyjnym. Najpierw miała go rozpatrzyć komisja do spraw stosunków międzynarodowych, aby zatwierdzić Ustawę Magnitskiego, następnie senacka komisja finansów, aby uchylić poprawkę Jacksona-Vanika, a na koniec miał zostać poddany głosowaniu w senacie.

Słynne powiedzenie głosi, że im mniej ludzie wiedzą o tym, jak się robi kiełbasę i jak się ustanawia prawo, tym spokojniej śpią. Nasza kampania weszła w osobliwy alians z interesami hodowców bydła z Montany, rosyjskich obrońców praw człowieka i sprzedawców samolotów Boeinga, ale wydawało się, że dzięki temu zdołamy przezwyciężyć wszelkie przeszkody, jakie stały jeszcze na drodze do naszego celu.

Kiedy perspektywa uchylenia poprawki Jacksona-Vanika stała się realna, Kerry zdjął nogę z hamulca. Wyznaczył na 26 czerwca 2012 roku termin posiedzenia senackiej komisji do spraw stosunków międzynarodowych, którego jedynym celem było zatwierdzenie Ustawy Magnitskiego. Specjalnie poleciałem do Waszyngtonu, żeby przy tym być. Otwarte dla publiczności posiedzenie miało się rozpocząć o 14.15, więc przyjechałem pod Kapitol czterdzieści pięć minut wcześniej, żeby zająć dobre miejsce. Kiedy jednak dotarłem na miejsce, ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że przed wejściem czeka w kolejce przeszło trzysta osób. Byli tam wszyscy — dziennikarze, aktywiści, studenci, pracownicy senatu i urzędnicy ambasady rosyjskiej.

Ustawiłem się na końcu kolejki, ale po pięciu minutach usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje nazwisko. Spojrzałem tam, skąd dobiegał głos, i rozpoznałem studenta ostatniego roku Uniwersytetu Columbia, który ochotniczo pomagał przy naszej kampanii. Chłopak poprosił jednego ze swoich kolegów, żeby zajął mu miejsce, i podszedł do mnie.

— Panie Browder, niech pan stanie przede mną — powiedział.

Pociągnął mnie za sobą i zaczęliśmy mijać wszystkich oczekujących, ale wtem zatrzymał nas jeden z funkcjonariuszy straży kongresowej.

— Hej, koledzy, co wy robicie?

Poczułem się lekko zmieszany i nic nie odpowiedziałem, ale znajomy student zaczął mówić z entuzjazmem:

— Proszę pana, ten człowiek jest inicjatorem Ustawy Magnitskiego. On powinien wejść tam pierwszy.

— Nie obchodzi mnie, kim on jest — odparł strażnik i wymierzył we mnie palec. — Na koniec kolejki.

— Ale…

— Na koniec kolejki!

Powiedziałem studentowi, że nic się nie stało, i wróciłem na poprzednie miejsce. Po drodze zauważyłem urzędnika ambasady rosyjskiej, którego znałem z widzenia. Sądząc po szyderczym uśmieszku, najwyraźniej spodobało mu się to, jak zostałem potraktowany.

Gdy w końcu znalazłem się w korytarzu, zobaczyłem tłum kłębiący się pod zamkniętymi drzwiami sali obrad. Sala mogła pomieścić tylko około sześćdziesięciu osób i zdałem sobie sprawę, że jeśli nie wejdę na początku, w ogóle nie zdołam dostać się do środka. Drzwi otworzyła punktualnie o 14.15 niska przysadzista kobieta o brązowych włosach i donośnym władczym głosie. Wezwała przedstawicieli prasy i jedna trzecia zgromadzonych rzuciła się do przodu. Usiłowałem prześliznąć się wraz z nimi, lecz ta budząca respekt kobieta traktowała swoją pracę bardzo poważnie.

— Gdzie jest pańska akredytacja? — spytała, zatrzymując mnie, gdy przyszła moja kolej.

— Hm… Nie mam. Ale jestem głęboko zaangażowany w sprawę Ustawy Magnitskiego i bardzo mi zależy, żeby tam wejść.

Kobieta pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Nieźle kombinujesz, ale nic z tego, przyjacielu”, i wskazała palcem w stronę reszty oczekujących.

Cóż mogłem zrobić? Po raz drugi tego dnia odchodziłem upokorzony, czując się jak intruz. Stanąłem za pluszowym sznurem, gdy wtem pojawili się senatorowie w otoczeniu swoich doradców. Tłum rozstąpił się przed nimi, a ze wszystkich stron rozbłysły flesze. Jako jeden z ostatnich przechodził Ben Cardin, który jednak mnie nie zauważył. Za to jego doradca, Fred Turner, napotkał moje spojrzenie.

Zobaczyłem, że gdy świta Cardina znalazła się przy drzwiach, Fred przystanął i powiedział coś przysadzistej odźwiernej, wskazując palcem w moim kierunku. Kobieta podeszła do mnie.

— Panie Browder, bardzo pana przepraszam — powiedziała. — Mamy dla pana miejsce. Proszę za mną.

Wprowadziła mnie do wypełnionego po brzegi wnętrza, najbardziej ozdobnej ze wszystkich sal, w których obradują komisje senackie, i wskazała ostatnie wolne krzesło.

Senator Kerry wszedł bocznym wejściem i oficjalnie rozpoczął posiedzenie. Z jego gestów dało się wywnioskować, że wcale nie czuje się najlepiej na tym miejscu. Na wstępie wygłosił osobliwą przemowę

traktującą o tym, że Ameryka nie jest idealnym krajem, a wszyscy obecni muszą „mieć świadomość, że Stany Zjednoczone nie mogą zawsze dyrygować i prawić kazań, ale powinny być też zdolne do refleksji nad sobą".

Potem oddał głos innym senatorom, z których każdy wyraził swoje poparcie dla projektu ustawy. Kiedy skończyli, Kerry zwrócił się bezpośrednio do Cardina:

— Nie uważam tego za całkowicie dopracowany produkt i nie chcę tego oceniać w takich kategoriach.

Następnie protekcjonalnym tonem mędrca z Bostonu zaczął snuć niezbyt zrozumiałe wywody o tym, że Ustawa Magnitskiego stanowi potencjalne zagrożenie dla poufnych informacji, i chociaż jest „w pełni uzasadniona jako narzędzie sprawiedliwości", nasuwa obawy co do „niezamierzonych konsekwencji takiego rodzaju szczegółowych sprawozdań, które pociągają za sobą działania wywiadowcze o szerszym zakresie".

Tym dyplomatycznym bełkotem Kerry dawał jasno do zrozumienia, że jest tu tylko przez wzgląd na obowiązek i nie może się pogodzić z tym, co musi zrobić. Wszystko, co mówił, wyglądało na źle zamaskowaną próbę gry na zwłokę, aby głosowanie nad projektem ustawy przeszło na następną sesję legislacyjną Kongresu. Gdyby tak się stało, cała ta procedura musiałaby się zacząć od zera. Wszystko miało się rozstrzygnąć w tym momencie i zależało od tego, czy Cardin, który był senatorem dopiero przez pierwszą kadencję, postawi się Kerry'emu, weteranowi z dwudziestosiedmioletnim stażem w senacie i Partii Demokratycznej.

Kerry skończył wreszcie swoją monotonną przemowę i wszystkie oczy skierowały się na Cardina, który sprawiał wrażenie podenerwowanego, kiedy szykował się, by zabrać głos.

Cardin okazał się jednak nieugięty. Nie zgodził się na ponowne rozpatrzenie projektu w późniejszym terminie i zażądał, aby komisja natychmiast przeprowadziła głosowanie. Po pięciu minutach wymiany argumentów Kerry miał już dość i nawet przerwał Cardinowi w pół zdania, pytając:

— Są jeszcze jakieś wnioski? Jeszcze jakieś uwagi?

W sali panowało milczenie.

Kerry zarządził głosowanie. Nie było ani jednego głosu przeciw. Przewodniczący komisji ogłosił jednomyślną decyzję i zakończył posiedzenie. Trwało ono zaledwie piętnaście minut. Ludzie zaczęli kierować się do wyjścia.

Wydostałem się na świeże powietrze. Od 16 listopada 2009 roku każdy dzień swojego życia poświęcałem staraniom o uczczenie pamięci Siergieja. A w to czerwcowe popołudnie 2012 roku wydawało się, że w Waszyngtonie — stolicy najpotężniejszego kraju na świecie

— nie ma nikogo, kto nie znałby Siergieja Magnitskiego.

Rozdział 38
Delegacja Małkina

Układ wszystkich planet zdawał się sprzyjać przyjęciu Ustawy Magnitskiego. Świat biznesu był po naszej stronie, obrońcy praw człowieka byli po naszej stronie, administracja Obamy była po naszej stronie. Republikanie, demokraci, wszyscy. Trudno byłoby znaleźć kogokolwiek, kto stanąłby nam na drodze.

Ale 9 lipca 2012 roku, niecałe dwa tygodnie przed terminem rozpatrzenia połączonego projektu przez senacką komisję finansów, rosyjski rząd podjął ostatni desperacki wysiłek, by zablokować ustawę. Rosjanie wysłali do Waszyngtonu delegację wysokich rangą urzędników, aby przeprowadzić „śledztwo parlamentarne w sprawie Magnitskiego". Oświadczyli, że chcą utworzyć połączoną komisję, w której skład wejdą członkowie Kongresu Stanów Zjednoczonych i rosyjskiego parlamentu, aby zbadać całą sprawę, ale ich głównym celem, podobnie jak Kerry'ego, była gra na zwłokę, aby projekt ustawy został przeniesiony na następną sesję legislacyjną i skonał powolną śmiercią.

Delegacja składała się z czterech członków Rady Federacji, izby wyższej rosyjskiego parlamentu, a na je czele stał Witalij Małkin, rosyjski miliarder zajmujący 1062 miejsce w rankingu magazynu „Forbes".

Przyglądając się postaci Małkina, odkryłem, że w 2009 roku kanadyjskie władze uznały go za „członka grupy zajmującej się międzynarodową działalnością przestępczą" i pomimo gorliwych zaprzeczeń został pozbawiony prawa wstępu na terytorium Kanady. Nie potrafiłem pojąć, jak człowiek o takiej reputacji może przewodniczyć oficjalnej delegacji do Waszyngtonu, potem jednak znalazłem jego zdjęcie wykonane na schodach Kapitolu, gdy ściskał prawice polityków, ofiarując milion dolarów Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Uznałem, że za ten milion kupił sobie w Waszyngtonie pewną dozę tolerancji.

Mogłem sobie wyobrazić, że bez względu na przeszłość Małkina członkowie Kongresu usilnie będą chcieli poznać wszelkie „nowe szczegóły" w sprawie Magnitskiego, jakimi dysponuje. Wiedziałem, że uraczy ich kłamstwami i sfałszowanymi przez FSB dokumentami, lecz żaden amerykański parlamentarzysta nie był w stanie zweryfikować tych informacji w trakcie półgodzinnego wystąpienia.

W poniedziałek 9 lipca przez większość dnia obdzwaniałem biura różnych członków Kongresu, próbując ustalić, który z nich zamierza się spotkać z delegacją. Kyle powiedział mi, że Cardin odmówił, ale

McCain, Wicker i McGovern zgodzili się na spotkanie. Dowiedział się, że Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Departament Stanu także zamierzają przyjąć delegację, a na 11 lipca zaplanowano konferencję prasową w ambasadzie rosyjskiej, podczas której Małkin miał przedstawić „nowe szczegóły w sprawie".

Większość spotkań odbyła się 10 lipca, a ja gorączkowo usiłowałem nawiązać kontakt ze wszystkimi osobami, jakie znałem w Waszyngtonie, by zdobyć jakiekolwiek informacje o ich przebiegu, ale nie miałem szczęścia. Nawet Kyle tego dnia był niedostępny.

Nie pozostawało mi nic innego, jak powtórzyć całą procedurę dzień później, lecz niestety 11 lipca wybierałem się z rodziną do San Diego. Trudno było o bardziej niedogodny termin, ale nie zamierzałem odwoływać tej podróży. Gdy zaczynał się cały ten koszmar, obiecałem Elenie, że nie pozwolimy, aby Rosjanie zrujnowali nam życie.

W południe weszliśmy na pokład samolotu i chociaż byłem kompletnie rozkojarzony, pomagałem Elenie zajmować się dziećmi. Zajęliśmy miejsca i kiedy samolot kołował na pas startowy, Jessica i ja bawiliśmy się dwiema pluszowymi żyrafami.

— Tatusiu, a kto to jest Magnitski? — nagle zapytała moja córeczka, gdy znaleźliśmy się już w powietrzu.

Nigdy nie rozmawiałem z Jessicą o Siergieju, ale słyszała jego nazwisko tyle razy, że stało się częścią jej codziennego słownika.

— Siergiej Magnitski był przyjacielem — odpowiedziałem po chwili zastanowienia.

— Czy coś mu się stało?

— Tak. Bardzo źli ludzie zamknęli go w więzieniu, skrzywdzili go i kazali mu powtarzać kłamstwa.

— Zgodził się?

— Nie. I dlatego utrudniali mu życie i nie pozwalali mu zobaczyć się z rodziną.

— A dlaczego kazali mu kłamać? — zapytała Jessica, a pluszowa żyrafa w jej rączkach tańczyła na podłokietniku między naszymi fotelami.

— Bo ukradli dużo pieniędzy i nie chcieli ich oddać.

Moja córeczka wypuściła z dłoni żyrafę, która zsunęła się na moje kolana.

— A co się stało z Magnitskim? — zapytała po chwili.

— Cóż, skarbie… umarł.

— Bo nie chciał kłamać?

— Właśnie tak. Umarł, bo nie chciał kłamać.

— Och.

Jessica podniosła żyrafę i obracając ją, powiedziała coś niezrozumiałego w swoim dziecinnym języku. Siedziałem pogrążony w myślach, gdy po kilku sekundach jej słowa wyrwały mnie z zadumy.

— Mam nadzieję, że ciebie to nie spotka.

Zamrugałem, czując, że w oku kręci mi się łza.

— Nie spotka, kochanie. Obiecuję.

— To dobrze.

Zgasł podświetlany znak informujący o konieczności zapięcia pasów i Jessica wstała z fotela, żeby porozmawiać o czymś z Eleną, ale nasza wymiana zdań mocno mną wstrząsnęła. Zasmuciła mnie, ale przede wszystkim wzbudziła mój gniew. Czułem, że muszę jak najszybciej się dowiedzieć, jak przebiega wizyta delegacji Małkina w Waszyngtonie.

Jedenaście godzin później, gdy tylko znaleźliśmy się na ziemi, włączyłem telefon i zadzwoniłem do Kyle'a, szykując się na najgorsze. Odebrał po pierwszym sygnale.

— Cześć, Bill. Co się dzieje? — zapytał tym samym swobodnym tonem, do którego przywykłem.

— Spędziłem cały dzień w samolocie. Co z Rosjanami? Mamy jeszcze szansę na tę ustawę?

— Oczywiście. Ich interwencja, jeśli można tak to nazwać, okazała się totalną porażką — powiedział Kyle ze śmiechem. — Musiałbyś to zobaczyć.

Opowiedział mi, jak Małkin zaczął przekonywać senatorów, że Siergiej miał skłonność do nadużywania alkoholu, a ponieważ był słabego zdrowia, śmierć nastąpiła wskutek przepicia. Było to nie tylko obraźliwe, ale całkowicie mijało się z prawdą, o czym senatorowie wiedzieli. Byli zaznajomieni z niezależnymi raportami, z których wynikało, że Siergiej zmarł, ponieważ był torturowany i nie otrzymał odpowiedniej pomocy lekarskiej.

Następnie Małkin przeszedł do drugiego punktu, rozkładając przed senatorami stertę spreparowanych dokumentów w języku rosyjskim, które rzekomo miały stanowić „niepodważalny dowód" na to, że Siergiej i ja jesteśmy oszustami i wyłudziliśmy 230 milionów dolarów. Ten wybieg również nie zadziałał. Senatorowie znali nasze filmy o rosyjskich nietykalnych, z których dowiedzieli się wszystkiego o niewyjaśnionych źródłach bogactwa Kuzniecowa, Karpowa i Stiepanowej, jak również o procederze prania brudnych pieniędzy w banku szwajcarskim i zamrożonych milionach na koncie męża Stiepanowej. Przypomnieli zatem o tych niewygodnych faktach Małkinowi, który w odpowiedzi zapewnił, że rosyjskie władze zbadały wszystkie te zarzuty i nie doszukały się żadnych nieprawidłowości.

Kyle poinformował mnie również, że konferencja prasowa okazała się jeszcze większą katastrofą. Gdy reporter z „Chicago Tribune" poprosił o komentarz do dokumentów, które dowodziły, że Siergiej został pobity przez strażników, Małkin odpowiedział lekceważąco:

— Tak, może ktoś go kopnął raz czy dwa, ale to nie spowodowało

jego zgonu.

Ta ostatnia desperacka próba Rosjan za sprawą całego zgiełku, jaki powstał wokół niej, przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego. Zamiast zniechęcić jeszcze bardziej przekonała ludzi do Ustawy Magnitskiego. Mieliśmy teraz solidne poparcie i nie musieliśmy się obawiać, że senacka komisja finansów odrzuci projekt.

Bez żadnych niespodzianek Ustawa Magnitskiego została zatwierdzona 18 lipca. Następnym etapem było pełne głosowanie w obu izbach Kongresu Stanów Zjednoczonych, które miało się odbyć po letniej przerwie wakacyjnej.

Podczas przerwy wszystkie sprawy przycichły i po raz pierwszy od wielu lat mogłem się cieszyć rodzinnymi wakacjami. Nie umiałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłem w stanie wrzucić na luz i całkowicie się odprężyć. W połowie urlopu dzieci ubłagały mnie, żebym zabrał je na biwak. Pożyczyliśmy namiot oraz śpiwory i wybraliśmy się do oddalonego o półtorej godziny jazdy od San Diego parku stanowego Palomar Mountain, gdzie zamierzaliśmy przenocować. Przynieśliśmy drewno z leśniczówki, rozpaliliśmy ognisko i poszliśmy się rozejrzeć po lesie, podczas gdy David zajął się gotowaniem. Nasza kolacja, którą zjedliśmy z plastikowych talerzyków, składała się ze spaghetti w sosie pomidorowym i parówek. Wraz z zapadnięciem zmroku w lesie zaczęły pohukiwać sowy, którym wtórowały inne ptaki siedzące na koronach drzew, a powietrze wypełniała woń palonego drewna. Od dawna nie spędziłem tak przyjemnego wieczoru.

Do Londynu wróciłem zregenerowany i gotowy na ostateczną rozgrywkę.

Okazało się jednak, że Rosjanie też nie zamierzali próżnować. W pierwszy dzień po powrocie odebrałem sporych rozmiarów przesyłkę poleconą. W wielkiej kopercie znajdował się pozew wniesiony przez Pawła Karpowa przeciwko mnie, który zajmował przeszło dwieście stron z nadrukiem firmy Olswang, jednej z najbardziej prestiżowych i najdroższych kancelarii prawnych w Wielkiej Brytanii. Karpow wytaczał mi proces o zniesławienie przed Wysokim Trybunałem Wielkiej Brytanii, twierdząc, że nasze filmy opublikowane na YouTube naruszyły jego dobre imię i naraziły go na cierpienia moralne.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Cierpienia moralne? Czy ten człowiek sobie kpił?

Co więcej, miesięczna pensja Karpowa nie przekraczała 1500 dolarów, tymczasem prawnicy, których wynajął, liczyli sobie około 600 funtów za godzinę. Oznaczało to, że za samo sporządzenie i doręczenie tego dokumentu Karpow musiał wyłożyć równowartość swoich oficjalnych zarobków z kilku lat.

Wyglądało mi to na desperacką próbę uciszenia naszej kampanii i

pasowało idealnie do instrukcji, którą Putin wydał swoim ministrom. W maju 2012 roku, gdy po wygranych wyborach rozpoczął kolejną kadencję na stanowisku prezydenta, wydał rozporządzenie, które za jeden z nadrzędnych celów rosyjskiej polityki zagranicznej uznawało powstrzymanie Amerykanów przed przyjęciem Ustawy Magnitskiego. Według mnie tłumaczyło to, jakim cudem Karpow mógł sobie pozwolić na skorzystanie z usług tej ekskluzywnej londyńskiej kancelarii prawnej.

Nie miałem wątpliwości, że firma Olswang z zadowoleniem podjęła się tej sprawy. Oczyma wyobraźni widziałem jakiegoś złotoustego adwokata, który wyjaśniał gromadce nieobytych Rosjan, że wydając milion dolarów na pozew, rozwiążą wszystkie swoje problemy z Billem Browderem i Ustawą Magnitskiego. Jednak londyńscy prawnicy mogli nie zdawać sobie sprawy, że ten oficer rosyjskiej policji, który nie mówił po angielsku, a w Wielkiej Brytanii był tylko dwa razy na wakacjach, nie ma zbyt dużych szans przed brytyjskim sądem cywilnym.

Wynająłem prawników, którzy mieli odpowiedzieć na pozew, nie zamierzałem jednak pozwolić, aby odwróciło to moją uwagę od głównego celu, czyli starań o przyjęcie Ustawy Magnitskiego. Na początku września skończyły się wakacje, a gdy tylko Kyle zjawił się z powrotem w swoim biurze, zadzwoniłem do niego, aby zapytać, kiedy odbędzie się głosowanie nad projektem ustawy.

Kyle roześmiał się.

— Bill, zbliża się szczyt politycznego sezonu ogórkowego przed wyborami prezydenckimi. Ustawa Magnitskiego jest zbyt neutralna dla układu sił, by spieszyć się z głosowaniem.

— Ale mamy pełne poparcie ze strony obu partii. To chyba jedyna rzecz w Waszyngtonie, na którą wszyscy się godzą.

— I w tym cały szkopuł, Bill. Teraz, kiedy wybory zbliżają się pełną parą, nikt nie chce rozmawiać o rzeczach, na które wszyscy się godzą. Żadnego z tych facetów nie stać na to, by poprawiać innym wizerunek.

— Co zatem sądzisz?

— Sądzę, że najwcześniej zajmą się projektem po szóstym listopada.

Przeprowadziłem w myślach szybką kalkulację.

— Z tego wynika, że zostało nam tylko siedem tygodni między wyborami a końcem sesji legislacyjnej.

— Nawet nie siedem. Po odjęciu świąt znacznie mniej.

Chociaż martwiło mnie to opóźnienie, pozostawało jedynie czekać. Przez wrzesień i październik nadrabiałem zaległości, usiłując dotrzymać kroku moim współpracownikom w Hermitage, z którego pozostał tylko cień dawnej świetności. Przywrócenie funduszu do

poprzedniego stanu wymagało wielu miesięcy podróży marketingowych i konferencji inwestycyjnych. Kiedy jednak pomyślałem, że miałbym wybierać między odbudową firmy a zabieganiem o sprawiedliwość dla Siergieja, to drugie wzięło górę w mgnieniu oka.

Tygodnie mijały powoli i w końcu szóstego listopada odbyły się w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie. Obama bez trudu pokonał Mitta Romneya, a dzień po wyborach zadzwoniłem do Kyle'a, by ponownie zapytać, kiedy odbędzie się głosowanie nad projektem ustawy. Jego odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie.

— Miałem do ciebie dzwonić — rzekł. — Izba Reprezentantów właśnie oświadczyła, że przeprowadzi głosowanie w przyszły piątek.

— Mówisz poważnie?

— Tak. To nareszcie zaczyna się dziać.

Zerknąłem na kalendarz.

— To będzie szesnasty listopada…

Kyle zawiesił głos, kiedy uświadomił sobie znaczenie tej daty. Na ten dzień przypadała trzecia rocznica śmierci Siergieja.

— Tak, rzeczywiście… — odezwał się cicho. — Ale jest jeszcze jeden problem. Izba Reprezentantów nalega, żeby z powrotem ograniczyć zasięg ustawy wyłącznie do Rosji i tylko taki projekt zgodzi się przyjąć pod głosowanie.

Kiedy senator Cardin uczynił z Ustawy Magnitskiego oręż do obrony praw człowieka na całym świecie, jej bezprecedensowy i historyczny charakter wprawił go w taki entuzjazm, że był gotów zaryzykować całe przedsięwzięcie, byle tylko zachować jego globalny zasięg.

— Czy to oznacza, że Cardin nie zgodzi się na okrojoną wersję?

— Całkiem możliwe.

Gdyby senat obstawał za inną wersją ustawy niż Izba Reprezentantów, obie izby musiałyby dojść do porozumienia, a to zajęłoby więcej czasu — którego nam brakowało. Istniało spore prawdopodobieństwo, że jeśli Cardin nie zgodzi się na ustępstwo, nie dojdzie do przyjęcia żadnej ustawy.

Oczywiście wolałbym, aby została przyjęta globalna wersja ustawy, za którą optował Cardin. Gdyby nazwisko Siergieja pojawiło się w akcie prawnym o tak szerokim i doniosłym znaczeniu, byłby to idealny sposób na uczczenie jego pamięci. Ale jeszcze bardziej zależało mi na tym, żeby ustawa zaczęła obowiązywać, i jeżeli to wymagało okrojenia jej zasięgu wyłącznie do Rosji, byłem zdania, że warto pójść na takie ustępstwo.

Miałem nadzieję, że Cardin też dojdzie do takiego wniosku.

W końcu nadszedł szesnasty listopada. Zapowiadał się wielki dzień, i to nie tylko ze względu na głosowanie Izby Reprezentantów

nad Ustawą Magnitskiego. Tego wieczoru wybierałem się na londyńską premierę sztuki *Godzina osiemnaście*, niezależnego i uhonorowanego licznymi nagrodami spektaklu rosyjskiej dramatopisarki, Eleny Greminy, opowiadającego szczegółowo o ostatniej godzinie i osiemnastu minutach życia Siergieja.

Późnym popołudniem wszyscy w siedzibie firmy byli zalogowani na stronie C-SPAN i śledzili transmisję obrad Izby Reprezentantów. Zanim przystąpiono do głosowania, członkowie Kongresu kolejno wchodzili na mównicę i zabierali głos, by w pięknych słowach przedstawić historię Siergieja i domagać się sprawiedliwości. Na moich oczach rozgrywały się przełomowe wydarzenia. W tej ogromnej, wysoko sklepionej sali, w której unosił się duch amerykańskiej historii, głosowano kiedyś nad zniesieniem niewolnictwa oraz prawami wyborczymi dla kobiet i zatwierdzano epokowe akty swobód obywatelskich. Z przejęciem myślałem o wszystkim, co doprowadziło do tego doniosłego wydarzenia.

W końcu rozpoczęło się głosowanie. Jeden po drugim napływały głosy i niemal wszystkie wyrażały poparcie. Ilekroć ktoś był przeciwko, po sali przetaczały się gwizdy, ale takie oznaki niezadowolenia zdarzały się niezwykle rzadko. Było pewne, że projekt ustawy przejdzie pomyślnie.

Mniej więcej w połowie głosowania zadzwonił mój telefon. Odebrałem, nie patrząc na wyświetlacz, przekonany, że dzwoni Elena albo ktoś z przyjaciół, kto chciał porozmawiać o wydarzeniach w Waszyngtonie.

— Cześć, Bill, mówi Marcel.

Rozpoznałem w słuchawce głos księgowego współpracującego z Aleksandrem Pierieplicznym, rosyjskim demaskatorem, który przekazał nam informacje o koncie Stiepanowa w banku szwajcarskim. Byłem tym zaskoczony, ponieważ Marcel nie miał nic wspólnego z Ustawą Magnitskiego ani żadną z innych rzeczy, nad którymi pracowaliśmy w owym czasie.

— Cześć, Marcel. Czy to może zaczekać? Jestem teraz troszeczkę zajęty.

— Wybacz, że cię odrywam, ale to ważne.

— No dobra, o co chodzi?

— Nawet nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić — powiedział tajemniczo.

Odwróciłem się do monitora, na którym oglądałem transmisję z Kapitolu.

— O czym mówić?

— Musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz. Nawet ludziom w biurze.

— To zależy. Co się stało?

— Aleksandr Pierieplicznyj nie żyje.

Rozdział 39
Sprawiedliwość dla Siergieja

Marcel wiedział tylko tyle, że Pierieplicznyj padł martwy nieopodal swojego domu w Surrey, gdy wybrał się na popołudniowy jogging.

Upłynęło kilka minut, zanim oswoiłem się z tą wiadomością. Surrey dzieliło około trzydziestu kilometrów od miejsca, w którym aktualnie się znajdowałem. Jeżeli Pierieplicznyj został zamordowany, a wiele na to wskazywało, nasi przeciwnicy zaczynali deptać nam po piętach.

Prośba Marcela, bym zachował tę wiadomość dla siebie, była zgoła nieuzasadniona, toteż natychmiast wezwałem Wadima, Władimira i Iwana do mojego gabinetu. Gdy powiedziałem im, co się stało, byli kompletnie zszokowani, zwłaszcza Wadim i Władimir, którzy w ciągu ostatniego roku zawarli z Pierieplicznym bliższą znajomość. Podczas rozmowy Władimir opadł na krzesło i powiedział do siebie coś po rosyjsku, czego nie zrozumiałem.

Nagle pracownicy Hermitage zaczęli wiwatować i przez przeszkloną ścianę mojego biura zobaczyłem, jak przybijają sobie nawzajem piątkę. Otworzyłem drzwi i zapytałem, co się stało.

— Ustawa Magnitskiego właśnie przeszła — odpowiedziała moja sekretarka. — Trzysta sześćdziesiąt pięć głosów za, przeciw — czterdzieści trzy.

Była to wspaniała wiadomość, ale nie miałem nastroju do świętowania. Właśnie dowiedziałem się o śmierci innego człowieka, który był związany z tą sprawą. Starając się powściągnąć swoje uczucia, dołączyłem do zespołu, by pogratulować wszystkim efektów ich ciężkiej pracy. Przez kilka minut rozmawialiśmy o głosowaniu i następnych krokach, ale nie chciałem nikomu mówić o śmierci Pierieplicznego, dopóki nie rozważę wszystkich okoliczności.

Wróciłem do swojego gabinetu, usiadłem za biurkiem i zacząłem rozmyślać nad tym, czego właśnie się dowiedziałem. Czy Pierieplicznyj został zamordowany? Czy jego zabójcy nadal przebywają w Wielkiej Brytanii? Czy planują zaatakować również nas? Choć tak bardzo chciałem skontaktować się z ludźmi, którzy pomogliby mi znaleźć odpowiedzi na te pytania, nie mogłem sobie na to pozwolić. Za czterdzieści pięć minut miałem być w New Diorama Theatre, by obejrzeć sztukę o Siergieju, której premiera odbywała się tego wieczoru.

Po przybyciu do teatru starałem się odsunąć od siebie wszystkie czarne myśli. Wszedłem do holu, mijając po drodze największe

znakomitości londyńskiej społeczności działaczy na rzecz obrony praw człowieka — członków parlamentu, przedstawicieli rządu, celebrytów i artystów, jak również grono bliskich przyjaciół. Wszyscy zajęliśmy miejsca na widowni. Sztuka była poruszająca i miała silne przesłanie, a kiedy dobiegła końca, wraz z trojgiem gości specjalnych wszedłem na scenę, gdzie zasiedliśmy na rozkładanych krzesłach i rozpoczęliśmy dyskusję panelową. W skład panelu wchodzili Tom Stoppard, słynny dramaturg; Władimir Bukowski, były rosyjski więzień polityczny, oraz Bianca Jagger, była żona Micka Jaggera i znana działaczka na rzecz obrony praw człowieka.

Stoppard i Bukowski opowiedzieli o tym, jak pierwszy z nich napisał w latach siedemdziesiątych sztukę, która przyczyniła się do uwolnienia tego drugiego z sowieckiego szpitala psychiatrycznego. Posługując się przykładem Siergieja, zwrócili uwagę na fakt, że w Rosji pomimo upływu czasu prawie nic się nie zmieniło.

Przemawiając ostatni, powiedziałem do widowni:

— Sytuacja w Rosji faktycznie jest ciężka, lecz dziś pojawił się mały promyk nadziei. Zaledwie kilka godzin temu Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych przeprowadziła głosowanie nad aktem prawnym nakładającym sankcje na ludzi, którzy dręczyli i zamordowali Siergieja Magnitskiego. Mogę z dumą oświadczyć, że projekt ustawy został zatwierdzony przewagą osiemdziesięciu dziewięciu procent głosów.

Zamierzałem powiedzieć coś więcej, ale przerwał mi wybuch aplauzu. Ludzie kolejno podnosili się z foteli i zanim się zorientowałem, wszyscy stali. Zgotowali owację naszej kampanii, ale jeszcze większy entuzjazm wzbudził w nich ten okruch sprawiedliwości, którym była dla świata Ustawa Magnitskiego.

Wychodząc z teatru, wymieniałem niezliczone uściski dłoni i przyjmowałem gratulacje, ale myślałem już tylko o powrocie do domu. W drodze na spektakl powiedziałem Elenie o Pierieplicznym i teraz bardzo chciałem z nią porozmawiać.

Zastałem ją siedzącą na kanapie ze wzrokiem wlepionym tępo w ścianę salonu. Wyraz zgrozy na twarzy ukochanej osoby nikomu nie sprawia przyjemności, ale właśnie taki widok ukazał się moim oczom tamtego wieczoru, gdy spojrzałem na Elenę. Znajdowaliśmy się w domu, nasze dzieci spały i teoretycznie byliśmy bezpieczni, ale nie miałem żadnych wątpliwości, że Pierieplicznyj czuł się tak samo w swoim domu w Surrey.

Rankiem następnego dnia skontaktowałem się z moją londyńską prawniczką, Mary, i uzgodniliśmy, że niezwłocznie należy powiadomić policję w Surrey. Musieliśmy im uświadomić, że za tą sprawą stoi korupcja na wielką skalę i zorganizowana działalność przestępcza. Pierieplicznyj nie był człowiekiem, po którym można by

się spodziewać nagłego zgonu.

Mary przygotowała pismo, w którym zaznaczyła, że zmarły był świadkiem w sprawie zakrojonego na wielką skalę procederu prania brudnych pieniędzy i mógł zostać otruty tak samo jak Litwinienko w 2006 roku. Nalegała, aby policja jak najszybciej zleciła wykonanie analizy toksykologicznej.

Mary wysłała list faksem w sobotę, w niedzielę nie otrzymała żadnej odpowiedzi, a w poniedziałek zadzwoniła na posterunek policji w Weybridge. Funkcjonariusz dyżurny potwierdził otrzymanie pisma, lecz ku jej zdumieniu oświadczył, że nie było żadnego zgłoszenia o śmierci człowieka nazwiskiem Pierieplicznyj.

Uznałem to za niedorzeczne i poprosiłem Mary, aby skontaktowała się z kimś wyższym rangą, kto jest lepiej zorientowany. Po kilku kolejnych rozmowach telefonicznych uzyskała potwierdzenie, że Pierieplicznyj faktycznie zmarł 11 listopada na prywatnej drodze w pobliżu swojego domu, jednak nikt nie chciał jej udzielić szczegółowych informacji. Mary zaznaczyła, że znamy informacje, które mogą okazać się pomocne dla śledztwa, jednak policjant zanotował tylko numer jej telefonu i powiedział, że się z nią skontaktuje, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Do środy nie zadzwonił do niej nikt z policji. Tego dnia otrzymałem od Marcela wiadomość, że pierwsza sekcja zwłok Pierieplicznego nie przyniosła konkretnych rezultatów. Koroner nie potrafił ustalić przyczyny zgonu. Żadnego ataku serca, udaru ani tętniaka. Po prostu nagle padł martwy.

Było to niepokojące szczególnie z jednego powodu. Tuż przed śmiercią Pierieplicznyj poinformował nas, że Rosjanie umieścili go na czarnej liście i otrzymywał groźby pozbawienia życia, dlatego uzasadnione były obawy, że morderca przebywa w Wielkiej Brytanii. Jeżeli zdołał dosięgnąć Pierieplicznego, równie łatwo mógł dotrzeć do nas.

Mary nękała policję przez resztę tygodnia, ale za każdym razem odprawiano ją z kwitkiem. Gdy nadszedł kolejny poniedziałek, byłem tak podenerwowany, że zapytałem ją, co możemy zrobić, żeby zmusić policję do działania. Jej rada była prosta: „Idź z tym do prasy". Zazwyczaj w takich sytuacjach prawnicy zalecają, aby trzymać się z dala od mediów, jednak ta sprawa miała szeroki wydźwięk społeczny, a policja wykazywała taką obojętność, że nie mieliśmy innego wyjścia.

Jeszcze tego samego dnia skontaktowałem się z dziennikarzem śledczym pracującym dla brytyjskiego tabloida „Independent" i opowiedziałem mu całą historię. Udostępniłem mu dokumenty dostarczone nam przez Pierieplicznego, a także listę numerów telefonów, których mógł użyć, aby zweryfikować poszczególne części materiału.

Trzy dni później „Independent” opublikował artykuł pod tytułem: *Informator, który ujawnił wielki przekręt w Rosji, znaleziony martwy w Surrey*. Całą pierwszą stronę dziennika zajmowało wielkie zdjęcie twarzy Pierieplicznego. Na pięciu kolejnych stronach znajdował się artykuł, który szczegółowo opowiadał całą historię. Temat podchwyciły wszystkie stacje telewizyjne, programy radiowe i gazety w Wielkiej Brytanii. Ludzie byli przerażeni faktem, że członkowie rosyjskich grup przestępczych załatwiają swoje porachunki na ulicach Londynu.

Zaraz po nagłośnieniu całej sprawy policja z Surrey wysłała wreszcie do naszego biura dwóch detektywów, którzy mieli nas przesłuchać. Wtedy też, dwadzieścia jeden dni po śmierci Pierieplicznego, policja oświadczyła, że podjęto decyzję o przeprowadzeniu pełnej analizy toksykologicznej zwłok. Według mnie było na to o wiele za późno. Jeżeli został otruty, wszelkie szkodliwe substancje zdążyły się już całkowicie rozłożyć.

Ktokolwiek to zrobił, nagłośnienie sprawy w mediach i śledztwo w sprawie kryminalnej musiały go spłoszyć i na pewno gdzieś się zaszył. Choć zagrożenie nadal było poważne, czułem się już na tyle pewnie, że znów skupiłem się na swoich obowiązkach.

Do głosowania w senacie pozostało zaledwie kilka dni. Wprawdzie nie mogłem być w Waszyngtonie, aby zobaczyć to na własne oczy, ale wybierałem się do Stanów Zjednoczonych, gdzie czekało mnie wystąpienie na Uniwersytecie Harvarda i kilka spotkań biznesowych w Nowym Jorku.

W niedzielę 2 grudnia przyleciałem do Bostonu i kiedy opuszczając pokład samolotu, włączyłem komórkę, odebrałem wiadomość od Kyle’a. Zadzwoniłem do niego, idąc w stronę stanowiska odprawy.

— Cześć, Bill — odezwał się Kyle swobodnym jak zwykle tonem. — Co słychać?

— Dostałem wiadomość od ciebie. Są jakieś problemy?

— Możliwe. Kilku senatorów upiera się, żeby Ustawa Magnitskiego miała zasięg ogólnoświatowy, a nie ograniczała się tylko do Rosji.

— Jakie to ma konsekwencje dla nas?

— Cóż, teraz nie chodzi już tylko o Cardina. Wersję globalną forsuje rosnąca grupa senatorów, na której czele stoją Kyl i Levin.

— Ale myślałem, że cały senat jest po naszej stronie.

— Bez wątpienia mamy poparcie, Bill. Ale jeśli nie będzie zgodnego stanowiska co do zakresu oddziaływania ustawy, Harry Reid nie zarządzi głosowania — wyjaśnił Kyle, mając na myśli przywódcę większości w senacie. — A czas ucieka.

— Czy mogę coś na to zaradzić?

— Tak. Spróbuj dotrzeć do członków frakcji Kyla i Levina i przedstaw im swoje argumenty na to, że powinna przejść wersja ograniczona do Rosji. Ja spróbuję tego samego z Cardinem.

— Dobrze. Przez kilka najbliższych dni muszę być w Bostonie i Nowym Jorku, ale potem się tym zajmę.

Zatrzymałem się w korytarzu przed bramką kontroli paszportowej i zadzwoniłem do Juleanny. Nie była tak bardzo zaniepokojona jak Kyle, ale obiecała w poniedziałek z samego rana skontaktować się z doradcami senatorów do spraw polityki zagranicznej.

Przeszedłem odprawę i pojechałem do hotelu. Następnego dnia rano udałem się do Harvard Business School, gdzie miałem wziąć udział w studium analitycznym poświęconym moim doświadczeniom w Rosji. Przez pierwszą połowę zajęć studenci po kolei mówili profesorowi, co by zrobili, znalazłszy się na moim miejscu. Siedziałem cicho w ostatnim rzędzie, przysłuchując się, jak niektórzy podsuwają całkiem niezłe pomysły, i żałowałem, że sam na nie kiedyś nie wpadłem. Studium obejmowało okres do momentu nalotów milicji na nasze biura w 2007 roku, więc uczestnicy analizowali jedynie zarządzanie portfelem akcji i aktywność udziałowców, bez żadnych zagadnień z zakresu prawa karnego. Gdyby studenci nie śledzili wiadomości, nie mieliby pojęcia, co wydarzyło się później.

W drugiej połowie zajęć stanąłem na podium i opowiedziałem całą historię o oszustwie podatkowym oraz aresztowaniu, męczarniach i śmierci Siergieja. Wśród słuchaczy zapanował posępny nastrój. Pod koniec mojego wystąpienia zauważyłem, że kilkoro studentów płacze.

Kiedy studium dobiegło końca, profesor, Aldo Musacchio, odprowadzając mnie do wyjścia z budynku, powiedział, że po raz pierwszy w swojej karierze w Harvard Business School widział studentów wzruszonych do łez.

Po skończonej wizycie w Harvardzie udałem się do Nowego Jorku. Następnego dnia wieczorem dowiedziałem się, że pomimo wysiłków Kyle'a i Juleanny w Waszyngtonie nic się nie zmieniło. Levin twardo obstawał przy swoim, a Cardin nie zamierzał zdradzać swoich intencji.

Wieczorem 4 grudnia poszedłem spać wcześnie, ale obudziłem się o drugiej w nocy na skutek rozstroju wywołanego zmianą strefy czasowej i gnębiącego mnie od jedenastu godzin poczucia niepewności w związku z sytuacją w senacie. Wiedziałem, że nie zdołam już zasnąć, więc wziąłem prysznic, włożyłem hotelowy szlafrok, po czym włączyłem laptop i wpisałem w okno wyszukiwarki słowo „Magnitski".

Pierwszą rzeczą, jaka pojawiła się na monitorze, było oświadczenie prasowe wydane przez biuro senatora Cardina. Zostało opublikowane zeszłego wieczoru. Kliknąłem w link i przeczytałem

oświadczenie. Cardin ustąpił. Zrezygnował z żądań o ogólnoświatowy zasięg ustawy, a to oznaczało, że dojdzie do głosowania.

W czwartek, 6 grudnia, odwołałem wszystkie zaplanowane spotkania i ustawiłem przeglądarkę na kanale C-SPAN. W pełnym napięcia oczekiwaniu przechadzałem się nerwowo po hotelowym pokoju. W końcu około południa senat rozpoczął głosowanie nad Ustawą Magnitskiego. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. W połowie głosowania było już jasne, że projekt ustawy przejdzie. Ostatecznie poparło go dziewięćdziesięciu dwóch senatorów i tylko Levin oraz trzej jego poplecznicy głosowali przeciw.

Wydarzenie to miało niemal bezduszny charakter. Żadnych fajerwerków ani orkiestry, tylko liczenie głosów, a potem następny punkt programu. Niemniej jego znaczenie było ogromne. Od 2009 roku przedłożono 13 195 projektów ustaw, a tylko 389 zyskało aprobatę komisji i stało się obowiązującym prawem. Pokonaliśmy wszystkie przeciwności. Dokonaliśmy tego dzięki odwadze Siergieja i niezłomności Natalii, dzięki zaangażowaniu Kyle'a, autorytetowi Cardina, prawości McCaina i przezorności McGoverna, dzięki błyskotliwości Wadima, mądrości Władimira, obyciu Juleanny i miłości Eleny. Osiągnęliśmy nasz cel dzięki Iwanowi, Jonathanowi, Jamiemu, Eduardowi i Pierieplicznemu oraz wielu innym, którzy wnieśli swój wkład. Nasza skromna koncepcja, by ukarać tych, którzy zamordowali Siergieja, padła na podatny grunt i rozrosła się do niebagatelnych rozmiarów. W historii Siergieja było coś niemalże biblijnego i chociaż nie jestem religijny, obserwując rozwój wydarzeń, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że chyba Bóg sprzyjał naszej sprawie. Nie brakuje cierpienia na tym świecie, ale jakimś cudem tragedia Siergieja odbiła się szerokim echem i zyskała niespotykany rozgłos.

Ale i tak najbardziej chciałbym, aby żadna z tych rzeczy nigdy się nie wydarzyła. Najbardziej chciałbym, aby Siergiej wciąż żył. Niestety stało się inaczej i nic nie mogło go wskrzesić. Niemniej jego ofiara nie poszła na marne. Zburzyła mit bezkarności, który pokutuje we współczesnej Rosji, i pozostawiła po sobie dziedzictwo przynoszące chlubę jemu i jego rodzinie.

Rozdział 40
Upokorzenie

Byłem oszołomiony, kiedy w końcu Ustawa Magnitskiego stała się obowiązującym prawem. Ale ktoś jeszcze przeżył nie mniejszy wstrząs — Władimir Władimirowicz Putin.

Przez kilka ostatnich lat Putin urzędował spokojnie na Kremlu przekonany, że cokolwiek wydarzy się w amerykańskim Kongresie, prezydent Obama sprzeciwi się naszej kampanii. W jego dyktatorskim mniemaniu stanowiło to żelazną gwarancję, że Ustawa Magnitskiego nigdy nie zostanie zatwierdzona. Jednak Putin przeoczył fakt, że Stany Zjednoczone nie są Rosją.

Ujmując rzecz najprościej, w odpowiedzi na Ustawę Magnitskiego Rosja powinna zastosować środki odwetowe przypominające wymianę szpiegów w okresie zimnej wojny. Kiedy Amerykanie wprowadzają sankcje wymierzone w kilku rosyjskich urzędników, Rosjanie odwzajemniają się tym samym. I na tym koniec.

Ale Putin postanowił rozegrać to inaczej. Kiedy tylko projekt ustawy pomyślnie przeszedł głosowanie w senacie, Putin zaczął szukać sposobów, by urządzić nagonkę na Amerykanów i zadać im naprawdę dotkliwy cios.

Jego aparatczycy zaczęli podsuwać pomysły. Pierwszy z nich zakładał wydanie przez parlament zarządzenia, które pozwalałoby zagarnąć aktywa Citigroup w Rosji warte 3,5 miliarda dolarów. Była to bez wątpienia mściwa, choć niedorzeczna koncepcja. Ktoś musiał sobie uświadomić, że jeśli Rosja zarekwiruje kapitał Citigroup, Stany Zjednoczone zrobią to samo z rosyjskimi aktywami w Ameryce. Nasi przeciwnicy porzucili to rozwiązanie i podjęli dalsze poszukiwania.

Kolejna propozycja dotyczyła blokady Północnej Sieci Dystrybucji. Był to prowadzący przez Rosję korytarz logistyczny, z którego korzystali Amerykanie, przerzucając sprzęt wojskowy do Afganistanu. Stany Zjednoczone zaopatrywały swoje siły w Afganistanie tylko dwiema drogami — przez Pakistan i przez Rosję — i Putin doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma dla nich ten szlak.

Problem polegał na tym, że gdyby Rosjanie zrealizowali swój pomysł, urzędnicy w Pentagonie spojrzeliby na mapę, zastanawiając się, jak mogliby w podobny sposób ugodzić w strategiczne interesy Rosji. Było oczywiste, że ich wybór padłby na Syrię. Rosyjskie władze sporo zainwestowały, popierając syryjskiego dyktatora, Baszszara al-Asada, i Putin nie zamierzał posuwać się do niczego, co naraziłoby na szwank tę inwestycję. Dlatego ta koncepcja również szybko upadła.

Putin musiał wymyślić coś, co nie dotyczyło finansów ani strategii, a mimo to dotknęłoby Amerykę.

Taki pomysł pojawił się 11 grudnia 2012 roku, kiedy przebywałem w Toronto, gdzie prowadziłem kampanię na rzecz kanadyjskiego odpowiednika Ustawy Magnitskiego. Tego wieczoru wygłosiłem przemówienie skierowane do grupy kanadyjskich polityków i dziennikarzy. Podczas dyskusji, jaka się potem wywiązała, pewna młoda reporterka powiedziała:

— Dzisiaj członkowie Dumy oświadczyli, że zgłaszają projekt ustawy, która na stałe zakazywałaby adopcji rosyjskich dzieci przez amerykańskie rodziny. Co pan o tym myśli, panie Browder?

Był to moment, w którym usłyszałem o tym po raz pierwszy. Z niemałym wysiłkiem przetrawiłem tę wiadomość i odparłem po chwili zastanowienia:

— Jeżeli Putin wciąga w to wszystko rosyjskie sieroty, jest to jedno z najbardziej bezdusznych posunięć, jakie mógłby wykonać.

Taka sytuacja stała się skomplikowana dla mojego sumienia. Do tej pory moja walka z Rosjanami toczyła się na prostych zasadach. Wybór słusznej strony nie nastręczał żadnych wątpliwości — albo popierało się sprawiedliwość i prawdę, albo rosyjskich oprawców i morderców. Teraz, stając po stronie prawdy i sprawiedliwości, wyrządzało się krzywdę niewinnym dzieciom.

Pomysł Putina nie był pozbawiony znaczenia, ponieważ w ciągu ostatniej dekady Amerykanie adoptowali przeszło sześćdziesiąt tysięcy rosyjskich sierot. W ostatnich latach Rosjanie ograniczyli większość tych adopcji do dzieci chorych — między innymi zarażonych wirusem HIV, dotkniętych zespołem Downa albo rozszczepem kręgosłupa. Niektóre z tych dzieci nie miały szans na przeżycie bez opieki medycznej, którą mogły im zapewnić amerykańskie rodziny.

Oznaczało to, że prócz Amerykanów, którzy byli skłonni przygarnąć dzieci z Rosji, Putin karał również, a niekiedy skazywał na śmierć, bezbronne sieroty we własnym kraju. Nazwanie tej propozycji bezduszną nie uchodziło nawet za niedomówienie. To było zło w czystej postaci.

Putin osiągnął swój cel. Znalazł coś, na czym zależało Amerykanom i co mógł im odebrać, nie obawiając się żadnych konsekwencji. Co więcej, znalazł sposób, by obciążyć zwolenników Ustawy Magnitskiego rozterkami natury moralnej.

Chociaż spodziewał się niezadowolenia ze strony Stanów Zjednoczonych, nie zdawał sobie sprawy, jaką burzę wywoła w swoim kraju. Rosjan można krytykować za wiele rzeczy, ale ich miłość do dzieci jest wprost bezprzykładna. Rosja jest jednym z nielicznych krajów na świecie, gdzie można zabrać rozwrzeszczane dziecko do małej restauracji, nie narażając się na krzywe spojrzenia. Rosjanie po

prostu ubóstwiają dzieci.

To jednak nie powstrzymało Putina. Ustawa o zakazie adopcji przeszła pierwsze czytanie w rosyjskim parlamencie 14 grudnia, w tym samym dniu, kiedy prezydent Obama zatwierdził Ustawę Magnitskiego.

Pierwsze reakcje w Rosji pojawiły się z najmniej oczekiwanej strony. Po przedłożeniu projektu ustawy niektórzy z najwyższych rangą zwolenników Putina zaczęli się wyłamywać. Pierwszą z nich była Olga Gołodziec, wicepremier do spraw społecznych, która w wywiadzie dla „Forbesa" oświadczyła, że jeśli taka ustawa zostanie przyjęta, „dzieci z poważnymi schorzeniami, które wymagają kosztownych operacji, stracą szansę na adopcję". Potem Anton Silujanow, rosyjski minister finansów, napisał na Twitterze: „Logika wet za wet jest błędna, bo ucierpią na tym dzieci". Nawet Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji i wykonawca niektórych z najbardziej haniebnych posunięć Putina na arenie międzynarodowej, oświadczył: „Tak się nie godzi i mam nadzieję, że ostatecznie Duma podejmie rozsądną decyzję".

Ponieważ Putin trzymał wszystkich krótko, na widok tych bezprecedensowych przejawów buntu zacząłem dochodzić do wniosku, że to nie on stoi za zakazem adopcji. Miałem taką nadzieję i modliłem się, aby tak było i aby górę wziął rozsądek. Bezbronne dzieci nie mogły był uwikłane w tę rozgrywkę.

Putin rzadko ujawnia swoje zamiary i jest jednym z najbardziej tajemniczych przywódców na świecie. Nieprzewidywalność stanowi jego metodę działania. Chociaż postępuje tak, aby zachować inne możliwości wyboru, nigdy nie cofa się przed walką i nie okazuje słabości. Dlatego nie sposób było przewidzieć, jak postąpi, ale spodziewaliśmy się zyskać lepszą orientację, kiedy 20 grudnia 2012 roku Putin wszedł na podium podczas corocznej, trwającej cztery godziny konferencji prasowej.

W tym wyreżyserowanym spektaklu wykorzystywano animowane tło i rampy oświetleniowe, a większość pytań była nieszkodliwa, gdyż zadawali je kontrolowani przez władze lub stosujący autocenzurę dziennikarze. Chociaż w takich okolicznościach rzadko dochodzi do nieoczekiwanych wydarzeń, wiedziałem, że teraz Putin po raz pierwszy będzie musiał ujawnić swoje stanowisko wobec zakazu adopcji.

Oglądałem transmisję na żywo, siedząc w swoim gabinecie. Towarzyszyli mi Wadim i Iwan, którzy też chcieli się przekonać, co Putin ma do powiedzenia, i tłumaczyli mi jego słowa. Pierwsze pytania zadała Ksenia Sokołowa, dziennikarka rosyjskiego magazynu „Snob":

— W odpowiedzi na przyjętą w Ameryce Ustawę Magnitskiego

Duma zamierza wprowadzić restrykcje wobec obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy chcą adoptować rosyjskie sieroty. Czy nie przeszkadza panu, że te bezbronne i pozbawione środków do życia dzieci stają się narzędziem walki politycznej?

Siedzący za kanciastą bryłą masywnego biurka Putin poruszył się niespokojnie i odparł atak najlepiej, jak potrafił. Starał się sprawiać wrażenie opanowanego, ale od samego początku sytuacja odbiegała od planu.

— Był to bez wątpienia akt wrogości w stosunku do Federacji Rosyjskiej — odparł. — Sondaże opinii publicznej dowodzą, że przytłaczająca większość Rosjan nie popiera adopcji rosyjskich dzieci przez cudzoziemskie rodziny.

Następnie Putin wygłosił długą tyradę o Guantanamo, Abu Ghraib i tajnych więzieniach CIA, jak gdyby niecne postępki Ameryki w jakiś sposób usprawiedliwiały odrażające decyzje Rosji.

W ciągu kolejnych trzech godzin sześć spośród przeszło pięćdziesięciu zadanych pytań dotyczyło Siergieja Magnitskiego i adopcji rosyjskich sierot, a Putin reagował na nie wyraźnym rozdrażnieniem.

Wreszcie pod koniec konferencji głos zabrał Siergiej Łojko z „Los Angeles Times".

— Wracam do sprawy Siergieja Magnitskiego, ponieważ była o tym mowa. Rosja miała trzy lata na wyjaśnienie, co się stało — mówił reporter, nawiązując do śledztwa w sprawie śmierci Siergieja. — A co się stało ze skradzionymi dwustu trzydziestoma milionami dolarów, które odzyskała milicja? Te pieniądze można by przeznaczyć na odbudowę sierocińców.

W sali rozległy się oklaski. Putin był oszołomiony.

— Po co te brawa? — zapytał.

Nigdy nie doświadczył niczego podobnego. Dziennikarze podnieśli jawny bunt. Były to sprawy, o których wszyscy myśleli, ale nikt nie mówił. W końcu stracił panowanie nad sobą i marszcząc czoło, odpowiedział:

— Magnitski nie zmarł na skutek tortur, gdyż nie był torturowany. Zmarł na atak serca. Ponadto, jak wam wiadomo, nie był on działaczem na rzecz obrony praw człowieka, lecz prawnikiem pana Browdera, który jest podejrzany przez organy ścigania w naszym kraju o popełnienie oszustw finansowych.

Serce zamarło mi w piersi. Wiedziałem, że w tym momencie moje życie zmieniło się bezpowrotnie. Dotąd prezydent Rosji konsekwentnie unikał wypowiadania mojego nazwiska. Dwukrotnie zagadnięty przez dziennikarzy zawsze nazywał mnie publicznie „tym człowiekiem". Nigdy nie zaszczycał swoich wrogów, wymieniając ich z nazwiska. Ale to się zmieniło. Dźwięk mojego nazwiska padający z

wąskich ust Putina przejął mnie dreszczem i zebrałem się w sobie przygotowany na wszystko, co teraz miało nastąpić.

Następnego dnia Duma przeprowadziła głosowanie i wbrew nadziejom Ławrowa, który liczył na „rozsądną decyzję", aż czterystu dwudziestu deputowanych poparło projekt ustawy o zakazie adopcji, a tylko siedmiu było przeciw. Tydzień później, 28 grudnia, Władimir Putin zatwierdził ustawę. Minęło dwa i pół roku, zanim Ustawa Magnitskiego stała się obowiązującym prawem w Stanach Zjednoczonych, tymczasem Rosji wystarczyło dwa i pół tygodnia, aby przyjąć odwetowy akt prawny.

Bezpośrednie następstwo wprowadzenia tego zakazu wzbudziło rozdzierający smutek. Trzysta rosyjskich sierot, które zdążyły już poznać swoje przyszłe rodziny w Ameryce, miało nigdy nie zobaczyć przygotowanych dla nich pokoi. Zdjęcia owych dzieci wraz z artykułami opisującymi ich historie obiegły prasę światową. Ich niedoszli rodzice oblegali Wzgórze Kapitolińskie, wznosząc okrzyki: „Nie obchodzi nas polityka, tylko nasze dzieci!". Trudno mi było nie przyznać im racji.

Gdy tylko ustawa o zakazie adopcji nabrała mocy prawnej, zaczęli do mnie dzwonić reporterzy, a wszyscy zadawali mi to samo pytanie: „Czy czuje się pan odpowiedzialny za to, co spotkało te sieroty i ich amerykańskie rodziny?".

— Nie, to Putin jest za to odpowiedzialny — wyjaśniałem im. — Tylko tchórz może wykorzystywać dzieci jako żywe tarcze.

Nie byłem jedynym, który tak to odbierał. W dzień rosyjskiego Nowego Roku, 14 stycznia, ludzie zaczęli się gromadzić na moskiewskim Pierścieniu Bulwarowym, niosąc własnoręcznie wykonane afisze i transparenty potępiające Putina. Kiedy pochód otoczony silną eskortą policji przemierzał ulice miasta, przyłączało się do niego coraz więcej protestujących, aż w końcu ich liczba sięgnęła około pięćdziesięciu tysięcy. Tłum nie składał się z typowych demonstrantów politycznych, lecz stanowił szeroki przekrój mieszkańców Moskwy — były tam między innymi babcie, nauczycielki i ojcowie niosący na ramionach swoje dzieci. Na transparentach widniały hasła typu „Hańba!", „Dosyć kłamstw!", „Duma krzywdzi dzieci!" i „Herod!". (Nowa ustawa szybko zyskała miano „Prawa Heroda" nawiązujące do bezwzględnego króla Judei, który chcąc zachować władzę, usiłował zgładzić dzieciątko Jezus, urządzając masakrę wszystkich niemowląt płci męskiej w Betlejem).

Putin zazwyczaj ignoruje takie protesty, ale tego nie mógł zlekceważyć, ponieważ miał ogromną skalę i koncentrował się na obronie pokrzywdzonych dzieci. Nie można było uchylić wprowadzonej ustawy, ale po wielkim proteście nazwanym Marszem Przeciw Draństwu rząd ogłosił, że Rosja zainwestuje miliony w

państwowy system sierocińców. Byłem pewien, że obiecane pieniądze nigdy nie trafią do przeznaczonego celu, lecz ów gest dowodził, jak bardzo protesty wytrąciły Putina z równowagi.

Niemniej na skutek całej tej sytuacji Putin musiał poświęcić coś o wiele cenniejszego niż pieniądze — swoją aurę niezwyciężoności. Upokorzenie to jego waluta, której używa, aby osiągać swoje cele i pokazywać ludziom, gdzie jest ich miejsce. W swoim mniemaniu osiąga sukces dopiero wtedy, gdy jego przeciwnicy ponoszą klęskę, i nie widzi żadnych powodów do radości, dopóki przeciwnicy nie cierpią. W świecie Putina niezwyciężony nigdy i pod żadnym pozorem nie może doznać upokorzenia. A właśnie to go spotkało w następstwie ustawy o zakazie adopcji.

Co robi człowiek pokroju Putina, kiedy zostanie upokorzony? Jak przekonaliśmy się już wiele razy, atakuje tego, kto go upokorzył.

Tak się nieszczęśliwie składało, że tym człowiekiem byłem ja.

Rozdział 41
Czerwony alert

Pod koniec stycznia 2013 roku ponownie znalazłem się na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. W drugim dniu pobytu, kiedy brodziłem w śniegu przed budynkiem centrum konferencyjnego, usłyszałem jakiś kobiecy głos, który z radosnym ożywieniem wykrzykiwał moje imię.

Obróciłem się i zobaczyłem niewysoką kobietę w wielkiej futrzanej czapce, która zmierzała energicznym krokiem w moją stronę. Rozpoznałem ją, kiedy podeszła bliżej. Była to Chrystia Freeland, reporterka, która przed wielu laty w Moskwie nagłośniła sprawę spółki Sidanco. Obecnie pracowała jako redaktorka agencji Reutera.

Gdy stanęła na wprost mnie, zobaczyłem jej zarumienioną od zimna twarz.

— Cześć, Chrystio!

— Cieszę się, że cię zauważyłam — powiedziała szybko. Normalnie wymienilibyśmy kilka powitalnych całusów w policzek, by potem wdać się w pogawędkę, ona jednak najwyraźniej chciała mi zakomunikować coś ważnego.

— Co się stało?

— Właśnie wyszłam z nieoficjalnej odprawy z Miedwiediewem, podczas której padło twoje nazwisko.

— Nie ma w tym nic zaskakującego. Ostatnimi czasy Rosjanie nie pałają do mnie sympatią.

— I o tym chciałam z tobą porozmawiać. Muszę ci powtórzyć, co powiedział. Zaczekaj. — Chrystia wyjęła z kieszeni notes i przewróciła kilka stron. — Mam. Ktoś zapytał o sprawę Magnitskiego, a Miedwiediew odparł, cytuję: „Tak, szkoda, że Siergiej Magnitski zmarł, a Bill Browder cieszy się wolnością i żyje". Właśnie to powiedział — dodała, podnosząc na mnie wzrok.

— Czy to była groźba?

— Takie odniosłam wrażenie.

Poczułem w trzewiach ukłucie strachu. Podziękowałem Chrystii za przekazanie mi tej informacji, która teraz niczym złowieszcza chmura zawisła nad moją głową, i wszedłem do wnętrza centrum konferencyjnego. Między kolejnymi spotkaniami, które odbywałem tego dnia, jeszcze czworo innych dziennikarzy, którzy brali udział w tej samej odprawie, przekazało mi to samo co Chrystia.

Wiele razy grozili mi ludzie z Rosji, ale nigdy nie czynił tego sam premier[10]. Zdawałem sobie sprawę, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, ale teraz zagrożenie nabrało nowego wymiaru.

Gdy tylko wróciłem do Londynu, skontaktowałem się ze Stevenem Beckiem, ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa, i poprosiłem o wzmocnienie mojej ochrony osobistej.

Groźba ta świadczyła również o mentalności Putina i jego ludzi. Był to dla mnie sygnał, że zależy im nie tylko na tym, by wyrządzić mi krzywdę w sensie fizycznym, ale chcą mi zaszkodzić w każdy możliwy sposób.

Pierwsze oznaki tej wrogości pojawiły się, kiedy rosyjskie władze podały do wiadomości datę rozpoczęcia procesu, w którym miałem być sądzony zaocznie za oszustwa podatkowe. Od lat wykorzystywali te sfabrykowane zarzuty, próbując mnie zastraszyć i zmusić do odwrotu, ale przyjęcie Ustawy Magnitskiego doprowadziło ich do ostateczności.

Proces ten z uwagi na fakt, że przebywałem poza Rosją, miał niezwykły charakter. Był to dopiero drugi przypadek po upadku Związku Radzieckiego, kiedy Rosja zamierzała sądzić obywatela zachodniego kraju *in absentia.* Jednak nie to okazało się najgorsze. Prawdziwie niewiarygodnym posunięciem Rosjan było postawienie w stan oskarżenia również Siergieja Magnitskiego.

To nie żadna pomyłka. Zamierzali sądzić człowieka, którego zabili. Nawet Józef Stalin, jeden z najbardziej zaciekłych masowych morderców wszech czasów, człowiek odpowiedzialny za śmierć co najmniej dwudziestu milionów Rosjan, nigdy nie posunął się do sądzenia martwego człowieka.

Ale w marcu 2013 roku właśnie coś takiego zrobił Władimir Putin.

Putin tworzył historię prawa. Ostatni w Europie proces wytoczony nieżyjącej osobie odbył się w 897 roku, kiedy Kościół katolicki oskarżył pośmiertnie papieża Formozusa, którego zwłoki odkopano, a następnie pozbawiono trzech palców i wrzucono do Tybru.

Jednak eskalacja wrogości na tym się nie kończyła. Na kilka dni przed rozpoczęciem procesu NTV, kontrolowana przez władze stacja telewizyjna, zaczęła natarczywie reklamować godzinny film dokumentalny na mój temat, zatytułowany *Lista Browdera*, który miał zostać wyemitowany w porze największej oglądalności.

Nie zawracałem sobie nawet głowy jego oglądaniem, ale Władimir zadzwonił do mnie, żeby mi go streścić.

— To czysta fantazja paranoika — stwierdził.

Jak się dowiedziałem, byłem nie tylko oskarżony do spółki z Siergiejem o oszustwo podatkowe, ale z filmu wynikało również, że jestem odpowiedzialny za dewaluację rubla w 1998 roku, że zagarnąłem 4,8 miliarda dolarów pożyczki, którą Międzynarodowy Fundusz Walutowy przyznał Rosji, że zabiłem swojego wspólnika, Edmonda Safrę, że jestem agentem wywiadu brytyjskiego i że to ja

zamordowałem Siergieja Magnitskiego.

Mogłoby mnie to wytrącić z równowagi, ale wszystkie te wymysły były tak nieudolnie spreparowane, że nikt, kto oglądał ów film, nie uwierzył w ani jedno słowo. Jakkolwiek nie byłem pewien, czy wiarygodność ma dla rosyjskich władz jakieś znaczenie. Wszystko, co robili Rosjanie, pasowało do wyświechtanego scenariusza. Ta sama ekipa z NTV przygotowała podobny „dokument", który miał za zadanie oczernić protestujących przeciwko reelekcji Putina w 2012 roku. Inny film ich autorstwa godził w słynną antyputinowską grupę feministyczną, Pussy Riot. Po emisji obu filmów przedstawione w nich osoby zostały aresztowane i trafiły do więzienia.

Nasz proces rozpoczął się 11 marca w Twerskim Sądzie Rejonowym w Moskwie pod przewodnictwem sędziego Igora Alisowa. Ponieważ ani rodzina Magnitskich, ani ja nie chcieliśmy mieć nic wspólnego z tym wydarzeniem, sąd wbrew naszej woli przydzielił nam dwóch obrońców z urzędu. Obaj próbowali się wycofać, kiedy się zorientowali, że nie są potrzebni, ale zagrożono im wykluczeniem z palestry, jeśli nie będą brali udziału w procesie.

Wszystkie zachodnie rządy, środki masowego przekazu i organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka uznały to za bulwersujące nadużycie władzy. Obserwowaliśmy z przerażeniem, jak rozpoczyna się rozprawa i prokurator przemawia całymi godzinami monotonnym głosem, stojąc naprzeciwko pustej klatki.

Wszyscy zachodzili w głowę, po co Putin to robi. Cena reputacji Rosji na forum międzynarodowym była ogromna, a korzyści, jakie mógł odnieść, wydawały się ograniczone. Praktycznie nie było szans, aby wtrącić mnie do rosyjskiego więzienia, a Siergiej i tak już nie żył.

Kryła się za tym jednak pokrętna logika. Putin uznał, że jeśli sąd wyda wyrok przeciwko Siergiejowi i mnie, rosyjscy dyplomaci będą mogli złożyć wizytę rządom wszystkich krajów europejskich, które rozważają wprowadzenie własnej wersji Ustawy Magnitskiego, i powiedzieć: „Jak możecie wprowadzać akt prawny nazwany imieniem przestępcy skazanego przez nasz sąd? I jak możecie słuchać jego poplecznika, który został skazany za to samo oszustwo?". W tym równaniu nie było jednak miejsca na pewne niewygodne szczegóły, takie jak fakt, że Siergiej nie żyje od trzech lat i że został zabity w areszcie po ujawnieniu potężnej afery korupcyjnej z udziałem urzędników państwowych.

W połowie procesu postępowanie utknęło w martwym punkcie, ponieważ dwaj obrońcy z urzędu przestali się pojawiać w sądzie na znak protestu. Nie byłem pewien, jak to rozumieć. Ponieważ wynik tego procesu był z góry określony i narzucony, nie wyobrażałem sobie, aby ci adwokaci postąpili tak z własnej woli. Zacząłem się domyślać, że w taki oto sposób Putin chce się elegancko wycofać z

upokarzającego spektaklu, który sam wyreżyserował.

Ale zamiast dać za wygraną, Putin podbił stawkę i 22 kwietnia rosyjskie władze wydały nakaz aresztowania mnie pod zarzutem popełnienia kolejnych przestępstw.

Chociaż mogło to brzmieć dramatycznie, nie zrobiło na mnie tak silnego wrażenia, jakie zamierzali wywrzeć Rosjanie. Nie było możliwości, abym został aresztowany na terenie Wielkiej Brytanii. Władze brytyjskie zdążyły już uznać proces za „obraźliwy" i odrzucały wszystkie żądania Rosjan o przekazanie mnie w ich ręce. Nie wyobrażałem sobie, aby jakikolwiek inny cywilizowany kraj mógł postąpić inaczej. Zatem pomimo agresywnych pomruków rządu rosyjskiego nadal żyłem jak dawniej i zajmowałem się swoją pracą.

W połowie maja zostałem zaproszony, by wygłosić przemówienie na Forum Wolności w Oslo, będącym odpowiednikiem Davos dla obrońców praw człowieka. W dniu wystąpienia, kiedy miałem już stanąć przed liczącą trzysta osób publicznością, spojrzałem na mojego blackberry'ego i zobaczyłem wiadomość od mojej sekretarki zatytułowaną „Interpol".

Otworzyłem ją i przeczytałem: „Bill, właśnie skontaktował się z nami XXXXXXX, który dostał kopię komunikatu do wszystkich oddziałów Interpolu z poleceniem aresztowania ciebie. Dokument w załączniku. Proszę, natychmiast zadzwoń do biura!".

Szybko otworzyłem plik PDF i oczywiście zobaczyłem, że Rosjanie zwrócili się w końcu do Interpolu. Kilka sekund później zawołano mnie na salę, bym rozpoczął przemówienie. Z wymuszonym uśmiechem na twarzy stanąłem na rzęsiście oświetlonym podium i przez dziesięć minut opowiadałem historię o mnie, o Rosji i Siergieju, którą powtarzałem już tyle razy. Zdołałem przebrnąć przez wystąpienie, wypierając ze świadomości otrzymaną przed chwilą informację. Kiedy tylko ucichły oklaski, wyszedłem do holu i zadzwoniłem do mojej londyńskiej prawniczki. Jak się od niej dowiedziałem, taki komunikat Interpolu oznaczał, że ilekroć będę podróżował za granicę, mogę zostać aresztowany. Wszystko zależało od tego, czy kraj, do którego akurat zawitam, zdecyduje się postąpić zgodnie z owym komunikatem.

Właśnie przebywałem w Norwegii, gdzie moja sytuacja była niepewna. Wprawdzie kraj ten mógł się poszczycić nie lada zasługami na rzecz ochrony praw człowieka, jednak dzielił granicę i od lat współpracował z Rosją, trudno było zatem przewidzieć, jak w takich okolicznościach zachowają się jego władze. Zadzwoniłem do Eleny i poinformowałem ją, co się dzieje, a także uprzedziłem, by przygotowała się na najgorsze.

Zarezerwowałem bilet na wcześniejszy lot powrotny, spakowałem bagaże i udałem się na lotnisko w Oslo. Dotarłem na miejsce półtorej

godziny wcześniej i potwierdziłem rezerwację na stanowisku Scandinavian Airlines. Kiedy nie byłem już w stanie dłużej odwlekać nieuniknionego, powoli ruszyłem długim korytarzem w stronę norweskiej kontroli paszportowej.

Podobnie jak wcześniej Eduard i Władimir byłem kłębkiem nerwów, szykując się do przekroczenia granicy jako potencjalny zbieg. Zacząłem sobie wyobrażać, jak podaję paszport do kontroli, i już widziałem minę urzędnika, który zobaczył, że jestem ścigany na podstawie międzynarodowego nakazu aresztowania. Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak trafiam do norweskiego ośrodka dla nielegalnych imigrantów i miesiącami tkwię w spartańskiej celi, usiłując powstrzymać ciągnące się w nieskończoność procedury ekstradycyjne. Widziałem, jak norweskie władze uginają się w końcu pod naciskami Rosjan i przegrywam swoją walkę. Widziałem samolot Aerofłotu, na którego pokładzie zostaję odesłany do Moskwy. Bałem się nawet myśleć o całej zgrozie, jaka czekała mnie potem.

Przy stanowiskach kontroli paszportowej nie było innych pasażerów. Musiałem dokonać wyboru między dwoma umundurowanymi młodzieńcami o nordyckim wyglądzie, którzy sprawiali wrażenie tak samo znudzonych. Bez jakiegoś szczególnego powodu wybrałem tego po lewej. Podszedłem i położyłem przed nim paszport, przerywając mu rozmowę, którą prowadził z drugim funkcjonariuszem.

Mężczyzna w roztargnieniu sięgnął po dokument, otworzył go na stronie ze zdjęciem. Obejrzał je i uniósł wzrok na mnie, po czym zamknął paszport i oddał mi go. Na szczęście nie zdecydował się na dokładniejszą kontrolę, więc alert Interpolu nie dał o sobie znać.

I o to mi chodziło. Odebrałem paszport i po chwili siedziałem już na pokładzie samolotu.

Kiedy przyleciałem do Anglii, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Straż graniczna skanuje wszystkie paszporty i mój nie był wyjątkiem. Jednak rząd brytyjski postanowił już nie reagować na jakiekolwiek żądania Rosjan w mojej sprawie. Upłynęło kilka dodatkowych minut, zanim agent biura imigracyjnego dopełnił wszystkich formalności związanych z moim wjazdem, ale kiedy skończył, oddał mi mój paszport i pozwolił przejść.

Chociaż byłem bezpieczny w Wielkiej Brytanii, Rosjanie osiągnęli swój cel. Poprzez czerwony alert uniemożliwili mi opuszczanie kraju, wychodząc z założenia, że jeśli nie będę mógł odbywać podróży zagranicznych, zapobiegnie to rozprzestrzenianiu się po Europie sankcji związanych ze sprawą Magnitskiego.

Nie miałem więc innego wyjścia i musiałem bezpośrednio zmierzyć się z Interpolem. Jeszcze tego samego dnia, w którym wróciłem z Norwegii, wydałem oświadczenie prasowe zawierające

informację o nakazie aresztowania i natychmiast wzbudziło ono niemałe zainteresowanie. Dziennikarze i politycy zaczęli dzwonić do Interpolu i pytać, dlaczego instytucja ta opowiedziała się po stronie Rosjan. Zazwyczaj Interpol nie tłumaczy się przed nikim, jednak ze względu na spore zainteresowanie moją sprawą postanowiono zwołać w nadchodzącym tygodniu specjalną naradę, podczas której miał się rozstrzygnąć mój los.

Byłem daleki od optymizmu. Interpol słynie ze współpracy z reżimami autorytarnymi, którym pomaga w ściganiu przeciwników politycznych. Wielokrotnie opowiadał się po niewłaściwej stronie. Najbardziej oburzający tego przykład miał miejsce w okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej, kiedy Interpol na zlecenie nazistów tropił znaczące osobistości pochodzenia żydowskiego, które uciekły z III Rzeszy. Można by wymienić jeszcze wiele równie wstrząsających przykładów.

Dzień przed konferencją Interpolu „Daily Telegraph" przeważył szalę na moją korzyść, publikując artykuł *Czy Interpol walczy o prawdę i sprawiedliwość, czy wspiera złoczyńców?* Felietonista, Peter Osborne, zręcznie posłużył się moim przykładem, aby pokazać, że Interpol ma skłonność do wysługiwania się aroganckim rządom takich państw jak Rosja. „Jest całkowicie prawdopodobne, że Interpol stanie po stronie FSB, a przeciwko Billowi Browderowi — pisał. — Ale to nie pan Browder stoi przed trybunałem światowej opinii publicznej, lecz właśnie Interpol, któremu można zarzucić współpracę z najbardziej złowrogimi dyktaturami świata".

Dwa dni później, 24 maja 2013 roku, kiedy siedziałem przy biurku i pracowałem nad niniejszą książką, zadzwoniła do mnie moja prawniczka. Powiedziała mi, że właśnie otrzymała od Interpolu e-mail z informacją o odrzuceniu wniosku Rosjan o czerwony alert.

Godzinę później wiadomość ta pojawiła się na stronie internetowej Interpolu. Komunikat głosił: „Sekretariat Generalny Interpolu usuwa wszystkie informacje dotyczące Williama Browdera, stosując się do zalecenia wydanego przez niezależną Komisję do spraw Kontroli Akt Interpolu". Była to stanowcza i niemal całkowicie bezprecedensowa reakcja. Interpol rzadko unieważniał listy gończe, a jeżeli tak się zdarzało, nigdy nie podawano tego do wiadomości publicznej.

Ta odmowa musiała jeszcze bardziej rozwścieczyć Putina. Po raz kolejny został publicznie upokorzony, kiedy szło o kwestie dotyczące mnie lub Siergieja Magnitskiego. Jeżeli istniała jakaś szansa, że Putin zrezygnuje z pośmiertnego procesu po tej niezręcznej sytuacji z Interpolem, nie było już na co liczyć.

Sędzia Alisow wznowił postępowanie, które zakończyło się 11 lipca 2013 roku. Rankiem tego dnia sędzia zajął miejsce w ciasnej i

nagrzanej od upału sali rozpraw i przystąpił do odczytywania wyroku. Byli przy tym obecni dwaj przydzieleni przez sąd obrońcy oraz dwaj prokuratorzy. Na sali znajdowało się również sześciu strażników w czarnych mundurach i beretach, ale ponieważ nie mieli kogo pilnować, ich obecność była tylko zbyteczną formalnością.

Mówiąc cichym głosem, który rzadko wznosił się ponad szept, sędzia Alisow odczytał werdykt. Prawie wcale nie odrywał wzroku od kartek. Ponad godzinę zajęło mu przedstawienie wszystkich fantazji Putina na temat niecnych czynów, których dopuścił się Siergiej i ja. Gdy skończył, obaj zostaliśmy uznani za winnych oszustwa podatkowego na wielką skalę, a ja otrzymałem wyrok dziewięciu lat więzienia.

Wszystko to było komedią przywodzącą na myśl wioski potiomkinowskie. Taka jest współczesna Rosja. Ciasna sala rozpraw, skorumpowany sędzia, adwokaci ściągnięci do sądu tylko po to, by nadać tej farsie pozory autentycznego procesu, i bezmyślni strażnicy pilnujący klatki, w której nie ma oskarżonych. Miejsce, w którym niepodzielnie rządzą kłamstwa. Miejsce, gdzie dwa i dwa to wciąż pięć, czarne jest białe, a wszystko stoi na głowie. Miejsce, w którym wyroki są z góry ustalone, a wina nie podlega wątpliwości. Gdzie można skazać cudzoziemca *in absentia* za przestępstwo, którego nie popełnił.

Miejsce, gdzie niewinny człowiek, który został zamordowany przez władzę, którego jedynym grzechem było to, że zbyt mocno kochał swój kraj, może być jeszcze sądzony po śmierci.

Taka jest współczesna Rosja.

Rozdział 42
Uczucia

Po przeczytaniu tej historii możecie się zastanawiać, jakie uczucia wzbudziło we mnie to wszystko.

Mówiąc najprościej, cierpienie spowodowane śmiercią Siergieja było tak wielkie, że nie potrafiłem dopuścić do siebie żadnych innych uczuć. Po tym, jak został zamordowany, zdusiłem swoje emocje i gdybym zobaczył, że próbują się uwolnić, powstrzymałbym je tak szybko i bezwzględnie, jak to tylko możliwe. Ale jak powie wam każdy psychiatra, unikanie żalu nie uwolni nas od niego. W końcu uczucia znajdą ujście, a im bardziej człowiek je tłumił, z tym większą gwałtownością wydostaną się na powierzchnię.

W moim przypadku tama puściła w październiku 2010 roku, niespełna rok po śmierci Siergieja. Pomagałem wówczas dwóm holenderskim twórcom filmów dokumentalnych w dotarciu do wszystkich, którzy mieli jakiś związek ze sprawą Siergieja. Przeprowadzili oni wywiad z każdym z nas, a film, który nakręcili, zamierzali pokazać parlamentarzystom w ośmiu krajach. Premierę zaplanowali na 16 listopada, w pierwszą rocznicę śmierci Siergieja. Kiedy zbliżał się ów dzień, zacząłem się niepokoić, że film nie będzie wystarczająco dobry, by pokazać go tak ważnym decydentom. Ponieważ został zrealizowany w pośpiechu, żywiłem obawy, że jego jakość pozostawia wiele do życzenia, przez co może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Zdając sobie sprawę z mojego niepokoju i licząc, że uda się rozwiać moje obawy, twórcy filmu zaprosili w październiku mnie i Wadima do Holandii, by pokazać nam pierwszą zmontowaną wersję.

Przyjechaliśmy do Oosterbeek, oddalonej od Amsterdamu o godzinę jazdy małej wioski, w której mieszkał Hans Hermans, jeden z filmowców. Przed projekcją uraczył nas w swojej skromnej kuchni tradycyjnym holenderskim lunchem złożonym z sera edamskiego i solonych śledzi. Następnie zaprosił nas do salonu, gdzie rozsiedliśmy się na poduszkach rozłożonych na podłodze, a jego współpracownik, Martin Maat, rozpoczął projekcję.

Film nosił tytuł *Sprawiedliwość dla Siergieja* i nie był dla mnie łatwy w odbiorze. Nie poruszał żadnej kwestii, której bym nie znał, ale przedstawiał historię Siergieja w zupełnie innym świetle. Prócz grozy więziennej udręki opowiadał o jego życiu przed aresztowaniem — oddaniu wobec synów, zamiłowaniu do literatury, zachwycie muzyką Mozarta i Beethovena. Takie szczegóły okazały się dla mnie trudniejsze do zniesienia niż wszystko, co wiązało się z jego

uwięzieniem. Film kończył się smutną opowieścią Tatiany, ciotki Siergieja, o ostatniej wizycie na jego grobie. Wracając z cmentarza, Tatiana przeszła obok staruszki, która sprzedawała bławatki obok wejścia do stacji metra. „Ona była taka smutna — wspominała. — Minęłam ją, ale zawróciłam, żeby kupić kilka kwiatów, wiedząc, że tak właśnie postąpiłby Siergiej. Ilekroć przechodził wraz z matką obok kobiety, która sprzedawała na ulicy plastikowe reklamówki, zawsze kupował od niej jedną. Gdy pytała go, którą wybiera, odpowiadał, że tę, której nikt inny nie chce".

Były to jedne z ostatnich słów wypowiedzianych w tym filmie, ale nie jego końcowe przesłanie. Cały sens tego dokumentu nabiera wyrazu, kiedy ekran na moment wygasa, rozlegają się dźwięki gitary oraz klarnetu i przy akompaniamencie prostej melodii pojawiają się migawki ze starych amatorskich filmów, na których Siergiej wznosi toast podczas rodzinnej uroczystości, podchodzi do wodospadu na wakacjach, zabawia gości w trakcie przyjęcia, żartuje, śmieje się i wyciąga palec w stronę obiektywu. Taki Siergiej, żywy i radosny, pozostał już tylko w sercach i umysłach ludzi, który go kochali — którzy wciąż go kochają.

Aż do tego momentu tłumiłem wszystko w sobie, czując strach na samą myśl, co mogłoby się stać, gdybym uległ na chwilę słabości. Ale wtedy, siedząc w salonie wiejskiego domu w Oosterbeek, przestałem się hamować i łzy popłynęły po mojej twarzy tak obficie, jak nigdy dotąd. Zaniosłem się płaczem, który zdawał się nie mieć końca.

To było okropne uczucie, ale jednocześnie zrobiło mi się lżej, że w końcu dopuściłem do siebie cały ten żal. Hans, Martin i Wadim siedzieli w milczeniu, powstrzymując własne łzy, i nie wiedzieli, jak się zachować. W końcu wziąłem się w garść i otarłem oczy.

— Czy możemy obejrzeć to jeszcze raz? — zapytałem cicho.

— Oczywiście — odparł Hans.

W trakcie powtórnej projekcji jeszcze trochę płakałem. To właśnie wtedy zacząłem wreszcie doznawać ukojenia. Psychologowie twierdzą, że istnieje pięć etapów przeżywania żałoby i najważniejszym z nich jest akceptacja cierpienia. Być może to prawda, ale pogodzenie się z morderstwem jest o wiele trudniejsze, gdy jego sprawcy pozostają na wolności i bez cienia wstydu korzystają z owoców swojego występku.

Tym, co przyniosło mi odrobinę ukojenia, jest przede wszystkim nieustępliwe dochodzenie sprawiedliwości. Każde rozporządzenie władz, każdy artykuł w prasie i każda nowa wiadomość o zamrożeniu kapitału albo wszczęciu śledztwa sprawiała, że czułem ulgę.

Doznaję również wyciszenia, widząc, że historia Siergieja zmieniła życie tak wielu ludzi. W przeciwieństwie do innych aktów bestialstwa, do jakich doszło w Rosji, morderstwo Siergieja pociągnęło

za sobą tak przykre dla jego oprawców konsekwencje, że wcześniej coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Teraz strażnicy we wszystkich rosyjskich więzieniach starali się nie być zbyt brutalni, żeby przypadkiem nie odpowiadać za śmierć kolejnego Magnitskiego. Teraz ofiary rosyjskiego reżimu czują, że mogą liczyć na sprawiedliwość, kiedy układają własne „listy Magnitskiego", aby pociągnąć do odpowiedzialności urzędników, którzy pogwałcili ich prawa. Teraz Rosja została zmuszona, aby zwrócić uwagę na straszliwą krzywdę sierot, która dotychczas była skrzętnie skrywana przed opinią publiczną. Teraz sankcje podobne do Ustawy Magnitskiego stały się głównym orężem w walce z bezprawną inwazją Rosji na Ukrainę. A co chyba najważniejsze, historia Siergieja pokazała wszystkim mieszkańcom Rosji, jak również milionom ludzi na całym świecie prawdziwe oblicze brutalnej dyktatury Władimira Putina.

Historia ta doprowadziła także do pewnych zmian poza granicami Rosji. Rosyjskie władze ścigały mnie z taką nachalnością, że nadszarpnęły swoją pozycję w wielu instytucjach międzynarodowych. Niezwykłym posunięciem z ich strony było to, że ponownie skierowały do Interpolu swój wniosek, ale po raz drugi spotkały się z odmową. Ze względu na nadużycia w mojej sprawie Interpol odrzuca już teraz automatycznie składane przez Rosję wnioski o ogłoszenie czerwonego alertu.

Rosjanie ponieśli również spektakularną klęskę w brytyjskim sądzie. Decyzja Wysokiego Trybunału w sprawie o zniesławienie, którą wniósł przeciwko mnie major Paweł Karpow, była zaskakująca. Sędzia stanowczo oddalił pozew i tym samym zapisał się w historii angielskiego wymiaru sprawiedliwości, tworząc precedens, który miał uniemożliwić ludziom pokroju Karpowa wykorzystywanie londyńskich sądów do walki z przeciwnikami reżimów autorytarnych.

Jednak bez względu na to, jak znaczące są owe postępy, często moim przyjaciołom i współpracownikom trudno jest zrozumieć, dlaczego nadal prowadzę swoją kampanię.

Latem 2012 roku odwiedził mnie mój długoletni przyjaciel, Jean Karoubi. Zjedliśmy kolację w miłej atmosferze, rozmawiając o interesach i życiu rodzinnym, ale gdy udałem się do kuchni zaparzyć herbatę, przyszedł tam za mną i zapytał, czy możemy porozmawiać na osobności. Zaprowadziłem go do salonu i zamknąłem za nami drzwi.

— Przyjaźnimy się od dawna, Bill, a ja bardzo martwię się o ciebie — powiedział Jean, rozsiadając się w fotelu. — Masz wspaniałą rodzinę, odnosisz sukcesy w biznesie, a Siergieja i tak nie zdołasz wskrzesić. Dlaczego nie zakończysz tej kampanii, zanim znów stanie się coś złego?

Nie po raz pierwszy zdarzało mi się prowadzić taką rozmowę. Oczywiście jestem świadomy ewentualnych konsekwencji tego, co

robię, a najbardziej martwi mnie myśl, że moje dzieci mogłyby się wychowywać bez ojca. Ta myśl wciąż mnie prześladuje. Ilekroć oglądam szkolne występy moich dzieci albo bawię się z nimi w parku, zastanawiam się, ile jeszcze razy będzie mi dane to robić, zanim spotka mnie tragiczny koniec.

Ale potem myślę o dzieciach Siergieja, a zwłaszcza o tym, że jego młodszy syn, Nikita, już nigdy nie zobaczy swojego ojca. I myślę także o Siergieju, który znajdował się w dużo większym niebezpieczeństwie, ale nie zamierzał ustępować. Jakim byłbym człowiekiem, gdybym teraz dał za wygraną?

— Muszę to doprowadzić do końca, Jean. W przeciwnym razie trucizna bezczynności wypali mnie od środka.

Ale na pewno nie robię tego z waleczności. Nie jestem odważniejszy od innych i odczuwam strach tak samo jak każdy. Co się jednak tyczy strachu, przekonałem się, że bez względu na to, jak bardzo bym się bał w danej chwili, uczucie to nie trwa bez końca. Po jakimś czasie słabnie. Jak przyzna każdy, kto żyje w strefie działań wojennych albo wykonuje niebezpieczną pracę, ludzki organizm nie jest przystosowany do odczuwania strachu przez dłuższy okres. Im więcej doświadczamy zagrożeń, tym bardziej stajemy się na nie odporni.

Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że Putin albo przedstawiciele jego reżimu pewnego dnia postanowią mnie zgładzić. Jak każdy normalny człowiek nie mam zapędów samobójczych i nie zamierzam pozwolić, aby mnie zabito. Nie mogę wymienić większości środków bezpieczeństwa, jakie podjąłem, ale o jednym wspomnę. Jest nim ta książka. Jeżeli zostanę zamordowany, będziecie wiedzieli, kto to zrobił. Kiedy moi wrogowie przeczytają tę książkę, dowiedzą się, że o tym wiecie. Zatem jeżeli nie jesteście obojętni na dążenie do sprawiedliwości i na los Siergieja, przekażcie tę historię tak wielu osobom, jak tylko zdołacie. Ten prosty gest sprawi, że duch Siergieja Magnitskiego nadal będzie żył wśród nas, a także ochroni mnie o wiele skuteczniej niż cała armia uzbrojonych strażników.

Na koniec wszyscy pytają mnie, jak przeżyłem straty, które poniosłem w efekcie mojej pogoni za sprawiedliwością. Straciłem pozycję na rynku, na którą pracowałem z taką starannością. Straciłem wielu fałszywych przyjaciół, którzy odwrócili się ode mnie w obawie, że moja kampania może zaszkodzić ich interesom, i straciłem swobodę podróżowania bez obaw, że mogę zostać aresztowany i przekazany Rosjanom.

Czy te straty były dla mnie bardzo dotkliwe? Co dziwne, nie. Wszystko to, co straciłem w pewnych sferach życia, wynagrodziłem sobie w innych. Straciłem przyjaciół, którzy opuścili mnie w trudnej sytuacji, ale za to poznałem wielu natchnionych ludzi, którzy

zmieniają świat.

Gdybym nie poszedł tą drogą, nigdy bym nie spotkał Andrew Retmana, specjalizującego się w tematyce politycznej dziennikarza z Brukseli, który bez reszty zaangażował się w sprawę Siergieja. Przez ponad pięć lat uczestniczył w najbardziej prozaicznych posiedzeniach Komisji Europejskiej dotyczących sprawy Magnitskiego i skrzętnie je relacjonował, czuwając, aby tamtejsi biurokraci nie zamietli problemu pod dywan.

Nie poznałbym również Walerija Borszewa, siedemdziesięcioletniego rzecznika praw rosyjskich więźniów, który korzystając ze swoich niezależnych uprawnień, dwa dni po śmierci Siergieja dostał się do wszystkich ośrodków, gdzie był on przetrzymywany, i zmusił dziesiątki urzędników do udzielenia odpowiedzi na jego pytania. Pomimo ogromnego zagrożenia ujawnił rażąco niespójne oświadczenia i kłamstwa władz rosyjskich.

Nigdy nie poznałbym Ludmiły Aleksiejewej, osiemdziesięciosześcioletniej rosyjskiej obrończyni praw człowieka, która pierwsza publicznie oskarżyła funkcjonariuszy milicji o zamordowanie Siergieja Magnitskiego. Wspierała jego matkę, składała doniesienia o popełnieniu przestępstwa i nawet kiedy były ignorowane, nie dawała za wygraną.

Wypełniając tę misję, poznałem dosłownie setki ludzi i to właśnie im zawdzięczam zupełnie nowy pogląd na człowieczeństwo, jakiego nigdy nie zyskałbym na Wall Street.

Gdyby ktoś mnie zapytał, kiedy studiowałem w Stanfordzie, co myślę o porzuceniu stanowiska dyrektora funduszu inwestycyjnego na rzecz działalności w obronie praw człowieka, spojrzałbym na niego, jakby był niespełna rozumu.

Ale właśnie tak postąpiłem dwadzieścia pięć lat później. Owszem, mógłbym wrócić do dawnego życia. Ale teraz, kiedy poznałem ten zupełnie inny świat, nie wyobrażam sobie, abym mógł robić coś innego. Chociaż spełnianie się w biznesie nie ma w sobie nic zdrożnego, takie życie przypomina oglądanie telewizji na czarno-białym odbiorniku. Tymczasem ja nagle zainstalowałem szeroki kolorowy ekran, a wszystko w moim życiu stało się bogatsze, pełniejsze i bardziej satysfakcjonujące.

Nie oznacza to jednak, że nic mnie nie trapi. Oczywiście głęboko żałuję, że nie ma już między nami Siergieja. Gdybym mógł przeżyć to wszystko jeszcze raz, przede wszystkim nigdy nie wybrałbym się do Rosji. Bez wahania oddałbym wszystkie moje osiągnięcia zawodowe za życie Siergieja. Teraz uświadamiam sobie, jak bardzo byłem naiwny, myśląc, że jako cudzoziemiec jestem odporny na barbarzyństwo rosyjskiego systemu. Wprawdzie to nie ja zostałem zabity, ale z powodu moich poczynań ktoś zginął i już nic nie

przywróci mu życia. Ale mogę nadal rozwijać dziedzictwo Siergieja i domagać się sprawiedliwości dla jego rodziny.

Na początku kwietnia 2014 roku zaprosiłem wdowę po Siergieju, Nataszę, i jego syna, Nikitę, do Parlamentu Europejskiego, aby byli świadkami głosowania nad rozporządzeniem, które miało nałożyć sankcje na trzydziestu dwóch rosyjskich urzędników uwikłanych w sprawę Magnitskiego. Był to pierwszy przypadek w historii Parlamentu Europejskiego, kiedy odbyło się głosowanie nad listą osób, które miały zostać objęte sankcjami.

Rok wcześniej przeniosłem rodzinę Magnitskich na ciche przedmieścia Londynu, aby Nikita mógł uczęszczać do renomowanej prywatnej szkoły, a Natasza nie musiała wciąż oglądać się lękliwie przez ramię. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuli się bezpieczni, a ja pomyślałem, że będzie im łatwiej dojść do siebie, gdy zobaczą, jak ponad siedmiuset europejskich prawodawców z dwudziestu ośmiu krajów wydaje wyrok na ludzi, którzy zamordowali Siergieja.

Po południu 1 kwietnia 2014 roku wsiedliśmy do pociągu Eurostar jadącego z Londynu do Brukseli. Kiedy wyjechaliśmy z tunelu pod kanałem La Manche w Calais, zadzwonił do mnie jeden z asystentów przy Parlamencie Europejskim.

— Bill, przewodniczący parlamentu właśnie dostał list z wielkiej kancelarii prawniczej w Stanach, która reprezentuje kilku Rosjan z naszej listy. Grożą wystąpieniem na drogę sądową, jeśli głosowanie nie zostanie odwołane. Twierdzą, że parlament narusza prawa tych Rosjan.

— Co? Przecież to ci faceci złamali prawo! To jakiś absurd!

— Też tak myślę. Ale jutro o dziesiątej rano musimy przedstawić przewodniczącemu opinię prawną albo głosowanie się nie odbędzie.

Była już szósta wieczorem i nie wyobrażałem sobie, abym zdołał znaleźć najwyższej klasy prawnika, który byłby skłonny zmienić swoje plany i ślęczeć przez całą noc, aby napisać przekonującą opinię.

Niewiele brakowało, a poddałbym się bez walki, ale wtedy spojrzałem na Nikitę, który z twarzą przyciśniętą do szyby obserwował przemykający za oknem krajobraz. Wyglądał jak miniatura Siergieja Magnitskiego.

— Dobrze, zobaczę, co da się zrobić — powiedziałem asystentowi.

Udałem się do przejścia między wagonami, w to samo miejsce, w którym przed siedmiu laty siedziałem wraz z Iwanem, kiedy dowiedzieliśmy się, że milicja urządziła nalot na nasze biura w Moskwie. Zacząłem dzwonić i wysyłać wiadomości, ale po godzinie, choć miałem za sobą trzynaście rozmów, nie udało mi się do nikogo dotrzeć. Ruszyłem z powrotem do przedziału, zadręczając się myślami, jak wytłumaczyć to wszystko wdowie po Siergieju i jego synowi.

Zanim jednak zdążyłem dotrzeć na miejsce, rozległ się dzwonek

mojego telefonu. Dzwonił Geoffrey Robertson, londyński adwokat, który otrzymał jedną z moich wiadomości. W świecie obrońców praw człowieka Geoffrey uchodził za boga. Był w Wielkiej Brytanii jednym z najbardziej szczerych i gorliwych zwolenników globalnej wersji Ustawy Magnitskiego.

Wyjaśniłem mu całą sytuację, modląc się, aby połączenie nie zostało przerwane z powodu kiepskiego zasięgu. Na szczęście nic takiego się nie stało, a pod koniec rozmowy Geoffrey zapytał:

— Na kiedy to potrzebujesz?

Niewątpliwie spodziewał się, że podam jakiś termin za dwa tygodnie albo coś koło tego.

— Na jutro. Na dziesiątą rano — odparłem, wzdrygając się.

— Och. — W tonie głosu Geoffreya dało się słyszeć zaskoczenie. — Czy to jest takie ważne?

— Bardzo. Wdowa po Siergieju i jego syn jadą ze mną pociągiem do Brukseli. Wybieramy się tam, żeby zobaczyć jutrzejsze głosowanie. Oni się załamią, jeżeli Rosjanie znajdą kolejny sposób na uniknięcie sprawiedliwości.

Na linii zapadło milczenie, kiedy Geoffrey rozważał perspektywę poświęcenia całej nocy na przygotowanie opinii.

— Jutro o dziesiątej dostaniesz opinię. Nie pozwolimy, aby Rosjanie odebrali Magnitskim taką satysfakcję.

Następnego dnia punktualnie o 10.00 Geoffrey Robertson przesłał mi swoją opinię prawną, w której punkt po punkcie obalał argumenty Rosjan. Zadzwoniłem do zaprzyjaźnionego asystenta i zapytałem, czy to wystarczy. Jego zdaniem opinia była idealna, ale nie miał pewności, czy przewodniczący da się przekonać i zaplanowane na popołudnie głosowanie się odbędzie. Dołożyłem wielu starań, aby ochronić rodzinę Siergieja przed politycznymi intrygami Zachodu i modliłem się, aby udało się to również tego dnia.

O 16.00 spotkałem się z Nataszą i Nikitą przed wejściem do Parlamentu Europejskiego i zaprowadziłem ich na balkon nad salą obrad. Pod nami znajdowało się siedemset pięćdziesiąt jeden ustawionych w szerokim półokręgu foteli, na których zasiadali parlamentarzyści. Założyliśmy słuchawki i zaczęliśmy przełączać kanały, na których przebieg obrad był tłumaczony symultanicznie na blisko dwadzieścia języków.

O 16.30 na balkonie nagle pojawiła się Kristiina Ojuland, deputowana z Estonii, która popierała zarządzenie w sprawie Magnitskiego. Z trudem łapiąc oddech, poinformowała nas, że opinia Geoffreya Robertsona faktycznie wszystkich przekonała i głosowanie odbędzie się zgodnie z planem.

Potem Kristiina opuściła nas, aby odczytać tekst rozporządzenia. Wśród tłumu zgromadzonych na dole parlamentarzystów

zauważyliśmy jej purpurowy kostium. Wstała i zaczęła mówić. Jak w przypadku wielu innych wystąpień, których słuchałem dotychczas, najpierw przedstawiła historię Siergieja i politykę zatajania prawdy stosowaną przez rosyjskie władze, ale potem zrobiła coś nieoczekiwanego. Wskazała w naszą stronę i powiedziała:

— Panie przewodniczący, są tu z nami dzisiaj żona i syn Siergieja Magnitskiego, a także jego były pracodawca, pan Bill Browder. Miło mi powitać naszych gości.

Potem, zupełnie niespodziewanie, całe gremium liczące przeszło siedemset osób podniosło się z miejsc i zwróciwszy się w naszą stronę, zaczęło bić brawo. Nie były to oklaski z uprzejmości, ale szczere gromkie brawa, które trwały prawie minutę. Poczułem, jak ściska mnie w gardle, a moje ręce pokrywają się gęsią skórką, gdy zobaczyłem łzy wzbierające w oczach Nataszy.

Odbyło się głosowanie i wszyscy deputowani poparli rozporządzenie. W całym Parlamencie Europejskim nie było ani jednego głosu sprzeciwu.

Na początku tej książki napisałem, że uczucie, którego doświadczyłem, kiedy wartość nabytych przeze mnie akcji polskich spółek wzrosła dziesięciokrotnie, było najlepszą rzeczą, jaka spotkała mnie w całej mojej karierze. Ale stojąc na tym balkonie w Brukseli obok bliskich Siergieja i patrząc, jak największy organ prawodawczy Europy wymierza sprawiedliwość za ich krzywdy, poczułem coś, z czym nie mógł się równać żaden sukces finansowy. Kiedyś objawieniem w moim życiu było dziesięciokrotne przebicie na giełdzie, ale nic nie przynosi tak wielkiej satysfakcji, jak odnalezienie sprawiedliwości w tym do cna niesprawiedliwym świecie.

Podziękowania

Moi przeciwnicy snuli mnóstwo szalonych spekulacji na temat tego, jak udało mi się osiągnąć pewne postępy w dążeniu do sprawiedliwości. Rosyjskie władze oskarżały mnie, że jestem agentem CIA, to znów szpiegiem MI6 albo miliarderem, który przekupił wszystkich członków Kongresu Stanów Zjednoczonych i Parlamentu Europejskiego, albo też należę do spisku syjonistów, którzy chcą zapanować nad światem. Oczywiście prawda jest o wiele prostsza. Moja kampania przyniosła efekty, ponieważ każdy, komu nieobce są ludzkie uczucia, dowiedziawszy się o udręce Siergieja, chciał nam pomóc.

Liczne grono ludzi robiło to oficjalnie i pisząc tę książkę, miałem sposobność wymienić nazwiska wielu z nich. Jednak na każdą osobę wspomnianą na tych kartach przypadają dziesiątki innych, które niestety pozostają bezimienne, ale ich niezmordowane wysiłki za kulisami miały decydujący wpływ na sukces tej kampanii. Liczyłem, że w tym miejscu będę mógł im wszystkim podziękować. Postanowiłem jednak, że nie będę nikogo narażał na szykany i groźby ze strony Rosji, które spotykają orędowników sprawy Magnitskiego. Przyjdzie czas, by wyrazić uznanie dla wszystkich, którzy nas wspierali, ale nastąpi to dopiero wtedy, gdy minie zagrożenie ze strony rosyjskich organizacji przestępczych i tyranii Putina.

Zatem na razie pozostaje mi żywić nadzieję, że wszyscy, którzy poświęcili nam swój czas i energię, zdają sobie sprawę, jak bardzo jestem im za to wdzięczny. Dziękuję wszystkim politykom w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i krajach Europy; deputowanym i pracownikom Parlamentu Europejskiego, Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy oraz Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie; wszystkim prawnikom, którzy przyłączyli się do mnie w walce o sprawiedliwość, często bezpłatnie oferując swoje usługi; odważnym i niestrudzonym dziennikarzom, którzy dokładali starań, aby ujawnić prawdę; organizacjom pozarządowym oraz aktywistom z całego świata, którzy nakłaniali władze swoich krajów do działania; nieustraszonym mieszkańcom Rosji, którzy wciąż narażają życie, walcząc o lepsze jutro dla swojego kraju; moim przyjaciołom i współpracownikom, których wsparcie towarzyszy mi od lat, a także każdemu, kogo poruszyła historia Siergieja Magnitskiego, i każdemu, kto w miarę swoich możliwości zaangażował się w tę sprawę. Musicie wiedzieć, że brakuje mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo jestem wam wdzięczny. Doceniam wasz wkład. Starania każdego z was mają ogromne znaczenie i pomogły wiele zmienić. Wszystko, co zdołała osiągnąć ta kampania, było

możliwe dzięki wam.

I wreszcie, co najważniejsze, nie mogę zapomnieć o najprawdziwszych bohaterach tej historii — rodzinie Magnitskich. Zbliżyła nas do siebie tragedia, i chociaż oddałbym wszystko, aby odwrócić to, co stało się Siergiejowi, jestem wam wdzięczny za waszą przyjaźń. Wasza odwaga i determinacja w obliczu niewypowiedzianej żałoby budzi szacunek i wiem, że Siergiej byłby z was dumny.

Bill Browder, założyciel i dyrektor generalny Hermitage Capital Management, był największym inwestorem zagranicznym w Rosji aż do 2005 roku, kiedy to został pozbawiony prawa wstępu na terytorium tego kraju. Od 2009 roku prowadzi światową kampanię mającą na celu ujawnienie korupcji i przypadków łamania praw człowieka w Rosji. Jej efektem jest przyjęcie przez Kongres Stanów Zjednoczonych Ustawy Magnitskiego, która pozwala na nałożenie sankcji wizowych i zamrożenie kapitału rosyjskich urzędników zamieszanych w śmierć Magnitskiego. Obecnie Browder pracuje nad wprowadzeniem podobnego aktu prawnego w Unii Europejskiej.

Mój dziadek, Earl Browder, w otoczeniu swoich synów intelektualistów. Po lewej mój ojciec, Felix, który został dziekanem wydziału matematycznego na Uniwersytecie Chicagowskim, a w 1999 roku otrzymał Narodowy Medal Nauki. Po prawej siedzą jego młodsi bracia, Andrew i Bill, również sławni matematycy. Bill został przewodniczącym Amerykańskiego Towarzystwa Matematycznego i dziekanem wydziału matematyki w Princeton, a Andrew był dziekanem wydziału matematycznego na Uniwersytecie Browna. *(© Lotte Jacobi)*

Earl Browder, od dziesięciu lat najsłynniejszy komunista Ameryki, podczas wyborów w 1936 roku kandyduje na prezydenta Stanów Zjednoczonych z ramienia partii komunistycznej. *(© AP Photo)*

Z bratem, Tomem, w naszym domu w Chicago, około 1970 roku.

Ten z gitarą to ja. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Browderów)*

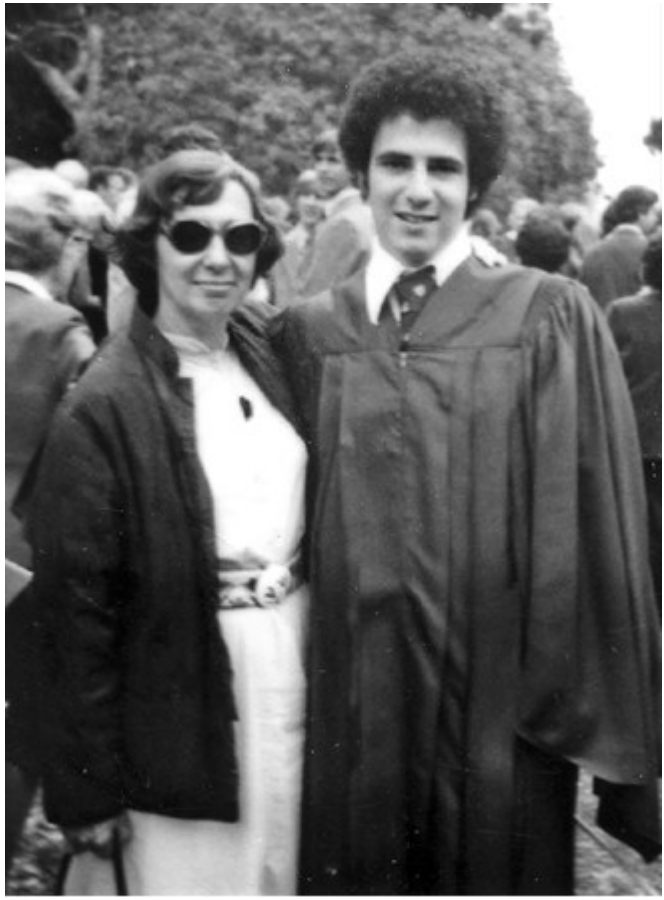

Z matką na uroczystym zakończeniu szkoły średniej w 1981 roku. Teraz widać, czemu na studiach miałem przydomek „Druciak”. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Browderów)*

Z ojcem i bratem w domu w New Jersey podczas świąt Bożego Narodzenia w 1988 roku. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Browderów)*

W londyńskim metrze przed rozpoczęciem pierwszego dnia pracy w Boston Consulting Group w 1989 roku. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Browderów)*

W 1991 roku wreszcie zaczęło mi się powodzić i latałem helikopterem z Budapesztu na węgierską prowincję, by doglądać interesów Richarda Maxwella. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Browderów)*

Na placu Czerwonym w 2004 roku, w szczytowym okresie działalności funduszu Hermitage. *(© James Hill)*

Siergiej Magnitski — najodważniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałem. Zdjęcie z 2008 roku. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Magnitskich)*

Fotografie wykonane 17 listopada 2009 roku podczas sekcji zwłok Siergieja Magnitskiego dzień po jego śmierci. Głębokie rany i siniaki potwierdzają, że desperacko walczył o życie. *(Zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Magnitskich)*

Matka Siergieja, Natalia Magnitska, opłakuje syna podczas pogrzebu, który odbył się na moskiewskim cmentarzu 20 listopada 2009 roku. *(© Reuters/Mikhail Voskresensky)*

Podczas konferencji prasowej w listopadzie 2010 roku, dzień przed pierwszą rocznicą śmierci Siergieja, rzeczniczka prasowa rosyjskiego MSW, Irina Dudukina, prezentuje prowizoryczny afisz, który „dowodził", że to Siergiej był sprawcą ujawnionych przez siebie przestępstw. *(© Dmitry Kostyukov/AFP/Getty Images)*

Major Paweł Karpow z rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Karpow kierował śledztwem i sprawował pieczę nad dokumentami wykorzystanymi w celu wyłudzenia zwrotu podatku w wysokości 230 milionów dolarów, które ujawnił Siergiej. *(© Sergey Kiselyev/Kommersant/Getty Images)*

Major Oleg Silczenko, oficer śledczy z rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podczas konferencji prasowej w 2011 roku. Silczenko odpowiada za gehennę Siergieja; odrzucał jego rozpaczliwe prośby o pomoc medyczną. Tuż przed pierwszą rocznicą śmierci Siergieja otrzymał prestiżową nagrodę dla najlepszego śledczego. *(© Reuters/Anton Golubey)*

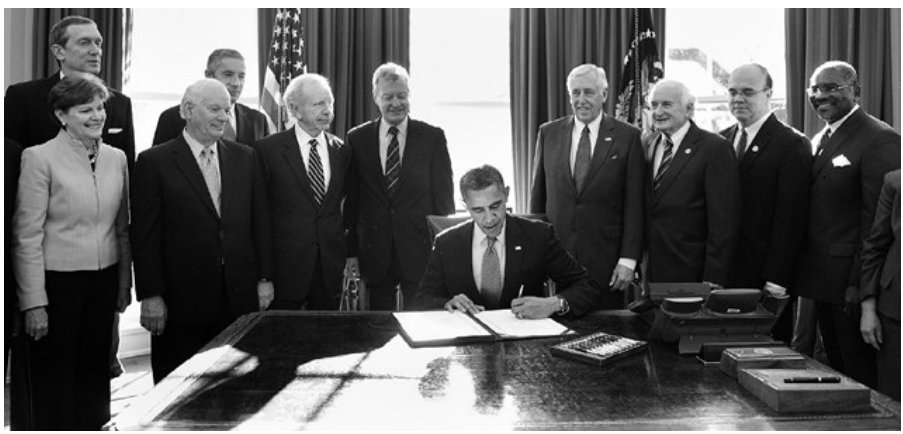

Prezydent Barack Obama 14 grudnia 2011 roku zatwierdza Ustawę Magnitskiego. Nakłada ona sankcje na rosyjskich urzędników odpowiedzialnych za uwięzienie, tortury i śmierć Siergieja, a także na inne osoby dopuszczające się łamania praw człowieka w Rosji. *(© Mandel Ngan/AFP/Getty Images)*

Prezydent Rosji, Władimir Putin, podczas corocznej konferencji prasowej w 2012 roku. Putin odpowiada z rozdrażnieniem na liczne pytania o planowany zakaz adopcji rosyjskich sierot przez rodziny ze Stanów Zjednoczonych, który miał stanowić bezpośredni odwet za przyjęcie Ustawy Magnitskiego. Podczas tej konferencji Putin po raz pierwszy wymienił publicznie moje nazwisko. *(© Sasha Mordovets/ Getty Images)*

Pusta, ale pilnie strzeżona klatka na sali rozpraw w trakcie pośmiertnego procesu Siergieja Magnitskiego, kiedy również i ja

byłem sądzony *in absentia* na podstawie sfabrykowanych zarzutów o oszustwo podatkowe. Ten pokazowy proces, który odbył się w 2013 roku, spotkał się z powszechnym potępieniem ze strony społeczności międzynarodowej. *(© Andrey Smirnov/AFP/Getty Images)*

Kyle Parker, urzędnik senatu, który pomógł wprowadzić w życie Ustawę Magnitskiego, oprowadza matkę Siergieja po rotundzie Kapitolu w kwietniu 2013 roku. *(© Allison Shelley)*

Uroczyste przyjęcie w Waszyngtonie z okazji wprowadzenia Ustawy Magnitskiego. Obok mnie kongresman Jim McGovern (który przedstawił projekt ustawy Izbie Reprezentantów), matka Siergieja,

Natalia, oraz wdowa po Siergieju, Natasza. *(© Allison Shelley)*

Senator Ben Cardin podczas konferencji prasowej w budynku Kapitolu w 2013 roku wyraża uznanie dla odwagi, jaką wykazała się rodzina Magnitskich. Obok niego stoją: wdowa po Siergieju i jego syn, Nikita, oraz matka Siergieja i Wadim Kleiner. *(© Allison Shelley)*

Senator John McCain podczas spotkania z rodziną Magnitskich w 2013 roku przyjmuje podziękowania za nieugiętą postawę w walce o sprawiedliwość dla Siergieja. *(© Allison Shelley)*

Natasza, Nikita i ja spotykamy się z deputowanymi do Parlamentu Europejskiego podczas sesji plenarnej, która odbyła się 2 kwietnia 2014 roku w Brukseli. Chwilę po wykonaniu tego zdjęcia Parlament Europejski jednogłośnie uchwalił nałożenie sankcji na rosyjskich urzędników odpowiedzialnych za śmierć Siergieja. Stoją od lewej: Kristiina Ojuland z Estonii, Edward McMillan-Scott z Wielkiej Brytanii, Nikita i Natasza Magnitscy, Guy Verhofstadt z Belgii i ja. *(© ALDE Group)*

notes

Notes

1

To ten sam Ken Hersh, który później kierował Natural Gas Partners, jednym z najbardziej wydajnych inwestorów kapitałowych na rynku surowców energetycznych.

2

Założyciel Tiger Management Corporation, jednego z najlepiej prosperujących funduszy hedgingowych.

3

Jeden z założycieli Templeton Asset Management, jednego z największych funduszy inwestycyjnych na świecie.

4

Choć może to brzmieć dostojnie, w Salomon Brothers było chyba więcej wiceprezesów niż sekretarek.

5

Nazwa spółki inwestycyjnej Burkle’a.

Rosyjski odpowiednik brytyjskiej agencji YouGov.

7

Baryłka przeliczeniowa ropy to jednostka energii stosowana do porównania metra sześciennego gazu z baryłką ropy naftowej.

8

W podziale Dekalogu stosowanym przez wyznawców prawosławia to dziewiąte przykazanie zabrania mówienia fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu.

9

Czyli senatorowie McCain, Cardin i Wicker.

10

Po zakończeniu kadencji na stanowisku prezydenta Miedwiediew ponownie objął urząd premiera w maju 2012 roku.